

PIEŚŃ O ROLANDZIE

(pocz. XII w.)

ŚMIERĆ ROLANDA

Po uwięzieniu i skazaniu Ganelona bitwa ronsewalska toczy się dalej. Marsyl ma rękę uciętą i podaje tyły, ale pozostało 50 tysięcy Etjopów. Roland widzi teraz niechybną zgubę, Oliwjer jest ranny śmiertelnie:

Roland choć żyw, lecz się na koniu slania,
 Oliwjer tuż, boli go w piersi rana.
 Wybroczył krew, żrenica mgłą mu zaszła,
 Nie dojrzy dość ni zbliska, nito zdala,
 By druha kształt odróżnił od pohana.
 Zapadłszy w gąszcz, najechał na Rolanda,
 W złożony hełm potężny raz mu zada.
 Naczólek pękł po nozdra od bulata,
 Szczęście, że miecz nie przedarł się do ciała.
 Więc Roland głos umilił i powiada:
 «Druhu ty mój, skąd nagła ta uraza?
 Jam Roland, spójrz, miłuję cię jak brata;
 Dlaczegoż-to najeżdżasz bez wyzwania?»
 A na to ów: «Słuch ciebie mój poznawa,
 Nie widzę sam; widzi cię niebios władca.
 Przebaczyc racz obrazę, co się stała».
 Czuje to Roland: śmierć jego niedaleka:
 Z pękniętej czaszki mózg w uszy się przelewa,
 Za paladynów do Boga śle westchnienia,
 Za sobą prosi Anioła Gabryjela,
 Więc w jedną dłoń dbały o cześć rycerza
 Olifant chwytą, ściągnąwszy go z ramienia,
 Drugą się ręką wiernego ima miecza.
 Ile puszczone po łuku belt doleci,
 Kwapi się iść w stronę hiszpańskiej ziemi.
 Na górskim szczycie, między pięknymi drzewy
 Czworo na pował płyt marmurowych leży.
 Tam upadł wznak i legł wśród traw zieleni,
 I omdlał wszystkim, bo śmierć go w rękę dźwierży.
 Wysokie szczyty i drzewa są wyniosłe;
 Od słońca lśnią kamienie marmurowe;
 Omdlały Roland na trawy padł zielone (w. 2259—2273)
 Bije się w pierś, za winy swe i grzechy
 Pod Boży tron dłoń z rękawicą pręży.

Anioł Gabryjel odebrał mu ją z ręki. Schyla głowę na ramię, złożywszy dłonie, kona; św. Michał i Gabryjel unoszą w niebo duszę rycerza.

(*Chanson de Roland*, p. p. J. Bédier, Paris. s. d. v. 2259—2396.)

PIEŚŃ O WILHELMIE (KRZYWONOSYM)

(XII w.)

Na Larchamp wre walka z Saracenami. Vivien, kuzyn hr. Wilhelma, złożył był ślub, że nigdy w bitwie nie cofnie się na długość lancy. Obiegła go chmara pogan; sam się nie obroni; więc posyła młodego Gérarda do Barcelony po pomoc Wilhelmową.

Na szczyt pagórka Gerard zwraca konia;
Pięć mil naokół taka ciżba sroga,
Że nie ujedzie ni jednego łokcia,
Aby nie zrzucił Saracena z siodła.
Tu pada ręka, tu noga, tu głowa.
Aż gdy się wyrwie z bolesnego pola,
Dobry koń pod nim upada i kona.

Z bolesnej ciżby Gerard się zawraca;
Pod siodłem padł mu koń z dobrego stada,
Pięć mil naokół ziemia stratowana.
Żaden doń człowiek słowem nie zagada.
Na nikim zdobyć nowego rumaka.
Pieszo brnie naprzód, wlecze się i ślania.

— Wielki był upał gorącego lata
I dzień przedługi; trzy dni był bez jadła,
Trzy dni już nie pił, gorączka w nim pała.
Źródła ni studni niema za skarb świata,
Lecz słona z morza wylana żuława.
Zbroja ciężarem przywarła do ciała,
Z ust mu się wyrwie żalem taka skarga:

«O wielka włócznie, niebывale brzemię,
W Larchamp już Vivien nie obaczy ciebie,

Kiedy w śmiertelnym mozole zemdleje»...
Więc Gerard włócznie porzuca na stepie.

«O tarczo, jakże ugniatasz mi szyję!
Już ja Viviena tobą nie zakryję».
Zdejmuje z karku, porzuca ją w pyle.

«O dobry helmie, rozpalasz mi głowę!
Już Vivienowi tobą nie pomogę,
Co się na Larchamp potyka w mozole».
Więc go zdejmuję, porzuca na drodze.

«Jakże mi ciężysz, pancerzu ogromny!
Już w tobie Vivien nie znajdzie osłony.
Już go śmiertelne oblewają poty».
Więc go zdejmuję, rzuca na rozłogi.

— Zdjął z siebie wszystkie żelazne ubiory,
Jeden mu w dłoni został miecz stalony,
Od rękojeści po ostrze czerwony,
Śliski strzępami ciała i posoki.
Na nim się spiera wyciągnionym z pochwy,
Cały dzień idzie aż do późnej nocy,
Po nieprzebranych dolinach brodzący,
Po wysokich się górach spinający...

(*La Chançon Guillelme, ed. H. Suchier 1911, v. 698—741.*)

EPOPEJA CYKLU LOTARYŃSKIEGO

(XII w.)

ŚMIERĆ IZORESA

Begon w zastępstwie Garina dochodzi praw brata pojedyńkiem sądowym na Izoresie z Boulogne. Asystujący walce zakładnik Izoresa, Wilhelm z Monceu, podjudza go przeciw Begonowi rannemu i bezbronnemu, bo miecz mu się złamał. Ale walka nie skończona:

Begon przypomniał, że ma miecz stalowy
W lęk zabitego konia zatroczoney.
Ściągnął go, moment chwyciwszy sposobny,
Chociaż był ranny i strugi gorącej
Krwie mu płynęły i z piersi, i z głowy:
Nie dziw, bo srogie dziś otrzymał ciosy.
Tnie Izoresa w szyszak wielowzory,
W polu rozcina pierścieni helmu złoty,
Ostrze koncerza aż do mózgu wtłoczy,
Czaszkę przebija skroś po zębów trzony.
Izores pada martwy, bez pomocy.
Słuchajcie dziwu lotaryńskiej pomsty:
Flobergę w ciało wraza między kosty,

Z wnętrza wydziera serca kęs drgający,
 Pana Wilhelma uderza nim w oczy:
 «Ot lobie z serca kuzyna dar hojny,
 Każ je przyrządzić na biesiadne stoły!»

(*Li Romans de Garin le Loherain, p. p. P. Paris 1835, t. II, p. 37.*)

POGRZEB BEGONA

Begon Lotaryńczyk zostaje przypadkiem zabity na łowach w lesie Burgundczyka Fromonda; ten, jakkolwiek zapamiętał wrog domu Lotaryńskiego, oddaje zabitemu ostatnią posługę:

Prosto ku ciału hrabia Fromond zmierza,
 Zewszehstron trupa uważnie obziera,
 Poznał umarłym, bo żywym pamięta.
 Widniała nad brwią umarłego męża
 Blizna od dzidy, jak czerwona wstęga;
 Sam mu ją zadał u wrót Saint-Quentena.
 Poznał ją hrabia i żał go oniemia,
 Omdlały pada na ręce rycerstwa (t. II, p. 244).

Ocknąwszy się, wysławia jego ród i czyny wojenne, drży na myśl pomsty, co go nie może minąć ze strony Garina, poczem sam oddaje zmarłemu śmiertelną posługę.

Wzdłuż każe rozpruć wodza ciało sztywne,
 Wnętrznosci zebrać w kosztowną tkaninę,
 Zwłoki wykapać i w wodzie, i w winie,
 Białemi dłońmi hrabia sam je myje,
 Nicią jedwabną zeszywa troskliwie,
 Potem spowija w chusty aksamitne,
 Ze skór jelenich czyni mu pokrycie,
 Zaczem w trumienną każe chować skrzynię,
 Naokół świece ustawi jarzyste
 I kadzielnice, i złożone krzyże,
 Sam nad umarłym straż odprawia pilnie.

(*Mort Garin, p. p. Du Meril Romans des douze Pairs. Paris 1846.*)

POEMAT O TRYSTANIE — REDAKCJI THOMASA

(XII w.)

ŚMIERĆ TRYSTANA I ISOLTY

(w. 3004 i nast.)

Okrętu wciąż wypatrywali,
 Jeszcze nie widać go na fali.
 Trystan się smęci i wygląda
 Isolty, której tak pożąda. —
 Łka rzewnie, z boleści się wije,
 Dobrze go żalność nie zabije.
 Kiedy tak cierpi, tak się nęka,
 Nadchodzi Isolt białoreka.
 Zdradę układa pani mściwa.
 «Kaherdin» — rzecze — «już dopływa;
 Widziałam, jak go niesie morze,
 Z ogromnym trudem falę porze.
 Uważam go od małej chwili:
 Znam okręt a wzrok mię nie myli.

Z tą miłą wieścią tutaj śpieszę,
 Zbolale serce ci pocieszę.
 Trystan z radości się zapłoni:
 «Isolto» — tak powiada do niej —
 «Czy oczy tobie nie skłamały?
 Jakież jest wyżni żagl? Czy biały?» —
 — «Co widzę, mówię ci najwierniej:
 Górny żagiel jest cały w czerni;
 Wyciągnęli go aż do szczytu,
 Bo dołem wiatr nie dawał chwytu». —
 Ból go zdjął na tę wieść straszliwą:
 Równego nie znalazł jako żywo.
 Rzekł, obracając się ku ścianie:
 «Miej Bóg nad nami zmiłowanie!

Gdys ku mnie przybyć nie zechciała,
 Śmierć mi jedyna pozostała;
 Żyć mi nie warto po twej stracie:
 Kochanko Isolt, konam dla cię.
 Nie żal ci było mej tęsknicy,
 To gwoli śmierci żal cię chwyci.
 Isolt, kochanko» — trzykroć rzecze,
 Za czwartym dusza zeń uciecze. —
 I płacz się ozwał pośród ciszy
 Wasalów jego, towarzyszy.
 Tam, gdzie na łożu zmarły leży,
 Zastępy dworzan i rycerzy
 Ku zwłokom schodzą się gromadą,
 Na aksamitnej płachcie kładą,
 Wzorzystym płaszczem go nakryli. —
 Zerwał się wiatr po małej chwili,
 Główny go żagiel pod się łowi,
 Statek wykręca ku brzegowi.
 Isolt z pokładu na ląd śpieszy.
 Słyszy biadania ludzkiej rzeszy;
 Z kościołów, kaplic jęczą dzwony;
 Pyta, co znaczy lament ony.
 Więc jeden stary człek jej rzecze:
 — «Pani, niech Bóg nas ma w opiece;
 Nieszczęście straszne nas przybiło,
 Większego jeszcze tu nie było.
 Nie żyje Trystan, dobry, śmiały,
 Obroną był krainie całej,
 Był szczodry i zapobiegliwy,
 Na wszelką biedę ludzką tkliwy.
 Martwy tam leży; od zadanej
 W okrutnym boju zginął rany». —
 Kiedy tę Isolt wieść usłyszy,
 Nie rzeknie słowa, ledwie dyszy.
 Śmierć czuje w sercu rozboleć.
 Nieomuskana biegnie cwałem
 Ku pałacowi przed innemi.
 Nie widział nikt w bretońskiej ziemi,
 Pomiędzy najurodziwszemi,
 Urody jako w tej niewieście.
 Rozgwar po całym poszedł mieście:
 Kto jest, skąd rodem gość z za morza?
 — Isolt podeszła wprost do łoża
 I, obrócona ku wschodowi,
 Za umarłego pacierz zmówi.
 «Trystanie» — woła — «przyjacielu,
 Bez ciebie żyć tu niema celu.

Dla mej miłości zbyłeś życia,
 Tu mię zabije dziś tęsknica.
 Skoro nie mogłam dość pośpieszyć,
 By cię uleczyć i ucieszyć,
 Kochanku mój, po twoim skonie
 Szczęścia nie zaznam w żadnej stronie...
 Radości, śmiechu, ani święta.
 Niech będzie burza ta przekłęta,
 Co zawróciła okręt w biegu,
 Ani mu dała dotknąć brzegu.
 Gdybym przybyła tutaj wporę,
 Uleczyłabym ciało chore,
 Przypominała tobie czule
 Nasze uciechy, nasze bóle,
 Naszą korzyść i naszą szkodę,
 Całą żalosa tę przygodę,
 Wszystko, co było między nami,
 Odnowiłabym pieśczołami.
 Gdy leki moje leżą w grobie,
 Niechajże umrę tu przy tobie,
 Niechaj się filtrem tym napoje,
 Który mi zabił szczęście moje». —
 To mówiąc, bierze go w ramiona,
 Pocałunkami zespolona
 W jednym uścisku wszystka tonie,
 Wiąże z nim ręce, usta, skronie;
 Całą postacią wzdłuż się ściele,
 Umiera tam przy jego ciele.

— — — — —
 Ja, Tomasz, powieść tem zamykam.
 Cześć składam wszystkim miłośnikom:
 Pożądającym i spragnionym,
 Oszołomionym, ucieszonym.
 Niech każdy w wierszach mych wyczyta
 To, co mu właśnie w sercu świta.
 Prawdę-m tu podałem, nie skłamałem,
 A tak ozdobnie, jak umiałem.
 Treść i rym najlepszego składu,
 Zaś cała powieść dla przykładu.
 Jeno tu, ówdzie wypiększyłem,
 By sens kochankom stał się miłym.
 Aby w tem, co się tutaj dzieje,
 Swe własne odkrywali dzieje,
 By zaczerpnęli z nich osłody
 Na zmiany losu, na zawody,
 Na lzy z pod powiek, serca rany,
 Na wszystkie miłosne omamy.

(Thomas, *Le Roman de Tristan*, p. p. J. Bédier, t. I. v. 3004—3144.
 Soc. des anciens Textes fr.)

MARJA Z FRANCJI

(XII w.)

LAIS O SŁOWIKU

Powieść wam jedną, mile panie,
Opowiem; lai ją zwą Bretanie.
Ile wiadomo, w tej krainie
Pod nazwą «laustic» wszędzie słynie;
Francuzi zwą ją «rossigneule»
A zaś Anglicy «nightingale».

Tam, gdzie Saint Malo leżą włości,
Wznosił się gród wielkiej zacności:
Pobliżu gaju, na rubieży
Stały zameczki dwu rycerzy.
Ceniono obu w całym kraju
Dla ich zacnego obyczaju.
Jeden z nich żył przy żonie młodej,
Głośniej z powabu i urody,
Rozsądnej nader i statecznej,
Układnej, dwornej, strojnej, grzecznej.
Wielbiona za swój wdzięk niewieści,
Stała u wszystkich w wielkiej cześci.
Drugi był szlachcic młodociany,
Śród szlachty ziem tych dobrze znany;
Rycerskie wszystkie znał zabawy,
Na nich się dobił wielkiej sławy,
Więc na turnieju dziarski, krewki,
Druhom nie skąpił swej sakiewki.
Zakochał się w żonie sąsiada,
Tak ją prosi, nad sobą biada,
Zaklina, błaga niedaremnie,
Aż pokochała go wzajemnie.
Miłość szła sławy jego śladem,
Nadto tak bliskim był sąsiadem...
Pilnie chowali się i strzegli,
By tego obcy nie postrzegli.

— — — — —
Dama z sypialnej swej komnaty
Podchodząc do okienka kraty,
Mogła z kochankiem swoim gwarzyć,
Drobnemi podarunki darzyć,
Z okien rzucając je ku sobie.
Żyli czas długi w tym sposobie.
W tem tylko mieli troskę całą,
Że bliżej podejść się nie dało.
Baczyli na nią domownicy,
Kiedy ów bawił w okolicy.
Jak bądź, radości były przednie:
Bo czyto w nocy, czyto we dnie
Mogli się przy okienkach schodzić,
Temu nie zdołał nikt przeszkodzić.

— — — — —
Długo trwał ten ich raj miłosny,
Aż powróciła pora wiosny,

Rozzieleniały gaje, lasy,
Ogrody stały pełne krasy,
Poprzez zielone przyrodziey
Ptaszące rozbrzmiewały śpiewy.
Kto w sobie chęć kochania czuje,
Nie dziw, że wszystkie je pojmuje. —
Ten, co w rycerza sercu czyta,
Wie i pojmuje je dosyta;
Dama też pełna rozumienia:
Świadczą jej słowa i spojrzenia.
W nocy, gdy księżyc był na nowiu,
A mąż zadrzemał na wezglowiu,
Rzuciła łożę swego pana
I szła, jedynie w płaszcz odziana,
Aby napatrzeć się kochanka
Przez całą noc aż do poranka.
Wiedziała to, że choć zdaleka
Na jej zjawienie pewnie czeka.
W tem rozkosz czuli niezrównaną,
Skoro już więcej im nie dano.

Ten rozstrój, to niedosypianie
Jęły wyglądać podejrzanie.
Mąż ją zapytał jedną nocą,
Dokąd wstawiała tak i poco.
«Panie» — mówiła — «wy nie wiecie,
Niema rozkoszy większej w świecie,
Jak tych słowiczych słuchać trel;
One spędzają mię w pościeli.
Ten słodki śpiew, a niedaleki,
Nie daje przymknąć mi powieki». —
Kiedy te słowa mąż usłyszy,
Ze złości prawie się zadyszy,
Tedy się nad tem począł głowić,
Jakby słowika mógł ułowić.
Zwoływa służbę i poleci
Gotować pętle, siatki, kleci;
Nie było drzewa, ani szczepu,
By tam nie podłożyli lepu,
Aż ułowili króla pieśni;
Do pana żywcem go przynieśli.
Rozradowany, ucieszony
Pobiegł do komnat swojej żony.
— «Ozwij się» — wołał tak do pani —
«Spójrz, co ci tu przynoszę w dani.
Ten oto słowik jest w mej mocy,
Co ci nie dawał spać po nocy,
Ten sprawca nocnej twej rozkoszy
Już pewnie twego snu nie spłoszył!» —
Dama się wzdygnie i zasmuci:
«Daj go» — do męża się obróci. —

On, gniewny, palce w płaszka wbije
 I słownikowi skręca szyję,
 Nieżywe swojej damie ciśnie:
 Na pierś okrągłą krew wytryśnie,
 Krwawą czerwienią broczy szaty;
 Ze śmiechem wyszedł z jej komnaty.
 Dama podniosła płaszka z ziemi
 I płacze łzami gorącemi:
 «Przekłęte lepy, paści, siatki
 Zabrały wszystkie me dostatki.
 Nie wstanę w nocy — jakaż męka!
 Już nie podejść do okienka,
 By się dać widzieć kochankowi.
 Zwodziła mię, tak pewnie powie.
 Trzeba mi na to znaleźć radę!
 Płaszka trup posłę mu i zdradę

Wszystką odkryję». — Zatem wzięła
 Ciałko, w aksamit zawinęła,
 Wszystek złotemi hafty szyty.
 Zwołała pazia z dworskiej świty,
 Smutne poselstwo mu powierza,
 Posyła zewłok do rycerza.
 Pazik z poselstwem pani bieży
 I z pozdrowieniem, jak należy,
 Oddaje wraz słowiczka zwłoki.
 Młodzieniec uczuł żal głęboki,
 Piękną szkatułkę u złotnika
 Zamówił; trupa w niej zamyka
 I zawsze ją ze sobą nosi...
 Przygoda owa się rozgłosi,
 Tytuł «Lai» dali jej Bretanie
 A przez nią «Laustic» ma nazwanie.

(*Marie de France, Lais, ed. K. Wornke Halle, 1885, p. 146—151.*)

CHRÉTIEN DE TROYES

(XII w.)

PERCEVAL

Poemat «Perceval le Gaulois ou le Conte de Graal» liczy przeszło 45000 wierszy. Chrétien de Troyes jest tu autorem wierszy 1282—10601. Tłumaczenie wyjątków dokonano według wydania Karola Potvin, 1866, w Mons.

(w. 5540—5645)

...Kraina była to północna,
 Rankiem śnieżycą spadła mocna;
 Ale Perceval już z zarania,
 Jak zwykle czynił, wstał z postania,
 Rad z nową spotkać się przygodą,
 I przyszedł, gdzie stał król¹ gospodą,
 Na pole równe i przestronne,
 Zmarzłe i całe zaśnieżone.

A gdy stał prawie pod namiotem,
 Obaczył gęsi dzikie, lotem
 Lecące szybkim gdzieś do brzegu,
 Które zmyliła białość śniegu,
 Z ogromnym wrzaskiem i gromadą,
 Bo sokół zalatywał stado.
 Który na jedną, co została
 Wtyle, z powietrza spadł jak strzała;
 Tak zaś gwałtownie z góry sunął,
 Że razem z nią na ziemię runął.
 Ale był cios za mocny przecie:
 Sokół przesadził w swym impecie,
 Gęś się zerwała nagłym lotem
 I próżno za nią gonił potem.

A Perceval obraca oczy,
 Widzi, że ziemia krwią się broczy;
 Gęś była w szyję obrażona,
 Tak, że z niej trysła krew czerwona.

Trzy krople padły na śnieg biały,
 Barwy się naturalne zdały.
 Śnieg starciem gęsi i sokola
 Widzi stłoczony, a dokoła
 Ową krew wybroczoną z rany:
 Na kopji wsparł się zadumany,
 W owo barw dziwne pojednanie
 Wpatrzył się i już trwał w tym stanie.
 Więc małowidło, co do spóiki
 Śnieg biały z krwią rumianą tworzą,
 Wyobrażało mu twarz hożą
 Niezapomnianej przyjaciółki.
 Patrzy i duma wciąż, i marzy,
 Aż się zapomni; na jej twarzy
 Rumieniec się z białością dzieli,
 Jako ta krew na śnieżnej bieli;
 Nareszcie mu się zdaje prawie,
 Że widzi panią swą na jawie.

Perceval duma nad przemianą;
 W śnieg się wpatruje całe rano,
 Aż niecierpliwi z tej przygody
 Wyjdą rycerze doń z gospody;
 Że się zadrzemał, rozumieli.

Jeszcze nie powstał król z pościeli,
 Jako, iż była ranna pora,
 Ale spotkali Saigremora

¹ Król Artus.

U drzwi namiotu; ten ich witał,
 Poco tak rano przyszedł — pytał.
 — «Panie, tu przed namiotem wpodłe,
 Zda się nam, rycerz śpi na siodle».
 — «Rycerz? i w zbroi?» — «Nie inaczej».
 — «Pójdę ja spojrzeć, co to znaczy,
 Zaraz do króla go przywiode».

Saigremor idzie na gospodę
 I budzi króla. — «Tuż na bloniu» —
 Powiada — «rycerz śpi na koniu».
 — «Niech idą» — rzekł król — «i nie bawią,
 I niech go żywcem tu dostawią».

By mu rumaka prowadzili,
 Saigremor każe w tejże chwili
 I wraz podjeżdża, cały w zbroi
 Tam, gdzie na bloniu rycerz stoi.
 — «Panie» — odzywa się doń grzecznie —
 «Król na dwór każe przyjść koniecznie!»
 A tamten nic nie odpowiada.
 Saigremor znowu doń zagada,

A ten ni piśnie. — «Ha!» — zawoła
 Z gniewem — «na Piotra Apostoła!
 Siłą powiodę ja waszmości;
 Już mi żal prośby i grzeczności,
 Widzę, że była źle użyta».

Zaraz pochylił kopji drzewce,
 Na lot pozwolił chorągiewce,
 Porwał się pod nim koń z kopyta,
 Na Percevala wprost pogonił. —
 Saigremor woła, by się bronili.
 Perceval nań obraca oczy,
 Widzi, jak pędzi, koniem toczy;
 W swojej zadumie się owłada
 I do natarcia kopję składa.

Wpadli na siebie, jak dwa tury,
 Broń Saigremora poszła w wióry;
 Nie drgnęła kopja Percevala,
 Tak silnie naparł przeciwnika,
 Że razem z koniem go obala...

RENAUD DE BEAUJEU

(XII w.)

PIĘKNY NIEZNAJOMEK (PRZYGODA ŚMIAŁEGO POCALUNKU)

A wtem przez otwór ściennej skrytki
 Smok do komnaty wpłynął brzydki;
 Tryskał od niego blask czerwony,
 Jak od gromnicy zapalanej;
 Komnatę światło to jarzące
 Skroś przenikało niby słońce;
 Światły dziwiło cudo nowe:
 Wargi miał całe purpurowe,
 A przez nie straszny zionął żarem,
 Przewyższał smoki swym rozmiarem,
 Bo taki gruby był w pół-ciała,
 Jak sakwa mąką napęczniała.
 Żrenice krwawą czerwienią snuły,
 Jak roziskrzony karbunkuły.
 Nieskory w nocnej swej przechadzce
 Lekko się czołgał po posadzce.
 Ze cztery sążnie miał od czuba,
 Ogon trzy liczył do przeguba.
 Nie widział człek wstrętniejszej stwory.
 Jakie gdziekolwiek Bóg kolory
 Stworzył, na grzbiecie miał zmieszane,
 Podbrzusze zaś jak pozłacane;
 Pręży się, kureczy, wciąż przybliża...
 On, by nagłego ująć napadu,
 Szpadę wyciąga przeciw gadu.
 Wtem, patrzaj, smok ogromne cielsko
 Ku stopom chylił przyjacielsko.
 Więc rycerz z uderzeniem zwleka.
 Gad pełźnie dalej, nie ucieka,

Lecz się podsuwa aż do twarzy.
 On znowu szpadę w dłoni waży,
 Omal że smoku nie ugodzi,
 Który do niego tak podchodzi.
 A smok powtórnie głowę schyla
 I lasi się doń, i umila.
 Rycerz wzniesioną szpadę trzyma,
 Ciągłe pilnując go oczyma.
 I oto nowy dziw natury:
 Usta czerwone jak w purpury
 Wiązą go władzą tak usilną,
 Że indziej spojrzeć mu nie pilno.
 Stwora ku niemu się rzuciła,
 Swe usta w jego usta wpila;
 Znow się pokłoni uniżenie,
 Wraca przez ową szparę w ścienie,
 Która się znow zamyka za nią...
 I wraz, jakby się nic nie stało,
 W komnacie znowu pociemniało...
 Rycerz przy stole siadł w zadumie,
 Nic z tej przygody nie rozumie.
 «Boże mój» — rzecze w swym frasunku —
 «W żmii odważnym pocałunku —
 Władza jakowaś tkwił przemocna;
 Snać djabeł mię opętał docna,
 Żem pocałunkom jej folgował:
 Odtąd mię będzie prześladował».
 A wtem idącą z owej niszy
 Niespodziewaną wieść usłyszy;

Głos temi go zadziwi słowy:
 «Wiedziałam; tylko Gauvainowy
 Syn, śmielszy niż wasalów gawieź,
 Zdolny był z czaru mię wybawić,
 Że on się jeden nie zatrwoży
 Dziwów i strachów pełnych grozy
 I że przecierpi bez wahania
 Ohydę mego całowania».

«Inne ci na chrzcie imię dano:
 Nie zwiesz się «Piękny Nieznajomek»,

(*Renaud de Beaujeu, Le bel Inconnu, p. p. G. Perrie Williams. Les Classiques fr. du M. A. Paris, 1929, v. 3127—3248.*)

Imię się matki samo chwali:
 Syn jesteś wróżki Blanchemali.
 Dała ci broń, miecz i proporzec,
 Posłała na królewski dworzec.
 On ci polecił, byś swe ramię
 W usługi oddał pewnej damie.
 Oto — żeś w prośbie się nie zwicznął.
 Potem za ścianą głos przycichnął;
 On został, rad ze swego losu,
 Skoro dowiedział się od głosu,
 O którym czuł to, że nie zwodzi,
 Czyim jest synem, kto go rodzi.

LANCELOT Z JEZIORA

(XIII w.)

(Romans prozą, oparty na poemacie Chretien de Troyes¹.)

Pierwsze spotkanie królowej Ginewry i Lancelota,
 jakie spowodował Galehot.

...Królowa rozkoszowała się wielce jego zakłopotaniem, on zaś tak się załękł, że omal nie zemdlął, wstydził się jednak dam dworu, które nań patrzyły. Sama królowa przestraszyła się, widząc, że bladł i mienił się na twarzy. I podtrzymała go za potylicę, aby nie upadł, i przywołała Galehota. A on poskoczył co prędzej, a widząc przyjaciela w takim stanie, przeraził się i rzekł: «Ah, królowo pani, powiedz, na Boga, co mu się stało?» A królowa powtórzyła, co mu była rzekła². — «Ah, pani» — rzekł — «zmartwienie mogło go zabić, a byłaby szkoda». — «Niezawodnie» — rzekła — «ale czy ci wiadomo, dla kogo spełniał wszystkie swoje czyny rycerskie?» — «Nie wiem, królowo». — «Jeżeli prawda, co mi powiadał, to dla mnie». — «Pani» — odrzekł — «możesz mu wierzyć, bo jak jest najdzielniejszy, tak samo w sercu jest najszczęśliwszy». — «Zaprawdę, słusznie sławisz jego zacność; gdybyś jeszcze wiedział, ilu dokonał czynów, odkąd został pasowany na rycerza!» — «Pani, winnaś mu dzięki za jego wielkie zasługi». — «Jakież dzięki mam mu złożyć?» — «Pani, wiesz, że cię kocha nadewszystko i że dla ciebie zdziałał więcej niż jakikolwiek inny rycerz. Oto widzisz go przed sobą; wiedz, że ani ja, ani jegomość król nie żylibyśmy w spokoju, gdyby on nie osłaniał nas swą osobą». — «Zapewne» — rzekła — «że więcej uczynił dla nas, niż zasłużyłam, i że wywalczył dla nas pokój; nie uchylę się od niczego, o coby prosił! Ale on o nic mię nie prosi, boleściwy i milczący, a ciągle płacze, odkąd zaczął poglądać na owe damy. Wyświadczę mu taką łaskę, jaką zechcesz, ale on nie prosi mię o nic». «Pani» — rzekł Galehot — «to dlatego, że nie śmie, bo za kochaniem idzie lęk, ale ja proszę w jego imieniu... Proszę więc, abyś mu ofiarowała miłość i mianowała go swoim rycerzem na zawsze i została jego wierną damą po wszystkie dni; a to uczyni go bogatszym, niż gdybyś mu ofiarowała cały świat». — «Zezwalam zatem» — rzekła — «abym wszystka była jego a on mój i żeby za twoją poręką dokonał się ten układ». — «Pani» — rzekł Galehot — «dzięki tobie; teraz brak jeszcze zastawu». — «Nie wymyślisz nic» — rzekła królowa — «czegobym nie uczyniła». — «Pani» — rzekł Galehot — «wielkie dzięki; zatem ofiaruj mu przede mną pocałunek szczerzej miłości». — «Na pocałunek nie miejsce tutaj ani pora; bądź pewny, że pragnę go równie jak on, ale te damy dziwiłyby się wielce naszemu postępkowi; niepodobna, aby nie spostrzegły; mimo to, jeżeli sobie życzy, chętnie uczynię».

On zaś tak był rozradowany i odurzony, że nie mógł wymówić nic więcej, jak tylko: «Dzięki ci, pani». — «Ha, królowo» — rzecze Galehot — «nie chciej wątpić o tem,

¹ Czynnny w epizodzie Paola i Franceski, «Piekle» p. r. w. 133. — Galehaut, przyjaciel Lancelota, pośrednik miłości.

² Podrażniła go aluzją do jakiejś innej miłości.

czego wszystek pragnie, nikt zaś nie spostrzeże, bo my wszyscy troje wycofamy się, jakby w celu swobodnej rozmowy». — «Czemużbym się kazała jeszcze prosić» — rzekła — «skoro więcej pragnę niż ty i on».

Zaczem wychodzą wszyscy troje; królowa widzi, że rycerz nie śmie posunąć się dalej; bierze go za brodę i wobec Galehota całuje go i trwa tak długo, aż dworka Malahot się spostrzega. Tedy zaczęła mówić królowa roztropna i śmiała: «Luby, słodki przyjacielu, teraz jestem twoja i wielce tem uradowana. Bacz, aby miłość nasza pozostała w ukryciu, jak należy; bo jestem jedną z niewiast na świecie najlepszej sławy; gdyby ta sława ucierpiała przez ciebie, miłość ta stałaby się brzydka i podła. Proszę i ciebie, Galehocie, który głównie w tem działałeś; bo gdybym poniosła szkodę, twoją byłoby to winą; jeżeli, przeciwnie, mam stąd radość i uciechę, tobie je zawdzięczam».

(*L'episodio del Lancelot ricordato da Dante, Inf. v. 127—137.*
P. p. E. Monaci, Testi romanzi. Roma, Loescher 1904.)

GACE BRULÉ

(XII w.)

KANCONA

Ptaszki ziemi mej słyszałem,
Siedząc tu w Bretanji;
Po ich nucie to poznałem,
Bo w słodkiej Szampanji
Brzmią te same tryle,
Choć się może myślę. —
Jednak dzięki ich nauce
Ja też pieśni nucę;
Dotąd się w nich ćwiczę,
Aż mi Amor da w nagrodzie
Spragnione słodycze.

Póki trwały me nadzieje,
Suche miałem oczy;
Dziś ni cieszę, ni się śmieję:
Na kogo się Amor boczy,
Z trudem wydobrzeje.

(*Les Chansonniers de Champagne aux XII et XIII siècles, p. p. Tarbé, Reims 1850.*)

Ona duszę, serce moje
Wtrąca w takie niepokoje,
Żem obłądnej nabrał miny;
Co o innych rzec się boję,
We mnie niema winy.

Pocalunek mi pamiętny
Z chłopięcego lata;
Jego woń, gdym dziś jej wstrętny,
Jeszcze mię dolata.
Skoro mi nie broni,
Bym się zbliżył do niej,
Czemuż się nie skłoni?
Wiadomo jej doskonale,
Że się żywcem palę;
W tej tęsknicy przenamiętej
Sam się nie ocale.

CONON DE BÉTHUNE

(XII w.)

BELLE DOUCE DAME

Moja pani słodka, miła,
Tak mię czarem zniewoliła
Tajnych sił,
Że gdybym już w Raju był,
Na ziemiębym szedł zpowrotem
Z tym warunkiem, że już potem
Z pełnych żył
Przychylność będę pil;
Wszak nigdy nie doświadczyła,
Bym tam, gdzie mi zawierzyła
Zdradę krył.
Schowaj miecz, coś wyostrzyła.

(*Conon de Bethune, Chansons, p. p. A. Wallenskjöld, Paris 1923. Les Classiques fr. du M. A.*)

Niewinnym, więc się nie kaję,
Srogiej krzywdy nie zataję,
Gniew mię żga.
Dla pochlebców ucho ma,
Innych cierpi zalotników,
Zmienna, sroczce obyczaje
Chowa, śle w pogańskie kraje.
Serce me się nie ukorzy,
Nie popłyną z ócz mych słozy,
Jej dom się pustelnią staje
Cierpiętników.
Przebacz, kochać cię przestaję.

GEOFFROIS DE VILLEHARDOUIN

(um. 1213)

ZDOBYCIE KONSTANTYNOPOLA

211. Ku temu poselstwu zostali wybrani Conon de Béthune i Godfryd z Villehardouin, marszałek Szampanji, i Emil Brabantczyk z Provins; ksiązę Wenecji wysłał 3 magnatów swej rady. Posłowie wsiedli na konie, ze szpadami u boku, i podjechali pod bramę pałacu Blanguerny. A trzeba wam wiedzieć, że narażeni byli na wielkie niebezpieczeństwo i zgubę, zważywszy zdradzieckość Greków.

212. Skoro zsiadli u bramy i weszli do pałacu, obaczyli cesarza Aleksego i jego ojca, cesarza Sursaka, siedzących obok siebie na dwu tronach. Obok siedziała cesarzowa, żona ojca i macocha syna a siostra króla węgierskiego, dama urodziwa i zacna. Naokół zaś wielu dostojników, dwór jak się widziało potężnego księcia.

213. Za zgodą posłów, pierwszy głos zabrał Conon z Béthune, wielce roztropny i wymowny: «Panie, przybyliśmy do ciebie od naszych baronów wojskowych i od księcia Wenecji. Wiedz, że ci wypominają wielkie usługi, jakie ci świadczyli, co wszystkim jest wiadome i widoczne. Przysiągłeś im, ty i twój ojciec, że dopełnisz zawartej z nimi umowy, a dokumenty na to istnieją. Nie dopełniłeś, jak byłeś powinien.

214. Upominali cię po wielokroć i my cię też upominamy w obliczu baronów, co nas wysłali, abys im dotrzymał, coś był przyrzekł. Jeśli to uczynisz, wielce będą radzi; jeżeli nie, wiedz, że od tejże godziny nie będą cię uważali ani za pana, ani za przyjaciela, owszem będą poszukiwać swego wszelkimi, ile będą mogli, sposobami. Oświadczają nadto, że nie wyrządzą nic złego ani tobie, ani nikomu, póki nie rzucą ci wyzwania, gdyż nie byli nigdy zdrajcami, ani to jest obyczajem ich kraju. Słyszałeś, cośmy tu powiedzieli; powźmiesz postanowienie, jakie ci się spodoba».

215. Zdziwieni byli bardzo Grecy i uważali za obrazę takie wyzwanie, i powiadali, że nikt jeszcze dotąd tak uchwały nie był, aby śmiał rzucić wyzwanie cesarzowi Konstantynopola w jego własnym pałacu. Zlą minę ukazał posłom zarówno cesarz, jak Grecy, dawniej tak pełni uprzejmości.

216. Wrzawa ogromna podniosła się poza pałacem; posłowie wracają, podchodzą do bramy, dosiadają koni. Za bramą odetchnęli z ukontentowania; i nie dziw, bo uszli wielkiego niebezpieczeństwa; boć mało brakowało, aby wszyscy nie zostali albo ubici, albo uwięzieni. Tak wrócili do armji i opowiedzieli baronom, co zdziałali. Tedy zaczęła się wojna i srożyła się na lądzie i morzu. Po wielokroć starli się Frankowie i Grecy, a nigdy, Bogu dzięki, nie zdarzyło się, aby Grecy nie ucierpieli bardziej. Trwało to aż po środek pory zimowej.

217. Tedy wymyślili Grecy wielki podstęp: wybrali 17 wielkich okrętów, napelnili drwem, wiórami, pakulą, smołą, beczułkami i doczekali pory, kiedy podniósł się gwałtowny wiatr. I w połowie pewnej nocy zapalili okręty i podnieśli żagle; ogień strzelił wysoko; zdało się, że wszystka ziemia gore. Tak poleciały ku okrętom krzyżowców; krzyk podniósł się wśród wojska; do broni rzucają się ze wszystkich stron. Wenecjanie biegną ku swym statkom, inni też ku swoim; zaczynają całą mocą ratować je od pożaru.

218. Świadkiem Godfryd, marszałek Szampanji, który tę książkę dyktował,¹ że nigdy na morzu nikt nie był obrotniejszy od Wenecjan; bo wskakiwali na galery i na łodzie okrętowe; płonące statki chwytali harpunami i wywlekali je poza port ku nieprzyjacielowi, i puszczały na prąd Złotego Rogu, i pozostawiali tam płonące. Greków skupiło się na brzegu bez liczby i miary, krzyk rozlegał się tak ogromny, jakby ziemia i morza się zapadały. Wsiadali na łodzie i barki ratunkowe i ciągnęli ku statkom ratowniczym. Byli też ranni.

¹ Zazwyczaj autor, nawet poeta, sam nie pisał; miał swojego skrybę; dlatego w wiekach średnich «twórcą» zowie się pospolicie «dyktatorem».

219. Rycerstwo, stojące obozem, skoro tylko usłyszało krzyk, uzbroiło się wszystko i w szyku bojowym wyruszyło każde przed siebie, jak obozowało, w obawie, aby Grecy nie zaskoczyli ich od strony ładu.

220. Znosili tę mitręę i tę obawę aż do świtu, ale z pomocą Bożą nie straciło się nic prócz jednego okrętu Pizanów, pełnego towaru; ten został strawiony ogniem.

(G. de Villehardouin, *Conquête de Constantinople*, p. *Natalis de Wailly*. 2 éd. XLVI—XLVII.)

ROMANS O DOËCIE

(XII w.)

Piękna Doëtta zasiadła w balkonie,
W rękę ma księgę, myślą indziej tonie;
Tęskni bez miary po swym lubym Doonie,
Co na turniejach biega w obcej stronie —

A teraz mi żal.

Pacholek zjechał pod zamkowe schody,
Odpiął od siodła podróżne toboły;
Piękna Doëtta podbiegła czem skorzej,
Czeka z ust posła nowiny wesolej —

A teraz mi żal.

Piękna Doëtta pyta go i bada:
— «Gdzie jest mój luby, com go widzieć rada?»
Z ócz lzy mu cieką, bólem swym nie włada;
Doëtta mdleje, pólmartwa upada —

A teraz mi żal.

Piękna Doëtta krzepi się i cuci,
Patrzy na posła, mowę doń obróci;
Gniew z niepokojem w jej sercu się kłóci.
— «Gdzież się podziewa mój pan, kiedy wróci?»

A teraz mi żal.

— «Gdzie pan mój» — pyta w ogromnej obawie —
«W żalości po nim dni i nocy trawię...»
— «Pani, na miły Bóg, prawdę wyjawię:
Nie żyje, zginął w rycerskiej rozprawie» —

A teraz mi żal.

Piękna Doëtta byt zaczęła wdowi:
O mój rycerzu grzeczny, dzielny, hojny!
Przez twoją pamięć strój wezmę zakonny,
Nie włożę więcej sukni ukwieconej —

A teraz mi żal

W świętopawelskiej pustelni.

Wystawię klasztor pod takim wezwaniem:
Gdy przyjdzie odpust, a ktoś chce być na nim,
Jeśli się splamił fałszywem kochaniem,
Będzie odpędzon krzykiem i łajaniem —

A teraz mi żal.

W świętopawelskiej pustelni

Piękna Doëtta sprawy nie umorzy:
Garną się wierni i coraz ich sporzej.
Chce widzieć razem, dwór sobie z nich złożyć,
Którzy zaznali mąk miłosnej grozy —

A teraz mi żal

W świętopawelskiej pustelni.

MISTERJUM O ADAMIE (JEU D'ADAM)

(XII w.)

Djabeł, nie mogąc skusić Adama, zwraca się do Ewy:

Djabeł: Ewo, przed tobą tu się jawię.

Ewa: Po co przybywasz? W jakiej sprawie?

Djabeł: Pragnę twej chwały, twej korzyści.

Ewa: Dajże mi Bóg, niechaj się ziści.

Djabeł: Nie bój się; zdawna niedaremnie
Wglądam w tajemnic rajskich ciemnie.
Część ich, jeśli chcesz, ci wyjawię.

Ewa: Mów żywo, słucham cię ciekawie.

Djabeł: Uwierzysz-li w to, co-ć ukażę?

Ewa: Mów, żadnem słowem nie obrażę.

Djabeł: Mogę-ż zaufać?

Ewa: Masz me słowo.

Djabeł: Nikt się nie dowie?

Ewa: Ręczę głową.

Djabeł: W twem słowie mam to, czego czekam:
Innego się zastawu zrzekam.

Ewa: Rada-m, że tem cię zadowolę.

Djabeł: Widzę, że byłaś w dobrej szkole¹.
Adam jest tępy, — aż niepięknie!

Ewa: Nieco przytwardy.

Djabeł: No, to zmięknie.

Doprawdy, twardy jak żelazo.

Ewa: Zacny.

Djabeł: Lecz robi to, co każą.

Jeśli o własny zysk nie stoi,

Niechby dbał o uciecze twojej.

Miluchna jesteś, wåtła, wiotka,

Jak zapach świeżej róży słodka.

A bielsza jesteś od kryształu:

Śnieg nie dorówna twemu ciału.²

Marnie dobrane wasze stadło:

On trzop, ty czuła — źle wypadło.

Zato-ś ty mędrsza: widno z twarzy,

I wielka myśl się w tobie waży.

Mówić chcę z tobą jedną w świecie,

Ty jedna pojdziesz...

Ewa: Mów-że przecie!

Djabeł: Postłuchaj więc o wielkiej zdradzie,
Co na was uknuł Bóg w tym sadzie.

Te drzewa, coście niemi władni,

Nie mają w sobie mocy żadnej,

A zato owoc zakazany

W cenne własności jest przybrany.

W nim właśnie łaska jest żywota,

W nim władztwa i potęgi cnota,

W nim wiedza złego i dobrego...

¹ Zawierają jakby akt notarialny z epoki współczesnej autorowi!

² Zapomina, że w Raju nie śnieży.

- E w a: Jakiego smaku?
 D j a b e ł: Niebiańskiego!
 Gwoli twych kształtów, twojej twarzy
 Dobra sposobność tu się darzy,
 Abyś się stała panią społem
 Nad wyżynami, nad padolem,
 Byś poznała po lat krawędzie
 Wszystko, co jest i kiedyś będzie.
- E w a: Takie-ż to jabłko.
 D j a b e ł: Tak, zaiste.
 E w a (*przyglądając się*): Już czuję: wonne i soczyste.
 D j a b e ł: A cóż dopiero, gdy skosztujesz!
 E w a: Czy ja wiem...
 D j a b e ł: Jeszcze medytujesz?
 Uszczknij-że pierwsza, skosztuj sama,
 A potem namów też Adama.

(Wąż, złożony sztucznie, wspina się wgórę po pniu drzewnym. Ewa nadstawia ucha, jakby słuchając namowy. Potem szczknij jabłko i podaje Adamowi, ten jednak zrazu go nie bierze.)

- E w a: Jedz-że Adamie, niech cię znęcę;
 Szczęście nam samo wpada w ręce.
- A d a m: Czyż takie smaczne?
 E w a: Sam poczujesz.
 Nie dowiesz się, gdy nie skosztujesz.
- A d a m: Boję się.
 E w a: Idź-żel
 A d a m: Nie uczynię.
 E w a: Taka krew tchórza w tobie płynie?
 A d a m: Podaj więc; bioreę.
 E w a: Gryź-że, gryź,
 I złe i dobre poznasz dziś.
 Ja pierwszabym skosztować rada.
- A d a m: A ja po tobie.
 E w a: Tak wypada.
(Odgryza połowę i rzecze):
- E w a: Ugryzłam! Co za słodycz, Boże!
 Nic smaczniejszego być nie może.
 Przedziwna lubość w serce cieczę!
- A d a m: Takie-ż to jabłko?
 E w a: Nadczyłowieczel!
 Tak mi się jasne wszystko staje,
 Sama się Bogiem być wydaję.
 I to, co jest i kiedyś będzie,
 Widzę po wszystkich lat krawędzie.
 Jedz-że Adamie, nie żmudź dłużej,
 Ujrzysz, jak dobrze ci posłuży.
(Adam bierze jabłko z ręki Ewy).
- A d a m: Wierzę ci, wszakżeś moja żona.
 E w a: Ugryź już, duszo zalękniona.

(Adam je, pochyla się, zamienia bogaty strój na ubogą osłonę z liści i jęczy.)

A d a m: Nieszczęsny, cóż ja uczynilem!

(Następuje kara; zjawia się na nowo Figura (Bóg), gromi grzeszników; Anioł wypędza ich z Raju.)

(Le Mystère d'Adam (XII siècle), p. p. H. Chamard, Paris 1925, v. 205—314.)

RUTEBEUF

(um. ok. 1285)

CUD O TEOFILU

Teofil powraca do Saladyna¹.

Teofil: Czy nie przybywam tu za wcześnie?
Jakże ci poszło? Sprawa gładka?

Saladin: Tak jak z płatka.
W czym ci twój pan aż dotąd szkodzi,
Wynagrodzi.
Będzie ci wszelka cześć oddana;
Więszego z ciebie zrobi pana
Niż po dziś dzień.
I nikt cię już nie zepchnie w cień;
Chcesz być ceniony — sam się ceń.
Zbieraj nogi,
Dołu w niziny bież bez trwogi.
Pacierzem nie bij w Boże progi;
Korne modły
Patrzaj, do czego cię przywiodły.
Jaki dla ciebie zysk był podły,
Jak cię nagroził losem brzydkim,
Terazbyś wyszedł całe z kwitkiem
Bez mej opieki.
Idź-że, kres nędzy niedaleki;
Żywo bieżaj,
A temu Bogu nie dowierzaj.

(Teofil idzie ku djabłu z ogromnym strachem, a djabeł powiada):

Djabeł: Otrzęsnij-że się z tej febry;
Nie wyszedłeś tu na żebry.
Czego żąda, na co czyha
Ten twój pan? Jaka w nim pycha!

Teofil: Zważ, panie: został opatem,
Więc teraz mię pędzi światem,
Przeto ku tobie przychodzę,
Pomóż skrzywdzonemu srodze.

Djabeł: Prosisz?

Teofil: Proszę.

Djabeł: W poddaństwa znak
Złóż ręce. Złożyłeś?

Teofil: Tak.

Djabeł: Otrzymasz za to hojny żold.
Teofil: Oto ci, panie, składam hołd,
Z tem, że wraz dana mi odpłata
Będzie dziś i po przyszłe lata.

Djabeł: Ja równie ten ci zakład złożę,
Że stawię cię między wielmoże,
Magnatem między magnatami,
Ale nim układ między nami
Stanie za obopólną chęcią,

¹ Saladyn — jakkolwiek w wiekach średnich szanowany, dla gminu jest równoznaczny z djabelem, podobnie jak «bóg pogański», Mahomet.

Wiedz, cyrograf ten, z pieczęcią,
Z treścią dokładną i jasną,
Wypiszesz tu ręką własną.
Bywały takie już oszusty,
Co jeno zaprzysięgli usta
I zwiedli... Pisz na pergaminie.

Teofil: Tu jest: jak każesz, tak uczynię.

(Po tym akcie lenniczego holdu opat z wewnętrznej tajemnej pobudki zmienna odrazu niełaskę na łaskę i zwraca Teofilowi prawa prebendy. Po latach Teofil wchodzi w siebie, natychmiast jawia się Matka Boska z ratunkiem.)

Matka Boska: Szatan, szatan, wyjdź-no z podziemił
Wypetzasz zwodzić ludzkie plemie,
Przez cię duch mego klerka drzemie:
Licha warta.

Szatan: Bronić nie będę.
Przeze mnie dostał swą prebendę,
Stryczka sam na się nie uprzedę.
Dzięki mnie wspiął się na swą grzędę,
W tej otusze
Byłem, że odda mi swą duszę.

(Matka Boska odnosi cyrograf Teofilowi, który śpieszy do opata, objawiając skruchę. Opat za pokutę opowiada publicznie grzech i nawrócenie grzesznika.)

(Rutebeuf, Le Miracle de Théophile (XIII s.). Les Classiques fr. du M. A. Paris 1925, v. 204—255; 573—584.)

ROMANS O LISIE

(XII w.)

Renart, oskarżony o zbałamucenie wilczycy Hersenty, małżonki Isengrina, wyłgiwa się bezkarnie, — wtem przed sądem królewskim staje kogut Chantecler w gronie swoich kwoczek; domagają się ukarania rabusia za zamordowanie kurki Łyski.

...«Pani Krasulko»; — król powiada —
«Za duszę ojca, duszę dziada
Jeszcze nie złożył dziś jałmużny;
Jestem ci basarunek dłużny,
Boś zadośćuczynienia warta.
Niezwłocznie poślę po Renarta;
Obaczysz tu na oczy jasne,
Usłyszysz tu na uszy własne,
Jaki akt zdobi króla-sędzie,
Jaka tu pomsta za grzech będzie,
Za mężobójstwa i za mordy». —
— Śmiech zachichotał z wilczej mordy;
Zaraz na obie nogi wstanie.
— «O, wielkoduszny królu panie,
Będą cię słać bory wszystkie,
Jeżeli pomścisz nam Krasulkę,
Co jej potargał lis koszulkę
I siostrę jej, zabitą Łyskę.
Nie złość; współczucie dla niebogi
Wzbudziły we mnie rankor srogi». —
— «Mój przyjacielu» — król powiada —
«Zbyt wiele się na gniew mój składa.

Nie po raz pierwszy, ani wtóry
Mord wnosi między lasy, góry,
Swoje porubstwa, swą zuchwałość,
Na mój ogromny ból i żalność;
Wbrew naszych związków i przymierzy
Dokoła jeno hańbę szerzy.
Lecz o tej sprawie więcej nie rzekę...
Burku mój luby, weź komeżkę,
Odprawisz modły za jej duszę.
A potem ty, panie Rykoniu,
Grób mi wykopiesz w tem ustroniu». —
— «Rozkaz królewski!» — Burek rzeczce
I zaraz w komżę się oblecze.
Więc król i Rada, i kto żyje
Rozpoczynają egzekwije.
Ślimaczek Późniak wtem powstanie
I wyśpiewywa trzy litanje.
Roënel czyta wiersz psalterza,
Łami-prut jeleni takt odmierza.
Egzekwije zgodnie odśpiewano;
Trup kwoczki w trumnę ołowianą
Zamknięto, zdobną w ornamenty;

Piękniejszych nigdy nie widziano.
Grób wykopano tam w podcieniu,
Z napisem wyrytym w kamieniu,
Gdzie wyrażono imię kurki
I wiek jej, z prośbą o paciórki.
A Burek biegał od wieczoru,
Aż do «Złej Dziury» naskrós boru,
Przekradając się śladem perci;
Ze gruby był, kudłatej sierci,
Nie doszedł jak do skalnej ściany,
Zatrzymał się u barbakany.
Lis chytrze cofnął się od proga,

Renart opowiada mu długo o obiadach wielkopańskich, czem pobudza oskome głodnego. Sam — powiada — na wety uraczył się plasterm świeżego miodu, zebranego w pewnym miejscu lasu. Burek prosi, by go tam zawiódł, przysięga przyjaźń. Lis wiecie go w gęstwinię...

Lanfred pracował u wyrębu:
Właśnie ściał pień słusznego dębu;
A gdy przerabiał pnia połowę,
Podłożył kliny dwa dębowe.
— «Burku» — w te słowa lis zaszczekał —
«Tam znajdziesz to, com ci przyrzekał;
Pić będziem, gdyśmy już obzarci.
Pod spodem wejście jest do barci;
Niechaj się święcą takie dęby!
Nuże, nachyl się, nadstaw gęby». —
Więc Burek siłił się ku dziurze.
Wzniósł tylne nogi; w tej posturze
Widząc go, lis się umknie zwinnie

Aż po najdalszy kąk barłoga.
Opatrzył dobrze swą komórkę:
Właśnie w niej złożył sporą kurkę,
Która nie była wcale chuda.
Zjadł na śniadanie oba uda,
Teraz mu dobrze — wypoczywa. —
Burek do niego się odzywa:
— «Renart, słuchaj-no, spójrz do góry;
Ja jestem poseł króla, Bury,
Wyjdź tu na halę, grzecznie proszę,
Rozkaz królewski ci przynoszę...»

I tak popycha go uczynnie:
— «Głupi» — powiada — «otwórz paszczę;
Plastr miodu już ci język głaszcze.
Ty taki, szerzej rozchyl szczęki!» —
Rzecz i hańbi mu spodenki.
A Burek zaklął, wściekły z głodu:
— «Wszak niema tam ni kropli miodu!» —
Ni miodu, ni też woskowiny.
Gdy tak jęzorem dziuplę ślini,
Renart wyrывa oba kluby.
Więc głowa Burka, żebra, gruby
Kark były wzięte niby w kleszcze.
I tak tam wisił długo jeszcze...

EWANGELJA NIEWIEŚCIA

(XII w.)

Kto do życia błogiego a pogodnego wdycha¹,
Niechaj ufa niewieście, z miłości niech usycha.
Żaden fałsz jej nie kała, złość ani zdrada licha
Niewieksza niżli w liszce, kiedy na zdobycz czyha.

Kto nie kocha niewiasty, duszę da w ręce czarta;
W jej wdzięku i w jej cnotach słodycz jest nieprzeparta.
Dawać jej jakieś rady, rzecz jest tak mało warta,
Co chcieć zatrzymać w biegu rozpędzonego charta.

Kto niewieście zlorzeczy, ten źle sobie poczyną;
Jeśli krzywdy gdzie doznał, pewnie jego jest wina.
A gdy kto dobrej rady u niej się dopomina,
Niewiećcej mu pomoże, niż trująca gadzina.

Kto obmowy nie słucha, niewiastę zawsze chwali,
Wszystek w niej się lubuje, przy niej się doskonali.
A kto ją pozna bliżej i z nią się spoufali,
Jakby w koszu dziurawym po morskiej płynął fali.

¹ Złośliwy dowcip tego wielce popularnego utworu leży w tem, że 3 pierwsze wiersze kwatryny zawierają pochwałę, a ostatni jest jej zaprzeczeniem.

W niewieście zawsze znajdziesz najpewniejszą warownię,
Medycynę, co leczy i naprawia cudownie;
Z nią żyć będziesz w wygodzie, bezpieczny niewymownie,
Jak pakuły rzucone na zapaloną głownię.

Nader ten mądrze czyni, co dla niej mienie trawi;
Co ją nazywa panią i pieści ją, i bawi,
Co jeszcze za żywota dziedzictwo jej zostawi:
Takiej dozna podziękę, jak ten, co pieski plawi.

Między nami, dziewczeczki, jeśli która mię słucha,
Niech na mnie się nie dąsa, i niech się udobrucha;
Na wszystkie te pochwały niech raczej będzie głucha,
Ni lasa na pochlebstwa, jak na miód słodki mucha.

(Evangile aux Femmes p. p. L. Constans Chrestomathie, Paris 1906, nr. 43.)

ROMANS O RÓŻY

(XIII w.)

GUILLAUME DE LORRIS

(um. ok. 1230)

OBLUDA (PAPELARDIE)

...Tuż malowane sztuki cudo:
Snadnie zwać można je «Obludą»,
Słowem ją «papelardy» znaczym;
To jest istota, co cichaczem,
Gdzie ino może zająć człowieka,
Z podłym zwyczajem swym nie zwleka.
Na pokaz ruchy ma obleśne
A rysy szczere i bolesne,
Z pozoru postać bogoduszna,
W sercu złośliwa i zajusna,
I okrutnica bez ratunku.
To wszystko widno w wizerunku.
Z oblicza szczerość i prostota
Tryska, a wewnątrz — to lichota.
Takie sandały, taka szata,
Jak mniszki, co się wzdryga świata.

Ręka nabożnie brewjarz trzyma,
Cała wtopiona weń oczyma.
Za każdym słowem Boga chwali,
Ze świętymi się poufali;
Ni się uśmiechnie, ni przymili,
Zdumiewać cnotą wciąż się sili.
W grubym przechadza się habicie,
Nie bierze leków na utycie;
Twarz ma bezkrwistą, jak w agonji...
Dla niej i dla podobnych do niej
Zamknięte rajskie wirydarze.
Kiedy wychudzą swoje twarze,
To, jako rzekł ewangelista,
By cnotą dobić cię doczysta.
Po mieście chodzą w takiej pysze,
Lecz Bóg im tego nie zapisze...

JEAN DE MEUNG

(ok. 1250 — przed 1305)

...Wszystkie z urodzenia wolne,
Niestety, prawom powolne,
Co odbierają im zgóry
Wolność daną od natury.
Jeżeli pomyślisz trochę,
Poznasz: natura stworzyła
Haneczkę albo Jawdochę
Nie dla jednego Hawryła.
Nie dla Robertka Marusia,
Ani Jagna dla Pietrusia.

A raczej wszystkich dla każdej,
Zasię wszystkie dla każdego.
Wszystkie i dla wszystkich wspólne.
Skrępowane, więc potulne,
Pozbawione pełnej woli,
Dla uniknięcia swawoli,
Waśni, sporów i bijatyk,
Także dla chowania dziątek,
Jakich przecie wszystkie życzą,
Żywią zawsze buntowniczą

Chęć przyrodzonej wolności;
Przy najbliższej sposobności
Mężatce, dziewczynie młodej,
Z urodą czy bez urody,
Owych swobód się zachciewa.

Stąd się tyle zła rozsiewa
I wciąż się rozsiewać będzie.
Wymieniłabym w rozpędzie
Nie dziesięć, sto albo więcej,
O tem pleść, śmiertelnie męczę...

MUZYKA GWIAZD

Król-Słońce, które świeci światu,
W chwale władczego majestatu
Pośrodku dworskich gwiazd drużyny
Zasiada; tam nie bez przyczyny
Bóg dobry, możny wiedzy wiecznej,
Umieścić tam chciał glob słoneczny;
Bo gdyby nieco niżej krążył,
Ziemię w płomieniachby pogrążył;
A gdyby wyżej, w braku ciepła
Naskroś przemarzłaby i skrzepła.
Stąd Księżycowi, gwieździe każdej
Błask rzuca w czas ich nocnej jazdy;
Takim powabem krasi lice,
Kiedy noc swe zapala świece
I do obiadu stół nakrywa,
Aby się wydać mniej straszliwa
W obliczu męża Acheronta.

— — — — —
Radby z nią zostać samolubny,
Jak z panną młodą w czas poślubny,

(*Roman de la Rose, p. p. Fr. Michel, Paris 1864, w. 407—460 i 14821—14848
oraz 17848—17894.*)

FRASZKA O KUROPATWACH

(XIII w.)

Skoro są mem rzemiosłem fraszki,
Powiem waćpanom dla igraszki
O pewnej prawdziwej przygodzie.
Oto chłop jeden w swej zagrodzie
Przyłapał kuropatew parkę.
Niesie je, żonę, cną szafarkę,
Woła i każe piec na rożnie.
Więc ona zmyślnie i nabożnie
Rożen oczyści, ogień wznieci,
Tymczasem chłop z chaty wyleci
I pędzi duchem do parocha,
A zatrzymuje się co trocha.
Tymczasem kurki się dopiekły
A strużki tłuszczu z nich pociekły.
Więc pani kosztowała skórki:
Łakoma była na cieciorki,
O wielkie dobra się nie kusi,
Lecz mieć uciechę jakąś musi.
Do kuropatwy się podkradła,

Oba skrzydelka rażno zjadła,
Potem wybiegła aż za dźwierze
Patrząc, czy męża nie dostrzeże.
Skoro sprawdziła, że go niema,
Powraca duchem do komina.
— «Szkodaby» — rzecze — «płaszka, szkoda»,
I tem odwagi sobie doda.
Więc resztę kuropatwy schrupie,
A potem chodzi po chałupie
I myśli, nie mieszkając długo,
Że trzeba będzie schrupać drugą.
Znalazła sobie wybieg łatwy:
Gdy spyta: — «Gdzież te kuropatwy?»
Odpowie: «Wpadły tu dwa koty,
Sprawcami szpetnej są roboty,
Z rąk oba ptaszki jej wydarły,
Potem wyniosły się i zżarły...»
I znowu wyszła aż za dźwierze
Patrząc, czy męża nie dostrzeże,

¹ Myśl platońska.

A jego jak niema, tak niema.
Wraca i znów jej idzie ślina
Do drugiej, co tam tuszczem cieknie:
Czuje to pewnie, że się wścieknie,
Jeżeli sobie nie użyje.
Z rożenka ściąga ją za szyję.
Zajada mięso, chrząstki, smalce
I jeszcze sobie liże palce.
— «Niech Bóg mię» — rzecze — «darzy

zdrowem,
Jeśli zjem wszystko, cóż mu powiem?
A nie zjeść trudno — rzecz wiadoma». —
Gdy taka zbiera ją oskoma,
Do reszty kuropatwę zjada,
Na tem skończyła się biesiada. —
A wtem chłop wraca srodkiem siola,
Zdaleka już na żonę woła:
«Hej, kuropatwy zdejmij z rożnal»
A ona: «Rzecz się stała zdrożna:
Pożarły mi je dwa kocury». —
Na to chłop skoczył aż do góry:
Rękoma żony się uczepi,
Omiał, że jej nie wydarł ślepi,
Więc ona wrzaśnie: «Żarty, żarty,
Odejdź, szatanie ty nic warty,
Przykryłam, żeby nie wystygły». —
— «No, zarazbym cię wziął na widły,
Świadkiem niech będzie święty Łazarz;
Czemu się ze mną przekomarzasz?
Weź obrus, kubek mój cisowy,
Wydobądź także płaszcz z alkowy,
Rozłóż pod drzewem na murawie,
Tam z kureczkami się zabawię». —
— «Ty zato przynieś nóż, nygusie,
Dawno powinien być na brusie,
Wyszlifuj go, a skoro, skoro,
Na tym kamieniu pod oborą...»
Chłop chce być rychlej przy wieczerzy,
Zrywa się, z gołym nożem bieży.

(Recueil général des Fabliaux des XIII et XIV s., p. p. A. de Montaiglon, Paris 1872, t. I, p. 188—103.)

ADAM DE LA HALLE

(XIII w.)

ROBIN I MARION

Marion (*śpiewa*).

Robin kocha, Robin lubi,
Robin prosił i zaślubi,
Napatrzcie się tej zapaski
Od Robina w krasne paski;
I wstążeczek, i stanika,
Wszystko od mego chłopczyka.
Robin kocha, Robin lubi,
Robin prosił i zaślubi.

A wtem od pola idzie klecha,
Do smacznej uczył się uśmiecha,
Ku pani sunie, czule wita,
O zdrowie jej skwapliwie pyta,
Lecz jej nie śpieszno z pogawędką:
— «Uciekaj» — woła; — «prędko, prędko!»
Strach, nie dałabym za to wiele!
Że on chce zhańbić cię na ciele,
Jeśli do ciebie się dobierze —
Od takiej krzywdy niech Bóg strzeże!»
Klecha się zdziwił: — «Na mą wiarę,
Mamy tu zjeść kuropatw parę,
Co je przyłapał dziś w zagaju». —
A ona: «Święty Mikołaju!
Nie będzie płaszków» — tak powiada —
«Ugościć byłabym ja rada,
Ale was byłaby mi szkoda.
Spojrzyjcie jeno wdół ogroda:
Nóż ostrzy na kamiennej płycie
Mój mąż. Czyli go nie widzicie?» —
— «To prawda; widzę... czas mi drogi,
Odchodzę...» — i wziął za pas nogi.
Więc ona, gdy już był przy płocie:
— «Mężu, hej, mężu, hej, Gombociel»
— «Cóż tam się stało? Hej, czy gore?»
— «Co? Prędko chodź, dowiesz się wporę.
Klecha porwał, nim się dopiekły». —
Chłop gdy usłyszał, pognął wściekły,
W garści mu błyszczy goły nóż,
Za klechą bieży w tropy tuż.
I krzyczy, jakby go rzezano:
«Już one u mnie tu zostaną». —
Potrząsa nożem swym szkaradnie,
A tamten: «Zażga, gdy dopadnie» —
Tak myśli, zmykać się nie leni.
Jednemu ptasiej żal pieczeni,
Drugiemu ginąć nie ochota;
Do domu wbiegł, zatrzasnął wrota...

Rycerz.

Wracam z turnieju tą dróżką;
Któż tam? Maryjka, Jabłuszko.

Marion.

Mój Robin z kochania ginie,
Weź mię, weź-że mię, Robinie!

Rycerz.

Pasterko, dobrego rana.

Marion.
Wam też.
Rycerz.
Powiedz-no, kochana,
Moja pasterko milutka,
Dla kogo ta słodka nutka:
— Mój Robin z kochania ginie,
Weź mię, weź-że mię, Robinie!

Marion.
Miły panie, pomyśl trocha:
Robinet mój, bo mię kocha;
Kocha mię mój jasnoliczek:
Przyniósł laskę i koszyczek,
Ten nożyk mam od chłopaka.

Rycerz.
Nie widziałś tu gdzie ptaka?
Może gości lub łabędzie?

Marion.
Widziałam; już dawno będzie.
Ot tam pośród zagajników
Pełno szczygłów, zięb, czyżyków.

Rycerz.
Moje ty dziewczątko ładne,
Co innego wiedzieć pragnę:
Żórawia, albo kaczora?

Marion.
Bestję, co tak ryczy?¹ Wczora
Właśnie cztery szły w tę stronę
Ku młynowi, objuczone;
Czy o osły pan się pyta?

Rycerz.
Użyła sobie dosyta,
Głowę mi rozkolatała. —
A możeś czapłę widziała?

Marion.
Czapłę?² nie; przysięgam święcie.
Widziałam, ale w Adwencie
U mojej babki Mariany,
U tej, co chowa barany.

Rycerz.
Jestem tu za dudka pono,
Nigdy mię tak nie wydrwiono.

Marion.
Niech się wam, mój panie, szczęści:
Co za ptak u was na pięści?

Rycerz.
Sokół.
Marion.
Chleb do dzioba bierze?
Rycerz.
O nie, woli mięso świeże.
Patrzaj, głowę ma w kapturze.

Marion.
Dokąd droga?
Rycerz.
Na podgórze.

Marion.
Doprawdy, mniej jest niemrawy
Robert, lepszy do zabawy.
Po grajkach aż idą ciarki,
Gdy się chwyci swej fujarki.

Rycerz.
Pastereczko moja świeża,
Czy kochałabyś rycerza?

Marion.
Niech-no pan na szkapę baczy...
Rycerz? Nie wiem, co to znaczy.
Taka ze mnie już dziewczyna,
Nie znam chłopca nad Robina:
Co dnia serek lub jabłuszko,
— Jeszcze mam je za pazuszką. —
Bulkę chleba na śniadanie...
Mój Robin, moje kochanie!

Rycerz.
Niech nie stoję tu daremno;
Czy chcesz się przejechać ze mną
Na koniku — lekko niesie —
Po tym umajonym lesie?

Marion.
Panie, hej, pilnujcie szkapy!
Jeszcze pyskiem mię ulapi.
Lub kopnie; klacz Robinowa
W plugu pod się nogi chowa.

Rycerz.
Pokochaj mię, lube dziecię,
Będiesz miała rajskie życie.

Marion.
Ustąpcie-no, gdzie jest szerzej;
Głupia taka, co wam wierzy.
Omali zranił mię podkową
Ten wasz koń. Jakże was zowąż?

¹ W oryg. gra słów: ane = kaczka — âne = osioł.

² Wydawcy domyślają się gry słów: héron = czapla i lud. here = ślimaczek, potrawa we Francji pospolita.

Rycerz.

Aubert.

Marion.

Już czas wam w drogę,
Panie Auberciel!
Kochać nikogo nie mogę
Po Robercie.

Rycerz.

Myślisz, że cię to poniży,
Gdy podejść nieco bliżej?
Jam jest szlachcic, ty pastucha.

(*Théâtre fr. au M. A., p. p. L. I. N. Monmerqué et fr. Michel, Paris 1870, p. 172 sqq.*)

Marion.

Na te słowa jestem głucha,
Pastereczka jestem,
Lecz mam przyjaciela
Jednego wśród wielu.

Rycerz.

Pastereczko, bądź mi zdrowa.
Odjadę stąd i na długo,
Nie powiem już ani słowa.

Marion.

Traïri, deluriau, deluriele,
Traïri, deluriau, deluriau, delurot... — —

CHRISTINE DE PISAN

(1363—1431)

WYCIECZKA DO POISSY

— — — — —
Tak się więc onej wiosny wydarzyło:
Chciałam odwiedzić mą córeczkę miłą,
Jak obaczycie.

Mniszka jest, chodzi w zakonnym habicie
W klasztorze, łaską króla znakomicie
Uposażonym, wiedzie szczęsne życie,
Los sobie chwali.

Sześć za Paryżem mil, pewno nie dalej,
W Poissy,¹ dziedzinie królewskich wasali,
Którzy je niegdyś lennem otrzymali:
Zaszczytne miano!

Tam się wybrałam w poniedziałek rano
Z kompanją hożą, starannie dobraną;
Zbiegła się wszystka, kiedy ją wezwano,
Chętna i grzeczna.

W ich towarzystwie jechałam bezpieczna,
Bo to młódź dworna, rozsądna, stateczna.
Mysł jej nie nęci z godziwością sprzeczną.
W takim wesołem

Gronie z Paryża wyjeżdżamy spolem.
W nowy świat wchodzimy tuż za pierwszym
siołem.

Wraz otaczają mię nadobnem kołem
Dworzanki strojne,
Słodkie, roztropne i dowcipem zbrojne;
Z niemi panowie, jakby szli na wojnę.
Tedy się wszczęły rozmowy przystojne:
Niezwyczajnej treści,

Przygód miłosnych ciekawe powieści;
Nikt z nas ze słowem zbyt nie pieści,
Powiada, co mu w pamięci się mieści,
Nie uszczypliwie;

A nuci pieśni, kto celuje w śpiewie,

Wywodzi nuty głośno i żarliwie;
Echa je niosą po lesie i niwie. —

W tem zbożnem dziele
Przyroda sercom gotuje wesele;
Rok nowy kroczy z wiosną swą na czele;
Każdego grzeje słońce, co się ściele
Na świeżej trawie,

A drzew konary zasłaniają prawie
Świat; każdy kwiatek rozchyła ciekawie
Oczy ku słońcu, gdzie błysnie jaskrawie.
Takiego rana

Piękność nie była nigdy oglądana:
Niwa od rosy iluminowana,
Gdzie się jarzyła ciągła barw odmiana.
Radość osmiela

Każdą dzieweczkę szukać przyjaciela,
A chłopca damę wybrać pośród wielu:
Radość Natury sercom się udziela
I ku pieszczocie

Wabi; po łąkach rozsypane krocie
Kwiatków; jedne z nich zowią się: stokrocie,
Inne: prymulki z kielichem w pozłocie,
Świeżości nowiej.

Ledwie od ziemi odchyliły głowy:
Kwiat modry, żółty albo fioletowy;
Żaden się sok w nich nie kryje niezdrowy.
Najmilszy w świecie

Kwiatuszek, zwany: niezabudki kwiecie,
Różowo-modry w moczarach znajdziecie,
Kto zakochany, równianki zeń plecie.
A jakże mile

Chór ptasi wodził wdzięczne krotofile,
Nieprzystający gwarzyć ni na chwilę...
Mogły nauczyć dużo owe tryle

¹ Dep. Seine et Oise.

I zalecanki
Ptasie, i śpiewy pasących baranki
Pasterek, co tam splatały równianki,
Nizając razem stokroć i sasanki.

(Christine de Pisan, *Oeuvres poétiques*, t. II, v. 38—131. Soc. des anc. Textes fr.)

Tak z malowanej —
Niwy, z kapeli ptasząt rozśpiewanej,
Która swe nuty wodziła na zmiany,
Pojeżdżaliśmy brzegami Sekwany.

ŻYWOT NIECNEGO BOGACZA

(MORALITÉ)

(XV w.)

Bogacz.

Idźmyż zasieść do wieczerze.
Drobisz, zamknij-no tam dzwierzę
I przynieś na stół mięsiwo,
A nie marudź, wracaj żywo!

Drobisz.

Nie mogę być bardziej żwawy.
Flaczek, przynieś te potrawy,
Gdy jaśnie pan na nie czeka,
A prędko; niech waść nie zwleka.

Flaczek.

Drobisz, luby mój chłopyszku,
Połóż pieczeń na półmisku;
Zanieś, bieżaj na wyścigi,
Oszczędzisz mi tej fatygi.

Drobisz.

Niech cię niebo ma w opiece!
Jasny panie, już, już lecę,
Lecę, lecę, jasny panie.
— Ale słyszę kołatanie.
Pewnie ten cuchnący żebrak,
Którego tu nigdy nie brak,
Kiedy pan do stołu siada;
Mam-li to wypędzić dziada?

Bogacz.

Wypędź raz, niech się odczy:
Za często się tędy włóczy,
Gdy zakwili, poszczuj psami,
Niech mi nie sterczy za drzwiami.

Żebrak.

Daj wam Bóg dobrą godzinę,
Wyrzucicie mi choć kruszynę!
Ze czczości omdlewający,
Widzę, życie mi się kończy.
Ach, jakżeby dusza rada
Dojeść, co z półmisków spada!
Okruszki wartości mają,
A mnieby się tak przydały!
Dajcie trochę, niech się najem,
A Bóg wam nagrodzi rajem,
Kiedy znajdziesz się u celu.

Bogacz.

Hej ty, Drobisz, przyjacielu,
Kazałem plemię żebracze,
Co mi tam pod drzwiami płacze,
Niech stąd lachy swe wygarnie;
Wypuść-no na niego psiarnię!

Drobisz.

Włóczęgo, zabieraj mieszki,
Albo cię pogryzą pieski.
Tak do kostek się dobiorą,
Huź, Różyczka, skocz-no rączy
Na ten lachman źle pachnący;
Skoro taki jest zawzięty,
Połaskotaj-że go w pięty.

Bogacz.

Drobisz, mówię — istna męka
Z tym żebrakiem, co tam stęka;
Tą swoją gębą ohydną
Modlić się, czy mu nie wstydno?
Śpieszno mu do mojej misy;
Mówilem: wypuść kundysy,
By tutaj więcej nie wrócił.
Nie chcej, bym się z tobą skłócił.
Teraz nam cię nie potrzeba.

Drobisz.

Niech mi pomaga Pan nieba.
Wypuściłem wszystką psiarnię,
Ale nie wiem — coś zwietrzyły:
Nie mu złęgo nie zrobiły,
Mizdrzyły się w psim sposobie,
Lizaly mu nogi obie,
I w radości, i w pokorze.
Myszę, co to znaczyć może?
Snać jakieś wskazanie Boże.

(Akcja w niebie) Bóg Ojciec.

Abrahamie, tam na ziemi
Z oczyma konającymi
Łazarz, najnędzniejszy z ludzi,
Wielką litość we mnie budzi.

Zasłużył na nowe życie:
Za cierpienia należycie
Będzie mu wynagrodzono.
Masz go przyjąć na swe łono.
Aniołom swoim rozkażę
Wnieść go w rajskie wirydarze.

Abraham.

I radośnie i poddanie
Spełnię twoją wolę, Panie,
Cześć i pokłon Trójcy Świętej,
Chwale twej nad firmamenty,
Co tak jasna jest i wielka,
Że w niej ginie miara wszelka.

Bóg Ojciec.

Rafaelu, chcę i każę,
By ów Łazarz nad Łazarze
Od ciebie był nawiedziony.
Rzuć nadziejskie regjony
I ku niemu śpiesz co prędzej,
By w nagrodę ciągłej nędzy,
O którą te biedne wargi
Nie podniosły nigdy skargi,
Tu w radości i dosycie
Nieśmiertelne pędził życie.

Żebrok.

Boże, jak mię bardzo nęka
Mych dolegliwości męka!
Cierpiałem długo, wytrwale,
Za ból Boga sobie chwałę.

Niedługo potem równie Bogacz umiera; mimo przedśmiertną skrucę zostaje porwany do piekła.

(Ancien Théâtre fr., p. p. Violet le Duc, Paris 1852, t. III, p. 273—281.)

PIERRE GRINGOIRE

(1475 — ok. 1538)

KOMEDJA «KSIĘCIA BŁAZNÓW»

«Sotie» przeciw papieżowi Juljuszowi II

Satyrą ułożoną i wystawioną w interesie króla Ludwika XII we wtorek zapustny, 12 lutego 1512 r. Po zerwaniu ligi kambrezyjskiej koalicją przeciw Francji kierują Kurja Rzymska i Wenecja. W intrygach politycznych biorą udział Hiszpanja i Anglja. Treść niniejszej «sotie», możliwej tylko w karnawale pod maskami błazeńskimi, jest następująca: Książę Błaznów (król Ludwik XII) odbywa przegląd stronników. Przybývają księżęta świeccy, potem duchowni pod przejrzystymi nazwiskami: Ciemnota, Rozrzutność, Obluda, wreszcie «Matka-Błaznica» (Mère Sotte) z towarzyszkami «Błaznica Ufność», «Błaznica Okazja», «Oportunizm»; wśród prałatów jedni trzymają z królem, drudzy z papieżem. Wszczytna się bitwa; z Matki-Błaznicy zdzierają wierzchnie szaty, — wykrywa się jako Kurja Rzymska; traci sprzymierzeńców i odchodzi zagrożona w swoich przywilejach. Król, jako «syn pierworodny Kościoła», nie chce się mścić, autor zaś łagodni ostrość napaści słowami, że «sotie» była zwrócona nie przeciw głowie wiernych, ale przeciw «Matce-Błaznicy».

I Błazen:

Trzeba zabrać się do łgarzy:
Gdzie jest ten, co ich wypraży?
Wzmacniają się bezustanku,
Baczcie, by nie ponieść szwanku!
Kto zbyt ufa, ten się sparzy:
Nie oszczędzaj tych kuglarzy!

Boże, już nie mogę więcej,
Oto oddaję w Twe ręce
Duszę; oto już umieram...

Szatan.

Darmo — widzę — nogi steram;
Ten nędzarz wymknie się z sieci.
Rafael, widzę, już leci,
Duszę złowił w starym gracie.
Rahonart, Rahonart, bracie,
Jeśli pola nie zależym,
Może ją jeszcze odbierzem.

Rahonart.

Szatan, wymagasz za wiele;
Niech przepadną Rafaele!
Ten tutaj jest nadto chybki.
Gonić? Możem dostać chrypki.
Lecz lećmy za nim w te pędy:
Ty tędy a ja owędy.

Szatan.

Rafael — jakto się puszy!
Nie zabierzesz mi tej duszy.
Na nocleg Lucyfer wpuści
Gościa w piekielne czeluści.

Rafael.

Żaden z was go nie pomaca,
Próżne wasze trud i praca.
Odejdźcie precz, duchy wraże,
W imię Boga ja wam każę.

Ten gotuje, tamten smaży,
Złotko wabi luminarzy.
Przymilają się bez sromu,
Knując spiski pokryjomu,
Ktoś zatruty napój warzy:
Nie oszczędzaj tych kuglarzy.

I Błażen:
Nasz ksiązę dobry,

II Błażen:
Wytrwały,
Długi swoje płaci godnie.

I Błażen:
W Bolonji¹ tłustej dojrzały
Knowania, ale zmarniały,
Zmieniły się w nową zbrodnię.
Za zbrodnią chodzi odpłata —
Te prawdy są zawsze świeże.

III Błażen:
Za to idziesz pod pręgierze
I dostajesz z ręki kła
Na szyję krwawe kołnierze.²

II Błażen:
Každy swoją korzyść lubi.

III Błażen:
Hiszpan zaciąga węcierze,
Anglik w Calais zajął leże.

II Błażen:
Najmędrszy w tem się pogubi.

— — — — —
Wchodzi Matka-Błażnica:
Choćby czart mię musiał bronić,
Choćbym miała dech uronić,
Jak ów Abiron lub Natan,
I wyklętą być jak szatan,
Skądby przyszli, jaką drogą,
Tu mi przecie dopomogą.
Každy mi się łasić będzie,
Póki czegoś nie posiędzie.
Pragnę świecką posieść władzę,
Przez to zyskać na powadze.

Oto ścieżkę mam wykniętą;
Nazywam się Kurją świętą.
Niechaj każdy zanotuje:
Ja anatematyzuję!
Pod spodem kościelnej szatki
Noszę ubiór Błażnów Matki.
Jaki taki powie w złości,
Że bajdurzę ze starości,
Lecz mimo to będę mruzczyć:
Księcia-syna chcę pouczyć,
Że zbytek praw mu ubliża³
Ufność, hej!

Ufność-Błażnica:
Niechże się wzwryza
Dostojność wasza i kwitnie.

Matka-Błażnica:
Po kres dni pragnę zaszczytnie
Godzić w cel lub być przekłętą.

Okazja:
Któż twoją oględność świętą
Żle przyjmie, albo zohydź?
Každy, kto cię ze mną widzi,
Ugnie się pod twą perswazją.

Matka-Błażnica:
Widzę, Błażnico-Okazjo,
Że bez ciebie nie poradzę.

Okazja:
Naprzód zatem się wysadzę
Zbuntować ksiąząt prałatów.

Matka-Błażnica:
Ofiaruję sto dukatów,
Niech staną po mojej stronie...
(nb. wojska najemne)

(Recueil général des *Soties*, p. p. E. Picot, t. II. Paris 1904. Soc. des anc. Textes fr.)

FARSA O MISTRZU PIOTRZE PATHELINIE

(XV w.)

Sukiennik: Napiję się odrobinę,
Zanim wyjdę; nie, i poco?
Będę popijał gęsinę
— Na świętego Mathurina —
Tu u mistrza Pathelina;

¹ Bolonja nosi przydomek «la grassa».

² Papież wydał Bolonję w ręce sprzymierzonych, ale następnie Francuzi zostali wpuszczeni przez sam lud, który też wtedy stopił posąg Juljusza II, dłota Michała Anioła. Kardynał Alidosi, który opierał się wzmocnieniu garnizonu, został nie ścięty, jak wówczas sądzono, ale zabity przez M. della Rovere.

³ Papież (słusznie ze swego stanowiska) odmawia królowi francuskiemu praw do Italji.

Łapnę też trochę monety
I choćby śliwkę na wety,
Jeśli nie gęś; tak mi z mieszka
Nie ubędzie. — Już się zmierzcha,
Zamknę sklep...
(*Puka do drzwi Pathelina*)

- Guillemetta: Hej, panie Piotrzel
Któż tam? Co? Na Boga, kmotrze,
Mów ciszej.
- Sukiennik: Pani, szczęść Boże!
- Guillemetta: Ciszej!
- Sukiennik: Czemu?
- Guillemetta: W takiej porze?
- Sukiennik: Gdzie jest?
- Guillemetta: Gdzież ma być? W komorze.
- Sukiennik: Kto taki?
- Guillemetta: Któż? O mój kumie,
Gdzie jest? Chyba Bóg rzec umie,
Gdzie ma głowę... Niechby pożył.
Leży tam, gdzie się położył.
Mój cierpiętnik, moja duszka!
Od kwartału nie wstał z łóżka.
- Sukiennik: Ale kto?
- Guillemetta: Sza, bo się boję
Mówić w głos. Zaniepokoję.
Jest nieco otumaniony,
Połamany, przygnębiony,
Biedaczek.
- Sukiennik: No któż?
- Guillemetta: Mistrz Piotr.
- Sukiennik: Skądże? Czy to nie mój kmotr
Kupił sukna łokci sześć?
- Guillemetta: Kto taki?
- Sukiennik: On. Co tu pleść!
Przed piętnastu minutami...
Odpuście, stoję tu z wami
Długo. Nie grać mi na flecie.
Pieniądzel!
- Guillemetta: Żartować chcecie?
Na żarty teraz nie pora.
- Sukiennik: Pieniądzel Na głowęś chora?
Dziewięć franków.
- Guillemetta: Mój Gwilelmie,
Nie wmawiaj, jak jakiej szelmie.
Opowiadaj swoje bajki
Tym, co noszą kacabajki,
I tym smykom, co się wiercą.
- Sukiennik: Niech tak będę przeniewiercą,
Jeśli nie dziewięć.
- Guillemetta: Mosanie,
Komu miłe żartowanie,
A nie mnie.
- Sukiennik: Żartować nie chcę,
Ani mię pokusa lechce.
Niech tu wyjdzie i zapłaci
Mistrz Piotr.

- Guillemetta: A niechże cię ochwacił
Chciałbyś dobrać się do mieszka...
- Sukiennik: Proszę; wszakże tu mieszka
Mistrz Pathelin.
- Guillemetta: Nie nowina —
Dur świętego Mathelina
Niech cię za ten obłąd skarci.
Mów cicho!
- Sukiennik: Bodaj was czarcił
No, kiedyż się go doproszę?
- Guillemetta: Dopomóż Bóg, bo go spłoszę.
Boję się zbudzić staruszka.
Proszę ciszej!
- Sukiennik: Co? do uszka,
Do piwnicy czy do studni?
- Guillemetta: Z tem gadulstwem toście nudni;
Zawsze jedno bez odmiany.
- Sukiennik: Tak już jestem ugadany,
Jeśli chce, abym był różny,
Niech zapłaci, co mi dłużny,
Ten kłopot już mię zatrupił,
Mówię: Mistrz Piotr u mnie kupił
Przed chwilą sukna łokci sześć...

- Pathelin (*w głębi*): Guillemetto, różanej wody!
Podnieś, zaciśnij mi kłęby.
Co? Z kim mówisz? Lej do gęby.
Pić, pić! Podeszwy mi natrzej!
- Sukiennik: Słyszę go.
- Guillemetta: Tak.
- Pathelin: Jak to patrzył
Nic warta. Powtarzam ciągiem:
Zamknij okno przed przeciągiem.
Chodź tu, przykryj. Gdzie jest derka?
Czarna zgraja ku mnie zerka.
Ha! ha! Br, br, marmara,
Carimari, caramara!
Prowadź ich tu do mnie, prowadź!
- Guillemetta: Hę? zaczynasz znów szalować?
Zmysły twoje coś nie w lidze.
- Pathelin: Ha, nie widzisz, co ja widzę.
Czarny mnich tam lata w górze.
Daj mu stulę. Łapaj, nuże!
Kot, kot. Na dach wszedł; nie widzisz?
- Guillemetta: Co tobie? czy się nie wstydzisz?
Nie ruszaj się, kiedyś chory.
- Pathelin: Zabily mię te doktory,
Od ziółek, mikstur się dusim
A ciągle im wierzyć musim.

- Guillemetta: Niechby zawiśli na pętli
Ludzie, co są tak natrętni.
Odejdźcie z wszystkimi biesy,
Gdy wam się z Bogiem nie śpieszy.

Sukiennik: Niech Pan Bóg zbawi mą duszę!
To sukno zaraz mieć muszę
Lub dzięgi.

Pathelin: Widział urynę?
Pokazuje, że już ginę.
Kaź-że mu, niech tu nie sterczy,
Inaczej nie ujdę śmierci...

— — — — —
(*Recueil de Farces, Soties et Moralités du XV-e s., p. p. Jacob, Paris 1876, p. 49—54 et 57—60.*)

LOUIS DES MASURES

(XVI w.)

DAWID TRIUMFUJĄCY

Chór (Troupe):

Śpiewajcie, chwalcie Boga:
Saul zabił tysiąc wroga,
Lecz mocny Dawid więcej:
Pobił dziesięć tysięcy.

Pół-chór:

Śpiewajcie, chwalcie Boga etc.

Chór:

Nućcie pieśni godowe,
Zabawa się poczyna.

Pół-chór:

Dawid przynosi głowę
Pysznego Filistyna.

Chór:

Przynosi łeb tyrana
Na swojej szabli krzywej.

Pół-chór:

Zaprawdę, ręka Pana
Sprawiła dziw nad dziwy.

Chór:

Śpiewajcie, chwalcie Boga:
Saul zabił tysiąc wroga.
Lecz mocny Dawid więcej:
Pobił dziesięć tysięcy.

Saul:

Ha, co to wszystko znaczy? Co się tutaj śpiewa?
Czegoż się jeszcze podłej czeredzie zachciewa?
Czy ogłosić go królem? Dać mu przywileje,
By zgarnął Izraela i wszystką Judeję?
Według nich mały Dawid wart ode mnie więcej,
Bo pobił, powiadają, aż dziesięć tysięcy,
Podczas kiedym ja, stary, zabił jeno tysiąc!
Ja im to wnet dam poczuć, a mogę poprzysiąc,
Że on równie poczuje i cała rodzina.
Skoro się na to waży, niech nie zapomina,
Jaka wielka różnica jest pomiędzy nami,
Bo ja tu jestem panem, a oni sługami.

Szatan:

Pod pozorem dobroci...

Saul:

Z tą miną przychylną

Szatan:

Chce cię podejść.

Saul:

Do władzy dobrać mu się pilno.

Pozyskuje stronników...

Szatan:

Bojaźń kłamie Bożą.

Saul:

Przeciw prawdziwej wierze myśli w nim się srożą.

Szatan:

By prędzej zostać królem poniża się codzień.

Saul:

Ha, nie jest jeszcze królem, nie jest nim ten zbrodzień.

Inną zyska nagrodę za chuć, jaka żyje

W jego przewrotnem sercu, bo ja go ubiję.

Zginie z tej mojej dłoni szermierz silnej pięści,

Będą o nim śpiewali: Niechże mu się szczęści...

Pauza.

Wchodzą Jonatan i Dawid z oznakami przerażenia, potem Michola.

Jonatan:

Uciekaj, niech nie dojrzą cię, bracie kochany!

Dawid:

Strzeż was Bóg, a mnie także w drodze mej nieznaney.

Jonatan:

O jakaż srogość króla, a twój los mizerny

Za to, żeś był tak dzielny, uległy i wierny.

O Boże sprawiedliwy!

Michol:

Bracie, co się dzieje?

Jonatan:

Niemasz dziś upewnienia, nie masz dziś nadzieje

W lasce królewskiej!

Michol:

Bracie, co znaczą te żale?

Jonatan:

Umysł króla się mroczy w niepojętym szale;

Pragnie zabić Dawida.

Michol:

Za jakie bezprawie?

Jonatan:

Mniema, że uknuł spisek przeciw jego sławie
I władzy, każąc śpiewać: Dawid znaczy więcej,
Bo tamten pobił tysiąc, on dziesięć tysięcy.

Michol:

Powiedz: Czyżby naprawdę przed ludu obliczem
Chciał zostać wodzem, przeciw władcy buntowniczym?

Jonatan:

Nigdy o tem nie myślał; lecz król szalem smagan
(A trzymał właśnie w ręce morderczy jatagan,
Zaś Dawid u stóp jego przygrywał na harpie,
Snać z jakąś wizją straszną wewnętrzną się szarpie,
Bo nagle ostrym nożem w młodzieńczyka rzucił.
Byłby go przebił naskroś, lecz Bóg cios odwrócił,
A Dawid, co mu już pobłogosławił
Lud Izraela, że go od niewoli zbawił,
Dziś ucieka w pustynie i górskie komysze,
Aby ująć ręki króla, który zemstą dysze.

(*Louis des Masures, Tragédies saintes, ed. Ch. Comte. Soc. des Textes français modernes, Paris 1907, w. 1585—1671.*)

PHILIPPE DE COMMYNES

(1445—1511)

PAMIĘTNIKI

O niektórych wadach i zaletach króla Ludwika XI

Śród tych, których znałem, najroztropniejszy, kiedy przyszło wydobyć się z ja-kiego zatrzasku w czasach przeciwności, był król Ludwik XI, nasz pan; najbardziej skąpy w słowach i czynach, pilnie dbający o to, aby sobie pozyskać człowieka, mogącego mu pomagać lub szkodzić, a nie zniechęcał się nigdy odmową tego, którego brał w obroty, ale trwał, obiecując i świadcząc hojnie bogactwa i darowizny, jakie wiedział, że mu się podobały. A tych, których był przepędził lub odstręczył w czasie pokoju lub powodzenia, pozyskiwał znów za wysoką cenę, kiedy byli mu potrzebni, i posługiwał się nimi, nie urażając się o sprawy minione. Z natury był przychylny ludziom stanu średniego a wrogi możnym, którzy mogli się bez niego obywać. Nikt bardziej od niego nie nadstawiał ucha ludziom, ani tak ich brał na spytki, ani pragnął znać tylu; to też, zaprawdę, znał wszystkich posiadających wziętość i sposobność w Anglii, Hiszpanji, Portugalji, Italji, w dziedzinach księcia Burgundji i panów bretańskich, tak, jak swoich własnych poddanych. A te sposoby, jakich używał i jakie wymieniłem powyżej, ocaliły mu koronę przed nieprzyjaciółmi, jakich na siebie sprowadził w samym początku panowania. Ale nadewszystko pomogła mu ogromna hojność, bo o ile roztropnie obracał się w przeciwnościach, o tyle, skoro jeno poczuł się pewnym, lub tylko chwilowo bezpiecznym, zaczynał odstręczać od siebie ludzi mniejszej użyteczności, a niełatwo mu było wytrwać w pokoju. Odzywał się o nich lekceważąco, zarówno w ich obecności, jak poza oczyma, z wyjątkiem tych, których się bał, a było ich wielu, gdyż był z przyrodzenia trochę lękliwy. A kiedy owa uszczypliwość zaszkodziła mu lub mogła, w jego mniemaniu, zaszkodzić, to, jeżeli pragnął rzecz naprawić, odzywał się takimi słowami: «Wiem, że mój język narobił mi dużo szkody, ale też czasem dużo uciechy; swoją drogą chcę zapłacić karę». A odzywając się tak poufale, nie omieszkiał skrzywdzonemu wyświadczyć dobrodziejstwa, a nie było ono nigdy małe.

... Patrzcież: jeżeli utrzymywał tyłu w ciągłym lęku, to sam znalazł odpłatę; bo kogóż mógł być pewny, gdy miał w podejrzeniu syna, córkę i zięcia. A co powiadam tyczy nietylko jego, ale wszystkich możnowładców, pragnących, aby się ich bano. Sami nie znają strachu aż do późnej starości, bo wtedy lękają się pomsty od wszystkich.

Co za ból dla takiego króla, doznawać takich strachów i takich wstrząśnień ducha! Miał lekarza nazwiskiem Maitre Jakób Cotier; w pięciu miesiącach dał mu 55 tysięcy talarów gotówką, to znaczy po 10 tysięcy miesięcznie, oraz biskupstwo Amiens dla jego siostrzeńca, nadto liczne urzędy i ziemie jemu i jego przyjaciółom. Ów lekarz obchodził się z nim rubasznie; nawet pacholkowi nie powiedziałoby się tyle słów obraźliwych, szorstkich, a król bał się go tak, że nie śmiał go oddalić i zamienić na innego, a to z powodu, że ów lekarz powiedział do niego śmiało: «Wiem, że pewnego dnia mnie wypędzisz, tak jak innych, ale potem (i tu rzucił wielkie przekleństwo) nie pożyjesz 8-miu dni». Czem tak się przeraził, że odtąd pochlebiał mu wciąż i płacił. Był to dlań istny czyściec na ziemi, zważywszy posłuch innych, nawet możnych panów.

Prawdą jest, że król, nasz pan, kazał pobudować surowe kaźnie: klatki żelazne i drewniane, pokryte i wyłożone blachami wewnątrz i zewnątrz; przy nich ogromne sztaby żelazne na 8 stóp szerokie, a wysokie na miarę człowieka i jeszcze o stopę wyższe. Pierwszym, który ich doświadczył, był biskup z Verdun; został wsadzony zaraz do pierwszej i przeżył w niej 14 lat.

Później zlorzeczyli mu i inni, spróbowałem i ja za obecnego króla (1488) i przebyłem tam 8 miesięcy.

To znowu kazał swoim Niemcom sporządzić straszliwie ciężkie okowy na obie lub jedną nogę, otwierające się jak kłamry; łańcuchy grube i ciężkie z ogromną kulą, o wiele cięższą niż było potrzeba: nazywano te okowy «cócerczkami królewskimi...»

(*Ph. de Comynnes, Mémoires, ed. par J. Calmette. Soc. de Histoire de France, Paris 1925. 3 vol. — Vol. II, p. 319—321.*)

ANTOINE DE LA SALE

(XV w.)

RAJ KRÓLOWEJ SYBILLI¹

Jak ów rycerz i jego pacholek weszli przez bramę spiżową i stanęli u wrót szklanych, rozmawiając z dworzanami królowej Sybilli.

...A potem z całą kompanją został dopuszczony przed królowę, siedzącą na tronie i otoczoną dworem, jakgdyby była panią świata, tyle tam było ludu okazałego i tyle bogactwa, ile tylko można było pożądać. Okazał wszelką cześć, jak wypadło na rycerza umiejącego składać honory damom i godnym panom, którzy go równie pozdrowili i uczcili, jako ci, co znają się na grzeczności, a nadewszystko królowa wielce jego przybyciem ucieszona, ile że rada była zatrzymać go na trwałe w służbie. Zaczem po owem grzecznem powitaniu spytała go o nazwisko, o jego sprawy oraz o to, z jakiej marchji niemieckiej przybywa. Gdyż owa królowa, a z nią wszyscy dworzanie nauczyli się wszystkich języków świata, zaledwie tam przebyli 330 dni; a kto bawił bodaj 9 dni, rozumie je jak swój własny, ale jeszcze nie mówi niemi, póki wyżej rzeczony termin nie upłynie. Rycerz podał swoje nazwisko i ojczyznę. Ona znów spytała, jak podoba mu się jej kraj i to, co ogląda, i czy po tamtej stronie istnieli gdzie tacy ludzie i takie przepychy jak tutaj. Odpowiedział, że nie i że niepodobna, aby coś podobnego znajdowało się razem w dziesięciu światach. «I jeszcze więcej» — rzekła królowa — «bo w tym stanie, jak nas oglądasz, pozostaniemy aż po koniec świata...» — «Zaprawdę, pani» — rzekł rycerz — «jesteście zatem ty i twój dworzanie najszczęśliwi na świecie. A kiedy ten świat się skończy, co się z tobą stanie, pani?» — Tedy ona odpowiedziała: — «Stanie się z nami to, co jest postanowione; nie chciej wiedzieć więcej. Teraz z pomiędzy dam, które tutaj stoją, a nie mają towarzysza, wybierz jedną wedle upodobania, a ja ci ją daruję».

¹ Mitologicznej Cybeli.

Zatem rycerz począł jej dziękować bardzo uniżenie, powiadając, że nie przybył tam po nic innego, jak poto, o czym już powiadał. Tedy królowa wyłożyła mu tamtejsze obyczaje i nazaczyła kres pobytu do ośmiu dni, zaś dziewiątego miał odejść. A jeżeli odejść nie zechce, nie będzie mógł wyjść aż po 30 dniach. A gdyby jeszcze po 30 nie odszedł, to musi czekać aż do 330 dni. A gdyby tak wypadło, że nie chciałby odejść po owych 330 dniach, to reguła brzmiała, że już nigdy nie wyjdzie. Te trzy terminy rycerz przyjął z zadowoleniem i dotrwał do pierwszego, potem do drugiego i tak aż do trzeciego. Bo takich tam zażywał rozkoszy bez miary, że dzień wydawał mu się godziną. Lecz wprzód, nim coś postanowił, musiał wybrać sobie damę wedle największego upodobania, równie jak pacholek wielce temu rad. Tak bawił tam rycerz przez dni 300, które starannie liczył. Ale pewnego dnia zaczął dumać nad jedną sprawą, a serce jęło się w nim niepokoić. I z tego zadumania popadł w taką miłość ku Bogu, że wszedł w siebie i zrozumiał, jak bardzo obraził Stwórcę uczynkami popelnionymi przeciw jego woli i przykazaniu, nadewszystko zaś okropnym grzechem, w jakim żył, zapomniawszy o Nim zupełnie i stowarzyszywszy się z nieprzyjacielem; gdyż spostrzegł, że niechybnie to był nieprzyjaciół.¹

Jak królowa Sybilla i jej dworzanki odłączają się od towarzyszy
i nocą przemieniają się w węże

Oto kiedy nadchodził piątek, towarzysza jego wstawiała i szła do królowej a podobnie wszystkie inne. A tam przebywały na pokojach w miejscach ku temu przeznaczonych w postaci smoków i węzów, wszystkie społem, a tak trwały aż do północy dnia sobotniego, poczem wracały do swojej kompanji, a nazajutrz wydawały się jeszcze urodziwsze niż przedtem. Bo nigdy nie starzały się, ani wiedziały, co cierpienie. Ubiorów mieli w bród; mięsiwa wedle upodobania; bogactw poddostatkiem, uciech bez miary. Mróz tam nieznany, ani zbyt upał. Nakoniec rozkosze światowe są tam takie i tak ich wszyscy zażywają, że większych ani serce nie zapragnie, ani język nie wypowie. Kiedy więc rycerz wspomniął na one wielkie rozkosze, tak niemile Jezusowi Chrystusowi, naszemu Zbawcy, który posiadał zacność tak nadziemską, to ile przedtem dzień wydał mu się godziną, teraz naodwrot godzina dłużyła mu się jak 10 dni, i czekał, aby nadszedł dzień 30-ty, aby pożegnać się i odejść, bo odtał każda rzecz wydała mu się wstrętą. Zatem zwierzył się swemu pacholekowi, co pobierał część uciech jak on sam, a ciężko mu było z nimi się rozstawać, jednak przez miłość swego pana, co go żywił i co mu kazał sobie towarzyszyć, usłuchał, że powróci, skoro tylko odprowadzi na gospodę...

Opuszczają groty, jadą do Rzymu, gdzie rycerz spowiada się samemu papieżowi, prosząc o rozgrzeszenie. Papież skłaniał się ku niemu miłościwie, ale intrygi kardynałów nie pozwoliły dokonać pokuty, zaczem rycerz wrócił do czarownej groty i więcej go już nie widziano. Tak wygląda legenda o Tanhäuserze i «górze Wenery» według opowieści z 1420 r.

(A. de la Sale, *Paradis de la Reine Sibille*. Ręk. XV w. z biblioteki królewskiej w Brukseli. Wyd. Desonay, Paris, Droz 1930.)

KAROL ORLEAŃSKI

(1394—1465)

BALLADA

Pogrzebem żegnam moją panią,
Miłosną stroję jej kaplicę;
Egzekwje odprawiają za nią
Wspomnienia, smętne żalobnice;
Wokoło jarzą się gromnice

I zaciągają jasną lunę;
Kazałem pomalować trunę
W żale i krople łez perliste
Z fioryturami bogatemi
I wypisałem: tu, zaiste,
Leży najdroższy klejnot ziemi.

¹ Zły duch.

Zewłok nakryty jest całunem,
 W nim tkane złoto i szafiry;
 Albowiem złoto jest zwiastunem
 Szczęścia, a szafir myśli szczerzej.
 Obojgiem lśnią żalobne kiry:
 Doskonałości by obrazem
 Jedno i drugie złączyć razem.
 Bóg ją urobił dłońmi swemi
 W cudo tak wszystkim oczywiste,
 Że można o niej rzec: zaiste,
 Tu leży skarb najdroższy ziemi. W tym najcenniejszym skarbie ziemi.

Przesłanie.

Nic nie pomóżem łzami swemi,
 Wcześniej czy później śmierć nas zmiecie;
 Nie ostoi się na tym świecie
 Choćby najdroższy klejnot ziemi.

(*Poésies de Ch. d'Orleans, ed. Guichard, Paris 1842, p. 77.*)

FRANÇOIS VILLON

(ok. 1430 — po 1461)

WIELKI TESTAMENT

Ubogi jestem z maleńkości,
 W historii ród mój mało znaczy:
 Rodzic mój nie posiadał włości,
 Ni dziad, co wabił się: Horacy.
 Los nam łaskawy być nie raczy:
 Ich monumentów nie zdobiono
 — Niech w niebie będzie im inaczej —
 Berłem królewskim ni koroną.
 Bywało, serce do mnie rzece:
 A niechże cię to nie rozbiera!
 O co masz beczeć wciąż, człowiecze?
 Głupi, co sam się poniewiera.
 Choćbyś miał skarby Żaka Cocura,¹
 Lepiej być biednym, mieć na sobie
 Sajećki z wełny, — choć się stera,
 Niż leżeć próchnem w pysznym grobie.
 Włodarstwo na co ci się przyda?
 Kim jest dziś, co był panem drzewiej?
 Wszak wedle mądrych słów Dawida,
 Gdzie będzie jutro, dzisiaj nie wie,
 Troską nie psuję sobie trzewi,
 Ni tem się para moja nędza;
 Jedno teolog w tem nie skrewi —
 Te rozważania są dla księdza!
 Wszak ci nie jestem z żadnej racji
 Synem Anioła w dyjademie
 Z planet lub gwiazdnej konstelacji.
 Rodzic, miejsce mu w swym eremie

Daj Bóg — oddawna gryzie ziemię.
 Macierz — wie o tem cna niewiasta —
 Umrze; a po niej ja, jej plemię;
 Nie przetrwa żadne z nas — i basta.
 Dorodni, brzydcey, nędzni, strojni,
 Uczeni, głupi, szlachta, chamy,
 Bogaci, biedni, skąpi, hojni,
 Z kołnierzem plisowanym damy,
 Z fiokami jak kupieckie kramy,
 Wszereż, wzdłuż, z każdego ziemi krańca,
 Z lepianki czy zamkowej bramy —
 Do śmiertelnego poszli tańca.²
 Pomarli Parys i Helena,
 Niema bo rady: Śmierć udręka.
 Gdzieś ci się zatknie jakaś wena,
 Pod sercem zbierze żółć i pęka.
 Z pod skóry jakiś pot wysięka.
 A jeszcze taki się nie zjawił,
 — Nie czekaj brata, syna, wnęka —
 Coby za ciebie się zastawił.
 W śmierci się blednie i sinieje,
 Nos się zaostrzy, żyła zwęży,
 Szyja się wzdyma, mięsień mdleje,
 Stawy opuchły, gardło rzęży.
 Jeśli nam mocnym śmierć tak cięży,
 Cóż ty, niewiastko wiotka, tkliwa?
 Ty też masz chodźć w tej uprzęży?
 Chyba że w niebo wlecisz żywa...

(*François Villon, Oeuvres, p. p. L. Thuasne, Paris 1923. Le Testament, § XXXV—XLI.*)

¹ Jaques Coeur, złotnik króla Karola VII.

² Ilustracja do «danse macabre».

MAŁGORZATA, KRÓLOWA NAWARRY
(1492—1549)

KOMEDJA W 4 OSOBACH GRANA NA GÓRZE MARSAN

Osoby: Dworka, Mniszka, Mądra, Pasterka (*miłości Bożej*)

- Pasterka (*śpiewa*): Do miłości — ach! — stęsknionam,
Z miłości codziennie konam...
- (*do siebie*): Kto miłością żyje, ten ma serce hoże,
Kto miłość czuje, więcej chcieć nie może,
Kto poznał miłość, doszedł wiedzy docna,
Kto patrzy w miłość, temu wzrok się śmieje,
Kto pieścił miłość, wszedł w rajskie wierzeje,
Kto przemógł miłość, w tym władza wszechmocna,
Kto kocha miłość, chce równo z jej chceniem,
Kogo unosi miłość, niezna troski —
Kto zdolen widzieć i objąć ramieniem,
Na tego splywa jakiś urok boski.
- Dworka: Słuchajcie śpiewu!
- Mniszka: Słuchaj, śpiew to rzadki.
- Mądra: Czy to poprostu nie jest śpiew warjatk?
- Pasterka: La, la, la, la, la, la, la, la,
Jaka ucieszna, miła gra,
Kiedy tak przy sercu serce,
Pasterz czuwa przy pasterce.
- Mądra: Roztańczona i rozśpiewana,
Ni wątpić, że jest zakochana.
- Dworka: Posłuchajmy, co w pieśni nuci.
- Pasterka: Nieraz przypiekła mię dożywa;
Ale ta miłość dziś prawdziwa
Broni, że jestem jeszcze żywa;
W konaniu śpiewem się wyrywa.
- Mądra: To czysta miłość tak ją męczy.
- Mniszka: Dlatego śpiewa, co ją dręczy.
- Dworka: Podejdźmy i pozdrówmy pięknie.
- Mądra: Nie tak obcesem, bo się złęknie.
- Pasterka: Serce w niej nigdy się nie znuży,
Gdyż Bóg mu nadał tę moc wielką,
Ze miłość ta za strawę służy
I starczy mu za rozkosz wszelką.
- Dworka: Pozdrówmy.
- Mądra: Zgoda.
- Mniszka: Strzeż cię, Boże!
- Pasterka: I was zarówno.
- Mniszka: W tej tu porze
Co robisz między leśne steczki?
- Pasterka: Widzicie: pasę swe owieczki.
- Dworka: Co? niemasz innej tu uciechy?
- Mądra: Z próżniactwa łącno idą grzechy.
- Pasterka: Przędę, jeżeli Bóg da przędę.
Z kądziółką zwawiej życie pędę.
- Mniszka: Lecz o miłości śpiewasz wciąż.
- Dworka: A miłość to zdradziecki wąż.
- Mądra: Różne podstępny w sobie kryje.
- Pasterka (*śpiewa*): Pastereczko, me kochanie,
Miłością tylko żyję.

- Mniszka: Miłość ukrywa złego siła.
 Pasterka: Miłością żyję, będę żyła.
 Mądra: To z czią niewieścią źle się składa.
 Pasterka: Głupi, co o niej źle powiada;
 Nie zaznał nigdy jej słodczy,
 Niech mi tak nieba Bóg użyczy,
 Naprózno na niej plamy szuka.
 Dworka: Lecz Amor — to jest chytra sztuka.
 Pasterka (*śpiewa*): Kocham kochanka mego
 Miłością, co nie zwodzi.
 Kocha mię, jak się godzi,
 Ja równie kocham jego.
 Mądra: Wiedzieć niewiasta ma stateczna,
 Że miłość — to rzecz niebezpieczna.
 Pasterka (*śpiewa*): Miłość po koniec świata
 Z mądrością się nie zbrata.
 Mniszka: Miłość, kiedy tak luzem chodzi,
 W zbawienny cel swój nie ugodzi.
 Mądra: Stan jej, jak widno, wciąż smutniejszy.
 Pasterka (*śpiewa*): Niechaj mówi, niechaj gada,
 Niedbam ja o ich gawędę;
 Niech się w złości nie posiada,
 Kto mię kocha, kochać będę.
 Dworka: Ni się wstydzi, ni się lęka.
 Mądra: Już się przykrzy ta piosenka.
 Mniszka: Stan jej nie melancholiczny.
 Pasterka: O mój ty kwiatuszku śliczny,
 Wiem, ty jeden mię rozumiesz.
 Miłujesz i czekać umiesz.
 Że tobie wierzę,
 Powiadam szczerze...

(*Marguerite de Navarre, Dernières Poésies, p. p. Abel Franc, Paris 1876, p. 93—95.*)

BONAVENTURE DES PÉRIERS

(um. przed r. 1544)

CYMBALUM MUNDI

Oslawiona broszura, rewolucyjna w pomyśle, często niezrozumiała w treści, wymagającej «klucza»; karyljon na podzwonne wiekom średnim, jest wyrazem poglądów Des Périers'a w okresie początkowym walki dwu stronnictw, grzeszących w równym stopniu zawziętą nietolerancją. — Dwa psy (d. IV) — to mnisi partyjnicy, którzy z obozu wielkiego rozluźnienia obyczajów przeszli do konfesji ponurej i beznadziejnej: z Rzymu do Genewy. Des Périers, sam zrazu hugonota, wybił się filozoficznie ponad przykrą codzienność, ogłosił się człowiekiem nowym, w całej pełni humanistą. Rabelais jest jego uczniem.

Dialog IV. Hylactor, Pamphagus

Hylactor:

Gdybym z łaski Anubisa¹ znalazł psa obdarzonego mową, co by to była za uciecha. Bo nie mam ochoty odzywać się do nikogo, jeno do podobnego sobie. A jednak jestem pewny, że gdyby mi dano przemówić czasem do człowieka, byłbym najszczęśliwszy między psami. Żaden książę, żaden król niegodni mię posiadać, zważywszy, jaką przedstawiam wartość. Gdybym mógł nagadać tyle, ile nagadałem na jakimś zgromadzeniu, rozniosłoby się to aż do Indyj. Wołanoby wszędzie: w tem a w tem

¹ Bóg egipski, z głową psa-szakala.

mieście żyje pies obdarzony mową. Zbiegliby się z czterech stron świata i płaciliby, żeby mię oglądać... Bądź co bądź, przykro, że nie spotykam nikogo znającego mowę. Ale mam nadzieję, że znajdę... Oto Targilius ze swoją psiarnią; wyjechał na polowanie; może ktoś w tej kompanji umie mówić. — Niech Bóg strzeże mego przyjaciela spanjola i mego przyjaciela charta. — Do licha, wszyscy niemi. — Hola, kundlu! Umiesz mówić?

P a m p h a g u s :

Kogo to nazywasz kundlem? Kundel ty sam!

H y l a c t o r :

Mój towarzyszu, druhu, przebac, ucałuj mię. Ciebie pragnąłem ujrzyć, ciebie szukałem i oto z łaski Diany znalazłem. Po drugie, dzięki tobie, dobry Anubisie. Po trzecie, dzięki tobie, Cerberze, stróžu piekieł. Jak ci to na imię?

P a m p h a g u s :

Pamphagus.

H y l a c t o r :

To ty? Mój kuzynie, mój druhu. Znasz Hylactora?

P a m p h a g u s :

Ba, czy go znam? A gdzież on?

H y l a c t o r :

To ja.

P a m p h a g u s :

Doprawdy? Przebac, przyjacielu. Nie poznałem cię, bo widzę, masz jedno ucho odgryzione, bliznę na czole; dawniej jej nie miałeś. Skądże to?

H y l a c t o r :

Nie pytaj, proszę, nie warto wspominać. Mówmy o czem innem. Gdzie bywałeś, co porabiałeś od czasu, odkąd straciliśmy naszego mistrza Akteona!¹

P a m p h a g u s :

Ach, co za nieszczęście! Odnawiam stare cierpienia. Dużo straciłem przez jego śmierć, Hylactorze. Niegdyś opływałem w dostatki, dziś przymieram głodem.

H y l a c t o r :

Na moje śluby! Były to dobre czasy; dzielny to był człowiek ten Akteon; szlachetny pan, bo kochał się w psach. Nie było wolno żadnego uderzyć; przytem dobrze nas karmiono; cokolwiek dało się chwycić w kuchni, spiżarni czy gdzie indziej, było nasze; pan kazał co najlepiej z nami się obchodzić.

P a m p h a g u s :

Niestety ten, któremu dzisiaj służę, jest nie taki; wiele mu brakuje, niedba o nas, pozwala nas lekceważyć; kiedy służba znajdzie którego w kuchni — huzia na niego; grożą, wypędzają, biją; chodzimy poszarpani, poranieni, gorzej od starych dziadów.

H y l a c t o r :

Widzisz, mój Pamphagusie, trzeba umieć cierpieć. Najlepszy środek na cierpienie obecne jest zapominać radości minionych, z nadzieją lepszej przyszłości; nawzajem pamięć minionego złego, bez obawy o dalsze lub gorsze, zwiększa szczęście obecne.

H y l a c t o r :

Co ja tam widzę na drodze?

P a m p h a g u s :

Paczka listów; ktoś je zgubił.

¹ Poprzednio była mowa o tem, jak własne psy go rozszarpały z rozkazu Diany.

Hylactor:

Proszę, rozwiń i obacz, co to, skoro umiesz czytać.

Pamphagus:

— Do Antypodów wyżnych... —

Hylactor:

Antypodów wyżnych? Chyba znajdzie się tam coś nowego.

Pamphagus:

— Panowie Antypodzi, pragnę pomówić z wami po ludzku, a to w tym celu, aby nauczyć się od was reguł dobrego postępowania i nawzajem dać wam poznać nasze; poszliśmy za radą gwiazd i wysłaliśmy naskrós ziemi niektórych naszych ludzi ku wam; aliści wy, spostrzegłszy to, zatkaliście przechód z waszej strony, tak, że musieli pozostać w czeluściach ziemi. Prosimy zatem, abyście raczyli umościć im drogę,¹ inaczej będą musieli wydstać się bokami, do tego w takim nawale, że nie będziemy wiedzieli, kogo wprzód gonić. Tak, że o co prosi się was w imię łaski i miłości, będziecie musieli uczynić poniewoli, ku wielkiemu wstydrawi i niemałej konfuzji. Bóg z wami, dobrzy przyjaciele! Antypody niżne.

(*B. des Périers, Cymbalum mundi, Paris 1537 i F. Frank, Paris 1873.*)

ZABAWKI NOWE

Picquet i minog

Ale, jak powiada stare przysłowie, że okpisze bywają często okpiwani, tak ludzie z Fleches² trafili na swego, a był nim Picquet. Kupił on w Durtalu minoga, wsadził do biesag, umieścił w tyle na łęku i przywiązał mocno za skrzydeł, tak, że nie mógł się wymknąć, ale ogonem wisiał nazewnątrz. Kiedy zbliżył się do Fleches, minog bardzo ruchliwy zaczął potrząsać ogonem, a mieszkańcy Copieux spostrzegli, że przez owo potrząsanie minog coraz dalej wysuwał się z worka; tedy moi ludzie wyczekiwali, rychło wypadnie. A Picquet pojeżdżał sobie swobodnie, jakby mu się nie śpieszyło, a mieszkańcy Copieux zbierali się w coraz większej liczbie; wychodzili z domów i biegli za nim, żeby prędzej dopaść minoga, skoro się wysunie; a było między nimi czterech lub pięci czekających jak na jaje wielkanocne, a jeden powiadał do drugiego: — «Dla mnie na śniadanie, dla mnie na śniadanie». — A Picquet udaje, że ich nie widzi, tylko czasem się ogląda, jakby sprawdzając popręgi, a z boku zerka na parobków, co biegli za nim. — Kiedy już był za miastem, począł jechać nieco prędzej, a moi kopijczycy za nim w nadziei, że ryba już już wypadnie, bo prawie wszystka była nazewnątrz. Tak wiedzie ich jakie pół mili. Dwaj przestali biec, bo byli przy ciężcy od obiadu, ale dwaj zostali, wołając do siebie: — «Czekaj, czekaj, dla mnie większe dzwono». — Kiedy Picquet spostrzegł, że ich zostało tylko dwóch, dosyć rącznych, zaczął jechać jeszcze prędzej, a moi kopijczycy za nim i ścigali go jeszcze pół mili, a Picquet był ciągle na przodzie, a minog ciągle nie spadał, co nakoniec poczęło ich złościć, a Picquet, ubawiwszy się, począł się głośno śmiać; tedy spostrzegli, że sobie z nich zadrwił...

(*B. des Périers, Nouvelles Récréations et Joyeux devis, Paris 1874, nouv. XXVI.*)

¹ N. b. ideom nowym.

² Posiadający sławę żartownisiów.

ANTOINE HÉROËT

(1492—1542)

DOSKONAŁA PRZYJACIÓŁKA

— — — — —
 Znam pana mego; dusza ma pamięta,
 Że miłość moja powinna być święta;
 Wie on i dobrze na zalety baczy
 Tej, co ją wybrać na kochankę raczy.
 Wie, że nie znajdzie równie mu oddanej,
 A jeśli mając mnie, nie szuka zmiany,
 Muszę zawdzięczać albo jego woli,
 Albo tak czyni mym zaletom gwoli.

Lecz skoro wartość tak wysoko mierzę,
 Skądże się we mnie ta odwaga bierze,
 Która wyklada dotąd tak nieśmiałej
 Wszystko z korzyścią mą i dla mej chwały?
 Oto, że jestem wobec mego pana
 Tak pewna siebie i tak z nim dobrana,
 Że mam świadomość, iż są rzeczy we mnie,
 Jakichby indziej chciał szukać daremnie.

Chce uczoności, jego będę godną;
 Chce-li urody, będę dlań urodną,
 Aż każdy łącno obaczy z mej próby,
 Jak można radość czerpać z własnej chluby;
 Mniemam, że jest w tem jakaś tajna siła,
 Co się z kochanka w kochance odbiła:
 To, czego pragnie, to, czem miłość dyszy,
 Odkrywa we mnie; a na ziemi niema,
 Ktoby to jaśniej wypatrzył oczyma.
 Tak czerpiąc ze mnie wszystkie swe rozkosze,
 Czyż mogę wątpić, że to ja przynoszę?

Jeśli mu trudno przy jednej pozostać,
 To mu się moja ztysiąckroci postać;
 Skoro chce zmiany, otrzyma tę zmianę,
 Mimo że przy nim, jak wprzód, pozostanę.

To, co powiadam, to nie jest czcza złuda:
 Z doskonałego kochanka te cuda.
 Jeśli gdzie spotkasz kobietę wzgardzoną,
 Wiedz, że zwróciła się fałszywą stroną
 Ku ludziom ciemnym, gdzie w nieświadomości,
 W niezaufaniu jest błąd, nie w miłości.
 Prawdziwa miłość to wiedza i wiara:
 W nich jest dóbr wszelkich najszczytniejsza miara.
 Zaś bez nich wszystko, skąd uciecha płynie,
 To jeno gorzkich kordjałów naczynie.

Niekażdy, kto ma chęci, kochać umie;
 A taki amant, który pióra stroszy,
 Nie zna miłości, ani jej rozkoszy.
 Ja — bo znam owy zachwyty nad zachwyty
 Rzadki, choć zda się komu pospolity.

— — — — —

Kiedy dwie dusze, wprzód związane w niebie,
 Tu się odnajdą i przylgną do siebie,
 Wszedłszy w dwa ciała zmysłem swym właściwe,
 Dwu chceń świadome, posłuszne i tkliwe,
 To z wzajemnego owego oddania
 Tak wiele mają ukontentowania,
 Że się ich radość napawa dosyta,
 Jaka się jeno pojnowaniem chwytła.
 Cóż to za rozkosz wtedy doskonała,
 Kiedy duch jeden wypełni dwa ciała!
 Pod upojeniem bożego nektaru
 Każde zwolnione z wszelkiego ciężaru.
 Jaki smak wtedy oszalamiający,
 Jaki się zapach w wyobraźnię sączy!
 Choć ku wszystkiemu miłość jest sposobna,
 Tych rzeczy słowem oddać niepodobna.

(*Antoine Héroet, Oeuvres poétiques, p. p. J. Cohin. Soc. des Textes fr. modernes. Paris 1909, v. 454—582.*)

CLÉMENT MAROT

(ok. 1497—1544)

RONDEAU «MIŁOŚĆ DAWNYCH CZASÓW»

Za dobrych czasów miłość niewybrednie
 Gospodarzyła; jej fawory przednie
 Były po łące uzbierane kwiaty,
 A dane z serca głębi — całe światy.
 Tak się kochało uczciwie, choć biednie.

Tam, gdzie kochanie było mniej poślednie,
 Nie wyglądało jak dzisiaj na brednie,
 Bo nie kończyło dwudziestoma laty
 Za dobrych czasów.

Dziś dawna miłość kurczy się i blednie:
 Szlochy, obłudy, to rzeczy powszednie,
 Chcesz-li, bym nie czuł zawodu i straty,
 Niech ją przetopią jak liche dukaty
 I niech znów będzie taka, jak poprzednie
 Za dobrych czasów.

(*Clément Marot, Oeuvres, p. p. Ch. Herisault. Paris 1867, p. 193.*)

BALLADA O MAJU I CNOCIE

Kiedy Maj światu się obwoła,
 Ziemia nakłada szaty świeże,
 Równie jest zmienna młódź wesola:
 Ten, że płochości się nie strzeże,
 Tamten, że w nowe wpadł więcierze,
 Lub jest na inne wdzięki łasy,
 Jam serce jednej dał w ofierze:

Jest-li gdzie piękność — spójrz dokoła,
 Która zniszczenia się ustrzeże?
 Troski, choroba zetrą z czoła
 Wdzięki, zaszczą gładkiej cerze,
 Ale nic wdzięku nie odbierze
 Ani lubości, ani krasy —
 Tej, co jest piękna w jednej mierze:

Miłość ma trwać po wszystkie czasy. Miłość ma trwać po wszystkie czasy.

Ta, której serce moje wola,
 To Cnota; wieczność ma przy sterze,
 Niebiańskie blaski u jej czoła,
 Wszystkich pociąga w swe obieże:
 — Pójdźcie, młodości mej rycerze,
 Tu jestem ku rozkoszy waszej;
 Kto rad miłować, niech mię bierze:
 Miłość ma trwa po wszystkie czasy.

Prześłanie.

Książę, serce swe oddaj szczerze,
 Jej poświęć wszystkie swoje wczasy;
 Wtedy rzec możesz — ja uwierzę —
 Miłość ma trwa po wszystkie czasy.

(*Tamże*, p. 180.)

RONDEAU «NA CIEMNEGO POETĘ»

Wypędźcie w pole tego dudka:
 Nie wie, jak z rytmem rym się składa,
 Co glosa, rondo i ballada,
 Co strofa długa, a co krótkal
 Niemądry mózdzek słów nie utka.
 Na niepiśmiennych jedna rada:
 Wypędźcie w pole tego dudka.
 Gdy już gadulski duch w nim gada,
 Niech mu otworzy prozą wrótkal,
 Jeśli mu znana prozy nutka;
 Bo już do wierszy się nie nada:
 Wypędźcie w pole tego dudka.

(*Rondeau «A un poète ignorant», tamże p. 188.*)

FRANÇOIS RABELAIS

(ok. 1495—1553)

PROLOG DO GARGANTUI

(W formie strofy balladycznej)

Czytelniku, wczytany w te karty,
 Niech cię zbytnio treścią nie obruszę,
 Nie zasłużą na gniew wolne żarty,
 Żaden jad z nich nie spłynie na duszę.
 Doskonale nie są, przyznać muszę:
 Tyle sztuki, co w trefnisiów cechu.
 W tem wymówka jest mojego grzechu.
 Wolę widząc, jak lży wokół lejem,
 Nie o słozach pisać, lecz o śmiechu,
 Gdyż człowieczym jest śmiech przywilejem.

(*François Rabelais, Oeuvres, ed. Abel Lefranc etc. Paris, Champion 1913.*
Gargantua, Aux Lecteurs.)

WIEK XVI—XVII

PLEJADA — BAROK — OKRES KLASYCYZMU

PIERRE RONSARD

(1524—1585)

SONET

Jako widzimy różę, gdy w czas rozkwitania
 Młodzieńczą krasą pierwsze rozrzuca pąkowie,
 Że aż niebo jej barwom zazdrością odpowie
 I brzasku lżą porosi o porze świtania:

Wdzięk w onej liściach schowan, miłość ją osłania,
 Pojąc wonią ogrody i leśne pustkowię;
 Lecz gdy deszcze ją zwarzą lubo zimne nowie,
 Zamiera, tracąc liście w godzinę konania:

Tak w twojej pierwszej wiosnianej i młodej żrąłości,
 Gdy wszystek świat i niebo czciło twe piękności,
 Nie szczędziła cię Parka, ziemia cię osłania.

Łzy moje i me płacze przyjm na znak objałów,
 Ten dzbanek pełen mleka i kosz pełny kwiatów,
 By ciało twe zostało różą w czas rozstania.

Tłum. Józef Gluziński.

DO GAJU W GASTINE

W cieniu zielonych leżąc drzew,
 Opiewam cię, Gastynie,
 Jako ten Grek, co składał swój śpiew
 Eurymantowej krainie.
 Jakożbym, biedny, taić mógł
 Przed czlekiem, co się wciąż pleni,
 Mój nieoddany tobie dług,
 Twej pięknej, gaju, zieleni:

Ty, co mię bierzesz pod swój schron,
 Przez ciebie duch się nie nuży,
 Przez twe zrządzenie w rozgłośny ton
 Odpowiadają mi Muzy;
 Ty, co mię zbywasz trosk i lez,
 Dla ciebie zawszem gotowy,
 W tobie się gubię, nie wiem gdzie kres,
 Gdy z książką tu miewam rozmowy.

Zawszeć niech wiodą w gąszczy twym tan
 Miłosnych rojów gromady,
 One Satyry i groźny Pan,
 Postrach dla pięknej Najady;
 Niech od mojego stawiać dnia
 Przybytek Muzy grające,
 Niech nigdy twego nie zniszczą pnia
 Ofiarne ognie niszczące.

Tłum. Józef Gluziński.

DO MIKOŁAJA DE NEUFVILLE PANA DE VILLEROY

Już czuję nadchodzące zimy nawałnice,
 Już pięćdziesiąt sześć roków śnieg prószy me lice,
 Już czas mi niechać pieśni, słodkości kochania,
 Czas odejść od dni jasnych ze słowem żegnania.
 Żyłem, mój Villeroy, tak dobrze, iż oto
 Odchodzę od żywota rozkoszy z ochotą;
 Zznałem ich bezliku, biorąc je dowoli,
 Bacząc, czy rozum z niemi przyjaźnić się zwoli,

I grałem moją rolę na teatrum świata
 W odzieży, którą zszyły: czas, warunki, lata.
 Widziałem wschody słońca, zachody złowieszcze,
 Widziałem grady, burze, błyskawice, deszcze,
 Widziałem ludy, króle, widzę lat parnaście,
 W których Francja wdół bieży, prawie nad przepaście;
 Widziałem wojny, wiece, rozejmy, pokoje,
 Ugody, obietnice, poprawki, rozstroje,
 I naodwrot poznałem zdarzeń tych piastuna:
 Był to tylko los szczęścia, kapryśna Fortuna.
 Roztropność, to najlepszy wódz dla ludzkiej głowy;
 Niewidzialny los dłonie ujmuje w okowy
 I więźniem czyni człeka, który, chociaż rządzi,
 Rozumnemu mu Fortuna inaczej rozsądzi.
 Pijany z świata schodzę, jak biesiadnik owy,
 Co pijany opuścił z drużby stół godowy,
 Lub z uczty zwiął od króla, zbywszy serca bóle,
 Że ktoś inny w mig zajął po nim część przy stole.
 Podwikę choć gonilem, nie kropilem łzami,
 Gdym oddawał innemu, co gonił za nami;
 Nie trzeba nad tem boleć, to prawo przyrody,
 Za życiem śmierć w pogoni, za starym zaś młody...
 Owa, jako ten dłużnik, co mu termin bliski,
 Sprzedaje na pokrycie sprzęty, statki, miski,
 A nie mogąc majątku na tyle uzbierać,
 By złagodził swą nędzę, pragnie więc umierać;
 Takoz i ja, twój dłużnik, nie mając nic więcej,
 By życzliwość twą spłacić, załamuję ręce;
 Żal mi, że jeszcze żyję, i żal mi, że patrzę
 Na to słońce, co moje przeziera rozpacz.
 Unosząc z sobą w duszy mych smutków gorzkości,
 Pytam, przecz jeszcze błędę w przedsiönku starości
 I widzę (środek, którym rozporządzić mogę),
 Że zanim ciebie splcę, trza mi odejść w drogę,
 Chyba, że zechcesz wnętrze przeszukać mej skrzyni
 I wziąć tę kartkę, która mię dłużnikiem czyni,
 I to pióro, co prawdę siejąc w pokolenie,
 Zaświadczy, że dla ciebie żywię uwielbienie.
 Racz więc przyjąć ten dar mój i niechaj go wspiera
 Opieka domu Conflant, co z wyżyn spoziera
 Na Paryż, miejsce królów, i dumnym frontonem
 Zadziwia inne domy pod niebem sklepiönem.
 W nadziei, że Apollon odwagi mi doda,
 By się w pieśni mej cała odbiła uroda
 Twych ogrodów, zaciszy, ustroni i gajów,
 Gdzie słońce zawsze świeci przy szmerze ruczajów;
 Twej ciepłej oranżerji, której zielna głowa
 Peruką wiecznych włosów złoty owoc chowa,
 Broniąc go swoim liściem, jak ramieniem matki
 Otoczone w uścisku bronione są dziatki:
 Weź tę książkę w zadatek i otwórz jej, z łaski,
 Biblijoteki twej wnętrze, które sieje blaski,
 Gdzie milczący w niej goście znoszą los poddańczy:
 Bo pachnie ona wonią twoich pomarańczy.

Tłum. Józef Gluziński.

DO KASANDRY

Pójdź zobaczyć, moje życie,
 Czy tej róży, co o świecie
 W szkarłat się do słońca stroi,
 Już pod wieczór w fałdach szaty
 Nie pobladyły barw szkarłaty
 I krasa, podobna twojej!

Ujrysz, moje ty kochanie,
 Co się z różą przez dzień stanie:
 Jak przemija wdzięków pora!
 O naturo, tyś nie matka,
 Gdy takiego życie kwiatka
 Trwa od rana do wieczora!...

A więc zawierz mi, jedyna,
 Gdy twój rozkwit już zaczyna
 Szerzyć wkoło blask uroczy,
 Czerp z miłości swej źródlika,
 Bo jak róży — starość bliska!
 Twoich wdzięków blask zamroczy!

Tłum. J. A. Święcicki.

JOACHIM DU BELLAY

(1522—1560)

SONET

Szczęśliwy, kto wędrował jak Ulisses boski
 Lub jak owy, co zdobył pyszne runa płaty,
 A potem wrócił do dom rozumem bogaty,
 Wiodąc życia ostatki, wśród swoich, bez troski!

Niestety, kiedyż ujrzę dym rodzinnej wioski
 I ognisko domowe, jak dawniej, przed laty,
 I czy ujrzę znów progi mojej biednej chaty,
 Co droższą mi nad pałac, przybytek hrabiowski?

Bo dziadów moich strzecha, zręby i przyciesze
 Za rzymskie stoją zamki, pałace, pielesze;
 Niż marmur, lepszy dla mnie kamień mych kominów,

Lepszą mi jest Loara, niżli Tybr latyński,
 Lepszą Lirenka moja, niż szczył Palatyński;
 Niż morskie technienie, lepsza słodycz Anzewinu.

Tłum. Józef Gluziński.

REMY BELLEAU

(1528—1577)

KWIECIEŃ

Cudów dłoń twa pieszczona
 Dokona,
 Bo z natury wyłoni
 Strój dla ziemi bogaty
 W liść, kwiaty...
 Dla powietrza moc woni!

Miłość wnet się odzywa
 Szczęśliwa,
 Gdy twe czary technień falą
 Ogień w żyłach zgaszony
 Przez szrony...
 W nowy płomień rozpała!

Gdy się blask twój wylania
 Z wygnania,
 Słychać świergot radosny...
 To jaskółczej głos rzeszy,
 Co śpieszy,
 By zwiastować dzień wiosny!

Tłum. J. A. Święcicki.

WINOBRAŃCY

To było w czas, gdy na wsi chłopcy i dziewoje
 Sposobili się zbierać z win słodyczne zdroje,
 Z owej świętej gałęzi, gronem płomienistej;
 To była błotna Jesień, gdy owoc złocisty
 Opuszczał wdowią gałęź, by w czelustnej kadzi
 Pianą moszczu brzeg sperić, nim wino się zładzi.
 Każdy pracą zajęty: ten z tłocznią się dzieli,
 Ów uszczelnia łożysko brzuchatej gardzieli
 I smolnym lykiem wiążąc pakul konop jarki,
 Zatyka onym czopy: jedni czyszczą czarki,
 Wyplókują baryłki, inni na kolanie
 Ostrzą sierpek na słodkie z krzewów winobranie,
 Potem strzygą latorośl, żwawi, roześmiani.
 W trzykrotnych postrzyżynach krzew się krwawi, rani,
 Grono, w kociel stłoczone, zatkano już czopem,
 Warząchew ginie w kadzi, dymiącej ukropem;
 Inni, więcej ochoczy, w świeże pękowiny
 Wgniatają się nogami, niemal do pachwiny,
 Owi nad wytłoczną, tamci u ściskacza,
 Ten na gładzonem kole dziób sierpu wytacza,
 Dziób noża skrzywionego, aby stał się płaski.
 Ci nurzają lozinę, tamci swoje faski,
 Swe motyki i sprząty w strudze wody czystej;
 Inni skrobią u panwi osad kamienisty,
 Co wrósł w brzegi, spojony mchu grubą powłoką.
 Tamci wargę ściskają naczynia, szeroką,
 Oplotem giętkich prętów z wiklin i topoli,
 Potem klepią po bokach, aż brzeg się zespoli.
 Kto niekto pije z kadzi, na moszcz będąc lasy,
 I z czopa bierze trunek; ów stoi u prasy,
 Gnecie ziarno, z owoców lży rześiste płyną,
 Wnet z pod ciężkich drzew tłoczni wylewa się wino,
 Strugą gna po łożysku z niezwyčajną mocą,
 Owoc winem wciąż płacze, a drzewa dygocą.
 Ci, schyleni nad beczką, zbijają obręcze,
 W beczce wino się perli, świeżutkie, młodzińcze.
 Owi płaczą się wokół, wrzeszczą z całej sily,
 Że im krople gronowe nogi skoślawiły,
 Chwieją się słabi w głowie, w kolanach, pęcinach,
 Durząc się samą wonią szumiącego wina.

Tłum. Józef Gluziński.

SATYRA MENIPPEJSKA

(1594)

PRZEMOWA IMCI PANA D'AUBRAY DO TRZECH STANÓW

Na miłość Świętej Panienci! Ładnieście nas, Waszmościowie, urządzili! Już nie potrzeba, aby nasi księża od kazalnicy nam głosili, że należy się «wyszlamować» i «zdeburbonizować»¹. Jak wnoszę z waszej dyskusji, my biedni Paryżanie dość błota mamy już w swoich butach, zasię trudnoby było nas wyszlamować... Trzeba przyznać, że nas mają za sługi i za niewolniki, więcej nawet niż Turcy chrześcijan, lub żydów

¹ W języku francuskim gra słów: «desbourber et desbourbonner».

Awinjończycy. Nie mamy głosu, ani wolności u kapituły. Nie mamy już żadnej własności, o której moglibyśmy rzec: ona jest nasza. Wszystko jest wasze, Mościpanowie, bo trzymacie nogę na gardle i nasze domy zamieniacie na garnizony. Poszły z wiatrem nasze przywileje i wszelakie nasze ulgi dawne. Nasz ratusz, który widziałem jeszcze jako zabezpieczenie podpory tronów królewskich, stał się rzeźnią i jatką. Niema wyroku parlamentu, a uniwersytet zdziczał doreszty. Stoimy u krańca naszej mizerji i, co gorsza, wśród tylu nieszczęść i potrzeb, nie wolno nam poskarżyć się, ani prosić pomocy, lecz przeciwnie, śmierć czując na karku, musimy udawać, że dobrze nam się powodzi i że jesteśmy szczęśliwi, bardzo szczęśliwi...

Paryżu, który nie jesteś już więcej Paryżem, lecz spelunką dla dzikich zwierząt, cyta-
tadela Hiszpanów, Wallonów i Neapolitanów, przybytkiem i pewną ucieczką dla złodziejów, morderców i zbójów, nie zechcesz już nigdy przypomnieć swej godności i wzbudzić w swej pamięci, czem byłeś dawniej, w porównaniu z tem, czem jesteś? Czy nigdy nie zechcesz wyleczyć się z tej choroby na królestwo, która sprawiła, iż miast jednego, prawowitego i łaskawego króla, posiadasz pięćdziesiąt królewiat i pięćdziesiąt tyranów? Ty oto w okowach, ty oto w inkwizycji hiszpańskiej, tysiąc razy więcej nietolerantnej i sroższej do zniesienia dla wolnych i swobodnych duchów, jakimi są Francuzi, niż najsroższa śmierć wymyślna, jakąby Hiszpanie umieli sporządzić! Nie mogłeś znieść lekkiego pomnożenia stanów i urzędów i kilku nowych edyktów, małej wagi dla ciebie; lecz znosisz rabunek twoich domostw i to, że do krwi cię łupią, że zamykają twoich senatorów, że wypędzają i banicją okładają twych dobrych obywateli i rajców, że wieszają i wyrzynają twych najwyższych sędziów! Ty widzisz i znosisz to; nietylko znosisz, lecz pochwalasz i zgadzasz się na to, i nie umiesz, nie odważysz się postąpić inaczej. Nie mogłeś ścierpieć tak przystępnego i zażytego przyjaciela, jakim był dobry twój król. Opuścił on ciebie, ten obywatel twój i mieszczanin, który wzbogacił miasto, upiększył je wspaniałemi budynkami, wzmocnił fortami i wspaniałemi bastyonami, odznaczył przywilejami i szczytami. Co mówię? Nie mogłeś ścierpieć? Jeszcze gorzej: wypędziłeś go z miasta własnego, z jego domu, z jego łoża. Wypędziłeś go? Tyś go przesładował. Jako, przesładował? Tyś go zamordował, ukanonizowałeś mordercę i jeszcześ stypę odprawił z radości. A teraz widzisz, ile cię śmierć ta kosztowała, bo ona sprawiła, że inny zajął jego miejsce, o wiele czujniejszy, więcej pracowity, więcej wojowniczy, wiedzący, jak należy przycisnąć tobie gardła, jako żeś to już wypróbował ze swoją szkodą.

Proszę was, Mościpanowie, jeśli wolno mi, jak psu po raz ostatni, zawyć na wolności, rozważmy choć trochę, jakie zyski i dobra osiągnęliśmy z tej haniebnej śmierci, o której nasi kaznodzieje mówili nam, że jest ona jedynym i wyłącznym środkiem, wiodącym do naszego szczęścia. Przychodzi mi jednak mówić z wielkim żalem, bo widzę, jakie rzeczy zdobyliśmy za cenę tego, co było. Albowiem wtedy każdy miał jeszcze swój śpichlerz i swoje zboże, i wino w piwnicach; każdy miał skrzynię srebra, dywany i sprzęty; białogłowy miały jeszcze srebrne gorseciki; relikwje pozostawały w całości; nie dobywano drogich kamieni z korony królewskiej. Lecz teraz, któż może się chlubić, iż ma z czego żyć przez trzy tygodnie, jeśli nie złodziej utuczony pracą ludu, rabuśnik, który kradł w lewo i w prawo? Czyż nie wyczerpaliśmy powoli wszystkich naszych zapasów, nie sprzedaliśmy naszego dobytku, czy z naszych skrzyń dno już nie przeziiera, czy nie wyzbyliśmy się wszystkiego aż do ubrań naszych, aby przynajmniej wegetować? Gdzie są nasze salony i pokoje, pięknie umeblowane, pięknie obite i dywanami wyścielone? Gdzie nasze uczty i stoły zastawne? Oto ograniczyliśmy się do mleka i białego sera, jak Szwajcarzy; na całą ucztę starczy nam kawał wołowiny. Szczęśliwy, kto nie jadł jeszcze koniny lub psiego mięsa, szczęśliwy, kto mógł razowym pożywić się chlebem i poprzestać na wrzółku, sprzedawanym na rogach ulic, w miejscach, gdzie dawniej sprzedawano frykasy i ozory, przepiórki i nóżki baranie! Dobrze jeszcze, że nie zachciało się panu posłowi i ambasadorowi Mendosie, abyśmy spożywali kości naszych ojców, jak to czynią dzicy w nowej Hiszpanji.

Czy można wspomnieć o tem wszystkim bez grozy i lez? A ci, którzy w swoim sumieniu poczytują się za sprawców tego nieszczęścia, czy mogą o niem mówić bez zawstydzania się i bez przeczcucia kary, którą zachował dla nich Bóg, za tyle złego?

Nawet jeśli sobie przywiodą przed oczy obraz tylu biednych mieszczan, których widzieli, upadających z głodu na ulicy; tylu niemowląt ginących u piersi matek wycieńczonych głodem; tylu mieszkańców i żołnierzy, idących przez miasta, podpierających się kijem, bladych i osłabionych, bielszych od śniegu, podobnych raczej do zjawy, niż do człowieka; nareszcie nieludzkie odpowiedzi niektórych, nawet duchownych, którzy oskarżali ich i prześladowali, miast przyjść im z pomocą i pocieszyć! Czy było kiedy większe okrucieństwo i barbarzyństwo od tego, jakie przeżywamy? Czy była kiedyś podobna tyranja i samowładztwo, jak to, które widzimy i znosimy? Gdzie honor naszego uniwersytetu? Gdzie są kolegia? Gdzie są uczniowie? Gdzie lekcje publiczne, na które zbiegano się ze wszystkich stron świata? Gdzie są bogobojni studenci w konwentach? Chwycili za broń; oto wszyscy stali się hulaszczem żołdactwem. Gdzie nasze kabzy? Gdzie drogocenne klejnoty? Niektóre sprzedano na pożywienie; inne zakopano do ziemi, z obawy przed złodziejami. Gdzie cześć, z jaką odnoszono się do sług Bożych i do świętych obrządków? Każdy teraz wyznaje religję na swój sposób, a służba Boża nie do innych przeznaczona celów, jak dla hipokryzji. Kapłani i kaznodzieje tak są obrzydli i w taką popadli pogardę, że nikt się o nich nie ubiega, ani o ich kazania, chyba, by mieli głosić z kazalnicy jakiś fałsz nowy, na czyjaś korzyść. Gdzie są książęta krwi, którzy zawsze byli uważani za święte osoby, jako podpory i kolumny w koronie francuskiej monarchji? Gdzie są parowie Francji, których powinnością było, jako najpierwszych, zagaić obrady i zaszczycić obecnością stany? Wszystkie ich nazwiska, to nazwy posługaczy, z których robi się podściółkę dla panów Hiszpanji i Lotaryngji. Gdzie jest majestat i powaga parlamentu, niegdyś opiekuna królów i pośrednika między ludem i księciem? W triumfie zaprowadziliście go do Bastylji, zawiedliście tam uwięzioną powagę i sprawiedliwość, czyniąc to więcej okrutnie i haniebnie, niżby to Turcy zdziałać mogli. Wypędziliście najlepszych, a zatrzymaliście przy sobie tych najgorszych z mollochu. A nawet z pośród nich, jak powiadają ci, którzy o tem wiedzą, nie chcecie ścierpieć czterech czy pięciu i prześladowacie ich, dając im kartę, jak heretykom lub politykom. Wszelako pragniecie, aby wam wierzone, że wszystkie wasze sprawy mają na celu ochronę religji i państwa!

Tłum. Józef Gluziński.

MICHEL EYQUEM DE MONTAIGNE

(1533—1592)

PRÓBY

O doświadczeniach (III, 13)

...Natura po macierzyńsku zatroszczyła się o to, aby czynności, które przepisała dla naszych potrzeb, były nam zarazem rozkoszne. Zaprasza ku nim nietylko rozumem, ale także i chucią: niesprawiedliwością jest łamać jej prawidła! Kiedy widzę i Cezara, i Aleksandra, jak, wśród największego trudu swych ogromnych zadań, cieszą się tak pełno ludzkimi i cielesnymi rozkoszami, nie powiadam, iż to znaczy zmiękczyć duszę: raczej skrzepić ją, poddając wielkodusznie praktykom codziennego życia one potężne zatrudnienia i pracowite myśli. Mądrzy byli, jeśli rozumieli, iż to jest ich zwyczajne zajęcie, tamto zaś nadzwyczajne. Okrutni z nas pomyśleńcy! «Spędził życie beczynnie» — powiadamy. «Nic nie zrobiłem dzisiaj». Jakto? czy nie żyłeś? toć to jest nietylko twoje główne, ale najchlubniejsze zatrudnienie. «Gdybym miał w ręku władzę i wielkie sprawy, pokazałbym, do czegom jest zdolny». Umiałeś-li obmyśleć i poprowadzić swoje życie? Tedy dokonałeś największego dzieła. Natura nie potrzebuje wielkiego losu, aby się pokazać i wyżyć; ukazuje się jednako na wszystkich piętach, i za kurtyną, i bez niej. Kto umiał nakreślić bieg własnego życia, dokazał o wiele więcej, niż ten, kto kreślił książki; kto umiał zdobyć sobie ład i spokój, lepiej żył, niż ten, który zdobył królestwa i miasta.

Wielkie i wspaniałe arcydzieło człowieka, to żyć dorzecznie. Wszelkie inne rzeczy: panować, gromadzić skarby, budować, są jeno przydatkami i co najwyżej ozdoba.

Radość mi czyni widzieć generała armji, jak, u stóp wyłomu, do którego ma szturmować, swobodnie i próżen trosk zabawia się przy stole z przyjaciółmi... ..Wielkość duszy nietyle polega na tem, aby iść ku górze i naprzód, co aby umieć umiarkować się i ograniczyć. Wielkiem jest dla niej wszystko, co dostateczne; ukazuje swą wysokość w tem, iż bardziej lubi rzeczy pośrednie, niż strzelające wysoko wgórę. Niemasz nic równie pięknego i godnego, jak dobrze i należycie spełniać swą rolę człowieka: ani też niemasz wiedzy tak trudnej, jak umieć dobrze i wedle natury przeżyć to życie. Najdziksza ze wszystkich chorób, to gardzić naszą własną istotą.

Kto chce odsunąć swą duszę od ciała, niech uczyni to śmiało, jeśli zdoła, wówczas, gdy ciało będzie zdjęte chorobami, aby zbawić ją od tej zarazy. Poza tem, przeciwnie, niechaj mu ona towarzyszy i sprzyja; niech nie odmawia udziału w jego naturalnych przyjemnościach, lecz dzieli je jakoby z małżeńską przyjaźnią; wnosząc w nie, jeśli bardziej jest roztropna, umiarkowanie, i chroniąc, aby, przez nieopatrność, nie pomieszały się z przykrością. Nieumiarkowanie jest zakałą rozkoszy; umiarkowanie zaś nie jest ujmą, jeno przyprawą.

Mam swój zupełnie osobny słownik: spędzam czas, kiedy jest przykry i dolegliwy, zasię gdy jest luby, nie chcę go wówczas spędzać, jeno ogarniam go i przytrzymuję. Trzeba biec ze złem, a przysiądać z dobrem. One zwyczajne wyrażenia: zabijanie czasu i spędzanie czasu przedstawiają obyczaj tych roztropnych ludzi, którzy nie obrażają sobie lepszego użytku z życia, jak spychać je i umykać się mu, zabijając je, spędzać, i, o ile to w ich mocy, nie wiedzieć o niem i uciekać przed niem, jako przed rzeczą z natury omierzłą i godną wzgardy. Ale mnie widzi się życie w innej postaci; znajduję je i cennem, i miłym, ba, nawet w ostatnim jego schyłku, w który popadam. Natura dała nam je w ręce, przystrojone takimi i tak pomyślnymi okolicznościami, iż możemy uskarżać się jeno na siebie, jeżeli nas ciśnie, i jeśli się nam wymyka bez pożytku. Gotuję się stracić je bez żalu; ale dlatego, iż przeznaczone jest ku stracie ze swej istoty, a nie iżby było przykre i dolegliwe. Tym jeno właśnie przystoi nie znajdować goryczy w śmierci, którzy znajdują słodycz w życiu. Jest pewna gospodarność w korzystaniu zeń: ja korzystam dwa razy tyle, co inni, w użyciu bowiem miara zależy od mniejszej lub większej uwagi, z jaką się doń przykładamy. Dziś zwłaszcza, gdy moje życie widzi mi się tak krótkie co do czasu, chcę je pomnożyć co do wagi. Chcę zatrzymać rychłość jego uciekania rychłością mego chwytu; wydatnością korzystania wyrównać pośpiech jego odpływu. W miarę jak posiadanie życia staje się krótsze, trzeba mi je uczynić tem głębszem i pełniejszym.

Inni odczuwają słodycz zadowolenia i pomyślności; ja czuję je równie jak oni, ale nie tak mimochodem. Trzeba je rozważać, smakować i przetrawiać, aby oddać słuszny dank temu, kto nam ich użycza. Zażywają innych rozkoszy tak jak snu: bez świadomości. Iżby nawet spanie nie przemijało mi tak tępo, podobatem sobie dawniej w tem, aby mi je przerywano: niechbym miał jego świadomość. Każdą przyjemność rozważam i rozpamiętuję w sobie: nie zbieram jej po wierzchu, ale zapuszczam się w głąb; zmuszam swój rozum, który stał się zgryźliwy i zmierzony, aby ją przygarnął. Zdarzy mi się znaleźć w miłym, szczęśliwym usposobieniu? pobudzi mnie jakowaś rozkosz? Nie daję barszkować z nią samym jeno zmysłom; dopuszczam do udziału i duszę; nie aby ją omotać, ale aby rozerwać; nie aby się w tem zgubiła, ale aby się odnalazła. Skłaniam ją, aby i ona przejrzała się w zwierciadle w tym lubym stanie, aby rozważyła i oceniła moje szczęście, i pomnożyła je. W ten sposób może zmierzyć, ile winna jest Bogu, iż jest w spokoju ze swem sumieniem i z innymi wewnętrznymi namiętnościami; iż ciało, w którym mieszka, znajduje się w pomyślnym stanie, ciesząc się statecznie i należycie słodkimi i miłymi funkcjami, przez które Bogu podoba się w jego lasce wyrównać boleści, któremi sprawiedliwość jego smaga nas znowuż z kolei. Jakież to szczęście dla niej znajdować się w takowem miejscu, iż gdziekolwiek powiedzie wzrok, widzi spokojne niebo dokoła siebie: żadnego pragnienia, żadnej obawy lub wątpliwości, któreby jej mąciły horyzont; żadnej trudności przeszłej, obecnej, przyszłej, nad którą wyobraźnia jej nie przemknęłaby bez obrazy! Te względy nabierają wielkiego blasku przez porównanie z odmiennymi stanami: dlatego w tysiącach postaci przedstawiam sobie niedole, w które albo los, albo własna nieopatrność

wpędza nas tak łatwo. Kiedy patrzę na ludzi, którzy tak miętko i niedbale przyjmują własne szczęście, myślę, że tacy istotnie spędzają jeno czas. Mijają i zanedbują obecność i to, co posiadają, goniąc za czczą nadzieją, ścigając cienie i zwodne obrazy, które wyobraźnia nasuwa im przed oczy...

Ezop, ów wielki człowiek, ujrzał raz swego pana, jak oddawał urynek, przechadzając się: «A to co znów» — powiedział — «wnet tedy trzeba nam będzie bejać w klusie?» Oszczędzajmy czasu, ile chcemy, zawsze zostanie dosyć chwil spędzonych beczynnym lub źle użytym. Duch nie ma snuć dosyć innych godzin na dokonanie swych spraw, bez tego iżby się miał rozłączać z ciałem w tym krótkim przeciągu, który potrzebny jest dla jego konieczności! Chcą się wydobyć z samych siebie i wyzbyć się w sobie człowieka: to istne szaleństwo! Miał przemienić się w aniołów, przemieniają się w bydła, miał wzbąć się w górę, zniżają się. Owe nadobłoczne humory przerażają mnie, jako miejsca zbyt wyniosłe i niedostępne. Nic nie jest mi trudniej strawić w życiu Sokratesa, niż jego ekstazy i demony; zasię nic nie widzę bardziej ludzkiego w Platonie, jak to, dlaczego każą go nazywać boskim. Z umiejętności naszych, te zdają mi się najbardziej ziemskie i niskie, które są najwyżej wyśrubowane. Nie widzę nic równie małego w życiu Aleksandra, jak jego rojenia o własnej nieśmiertelności. Filotas przyjął mu bardzo ucieszenie w tym względzie, winszując listownie wyroczni Jowisza Amonskiego, który pomieścił go w rządzie bogów: «Dla ciebie samego bardzo się z tego cieszę; ale trzeba mi żałować ludzi, zmuszonych żyć wpodłe ciebie i służyć człowiekowi, który nie zadowala się miarą człowieka i przekracza ją».

Wdzięczny nadpis, jakim Ateńczycy czcili przybycie Pompejusza do ich miasta, zgodny jest z moim duchem:

Przez to najwięcej zbliżasz się do bóstwa,
Iżesz ludzkiego nie wzgardził ubóstwa.

Najwyższa to dojrzałość i jakoby boska: «umieć zażywać szczerze swego istnienia». Szukamy innego stanu dlatego, że nie rozumiemy użytku naszego; wychodzimy poza siebie, ponieważ nie wiemy, jak się zażyć. Próżno wszelako wspinać się na szczudła; i na szczudłach trzeba nam chodzić swojemi nogami; na najwyższym tronie świata i tak siedzimy jeno na własnym zadku. Najpiękniejsze życie jest, mojem zdaniem, to, które kształtuje się na wzór pospolity i ludzki, z porządkiem, ale bez cudu i bez przekraczania miary. Owoć starość potrzebuje, aby się z nią obchodzić nieco łagodniej. Polećmy ją dobremu Bogu, opiekunowi zdrowia i mądrości, ale mądrości ludzkiej i wesołej.

Tłum. Tadeusz Boy-Żeleński.

FRANÇOIS DE MALHERBE

(1555—1628)

ODA DO HENRYKA IV Z POWODU UPOKORZENIA MARSYLJI

Przepelnili lata czasie,
I dziś oto szczęsna pora,
W której wszystkie nędze nasze
Mają swego już doktora.
Długo niemi już bogowie
Piorunami grzmia w swej mowie,
By pyszalkom w pamięć wryły,
Że szaleństwa wszystkie ziemi
Szaleń... słomkami drobnymi
Wobec gniewu nieba sily!

Ludy, które w walk odmiećie
Piały ślubów hymn grobowy,
W jakież kwiaty przy tem święcie
Będą swoje wieńczyć głowy?

Z jakich ofiar dość obficie
Swą daninę dziś złożycie?
Jakie głębie morza strzegą
Perły, której blasków siła
Dziśby nam odzwierciedliła
Wierny symbol dnia takiego?

Buntowników wódz zażarty,
Cazaux, kolos nad kolosy,
Do otchłani wpadł otwartej,
Wykopanej dlań przez losy...
Z nim skonala walk ohyda,
Bo już Alcyd, syn Alcyda,
W którym dzisiaj stale gości
Genjusz Francji niezwalczony,

Już tyrańskie jego szpony
Na proch mieczem start wolności.

Różnobarwne losy świata
Podlegają prawu zmiany:
Ono ludzi tak przygniata,
Jak i morskich wód bałwany!
Życie piekłem raz — znów rajem,
Z dobrem zło się ściga wzajem,
Wszystko tak przychodzi w porze,
Jak mknie po jesieni zima;
A choć całość wciąż się trzyma,
Wiecznie przetrwać nic nie może.

Pięć lat Marsylja, skradziona
Prawemu posiadaczowi,
W szponach ciemńczy już kona,
Już walk, zda się, nie odnowi.

Nagle zmienna losów siła
Miastu wolność przywróciła.
Dziś jej żywot się nie dłuży,
Drży po troskach — w szczęściu cała,
Że, co wielbić wprzód musiała,
Podeptane dziś w kałuży.

Na wieść cudu Maurów plemię
Wystraszone drży w pokorze;
Echo świetnych walk nie drzemie,
Lecz rozbrzmiewa po Bosforze.
Wciąż powtarza je brat bratu
Z ponad Indu do Eufratu!
Choć się trwoga na nic przyda,
Memfis o swe drży siedlisko,
Jakby przy nim stał już blisko
Wskrzesezonego cień Gotfryda!

J. A. Świącicki.

MATHURIN RÉGNIER

(1573—1613)

SATYRA VIII

Natręt czyli przykry człowiek

Księdzu de Beaulieu, mianowanemu przez
Ichmość Króla biskupem w Mans.

Karolu, odprawiłem za grzechy pokutę.
Ty, co znasz ludzkie dusze a serce masz lute,
Sądź, czy mam słuszność, myśląc, że mi odpuszczono.
Słuchałem mszy niedawno, klęknęłam, gdy dzwoniono,
Niejeden prawiąc pacierz, wzrok w niebo, dłoń w dłoni,
Serce w płaczu, bom słyszał, jak tuż na ustrońi
Pobożniś bił się w piersi i jęczał bez miary;
Trzęsem się w trwodze piekiel, byłem pełen wiary,
Gdy młodzian fryzowany, wyniosły wąsami,
Galonami, butami i pióropuszcami,
Podszedł do mnie i rzekł, myśląc, że pochlebić trzeba:
«Dla poety z dni naszych zbyt patrzysz do nieba».
Ja, cywil, wstałem żwawo, pozdrawiam gorąco;
Rozradował się głupiec z głową siwiejącą
I znienna z ust jego wyszła ta przestroga:
«Dosyć dla cię, mój panie, co nie wierzysz w Boga».
Głupia ty oględności! Chciałem wyznać jemu,
Że poeta, gdy natręt, to — po pijanemu.
Zniżam głowę i płynnie, jakoby z pacierza,
Ma uprzejmość moc słówek grzecznych mu odmierza.
On wzajem słów układnych naniztał tysiące,
Dwornie mej dumie schlebia, wynosi nad słońce,
Tak słodko, żebym wołał z męką, co kark zgina,
Widzieć się biednym w Rzymie, w rękach żydowina.
Zaczem ujął me dłonie, usta wydał strojnie
I, przebierając nogą w miejscu niespokojnie,
Wznosząc, jak berberyjski ogier, swe kopyta,
Przeżuwa myśl połkniętą, bada mię i pyta:

«Apolla szczęsne dzieci, o wy, pięknoduchy,
 «Białogłów czule serca idą wam w posłuchy,
 «Umiecie je czarować gładkością swych wierszy,
 «Przed wszystkimi poeta u dam jest najpierwszy!
 «Lecz słuszna to zasługa: bezprzykładne cnoty
 «Godnym czynią cię, panie, tej grzecznej roboty». Nadął się, żem tą chwałbą mógł być poglądzony,
 Ja zaś dumny się stałem, jak kot okadzony.
 Czując, że ta rozmowa trąca o pałace,
 Za grzeczność mą grzecznością z uśmiechem mu płacę.

Pozwólmy, przyjacielu, niechaj się nagada,
 Niech mówi tysiąc razy: «Człek z nóg z tego pada!»
 Niech kiwa swoją bródką, wygląda myślenie,
 Włosem trzęsąc, niech mówi: «Na moje sumienie!»
 Kończynę rękawiczek niechaj pcha do gęby,
 Śmiejąc się bez przyczyny, szczerząc piękne zęby,
 Niech kręci się i szpadę wznosi, jak do walki,
 Niech wzrok mu się wywraca, jak oczy u lalki;
 Podczas gdy ja pokrótce opowiem ci szczerze,
 Gdzie ujrzałem raz pierwszy to natrętne zwierzę:

Byłem u pewnej damy, która (niech satyra
 Pozwoli, by mi tutaj zaśpiewała lira),
 Otoczona przedziwną cnót wielkich boskością,
 Jaśnieje duchem wielkim i wielką pięknością.

Z fanfaronem tym u niej znajomość zawarłem.
 Gadał, jakby olbrzymem był, a ja przy nim kartem.
 Miał wówczas aksamitny kapelusz na głowie,
 Minę księcia i głupstwo w płynącym z ust słowie,
 Choć na wstępie zapewnił słowem dziwnie słodkiem,
 Że jest na me usługi, chce być mym parobkiem.
 Wywracając oczyma, rzekł: «Piękna, co słyszę,
 «Głos pani wszystkie piękne duchy dziś kołysze!»
 I czyniąc sto grzeczności wyrazem i gestem,
 Rzekł, siadłszy na fotelu: «Przychodzę z protestem,
 «Bo umieram z miłości. Ten apel miłosny
 «Dla cię, pani. Z miłości ja jestem zazdrosny».
 Potem na inną nutę zapiał: «Me kolety,
 «Czyż nie są piękne? Ach, ten świat, niestety!
 «Znajomy pani rzekł mi, że miłość mu obca.
 «Sądzi pani, żem piękny, wyglądam na chłopca?
 «Trzewiczki moje ładne? Noga moja zgrabna?
 «Te jedwabie: to moda nowa i powabna;
 «To prosto z Chin. Rzec chciałem, by nie umkło z głowy,
 «Że przeciw zbyt kom dekret króla już gotowy».
 Na łokciu się podpiera, trzy guzy odpina:
 «Pocałuj mię, o pani: Czyż to grzech lub wina?
 «Ach, niegrzeczna Rozeto, ujrzysz, kto najpierwszy
 «Pożaluje, że nie był w swej miłości szczerzy».

Dość o tem. Tak poznałem to skończone bydle,
 Po którym czulem klucia, jak skóra po szydle.
 Zapewniam cię, że gdy odejść już byłem gotowy,
 Nie pytałem, kto zacz on, nie rzekłem: bądź zdrowy.
 Od tego dnia już więcej z nim się nie spotkałem,
 Gdyby nie to, że rankiem znów nieszczęście miałem

Zetknąć się z nim w kościele, jakem ci to prawil,
 Szatan chyba go przysłał, by mię przezeń zdławił.
 Po owych słówkach, o czem była tu już mowa,
 Ciężar spadł na mą duszę, jak chmura gradowa,
 Strzygłem uchem, na czoło wstąpił pot kroplisty,
 Zjeżyłem się, jak osieł w nogach narowisty,
 Myśląc, co mię nareszcie od tyrana zwolni.
 On w błędzie, że to respekt: «O! bez ceremonji,
 «Waszmość, prawi, toć żyjmy, jak dwaj przyjaciele».
 I jak garnkiem mną tocząc, po całym kościele,
 Pcha mię naprzód, pierwszego do wyjścia mię prosi,
 Bez czci dla świętych pańskich za kościół unosi,
 Uchodząc jak zadrośnik przed rywalem z donną.
 Przy wyjściu pyta: «Waszmość przybył może konno?
 «Ma pan tu swój oddziałik? Masz w nim ludzi siłę?»
 — Ja sam tu i piechotą. — On daje kobyłę.
 Ja zaś, by się go pozbyć, pośpiech czując w nodze,
 Rzekę: «Całuję rączki, już właśnie odchodzę,
 «Z obiadem wuj mię czeka». On na to: «Więc można
 Waćpanu towarzyszyć?» Jak wół zdjęty z różna
 Spuszczam głowę i mało już mi brakowało,
 By w ucieczce od niego poświęcić swe ciało,
 I własną głowę najpierw dać śmierci w opiekę,
 Rzucić się z mostu «Pont-Neuf» prosto w rwącą rzekę.
 Ów zaś ciągnie mnie z sobą w zamkowe podwórze,
 Tam sługę swego chwyta: «Ladreville, hej, nuże,
 «Nie czekajcie mię wcale. Kucharzom powiedzcie,
 «Że obiad będę dzisiaj spożywał na mieście».

Bóg wie, czy we łbie wszystkie ostały mi klepki!
 To nie wszystko. Długie pismo wyciąga z torebki.
 Zerknałem i drzę cały. Więc z jadłem w mej ślinie:
 «Złapać się nie dam, panie, na tej krętaninie,
 «To tamten zerknął, patrząc zukosa na pana».
 — «To nic. Tu mam poezje. Prosta, oklepana
 (Przyznaję, że prawdę rzekł chociaż raz o sobie)
 Jest jej forma. W czas wolny i ja rymy robię».

(W dalszym ciągu satyry poeta powiada, iż musiał słuchać wierszy wygłaszanych przez natręta, który, nie przestając na tem, wszczął rozmowę o królu i królowej, o dworze, Luwrze, miłośkach i wielu innych rzeczach. Nie wiedzieć, kiedy byłaby się skończyła ta rozmowa, gdyby nie nagłe wybawienie poety z opresji: zbliża się do natręta mężczyzna i aresztuje go, wykazując się urzędowym pismem. Poeta składa dzięki Bogu za cudowne ocalenie go od natręta.)

Tłum. Józef Gluziński.

VINCENT VOITURE

(1598—1648)

SONET

Trza mi skończyć z Uranją chwile miłościwe!
 Ni czas, ani rozłąka z tego mię nie zleczy,
 I nie widzę, by k'temu pomoc znaleźć w rzeczy,
 By kto wolność mi zwrócił, tnąc więzy dotkliwe.
 Zdawna już wiem, że serce jej nielitościwe!
 Lecz myśląc o piękności, będącej mą zgubą,

Błogosławię męczarnie i śmierć mi jest lubą,
 I nie wiem, czy mam winić losy nieszczęśliwe.
 Zrzadka tylko mój rozum marnem rozmyśleniem
 Zachęca mię do buntu, chce być mem zbawieniem.
 Lecz gdym ufny w potrzebie, że pomoc mi dana,
 Gdy w cierpieniach od niego spokoje zawisły,
 On rzece, że Uranja jest piękna, kochana,
 I wikła mię tem snadniej, niż wszystkie me zmysły!

Tłum. Józef Gluziński.

MADELEINE DE SCUDÉRY

(1607—1701)

WIELKI CYRUS

Markiza de Rambouillet (portret pod imieniem Kleomiry)

Jeśli pragniecie uzmysłwić sobie jej piękność, godną podziwu, to wyobraźcie sobie, jak sama piękność wygląda. Nie żądam bynajmniej, abyście przedstawiali ją sobie w postaci, jaką obdarzają sławni malarze Wenerę, albowiem nie byłaby bardzo skromna; ani Palladę, gdyż byłaby nazbyt dumna; tem mniej Junonę, gdyż nie byłaby dość czarująca; nawet nie Dianę, bo zanadto byłaby nieokrzesana; powiem wam, że dla przedstawienia sobie Kleomiry należałoby z postaci, jakie się daje tym wszystkim boginiom, utworzyć właściwe znamię ich piękności, a może powstałby obraz do niej podobny. Kleomira jest wysoka i okazała; każdy rys jej oblicza jest piękny; nie da się wyrazić delikatność jej cery. Powaga jej osoby jest godna podziwu i odzwierciedla się w oczach o blasku przedziwnie pięknym, przez co wzrok jej napawa duszę tych, co na nią patrzają, niemym szacunkiem.

Nareszcie umysł i dusza tej nadzwyczajnej osoby przewyższają jej piękność zewnętrzną: pierwszy nie ma granic w swych bezmiarach, dusza zaś nie ma sobie równej w swej wspaniałości, w dobroci, stałości, sprawiedliwości i niewinności. Umysł Kleomiry czerpie swoje światło z daru natury. Pielęgnowała go troskliwie. Śmiało rzeć mogę, iż niema tak wytwornych myśli, którychby umysł ten nie potrafił sobie zdobyć. Kleomira zna obce języki i przyswaja sobie wszystko to, co zasługuje na poznanie. Nie chęłpi się jednak swoją wiedzą i nie daje odczuwać swojej wyższości towarzystwu i otoczeniu, w którym przebywa. A jednak zna się na wszystkim: najwyższa wiedza jest jej dostępna; posiada najzawilsze wiadomości o sztuce; wybudowano pałac według jej wzoru, pałac najsłynniejszy w świecie; zdołała ona stworzyć pałac obszerny, choć na małej przestrzeni. Wszystkie jego wnętrza i urządzenia odznaczają się czystością, prawidłowością i porządkiem; wszystko tam jest wspaniałe, nawet drobiazgi: lampy wyróżniają się niezwykłością; kredensiki, pełne tysiąca rzadkich przedmiotów, pozwalają stwierdzić dobry smak ich wyboru; powietrze pachnie zawsze perfumą w jej pałacu; przeróżne wspaniałe kosze z kwiatami sprawiają, że w jej pokoju jest ciągle wiosna, jej właściwy zaś przybytek jest tak miły i pięknie urządzony, iż sprawia wrażenie czarodziejskiego miejsca, zwłaszcza gdy ona w nim się znajduje. Nakoniec, nikt nigdy nie miał tak wielkiej subtelności w znawstwie sztuki, literatury i poezji, jak ona.

Tłum. Józef Gluziński.

PAUL SCARRON

(1610—1660)

ROMANS KOMICZNY

W gospodzie ruch jeszcze panował, gdy ujrzano przybywającego człowieka, duchownego z wyglądu, w towarzystwie dwóch innych, pełnych dla niego uszanowania, co pozwalało wnioskować, że był ich przełożonym. Skoro tylko weszli do gospody,

wówczas jeden z nich udał się do kuchni, gdzie gospodarz popijał z Rancunem i Olive, i zażądał pokoju dla dziekana z Montfortu. Zaniepokoiło to gospodarza, bo najlepsze pokoje były już zajęte. Jednak zażyłość z Rancunem, spowodowana częstym przesiadywaniem z nim przy kieliszku, umożliwiła mu zwrócenie się do niego z prośbą, aby na tę jedną noc odstąpił swój pokój dziekanowi. Rancune zgodził się, bo nie śmiał odmówić; żałował jednak sam siebie, gdyż wiedział od jednego z pacholików, iż dziekan przybył do Mans w sprawie kapituły w Montforcie, przewidywał zatem dłuższy jego pobyt. Umysł Rancune'a, pełny wybiegów i figielków, zdobył się natychmiast na fortel, zmierzający do usunięcia dziekana. Przyczepił się więc do niego, tytułując go opatem, i wślizgnął się w jego serce pochlebstwem i łgarstwem. Dziekan zaprosił nowego towarzysza do biesiadnego stołu. Rancune niby to się wymawiał, aby uczynić się ważniejszym, aż wreszcie wyraził swą zgodę. Wówczas dziekan przywołał swojego pacholka, który, jeżeli się nie mylił, nazywał się Ambroży, i szeptał mu coś długo do ucha. Nie wiem, co mu tam powiedział, lecz Rancune mniemał, jakoby dziekan pacholkowi wydawał rozkazy dotyczące uczty. I nie pomylił się, gdyż niebawem zastawiono dla nich dostatni posiłek. Dziekan spożywał z apetytem, a Rancune niezgorzej, tak jak się to jada na koszt drugiego. Wino smakowało im wyśmienicie i pili je z miną wytrawnych znawców. Gdy trochę już w czubach mieli, Rancune opowiedział dziekanowi o tem, co zdarzyło się dzisiaj w gospodzie, i wyraził przekonanie, iż w tym domu straszą duchy. Dziekan, który niewątpliwie nie miał wykształcenia sorbońskiego, powodował się w sprawach czarownic i duchów bojaźnią; był więc przerażony tem, co usłyszał z ust Rancune'a.

Ambroży utwierdził swego mistrza w bojaźni, bo już mu w kuchni o strachach opowiedziano. Rancune zaś, widząc ich łatwowierność, dodał jeszcze więcej, tak, że im obu całkiem pozawracał głowy. Przerywali sobie rozmowę częstym popijaniem. Zabawiali się tak przez długi czas, poczem Ambroży poszedł wieczerzać z przyjacielem, mającym pieczę nad końmi, dziekan zaś, mocno znużony i nadmiarem picia zmorzony, usnął na krześle.

Rancune przypomniał sobie, że aktorzy zgromadzali się zazwyczaj w gospodzie na próby, a ponieważ musieli zbadać sprawność pewnej maszyny, zatem Rancune wpadł na myśl zerwania jednej deski w izbie Olivego, która znajdowała się nad nimi. To umożliwiło aktorom wyjmowanie tej deski tak, że nikt nie mógł tego zauważyć, poczem do jednej z belek przywiązawszy kółko, mogli oni próbować działalność swej maszyny, ilekroć zachodziła potrzeba. Gospodarz jednak nic o tej konstrukcji nie wiedział. Tą zatem maszyną postanowił posłużyć się Rancune celem wykurzenia dziekana z zajętej izby. Przygotowawszy więc wszystko do wykonania swojego zamiaru, usiadł w krześle i udał, że śpi, a nawet, że chrapie, jak dziekan. Ich sen przerwał Ambroży, który przyszedł, aby na spoczynek ułożyć swego pana. Rancune niby spał mocno, aż obudził się naostatku. Tysiąc razy przeprosił za to dziekana i, życząc mu spokojnej nocy, wyszedł. Ambroży, który tymczasem nagadał się z innymi pacholkami o strachach, mając wyobraźnię niemi zaprzątniętą, zaczął znowu o nich dyskurs ze swoim panem, gdy go rozbiierał. Napędził mu przez to tem większej bojaźni, walcując ciągle rozmowę o duchach.

Oczywiście, mocno bojaźliwy dziekan rozkazał pacholkowi położyć się w izbie na podściółce, a dla większej ostrożności polecił mu zapalić lampę, która miała się świecić przez całą noc. Po skutecznieniu tych rozporządzeń obaj udali się na spoczynek. Tymczasem Rancune wdział na się kostjum teatralny, w który aktorzy ubierali się wtedy, gdy chcieli udawać djabła. Wnioskując, że dziekan i jego pacholek już śpią, owinał się powrośłem i przy pomocy Olivego spuścił się do izby dziekana, którego zamierzał wziąć na barki i wynieść na sam szczyt domu. Okazało się jednak, że dziekan był zbyt ciężki, należało tedy zadowolić się napędzeniem mu porządnego stracha, przy błędem świetle migającej lampy.

Biedny dziekan tak się przeraził, że nawet nie mógł krzyknąć, a fałszywy diabeł, uważając, że pacholek jest o wiele lżejszy, wziął go na plecy i, dawszy znak Olive, uniósł się ze swą ofiarą do góry. Wyobraźcie sobie zdziwienie i przerażenie dziekana, gdy ujrzał swojego pacholka w podniebnej podróży. Tymczasem Ambroży

obudził się i począł wrzeszczeć coniemiarą, tak, że Rancune musiał go wynieść na schody. Krzyk pacholka postawił na nogi całą gospodę. Sami zaś Rancune, po dokładnem umieszczeniu deski w otworze i po przebraniu się, nadbiegł do miejsca, skąd rozlegały się krzyki, a poznavszy, że to był Ambroży, udał się natychmiast do izby dziekana, którego ujrzał więcej spoconego, niż po dobrej łaźni. Wkrótce izba zapelniła się ludźmi. Poczciwy dziekan, który ciągle wyobrażał sobie, że zobaczył prawdziwego djabła, zażądał spowiednika. Myślano, że nagle zasłabł, posłano tedy służącego onej gospody, aby zbudził w sąsiedztwie mieszkającego księdza, który istotnie przybył niebawem. Dziekan, opanowawszy się nieco, począł opowiadać o tem, co zaszło, jednak wszyscy myśleli, iż on opowiada, co mu się śniło. Obecność pacholka, którego przyprowadzono, zdziwiła go doreszty, bo wyobrażał go sobie już w piekle. Przysięgał na wiarę, że widział cały legjon demonów, uprowadzających pacholka. Nie ośmielił się tylko powiedzieć, że owe demony chciały i jego uprowadzić, gdyż się obawiał, iż ludzie źle będą sądzić o jego obyczajności. Rancune ze swojej strony udowadniał, że to wszystko jest niemożliwe. Za jego przykładem wszyscy w gospodzie powtarzali sobie, że dziekan śnił tylko. Pacholek zapewniał, iż nie widział i że tylko przypomina sobie wrażenie, jakby go ktoś niósł. Biedny dziekan o mało nie oszalał, ponieważ nie dawano mu wiary.

Grzeczny zaś ksiądz, który go przyszedł spowiadać, mniemał, że dziekan dostał obłąkania. Spodziewał się przywrócić go do równowagi duchowej mocą swoich rozmów uczonych, ofiarował mu tedy gościnę w swoim domu, którą z wdzięcznością dziekan przyjął. Księżyna tak się nim zajął gorliwie i tyle mu na początek zaczął kazań prawić, że dziekan poniechał swoich spraw, po które przyjechał, i następnego zaraz dnia udał się zpowrotem do Montfortu. Tam tak dokładnie przedstawił mieszkańcom swoją przygodę, że po dzień dzisiejszy przysięgają oni na prawdziwość jego zdarzenia.

Tłum. Józef Gluziński.

PIERRE CORNEILLE

(1604—1684)

C Y D

Tragedja w 5 aktach

Akt IV, scena I

Szimena, Elwira.

- Szimena: Elwiro, czyli to może
 Pogłoski, wrzawa fałszywa,
 Że się Rodrygo znów sława
 Wybawcy ojczyzny okrywa?
 Dłoń, co mi ojca wzięła,
 Ojczyzny zbawicielką?
 Okrył się, mówisz, sławą?
- Elwira: I jeszcze jaką wielką!
 Maurowie przed nim pierchli wlot;
 On lamie ich jak młot,
 Że precz musieli zbiec.
 Trzy godziny ledwo walka trwa,
 On, już zwycięski, precz ich gna.
 W niewolę bierze królów dwóch,
 Rozbija wszystko w puch.
- Szimena: I cóż, że Maurów ściga precz,
 Gdy ojca zabił ten sam miecz.
 I cóż, że Maurów dłoń ta gnie,
 Gdy szczęście moje wydarł mnie.

- Chociażby nawet królów stu
W niewolę wziął, w kajdany skuł,
Niedoli nie przebaczyć mu:
On niegdy miłość dla mnie czuł. — —
I któż te wieści głosi?
- Elwira: Lud,
Uważa go za cud.
Sława się szerzy z miast do miast.
Zda się, że niebios sięgnie czołem,
Że czołem sięgnie gwiazd.
- Szimana: Cóż na to mówi król?
Zazdrośnie może zmarszczył brew
I skrycie waży gniew?
- Elwira: O nie! Król wdzięczen za przysługę,
Rad laurem przyjmie sługę.
Jednak Rodrygo po dziś dzień
Na dworze sam nie stawił się.
Don Diego zdobyecz przywiózł zań,
By ją królowi złożyć w dań.
Błaga, że wart litości syn,
Co Maurów wyciął w pień;
Litości godzien za ten czyn,
Wart zapomnienia dawnych win.
- Szimana: Czyli jest ranny może?
- Elwira: Nie.
Nie, o tem nikt nie mówił mnie.
Może... Cóż z lic ubiegła krew?
Nikt o tem nic nie mówił mnie.
- Szimana: Co się z nim dzieje, nie wiesz o tem?
Czy może co się stało?
Tam śmierć ich kładła krwi pokotem;
Czy jego szczęście mu sprzyjało?
Tylu poległych tam zostało?
Ty nie wiesz, czyli on zpowrotem? — —
Czyli się w zgonie okrył chwałą,
Czyli zwycięskim wraca lotem?
Wyrzekłaś, że na licu zbladła:
Miłość z rumieńców mnie okradła. — —
Lecz wstyd. Przygasaj twarzy płomień;
Wszakci żalobne noszą szaty,
Żałoba w całym moim domie;
Niezastąpionej płaczę straty.
Precz, z żarem igras nieświadomie;
Więzień, za ciężkie pchnięta kraty,
Żagiew gasnąca w ruin złomie —
Wszakże dług zemsty mam do splaty?!
Całun żalości, strój złowrogi:
Przepych dziś dla mnie cały.
Dar ten rzucają mi pod nogi
Ręce, co lauru w krwi sięgały.
Jakoż się z losem serce zgodzi?
Całunie, dzierz nienawiść w sile!
Niech myśl o zemście nie przygasa,
Choć serce zbudzi się przez chwilę.
- Elwira: Pani, Infantka tu nadchodzi.

Akt IV, scena III

Don Fernand, Don Rodrygo, Don Diego, Don Arias, Don Sanszo, Dwór i Rycerstwo.

- Don Fernand: Ścigan byłeś przeze mnie, a za rzeczy biegiem
Wracasz mi bohaterem — ty, co byłeś zbiegiem.
We czci całej Kastylji, w sławie ród twój dawny;
Lecz ty przerosłeś wiele ojców poczet sławny,
Chwałą własną sięgnąwszy aż ku mojej sławie,
Iżes mieczem przysłużył się ojczystej sprawie.
Ocaliles ojczyznę, wroga precz zgoniles:
Zanim ja byłem powstał, już ty — czynny byłeś.
Czynem w chyżości ubiegłeś mnie, Pana,
W którego ręce troska ojczyzny oddana.
Maurowie precz wyparci li twojem ramieniem.
Czyli mam dosyć mienia, dostatków i złota,
By nagrodzoną była twa dzielność i cnota
Zgodnie z mą powinnością i króla sumieniem?
Królowie, jeńce dwaj, Cydem cię zwali
W obliczu mem. Noś imię: Cyd, któreć przydali.
Gdy zaś w ich obcej mowie «Cyd» znaczy: potężny —
Noś imię to, rycerzu, za czyn twój orężny,
Ostań postrachem Maurów: w Grenadzie, w Toledo
Niechaj za twym rydwanem jeńce skute wiedą.
Dłużnym ostanę mimo, bym chciał zbyć wdzięczności.
Równem mnie, równe prawo masz w ludu miłości.
- Don Rodrygo: Wszystko, co byłem czynił, nie dla się, ni żołdu,
Ni wdzięczności się czuję godny, ani hołdu.
Uważam za powinność i szczęsną mą dolę,
Jeśli mogę ojczyźnie dać siły w niewolę,
Jeśli mogę królowi wiernym służyć sługą.
Nie mierzyć chwalby danej mnie — z moją zasługą.
- Don Fernand: Chociaż czynisz powinności, li co honor każe,
Niekażdy rzuci krew swą ojczyźnie w oltarze.
Nie starczy wierny sługa. Mąż wielkiego ducha,
Ten dopiero ojczyzny skarg i wołań słucha.
Przymj cierpliwie pochwały za twoje zwycięstwo.
Niechaj nam długa powieść — opowie twe męstwo.
Chcę sam z ust twych usłyszeć, co dotąd ocena
Publicznej głosi wieści.

Thum. Stanisław Wyspiański.

JEAN-BAPTISTE POQUELIN MOLIÈRE

(1625—1673)

ŚWIĘTOSZEK

Komedja w 5 aktach

Akt II, scena I

Orgon, Marjanna.

- Orgon: Marjanno!
- Marjanna: Ojcze?
- Orgon: Zbliż się... chcę z tobą w sekrecie
Pomówić.
- Marjanna: Szukasz czego, ojcze, w gabinecie?

- Orgon: Patrzę tylko, czy nikt nas stamtąd nie podsłucha;
Kącik to jak stworzony dla skrytego ucha.
Do rzeczy, gdyśmy sami... Przyznam, moja duszko,
Że umysł masz spokojny, łagodne serduszko.
Zawsze byłaś mi drogą, niby oko w głowie...
- Marjanna: Wdzięczności za tę miłość serce nie wypowie,
Orgon: Bardzo słusznie... Usilnie bacz więc, córko miła,
Byś woleł mą spełniając, na nią zasłużyła.
- Marjanna: Szukam w tem chluby, ojcze.
Orgon: Dobrze. Wyśmienicie.
O mym gościu Tartufie, co mówisz, me życie?
- Marjanna: Ja?
Orgon: Ty. — Powiedz rozważnie, jak mądra osoba...
- Marjanna: Mój Boże... Powiem wszystko, co ci się podoba...

Scena II

Ciż sami. Doryna wchodzi na palcach i kryje się za Orgonem.

- Orgon: Bardzo mądrze... Odpowiedź daj mi taką zatem:
Że człek ten cnót i zasług jaśnieje szkarlatem,
Że wzruszył twe serduszko, że tęskni twe łono,
By z rodzica wyboru jego zostać żoną!
Cóż?
- Marjanna: Co?
Orgon: Mówże!
- Marjanna: Co każeś?
- Orgon: Ja?
- Marjanna: Omyłka może?
- Orgon: Jakto?
- Marjanna: O kim to każeś mówić mi, mój Boże,
Że wzruszył... mi serduszko, że tęskni me łono,
By z twojego wyboru jego zostać żoną?
O Tartufie.
- Orgon: Przysięgnę, prawdy w tem ni słowa...
- Marjanna: Kłamstwa takie wygłaszać, niech mnie Bóg uchował
Orgon: Otóż kłamstwo rzekome w prawdę wnet przemienię.
Dość ci tego, iż takie mam postanowienie!
- Marjanna: Jakto... Chciałbyś więc, ojcze...
- Orgon: Tak jest. Pragnę żywo
Z krwią mą złączyć Tartufa przez ślubne ogniwo.
Wola ma, by twym mężem był z Bożą pomocą;
Co do twoich zaś pragnień...
- (Spostrzegając Dorynę)
- Aspanna tu poco?
- Doryna: Ciekawość to nad miarę. Cóżto, ma kochana,
Śmiesz tu w sposób podobny podsłuchiwać pana?
Zaprawdę nie wiem, panie, skąd pogłoska cała,
Czy z przypuszczeń wysnuta, trafem czy powstała,
Lecz wieść o tem małżeństwie mego doszła ucha;
Plotki te mam za fraszki, których nikt nie słucha...
- Orgon: Alboż co? To tak wiary niegodne?
- Doryna: Niel... Szczerze
Wyznam: sam pan mi powtórz, a ja nie uwierzę.
Orgon: Aby wzbudzić w was wiarę, mam ja sposób właśnie...
- Doryna: To! To! Chcesz pan zabawne prawić nam tu baśnie!

- Orgon: Prawię — o czem przekona się wnet, kto uparty.
 Doryna: Bzdurstwa!
 Orgon: Córko, co mówię, zgola to nie żarty!
 Doryna: Jeszcze czego! Panienko, nie wierz wcale papie...
 Figle stroi...
 Orgon: Powtarzam.
 Doryna: Już nas pan nie złapie!
 Nikt temu nie da wiary.
 Orgon: Kto mój gniew rozsroży...
 Doryna: Tak? Dobrze; więc wierzymy. Dla pana tem gorzej!
 Jakto? Czy to podobna? Pan z takim rozsądkiem
 I z brodą tak potężną, chciałbyś z tem dziewczątkiem
 Takie począć szaleństwo?...
 Orgon. Słuchaj-no, asanna!
 Skąd taka poufalość dziwna i naganna?
 Znosić tego nie myślę; niech mi to ustanie!
 Doryna: Mówmy, proszę, bez gniewu, łaskawy mój panie...
 Nieprawdaż? Pan drwisz z ludzi, z intryg tych i plotek?
 Córka pańska nie myśli przystać do dewotek...
 Również inne, wznioślejsze jego są zajęcia...
 A potem — cóż ci przyjdzie z tak świętego zięcia?
 Dla człowieka z majątkiem, warteż to mozoty,
 Łączyć się, z kim? z hołyszem!
 Orgon: Milcz! Jeżeli goły,
 Wiedz: dlatego niech właśnie cześć mu każdy przyzna.
 Golizna ta — bezsprzecznie święta to golizna,
 Co nad wszelkie wielkości k'niebu go porywa;
 Jeżeli zaś ogolocić tak się dał z grosiwa,
 To z pogardy szlachełnej dla doczesnych rzeczy,
 Wieczność samą jedynie mając wciąż na pieczy.
 Atoli w mych zasobach środki tkwią bogate
 Do wybrnięcia z kłopotów... Tak odbilby stratę
 Lennictw, o których w kraju wieść krąży nielada!
 Jak go widzisz, to szlacheć z dziada i pradziada.
 Doryna: On tak twierdzi... Chępliwa próżność, proszę pana,
 Z istotną pobożnością para niedobrana.
 Kto żywot wieść chce święty w prostocie gołębiej,
 Tego ród i nazwisko ni grzeje, ni ziębi,
 Gdyż pokory zasada i cichej pokuty
 Wcale blasków nie znosi rozkielznanej buty.
 Skąd ta pycha?! Jak widzę, pana to uraża?
 Mówmy więc o osobie, puśemy — dygnitarza...
 I pan miałbyś sumienie, ojciec takiej córy,
 Takiego znieść człowieka potworne konkury?

Akt III, scena II

Tartufe, Doryna.

- Tartufe (*Spostrzegając Dorynę, woła na swego sługę za sceną*):
 Wawrzyńcze! Dyscyplinę sprzątnij z włosiennicą
 I módl się, niech cię Nieba w lasce swej oświeca.
 Gdyby pytał kto o mnie, pośpieszam do wieży
 Z jałmużną, gdyż o więźniach pamięć mieć należy.
 Doryna: (*na stronie*) O morze samochwalstwa! O przesady wzorze!
 Tartufe: Chcesz czego?

- Doryna: Mam oznajmić —
 Tartufe: (*dobytując chustki z kieszeni*) Przestań!... O Mój Boże,
 Masz tu chustkę; bierz panna i stań na uboczu.
 Doryna: A to co?
 Tartufe: Zakryj łono, niech nie gorszy oczu.
 Przedmiotów takich widok ostrzem w dusze godzi,
 I myśli na zdrożności manowce zawodzi.
 Doryna: Na pokusy pan czuł, jak widzę, a ciała
 Widok na zmysły pańskie zbyt wrażliwie działa!
 Zaprawdę, co za ogień ogarnia go, nie wiem;
 Co do mnie, nie tak skoro płonę tem zarzewiem:
 Choćby mi naguteńka błysła twa figura,
 Pokus we mnie nie wznieci cała pańska skóra!
 Tartufe: Żądam, by nieco skromniej ze mną rozmawiano,
 Lub natychmiast ustąpię, dając za wygraną!
 Doryna: Przeciwnie, ja to pana w spokoju zostawię;
 Powiedziawszy dwa słowa, piorunem się sprawię:
 Do tej dolnej komnaty zejść zamierza pani
 I pyta, czy pan chwilkę poświęcić chcesz dla niej?
 Tartufe: Owszem!... Pragnę...
 Doryna: (*na stronie*) Jak mięknie! Oko już łaskawsze...
 A co? Czy nie mówiłam? Mam ja słusność zawsze.
 Tartufe: Rychłóż przyjdzie?
 Doryna: To ona! — Tak, słuch mnie nie myli.
 Czas odejść, byście z sobą państwo pomówili.

Tłum. A. Urbański.

JEAN DE LA FONTAINE

(1621—1695)

B A J K I

Kruk i lis

Księga I, bajka II

Bywa często zwiedzionym,
 Kto lubi być chwalonym.
 Kruk miał w pysku ser ogromny.

Lis, niby skromny,

Przyszł do niego i rzekł: «Mily bracie,
 Nie mogę się nacieszyć, kiedy patrzę na cię.

Cóż to za oczy!

Ich blask aż mroczy.

Czyż można dostać

Takową postać?

A pióra jakie!

Lśniące, jednakie;

A jeśli nie jestem w błędzie,

Pewnie i głos śliczny będzie».

Więc kruk w kantaty: skoro pysk rozdziawił,

Ser wypadł, lis go porwał i kruka zostawił.

Tłum. Ignacy Krasicki.

Wilki i baranek

Księga I, bajka X

Racja mocniejszego zawsze lepszą bywa.

Zaraz wam tego dowiodę.

Gdzie bieży krynica żywa,

Poszło jagniątko chlipać sobie wodę.

Wilki tam, naczco nadszedłszy, szukając napaści,

Rzekł do baraniego syna:

«A któż to ośmielił waści,

Że się tak ważysz mącić mój napitek?

Nie ujdzie ci bezkarnie tak bezecna wina».

Baranek odpowiada, drżąc z bojaźni wszystek:
«Ach, panie dobrodzieju! racz sądzić w tej sprawie
Łaskawie.

Obacz, że niżej ciebie, niżej stojąc zdroju,
Nie mogę mącić pańskiego napoju».

«Co, jeszcze mi zadajesz kłamstwo w żywe oczy?

Poczekaj, języku smoczy;

Przed rokiem zelżyłeś mnie paskudnemi słowy».

«Ja zaś jeszcze i na to poprzysiąc gotowy,
Że mnie zeszłego roku nie było na świecie».

«Czy ty, czy twój brat, czy który krewny,

Dość, że tego jestem pewny,

Że wy mi sławę szarpiecie;

Wy, pasterze i z waszą archandryją całą
Szczekacie na mnie, gdzie tylko możecie;

Muszę tedy wziąć zemstę okazałą!»

Po tej skończonej perorze

Capes jak swego i zębami porze.

Tłum. Stanisław Trembecki.

Zajac i żaba

Księga II, bajka XIV

Szarak, co nieraz bywał w kłopotach i trwogach,

Nie tracąc serca, póki czuł się rączy,

Teraz podupadł na nogach,

Poczuł, że się źle z nim skończy.

Więc jęknął z głębi serca: «Ach, niemasz pod słońcem

Lichszego powołania, jak zostać zajacem!

Co mię w dzień pies, lis, konik, kania

I wrona,

Nawet i ona,

Jak chce, tak gania!

A w noc, gdy drzemię, oko się nie zmruża,

Bo lada komar bzyknie przez siatki pajęczę,

Wnet drży mi serce zajęcze,

Tchórząc trwożliwiej od tchórza.

Zbrzydło mi życie, co jest wiecznym niepokojem:

Postanowiłem dziś je skończyć samobojem.

Żegnaj więc, miedzo, lat mych wiosnianych kolebko!

Wy, kochanki młodości, kapusto i rzepko,

Pożegnalnemi łzami dozwólcie się skropić;

Oznajmuję wszem wobec, że idę się topić».

Tak z płaczem, gdy do stawu zwraca kroki słabe,

Po drodze stąpił na żabę.

Ta mu, jak raca, drgnąwszy z pod nóg, szusła

I z góry na łeb w staw plusła.

A zajac rzekł do siebie: «Niech nikt nie narzeka,

Że jest tchórzem, bo cały świat na tchórzu stoi:

Każdy ma swoją żabę, co przed nim ucieka,

I swego zająca, którego się boi».

Tłum. Adam Mickiewicz.

Góra w połogu

Księga V, bajka X

Wieku płodnego w cuda i dziwy,
Mówią, że Babia tak się wzdęła góra,

Iż wszelki na świecie duch żywy
I cała nawet złękla się natura.

Strasznego nazbyt coś miała porodzić;
 Gdy już zaczęła pora nadchodzić,
 Ogromnym stękiem jawiła swe bole;
 Wstrzęsły się lasy i pobliskie pole,
 Uwięzły w swych brzegach rzeki,
 Wszystkie pagórki, wszystkie okolice
 Zważają na tak dziwną tajemnicę.
 Nie było jeszcze to nigdy przed wieki.
 Wszyscy i ze wsi, i z miasta,
 I mężczyzna, i niewiasta
 Zbiegli się na ten widok, i zdaleka,
 Co stąd wyniknie, każdy patrząc — czeka:

Rzecz bowiem nowa i cud, daj go Bogu,
 Góra w połogu.
 Wszyscy w zdumieniu mówią: «Obaczymyż,
 Co tak ogromne brzemie
 Wyda na ziemię».
 Aż tu w tem drobna wypadnie mysz.
 Przypowieść owa, często prawdziwa,
 Z tej tu potwierdza się góry,
 Że z wielkiej zazwyczaj chmury
 Mały deszcz bywa.

Tłum. Stanisław Trembecki.

Myszka, kot i kogut
 Księga VI, bajka V

Coby to była za szkoda!
 O mało nie zginęła jedna myszka młoda,
 Szczera, prosta, niewinna; przypadek ją zbawił.
 To, co ona swej matce, ja wam będę prawil:
 «Rzuciwszy naszych kryjówek głębiny,
 Dopadłam jednej zielonej równiny,
 Dyrdając jako szczurek, kiedy sadło śledzi;
 Patrzę, aliści dwoje zwierząt siedzi.
 Jeden z nich trochę dalej, z milczeniem przystojnem,
 Łagodny i uniżony;
 Drugi zaś zdał mi się być burdą niespokojnym:
 W żółtym bucie z ostrogą chodził napuszony,
 Ogon zadarł do góry
 I lśniącemi błyskał pióry;
 Głos przeraźliwy, na łbie mięsa kawał,
 Jakgdyby kto powykrawał.
 Ręce miał, któremi się sam po bokach śmigał,
 Albo na powietrze dźwigał.
 Ja, lubo z laski boskiej dosyć jestem śmiała,
 Ażem mu srodze nakłęła,
 Bo mnie z strachu drzączka wzięła,
 Jak się wziął tuc z tartasem obrzydły krzykała.
 Uciekłam tedy do jamy.
 Bez niego byłabym się z zwierzątkiem poznała,
 Co kożuszek z ogonkiem ma tak, jak my mamy.
 Minka jego nienadęta,
 I choć ma bystre ślepięta,
 Dziwnie mi się z skromnego wejrzenia podobał:
 Jak nasze, taką samą robotą ma uszka,
 Coś go w nie ukąsiło, bo się łapką skrobał:
 Szłam go poiskać, lecz mi zabronił ten drugi
 Tej przyjacielskiej usługi,
 Kiedy nagłego narobił łoskotu,
 Krzyknąwszy na mnie z gniewem: «Kto to tu? kto to tu?»
 — «Stój» — rzecze matka — «córko moja luba,
 Aż mrowie przechodzi po mnie!
 Wiesz-li, jak się ten zowie, co siedział tak skromnie?
 Kot bestja, rodzaju naszego zagubał
 Ten drugi był to kogut; groźba jego pusta

I przyjdą może te czasy,
 Że z jego ciała będziem jeść frykasy,
 A zaś kot może nas schrusta.
 Strzeż się tego skromniska, proszę cię jedynie,
 I tę zdrową maksymę w swej pamięci zapisz:
 Nie sądź nikogo po minie,
 Bo się w sądeniu poszkapisz».

Tłum. Stanisław Trembecki.

Jeleń przeglądający się
 Księga VI, bajka IX

Razu pewnego, w przezroczystej wodzie,
 Przypatrywał się jeleń swej urodzie.
 Sam się dziwił cudności rosochatych rogów,
 Lecz, widząc swoje nogi cienkie jak badyle,
 Gorzko narzekał na bogów:
 «Gdzie proporcja! głowa tyła, nogi tyle!
 Me rogi mnie równają z wysokimi krzaki,
 Lecz mnie ta suchość nóg szpeci».
 A wywierając żal taki,
 Obejrzy się, aż tu doń obces ogar leci;
 Niebardzo dalej psiarnia szczeka rozpuszczona.
 Strach go w głęboki las niesie,
 Lecz rączość jego nieco jest spóźniona,
 Bo mu się rogi w gęstym zawadzają lesie.
 Uciekł przecie, ale mu ogary
 Podziurawiły mocno szarawary.

Kto kocha w rzeczach piękność i zysków się wstydzi,
 Częstokroć się takimi pięknościami gubi,
 Jak ten jeleń, co swemi nogami się brzydzi,
 A szkodną ozdobę lubi.

Tłum. Stanisław Trembecki.

FRANÇOIS VI DUC DE LA ROCHEFOUCAULD
 (1613—1680)

MAKSYM Y I MYŚLI MORALNE

Miłość własna jest największym z pochlebców.

Pomimo odkryć, jakie porobiono w krainie miłości własnej, pozostaje w niej jednak jeszcze wiele kątów nieznanych.

W sercu ludzkim rodzą się nieustannie namiętności. Ruina starych jest tylko kolebką do wylęgania się nowych namiętności.

Człowiek nie jest nigdy ani tak szczęśliwym, ani tak nieszczęśliwym, jak sobie zwykle wyobraża.

Sympatja dla sprawiedliwości jest u wielu ludzi tylko obawą doznania niesprawiedliwości.

Łatwiej jest być mądrym dla innych, niż dla siebie.

Jak mało słów a dużo myśli cechuje ludzi wielkich — tak przeciwieństwo tego cechuje znów ludzi małych umysłowo.

Niedosyć jest posiadać wielkie przymioty — należy umieć z nich użytkować.

Nic nie kochamy poza obrębem swego egoizmu. Przekładając nawet interes przyjaciół nad interes własny, robimy to niewątpliwie — powodowani tylko własną przyjemnością. Drugostronnie należy przyznać, że tej okoliczności zawdzięczamy prawdziwą i doskonałą przyjaźń.

Zdrowie ducha jest również niepewne, jak zdrowie ciała. W chwili, kiedy sądzimy się być panami namiętności, możemy się również łatwo stać ich niewolnikami, jak popaść w chorobę, kiedy zdajemy się być zupełnie zdrowi.

Tylko wielkim ludziom przystoją wielkie błędy.

Szczytna odwaga polega na tem, by zrobić nawet bez świadków to — co się robi wobec licznych tłumów.

W nieszczęściach naszych przyjaciół odnajdujemy zawsze coś, co nas bynajmniej nie martwi.

Komu brak sił do tego, by być złym, nie jest bynajmniej godny pochwał, należnych prawdziwej dobroci. To, co bowiem często przyjmujemy za dobroć, jest tylko lenistwem lub bezsilnością woli.

Niepodobieństwem jest kochać powtórnie to, co się rzeczywiście raz już kochać przestało.

Sprawiedliwość bywa często obawą utracenia tego, co posiadamy, stąd to pochodzi szacunek dla własności bliźniego i owo wystrzeżenie się, by mu nie zrobić najmniejszej krzywdy.

Są zasługi bez godności, ale niema godności bez zasług.

Rozum nam służy często do tego, by popępiać głupstwa.

Możemy wydawać się wielkimi, zajmując godności, niedorównywające naszym zasługom, ale wyglądamy na karłów, piastując urząd, do którego nie dorosiliśmy.

Nic rzadszego nad prawdziwą dobroć. Często bowiem nawet ludzie, sądząc, że ją posiadają, przyjmują za nią tylko słabość woli lub uprzejmość.

Ludzie widocznie nie upatrują w sobie dość błędów, gdyż powiększają jeszcze ich liczbę przez pewne szczególne przymioty, którymi się jawnie przyozdabiają, uprawiając je przytem z taką starannością, że stają się one wkońcu błędami naturalnemi, od których wyzwolenie się nie jest bynajmniej później od nas zależne.

Thum. J. J. Finkelhaus.

JEAN DE LA BRUYÈRE
(1645—1696)

CHARAKTERY CZYLI PRZYMIOTY Z TEOFRASTA

Rozdział X. O sknerstwie plugawem

Ten rodzaj skapstwa u ludzi jest namiętnością ochronienia najmniejszych rzeczy, bez żadnego końca uczciwego. Niektórzy, odbierając co miesiąc zapłatę od najęcia domu, nie zaniedbują sami pójść domagać się o pół szeląga, które brakuje do ostatniej wypłaty uiszczonej. Inni, wysilając się, aby dać obiad u siebie, niczem tak nie są zatrudnieni przy stole, jak rachowaniem, wiele razy który z gości żądał pić. Ci sami także, którzy szacują rzeczy nad wartość, chociaż kupujący, zdając im rachunek, taniocść kupna bądź najlepszego okazują, utrzymują jednak zawsze, że za drogo

zapłacone. Nieprzeblagani dla służących, gdy który upuści garnek na ziemię, albo słu-
cze przypadkiem inne naczynie gliniane; tę szkodę odtrącają z zasług i żywności.
A gdy ich żony choć denar zgubią, wtedy trzeba cały dom przewrócić, szukając, łóżka
odstawiać, kufty przenosić i po najskrytszych kątach przeglądać. Kiedy co sprzedają,
to tylko mają jedynie przed oczami, żeby dla tego, co kupuje, było ze stratą. Nikomu
nie wolno jednej figi urwać w ich ogrodzie, ani przejść przez ich pole; albo podnieść
gałąź palmową, lub niektóre oliwki, co z drzewa opadną, podnieść. Codzień przecho-
dzą po swoich gruntach i rolach, uważając na granice i miedze, patrząc, czy czego
nie odmieniono. Zysk od zysku pieniędzy ciągną i tylko pod tym warunkiem dozwala-
ją swoim dłużnikom przedłużenia terminu. Jeżeli zaprosili na obiad niektórych z przy-
jaciół, a ci są z pospólstwa, nie strzegą się dać im tylko prostej siekanki, i często ich
widziano samych idących na rynek, aby kupić na tę ucztę, jednak, znajdując tam
wszystko za drogo, powracających, nie kupiwszy nic.

Nie miejcie zwyczaju, mówią żonom, pożyczać soli, jęczmienia, mąki, ani kminu,
majeranu lub kołaczków na ołtarz, bawelny i welny, bo te małe drobiazgi na końcu
roku znaczne kwoty wynoszą.

Ci chciwcy mają pęki kluczków zardzewiałych u pasa, których nie używają; leżą
szkatułki, gdzie ich pieniądze schowane, których nigdy nie otwierają i dają im pleśnieć
w kącie schowania; noszą suknie za ciasne i za krótkie; najmniejsze flaszki zdają im
się, że więcej oliwy zawierają, niż im potrzeba do namaszczenia się; gołą głowę ledwo
nie ze skórą; zdejmują buty w dzień, aby się nie zniszczyły...

O dostatkach (wyjątek)

Człowiek bogaty może mieć stoły wyborne, domy obiciami litemi i pozłocanemi
okryte, sztukaterjami przyozdobione, pałace w mieście i na wsi, cugi i karety prze-
pyszne; książęcej dostojności dostąpić, syna panem wielkim zostawić, jest to jego
przyzwoitością, atoli innym zostawiono żyć szczęśliwie i swobodnie.

Znakomity ród i wielkie dostatki znamionują zacność i łatwiej ją dają uznawać.

...Gdy tylko łaska możnych i dostatki odejdą od człowieka, odkrywają w nim
śmieszność, co była zasłoną jego, tak, że jej nikt wtenczas nie dostrzegał. Gdybyśmy
na to własnymi oczami nie patrzyli, czybyśmy się mogli domyślić wielkiej nierów-
ności, co mniej lub więcej złota między ludźmi ustanawia. Te mniej albo więcej prze-
znacza do wojny, do duchownego lub świeckiego stanu...

Dwóch kupczących mieszkało w sąsiedztwie i jednakowy handel prowadziło; do-
znali potem odmiennego szczęścia losu. Każdy z nich miał córkę jedynaczkę, które
się razem chowały i, będąc w jednym wieku i jednego stanu, żyły z sobą w poufa-
łości; jedna z nich, aby z ostatniej wyjść nędzy, szukała służby i znalazła ją u bogatej
damy, z pierwszych u dworu, tej, co była przedtem jej towarzyszką.

...Nie zazdrośmy niektórym ludziom ich wielkich bogactw, doszli do nich spo-
sobami, które namby się nie podobały. Spokój, zdrowie, honor, cnotę, sumienie na to
łożyli, aby ich dostąpić; jest to dla nas za drogi i niepożyteczny nabytek.

Tłum. H. F. J. P. K. M.

NICOLAS BOILEAU DESPRÉAUX
(1636—1711)

SZTUKA RYMOTWÓRCZA

Pieśń I

Cokolwiek piszesz, chroń się zbyt podłych wyrazów.
Styl, choć prosty, może mieć dość pięknych obrazów:
Z wżgardą rozsądku każda trefność nieforemna,
Przez swą równość została dla wszystkich przyjemna,

Wiersz zaczął jaśnieć tylko niezgrabnym żarcikiem,
Muzy brudnych przekupek gadały językiem,
Wolność w rymach nie miała granic między gminem,
Sam Apollo przekształcon został Tabarinem,
Tym razem gmin najprzód był zatruty cały.
Później i książąt dwory jadu jej doznały,
Trefniś najniezgrabniejszy nie doznał przygany
I sam nawet d'Assones chciwie był czytany.
Wreszcie dwór, tego stylu obrażon zgorszeniem,
Pogardził w takich wierszach zbyt łatwym bredzeniem.
Granica między dobrem a złem położona,
Sam motłoch tylko w kraju uwielbiał Tifona.
Styl ten na wasze dzieła hańby niech nie miota.
Naśladujmy dowcipną wesołość Marota.
Niech gmin podły w trefności zdrożnej wpada wady,
My nie wstępujemy nawet i w Brebeufa ślady,
I nigdy nie panujemy na brzegach kwitnących:
Zmarłych i konających dwieście gór jęczących;
Niech nigdy styl nasz prosty nie zna wymuszenia;
Wyniosły — jakiejś dumy, przyjemny — spodlenia.

Piszcie, co czytelnika zabawić jest w stanie,
Niech ucho wasze baczne jest na rymowanie;
Niech będzie w wierszach waszych słów takie dzielenie,
By na cezurze można znaleźć odpocznienie.
Niech dobór słów ozdobą będzie waszych pieni,
Strzeżcie się niemilego zbiegu twardych brzmieni,
Wiersz z innych względów dobry, myśl najszlachetniejsza,
Kiedy obraża ucho, wartość swoją zmniejsza.
W pierwiastkowym Francuzów rymotwórstwa czasie
Sam kaprys wielowładnie rządził na Parnasie.
Rzym na końcu kładziony bez żadnej nauki,
Trzymał miejsce cezury, liczby, wdzięków sztuki.
W takowych dzikich wiekach najprzód przez Villona
Zdrożność dawnych poetów była poprawiona;
Marot zaś, niszcząc wszelkie w rymotwórstwie wady,
Wprowadził i porządek, i nowe zasady.
Ronsard, później znów inne przyjąwszy metody,
Burząc wszystko, według swej muzy stworzył mody;
Grecyzną i łaciną będąc ta nadęta,
Do szczytu świetnej sławy bytu posunięta;
Przyszła jednak następnie ta szczęśliwa pora,
Co w przepaść z wysokości strąciła autora,
Który tę sprawiedliwie cierpiąc karę sroga,
Dla Desporta i Bertant muzy był przestroga.
Zjawił się wreszcie Malherbe. On w narodzie pierwszy
Przyzwoite przeznaczył prawidła dla wierszy;
Mocą to przepisanej przez niego ustawy
Muza odtąd została pod pewnemi prawy;
Styl oczyszczony światłem jego genijuszu,
Nie razi swą twardością delikatnych uszu.
Wszyscy zaczęli zatem zgodnie iść z autorem,
I dzisiaj dla poetów jest on jeszcze wzorem.
Naśladujcie tę rzadką czystość jego mowy,
I zwrotów jego szczęśnych szyk jasny i nowy.

Gdy nad pojęciem sensu potrzeba się trudzić,
Czytelnik takim wierszem zaczyna się nudzić
I, dość nabłakawszy się w czczych słów mieszaninie,
Ucieka od autora, który przed nim ginie.

Tłum. J. Maciuński.

BLAISE PASCAL

(1623—1662)

MODLITWY I ROZMYŚLANIA

...Gdyby Bóg objawiał się stale ludziom, nie miałby żadnej zasługi ten, kto w Niego wierzy; a gdyby nie objawiał się nigdy, mało kto by weń wierzył. Lecz zazwyczaj ukrywa się On i zrzadka tylko objawia się tym, których chce pociągnąć do swojej służby. To dziwne ukrycie, w którym Bóg się odosobnił, nieprzeniknione dla oczu ludzkich, jest wielką dla nas nauką, ażeby usunąć się w samotność zdala od wejrzeń ludzkich...

...Przeszłość nie powinna nas nabawiać kłopotu, ponieważ jeżeli ciąży tam na nas jakieś winy, wystarcza, gdy za nie żałujemy; przyszłość zaś obchodzić nas powinna jeszcze mniej, ponieważ leży poza naszym widzeniem i, być może, nigdy do niej nie dotrzemy. Teraźniejszość jest jedynym czasem, który do nas naprawdę należy, i którego należy używać według Boga. Tutaj to właśnie myśli nasze powinny być przedewszystkiem liczone. Świat jednak tak pełny jest niepokoju, że ludzie prawie nigdy nie myślą o życiu terażniejszym i o chwili obecnej, lecz o tej, która nastąpi. Tak, że ludzie stale żyją przyszłością, a nigdy obecnością. Pan nasz nie chciał, ażeby przewidywanie nasze sięgało poza dzień, w którym żyjemy. Są to granice, których przestrzegać należy zarówno dla naszego własnego zbawienia, jak dla naszego własnego spoczynku. Gdyż prawdziwie, nauka chrześcijańska przynosi najwięcej utuchy, więcej niż jakiegokolwiek maksymy światowe...

...Bóg stworzył człowieka z podwójną miłością: z miłością do Boga i z miłością do siebie samego, ale zarazem dal mu przykazanie, że miłość do Boga ma być nieskończona, to jest niemająca żadnego innego celu poza samym Bogiem, natomiast miłość do siebie samego ma być skończona... Następnie, gdy przyszedł grzech, człowiek utracił tę miłość pierwszą; miłość do siebie samego pozostała jednak w tej duszy wielkiej, która zdolna była do miłości nieskończonej; wskutek tego owa miłość własna rozszerzyła się i rozlała w pustce pozostałej po miłości do Boga. W taki to sposób ukochał człowiek sam siebie i rzeczy wszystkie dla siebie, to jest ukochał je nieskończenie. Oto pochodzenie miłości własnej!... Oto źródło tej miłości a zarazem przyczyna jej ułomności i jej przyrostu.

O, Boże! jakże szczęśliwe jest serce, które kochać może przedmiot tak czarowny, przedmiot, który go nie bezceści i do którego skłonność jest zbawienna! Czuję, że nie mogę kochać świata, nie narażając się Tobie, nie szkodząc Tobie i nie poniżając się we własnych oczach; a przecież świat, mimo to, jest przedmiotem moich rozkoszy. O Boże! jakże szczęśliwa jest dusza, dla której Ty jesteś źródłem rozkoszy, gdyż miłowaniu swemu oddawać się może nietylko bez wyrzutów, ale jeszcze z poczuciem zasług! Jakże mocne i trwałe jest jej szczęście! Jej oczekiwanie nie dozna zawodu. Skoro Ty, Boże, nigdy nie ulegniesz zagładzie, to ani życie, ani śmierć nie spowoduje dla niej rozłąki z przedmiotem ukochania. Ta sama godzina, która strąci grzeszników wraz z ich bożkami w otchłań wspólną, będzie dla sprawiedliwych godziną połączenia się z Tobą we wspólnej chwale. A jako jedni przepadną wraz ze znikomościami, którym oddali serca, tak drudzy wiecznie żyć będą w wiekuistym i niepodlegającym zagładzie przedmiocie, z którym się najściślej zespolili! Och! jakże szczęśliwi są ci, którzy z całą swobodą i nieprzepartą skłonnością woli doskonale i samorzutnie kochają to, co obowiązani są kochać z konieczności!

Tłum. Wincenty Rzymowski.

JEAN RACINE

(1639—1699)

BERENIKA KRÓLOWA PALESTYNY

Tragedja w 5 aktach

Akt V, scena VII

Tytus, Berenika, Antyoch.

Tytus: Przybliż się, królu, przybliż, szukać cię kazałem,
Chcę tu ciebie za świadka mieć mojej słabości,
Uważ, jeśli jest mało z mej strony miłości,
Sądź nas...

Antyoch: Znam Was! wszystkiemu łącno wiarę daję,
Lecz Tytus nieszczęsnego króla niech poznajel
Raczyłeś mię zaszczycić twą przyjaźnią, Panie,
I mogę ci przysięgą stwierdzić to wyznanie,
Żem się o nią dobijał z przyjacioly twemi,
Dobijałem się o nią ranami mojemi;
Wyście mi powierzyli, pomimo chęć moją,
Królowa swoją miłość, a ty, Panie, twoją.
Królowa, co mię słyszy, może przeczyć będzie,
Gorliwie cię przed nią wielbił w każdym względzie,
Odpowiadałem szczerze na tve zaufanie,
Sądzisz pewnie, że wdzięczność winienes mi za nie?
Lecz czy uwierzysz w moment, który mię przywala,
Żeś w przyjacielu wiernym miał twego rywala?
Rywala?

Tytus:
Antyoch:

Czas już, by spadła zasłona,
Zawsze królowa była przeze mnie wielbiona,
Starga więzy? Z sobą się nieraz pasowałem,
Nie mogąc jej zapomnieć, nieszczęsny milczałem!
Zmienności twej pochlebne, lecz złudne zamamienia
Zwracały mi choć słabe nadziei promienia,
Które łzami królowej zgaszone zostały;
Jej oczy zapłakane ciebie wyglądały,
Ty, przeze mnie samego, Panie, przywołany,
Powróciłeś — kochasz ją — i jesteś kochany!
Miłość cię zwyciężyła, o tem nie wątpiłem,
Dzisiaj po raz ostatni z sobą się radziłem,
Ostatnią założyłem próbę mej odwadze,
Wszystkie rozumu mego pozbierałem władze,
Nie czułem, żebym kiedy tak był zakochany!
Inną mocą potrzeba zrywać te kajdany!
Śmierć tylko ją potarga, śpieszę na jej lono:
Całą rzecz z mojej strony macie wyjaśnioną.
Tak, Pani, zwróciłem Ci kochanka czułego,
Zamiar mój już się spełnił, nie żatuję tego.
Niech niebo na was tysiąc pomyślności zlewa!
Niech wam w każdej godzinie słodczy przybywa,
Albo jeśli gniew jaki gotują nam losy,
Proszę Bogów, by na mnie padały te ciosy!
Was chroniąc, niechaj zwrócą wszystkich cierpień zgraje
Na te dni nieszczęśliwe, które wam oddaję!...

Berenika: Wstrzymajcie się, wstrzymajcie, o szlachetne dusze!
Jak okrutne dziś dla mnie sprawiacie katusze!...

Czy to na ciebie patrzę, czy nań zwracam oko,
W każdej twarzy rozpacz postrzegam głęboką,
Same łzy, same jęki, same narzekania,
Wszędzie widzę zawziętość własnej krwi rozlania!

(Do Tytusa)

Znasz moje serce, Panie, mówić mogę śmiało,
Że do herła twojego nigdy nie wzdychało.
Ni wielkość Rzymian, ani purpura Cezarów,
Wiesz sam, że celem moich nie były zamiarów,
Kochałam i żądałam wzajem być kochaną,
Dziś wyznaję, że w trwodze będąc obłąkaną,
Mniemałam, iż Twa miłość wygasła już całe.
Znam teraz błąd mój, wiem to, że mię kochasz stale,
Widzę łzy, bolesć, która serce twe przenika.
Nie! Tyle trosk aż nie jest godna Berenika!
Ani, by przez twą miłość narody strwożone,
Gdy ich wszystkie nadzieje są w tobie złożone,
Gdy kosztując cnót twoich świętą biorą postać,
Miały z rozkoszy swojej wyzutemi zostać.
Sądzę, żem od lat pięciu już cię zapewniła,
Iż miłość moja dla cię najprawdziwszą była;
Niedość na tem, chcę dzisiaj przez ostatnie kroki
Uwieńczyć smutny koniec bolesnej epoki;
Będę żyć — tem uległość twej woli oznaczę —
Bądź zdrów! — Panuj, już cię więcej nie zobaczę.

(Do Antyocho)

Królu! Słyszac wyrazy tego pożegnania,
Znasz, że nie na to rzucam cel mego kochania,
By inną uczuć miłość, gdy się stąd oddalę;
Żyj i umiej sam siebie zwyciężyć wspaniale;
Bierz wzory, Antyocho, z Tytusa i ze mnie,
Kocham go, on mię kocha; a stronim wzajemnie.
Oddal twoje ode mnie jęki i kajdany,
Bądź zdrów, niechaj z nas świata przykład będzie dany
Nieszczęśliwej miłości, jej ofiar okrutnych,
Któreby mógł zapisać w swoich dziejach smutnych;
Zostań tu! — Jadę — wszystko gotowe do drogi,

(Do Tytusa)

Raz ostatni żegnam cię — bywaj zdrów!

Antyoch:

O! Bogi!

Tłum. Ign. M.

JACQUES BÉNIGNE BOSSUET

(1627—1704)

MOWY POGRZEBOWE

Mowa na pogrzebie Ludwika Bourbona, księcia Kondeusza,
dnia 10 marca 1687 r. (wyjątki)

W chwili, gdy otwieram usta ku złożeniu holdu nieśmiertelnej chwale Ludwika Bourbona, księcia Kondeusza, czuję, że mię zarówno zraża wielkość przedmiotu, jak, jeśli się wyznać godzi, daremność tej pracy. Bo któraż część zamieszkanego świata nie słyszała o zwycięstwach Kondeusza i cudach jego życia!

...Czegóż nie jest to królestwo winne księciu, który był chlubą królewskiego

domu Francji, imienia francuskiego, swego wieku i, że tak rzeknę, całej ludzkości? Sam Ludwik Wielki podzielał te uczucia: oplakawszy tego wielkiego męża, dawszy mu przez swe lzy najświetniejszą pochwałę, jaka go spotkać mogła, gromadzi do tej znakomitej świątyni najdosłojniejsze w królestwie osoby, ku złożeniu hołdów księciu, i chce, by mój słaby głos ożywił te smutne oznaki żalu i cały ten przepych pogrzebowy.

...Bóg nam objawił, że sam tworzy zdobywców, że sam ich używa do dopięcia swych zamiarów. Któż stworzył Cyrusa, jeśli nie Bóg, który go nazwał po imieniu w prorocत्वach Izajasza na lat dwieście przed jego urodzeniem? Niemasz cię jeszcze, rzekł do niego Pan, «ale ja cię widzę i nazwałem cię po imieniu: nazywać się będziesz Cyrusem. W boju będę ci pomagał; sprawię, że za twojem zbliżeniem się uciekać będą króle i miedziane bramy pokruszę. Ja jestem ten, który niebiosa rozwięszam, dźwigam ziemię i nazywam to, co jest równe, jak to, co nie ma bytu», to jest: ja sprawiam wszystko i przed wiekami widzę wszystko, co zrobię. Któż mógł stworzyć Aleksandra, jeżeli nie ten sam Bóg, który swemu prorokowi Danielowi w tak odległej przyszłości i w tak żywych postaciach jego zapal niepohamowany ukazał. Widzicież, odzywa się, tego zdobywcę, z jaką szybkością od zachodu ponad ziemią pędzi, nie dotykając jej swemi stopy. Podobny w śmiałych skokach i lekkim chodzie do onych zwierząt silnych i chybkich, leci w żwawym i natarczywym biegu, niewstrzymany przez góry i przepaści. Już król Persów w rękę jego; «widząc go, zapalił się», «*effertus est in eum*», mówi prorok; «obała go, depce nogami, a nikt nie może jednego zasłonić od ciosów, ani drugiemu wydrzeć jego zdobyczy». Te tylko słowa Daniela słysząc, kogoż mniemacie widzieć, panowie moi, pod tą postacią: Aleksandra, czyli też księcia Kondeusza? Bóg to więc dał mu tę wielką waleczność, ku zbawieniu Francji, podczas małoletności czteroletniego króla. Niech rośnie ten król ukochany od nieba, a wszystko niech przyćmią jego rycerskie dzieła; wyższy od swoich i nieprzyjaciół, będzie umiał używać swych najślawniejszych wodzów lub też bez nich się obchodzić, a zostając pod opieką Boga, przy ciągłej Jego pomocy, sam jeden stanie się przedmurzem swych krajów. Wszakże Bóg w dzieciennym jego wieku wybrał mu na obrońcę księcia d'Enghien...

...Płaczcie więc nad temi słabemi życia ludzkiego szczątkami; płaczcie nad tą smutną nieśmiertelnością, którą darzymy bohaterów, ale przystąpcie tu przedewszystkiem, wojownicze i nieustraszone dusze, co z takim zapalem do sławy bieżycie! I któż był godniejszy wam hetmanić? Kto wcześniej dowództwo sprawował? Oplakujcie tego wielkiego wodza i powiedzcie z jękiem: oto ten, co nas wiódł między niebezpieczeństwami. Pod nim ukształciło się tylu głośnych wodzów, których jego przykłady wyniosły na pierwsze godności wojskowe; jego cień mógłby był jeszcze wygrywać bitwy, a w jego milczeniu to wielkie imię jeszcze nas ożywia i zarazem przestrzega, że, aby znaleźć przy śmierci jaki szczątek prac naszych i nie przybywać do wiecznego mieszkania z królem ziemi, trzeba nadto służyć królowi niebieskiemu. Służcie więc temu Nieśmiertelnemu i Miłosiernemu Królowi, który nam za więcej policzy jedno westchnienie, jedną szklankę wody w jego imieniu podaną, niż ludzie wszystką krew za nich wytoczoną; zacznijcie więc liczyć czas waszych użytecznych przysług od dnia, kiedy się poświęcicie tak dobroczynnemu Panu. A wy nie przyjdziecież od tego smutnego pomnika, wy, mówię, których raczył w rzędzie przyjaciół swych mieścić? Wszyscy razem, bez względu na stopień jego dla nas zaufania, otoczcie ten grobowiec, skojarzcie lzy spokojne z modlitwą, a wielbiąc w księciu tak wielkim przyjaźni tak miłą i tak słodkie obcowanie, zachowajcie pamięć bohatera, równie z dobroci, jak męstwa znanego! Obyście zawsze z duchem jego lubą wiedli rozmowę! Obyście z cnót jego korzystać mogli; oby zgon, który oplakujecie, zarazem za pociechę i przykład wam posłużył! Co do mnie, jeżeli mi się godzi za innymi oddać ci ostatnią posługę u grobowca tego, o książę! godny przedmiocie naszych pochwał i żalów! — żyć będziesz wiecznie w mej pamięci; zostanie w niej twój obraz, nie z tą śmiałością, obiecującą zwycięstwo, skreślony, nie, niczego w tobie widzieć nie chcę, co śmierć zaciera, w tym obrazie nieśmiertelne mieć będziesz rysy; zobaczę Cię takiego, jakim byłeś w owym dniu ostatnim pod prawicą Boga, kiedy Ci chwala najwyższego jakoby objawiać się zaczęła. Tam Cię ujrzę świetnie triumfującego niż pod Fryburgiem i Rokroa, a zachwycony

tak pięknym triumfem, złożę dzięki niebu pięknymi słowy ukochanego ucznia: «et haec est victoria, quae vincit mundum, fides nostra»: I to jest zwycięstwo, które zwycięża ziemię, wiara nasza. Ciesz się, książę! Tem zwycięstwem ciesz się wiecznie przez nieśmiertelną moc tej ofiary. Odtąd zamiast opłakiwania zgonu innych, o wielki książę, chcę się uczyć od Ciebie, jak mam śmierć własną uświęcić; szczęśliwy, jeżeli ostrzeżony siwizną, że wkrótce mi przyjdzie zdać sprawę z pasterskiego zarządu, dla tej trzody, którą słowem życia karmić wlnieniem, niknącego głosu i gasnącego zapалу dochowam ostatki.

Tłum. Aleksander Cukrowicz.

FRANÇOIS DE SALIGNAC FÉNELON

(1651—1715)

ROZMOWY WIELKICH KRÓLÓW I SŁAWNYCH MĘŻÓW

Rozmowa XLVI. Kaligula i Neron

Nieprzyzwoitość rządu samowładnego stąd pochodzi, gdy rządca słabego umysłu, lecz najniezszczęśliwszy stan państwa wtedy, gdy panokrutnik.

Kaligula:

Rad Cię tu oglądam, jesteś osobliwością niepospolitą. Chcieli we mnie wmówić zazdrosną niechęć przeciwko tobie, opowiadając, iż mnie przeszedłeś w obrzydliwościach i srogości, ale temu wierzyć mi się nie chciało.

Nero:

Co za porównanie! Ty byłeś głupiec srogi. Ja zaś z życia ludzi czyniłem sobie igrzysko, tracąc ich, i takie rzeczy dałem im oglądać, których nigdy nie widzieli, ani słyszeli; zabiłem matkę własną, żonę nauczyciela i ochmistrza, i wielu innych kazałem zamordować, spaliłem Rzym i tyle niezliczonych innych mężobójstw popełniłem; są to znaki wielkiego męstwa, które jest wyższe nad słabości ludzkie i ułomności, które pospółstwo nazywa okrucieństwem, ja zaś nazywam zwycięstwem przyrodzenia i podniesieniem duszy!

Kaligula:

Jaki chwaleca jesteś? Czy zadusiłeś ojca umierającego, tak jak ja? Albo pieściłeś się tak z żoną: piękną masz główkę, którą mogę kazać ściąć w jednej chwili, gdy mi się tylko spodoba!

Nero:

Wszystko to żarciki. To, co ja opowiadałem — to rzeczy poważne. A nawet zapomniałem jednego z pięknych zdarzeń mojego życia, żem kazał zabić mojego brata Britannika.

Kaligula:

Przyznaję, że tem dokazałeś wiele; zapewne zrobiłeś to, naśladując zakładcę Rzymu, który, jak mówił, dla dobra powszechnego nie oszczędził krwi brata swojego. Wszakże byłeś też graczem?

Nero:

O, ty miałeś większe plany; chciałeś zostać bożkiem i zamordować wszystkich, którzyby o tem wątpili.

Kaligula:

Dlaczegożby nie? Czyż można lepiej życie ludzkie poświęcić, jak na ofiary bogom. Były całopalenia na moich ołtarzach — nieustanne.

Nero:

Te pomysły nie przyszły mi do głowy. Byłem jednak najlepszym muzykiem i śpiewakiem, oraz najdoskonalszym aktorem; w całym państwie przytem największym poetą.

Kaligula:

Przynajmniej ty tak sądziłeś, gdyż inni temu nie wierzyli i drwili z twojego głosu, wierszy i grania.

Piękny to zaszczyt dla Cezara rzymskiego wchodzić na plac widowiska jak trefniś, zazdrościć poetom i wzbudzać powszechne pośmiewisko.

Nero:

Podróż, którą przedsięwziąłem do Grecji, natchnęła mnie myślą do teatrów i innych igrzysk.

Kaligula:

Powinieneś bawić się w Grecji i zarabiać sobie na życie, jako komedjant, a innemu ustąpić cesarskiej dostojności, który lepiejby tę godność piastował.

Nero:

Czym nie miał Domu Złocistego, który był obszerny, jak największe miasto? Zaiste znalazłem się na wspaniałości.

Kaligula:

Gdyby tego pałacu dokończono, musieliby obywatele wynieść się z miasta i mieszkać za Rzymem. Ten dom byłby naksztalt nadzwyczajnej wielkości posągu, coś dla wielkiej dumy dał sobie wystawić; oznaczał on ogromność nie według twojej postaci i osoby, gdyż nie byłeś wyższy od innych ludzi, a wynosiłeś się na wzór wielkoluda.

Nero:

Dlatego to uczyniłem, że zmierzałem do wielkich rzeczy.

Kaligula:

Do olbrzymich i nadprzyrodzonych srogości przygotowywałeś się, ale te wszystkie zamysły Vindex obalił i zniszczył.

Nero:

A twoje obalił Chereasz, jak szedłeś na widowisko.

Kaligula:

Przyznaj mi, że obaj mieliśmy koniec nieszczęśliwy, i w kwiecie naszej młodości ze świata nas zgładzono.

Nero:

Należy wyznać prawdę, iż mało było ludzi, którzyby za nasze zdrowie się modlili i życzyli nam wieku długiego. Jakże nudne i przykre jest życie między sztyletami.

Kaligula:

Mówisz w ten sposób, jakbyś chciał dać do zrozumienia, iż gdybyś na świat powrócił, poprawiłbyś się.

Nero:

O, wcale nie! Nie mógłbym zdobyć się na umiarkowanie. Znasz to dobrze, mój miły przyjacielu, i doświadczyłeś tego, iż złą rzeczą jest zbytńia władza...

Kaligula:

Te szaleństwa uchodziłyby, gdyby nie trzeba było się lękać. Ale związki, spiski, obawy, podejrzenia, niedowierzania, zgryzoty i zatrudnienia psują zabawy i rozkosze napelniają goryczą.

...Widzę idących tu Domicjana, Kommoda, Karakallę, Heljogabala w łańcuchach; tak źle będą spędzali tu czas, jak i my! Nielepiej się z nami obejdą.

Tłum. F. H. J. P. K. M.

WIEK XVIII

BERNARD LE BOUVIER DE FONTENELLE

(1657—1757)

ROZMOWY ZMARŁYCH

Część I. Rozmowy zmarłych w starożytności

*Rozmowa V: Homer, Ezop.**Jakie są tajemnice w dziełach Homera.*

Homer: Istotnie, te wszystkie bajki, któreś mi właśnie opowiadał, godne są najwyższego podziwu. Musiałeś osiągnąć wysoki stopień sztuki, aby w małych powiastkach tak doskonale rozwinąć najważniejsze nauki moralności i aby pod obrazami tak trafnie wybranymi i tak powszechnie znanymi ukryć myśli głębokie.

Ezop: Bardzo miło usłyszeć pochwałę mej sztuki od ciebie, który tak dobrze zrozumiałeś znaczenie alegorji.

Homer: Ja? Nigdy jej nie używałem.

Ezop: Jakto? Czy nie miałeś zamiaru ukrywać w swych dziełach wielkich tajemnic?

Homer: Niestety, wcale nie.

Ezop: A jednak twierdzili to wszyscy uczeni za moich czasów. Niema niczego w «Iljadzie», ani «Odysei», czegoby nie uznawano za najpiękniejsze alegorje. Utrzymywali, że w twoich dziełach mieszczą się wszystkie tajniki teologii, fizyki, moralności a nawet matematyki. Coprawda, była pewna trudność w tem, aby je odgadnąć: gdzie jeden znajdował jakąś zasadę moralną, tam inny odkrywał prawidłó fizyczne; lecz mimo to wszyscy zgadzali się na to, że wiedziałeś wszystko i powiedziałeś wszystko temu, kto cię dobrze zrozumiał.

Homer: Szczerze mówiąc, przypuszczałem, że niektórzy nie omieszkają szukać ukrytych myśli tam, gdzie ich wcale nie miałem. Jak nic w tem dziwnego, że, oczekując w przyszłości jakichś wydarzeń, prorokujemy ich przyjście, tak też rozumie się, że, słysząc bajkę, oczekujemy alegorji.

Ezop: Byłeś jednak bardzo zuchwały, składając na czytelników trud podkładania alegorji pod swoje utwory. Cóż działoby się z tobą, gdyby je wzięto dosłownie?

Homer: No cóż, nie byłoby w tem wielkiego nieszczęścia.

Ezop: Jakto? A ci bogowie, którzy nawzajem się kaleczą; ten piorunowładca Jowisz, który na zgromadzeniu bogów grozi wspaniałej Junonie, że ją obje; ten Mars, który zraniony przez Diomedesa wrzeszczy — według słów twoich — jak dziewięć lub dziesięć tysięcy mężów, a nie działa nawet jak jeden, bo, zamiast porąbać wszystkich Greków w kawalki, zabawia się tem, że idzie użalać się na swą ranę Jowiszowi; to wszystko nie miałoby zawierać w sobie alegorji?

Homer: Dlaczego nie? Wyobrażasz sobie, że rozum ludzki szuka tylko prawdy; porzuć to złudzenie. Rozum ludzki i fałsz żyją ze sobą w najlepszej zgodzie. Jeżeli masz powiedzieć prawdę, najlepiej zrobisz, gdy ukryjesz ją pod postacią bajki; wtedy będzie podobąta się daleko więcej. Jeżeli chcesz opowiadać bajki, mogą się podobać, chociaż prawdy wcale nie zawierają. Otóż tak: prawda musi pożycząć sobie trochę fałszu, aby ją rozum ludzki chętnie przyjął, ale fałsz dostaje się tam we własnej postaci, bo to jest jego miejsce urodzenia i zwykłego pobytu, prawda zaś jest tam obca. Gdybym był się męczył wynajdywaniem alegorycznych bajek, mogłoby się być wydarzyć, że największa część ludzi byłaby uznała bajkę za rzecz niepozobawioną pozorów prawdy, zaś alegorję zostawionoby na hoku; w istocie też wiadomo ci zapewne, że wcale nie znaleziono nic śmiesznego w mych bogach takich, jakimi są, i bez względu na owe wielkie tajemnice.

Ezop: To mnie bardzo przestrasza; obawiam się, by nie myślano, że zwierzęta mówią naprawdę, tak bowiem czynią w mych bajkach.

Homer: To zabawna obawa.

Ezop: A cóż? Jeżeli uwierzono, że bogowie prowadzili takie rozmowy, jakie ty każesz im prowadzić, dlaczegóż nie mianoby uwierzyć, że zwierzęta mówiły tak, jak ja każę im mówić.

Homer: Ach, to nie to samo! Ludzie pragną, aby bogowie byli tak szaleni, jak oni sami, ale nie pragną, aby zwierzęta były tak rozumne, jak oni.

Rozmowy zmarłych w starożytności ze zmarłymi w czasach nowszych

Rozmowa III: Sokrates, Montaigne.

Czy wieki starożytne więcej cnót miały niż nasze?

Montaigne: Więc spotykam cię nareszcie, boski Sokratesie! Jakże się cieszę, że cię widzę! Niedawno przybyłem do tej krainy, a od chwili przybycia szukam cię wszędzie. Nareszcie, zapelnivszy swą książkę twojem nazwiskiem i twojemi pochwałami, mogę rozmawiać z tobą i dowiedzieć się, w jaki sposób posiadłeś cnotę tak «naiwną»¹, której «objawy zewnętrzne»¹ były tak naturalne a bezprzykładne, nawet w tych szczęśliwych czasach, w których żyłeś.

Sokrates: Bardzo mi miło ujrzeć zmarłego, który za życia, zda się, był filozofem; a ponieważ przybyłeś niedawno z ziemi, a ja oddawna nie widziałem się z nikim (jestem bowiem dość osamotniony i niebardzo tu się garną do rozmowy ze mną), pozwól, że zapytam o nowiny. Co tam słyhać na świecie? Czy bardzo się zmienił?

Montaigne: Niezmiernie. Nie poznałbyś go wcale.

Sokrates: To mnie zachwyca. Zawsze przypuszczałem, że świat musi się stać lepszym i mądrzejszym, niż był za moich czasów.

Montaigne: Co chcesz przez to powiedzieć? Świat jest bardziej szalony i zepsuty, niż był kiedykolwiek. O takiej zmianie chciałem mówić i spodziewałem się, że opowiesz mi dzieje twych czasów, kiedy panowała tylko uczciwość i prawość.

Sokrates: A ja spodziewam się znowu usłyszeć cuda o czasach, w których żyłeś niedawno. Więc jakże to, ludzie terazniejsi nie poprawili się z błędów, jakim ulegali w starożytności?

Montaigne: Myślę, że dlatego tylko mówisz tak poufale o starożytności, bo sam do niej należysz. Wiedz jednak, że mamy wielkie powody żałować obyczajów starożytności. Wszystko staje się gorszem z dniem każdym.

Sokrates: Czyż to możliwe? Zdaje mi się, że już za moich czasów wszystko szło naopak. Sądziłem, że nareszcie rzeczy wzięły obrót lepszy i że ludzie skorzystali z tyloletniego doświadczenia.

Montaigne: Czyż ludzie mają kiedy doświadczenie? Są oni jak ptaki, które dają się łapać w te same sidła, w jakie złapano już setki tysięcy takich samych ptaków. Każdy wstępuje w życie na nowo, a głupstwa ojców dzieci od popelniania głupstw nie chronią.

Sokrates: Więc doświadczenie nie wychodzi na korzyść? Myślałem, że świat będzie miał starość mądrzejszą i więcej uporządkowaną, niż była jego młodość.

Montaigne: Ludzie z wszystkich stuleci mają takie same skłonności, a rozum nie ma nad nimi żadnej władzy. To też wszędzie, gdzie są ludzie, są też i głupstwa i to głupstwa te same.

Sokrates: Jakże możesz na tej podstawie przypuszczać, że wieki starożytne więcej mają wartości niż wieki terazniejsze?

Montaigne: Ach, Sokratesie, wiedziałem dobrze, że miałeś osobliwą metodę rozumowania i tak zręcznego osaczania przeciwników argumentami o nieprzewidzianych wnioskach, że prowadziłeś ich, dokąd sam zechciałeś; mówiłeś, że w ten sposób stajesz się akuszerką ich myśli, pomagasz bowiem tym myślom do porodu. Przy-

¹ Wyrażenia Montaigne'a.

znają, że oto porodziłem twierdzenie, wręcz przeciwne temu, do którego dążyłem, a jednak nie myślę jeszcze się poddawać. To pewne, że teraz niema już tych duchów silnych i surowych, jakie były w starożytności, niema Arystydesów, Focjonów, Peryklesów, wreszcie niema Sokratesów.

Sokrates: Skądże to pochodzi? Czy natura wyczerpała się i nie ma już siły wytwarzać wielkich duchów? Dlaczegoż nie wyczerpała się pod żadnym innym względem, li tylko pod względem rozumnych ludzi? Żaden z jej tworów nie zwyrodniał, dlaczegoż mieliby zwyrodnąć tylko ludzie?

Montaigne: To rzecz pewna: ludzie zwyrodniali. Zda się, że natura ukazała nam niegdyś kilka wzorów wielkich ludzi w tym celu, aby nas przekonać, iż umie ich stwarzać, jeśli chce, a że następnie tworzyła resztę ludzi dość niedbale.

Sokrates: Rozważ jedną okoliczność. Starożytność jest przedmiotem osobliwego rodzaju; oddalenie go zwiększa. Gdybyś był znał Arystydesa, Focjona, Peryklesa, no i mnie, skoro raczysz mnie do ich grona zaliczać, byłbyś znalazł i w swoim stuleciu ludzi im podobnych. Uprzedzamy się zwykle korzystnie dla starożytności dlatego, że mamy urazę do czasów, w których żyjemy, a starożytność na tem zyskuje. Stawia się wysoko starożytnych, aby poniżyć współczesnych. Kiedyśmy żyli, ceniliśmy przodków naszych więcej, niż na to zasługiwali, a teraz potomność ocenia nas nad zasługę naszą; lecz równą wartość mają i przodkowie nasi, i my, i potomność. Sądzę, że widowisko świata byłoby dość nudne dla kogoś, kto spoglądałby nań ciągle tylko z pewnego punktu, bo widziałby zawsze to samo.

Montaigne: Byłbym jednak skłonny do mniemania, że wszystko jest w ruchu, że wszystko się zmienia, że różne czasy mają też odmienny charakter, podobnie jak i ludzie. Czyż nie widzi się istotnie czasów oświeconych i czasów ciemnoty? Naiwnych i pełnych wyszukanego użycia? Czasów poważnych i żartobliwych, ugrzeczniczonych i rubasznych?

Sokrates: To prawda.

Montaigne: Dlaczegoż więc nie miałyby istnieć czasy bardziej cnotliwe i bardziej występne?

Sokrates: Wniosek nie jest trafny. Zmieniają się suknie, ale to nie znaczy, że zmienia się także postać ciała. Grzeczność lub rubaszność, uczoność lub nieświadomość, mniejsza lub większa naiwność, usposobienie poważne lub żartobliwe, to tylko zewnętrzne oznaki ludzi, które mogą się zmieniać. Nie zmienia się jednak serce, a istota człowieka jest w sercu. Jest się w pewnem stuleciu mało wykształconym, ale może nadejść moda uczoności. Jest się interesownym, lecz moda bezinteresowności nadejść nie może. Na niezmierną liczbę ludzi dość nierozumnych, którzy rodzą się w przeciągu stu lat, natura stwarza może dwa albo trzy tuziny rozumnych, a musi ich rozdzielić na całą ziemię, uważ zatem, że niema ich nigdzie w tak dostatecznej ilości, by mogli stworzyć modę prawości i cnoty.

Montaigne: Czy ten rozdział ludzi rozumnych jest zawsze równy? Przecież niektóre wieki mogłyby być lepiej obdzielone nimi, niż inne.

Sokrates: Co najwyżej mogłaby istnieć tylko jakaś niedostrzegalna nierówność. Ogólny porządek natury ma zwykle charakter stały.

Część II. Rozmowy zmarłych w czasach nowszych

Rozmowa II: Paracelsus, Moljer.

O komedji.

Moljer: Gdybym uważał tylko na twoje nazwisko, byłbym tobą zachwycony! Można by przypuszczać, że jesteś Grekiem lub Rzymianinem, a nikt nie mógłby się domyśleć, że Paracelsus był filozofem szwajcarskim.

Paracelsus: Uczyniłem to nazwisko równie sławnem, jak jest piękne. Dzieła moje są wielce pomocne dla wszystkich, którzy chcą wgłębić się w tajniki przyrody, a szczególnie dla tych, którzy wnoszą się aż do poznania genjuszów i duchów żywiołu.

Moljer: Rozumiem jasno, że to dopiero jest prawdziwą umiejętnością. Poznać ludzi, oglądanych codziennie, to nic, ale poznawać duchy, których nigdy widzieć nie można, to rzecz zupełnie inna.

Paracelsus: Bez wątpienia! Uczyłem bardzo dokładnie, jaka jest ich natura, ich zajęcia, ich skłonności, ich różne rodzaje i jaką władzę mają w świecie.

Moljer: Jakże byłeś szczęśliwy, mając te wszystkie tak jasne wiadomości. Bo naturalnie wiedziałeś też doskonale wszystko, co dotyczy człowieka, a jednak bardzo wielu ludzi nawet do tego nie doszło.

Paracelsus: Niema tak małego filozofa, któryby nie doszedł do tego.

Moljer: Bardzo wierzę. Nie miałeś już żadnej wątpliwości o naturze duszy ludzkiej, o jej działaniach, o związku z ciałem?

Paracelsus: Otwarcie mówiąc, w tej kwestji zawsze muszą pozostać pewne trudności; ale ostatecznie wie się o tem tyle, ile może nauczyć filozofja.

Moljer: I ty nie wiedziałeś niczego więcej?

Paracelsus: Nie. Czyż tego nie dosyć?

Moljer: Dosyć? Ależ to nic jeszcze. Tak więc przeszukiwałeś ludzi, których wcale nie znałeś, aby dojść do genjuszów?

Paracelsus: Genjusze mają w sobie coś, co daleko bardziej podnieca wrodzoną ciekawość.

Moljer: To prawda, tylko jest rzeczą nie do darowania troszczyć się o nich pierwej, nim poznano się wszystko, co dotyczy ludzi. Moznaby powiedzieć, że umysł ludzki wyczerpał już wszystko, skoro zajmuje się umiejętnościami, niemającymi może żadnej istotnej podstawy, i robi sobie z nich zabawkę. Tymczasem jest pewne, że przedmioty bardzo istotne dałyby mu dość zajęcia, gdyby tylko chciał się nimi zająć.

Paracelsus: Umysł pomija naturalnie umiejętności zbyt proste a dąży do tych, które są otoczone tajemnicą. Tylko z nich może rozwinąć całą działalność.

Moljer: Tem gorzej dla umysłu. To, co mówisz, tylko wstyd mu przynosi. Prawda staje mu przed oczyma, ale ponieważ jest zbyt prosta, więc nie uznaje jej, a zabiera się do śmiesznych tajemnic wyłącznie dlatego, że są tajemnicami. Jestem przekonany, że większość ludzi, gdyby poznała istotny porządek świata, a nie spostrzegła ani przymiotów pewnych liczb, ani właściwości planet, ani fatalności związanych z pewnymi porami roku, lub pewnymi obrotami ziemi, nie mogłaby wstrzymać się, by o tym cudownym porządku nie powiedzieć: «Jakto? To tylko to?»

Paracelsus: Żartujesz z tajemnic, w które nie umiałeś wnikać, bo są też w istocie zastrzeżone dla ludzi wielkich.

Moljer: Daleko wyżej cenię tych ludzi, którzy nie pojmują tych tajemnic, aniżeli tych, którzy je pojmują, lecz na nieszczęście natura nie usposobiła wszystkich ludzi do niezrozumienia owych tajemnic.

Paracelsus: Ale czemu zajmowałeś się za życia, ty, co sądzisz o tem z taką stanowczością?

Moljer: Miałem zajęcie bardzo odmienne od twego. Ty badałeś przymioty genjuszów, a ja głupotę ludzi.

Paracelsus: Oto piękne badanie! Wiadomo przecie, że ludzie muszą dość głupstw popełniać.

Moljer: Wiadomo o tem w ogólnych i mętnych zarysach; trzeba jednak wejść w szczegóły, a wtedy zdumiewają rozmiary tej nauki.

Paracelsus: Jakiż z tego robiłeś użytek?

Moljer: Zgromadziłem na jednym miejscu możliwie największą ilość ludzi i pokazywałem im, że są wszyscy głupcami.

Paracelsus: Trzeba było strasznych mów, aby ich o tej prawdzie przekonać.

Moljer: Nic łatwiejszego. Udowadnia się im głupotę, nie używając ani wielkich zwrotów krasomówczych, ani głęboko pomyślanych rozumowań. To, co oni robią, jest tak śmieszne, że wystarczy czynić przed ich oczami to samo, a zobaczysz, że będą pękali ze śmiechu.

Paracelsus: Rozumiem, pisałeś komedje. Co do mnie, nie pojmuję, jaką przy-

jemność można znaleźć w komedji. Przychodzi się na nią, aby śmiać się z obyczajów w niej przedstawionych, a dlaczegoż nie śmiejemy się z obyczajów samych?

Moljer: Aby śmiać się z rzeczy, które dzieją się na świecie, trzeba do pewnego stopnia znaleźć się poza światem, a to właśnie robi komedja. Podaje ci wszystko w formie widowiska, jakgdybyś wcale nie brał w tem udziału.

Paracelsus: Ale zaraz powracamy do tego wszystkiego, z czegośmy żartowali, i zaczynamy na nowo brać w tem udział.

Moljer: Tak jest niewątpliwie. Pewnego dnia dla rozrywki ułożyłem bajkę na ten temat. Młoda gąska latała tak niezręcznie, jak latają wszystkie gęsi, a podczas tego chwilowego wzlotu, który ją wznosił zaledwo o stopę nad ziemię, obsypywała obelgami resztę drobiu. «Nieszczęsne stworzenie» — mówiła — «widzę was pod sobą, bo nie umiecie tak szybować w powietrzu jak ja». Krótkie były żarty, bo gąska w tej chwili spadła na ziemię.

Paracelsus: Do czegoż służą więc rozmyślania, które komedja może wywołać, skoro podobne są do wzlotu tej gąski i skoro w tej samej chwili popada się znowu w głupstwa powszechne?

Moljer: Wiele to już znaczy, jeżeli żartowało się z siebie samego. Przyroda dała nam podziwienia godną łatwość uniknięcia tego, byśmy sami siebie oszukiwali. Ileż razy zdarza się, że gdy część ludzi oddaje się pewnej rzeczy z zapalem i gorliwością, druga z niej żartuje? A gdyby zachodziła potrzeba, to znajdzie się i trzecia część, która będzie żartować z tamtych obu. Nie możnaż powiedzieć, że człowiek to niby lata na lacie?

Paracelsus: Nie widzę wcale, aby to wszystko dawało pole do ćwiczenia umysłu. Kilka lekkich refleksyj, kilka żartów, często źle uzasadnionych, nie zasługuje wcale na wielkie uznanie, natomiast jakich to wysiłków mozolnego myślenia potrzeba do traktowania przedmiotów wyższych.

Moljer: Wracasz do twoich genjuszów, a ja uznaję tylko mych głupców. A jednak chociaż pracowałem tylko nad temi przedmiotami, które podpadają pod oczy całego świata, mogę ci przepowiedzieć, że moje komedje będą żyły dłużej, niż twe wzniosłe dzieła. Wszystko podlega modzie; twórczość umysłowa nie stoi pod tym względem wyżej od kroju sukien. Widziałem nie wiem ile książek i sposobów pisania, pogrzebanych równocześnie z ich autorami, jak u niektórych narodów grzebią z umarłymi to wszystko, co im było najmilsze za życia. Wiem doskonale, jakie przewroty mogą nastąpić w dziedzinie piśmiennictwa, a jednak mogę zaręczyć za trwałość moich dzieł. Znana mi też tej trwałości przyczyna. Kto chce malować dla nieśmiertelności, winien malować głupców.

Tłum. Juljusz German.

CHARLES DE SECONDAT BARON DE MONTESQUIEU (1689—1755)

LISTY PERSKIE

List I. Uzbek do przyjaciela swego Rustana w Ispahanie

Dzień tylko jeden przebyliśmy w Kom. Odprawiwszy modlitwy na grobie dziewicy, która wydała na świat dwunastu proroków, puściliśmy się w drogę, a wczoraj, dwudziestego piątego dnia po wyjeździe z Ispahanu, przybyliśmy do Taurysu.

Ryka i ja jesteśmy, być może, pierwszymi pomiędzy Persami, których żądza wygnała z ojczyzny, którzy wyrzekli się słodyczy cichego życia, aby iść pracowicie poszukiwać mądrości.

Urodziliśmy się w kwitnącem państwie; nie sądziliśmy jednak, aby jego granice miały być granicami naszych wiadomości i żeby tylko światło wschodnie powinno nas oświecać.

Donieś mi, co mówią o naszej podróży; nie pochlebiaj mi wcale; nie liczę na znaczną ilość chwalących. List swój adresuj do Erzerum, gdzie zatrzymam się przez

czas niejaki. Żegnaj, drogi mój Rustanie. Bądź pewien, że gdziekolwiek będę, masz we mnie wiernego przyjaciela.

Taurys, dzień 15-ty księżycy Safaon, 1711.

List XIX. Uzbek do przyjaciela swego Rustana w Ispahanie

Przebyliśmy tylko tydzień w Tokacie i po trzydziestu pięciu dniach drogi przybyliśmy do Smirny.

Z Tokatu do Smirny niema ani jednego miasta zasługującego na wzmiankę. Ze zdziwieniem widziałem słabość państwa osmańskiego. To chore ciało utrzymuje nie rząd łagodny i umiarkowany, ale środki gwałtowne, wyczerpujące je i bezustannie podrywające.

Baszowie, otrzymujący swe urzędy za pieniądze, wchodzą zrujnowani do prowincyj i pustoszą je, jak kraje zdobyte.

Zuchwała policja podlega tylko ich kaprysom. Pałace są poburzone, miasta opuszczone, wioski zrujnowane; uprawa ziemi i handel zupełnie zaniedbany.

Bezkarłość panuje w tem państwie surowem; chrześcijanie, uprawiający ziemię, żydzi, pobierający podatki, narażeni są na tysiące gwałtów.

Władanie ziemią jest niepewne, a więc chęć jej posiadania słabnie; niema ani tytułu, ani własności, mogącej się oprzeć kaprynowi rządzących.

Barbarzyńcy ci tak puścili odlogiem sztuki, że zaniedbali nawet sztukę wojenną. Gdy narody Europy ciągle się cywilizują, ci pozostają w dawnej swej ciemności i odważają się przyjąć nowe odkrycia dopiero wtedy, gdy już tysiąc razy przeciwko nim służyły.

Nie mają oni żadnego doświadczenia na morzu, żadnej zręczności w rękodzielnictwach. Mówią, że garstka chrześcijan, wychodzących ze skały, wywołuje pot na czoła Ottomanów i nuży ich państwo.

Niezdolni do handlu, zaledwie mogą znieść to, że zawsze czynni i przedsiębiorczy Europejczycy przychodzą ich w tem wyręczać; sądzą oni, że robią łaskę cudzoziemcom, pozwalając, by ich wzbogacali. Na całej obszernej przestrzeni kraju, który przeszedłem, znalazłem tylko Smirnę, którą można uważać za miasto bogate i potężne. Czynią ją tem Europejczycy; nie Turkom ona zawdzięcza, że nie jest podobna do wszystkich innych.

Oto, drogi Rustanie, sprawiedliwy sąd o tem państwie, które, nim miną dwa wieki, będzie teatrem triumfów jakiego zwycięzcy.

Smirna, dzień 2-gi księżycy Rahmazanu, 1711.

List XXIV. Ryka do Ibbena w Smirnie

Od miesiąca jesteśmy w Paryżu; byliśmy ciągle w bezustannym ruchu. Wiele trzeba podjąć kłopotów, aby się ulokować, znaleźć ludzi, do których się ma listy polecające, i zaopatrzyć się w rzeczy konieczne, których brak naraz wszystkich.

Paryż jest tak wielki, jak Ispahan; domy są w nim tak wysokie, że możnaby myśleć, że zamieszkują je sami astrologowie. Łatwo osądzisz, że miasto, zbudowane w powietrzu, mające sześć lub siedem domów — jeden nad drugim, nadzwyczaj jest ludne, i że, gdy wszyscy zejdą na ulice, robi się piękny zamęt.

Nie uwierzysz może, że od miesiąca, jak tu jestem, nie widziałem dotąd nikogo chodzącego pieszo. Niema ludzi na świecie, umiejących lepiej korzystać ze swych maszyn, niż Francuzi: pędzą oni, latają; powolne karety Azji, umiarkowany krok naszych wielbłądów wprowadziłby ich w zemdlenie. Ja, niestworzony do takiego sposobu życia i chodzący często jeszcze, wściekam się niekiedy, jak chrześcijanin, bo jeszcze dajmy na to, niech mnie obryzgają błotem od stóp do głów, ale nie mogę przebaczyć potrącań łokciem, jakie regularnie i stale na mnie spadają. Człowiek, idący za mną i mijający mnie, zmusza mnie do zrobienia półobrotu, inny zaś, mijający się ze mną z drugiej strony, odrzuca mnie nagle w miejsce, skąd pierwszy mnie wyrzucił, tak, że zanim zrobię sto kroków, więcej jestem złamany, niż jakbym przeszedł dziesięć mil.

Nie sądz, abym mógł, teraz przynajmniej, opowiedzieć ci dokładnie o zwyczajach i obyczajach europejskich; sam mam o tem zaledwie słabe pojęcie, dotychczas miałem tylko czas dziwić się temu. Król francuski jest najpotężniejszym panem Europy. Nie ma on pokładów złota, jak sąsiad jego król Hiszpanji, posiada jednak większe bogactwo, gdyż czerpie je z próżności swych poddanych, więcej jeszcze nieprzebranych od pokładów złota. Prowadził on lub podtrzymywał wielkie wojny, nie mając innych dochodów nad sprzedawanie zaszczytnych tytułów, i oto jakiego cudu dokazała duma ludzka: armje jego zostały opłacone, twierdze zaopatrzone w żywność i floty wykwpowane.

Zresztą król ten jest wielkim magikiem. Rozciąga panowanie nad duchem swych poddanych, skłania ich do myślenia, jak chce. Gdy ma tylko miljon talarów w skarbcu a potrzebuje dwóch, wystarcza mu wyperswadować im, że jeden talar znaczy dwa, i oni mu wierzą.

Gdy ma do prowadzenia trudną wojnę, a nie posiada na nią pieniędzy, kładzie im tylko w głowę, że kawałek papieru jest pieniędzmi, a oni natychmiast nabierają tego przekonania. Dochodzi nawet do tego, że wpaja w nich wiarę, iż leczy ich od wszelkiego rodzaju zła przez samo dotknięcie; tak jest wielka siła i potęga, jaką ma nad umysłami.

To, co ci mówię o tym księciu, nie powinno cię dziwić; jest inny magik, silniejszy od niego, niemniej mający władzy nad jego umysłem, niż on nad innymi. Czarodziej ten nazywa się papieżem. Żeby nie pozwolić królowi zaniedbać się i odzwyczać od wierzenia, daje on mu od czasu do czasu, dla ćwiczenia się, pewne artykuły wiary. Dwa lata temu przysłał mu wielki akt, zwany Konstytucją, i pod wielkimi karami chciał skłonić tego księcia i jego poddanych do wierzenia we wszystko, co ów akt zawierał; udało mu się to z księciem, który uległ i dał przykład swym poddanym, ale niektórzy zbuntowali się i powiedzieli, że nie chcą wcale wierzyć w to, co było w tem piśmie. Dźwignią tego buntu, który podzielił cały dwór, całe państwo i wszystkie rodziny na dwa obozy, były kobiety. Akt ten zabrania im czytania książki, o której wszyscy chrześcijanie mówią, że przyniesiona została z nieba; jest to właśnie ich Alkoran. Kobiety, obrażone za zniewagę, uczynioną ich płci, powstały wszystkie przeciw Konstytucji; do stronnictwa swego przyjęły mężczyzn, niechających w tym wypadku żadnych przywilejów. Trzeba jednak przyznać, że ten mufty źle nie rozumie, i na wielkiego Alego, musi on być obeznany z zasadami świętego naszego prawa, gdyż, jeżeli kobiety są stworzeniami niższymi od nas i jeśli nasi prorokowie mówią, że nie wejdą one nigdy do raju, czemuż się biorą do czytania książki, napisanej nato, aby wskazała drogę do niego.

Słyszałem, jak opowiadano o królu rzeczy, graniczące z cudami, i nie wątpię, że nie zawahasz się temu uwierzyć.

Mówią, że, gdy prowadził wojnę przeciw swym sąsiadom, którzy się sprzymierzili przeciw niemu, w państwie jego była niezliczona ilość tajemnych wrogów, którzy go otaczali; dodają, że szukał ich przez trzydzieści przeszło lat i że pomimo niezmordowanych starań niektórych derwiszów, obdarowanych jego zaufaniem, nie mógł znaleźć żadnego. Żyją oni przy nim, są na dworze, w stolicy, w wojsku, w sądach, a jednak mówią, że umrze wpieryw, nim ich znajdzie. Rzekłby ktoś, że istnieją oni w ogólności, w szczegółach ich jednak niema; jest to ciało, ale bez członków.

Zapewne, to niebo chce ukarać tego księcia za to, że nie był dość względny dla swych zwyciężonych nieprzyjaciół, gdyż zsyła nań ono tajemniczych wrogów, których genjusz i przeznaczenie wyższe są od jego.

Będę pisywał do ciebie i opowiem ci rzeczy bardzo dalekie od charakteru i genjuszu perskiego. Ta sama ziemia nosi nas obu, ludzie jednak kraju, w którym żyję, i kraju, gdzie ty jesteś, są ludźmi bardzo różnymi.

Paryż, dzień 4-ty księżycy Rebiaty, 2, 1712.

List XXXIV. Uzbek do Ibbena w Smirnie

Kobiety perskie są piękniejsze od Francuzek, lecz Francuzki są ładniejsze. Niepodobna jest nie kochać pierwszych i nie upodobać sobie drugich; pierwsze są czul-

sze i skromniejsze, drugie żywsze i weselsze. Życie regularne, jakie prowadzą kobiety w Persji, czyni krew perską tak piękną; nie grają one, nie czuwają zbyt długo; nie piją wcale wina i nie narażają się na ostrość powietrza. Trzeba przyznać, że seraj stworzony został raczej dla zdrowia, nie dla przyjemności; życie to jednostajne, niczem niezakłócone; wszystko oddycha tu posłuszeństwem i obowiązkiem, przyjemności nawet są tu poważne, a radości surowe; doznaje ich się prawie zawsze jako oznak władzy lub poddania.

Mężczyźni nawet nie mają w Persji wesołości Francuzów, nie widać u nich wcale tej swobody umysłu i tego zadowolenia, jakie znajdują tutaj we wszystkich stanach i we wszystkich położeniach.

GORZEJ jest w Turcji, gdzie są rodziny, w których z ojca na syna nikt nie śmiał się od utworzenia monarchji.

Ta powaga Azjatów pochodzi z braku stosunków pomiędzy nimi; widują się tylko wtedy, gdy zmusza ich do tego ceremonja. Przyjaźń, ten słodki zadatek serc, stanowiąca tu słodycz życia, jest im prawie nieznana; kryją się oni w swych domach, gdzie znajdują zawsze oczekujące na nich towarzystwo, tak, że każda rodzina jest tym sposobem jakby oddzielona.

Pewnego razu, gdym rozmawiał o tem z tutejszym mieszkańcem, rzekł mi on: «W obyczajach waszych razi mnie najwięcej to, że jesteście zmuszeni żyć z niewolnikami, których serce i umysł niezawsze czują swoje poniżenie. Ci podli ludzie osłabiają w was uczucia cnoty, jakie mamy z natury, niszczą je od dzieciństwa, odkąd was napastują».

Otrząśnijcież się wreszcie z przesądów! Czegóż można oczekiwać od wychowania, otrzymanego od nędznika, którego cały zaszczyt polega na strzeżeniu żon cudzych i który szczyci się z najobrzydliwszego zajęcia, jakie istnieje pomiędzy ludźmi; który zasługuje na wzgardę za samą swą wierność, jedyną z jego cnót, do której skłania go zazdrość, nienawiść i rozpacz; który, palając żądzą zemsty nad dwoma płciami, dla których jest tyranem, oddaje się pod tyranję silniejszej, aby tylko mógł pastwić się nad słabszą; który z niedoskonałości swej, brzydoty, potworności, wyciągając cały blask swego położenia, ceniony jest za to tylko, że nie jest wart nic; który nareszcie przykuty na zawsze do drzwi, których winien strzec, twardszy niż ich zawiasy i rygle, chwali się z pięćdziesięciu lat życia na swem niegodnem stanowisku, gdzie, mając za zadanie dogadzać zazdrości swego pana, przejawiał całą swą nizekzemność!»

Paryż, dzień 14-ty księżyca Zilhagi, 1713.

List LXXX. Uzbek do Rhediego w Wenecji

Od czasu mego pobytu w Europie, kochany Rhedi, widziałem wiele rządów. Tu nie tak, jak w Azji, gdzie prawa polityczne są wszędzie jednakie. Często zastanawiałem się nad tem, który rząd jest najzgodniejszy z rozumem. Zdaje mi się, iż najlepszy jest ten, który idzie do celu najprostszą drogą, to jest kieruje ludźmi w sposób najwięcej zgadzający się z ich popędami i skłonnościami.

Jeżeli pod rządem łagodnym naród jest równie uległy, jak i pod surowym, wówczas pierwszy będzie odpowiedniejszy, ponieważ jest racjonalniejszy, a surowość jest czynnikiem niewłaściwym.

Zważ, kochany Rhedi, iż mniej lub więcej surowe w państwie kary nigdy nie mogą skłonić do większego poszanowania praw. W krajach, gdzie kary są umiarkowane, wzbudzają one takąż samą bojaźń, jak i tam, gdzie są okrutne i tyrańskie.

Czy rząd jest łagodny, czy surowy, istnieje zawsze stopniowanie kar. Wyobraźnia sama nagina się do obyczajów danego kraju: ośm dni więzienia, lub niewielka kara pieniężna, robią takie wrażenie na Europejczyku, wzrosłym pod rządem łagodnym, jak utrata ręki na mieszkańcu Azji. Pewna określona bojaźń przywiązana jest do odpowiedniej kary, i każdy stosuje ją na swój sposób. Francuza, skazanego na karę, która Turkowi nawet na kwadrans snuby nie zakłóciła, dręczy sama myśl hańby. Przylem nie uważam, żeby porządek publiczny, sprawiedliwość i moralność były ściślej zachowywane w Turcji, Persji lub Mongolji, niżli w republice ho-

lenderskiej, weneckiej, a nawet w Anglii; nie widzę, aby tam popełniono mniej zbrodni, i aby ludzie, zastraszeni wielkością kar, więcej szanowali prawa.

Przeciwnie, w tych właśnie państwach widzę wiele niesprawiedliwości i przestępstw.

Spostrzegam nawet, że sam władca, który przecież stanowi prawa, mniej jest tu panem, niż gdziekolwiek indziej.

Widzę, iż w tych ciężkich czasach wciąż pojawiają się tłumnie rozruchy, któremi nikt nie kieruje, i niech raz władza podana zostanie w pogardę, niepodobieństwem staje się komukolwiek ją powrócić. Sama rozpacz wobec bezkarności potęguje nierząd i czyni go większym.

W tych krajach nie zdarzają się małe wzburzenia, i nigdy niema przerwy między szemraniem a buntem. Nie trzeba tam wielkich przyczyn, aby zaszły wielkie wypadki; przeciwnie, najdrobniejszy wypadek wywołuje wielkie rewolucje, nieprzewidziane ani przez sprawców, ani przez ofiary.

Tak na przykład, detronizacja cesarza tureckiego, Osmana, przez nikogo poprzednio nie była uplanowana; proszono tylko błagalnie o wymierzenie sprawiedliwości w kilku sprawach: jeden głos, zupełnie nieznany, podniósł się w tłumie przypadkowo, imię Mustafy zostało wymówione, i Mustafa stał się niespodziewanie cesarzem.

Paryż, dzień 2-gi miesiąca Rebiab, 1, 1715.

Liść CII. Uzbek do Ibbena w Smirnie

Najpotężniejszymi państwami w Europie są: cesarstwo i królestwa: francuskie, hiszpańskie i angielskie. Włochy i Niemcy podzielone są na niezliczoną ilość drobnych państw, których książęta są właściwie męczennikami korony. Nasi sławni sultani posiadają więcej kobiet, niżli niektórzy z nich — poddanych. We Włoszech, gdzie niema żadnej między nimi spójni, są bardziej godni pożałowania: posiadłości ich stoją otworem, jak domy zajezdne, w których obowiązani są przyjmować pierwszego lepszego przychodnia; takie położenie zmusza ich do zawierania związków z silniejszymi władcami, udzielającymi im raczej trwogi swojej, niż przyjaźni.

Po większej części rządy państw w Europie są monarchiczne, a raczej tak nazywane, bo właściwie nie wiem, czy kiedykolwiek takie państwo tu istniało, lub mogło utrzymać się długo w swojej czystości.

Forma to bardzo niepewna i zmieniająca się prędko w despotyczną lub republikańską.

Władza nigdy nie może być równo rozdzielona między królem i narodem; niezmierznie trudno zachować w tym wypadku równowagę; koniecznym następstwem bywa zwykle zwiększenie jednej z krzywdą drugiej; przewaga zwykle staje po stronie monarchy, który ma za sobą wojsko.

To też władza monarchów europejskich jest bardzo wielka, można powiedzieć, iż jest tak wielka, jak tego sami chcą, tylko że nie dają jej tak szerokiego, jak nasi sultanie, zastosowania, raz, że nie chcą gwałcić zwyczajów i religii narodów, a po wtóre, że posuwanie jej za daleko nie leży bynajmniej w ich interesie.

Nie więcej nie zbliża monarchów z poddanymi jak nieograniczona władza, ale też nie ich tak nie czyni podległymi zmienności i kaprysom losu. Przysługujące im prawo skazywania na śmierć za najmniejszym powodem wszystkich tych, co im się nie podobają, obala niezbędną równowagę między przestępstwem a karą, która jest jakby duszą rządu i harmonji państwowej. Ścisłe w tym względzie zachowywana równowaga stanowi wyższość chrześcijańskich monarchów nad naszymi sultanami.

Pers, któryby przez nierozwagę, lub skutek nieszczęśliwych okoliczności, ściągnął na siebie nielaskę monarchy, jest pewny śmierci; najmniejszy błąd lub wybryk sławia go w tem nieuniknionem położeniu. Grozi mu wszakże to samo, gdyby godził na życie monarchy, lub zamysłał zdradę, niewięcej zatem naraża się w pierwszym niż w drugim razie.

To też, zmuszony obawiać się śmierci za najmniejszą nielaskę, nie ma nic do stracenia i szuka naturalnie w zaburzeniu państwowem, spiskowaniu przeciwko monarcharsze, jedyne, jaki mu pozostaje, ratunku.

Zupełnie inaczej dzieje się z dostojnikami europejskimi; nielaska pozbawia ich zaledwie względów i protekcyj. Opuszczają dwór i poprzestają na używaniu rozkoszy spokojnego życia i przywilejów urodzenia. Ponieważ karani są śmiercią jedynie za obrazę majestatu, wyszrzegają się tego przestępstwa, rozumując, iż więcej w tym razie stracą, niż wygrać mogą; wskutek czego mniej tu bywa rewolucyj i mniej monarchów ginie od zamachów.

Gdyby, przy całej nieograniczoności swej władzy, monarchowie nasi nie zachowywali tylu ostrożności dla zabezpieczenia swego życia, nie przeżyliby jednego dnia; a gdyby nie utrzymywali na swym żołdzie niezliczonych zastępów wojsk, tyranizujących resztę poddanych, państwo nie utrzymałoby się dłużej nad miesiąc.

Będzie cztery czy pięć wieków temu, jak jeden z królów francuskich otoczył się strażą, wbrew zwyczajom ówczesnego wieku, chcąc zabezpieczyć się od zabójców nastanych nań przez jednego z drobnych królów Azji: do owego czasu królowie żyli spokojnie wśród poddanych, jak ojcowie wśród własnych dzieci.

Bardzo odległe to czasy, kiedy królowie Francji mogli samowolnie, jak nasi sultanowie, pozbawiać życia swych poddanych, oni bowiem dziś właśnie mają prawo łaski dla wszystkich przestępców: dość, żeby taki nieszczęśliwy ujrzał dostojne oblicze swego monarchy, aby przestał być niegodnym żyć. Monarchowie są tu jak słońce, roznoszące wszędzie ciepło i życie.

Paryż, dzień 8-my księżycy Rebiab, 1717.

Tłum. M. W.

VOLTAIRE (FRANÇOIS MARIE AROUET)

(1694—1778)

Z A I R A

Tragedja w 5 aktach

W haremie sultana jerozolimskiego Orozmana przebywa od dzieciństwa niewolnica chrześcijańskiego pochodzenia — Zaira, którą ma wykupić jeden z wypuszczonych na wolność krzyżowców, Nerestan. Zaira jednak nie chce opuścić dworu sultańskiego, gdyż kochana przez Orozmana, pragnącego ją poślubić, pokochała go wielką i prawdziwą miłością. Gdy Nerestan przyjeżdża z okupem, sultan wypuszcza wszystkich więźniów chrześcijańskich, zatrzymując jedynie Zairę i ostatniego chrześcijańskiego króla Palestyny — starego Luzynjana, który później w Zairze i Nerestanie poznaje swe zaginione podczas walk dzieci. Luzynjan, umierając z radości, błaga Nerestana, aby Zairę uczynił chrześcijanką. Nerestan w rozmowie z siostrą żąda przyrzeczenia, że, nim poślubi Orozmana, musi być ochrzczona. Sultan, który o niczem nie wie, posądza Zairę o zmianę uczuć i w Nerestanie widzi swego rywala i, gdy Nerestan wzywa Zairę listem na schadzki, celem omówienia chrztu, list przejmuje Orozman i, przybywszy na miejsce schadzki, w szale zazdrości zabija Zairę. Gdy po przybyciu Nerestana rzecz się wyjaśnia, zrozpaczony sultan przebija się sztyletem, rozkazując przedtem wszystkim chrześcijanom wypuścić z niewoli.

Akt I, scena I

Zaira i Fatyma.

Fatyma: Młoda!.. piękna Zairo! powiedz, skąd pochodzi,
 Że to miejsce uczucia nowe w tobie rodzi?
 Zwodniczaż to nadzieja, czy moc przeznaczenia,
 Dni ponure i smutne w pogodne zamienia?
 Przy wdziękach twarzy serce spokojniej oddycha,
 Powabne oko twoje z dawnych łez osycha.
 Przestałaś już powrotu w ów kraj sobie życzyć,
 Dokąd waleczny Francuz miał nam przewodniczyć.
 Ani mi więcej wspomnisz o pięknej krainie,
 W której dla kobiet zawsze lud grzecznością słygnie.

Gdzie wdzięki, twym podobne, są w powinnym względzie,
 A towarzyski mężów królowe są wszędzie.
 Skromne bez przymuszenia, wolne bez niesławy,
 Cnota w nich nie jest skutkiem nikczemnej obawy.
 Czyż do takiej wolności nie wzdycha twa dusza?
 Czy nie czuje swych więzów? Czy jej nie obrusza
 To imię niewolnicy, seraju, Sułtana?
 Solima jestżeż miłsza, niżeli Sekwana?

Zaira: Nikt tego nie zapragnie, co mu nie jest znanem,
 Siedlisko nam wskazało niebo nad Jordanem,
 Od dzieciństwa mojego w seraju zamknięta,
 Widzi się moja dusza z nim być oswojona.
 Reszta ziemi, o której słyszałam za ledwie,
 Pod prawem nas Sułtana zostawia obiedwie.
 On sam w swej mocy, chwale, za wszystko mi stanie,
 Pragnę tylko, bym mogła żyć przy Orozmanie.
 Reszta sen dla mnie próżny.

Fatyma: Alboś zapomniała,
 Że Francuz, w którym dusza tak czuła, wspaniała,
 Zaręczał nam, iż wróci, więzy nasze skruszy?
 Jakaśmy się dziwiły śmiałej jego duszy,
 Jakiej wśród smutnych bojów chwały nie pozyskał,
 Przy Damaszku, gdy wiernych los wojny przyciskał?
 Sam Orozman zwycięzca, wielbiąc jego czyny,
 Pozwolił mu na słowo odejść z tej krainy.
 Jeszcze go wyglądamy, mąż ten dobroczynny
 Za wolność naszą spłacić miał okup powinny.
 Albożby więc nadzieja nasza była próżna?

Zaira: Niezawsze z obietnicy uścić się można.
 Od dwóch lat on, Fatymo, powrót do nas zwleka.
 Obcy, nieznany więzień, choć wiele przyrzeka,
 Nie wszystko dotrzymuje, zaklina się śmiało,
 Na to baczny, by z więzów ujść mu się udało.
 Dziesięciu chrześcijańskich więźniów miał wybawić,
 Więzy ich stargać, albo do więzów się stawić.
 Tę gorliwość, choć próżną, wielbiłam bez miary,
 Już ani myśleć o tem..

Fatyma: Nuż dochowa wiary,
 Nuż powróci i swego słowa nam dotrzyma?
 Czy nie zechcesz?..

Zaira: Już teraz nie czas jest, Fatyma.
 Wszystko się odmieniło...

Fatyma: Jak? Co to ma znaczyć?

Zaira: Muszę ci skrytość losów moich wytłumaczyć,
 Jeszcze Sułtan rzecz całą w milczeniu ukrywa,
 Dla mnie, gdy ci się zwierzam, pociechy przybywa.
 Z innymi niewolniki trzy miesiące blisko
 Kazano ci jordańskie opuścić siedlisko.
 Opatrzność, by nam nieszczęść koniec przyśpieszyła,
 Silniejsze dla nas ramię na ratunek zsyła.
 Ten Orozman...

Fatyma: Cóż?

Zaira: Sułtan! ten, którego pycha
 Zmiotła wiernych, Fatymo... ten sam do mnie wzdycha.
 Ty płoniesz?... Wiem... lecz w myśli niech twej nie powstanie,
 Bym się śmiała ubiegać się o jego kochanie.

Samowładcy jednego, by dumne zapaly,
 W rzędzie podłych nałożnic mnie także mieć chciały.
 Nie tak mię ten zwodniczy blask miłości mami,
 Bym go potem płaciła wstydem, hańbą, łzami.
 Owa wyniosłość, która w skromności ma źródło,
 Dotąd mi jeszcze myśleć nie daje tak podło.
 Raczej, niżbym ściągnęła na siebie tę plamę,
 Przyjmę spokojnie więzy i śmierć nawet samę.
 Zdumiesz się, że męstwo i umysł wyniosły
 Błahym mym wdziękom czysty hołd w ofierze niosły.
 Z tylu innych, co chciwe są jego kochania,
 Na mnie obraca oczy, ku mnie serce skłania.
 Ślubem mym gdy zawstydzę intrygę ich zdradną,
 Jegom panią, a one do nóg moich padną.

Fatyma: Jest to wdziękom i cnotom hołd przynależyty,

Więcej mię cieszą, niżli dziwią te zaszczyty,
 Szcześnie tve, jeśli można, niech zupełne będzie,
 Ja widzę się z radością w twych poddanek rzędzie.

Zaira: Bądź mi równą, me szczęście niech na ciebie spływa.

Bo gdy je z tobą dzielę, dla mnie go przybywa.

Fatyma: Ach! jeśli tylko niebo ten ślub ci przebacza.

Bodaj ta wielkość, którą los tobie przeznacza,
 Która ma pozór szczęścia, tak często zwodniczy,
 Nie zostawiła nadal w twem sercu goryczy.

Zaira: Czyliż moc tajna twoich nie wstrzymuje chęci,
 Żeś była chrześcijanką, wyszło z twej pamięci?

Co mówisz? Na co wzbudzasz w mojem sercu trwogę?

Ach, Fatymo! Kto jestem, alboż dociec mogę?

Pozwolił mi niebo wiedzieć, skąd pochodzę.

Nie ukrył przed mną krwi, z której się rodzę?

Fatyma: Nerestan, który blisko zrodzon w tej krainie,
 Świadczy, że chrześcijańska krew w twych żyłach płynie.

Co mówię! Znak na tobie krzyża znaleziony,
 Ubiór drogi dzieciństwa z pilnością strzeżony:

To znamię chrześcijańskie, którem zręczna sztuka

Przez kształt drogiej roboty wzrok łatwo oszuka,

Co po tylekroć służył ku twojej ozdobie,

Krzyż ten może umyślnie zostawion przy tobie,

By twój był z Bogiem rękojnią przymierza,

Któremu się tve serce teraz przeniewierza.

Zaira: To znak słaby; maż dusza sobie niezbadana,

Znać Boga, który nie jest Bogiem Orozmana?

Zwyczaj, prawo, poddały pierwsze moje lata

Wierze pogromicieli tej połowy świata.

Znam nadto, że pierwotne względem nas starania

Tworzą w nas obyczaje i wiarę, i zdania:

Przy Gangesie byłabym zapewne poganka,

Prawowierna w Paryżu, tutaj muzułmanka.

Nauka czyni wszystko: i uczucia, i myśli,

Na słabych sercach naszych ręka ojców kręśli,

Czas je później odnawia, wzmacniają przykłady.

I sam Bóg tylko może zagładzić ich ślady.

W tych miejscach, kiedyśmy się w niewolę dostały,

Ty przez wiek miałaś wtedy już rozum dojrzały,

Jego promienie w wierze dawnoć przewodniczą.

Jam została w kolebce jeszcze ich zdobyczą.

Wiarę chrześcijan późnom aż nadto poznała,
 Nie chciej jednak rozumieć, bym wstręt do niej miała.
 Ten krzyż mimo mej woli, to ci wyznać muszę,
 Często jakimś strachem przerażał mą duszę.
 Śmiałam go wzywać nawet wprzód, niż jakaś siła
 Orozmana mi obraz w duszy nakreśliła.
 Wielbię te święte prawa, te Boskie wyrazy,
 O których mi Nerestan mówił tyle razy:
 Prawa, które, rugując ucisk i nędzę ze świata,
 Chcą, aby każdy człowiek znał w człowieku brata.
 Ta miłość obopólna wszystkim szczęście daje.

Fatyma: Dlaczegoż dziś Zaira przeciw nim powstaje?
 W jarzmo praw muzułmańskich gdy twe serce wprzegasz,
 Naprzeciw chrześcijanom z niemi się sprzysięgasz.
 Masz z dumnym ich zwycięzcą dzielić ślubne łoże.

Zaira: Któż daru serca swego odmówić mu może?
 Muszę ci słabość moją wyznać sama szczerze,
 Możeby, wbrew miłości, przetrwała w tej wierze
 I dla prawa twojego odstąpiła błędu;
 Lecz Orozman mię kocha, na nic nie mam względu:
 Nie widzę, tylko jego, dusza moja cała
 Tem szczęśliwa, że jego miłość pozyskała.
 Jego piękność i czyny staw sobie przed oczy,
 To dzielne ramię, którem tylu królów tłoczy;
 Staw sobie otoczone chwałą piękne skronie,
 Nic nie mówię, że z sobą mnie sadza na tronie,
 Nie... nigdy wdzięczność serca z zapłatą nie stanie,
 Hold ten obrażający nie wchodzi w kochanie.
 Ja kocham Orozmana, nie tronu ozdoby,
 W nim nie kocham nie więcej, prócz jego osoby.
 Może nadto w tem wierzę czuciu pochlebnemu,
 Lecz niechaj niebo wyrze gniew swój przeciw niemu,
 Niech do tej, w której byłam, strąci go niewoli,
 A niech mnie na syryjskim tronie sięść pozwoli;
 Albo miłość mnie zwodzi, albo dziś Zaira
 Zstąpi, by wnieść ku sobie tego bohatera.

Fatyma:

Zaira: Ktoś idzie! on zapewne.
 Serce go zgadywa,
 Obwieszcza to, co kocham, ach przecież przybywał
 Dwa dni mija, Fatymo, jak go nie oglądałam,
 Przecież miłość mi wraca, którego tak żądam.

Akt V, scena IX

Orozman, Zaira, Fatyma postępują w ciemnościach nocnych.

Zaira: Pójdź, Fatymo!

Orozman: Co slysze? ówże to głos miły?
 Którego mię tylekroć powaby ludziły?
 Głos! który zdradza ognie, tak święte! tak żywe!
 Głos przeniwierczy, zbrodni narzędzie zelżywe!
 Zdrajczyń! zemścijmy się!... onaż to? o zmor!... *(dobywa sztyletu)*
 Zaira! Boże... z rąk mi wypada żelazo!

Zaira: *(do Fatymy)* Tu droga... w męstwie pokrzep tę, która upada.

Fatyma: Zaraz przyjdzie!

Orozman: Całą wściekłość wraca mi ta zdrada.

Zaira: Postępuję ze drzeniem! ach wszystka zmartwiała!...
 Tyżeś jest, Nerestanie! długom cię czekała!
 Oroz man: (*wpada na Zairę*) Jam to, którego zdradzasz! umrzyj niecnotliwa!
 Zaira: (*upada*) Ach, umieram!
 Oroz man: Spełniona zemsta sprawiedliwa!
 Pójdźmy stąd!... ach nie moge! com zrobił? niestety!...
 Sprawiedliwość!... Kaźń stałem niewiernej kobiety!...
 Los mi zsyła kochanka! oto już nadchodził
 Krwawej się mej radości i zemście dogodzi.

Scena X

Oroz man, Nerestan, Korazmin, Fatyma, Niewolnik.

Oroz man: (*do Nerestana*) Zbliź się, nieszczęsny! Podły sprawco mojej zguby!
 Tyś wydarł mi na zawsze przedmiot mój tak luby,
 Nadstawiasz mi się jeszcze, zbrodniarz godzien wzgardy,
 Przy zdradzieckiej obłudzie, jak bohater hardy,
 Przewagi twej nade mną na maś hańbę użył,
 Gotuj się, masz zapłatę, na jakąś zasłużył.
 Me boleści na ciebie w słusznej karze spłyną,
 Za niewdzięczność, okropność, którejs jest przyczyną.
 Czy gotowa katownia, niech zdrajca umiera.

Korazmin:

Tak, pani!...

Oroz man:

Pewnieć ona już serce pożera...
 Oko twe szuka wszędzie, jeszcze wybadywa
 Niecnej, co ciebie kocha, mnie hańbą okrywa.
 Patrz, oto jest!...

Nerestan:

Co mówisz? jaki błąd cię mami?

Oroz man:

Patrz! — mówię!

Nerestan:

Przebóg! Siostra przed memi oczami?

Oroz man:

Zaira?... ach poczworo!... chwilo nieszczęśliwa!

Oroz man:

Siostra? Czy można? Nieba? Cóżto się odkrywa?

Nerestan:

Tak, okrutny! niech teraz twa ręka wysączy
 Szczątki krwi zacnej przodków, niech mię z niemi złączy.
 Luzynjan był jej ojcem, tak w samej istocie,
 Śmierć go na mojem łonie wyrwała zgrzyzocie.
 Ojca, którego łzami skropił martwe zwłoki,
 Niosłem wraz z pożegnaniem ostatnie wyroki,
 Szedłem, by na jej duszy zbyt słabej i tkliwej
 Święte położyć znamię, czci Boga prawdziwej.
 Niestety, ona Boskie prawa obraziła,
 Bóg za miłość ku tobie karę na nią zsyła.

Oroz man:

Fatymo! Kochała mnie? czy tak niezawodnie?
 Jego siostra?... Kochała?

Fatyma:

Otóż to jej zbrodnie!

Tygrysiel! Krwi niesyły! ty jesteś morderca
 Tej, co ci, mimo siebie, strzegła swego serca.
 Ta ją utrzymywała pochlebna otucha,
 Że Bóg ojców lzy przyjmie, jęków jej wysłucha,
 Że litość jego wzruszy miłość nieszczęśliwa,
 Że raczyłby was związać przez wspólne ogniwa,
 Ach! zbyt zwodniczem serce omamieniem paśa,
 Ta nadzieja pieścząca nigdy w niej nie gasła,
 Jej serce zajmowałaś wraz z Bogiem w podziale.

Oroz man:

Dość na tem! o nieba! Kochała mię stałe?
 Idź! już mi niczego więcej nie potrzeba badać.

- Nerestan: Srogil! napaś twą wściekłość, czemu masz odkładać?
 Jam się tylko pozostał z tej krwi pełnej chwały,
 Którą tu z twoim ojcem ręce twe rozlały;
 Trzeba, byś nieszczęsnego z rodziną zjednoczył,
 Z bohaterem, któregoś krew córki wytoczył.
 Gotowe już katownie? Śmiało na nie stanę,
 Nad wszystkie inne sroższą wytrzymałem ranę!
 Lecz wściekłość, co twe żądze na mą krew podusza,
 Czy jeszcze głos honoru słyszeć ci dopuszcza.
 Biorąc me życie, pomnieć masz na chrześcijany,
 Przysiągłeś mi, że wszystkich potargasz kajdany,
 Zdziczałe ręce twoje w wściekłości zapędzie
 Na to dzieło szlachetne czyli się zdobędzie?
 Mów, a to mi przy zgonie za pociechę stanie.
- Orozman: Zairol
- Korazmin: Dokąd przebóg zapędzasz się, Panie!
 Odejdź i ulżyj duszy w tym nieszczęść natłoku,
 Niech Nerestan...
- Nerestan: Okrutny, mów — czekam wyrok!
- Orozman: (*po niejakej chwili*) Korazminiel! niech z niego zdejmą te kajdany.
 Natychmiast na wolność wypuść chrześcijany...
 Wylej na nieszczęśliwych me łaski bez miary,
 Otwórz im skarby moje, syp obfite dary,
 Aż do portu Joppei doprowadź ich kroki.
- Korazmin: Lecz panie!...
- Orozman: Bądź posłuszny i tak czyn bez zwłoki,
 Niechaj się twoje serce zdradzać nie ośmiela
 Rozkazów pana swego, chęci przyjaciela,
 Idź, bądź posłuszny, czasu nie trać nadaremnie. (*do Nerestana*)
 Ty, cierpiący rycerzu! ale mniej ode mnie,
 Wyjdź z miejsc tych zakrwawionych, nieś w ojczyste strony
 Przedmiot wyzuty z życia przez zapęd szalony.
 Słyszac o twych nieszczęściach, król i chrześcijanie
 Rozmawiać o nich będą i zapłaczą na nie;
 Lecz jeśli przez twe usta prawda się objawi,
 Zbrodnia w nich obrzydzenie, los mój litość sprawi.
 Nieś twoim to żelazo, które krew przelało,
 Tę krew, którą szanować mnie przynależało,
 Powiedz, że śmierć najsroższą zadałem kobiecie,
 Znakomitej zewszecmiar, najnotliwszej w świecie,
 Jakiej kiedy niewinnej wdzięki niebo daje.
 Powiedz im, zem pod nogi poddał jej me kraje,
 Powiedz, że krwią niewinną tę rękę zboczyłem,
 Że kochałem Zairę, że się tak zemściłem. (*zabija się i do swoich mówi*)
 Szanujcie bohatera, odprowadźcie w drogę.
- Nerestan: Kieruj mną, wielki Boże! ja pojąć nie mogę!
 Trzebaż, bym w twej wściekłości dumiał się nad tobą,
 Żałował cię!... sam będąc okryty żalobą?

Tłum. Konstantyn.

HENRJADA

Poemat epicki w 10 pieśniach, którego treścią są walki religijne we Francji. Henryk III, nie mogąc zdobyć Paryża, w którym broni się Liga z Gwizjuszami na czele, posyła Henryka Bourbona do Anglii z prośbą o pomoc. Po wielu przygodach, które go w drodze spotykają, wraca Bourbon pod Paryż, w którym tymczasem straszne zamieszanie

i rzeź stronników królewskich. Po zamordowaniu króla Henryka III wojsko obwołuje królem Bourbona, jako Henryka IV. Wkrótce, po wielu walkach, Henryk IV zwycięża. Paryż otwiera mu bramy, a kraj przyjmuje go z radością. Pod rządami mądrego i dzielnego króla panuje spokój i zgoda.

Pieśń I

Śpiewam tego Rycerza, co Francją władał,
Prawem męstwa i prawem, które mu ród nadał;
Który się w szkole nieszczęść do tronu uchował,
Rozbroił rokoszanów, bezbronnym darował.
Zniósł ościennych, poskromił ziomków zbuntowanych,
A stał się i zwycięzcą, i ojcem poddanych.
Zstąp, święta prawdo, z niebios górnego sklepienia,
Twą jasnością i mocą natchnij moje pienia,
Niech uszy królów ciebie przywykną zrozumieć,
Tyś to głosić powinna, co im trzeba umieć.
Z twoich się ust powinny nauczać narody,
Jakie skutki zbrodnicze wynikły z niezgody.
Powiedz, jak jej zarazy u nas się rozlały,
Co króle zawinili, ludy ucierpiały.
Przyjdź i powiedz, czy bajka dawniejszemi laty
Na twą wspaniałą nagość rzucała swe kwiaty.
Czy jej lekka dłoń pyszną twą głowę stroiła,
Czy swym cieniem twą boską jasność ozdobiła?
Pozwól jej i mnie razem postępować z tobą,
Nie żeby być twych wdzięków skazą, lecz ozdobą.
Walezy jeszcze rządził, a zemdlone dłonie
Opuściły ster państwa na zachwianym tronie.
Służność była w ucisku, rządy szły niedbale,
Albo raczej Walezy nie panował wcale.
Jużto nie był ów książę znakomitej chwały,
Co mu z dzieciństwa w boju zwycięstwa sprzyjały,
Co się drżący świat jego przypatrywał chwale,
I za którym ojczyzna wydawała żale.
Gdy z północy, cnotami jego zadziwiony,
Naród mu u stóp składał zaszczyty korony,
Często kto w drugim świeci, w pierwszym stopniu znika;
Podłym królem z dzielnego został wojownika,
Na tronie w pośród mnóstwa uciech rozpieszczony,
Stękał w twardem ospalstwie z ciężarem korony.
Kielus, Joyez, Sen-Megren, Epernon, młodzianie
Rozpustni, mieli w ręku kraju panowanie.
Ci w królu zaszczytli z gubną zniewieściałość
I w zbytkach martwą jego uśpili niedbalość.

Z tem wszystkim Gwizjuszów wziętości przewaga
Na tronie ponizonym panowanie wzmaga.
Skleili straszny związek na zgubę Henryka,
W którym król zuchwałego znalazł przeciwnika.
Lud krnąbrny, to narzędzie niewolnicze panów,
Prześladował swych rządców, wspierając tyranów.
Za szczęściem przyjaźń jego opuściła progi,
Wypędzony od ludu z pałacu wśród trwogi.
Przychodzień zewsząd wojskiem przedmieścia okrywa;
Wszystko pęzło w zniszczeniu, gdy Bourbon przybywa.
Cnotliwy Bourbon, pełen otuchy wojennej,
Wiódł króla z cienia wzgardy do jasności dziennej.

Uzbroił umysł jego i naklonił wole,
 Z bezczynności do sławy, a z rozrywek w pole.
 Oba króle pod miasta podeszli okopy,
 Zadrżały na zachodzie mocarstwa Europy,
 I zajęta powszechność tych ważnych klęsk tokiem
 Pilnym na ten mur smutny poglądała okiem.

Już po całym Paryżu niezgoda krwi chciała
 Związkowych i Majena do bitwy wyzywała,
 I po wieżach wśród miasta przywołuje z góry
 Hiszpanów i pospólstwo, wojsko i klasztory.
 Ten potwór niezmiękczonej, krwawy, popędliwy,
 Jest swych podanych przeciwnik straszliwy.
 Karmi się nieszczęściami ludzkiego plemienia,
 Często krwią najwierniejszych sług się zarumienia:
 Jak tyran, ludzi razem i rozdziera serca,
 Sam jest zbrodni spółnikiem i sam jej morderca.

Od strony zachodniej nad rozkosznym brzegiem,
 Gdzie Sekwana z Paryża krętym płynie biegiem,
 Gdzie zamknął ten kraj piękny, to wdzięczne mieszkanie,
 Z przyjemnością natury nauk panowanie;
 W krwawem polu, gdzie wtedy straszne były boje,
 Nieszczęśliwy Walezy zbierał rotę swoje.
 Tam były kraju wsparcia, razem ci rycerze,
 Zjednoczeni dla zemsty, chociaż różni w wierze.
 Tam Bourbon wszystkich tedy losami dowodził,
 A serca ich zyskawszy, wspólnie ich pogodził.
 Zdało się, iż ta siła, przez którą on działa,
 I wodza, i Kościoła jednego słuchała.

Wtedy ojciec Francuzów z nieśmiertelnym Iona,
 Ludwik zwrócił ojcowskie oko na Bourbona;
 Wróży w nim pokolenia swego okazałość,
 Żałował jego błędów, kochał jego śmiałość.
 Chciał go później wyborem korony zaszczycić,
 Chciał go bardziej zbogacić, bo go chciał oświecić.
 Lecz Henryk śmiałą na tron postępował nogą,
 Niewidzialną swym oczom puszczając się drogą;
 Ludwik go z górnych niebios swem ramieniem wspierał,
 Lecz tań pomoc, którą nad nim rozpościerał;
 Żeby rycerz niepewny skutku swej wyprawy
 Z większem niebezpieczeństwem więcej nabył sławy.

Już przeciwne dwie strony zszedłszy się pod wały,
 Z orężem w ręku szale przeznaczeń zachwiały.
 Już po smutnych równinach okrutna Bellona
 Aż pod morza wściekłości rozniosła nasiona,
 Kiedy się do Henryka Walezy odzywa
 W tych smutnych słowach, które westchnieniem przerywa:
 «Wiesz, jak los wiele dla mnie przygotował wzgardy,
 Twa niesława jest moja, i ów związek hardy,
 Wznosząc kark buntowniczy przeciwko nam razem,
 Śmiał nas dotknąć zniewagą i ścigać żelazem:
 Paryż nas obu w zemsty stawiając potrzebie,
 I mnie królem znać nie chce, i następcą siebie;
 Widzi to, iż dla zasług i z prawa, i z rodu
 Tobie berło należy Francuzów narodu;
 A nieszczęsne w nim wróżąc przyszłości koleje,
 Broni nam tronu, który pode mną się chwieje.

Nieukojeni w gniewie namiestnicy wiary
 Przeciwko nam przekleństwa rzucali pożary.
 Rzym, który bez żołnierzy wszędzie wojnę niecił,
 Mściwy swój piorun w ręce Hiszpanów polecił.
 Przyjaciół i poddanych wydarła mi zdrada,
 Wszystko mnie odstępuje, wszystko na mnie pada,
 A Kastylczyk łakomy, z mych strat wzbogacony,
 Po pustych się rozpostarł polach z każdej strony».

Pieśń X

— — — Głodem ściśnięta srogich bezbożników rzesza
 Do domu zbrodniczego na nowo przyspiesza.
 Krzyk równy wydawała ta zgraja niesyta,
 Jak kiedy lew lub niedźwiedź swe połowy chwyta.
 Wściekłość miejsce radości bierze pośród gminu,
 Wybijają drzwi gwałtem, o zgrozo! o czynu!
 Przy ciele zakrwawionem uwagę ich wzruszy
 Kobieta z wściekłym wzrokiem i okrutnej duszy:
 «Tak, ten jest mój syn własny, potwory, morderce,
 Wyście mą dłonią w jego ugodzili serce,
 Chciejcie zbrodnicznych łowów nieszczęsny łup zażyć,
 Czyliż wy się wzdrygacie naturę znieważyc?
 Czyli są bezbożności, które was zastraszą?
 Tygrysy, ta ofiara będzie karmią waszą».
 To rzekłszy, bezrozumna, w zapale szalona,
 Odwraca nóż zbojecki do własnego łona.
 Trwoga i okrucieństwem nawzajem wzruszeni,
 Uciekają oprawcy, wszyscy przerażeni;
 Już na ów nieszczęśliwy dom patrzeć nie śmieją,
 Już ściągnąć na się płomień nieba rozumieją.
 A lud, co go wszech nieszczęść przerażała trwoga,
 Wznosił ręce ku niebu, prosząc o śmierć Boga.

Ta wieść aż się obita o królewskie uszy,
 Cierpiał on na nią wewnątrz i czuł żal w swej duszy,
 Nad ludem wiarołomnym łez wylewa zdroje:
 «Boże» — krzyknie — «Ty, który znasz zamysły moje,
 Co przenikasz me serce, co widzisz me czyny,
 Osądź sprawców przestępstwa i rozpoznaj winy.
 Śmiało ku tobie, sędzio, me oczy podnoszę,
 Chciałem przebaczyć winy, przytłumić rokosze.
 Wszak nie ja jestem winien: ich zbrodni i kary,
 Niech Majen trupem ściele niewinne ofiary,
 Niechaj tyran, właściwym tyranom zwyczajem,
 Wini okoliczności, które rządzą krajem,
 Niech gnębi, niech kraj niszczy, niech płomień roznieci,
 Jego nieprzyjaciele są me własne dzieci.
 Tak jest, i własną karmić winieniem ich ręką,
 I przed pożerającą zasłonić paszczką.
 Choćby ów lud przeciwko obrońcy miecz zwrócił,
 Choćbym koronę stracił i mój tron wywrócił,
 Niechaj żyje mym chlebem, choć sam chce swej zguby,
 Ocalę ten lud własny, lud, co mi jest luby.
 A gdy tronu przez względy nie zapewnię sobie,
 Ten napis pozostanie ryty na mym grobie:
 «Henryk, swoich poddanych przeciwnik wspomniały,
 Wolał stracić koronę, niż zgubić lud cały».

To wyrzekłszy, natychmiast obozowa siła
 Pod miasto ogłodzone bez broni przybyła.
 Idzie, złożywszy miecze, w przyjaznej postaci,
 Nie jak do nieprzyjaciół, lecz rodzonych braci.
 Wojsko ściśle tym Boskim rozkazom podlega,
 Lud w jednym okamgnieniu na mury się zbiega.
 Widać czołgające się mieszkańców tysiące,
 Te cienie wpół umarłe, te trupy chodzące,
 Jako przed laty z piekieł bezdennych pieczary
 Posłuszne woli wrogów wychodziły mary,
 Gdy ich władza Kocytu wstrzymywała źródła
 I cienie obłąkane z Erebu wywiodła.
 Jako ci ogłodzeni mocno się zadziwią,
 Ci, z którymi walczyli, ciż ich sami żywią.
 Czując hardych obrońców srogą nicużytość,
 Znaleźli nieszczęśliwi w prześladowcach litość.
 Jako im się ten nowy widok dziwnie wyda,
 Taż sama zwycięskiego wojska straszna dzida,
 Pocisk i miecz, narzędzie srogiego rzemiosła,
 Bronń, która płytkiem ostrzem mieszkańcom śmierć niosła,
 Dogadzając Henryka zamysłem wspaniałym,
 Podawała na mury chleba wygłodniałym.
 «Toż to są» — rzekli — «straszne nasze przeciwniki,
 Tenże jest ludu gromca i tyran tak dziki,
 Ów nieba nieprzyjaciół i poczwara sroga?
 Przebóg, on jest obrazem najpiękniejszym Boga;
 Ow przykład panujących, ów król tak łaskawy,
 My niewarci pod berła jego iść ustawy.
 On gromi i przebacza swoim przeciwnikom;
 Ach! czemuż się wspaniałym opieramy szykom,
 Sto razy godni śmierci, od której nas bronili,
 Ratujmy mu to życie, które nam ochronił».
 Tak się na widok Ojca ich czułość rozrzewni,
 Ale któż się o płochem pospółstwie zapewni,
 Które tylko o słabem przywiązaniu gada,
 W którym często się chwieje, a częściej upada.
 Księża, których sto razy mowa nieszczęśliwa
 Niszczący wszędzie ogień w narodzie dobywa,
 Idą w stroju poważnym lud krzepić znękany,
 Wojownicy bez serca, bez cnót chrześcijany.
 «Jakaż» — rzekną — «was wiedzie na mury ponęta,
 Czyliż na palm męczeński żaden nie pamięta,
 Wojsko żywego Boga, czyliż wy wolicie
 Nieść mu serca obrazę, niż własne swe życie?
 Kiedy na was korona górnych niebios czeka,
 Na cóż nam wzgląd tyrana i laska człowieka?
 Onby chciał wszystkich natchnąć swą niegodną wiarą,
 Niech własna jego litość będzie jego karą,
 Niech zniknie przed ołtarzem ten obrządek sprośny».
 Tym sposobem mówili, a fanatyzm głośny,
 Ta trwoga panujących i pospółstwa władza,
 Dawną zapamiętałość w mieszkańcach odradza.
 Niektórzy z nich, wracając do wściekłości skrycie,
 Skarżyli się, iż jemu winni byli życie.
 Wśród krzyków, co się w mieście dokoła wzbijały,
 Aż do nieba Bourbona cnoty dosięgały.

Ludwik, który z najwyższej przestrzeni niebiosów
 Był stróżem niedostępnym wnuka swego losów,
 Poznał, iż się ma spełnić przeznaczeń godzina,
 I że król wszystkich królów przysposobi syna.
 Zaraz wątpliwość znikła z bohatera duszy,
 Wiara lży z jego oczu obfite osuszy,
 I najwyższa opieka i nadzieja droga
 Przed tron go przeprowadzą Przedwiecznego Boga.

Nim dał istność czasowi wśród jasności czystej,
 Wszechmocny ugruntował swój tron wiekuisty,
 Niebo jest u stóp jego, setnych gwiazd zasady
 Boskiej świata budowy okazując ślady.
 Miłość, potęgą, mądrość, trzy bóstwa przymioty,
 Są prawdziwym obrazem tej górnej Istoty.
 Niebianie wśród słodyczy wiecznego pokoju
 Optywają bez przerwy wśród rozkoszy zdroju,
 A Bóstwa napojeni i tchnieniem, i sławą,
 Wielbią tę moc najwyższą, której żyją sprawą.
 Przed Nim jest owych świetnych Serafinów grono,
 Którym świata całego losy powierzono.
 Bóg mówi, a te duchy zmieniają postać ziemi,
 Zwalą państwa wzmocnione zasady wiecznemi,
 I gdy ludzie, te błędu igrzyska nikiemne,
 Ustawnie na wyroki skarżą się nadziemne,
 Oni są, co Rzym grążąc w niewoli i zdradzie,
 Dali stolicę świata w północnej osadzie;
 Solimę Ottomanom, a Maurom Hiszpanów.
 Każdy kraj ma swój koniec, każdy lud tyranów,
 Lecz z woli niedościgłej tej górnej Istoty
 Niezawsze tak wysoko pięły się niecnoty,
 Często ona o dobro wszystkich ludzi dbała,
 Niewinnej ręce berło królów powierzała.

Wtedy stanie Bourbonów i ojciec, i głowa,
 I do twórcy narodów te przemówi słowa:
 «Ojczyźnie świata całego, jeżeli ty wprzód
 Uszczęśliwił wejrzeniem i tron, i narody,
 Patrz, jak przeciw królowi krnąbrny lud powstawa,
 I dla usługi Nieba zdeptał ludzi prawa.
 A walcząc z wzdargą prawa z królem i zwyciężcą,
 Zamiast mścicielem Nieba, jest krzywoprzysięcą.
 Patrz na króla, co poszedł wojownika śladem,
 Co był świata kochaniem, trwogą i przykładem,
 Czyż go tyłą cnotami nadał z tego względu,
 Ażebyś go wystawił na zasadzki błędu,
 Czyż trzeba, by tak chlubne dzieło twej roboty
 Składało cześć niegodną dla twórczej istoty.
 Ach, jeżeli wielki Henryk twej nie poznał wiary,
 Któż tobie godne ciebie przyniesie ofiary?
 Niechaj twój głos do serca Henryka przemówi,
 Daj króla dla narodu, syna Kościołowi,
 Zostaw związek w buntownych krokach pomięszany,
 Niech król ma poddanego, a króla poddany.
 Niechaj cię serca wszystkich uwielbiają w zgodzie,
 I niech ci jedną w całym cześć dają narodzie».

Wysłuchał Nieśmiertelny Ludwika wyrazów,
 I jednym słowem zamknął moc wszystkich rozkazów.

Drży ziemia, bledną gwiazdy na głos wielki Boga,
 A związkowych śmiertelna przerażała trwoga,
 Król, który Bogu oddał pomyślność swych losów,
 Uczuł laskawą pomoc najwyższych niebiosów.
 Znała prawda, przez długi czas oczekiwana,
 Ta zawsze miła ludziom, lecz często nieznaną,
 Z przed Boga do namiotu spuszcza się Bourbona,
 Zaraz ją gruba zewsząd okrywa zasłona,
 Lecz powoli dobyta z zapadłego cienia,
 Jasne swoje promienie zewsząd rozprzestrzenia.
 Aż wkrótce sam ją Henryk postrzeże ochoczy,
 W świetle, które uderza, nie zaślepią oczy.
 Zwycięzca wielką duszą, dla prawdy stworzoną,
 Widzi, zna i uwielbia jasność nieskończoną.
 On dał zdanie o wierze, w której się zacieka,
 Iż ta jest nad pojęcie, wyższa nad człowieka,
 Poznał wiarę gnębioną przez nieprzyjacioly,
 Jedną wszędzie, mającą wszędzie swe kościoły,
 Wolną, chociaż nią zawsze jeden pasterz włada,
 I co w szczęściu niebianów cześć wszechmocny składa.
 Chrystus, grzesznego ludu ta ofiara żywa,
 Pokarm, którego oddział wybranych używa,
 W zdziwionych jego oczach na ołtarz zszedł z nieba,
 Pokazawszy się Bogiem pod własnością chleba.
 Z pokorą jego dusza wyznaje pobożna
 Tajemnice, co pojąć rozumem nie można.
 Ludwik, ujrawszy skutek niebieskich widoków,
 Ludwik, z różdżką oliwną, stojąc wśród obłoków,
 Do wodza, co go kochał, święte zwraca stopy,
 I sam go pod paryskie prowadzi okopy.
 Mur zdrzał i otworem stanęły bram progi,
 Wszedł w imię Boga, który królom wraża trwogi.
 Związkowi pomieszani, ze złożoną bronią,
 Z płaczem do nóg zwycięzcy gromadnie się skłonią;
 Szesnastu bez pamięci, księża bez pomocy,
 Próžno się skryć szukali pośród ciemnej nocy.
 Austrja broń składa, słusznie zatrwożona,
 Nawróconego króla Rzym przyjął do łona,
 Niezgoda się ukryła w głąb ciemnego państwa,
 Majen zwycięzcy wierność przysięgi poddaństwa,
 A oddawszy mu w ręce i siebie, i stany,
 Był z królów najlepszego najlepszy poddany.

Tłum. S. Dembowski.

MARQUIS DE VAUVENARGUES

(1715—1747)

UWAGI I MYŚLI

Jasność jest ozdobą myśli głębokich.

Zawilość jest królestwem błędu.

Rozum i swoboda z słabością pogodzić się nie dadzą.

Dowód to małości umysłu, jeżeli się na każdym kroku czyni różnicę pomiędzy tem, co godne szacunku, a tem, co godne ukochania. Wielkie duchy miłują już z natury to wszystko, co wzbudza w nich szacunek.

Prawa ducha nie różnią się od praw ciała; jedno i drugie ciąglego potrzebuje odżywiania.

Na niewiele się przyda umysł żywy, jeśli brak mu innych przymiotów. Doskonałość wahadła nie polega na tem, że porusza się prędko, lecz że porusza się według przepisanej miary.

Umysł człowieka posiada więcej powagi, niż błazeństwa. Mało ludzi urodziło się z dowcipem. Przeważna ich część dochodzi do niego przez naśladownictwo; zimni to kopiści żywości i wesołości.

Prawdziwą rozległość ducha łatwo odróżnić od fałszywej; tamta rozszerza przedmiot, ta zaś gubi go w nadmiernem nagromadzeniu epizodów i w steku erudycji.

Dobre łączenie rzeczy, oto dowód bystrości umysłu. Dar łączenia wielu rzeczy i wielkich rzeczy, świadczy o rozległości umysłu. A zatem bystrość wydaje się być pierwszym stopniem i warunkiem bardzo potrzebnym umysłu prawdziwie rozległego.

Ludzie, obdarzeni tylko rozumem, posiadają zmysł dla rzeczy wielkich, lecz namiętność tylko dla małych.

Rozpacz nietylko powiększa nasze nieszczęście, ale i naszą słabość.

Najwyższe dobro i najwyższe zło nieprzystępne jest dla pojęć umysłów miernych.

Kto ma dużo, temu nie zbywa i na małym, tak powiadają; ale to nieprawda. Król hiszpański, choć tak potężny, nic nie znaczy w Luwrze. Granice naszych uzdolnień daleko mniej dają się przesuwac, aniżeli granice państwa; daleko łatwiej przywłaszczyc sobie choćby całą ziemię, aniżeli najmniejszą cnotę.

Przeważna część wielkich osobistości to najwymowniejsi ludzie swego wieku. Twórcy najpiękniejszych systemów filozoficznych, przywódcy stronnictw i sekt, ci, którzy po wsze czasy posiadali najwyższą władzę nad umysłami narodów, zawdzięczali największe sukcesy swojej przyrodzonej, żywej wymowie swej duszy. Nie zdaje się, jakoby z równem szczęściem uprawiali także poezję. Pochodzi to stąd, że poezja nie pozwala na rozstrzelanie się, że tak podniosła i tak trudna sztuka rzadko kiedy daje się pogodzić z nawalem spraw, z hałaśliwymi zajęciami życia; wymowa natomiast jest wszędzie na miejscu, największą też część zdolności pociągania ludzi zawdzięcza duchowi rozwagi i przezorności, który jest ojcem mężów stanu, polityków i t. d.

Czy to prawda, że przymioty przeważające wyłączają inne? Któż ma więcej wyobraźni nad Bossueta, Montaigne'a, Descartes'a, Pascala — a przecież to sami wielcy filozofowie? Któż ma więcej rozwagi i mądrości nad Racine'a, Boileau'a, La Fontaine'a, Moljera — a przecież to sami genialni poeci?

Zazdrość ukrywać się nie umie. Oskarża i sędzi bez dowodów; powiększa błędy, najmniejsze wady określa, jako olbrzymie. Język jej pełny jest żółci, przesady i obrazy. Zjadle i wściekle rzuca się na wszelką wybitną zasługę. Jest ślepa, gwałtowna, bezmyślna i brutalna.

Kto dąży do sławy drogą cnoty, żąda tylko tego, co mu się należy.

Mierność umysłowa i lenistwo wytwarzają więcej filozofji, aniżeli myślenie.

Czyiny nasze nie są ani tak dobre, ani tak występne, jak nasze zamiary.

Któżby się dziwił przesądom starożytnych, zważywszy, że i dzisiaj, w tym najfilozoficzniejszym z wieków, istnieje dużo rozumnych bardzo ludzi, którzy za nic w świecie nie usiądą przy stole z trzynastoma nakryciami?

Wiara jest pocięchą nędzarzy, a przerażeniem szczęśliwców.

O SZTUCE I CHĘCI PISANIA

Talent i pociąg do pisania uważa się u ludzi wielkiego świata za coś śmiesznego. Pytam się ludzi rozumnych: Co robią ci, którzy nie piszą?

Nie można ani wielkiej posiadać duszy, ani jako tako bystrego rozumu, nie mając pewnej namiętności do piśmiennictwa. Sztuki zajmują się malowaniem pięknej natury, nauka poświęcona jest prawdzie. Sztuki i nauki obejmują wszystko, co w pewnych przedmiotach myśli jest szlachetnego lub pożytecznego, tak, że dla gardzących niemi pozostają tylko rzeczy niegodne, aby je odtwarzano, lub ich uczono.

MYŚLI RÓŻNE

Dążenie do wyrównania warunków ludzkich było zawsze pięknym snem; mimo natury ustawy nigdyby ludzi nie zrównały.

Niema myśli jednakowych, lecz dużo jest podobnych.

Pokój czyni narody szczęśliwymi, a ludzi słabszymi.

Zatwardziały bezbożnik mówi do Boga: Czemuś stworzył nieszczęśliwych?

Filozofów dlatego tak nazbyt nie lubimy, ponieważ za mało nam mówią o rzeczach nam znanych.

Samolubstwo jedynej, częstokroć nieszczęśliwej namiętności trzyma, tak bywa, na uwieży wszystkie inne; a rozum dźwiga swoje kajdany, nie mogąc ich skruszyć.

Kochając życie, lękamy się śmierci.

Szlachectwo jest pomnikiem cnoty nieśmiertelnej, jak sława.

Rozpacz jest największym z naszych błędów.

Tak więc zasadzamy próżność naszą na słabościach i najfałszywszych błędach. Rozum stwarza filozofów, sława — bohaterów, lecz tylko cnota — mędrców.

Dla Woltera była Europa wielką, z rozmaitych państw złożoną rzeszą państw. Tak samo umysł rozległy zmniejsza pozornie przedmioty, ściągając je w jedną całość, która odpowiada ogólnemu ich znaczeniu; w rzeczywistości jednak powiększa je, ukrywając ich wzajemny stosunek i z tyłu nieregularnych części jeden wspaniały stawiając budynek.

Prawda jest słońcem ducha.

Jeżeli jest czemś naturalnem wierzyć wielu rzeczom bez dowodów, niemniej jest naturalnem powątpiewać w wiele innych wbrew dowodom.

Newton, Pascal, Bossuet, Racine, Fénelon, to znaczy najoświeceni ludzie na ziemi, najwięksi ubiegłych wieków myśliciele, wierzyli w siłę swego ducha i swego wieku w Jezusa Chrystusa; a wielki Kondeusz powtarzał, umierając, szlachetne te słowa: «Tak zobaczmy Boga takim, jakim jest, sicut est, facie ad faciem».

Jeżeli najmniejsze niebezpieczeństwa w interesach pustą napelniają nas trwogą, to jakież niepokoje musi nam sprawiać myśl o śmierci, gdzie na zawsze wchodzi w grę cały nasz byt i gdzie nie mamy nietylko sposobu kierowania ostateczną naszą sprawą, ale jej nawet nie znamy.

Cisza i zastanawianie się wyczerpuje namiętności, tak jak praca i posty zjadają człowieka.

Samotność tem jest dla ducha, czem dieta dla ciała.

Ludzie czynni mniej cierpliwie znoszą nudę, niż pracę.

Wymowa więcej znaczy od wiedzy.

Bardzo słusznie przenosimy rozum nad wiedzę, ponieważ bywa złą i naogół nie jest tak pożyteczną, ani tak rozległą, jak to, co zdobyć sobie możemy doświadczeniem i zastanowieniem się. Uważamy też rozum za przyczynę wiedzy, a więcej cenimy przyczynę, niżeli skutek; wszystko to zrozumiałe. Jednakże, ktoby wiedział wszystko, miałby także wszystek rozum, jaki tylko posiadać można, ponieważ największy rozum w świecie jest niczem innym, jak tylko wiedzą i wolnością jej zdobywania.

Jeżeli prawda, że krótkotrwałe są nasze rozkosze, to i przeważna część naszych cierpień długo trwać nie może.

Gdyby ludzie wzajemnie sobie nie schlebiali, trudnoby im było z sobą wytrzymać.

Ludzie wzajemnymi są dla siebie wrogami już z przyrodzenia, nie przeto, że się nienawidzą, lecz z tego powodu, że do niczego dojść nie mogą, nie wchodząc sobie w pole, i to tak, że najsurowiej obserwując wszystkie grzeczności, to znaczy wszystkie prawidła milczkiem toczonyj pomiędzy sobą wojny, obwiniają się niemal zawsze — śmiałem to twierdzić — o wzajemną niesprawiedliwość.

Kto oszukuje siebie, oszukuje i drugich.

Nie jest-ci wielkim człowiekiem, kto pogardza ludźmi.

Thum. Jan Kasprowicz.

DENIS DIDEROT

(1713—1784)

KUZYNEK MISTRZA RAMEAU (NEVEU DE RAMEAU)

Czy deszcz, czy pogoda, przechadzam się zwyczajem swoim o piątej godzinie wieczorem w «Palais Royal». Widują mnie zawsze samego, dumającego na ławce d'Argenson. Zabawiam się sam z sobą, polityką, miłością, smakiem i filozofją, zdając umysł swój jego swawoli; pozwalam mu ścigać pierwszą myśl, która się zjawi, mądrą czy szaloną... Jeśli zbyt zimno, lub zbyt dżdżysto, chronię się do «Café de la Régence». Tam bawię się, przypatrując się grze w szachy. Paryż jest miejscem na świecie, a «Café de la Régence» miejscem w Paryżu, gdzie gra ta kwitnie najlepiej; tam to mierzą się z sobą: głęboki Légal, subtelny Filidor, stateczny Mayot; tam widzi się najniespodzianwsze posunięcia, tam słyszy się najlichsze rozmowy; bo jeśli można być człowiekiem szero-kiego umysłu i wielkim graczem szachowym, jak Légal, to można być też wielkim graczem szachowym i głupcem, jak Foubert i Mayot. Pewnego popołudnia siedziałem tam, patrząc wiele, mówiąc mało i słuchając, jak najmniej mogłem, gdy przystąpiła do mnie jedna z najdziwaczniejszych osób w kraju, któremu ich Bóg nie poskąpił. Jest to mieszanina wyniosłości i podłoty, zdrowego rozsądku i nierozumu; pojęcia o uczciwości i nieuczciwości muszą być dziwnie pogmatwane w jego głowie, gdyż zalety, któremi go obdarzyła natura, ukazuje bez przechwałki, a wady, które od niej otrzymał, bez wstydu. Zresztą jest mocnej budowy ciała, posiada niezwykle gorącą wyobraźnię i niecodzienną siłę płuc. Jeśli go kiedy spotkacie, a nie uderzy was oryginalność jego, to albo uszy zatkacie palcami, albo umkniecie! Boże! co za straszne płuca! I niema nic bardziej doń niepodobnego, niż on sam. Czasem jest chudy i wyschły, jak chory w ostatnim stopniu suchot; możnaby zęby jego policzyć przez policzki; rzekłbyś, że kilka dni nie jadł, lub wyszedł z «La Trappe». Następnego miesiąca jest tusty i otyły, jakby nigdy nie opuścił stołu finansisty, lub jakby był zamknięty u Bernardynów. Dziś w brudnej bieliźnie, w spodniach podartych, łachmanami okryty, prawie bez trzewików, kroczy z głową spuszczoną, schodzi z oczu; pokusa bierze przywołać go, by dać mu jałmużnę. Jutro upudrowany, utrzewiczony, uczesany,

dostatnio odziany, stąpa z głową do góry, pokazuje się, i wzięlibyście go niemal za porządnego człowieka: żyje z dnia na dzień, smutny lub wesoły, wedle okoliczności. Pierwszą troską jego z rana, gdy wstanie, jest wiedzieć, gdzie obiadować będzie; po obiedzie myśli, gdzie pójdzie wieszerać. Noc także sprowadza mu niepokój; już to zachodzi na stryżek, który zamieszkuje, jeśli gospodyni, znudzona oczekiwaniem czynszu, nie odebrała mu klucza; już to skręca do przedmiejskiego szynku, gdzie czeka dnia między kawałem chleba a garncem piwa. Jeśli nie ma szczęścia «sous» w kieszeni, co mu się zdarza niekiedy, wraca bądź do jakiego dorożkarza, przyjaciela swego, bądź do jakiego wielkopańskiego woźnicy, który mu daje leże na słomie obok swych koni. Rano miewa jeszcze część materaca we włosach. Gdy pora roku łagodna, to przez noc całą przemierza «Cours» lub Pola Elizejskie. Z dniem zjawia się znów w mieście, odziany z wczoraj na dzisiaj i z dzisiaj na resztę tygodnia. Nie szanuję takich oryginałów; inni czynią z nich sobie poufałych znajomych, nawet przyjaciół. Zatrzymują mnie raz na rok, gdy ich spotykam, gdyż charakter ich odcina się od charakteru innych i przerywa tę nudną szkaradę, którą wytworzyło wychowanie nasze, nasze umowy społeczne i nasze przyzwyczajenia nabyte. Jeśli taki zjawi się w towarzystwie, to jest on jak okrucy drożdży, które fermentują, przywracając każdemu odrobinę jego wrodzonej indywidualności. Wstrząsa, wzburza, wywołuje pochwały lub nagany; wydobywa prawdę, daje poznać ludzi dobrych i odsłania łotrów; wówczas to człowiek o zdrowym rozumie słucha i rozróżnia ludzi.

Tego znalazłem oddawna. Bywał w pewnym domu, którego bramy otworzył mu jego talent. Była tam córka jedynaczka; przysięgał ojcu i matce, że się ożeni z ich córką. Ci wzruszali ramionami, śmiali mu się w nos, mówiąc mi, że oszalał. I widziałem chwilę, gdy rzecz się dokonała. Prosił mnie o kilka talarów, które mu dałem. Dostał się, nie wiem jak, do kilku domów ucziwych, gdzie miał swe miejsce u stołu, lecz pod warunkiem, że nie będzie mówił bez pozwolenia. Milczał i jadł z wściekłości; pyszny był widok jego w tych pętach. Gdy go brała ochota złamać układ i gdy otwierał usta, za pierwszym słowem krzyczeli wszyscy biesiadnicy: «Rameau!» Wówczas gniew iskrzył się w jego oczach, i wracał do jedzenia z jeszcze większą wściekłością. Byliście ciekawi dowiedzieć się imienia tego człowieka i znacie je: to Rameau, wychowanek sławnego Rameau, który nas wyzwolił od śpiewu kościelnego¹, co go psalmodjujemy od stu lat zgóra; który napisał tyle niezrozumiałych wizyj i prawd apokaliptycznych o teorii muzyki, z czego ani on, ani nikt nigdy nic nie rozumiał; który obdarzył nas pewną liczbą oper, gdzie jest harmonja, okrucy śpiewu, myśli bez związku, zgiełk, wzloty, triumfy, lance, chwały, pomruki, zwycięstwa do utraty tchu, arje taneczne, co trwać będą wieczność, i który, pogrzebawszy Florentczyka, pogrzeban będzie przez wirtuozów włoskich, jak to przeczuł i spochmurniał, posmutniał i zjadowiciał. Gdyż nikt nie jest w tak złym humorze — ani nawet piękna kobieta, co budzi się z krosną na nosie — jak autor zagrożony tem, że przeżyje swą sławę: dowodem Marivaux i Crebillon młodszy.

Przystępuję do mnie: «Ach to pan, panie filozofie! Cóż pan tu robi wśród tej zgrai darmożjadów? Czy i pan traci czas na suwaniu drzewa?» (Tak zwą pogardliwie grę w szachy lub warcaby.)

Ja: Nie; lecz skoro nie mam nic lepszego do roboty, bawię się chwilę, patrząc na tych, którzy dobrze suwają.

On: W takim razie bawię się pan rzadko; prócz Légala i Filidora, reszta nie rozumie się na tem zgoła.

Ja: A pan de Bussy, co?

On: Ten jest tem, jako gracz w szachy, czem panna Clairon, jako aktorka: oboje wiedzą o tych grach wszystko, czegoby się można nauczyć.

Ja: Jest pan wymagający i widzę, że darzy pan łaską tylko ludzi najznajomitszych.

On: Tak, w szachach, w warcabach, w poezji, w wymowie, w muzyce i wszystkich podobnych głupstwach. Komu na co mierność w tych rodzajach?

¹ Autor ma na myśli Lulliego.

Ja: Prawie zgadzam się na to. Lecz wielu musi się do tych sztuk przykładać, by powstał człowiek genialny; wówczas jest on jeden wśród mnóstwa. Lecz dajmy temu pokój. Nie widziałem pana wieczność całą. Nie myślę zgola o panu, gdy pana nie widzę, lecz miło mi zawsze pana spotkać. Cóż pan porabiał?

On: To, co pan, ja i wszyscy inni czynimy: dobrze, źle i nic. Następnie głodowałem i jadalem, gdy nadarzyła się sposobność; zjadłszy, miewałem pragnienie; pijalem czasem; tymczasem rosła mi broda i gdy urosła, kazałem ją zgolić.

Ja: Żle pan uczynił; jedyna to rzecz, której brak panu, by być mędrcem.

On: Oczywiście! mam czolo wysokie i pomarszczone, oko płonące, nos wystający, policzki duże, brwi czarne i geste, usta szerokie, wargi grube i twarz czworokątną. Gdyby ta ogromna broda pokryta była długim włosiem, wie pan, że wyglądałaby bardzo dobrze w bronzie lub marmurze.

Ja: Obok Cezara, Marka Aureljusza, Sokratesa.

On: Nie. Wolalbym stać między Diogenesem, Lais i Fryną. Jestem bezwstydnym jak pierwszy i chętnie bywam u drugich.

Ja: Ma się pan zawsze dobrze?

On: Tak, zazwyczaj, lecz dzisiaj nieosobliwie.

Ja: Jakto! z pańskim brzuchem Sylena i twarzą...

On: Z twarzą, którąby wziąć można za zadek. Zły humor, który wysusza mego drogiego stryja, przyczynia prawdopodobnie tłuszczu jego drogiemu... bratankowi.

Ja: «A propos» tego drogiego stryja. Widuje go pan czasem?

On: Tak, przechodzącego ulicą.

Ja: Czy nie dopomaga panu?

On: Jeśli czyni komu co dobrego, to nie wiedząc o tem. Jest swego rodzaju filozofem: myśli tylko o sobie, reszta świata obchodzi go tyle, co śnieg zeszłoroczny. Córka jego i żona mogą szczeznąć, kiedy im się podoba; byle dzwoniące po nich dzwony parafjalne pobrzmiwały duodecimą i septdecimą, to wszystko będzie w porządku. Szczęśliwy człowiek, i to właśnie cenię szczególnie w ludziach genialnych. Zdolni są tylko do jednego, do niczego poza tem. Nie wiedzą, co to być obywatelem, ojcem, matką, krewnym, przyjacielem. Mówiąc między nami, należałoby zgola być do nich podobnym, ale nie życzyć sobie, by nasienie zbyt się rozpowszechniło. Trzeba ludzi, nie ludzi genialnych. Nie, zaiste tych nie trzeba! Oni to zmieniają oblicze ziemi, a głupota w najmniejszych nawet sprawach jest tak powszechna i potężna, że nie poprawisz jej bez harmidru. Poczęści staje się, co uroili sobie, poczęści zostaje po staremu; stąd dwie ewangelje, kabał arlekina. Mądrość mnicha Rabelosowego jest prawdziwą mądrością dla spokoju swego i spokoju innych: jako tako czynić swą powinność, mówić zawsze dobrze o panu przeorze, i niech się świat toczy, jak mu się podoba. Dobrze się toczy, skoro tłum zadowolony. Gdybym znał historję, wykazałbym panu, że zło sprowadzali zawsze na ziemię ludzie genialni, lecz nie znam historii, bo nic nie znam. Niech mnie djabli wezmą, jeśli się czego kiedykolwiek uczył, a mimo, że nic nie uczył, nie jest mi gorzej. Byłem dnia pewnego przy stole królewskiego ministra **, który ma rozum za czterech. Otóż wykazał nam jasno, jak dwa a dwa cztery, że nie było nic pożyteczniejszego dla ludów nad kłamstwo i nic szkodliwszego nad prawdę. Nie pamiętam dobrze jego dowodów, lecz wynikało z nich jasno, że ludzie genialni są ohydni i że dziecko, któreby przy urodzeniu miało na czole cechę tego niebezpiecznego daru natury, należałoby albo udusić, albo utopić.

Ja: Jednakże wszystkie osoby te, tak wrogie genjuszowi, mają pretensje do posiadania go.

On: Sądzę, że w duchu tak myślą, lecz nie wierzę, by śmieli się przyznać do tego.

Ja: To ze skromności. Więc powziął pan tam straszną nienawiść do genjuszu?

On: Nieprześląganą.

Ja: Lecz pamiętam czas, gdyś pan rozpaczał, żeś tylko człowiekiem pospolitym. Nie będzie pan nigdy szczęśliwy, jeśli jedno i drugie jednako pana dręczy. Trzeba przechylić się na którąś stronę i trzymać się jednego. Godząc się nawet z panem, że ludzie genialni są zazwyczaj nieco osobliwi, lub, jak powiada przysłowie, niema wiel-

kich duchów bez szczypty szaleństwa, to jednak nie odda się ich za byle co; w pogardzie będą wszystkie wieki, które żadnych nie wydały! Będą oni zaszczytem ludów, wśród których istnieli; prędzej czy później wznosi się im posągi i uważa się ich za dobroczyńców rodzaju ludzkiego. Niech mi wybaczy ten minister znakomity, którego pan zdanie powtórzył, lecz sądzę, że jeśli kłamstwo może służyć chwilom, to jednak jest bezwzględnie szkodliwe zczasem, a przeciwnie prawda służy zczasem, choćby chwilowo miała szkodzić. Przeto pokusiłbym się wysnuć wniosek, że człowiek genialny, który osłania jakiś błąd powszechny lub zdobywa wziętość wielkiej prawdzie, jest zawsze istotą godną czci naszej. Zdarzyć się może, że istota ta staje się ofiarą uprzedzenia i praw; lecz są dwojakiego rodzaju prawa: jedne bezwzględnie słuszne i powszechne, inne dziwaczne, zawdzięczające swe uświęcenie tylko ślepotcie lub konieczności okolicznościowym. Te pokrywają winnego, który je narusza, jeno przemijającą hańbą, hańbą, którą czas przelewa na sędziów i narody, by trwały na nich wiecznie. Kto jest dziś zbezczeszczonej, Sokrates czy sąd, który mu kazał wypić cykuta?

On: Toż to mu sąd korzyść! Czyż to umniejsza jego potępienie? Czyż to umniejsza wykonanie wyroku śmierci? Czyż był przeto mniej burzliwym obywatelem? Czyż, gardząc złem prawem, mniej osmiał szaleńców do gardzenia dobrymi? Czyż był przeto mniej osobliwym śmiałkiem i dziwakiem? Jest pan teraz niedaleki wyznać rzecz mało korzystną dla ludzi genialnych.

Ja: Posłuchaj mnie, przyjacielu. Społeczeństwo nie powinno mieć złych praw, i gdyby miało tylko dobre, nie byłoby nigdy wypadku prześladowania ludzi genialnych. Nie powiedziałem, że geniusz jest nierozdzielnie przywiązany do złośliwości, ni złośliwość do geniuszu. Częściej jest złym głupiec, niż człowiek wielkich zdolności. A gdyby człowiek genialny był zazwyczaj w obcowaniu twardy, trudny, przykry, nieznośny, gdyby był nawet zły, cobys pan z tego wywnioskował?

On: Że tylko go utopić.

Ja: Powoli, przyjacielu! Powiedz mi pan: nie chcę wziąć pańskiego stryja Rameau za przykład. Jest to człowiek twardy i szorstki, nieludzki, skąpy, zły ojciec, zły mąż, zły stryj; lecz nie jest rzeczą rozstrzygniętą, że to człowiek talentu, że doprowadził swoją sztukę daleko, i że dzieła jego przetrwają próbę dziesięciu lat. Lecz Racine? Ten był na pewno genialny, a nie uchodził za zbyt dobrego człowieka. A Wolter?

On: Nie przyciskaj mnie pan do muru, bo umiem być konsekwentny.

Ja: Cobys pan wolał: czy aby był człowiekiem dobrym, utożsamionym z swym kantorem, jak Briasson, lub z swoim łokciem, jak Barbier, płodzącym regularnie co roku prawowite dziecko swej żonie, dobrym małżonkiem, dobrym ojcem, dobrym stryjem... dobrym sąsiadem, uczciwym kupcem, lecz niczem ponadto, lub też oszustem, zdrajcą, ambitnym, chciwym, lecz twórcą «Andromachy», «Brytannika», «Ifigenji», «Fedry», «Atalji»?

On: Dla niego, dalibóg, byłoby może lepiej, by z tych dwu ludzi był pierwszym.

Ja: Jest to nawet nieskończenie bardziej prawdą, niż myślicie.

On: Oto, jacyście wy wszyscy! Jeśli powiemy coś dobrego, to przypadkiem, jak szaleńcy lub natchnieni. Tylko wy inni rozumiecie siebie; tak, panie filozofie, rozumieni siebie również dobrze, jak pan siebie.

Ja: Słucham! Więc, czemuż on?

On: Dlatego, że wszystkie te piękne rzeczy, które napisał, nie przyniosły mu dwudziestu tysięcy franków, i że gdyby był dobrym handlarzem jedwabiu przy ulicy Saint-Denis lub Saint-Honoré, dobrym kupcem korzennym «en gros», wziętym aptekarzem, byłby zbił niezmierny majątek i użył przytem przyjemności, jakich nie zaznał; że byłby kiedy niekiedy dał złotówkę biednemu śmieszki, jak ja, któryby był go pobudzał do śmiechu, sprowadzał mu czasem ładne dziewczuszki; byłibyśmy jedli u niego wspaniale, grali grubo, pili wspaniałe wina, wspaniałe likiery, wspaniałą kawę, urządzali wycieczki na wieś. I widzi pan, że rozumiem się na tem. Śmieje się pan?... Lecz pozwól mi pan powiedzieć: byłoby też lepiej dla jego otoczenia...

Tłum. Leopold Staff.

JEAN JACQUES ROUSSEAU

(1712—1778)

WIELKA ROZPRAWA O NIERÓWNOŚCI STANÓW POMIĘDZY LUDŹMI

Część II (wyjątki)

Pierwszy z ludzi, co, ogrodziwszy pole swoje płotem, umyślił powiedzieć, to pole do mnie należy, i znalazł ludzi tak dalece ciemnych, że śmieli temu dać wiarę, był prawdziwym założycielem towarzystwa społecznego. O! ileż zbrodni, ileż wojen, mordów, nędzy i spustoszeń byłby odwrócił od rodzaju ludzkiego ten, któryby, wyrwając z miejsca ogrodzenia takowego pale lub zasypując piaskiem parowy, był zawołał do swoich bliźnich: nie wiercie temu oszustowi, zginiecie całkiem, jeśli raz tylko zapomnicie o tem, że owoce wszystkim są wspólne i że ziemia do nikogo nie należy. Lecz jest prawdopodobieństwo, iż rzeczy, w owych czasach istniejące, doszły już do tego, że w takim stanie bytu swojego dłużej trwać nie mogły: wyobrażenie albowiem własności, zależąc od wielu wyobrażeń, tamte poprzedzających i pasmem następstwa po sobie idących, nie mogło odrazu powstać ani utworzyć się w umyśle człowieka. Zaiste potrzeba było wprzód uczynić więcej postępu w rzeczach, nabyć więcej przemysłu i światła, przelać one następnym pokoleniom swoim i wiekami pomnożyć, nim ludzie dojść mieli do tego ostatecznego kresu stanu przyrodzonego.

Pierwszem uczuciem, odzywającem się w człowieku, było uczucie jego istności, pierwszym staraniem — bezpieczeństwo i całość swojej osoby. Plody ziemne dostarczały mu wszelakich potrzeb do życia, przyrodzone natchnienie nauczyło go, jak miał ich zażywać.

W miarę pomnażania się rodzaju ludzkiego, pomnażały się także i jego cierpienia. Rozmaitość położenia gruntów, klimatów, pór roku, zmusiła ludzi do zapobiegania temu wszystkiemu w różnych życia kolejach. Nieurodzajne lata, długie i przykre zimy, nadzwyczajne upały, pożerające wszystko, te i tym podobne przykrości fizyczne wymagały po nich nowego przemysłu. Tym sposobem wzdłuż mórz i rzek powynajdywali sieci, wędy i stali się rybolówcami. Po lasach porobili sobie łuki, strzały, a tym sposobem stali się strzelcami i żołnierzami. W krajach zimnych odziewali się skórami pokonanych zwierząt. Grzmoty tudzież wyziewy ogniste lub inne szczęśliwe jakieś zdarzenie dało im poznać ogień, a ten stał się pomocniczym środkiem ku zasłonięciu ich przed ostrością zimy. Wkrótce dowiedzieli się, jak trzeba się było obchodzić z owym żywiołem, jak go w potrzebie wydobywać, naostatek gotować i piec przy nim mięsiwa, które przedtem jadali surowe.

Tym sposobem ponawiane często stosowanie rozmaitych istot do siebie i wzajemne porównywanie jednych z drugimi musiało z natury koniecznie zrodzić w umyśle człowieka i dać mu możność pojmowania i zrozumienia pewnych stosunków. Wszystkie te zatem wyobrażenia, któreśmy pospolicie zwykli wyrażać temi słowy: wielki, mały, mocny, słaby, szybki, powolny, bojaźliwy, zuchwały i inne tym podobne, porównywane z potrzebą, wzbudziły w nim, bez pomyślenia nawet o niej, pewien gatunek uwagi, a raczej tę machinalną roztropność, wskazującą mu najpotrzebniejszą ostrożności i bezpieczeństwa środki ku zachowaniu jestestwa swego.

Pierwsze światła korzyści, jakie z owego rozwinięcia się umysłu spłynęły, powiększyły przewagę jego nad innymi zwierzętami, dając mu ją poznać. Wkrótce nauczył się zastawiać na nie sidła, chociaż niektóre z nich przewyższały go mocą w potyczce lub szybkością w biegu; te więc, które mogły mu być użyteczne, przyswajał sobie i stawał się ich panem, te zaś, które mu mogły być szkodliwie, postanowił wszelkimi środkami wytepić. Tym sposobem pierwszy rzut oka, na siebie samego zwrócony, wzbudził w nim najpierwsze poruszenie dumy, tym sposobem, nie znając i nie czując się w sile zachowania ścisłej różnicy pomiędzy stanami, i siebie ze względu na swój rodzaj cały kładąc w najpierwszym rzędzie, śmiał zdala czynić przygotowania, by w nim mógł indywidualnie pozostać...

Z doświadczenia wiedząc, że przywiązanie do szczęścia jest jedyną sprężyną

i pobudką wszelkich czynów ludzkich, wkrótce był w stanie rozróżnienia rzadkich nader okoliczności, to jest takich, gdzie całość powszechnego dobra zobowiązywała go koniecznie, aby należał do ogółu bliźnich swoich, od przypadków daleko rzadziej jeszcze przytrafiających się, w których wspólne ubieganie się nie radziło mu dowierzać im bardzo. W pierwszym przypadku łącznie wiązał się z nimi, tak właśnie, jakgdyby wchodząc z nimi w pewien rodzaj dobrowolnego stowarzyszenia się, co nie zobowiązało nikogo i dłużej trwać nie mogło, niż wymagała tego potrzeba, dla której się tworzył jedynie takowy związek. W drugim zaś przypadku każdy szukał większych od drugiego korzyści, bądź otwarcie przemocą, bądź zręcznością swoją i wybiegami, jeśli się najslabszym być sądził.

Widzimy tutaj zatem, jakim sposobem ludzie potrafili nabyć pewnych prostych wyobrażeń o zobowiązaniach zobopólnych i o wynikającej z dopełnienia ich korzyści, lecz tyle tylko, ile od nich wymagały tego chwile obecne lub dolegliwe jakie zdarzenie: nie znali bowiem żadnej przezorności i, nigdy nie zajmując się oddaloną od siebie przyszłością, nie myśleli nawet o jutrze.

Takie były zawiązki oświecenia, co nakoniec postawiły człowieka w możności czynienia coraz większego w niem postępu. Im bardziej przecierał się umysł jego, tem doskonalszym stawał się przemysł. Wkrótce, zaprzestając sypiać pod jednym drzewem lub szukać schronienia dla siebie w jaskiniach podziemnych, wynalazł pewien gatunek siekier z twardych kamieni ociosanych i zaostrzonych na końcu, które mu posłużyły do rąbania drzewa, kopania ziemi i stawiania sobie bud z gałęzi, które zaczęto później spajać i lepić gliną lub błotem. Od tej chwili zaczyna się nowa epoka pierwszego wstrząśnienia stanu przyrodzonego, co stało się kamieniem węgielnym i podstawą towarzysstwa, wprowadzając przedział nierówności między familjami i pewien rodzaj własności, z którego to źródła najwięcej podobno powstało zwaśnień i niezgód. Tymczasem zaś, gdy tylko najmocniejsi rzeczywiście pierwszymi byli założycielami domostw, bo oni czuli się wyłącznie na siłach zabezpieczenia ich w potrzebie, stąd przeto wnosić nam należy, iż w takowym razie słabsi musieli obierać dla siebie inną, krótszą i pewniejszą drogę, naśladując raczej ich przemysł, zamiast pokuszenia się o wypędzenie ich ze swych zagród; co się zaś tyczy tych, co mieli własne już siedliska, mało z nich który ubiegał się o przywłaszczenie sobie zagrody sąsiedzkiej, a to nie tak dlatego, że ta do niego wcale nie należała, jak bardziej może dlatego, że mu była całkiem niedogodną, i że przywłaszczyć jej sobie w inny sposób nie mógł, jak tylko walcząc zacięcie z całą familją, która w niej mieszkała...

...Dopóki ludzie przestawali na skromnych wiejskich zagrodach i na skórczanem odzieniu, śpiętem cierniami lub kołcami, dopóki strojem ich były tylko pióra i muszle, dopóki nie przestali malować ciała swojego kolorami różnofarbnymi, doskonalsze i piękniejsze robić luki i strzały, stawiać zapomocą ostrych kamieni rybackie łódki, lub inne proste narzędzia muzyczne wyrabiać, słowem, dopokąd nie przestali przykładać się do takich robót, które przez jednego mogły być sporządzone, i do sztuk, które nie wymagały rąk kilku, dopóty też prowadzili oni życie wolne w zdrowiu, w szczęściu i wśród dobrodziejstw, jakie zlewała na nich hojnie dobroczynna ręka natury, nie przestając doświadczać słodyczy wzajemnego obcowania, nieodpowiadającego żadnej podległości; lecz od chwili, jak człowiek jeden zaczął potrzebować pomocy drugiego, od chwili, mówię, jak spostrzeżono, że to było z pożytkiem, aby jeden posiadał zapasy żywności za dwóch, odtąd zniknęła równość, a wcisnęła się własność, praca stała się konieczną; odtąd szerokie lasy zamieniły się w uśmiechające pola, które trzeba było w pocie czoła uprawiać i wśród których ujrzano wkrótce niewolę, a z nią nędzę, rodzącą się i wzrastającą wraz ze zbiorami.

Skutkiem tego nadzwyczajnego przewrotu był wynalazek najważniejszych dwu sztuk, to jest metalurgji i rolnictwa. Poeta utrzymuje, że złoto i srebro, filozof zaś, że żelazo i zboże stało się źródłem wykształcenia ludzi, a zarazem najważniejszą przyczyną upadku rodzaju ludzkiego. Jak pierwsze, tak i drugie były zupełnie nieznanymi dzikim Amerykanom, którzy dlatego poniekąd dotychczas pozostali w pierwotnym swoim stanie; zdaje się nawet, że inne narody dopóty zostawały w stanie nieokrzesania, dopóki tylko doświadczały jednej ze sztuk wymienionych, nie znając drugiej;

i jedną z głównych przyczyn, dla której Europa, jeśli nie zaraz, to przynajmniej prędkiej i lepiej, aniżeli inne części świata, wykształconą została, stało się może to, że była najobfitsza w żelazo i najurodzajniejsza w zboże.

...Wynalazek sztuk innych wskazał rodzajowi ludzkiemu niezbędną potrzebę przykładania się do rolnictwa. Bo kiedy z jednej strony potrzeba było ludzi do topienia i kucia żelaza, z drugiej znowu strony potrzeba było takich, którzyby i dla siebie i dla innych pracowali na chleb. Im bardziej bowiem pomnażała się liczba rzemieślników, tem mniej znajdowało się użytecznych rąk do zaspokojenia zobopólnych życia potrzeb, choć liczba jestestw, życia potrzebujących, jak w jednym, tak w drugim zawodzie, mniejsza nie była; a ponieważ jednym trzeba było koniecznie żywności wzamian za żelazo, drudzy naodwrot użyli żelaza za środek pomnożenia żywności. Stąd z jednej strony powstało rolnictwo, czyli sztuka uprawiania gruntów, z drugiej strony sztuka wydobywania i przerabiania metalów, wielkie przynosząca korzyści.

Z uprawy gruntów wypadła konieczna potrzeba ich podziału; a ze źródła własności, raz zaprowadzonej i uznanej, najpierwsze zasady sprawiedliwości: chcąc bowiem oddać to, co do kogo należało, potrzeba było, żeby każdy miał coś własnego; co większa, ludzie, zaczynając zwracać swą uwagę na przyszłość, obowiązani będąc wszyscy razem tracić cząstkę niejaką z dóbr swoich, wolniejsi zato byli od pożyteczności, i żadnego takiego pomiędzy nimi nie było, coby się nie obawiał zemsty za krzywdy, wyrządzone drugiemu.

Sama praca, nadając rolnikowi prawo do płodów ziemi, przez się uprawianej, nadaje mu tem samem prawo i do gruntu, przynajmniej aż do czasu zebrania owoców z niego, i tak dalej od roku do roku, co ciągle posiadanie zamienia we własność.

Rzeczy, w takim pod ten czas będące stanie, mogłyby były pozostać tak na zawsze, gdyby ludzie mieli byli wszyscy jednakie talenta, gdyby np. użytek żelaza i konsumpcja żywności zawsze w jednakowej utrzymywały się proporcji; ale stosunek, którego nie nie wspierało, wkrótce zerwany być musiał; najmocniejszy najwięcej dzieł tworzył, najrzęczniejszy umiał z dzieł swoich lepszą odnosić korzyść; najprzemysłniejszy wynajdywał środki, skracające mu jego pracę; rolnik, dajmy na to, potrzebował więcej żelaza, a kowal więcej zboża, obydwaj z równą pracowali usilnością, przecież jeden z nich zarabiał wiele, gdy tymczasem drugi żyć nie miał z czego. Tym to sposobem nierówność przyrodzona nieznacznie rozwijać się zaczęła równocześnie z nierównością, zaprowadzoną przez ludzi; tym sposobem różnica, zachodząca między ludźmi, rozpościerając się na mocy rozmaitych okoliczności, stała się przez to tem dotkliwszą i trwalszą w skutkach swoich, zaczynając w jednakim stosunku wpływać na los i szczęście pojedynczych członków.

Tłum. Ignacy Skarbak Kielczewski.

JACQUES DELILLE

(1738—1813)

Z POEMATU «OGRODY»

O, wdzięczne pola włoskie! Rzymu okolice!
 W pośrodku waszej leży szczęśliwej ziemie
 Nikczemności człowieka przepych pogrzebiony!
 Tam zwaliska, wslawione wielkimi imionymi,
 Pełne ważnych pamiątek, wysokiej nauki,
 Uczą pięknego miejsca położenia sztuki.
 Patrz, jako z każdej strony, zbiegłszy wieki mnogie,
 Podarły, rozproszyły rozwaliny drogie.
 Mieć groby na groby i gmachy kościelne,
 Pokazują nam Rzymu reszty nieśmiertelne.
 Te przysionki, arkady, gdzie kamienie ryte
 Chowają jeszcze Rzymian dzieła znakomite.

Ich grubość niezwałłona mocuje się z czasem.
 Tym niegdyś po powietrzu rzeka szła nawiasem;
 Tą bramą wprowadzano łup zdartego świata.
 Wszędzie wiek zamieszane z popiołem pomiała
 Łaźnie, pałace, groby cesarów potężnych!
 Wtenczas, kiedy moc większa niby niedoleźnych
 Horacego, Owida i Wirgila wierszy
 Pokazuje nam ślady i przepych ich pierwszy.
 Szczęśliwy! Po sto razy ogrodnik szczęśliwy,
 Co te blisko mieć może starożytne dziwy.
 Już ciężka czasu ręka sama go ratuje,
 Już natura prawami swemi dokazuje
 Nad ogromną wielkością zeszyłych panów ziemi!
 W miejscu, gdzie Pompejusz królmi zgębionemi
 Chlubił się z taką pychą, jak w Ewandra czasie,
 Pasterski flet i trąba tylko odzywa się,
 Pola się uśmiechają rolnikom wrócone,
 Kozy nad zwałiskami pasą zawieszzone.
 Pyszny niegdyś obelisk leży między zioly,
 Chwast wspaniałą kolumnę okrążył napoly;
 Gęsta wzrosła krzewina i paprocie płone,
 Które się albo wznoszą, lub schylają w stronę,
 Które na rozwalinach lekkie wiatry siały!
 Figa, drzewo oliwne bliżej się przybrały,
 I kiedy się do gruzów ich korzeń przypina,
 Niszczą ciosem ostatnim dzieło Rzymianina.
 Tak giętkie winograpy, gałęziste bluszcze,
 Naokoło tych ułomków w ciemną rosną puszcze,
 I gdy się w różne kształty przy nich naginają,
 Albo zdobią ich starość, albo zakrywają.

Tłum. Franciszek Karpiński.

PIERRE AUGUSTIN CARON DE BEAUMARCHAIS

(1732—1799)

CYRULIK SEWILSKI

Akt I, scena IV

Hrabia, Figaro.

Hrabia: Teraz, kiedy nikogo niema, przypatrzmy się tej piosnce, w której, z pewnością, mieści się słowo tajemnicy. To bilecik!

Figaro: Pytał, co to takiego «Daremma Ostrożność»!

Hrabia (*czyta żywo*): «Pańskie zainteresowanie budzi moją ciekawość; skoro opiekun się oddali, zaśpiewaj pan, niby odniechcenia, na znaną melodję tej piosnki, coś, co by mi dało poznać imię, stan i zamiary tego, który zdaje się być wiernie oddany nieszczęśliwej Rozynie».

Figaro (*przedrzeźniając głos Rozyny*): «Piosenka, piosenka mi wypadła; biegnij pan, biegnij żywo!» (*Śmieje się*). Ha, ha, ha, ha! och, te kobietki! Chcesz pan nauczyć chytrności najbardziej naiwną? Zamknij ją pod kluczem.

Hrabia: Droga Rozyna!

Figaro: Ekscelencjo, nie potrzebuję już dociekać pobudek twej maskarady; tu pachnie na miłą miłością.

Hrabia: Znasz moją tajemnicę; ale, gdybyś ważył się wypaplać...

Figaro: Ja, paplać! Nie będę się uciekał dla upewnienia pana do owych

wielkich zdań o honorze i uczciwości, których nadużywa się codziennie; powiem tylko jedno słowo: własny interes ręczy za mnie, zważ pan wszystko na tej szali, i...

Hrabia: Doskonale. Dowiedz się więc, iż losy pozwoliły mi spotkać w Prado, przed pół rokiem, młodą osobę, piękność, w istocie!... Widziałeś przed chwilą. Szukałem jej napróżno po całym Madrycie. Dopiero przed kilkoma dniami odkryłem, że nazywa się Rozyna, pochodzi ze szlachetnej krwi, jest sierotą i żoną starego lekarza w tem mieście, imieniem Bartolo.

Figaro: Ładny ptaszek, na honor! Trudno go będzie wysadzić z gniazdeczka! Ale kto panu powiedział, że ona jest żoną doktora?

Hrabia: Całe miasto.

Figaro: To bajka, którą ukuł, przybywając z Madrytu, aby zmylić tropy galantów i oddalić ich. Rozyna jest jedynie jego pupilką; ale niebawem...

Hrabia (*żywo*): Nigdy!... Ach, co za nowina! Byłem gotów na wszystko się ważyć, aby wynurzyć jej moje żale; i oto zastaję ją wolną. Niema ani chwili do stracenia; trzeba zdobyć jej miłość i wyrwać ją z niegodnych więzów, jakich ma się stać ofiarą. Znasz więc tego opiekuna?

Figaro: Jak własną matkę.

Hrabia: Cóżto za człowiek?

Figaro (*żywo*): Śliczny, gruby, krótki, młody staruszek, szpakowaty, uczerniony, wygolony, chytry, zużyty, przeżyty, który węszy, szpera, stęka i laje bez przerwy.

Hrabia (*niecierpliwie*). Ech! widziałem go. Charakter?

Figaro: Brutal, skąpy, zakochany i zazdrosny bez miary o pupilkę, która nie nawidzi go śmiertelnie.

Hrabia: Zatem, widoki jego są...

Figaro: Żadne.

Hrabia: Tem lepiej. A uczciwość?

Figaro: Ścisłe tyle, ile trzeba, aby nie poznać się ze strykiem.

Hrabia: Tem lepiej. Ukarac łajdaka, kupując własne szczęście...

Figaro: Znaczy osiągnąć za jednym zamachem dobro publiczne i własne: w istocie, arcydzieło moralności, Ekscelencjo!

Hrabia: Powiadasz, że obawa galantów każe mu trzymać drzwi zamknięte...

Figaro: Dla całego świata: gdyby mógł ją zamurować...

Hrabia: Tam do licha, to gorzej! Masz może przystęp do niego?

Figaro: Czy mam! Primo, domek, stanowiący moje mieszkanie, należy do doktora, który trzyma mnie w nim gratis.

Hrabia: Al! al!

Figaro: Tak. Ja zaś, przez wdzięczność, przyrzekam im dziesięć dukatów rocznie, również gratis.

Hrabia (*niecierpliwiony*): Jesteś jego lokatorem?

Figaro: Co więcej, jego cyrulikiem, chirurgiem, aptekarzem; nie uświadczysz pan w domu doktora ani jednego machnięcia brzytwą, lancetem lub serengą, któreby nie wychodziło z pod ręki pańskiego podnóżka.

Hrabia (*ściska go*): Och, Figaro, przyjacielu, ty będziesz moim aniołem, wybawcą, bóstwem opiekuńcem.

Figaro: Tam do kata! jak to potrzeba błyskawicznie zmniejsza oddalenie! Niema, jak kochankowie!

Hrabia: Szczęśliwy Figaro! Ujrzysz moją Rozynę! Czy ty pojmujesz twoje szczęście?

Figaro: Też bajdy zakochanego! Alboż ja się w niej durzę? Obyś pan mógł zająć moje miejsce!

Hrabia: Ach! gdyby można usunąć wszystkie strażel!

Figaro: Nad tem właśnie myślałem.

Hrabia: Bodaj na kilka godzin.

Figaro: Zaprzatając ludzi ich własnymi interesami, broni się im szkodzić sprawom drugim.

Hrabia: Zapewne. Cóż więc?

Figaro (*w zamyśleniu*): Szukam w głowie, czy moja apteka nie mogłaby dostarczyć małych, niewinnych środeczków...

Hrabia: Zbrodniarzu!

Figaro: Czyż ja chcę komu szkodzić? Wszyscy w tym domu potrzebują moich usług. Chodzi tylko o to, aby zatrudnić ich naraz.

Hrabia: Ale ten doktor może powziąć podejrzenie.

Figaro: Trzeba działać tak szybko, aby podejrzenie nie miało czasu się narodzić. Przychodzi mi myśl. Pulk następcy tronu przybywa do miasta.

Hrabia: Pulkownik należy do mych przyjaciół.

Figaro: Doskonale. Przedstaw się pan u doktora w mundurze kawalerskim, z biletem kwaterunkowym; będzie musiał pana pomieścić; ja podejmę się reszty.

Hrabia: Wyborne.

Figaro: Nie byłoby nawet źle, gdybyś pan wyglądał troszeczkę pod dobrą datą.

Hrabia: Dlaczego?

Figaro: I zachował się nieco za swobodnie pod pozorem zaproszonej głowy.

Hrabia: Ale naco?

Figaro: Aby nie powziął żadnego podejrzenia i aby mniemał, że panu pilniej do dobrego łóżka, niż do intryzek w jego domu.

Hrabia: Kapitalnie pomyślane. Ale czemuż ty sam tam nie idziesz?

Figaro: Ja! Bagatela! Będziemy mogli mówić o szczęściu, jeżeli nie pozna pana, pana, którego nigdy w życiu nie widział na oczy. W jakim sposobie wprowadziłbym pana później?

Hrabia: Masz słuszność.

Figaro: Boję się, że pan nie potrafi odegrać tej trudnej roli. Kawalerzysta... cokolwiek wstawiony...

Hrabia: Żartujesz chyba. (*Przybierając głos pijanego*) Czy nie tutaj mieszkanie doktora Bartolo, mój przyjacielu?

Figaro: Wcale nieźle, na honor; nogi tylko trzeba nieco lepiej napoić. (*Bar-dziej pijano*) Czy nie tutaj...

Hrabia: Hfe, to pijaństwo gminu!

Figaro: Bał najlepsze ze wszystkich, w niem radość!

Hrabia: Ktoś uchylił drzwi.

Figaro: To doktor: usuńmy się, dopóki nie odejdzie.

Akt IV, scena VI

(*Figaro zapala wszystkie świece, stojące na stole.*)

Hrabia: Oto ona! Uroczą Rozyno...

Rozyna (*tonem bardzo sztywnym*): Zaczynałam się już obawiać, że pan nie przybędzie.

Hrabia: Czarujący niepokój! Pani, nie godzi mi się nadużywać okoliczności i ofiarować pani, abys zechciała podzielić los biednego nieboraka; ale, ale jakiegokolwiek schronienie zechcesz wybrać, przysięgam na mą cześć...

Rozyna: Panie, gdyby dar ręki nie miał iść natychmiast wślad daru mego serca, nie znajdowałbyś się tutaj. Niechaj konieczność usprawiedliwi w pańskich oczach to, co w tym postępku sprzeczne jest ze skromnością płci mojej.

Hrabia: Ty, Rozyno! towarzyszką biedaka bez majątku, bez urodzenia!...

Rozyna: Urodzenie, majątek! Nie mówmy o tych igraszkach trafu; jeżeli upew-niasz mnie, że zamiary twoje są czyste...

Hrabia (*u jej nog*): Ach, Rozyno, ubóstwiam cię!...

Rozyna (*oburzona*): Wstrzymaj się, nieszczęsny!... ty śmiesz bezcześcić!... Ty mnie ubóstwiasz!... Precz! nie jesteś już dla mnie niebezpieczny; czekałam tego słowa, aby cię zniechęcić. Ale, zanim cię wydam na pastwę wyrzutów, jakie cię czekają, (*z płaczem*) dowiedz się, że cię kochałam; dowiedz się, że pokładałam szczęście w tem, aby podzielić twą złą dolę. Nikczemny Lindorze! miałam wszystko porzucić, aby iść za tobą, ale podły sposób, w jaki wyzyskałeś mą sympatję, i niegodziwość

tego szkaradnego hrabiego Almawiwy, któremu mnie sprzedałeś, sprawiły, iż ten dół mej słabości wrócił w moje ręce? Czy znasz ten list?

Hrabia (*żywo*): Masz go od opiekuna?

Rozyna (*dumnie*): Tak, jemu mam do zawdzięczenia moje ocalenie.

Hrabia: Nieba! jakżem szczęśliwy! On ma go ode mnie. Wczoraj, w zakładaniu, posłużyłem się tym listem, aby się wedrzeć w jego zaufanie, i nie mogłem znaleźć chwili powiadomienia cię o tem. Ach, Rozyno! więc to prawda, że ty mnie kochasz prawdziwie!

Figaro: Wasza Dostojność, szukałeś pan kobiety, któraby cię kochała dla ciebie samego...

Rozyna: Wasza Dostojność! co on mówi?

Hrabia (*odrzucając wspaniały płaszcz, ukazuje się we wspaniałych szatach*): O najukochańsza z kobiet! nie czas już zwodzić cię dłużej; szczęśliwy śmiertelnik, którego masz u swoich stóp, to nie Lindor; jest nim hrabia Almawiwa, który umiera z miłości dla ciebie i szuka cię naprzód od sześciu miesięcy.

Rozyna (*osuwając się w ramiona hrabiego*): Ach!

Hrabia (*przestraszony*): Figaro?

Figaro: Niech się Ekscelencja nie obawia, słodkie wzruszenie radości nie pociągnęło nigdy za sobą przykrych następstw; o, już przychodzi do siebie. Tam do kata, jaka ona śliczna!

Rozyna: Ach, Lindorzel... Ach, panie, jakżeż zawiniłam: miałam jeszcze tej nocy oddać rękę opiekunowi.

Hrabia: Ty, Rozyno?

Rozyna: Miej na względzie tylko karę, jaka mnie czekała: byłabym strawiła życie na nienawiści do ciebie! Ach, Lindorze, czyż może być straszliwsza katusza, jak nienawidzić, kiedy się czuje, iż jest się stworzoną do kochania?

Figaro (*spogląda przez okno*): Wasza Dostojność, zatrząsk zamknięty, drabinka usunięta.

Hrabia: Usunięta?

Rozyna (*zmieszana*): Tak, to ja... to doktor. Oto owoc mej łatwowierności. Oszukał mnie. Wszystko wyznałam, wszystko zdradziłam: nie, że pan jesteś tutaj, i przybędzie z pomocą zbrojną.

Figaro (*wygląda jeszcze*): Wasza Dostojność, otwierają bramę od ulicy.

Rozyna (*chroniąc się z przestachem w ramiona hrabiego*): Ach, Lindorzel...

Hrabia (*z mocą*): Rozyno, ty mnie kochasz! Nie lękam się nikogo; będziesz moją żoną. Będę zatem miał rozkosz ukarać dosyła wstrętnego starca!

Rozyna: Nie, nie, łaski dla niego, drogi Lindorze. Serce moje jest tak pełne, że zemsta nie może w niem znaleźć miejsca.

Scena VII

Rejent, Don Bazyli, Hrabia, Rozyna, Figaro.

Figaro: Ekscelencjo, to nasz rejent.

Hrabia: I przyjacieli Bazyli wraz z nim!

Bazyli: Ha! co ja widzę!

Figaro: I jakimż trafem, drogi przyjacielu...

Bazyli: Jakimż przypadkiem, panowie?...

Rejent: Czy to jest przyszła młoda para?

Hrabia: Tak, panie. Miałeś pan połączyć tej nocy senorę Rozynę i mnie u cyrulika Figaro; ale woleliśmy wybrać ten dom z przyczyn, które wyjaśnimy później. Czy masz pan z sobą kontrakt?

Rejent: Zatem mam zaszczyt mówić z Jego Ekscelencją panem hrabią Almawiwą?

Figaro: Właśnie.

Bazyli (*na stronie*): Jeżeli poto powierzył mi klucz od bramy...

Rejent: Mam bowiem tutaj dwa kontrakty ślubne, Ekscelencjo, i nie mieszajmy:

oto pański, a oto kontrakt szanownego pana Bartolo z senorą... Rozyną również? Chodzi tu zapewne o dwie siostry, które noszą to samo imię?

Hrabia: Podpiszmy w każdym razie. Don Bazyli zechce nam posłużyć za drugiego świadka.

Bazyli: Ależ, Ekscelencjo, nie rozumiem...

Hrabia: Mój dobry Bazyli, lada drobnostka wprawia cię w zakłopotanie i wszystko cię dziwi.

Bazyli: Wasza Dostojność... ale, jeżeli doktor...

Hrabia (*rzucając mu sakiewkę*): Nie róbże dziecka! Podpisz, a prędko.

Bazyli (*zdumiony*): Al... Al...

Figaro: W czymże widzisz jakieś trudności?

Bazyli (*ważąc sakiewkę*): Teraz już w niczem; ale bo u mnie, skoro raz dałem słowo, trzeba motywów wielkiej wagi... (*podpisuje*).

NICOLAS CHAMFORT

(1741—1794)

MAKSYMAMY I MYŚLI, CHARAKTERY I ANEGDOTY

Część I. Maksymy i myśli

Z rozdziału I: Maksymy ogólne.

Trzeba przyznać, że jest rzeczą niemożliwą żyć z ludźmi, nie grając kiedy niekiedy komedji. Co odróżnia człowieka uczciwego od oszusta, to to, że ten gra ją tylko wtedy, kiedy jest zmuszony, żeby uniknąć niebezpieczeństwa, kiedy tamten natomiast chwycił nadarżające się po temu okazje.

Są dwie klasy moralistów i polityków; jedni widzieli naturę ludzką tylko ze strony wstrętnej i śmiesznej, tych jest więcej: Lucjan, Montaigne, La Bruyère, La Rochefoucauld, Swift, Mandeville, Helwecjusz i t. d. Drudzy widzieli tylko jej stronę piękną i doskonałą: tacy są Shaftesbury i kilku innych. Tamci nie znali pałacu, gdyż zwiędzili tylko ustępy, doń należące. Ci są entuzjastami, którzy odwracają oczy od tego, co je obraża, a jednak istnieją. «Est in medio verum».

Spotykałem mężczyzn, którzy posiadali tylko rozum prosty i prawy, lecz nie mieli umysłu ani bardzo rozległego, ani bardzo wzniosłego, i ten rozum prosty wystarczał im do należytej oceny próżności i głupoty ludzkiej, do tego, żeby sami posiadali poczucie swej godności osobistej i w innych umieli je ocenić. Spotykałem także kobiety, znajdujące się mniej więcej w tem samym położeniu, które prawdziwe uczucie, doznane w młodym wieku, doprowadziło do poziomu tych samych idei. Z tych dwu obserwacyj wypływa, że ci, co przywiązują wielką wagę do tej próżności, do tej głupoty ludzkiej, stanowią najniższą klasę naszego gatunku.

Czytałem, nie pamiętam już w jakim podrózniku (?), że niektóre dzikie plemiona afrykańskie wierzą w nieśmiertelność duszy. Nie usiłując objaśnić, co się z nią staje, wierzą, iż błędzi po śmierci w zaroślach, otaczających ich siedziby, i szukają jej co rano w ciągu wielu dni zrzędu. Nie znajdując jej, zaprzestają poszukiwań i nie myślą o tem więcej. Jest to mniej więcej to samo, co zrobili nasi filozofowie i co też mieli najlepszego do zrobienia.

Najlepsza filozofja w stosunku do ludzi jest ta, w której wesoły sarkazm łączy się z pobłażliwą wzgardą.

Czy ci nie wstyd, że chcesz mówić lepiej, niż potrafisz? — rzekł Seneka do jednego ze swych synów, który nie umiał znaleźć wstępu do przemowy, jaką miał wygłosić. To samo możnaby powiedzieć do tych, co obierają sobie zasady silniejsze od swego charakteru; czy ci nie wstyd, że chcesz być większym filozofem, niż być nim możesz?

W sprawach wielkich ludzie okazują się takimi, jakimi im wypada się okazać; w sprawach drobnych okazują się, jakimi są.

Żeby ktoś nie zależał od nikogo, żeby był człowiekiem według swego serca, według swoich zasad, według swoich uczuć, oto, co spotykałem najrzadziej.

Trzeba umieć robić głupstwa, których wymaga od nas nasz charakter.

Ambicja łatwiej się chwyta małych duszyczek, niż dusz wielkich, jak ogień ima się snadniej strzech, niż pałaców.

Z rozdziału II.

Człowiek, nieumiejący się wznosić, nie może być dobrym — może być tylko dobrodusznym.

Jeśli Diogenes żył za naszych czasów, latarnia jego musiałaby być ślepa.

Człowiek bez zasad bywa też zwykle człowiekiem bez charakteru, gdyż jeśli się urodził z charakterem, poczułby potrzebę stworzenia sobie zasad.

Więcej jest szaleńców, niż mędrców, i w mędrca nawet więcej jest szaleństwa, niż mądrości.

Wpierw trzeba być sprawiedliwym, następnie dobroczynnym; jak bardziej są potrzebne koszule, niż koronki.

Nieprawdaż, że jest to rzecz zabawna, kiedy się rozważy, iż sława wielu ludzi wielkich polega na tem, że poświęcili cały swój żywot zwalczaniu przesądów lub głupstw, które budzą tylko politowanie i, zdaje się, nie powinny były nigdy mieć dostępu do głów ludzkich? Sława Bayle'a, na przykład, wywodzi się stąd, iż wykazał, ile jest niedorzeczności w subtelnościach filozoficznych i scholastycznych, na któreby wieśniak z Gâtinais, obdarzony wielkim sensem przyrodzonym, wzruszył tylko ramionami. Sława Locke'a pochodzi stąd, iż dowiódł, że nie należy mówić, jeśli się nie rozumie siebie, ani sądzić, że się rozumie to, czego się nie rozumie. Sława wielu filozofów polega znowu na tem, iż ułożyli wielkie księgi przeciw przesądom, od których dziki mieszkaniec Kanady odwróciłby się z pogardą. Sława Montesquieu'go i kilku innych autorów wcześniejszych urosła stąd, iż dali do zrozumienia, zachowując przytem w szacunku mnóstwo przesądów nędznych, że rządzący istnieją dla rządzonych, nie zaś rządzonych dla rządzących. Jeśli marzenie filozofów, wierzących w udoskonalenie społeczeństwa, spełni się, co powie potomność, patrząc na to, ile trzeba było wysiłków do osiągnięcia rezultatów tak prostych i naturalnych?

Falszywa skromność jest najprzywrotniejszym ze wszystkich kłamstw.

Nierzadko zdarza się spotykać dusze słabe, które wskutek obcowania z duszami o tęższym pokroju pragną wzniesić się nad własne przyrodzenie. Wytwarza to niesłowności równie zabawne, jak pretensje głupca do posiadania dowcipu.

Część II. Charaktery i anegdoty

Zbierano składkę w Akademji Francuskiej; brakowało talara czy luidora, i podejrzewano, że nie dał swej części jeden z członków, znany ze skąpstwa. Ten utrzymywał, że złożył swoją ofiarę. Akademik, zbierający składki, rzekł: «Nie widziałem, lecz wierzę». — «Ja widziałem, lecz nie wierzę» — przeciał dyskusję Fontenelle.

Biskup z Saint-Briene w mowie pogrzebowej na śmierć Marii Teresy wybrnął z trudnej sytuacji w kwestji podziału Polski w sposób bardzo prosty. «Francja» — zawołał — «o tym podziale nie wyrzekła nic, zrobię i ja, jak Francja, i nie powiem również nic».

Pewien literat jednocześnie pracował nad poematem i prowadził proces, od którego zależała jego przyszłość. Znajomi zapytują go, jak mu idzie jego poemat. — «Zapytajcie mnie raczej» — odrzekł — «jak stoi moja sprawa. Bardzo jestem podobny

do owego szlachcica, co, mając sprawę gardłową, nie strzygł brody, gdyż nie wiedział czy głowa mu pozostanie. Zanim zostaną nieśmiertelnym, chciałbym wiedzieć, czy żyć będę».

Do satyryka angielskiego Donnego rzekł ktoś: «Uderzaj pan na występki, lecz oszczędzaj występnych». — «Jakże to» — odpowiedział — «potępiać karty, a przebaczać oszustom?»

Pewien młodzieniec obraził ulubienca ministra. Kiedy obrażony odszedł, przyjaciel młodzieńca, obecny przy tej scenie, rzekł: «Młodzieńcze, wiedz, że lepiej było obrazić samego ministra, niż człowieka, który towarzyszy ministrowi do garderoby».

J. J. Rousseau był w Fontainebleau na przedstawieniu swego «Wieszczka wiejskiego». Jeden z dworzan zaczął go i rzekł uprzejmie: — «Panie, czy pozwolisz, że wyrażę ci komplement od siebie?» — «Owszem» — rzekł Rousseau — «jeżeli tylko dobry». Dworzanin odszedł; Rousseau czyniono wymówki: — «Co myślisz pan sobie? cóżto za odpowiedź!» — «Bardzo dobra» — odrzeczł Rousseau. — «Czy znacie coś gorszego od niezręcznego komplementu?»

Beaumarchais, który pozwolił się znieważyć księciu de Chaulnes i nie bił się, został wyzwany przez p. de La Blache. «Odmówilem komuś lepszemu» — była jego odpowiedź.

Pan..., żeby odmalować jednym słowem rzadkość ludzi uczciwych, mawiał do mnie, że w świecie człowiek uczciwy jest odmianą rodzaju ludzkiego.

Filozof, któremu wyrzucano nadzwyczajne umiłowanie samotności, odpowiedział: «W świecie wszystko zmierza do tego, żeby mnie ściągnąć niżej, w samotności zmierza wszystko do tego, żeby podnosić».

Bossuet w żaden sposób nie mógł nauczyć delfina pisania listów. Księżę ten był bardzo gnuśny. Opowiadają, że wszystkie swe listy do hrabiny du Roure kończył zawsze jednakowo: «Król wzywa mnie na radę». Kiedy hrabinę skazano na wygnanie, jeden z dworzan zapytał go, czy jest bardzo zasmucony. «Bezwątpienia» — odpowiedział delfin — «lecz przynajmniej uwolniłem się od codziennego pisania listów».

Pewien człowiek dowcipny mówił do mnie kiedyś, że forma rządu we Francji jest monarchją absolutną, łagodzoną piosenkami.

Pewien starzec, widząc, iż nadto dotknęła mnie, nie pamiętam już jaka, niesprawiedliwość, rzekł: — «Moje dziecko drogie, trzeba się nauczyć od życia, jak znosić życie».

Fontenelle napisał operę z chórem kapłanów, który zgorszył dewotów. Arcybiskup paryski żądał, żeby część tę usunięto. «Ja nie mieszam się do jego kleru, niechże on nie miesza się do mojego» — rzekł Fontenelle.

Stanisław, król polski, darzył swemi względami księdza Porquet, nic jednak nie uczynił jeszcze dla niego. Porquet napomknął o tem królowi. «Ależ, mój księżę», — odrzekł król — «wiele jest w tem twojej winy, głosisz zdania zbyt wolnomyślne; utrzymują, że nie wierzysz w Boga; trzeba się hamować; staraj się weń uwierzyć. Daję ci na to rok czasu».

Znałem pewnego mizantropa, który miewał chwile dobroduszości, kiedy mawiał: «Nie dziwiłbym się, jeśliby gdzieś w ukryciu istniał jakiś człowiek uczciwy, którego nikt nie zna».

Pewnego człowieka dowcipnego, który czytał drobne rozprawy d'Alemberta o krasomówstwie, o poezji, o odzie, pytano, co o nich myśli. Ten odpowiedział: «Nie każdy może być suchym».

Złudzenie, mówił pan..., jeżeli chodzi o ludzi, nie wywiera na mnie większego wpływu, niż szkło na pastel. Łagodzi rysy, nie zmieniając ani stosunków, ani proporcji.

Kiedy de Saint-Pierre chciał coś pochwalić, mawiał: «Dobre to dla mnie, przynajmniej na teraz». Nic nie maluje lepiej różności sądów ludzkich i zmienności sądu każdego człowieka zosobna.

Pewien dziennikarz pisał w swej gazecie: «Jedni mówią, że kardynał Mazarin umarł, inni, że żyje; co do mnie, nie wierzę ani w jedno, ani w drugie».

Tłum. Konrad Drzewiecki.

ANDRÉ CHÉNIER

(1762—1794)

MŁODA LOKRYJKA

«Nie wydaj mię! Uciekaj! On cię zastać może.
Wstań, bądź zdrów, odejdz z domu przed jego powrotem;
Stałoby się nieszczęście, moja zguba potem;
Masz, spójrz, bywaj zdrów, odejdz, patrzaj, błyszczą zorze!»
Bawiła nas, naiwna taka i wesoła;
Gdy wtem italski mędrzec podniósł się od stoła;
Zamyślony, wybladły, chudy i milczący,
Bosy i czarnobrody, wielbiciel gorący
Niemego z Samos, co jest w Metaponcie głośny:
«Nie wstyd wam, Lokryjczycy, takiej rzeczy sprośnej,
Wam, coście dawniej świętej hołdowali cnocie?
Dziś wasze dziewczki, strojne w purpurze i złocie,
Otwierają swe usta na śpiew wielce zdrożny.
A cóżeście zrobili z nauki pobożnej
Święconego pasterza, który, przez Atenę
Kształcony, prawom waszym taką nadał cenę?»
To rzekł i wyszedł. Na niej znać było zmieszanie,
Łzami jej czarne oczy zaszyły niespodzianie.
Myśmy ją pocieszali, zaczęły uśmiech miły
I pieśni, i wesołość prędko jej wróciły.
A gdy się już z naszego oddalala grona,
Poszedł za nią Turyjczyk, dorodny, jak ona;
Myślę, że poszli razem i że zapomnieli
Srogiego Pitagora i jego czcicieli.

Tłum. Edward Porębowicz.

WIEK XIX

JEAN PIERRE BÉRANGER

(1780—1857)

KRÓL GWOŹDZIK

Był raz król Gwoździk łaskawy.
Opowiem wam jego życie:
Sypiał smacznie i bez sławy,
Kładł się wczas, wstawał o świcie,
Wieńczył się, zamiast koroną,
Szlafmycą, w domu robioną.

Mówiono,

Oj, niełatwo się spotyka
Takiego, jak to — królika
Gwoździka.

Mieszkał w pałacu pod strzechą,
Kuchnię miał smaczną, niedrogą,
Zwiedzał kraj, z ludu uciechą,
Na osle, noga za nogą.
Z nim razem wesołość płynie,
A straż powierzał jedynie

Swej psinie.

Oj, niełatwo się spotyka
Takiego, jak to — królika
Gwoździka.

Żadna z żądź go nie nurtuje,
 Oprócz pragnienia mocnego;
 Lecz gdy uczciwie panuje,
 To co tam komu do tego.
 Brał ze względu na wydatek
 W naturze sam od swych dziątek
 Podatek.
 Oj, niełatwo się spotyka
 Takiego, jak to — królika
 Gwoździka.

Z najpierwszych rodzin dziewczyny
 Miłością sobie zjednywał;
 Miał więc lud słuszne przyczyny,
 Że go swym ojcem nazywał.
 I robił tak królów wielu?
 Strzelał tylko na weselu
 Do celu.
 Oj, niełatwo się spotyka
 Takiego, jak to — królika
 Gwoździka.

Choć się sposobność nadarzy,
 Nie rozszerza swoich granic;
 Był wzorem wszystkich mocarzy,
 Prócz serca — resztę miał za nic.
 Więc poddani go kochali,
 I pierwszy raz, gdy chowali,
 Płakali.
 Bo niełatwo się spotyka
 Takiego, jak to — królika
 Gwoździka.

Dotąd się chowa w narodzie
 Obraz zacnego księcia;
 Na szyldzie, w sławnej gospodzie,
 Wielkiego używa wzięcia.
 Tam, co święto, jeśli czyje,
 Lud, to jego zdrowie pije:
 Niech żyje!
 Bo niełatwo się spotyka
 Takiego, jak to — królika
 Gwoździka.

Tłum. M. Rodoć.

SENATOR

Żona moja, skarb uroczy,
 Róża — dom mój uwesela;
 Takie przesłiczne ma oczy;
 Jej winienem przyjaciela.
 Zaraz po ślubie wieczorem,
 Poznała mnie z senatorem.
 Co za honor! mój Boże!
 Tom kontent z mojej żony!
 Ach! Panie Senatorze!
 Ach! sługa uniżony!

Dygnitarz, niedumny wcale,
 Serce ma nieocenione:
 Na koncerta i na bale
 Bierze z sobą moją żonę;
 Gdziekolwiek się spotykamy,
 Zaraz się czule witamy.
 Co za honor! mój Boże!
 Tom kontent z mojej żony!
 Ach! Panie Senatorze!
 Ach! sługa uniżony!

Nie poznałbyś senatora,
 Gdy Różę bawi rozmową;
 A gdy żona moja chora,
 Mam z nim pikietę gotową.
 Ścisła mnie na urodziny,
 Fetuje na imieniny...
 Co za honor! mój Boże!
 Tom kontent z mojej żony!
 Ach! Panie Senatorze!
 Ach! sługa uniżony!

Gdy w domu z powodu słoty
 Godziny mi nudno lecą,
 Mówi: «Nie miałbyś ochoty
 Tak... przejechać się też nieco?
 Nie daj się prosić dwa razy».
 Co za honor! mój Boże!
 Tom kontent z mojej żony!
 Ach! Panie Senatorze!
 Ach! sługa uniżony!

Raz w jego rozkosznej willi
 Byliśmy i nocowali,
 Mnie szampanem upoił
 I złożyli w pysznej sali,
 A Róża gdzie indziej spała...
 Jaka noc była wspaniała!
 Co za honor! mój Boże!
 Tom kontent z mojej żony!
 Ach! Panie Senatorze!
 Ach! sługa uniżony!

A gdy wreszcie moja żona
 Szczęśliwie powiła syna,
 On go przycisnął do łona,
 Zawolał: «Moja dziecina!»
 I wyprawił nam traktament,
 I wpisał malca w testament.
 Co za honor! mój Boże!
 Tom kontent z mojej żony!
 Ach! Panie Senatorze!
 Ach! sługa uniżony!

U stołu lubi on śmiechy,
 Jam znów przy winie otwarty,
 Więc pod deser dla uciechy
 Powiadam mu, tak, na żarty:
 «No! pewnie plotę, mój drogi,
 Że ty mi przyprawiasz rogi!»
 Co za honor! mój Boże!
 Tom kontent z mojej żony!
 Ach! Panie Senatorze!
 Ach! sługa uniżony!

Tłum. M. Rodoć.

MOJA RZECZPOSPOLITA

<p>Tak usidlila przykładów ponęta, Żem zasmakował w rzeczypospolitej: Zrobię ją śliczną, jak nikt nie pamięta, Dam prawa mądre i rząd jednolity. Kupcem w niej będzie piwniczny nasz stary, Sędzią — kto więcej wesela nam doda; Stolik mój — oto jej całe obszary; A godło, hasło, nazwisko — Swoboda!</p>	<p>Zbytek, co kłęski rozpościera wszędzie, Tu się uciechy drasnąć nie ośmieli, Zgoła okowów dla myśli nie będzie, Tego chce Bachus od swoich czcicieli. Niech każdy mówi, co szepce mu dusza, Drudzy osądzą w miłości i zgodzie : Każdy, gdzie zechce, tam sobie niech; rusza Takie tu wiatry wieją na swobodzie.</p>
--	--

<p>Bracia! puharów ujmijmy się żwawo: Zaraz tu senat złożony zostanie. Na pierwszym wstępie — poważną ustawą Skażemy nudy na wieczne wygnanie. Jakto! wygnanie? precz to słowo lepiej, Niechaj go wolne nie znają narody, Do nas się nuda i tak nie uczepli, Kiedy wesołość buchnie za swobody.</p>	<p>Wielmożność w błędach skrzywiła swą postać... Lecz milczy — niechaj śpią cicho pradziady. U nas tytuły nie mogą się ostać, Mieć ich nie będzie pierwszy do biesiady. Jeśli dostrzeżem, iż który się stara Nagiać pod nogi pokolenie młode, Natychmiast w winie zanurzym Cezara: Będziemy, bracia, ocalać swobodę.</p>
--	---

Teraz kolejną uderzmy w kielichy:
 Rzeczypospolitej niech los się ustali!...
 Ale mój naród potulny a cichy
 Drży już z popłochu, że wróg na nią wali!
 Jest to Lizeta — która nas przyzywa
 Ulegać władzy, gdzie wdzięki rej wiodą;
 Chce nam królować... i jest urodziwa...
 Otóż po wszystkim! bądź zdrowa, swobodo!

Tłum. W. Korotyński.

PANI DE STAËL-HOLSTEIN

(1766—1817)

O PRUSACH

Chcąc poznać Prusy, trzeba zgłębić charakter Fryderyka II. Człowiek utworzył to państwo, któremu wcale nie sprzyjała natura, a które tylko dlatego stało się monarchią, że bojownik był jego władcą. Dwóch ludzi bardzo różnych można widzieć w Fryderyku II: Niemca z przyrodzenia, Francuza z edukacji. Wszystkiego tego, co zdziałal Niemiec, w niemieckim królestwie pamiętne zostały się ślady; to, co usiłował Francuz, bezplodnie zasiane było.

Filozofja francuska wieku XVIII ukształciła Fryderyka II; ta filozofja zło przynosi narodom, kiedy w nich zatrzymuje źródło entuzjazmu; ale kiedy znajduje się rzecz taka, jak monarcha absolutny, życzyć należy, aby zasady liberalne miarkowały w nim czynność despotyzmu. Fryderyk wprowadził wolność myślenia do północnych

Niemiec; reforma religji wprowadziła tam była dysputy, ale nie tolerancję; i przez szczególniejszą sprzeczność nie pozwalano rozprawiać, chyba dumnie zapowiadając fakt tych dysput. Fryderyk podniósł wolność mówienia i pisania, bądź przez owe dowcipne i dotkliwe żarty, które tyle mocy mają nad ludźmi, kiedy od króla pochodzą, bądź też swoim przykładem daleko jeszcze dzielniejszym; nigdy bowiem nie karał tych, którzy mówili lub pisali co złego przeciw niemu, we wszystkich niemal czynach okazując filozofję, której się zasad pilnował.

Zaprowadził w administracji porządek i ekonomję, która siłę wewnętrzną Prus utworzyła, pomimo tego że nie prawie natura nie zdziałała z ich korzyścią. Niema monarchy, któryby się tak prostym okazał w swem życiu prywatnem, a nawet i na dworze, gdzie poczuwał się do obowiązku oszczędzania pieniędzy swych poddanych. We wszystkim zachował poczucie sprawiedliwości, które nieszczęścia młodości i surowość ojca w jego sercu wyrwały. Uczucie to może jest najrzadsze ze wszystkich w sercu wojowników, gdyż wolą raczej być wspaniałymi niż sprawiedliwymi; sprawiedliwość bowiem zdaje się mieć z innymi skłonnościami niejaki związek równości.

Fryderyk do sądownictwa taką wprowadził niezawisłość, że za jego życia i za panowania następców widziano nieraz trybunały, wyrokujące na korzyść poddanych przeciw królowi w procesach, tyjących się interesów politycznych.

Prawda, że niepodobną prawie byłoby rzeczą wprowadzić w Niemczech niesprawiedliwość do sądów. Dostyc są Niemcy usposobieni do stwarzania nowych systematów i poświęcenia polityki, nawet arbitralności; lecz kiedy idzie o prawoznawstwo lub administrację, nie można nie odmówić im zasad innych, prócz samej sprawiedliwości. Duch porządku, nie mówiąc nawet o prostocie ich serca, przywołuje słusność, stanowiącą podstawę wszystkiego. Nie mniej też chwalić Fryderyka należy za jego poczciwość w wewnętrznym rządzie swego kraju; jest to jedna z jego pierwszych zalet, którą na pewno podziwiać będzie potomność.

Fryderyk nie był czuły, ale miał dobroć; ta zaś oprócz ogólnych przymiotów najlepiej panującym przystoi. Dobroć jednak Fryderyka taki wzbudzała niepokój, jak dobroć lwa; jakoż dawały się niekiedy uczuć szpony jego władzy, nawet pośród łaski i przyłudy najwdzięczniejszego umysłu. Ludzie niepodległego charakteru wielką mieli trudność poddać się wolności, którą ten monarcha rozumiał, że im daje, i poufałości, na którą pozwalał; uwielbiając go, czuli, że lepiejby w oddaleniu od niego oddychać mogli.

Wielkiem nieszczyściem Fryderyka było, że ani religji, ani obyczajów dosyć nie szanował. Gusty miał cyniczne. Chociaż miłość sławy nadała myślom jego wyniosłość, rozwiązyły jednak sposób wyrażania się względem najświętszych przedmiotów zrzucił, że nawet jego cnoty nie wzbudzały ufności: cieszą się z nich, potwierdzano, ale miano je zawsze za jakiś rachunek. Wszystko zdawało się pochodzić z polityki w Fryderyku; to, co czynił dobrego, polepszało stan kraju, ale nie doskonaliło moralności narodu. Ogłosił niedowiarstwo i z cnoty kobiet się wyśmiewał; nie też bardziej nie mogło się zgadzać z charakterem niemieckim niż ten sposób myślenia. Fryderyk, uwalniając swych poddanych od tego, co zwał przesądem, przytłumiał w nich patriotyzm; gdyż aby się przywiązać do krajów ponurych i bezpłodnych z natury, trzeba, ażeby panujące w nich opinie i zasady były nader surowe. W tych piaszczystych stronach, w których ziemia same tylko sosny wydaje, siła człowieka w jego znajduje się duszy, a gdy się mu odejmie to, co stanowi życie tej duszy, to jest religijne uczucie, samą tylko będzie miał niechęć ku swojej smutnej ojczyźnie.

Wielkie widoki polityczne mogą usprawiedliwić skłonność Fryderyka do wojny. Królestwo jego takie, jakie wziął od ojca, nie mogło się utrzymać, dla zachowania więc całości zwiększał je orężem. Wstępując na tron, miał półtrzecia miliona poddanych, a przy śmierci zostawił sześć. Potrzeba wojska przeszkodziła mu wzniesić w narodzie ducha publicznego, którego moc i jedność były uderzające. Rząd Fryderyka opierał się na wojennej sile i cywilnej sprawiedliwości, godził on jedną z drugą przez swoją mądrość; ale trudno jest mieszać razem dwa duchy tak przeciwnej z sobą natury. Chciał Fryderyk, aby jego żołnierze byli wojennymi machinami, ślepo podległymi, a poddani oświeconymi obywatelami, zdolnymi kochać ojczyznę. Nie ustanowił bynajmniej w miastach pruskich władz pośrednich ani też

municypalności takich, jakie się w innych częściach Niemiec znajdują, lękając się, aby czynność bezpośrednia wojskowej służby nie mogła być przez nie wstrzymana; a jednak pragnął, żeby się dosyć w jego państwie ducha wolności znalazło do okazania, że posłuszeństwo z własnej każdego wynika chęci. Pragnął, aby stan wojskowy był pierwszy ze wszystkich, gdyż on mu był najpotrzebniejszy, ale żądał też przytem, aby stan cywilny niepodległe się obok siły trzymał. Fryderyk nakoniec wszędzie chciał widzieć pomoc, a nigdzie przeciwności.

Cudowną jedność wszystkich klas społeczeństwa otrzymuje się tylko wtenczas, kiedy te same prawa wszędzie panują. Może jeden człowiek nadać kierunek dwom przeciwnym sobie elementom, «ale te z jego śmiercią się rozdzielają». Przewaga Fryderyka, wspierana mądrością jego następców, opierała się pewien czas temu, każdy jednak widział w Prusach dwa narody, które się źle łączyły w jedność: wojsko i stan cywilny. Przesady utrzymywały się obok liberalnych zasad, najwyraźniej się ujawniających. Nakoniec obraz państwa pruskiego stanowił, jak postać Janusa, podwójny widok: jeden wojskowy a drugi filozoficzny.

Uwagi te nad Prusami zawierają wszystkie sposoby, które miało to państwo do utrzymywania się i obrony; nie bowiem w rządzie wewnętrznym nie groziło jego niepodległości i bezpieczeństwu; był to jeden z krajów Europy, w którym najwięcej czczono oświecenie, w którym wolność najskrupulatniej była szanowana. W całych Prusach nie widziałem człowieka, któryby się uskarżał na samowolne działania rządu, a jednakże nie byłoby najmniejszego niebezpieczeństwa, gdyby kto na nie narzekał; ale kiedy w jakim kraju szczęście samo jest tylko, że tak powiem, szczęśliwym zdarzeniem i kiedy nie jest ugruntowane na trwałych ustawach, zabezpieczających mu jego siłę i godność, nietrwaly jest patryjotyzm, a korzyści łatwo oddane bywają trafowi, od którego mniemają się być zależne. Fryderyk II, jeden z najpiękniejszych darów tego trafu, który zdawał się czuwać nad Prusami, umiał stać się szczerze kochanym w swym kraju, a choć go już nie ma, zawsze jednak kochany jest, jak za życia. W każdym razie Prusy poznały bardzo dobrze, co to jest wpływ wielkiego człowieka, kiedy w swoich rządach pracuje wspaniale, aby się stać użytecznym.

Fryderyk II chciał, aby nie inna literatura, tylko francuska, była w jego państwach; przeto żadnych względów nie miał dla niemieckiej. Nie była ona wprawdzie tak znakomita, jak teraz, ale należało, aby niemiecki monarcha zachęcał do tego wszystkiego, co jest niemieckie. Fryderyk miał zamiar uczynić Berlin nieco podobnym Paryżowi i pochlebiał sobie, że znajdzie w emigrantach francuskich kilku pisarzy i uczonych, że będzie mógł utworzyć literaturę francuską. Taka nadzieja musiała być koniecznie mylną, nienaturalne zabiegi nigdy pożądanego rezultatu przynieść nie mogą; każdy oddzielnie może walczyć z trudnościami, jakie mu stawiają okoliczności, ale wielkie masy zawsze idą za skłonnością przyrodzoną. Fryderyk prawdziwie źle zrobił dla swojego kraju, okazując wzgardę dla geniuszu Niemców. Stąd to wynikło, że częstokroć inne państwa niemieckie niesprawiedliwe miały podejrzenia na Prusy.

Wielu niemieckich pisarzy, słusznie wslawionych, dało się poznać ku końcowi panowania Fryderyka, lecz nieprzyjazna opinia, jaką ten monarcha był powziął w swojej młodości o literaturze własnego kraju, nie wygasła bynajmniej; sam nawet na kilka lat przed śmiercią ułożył małe pisemko, w którym między innymi zmianami podaje myśl, ażeby na końcu każdego słowa dodać jedną samogłoskę dla zmiękczenia języka teutońskiego. Ta niemieczyzna, po włosku przebrana, wydawałaby się najśmieszniej na świecie: lecz żaden monarcha, nawet na Wschodzie, nie miałby dosyć mocy, ażeby takim sposobem wpływać nie na układ, ale na dźwięk każdego wyrazu, któryby wymawiano w jego państwie.

Klopstock szlachetnie wymawiał Fryderykowi, że zaniedbywał muzy niemieckie, które mimo jego wiedzy wybiły się, sławę tego monarchy głosząc. Fryderyk nie zgadł bynajmniej, czem są Niemcy w literaturze i filozofji. Chciał tak ćwiczyć literatów, jak swoje wojsko. «Potrzeba» — pisał złą niemieczyzną w swoich instrukcjach dla Akademji — «trzymać się układu Boerhave w medycynie, Locke'a w metafizyce a Tomazjusza w historii naturalnej». Nie słuchano przeciw rad jego. Nie wątpiono prawie, że Niemcy ze wszystkich ludzi najtrudniejszymi są do wprawienia się w literacką i filo-

zoficzną pracę. Nic nie przepowiadało w nich tej śmiałości, którą okazali później na polu abstrakcji.

Fryderyk uważał swoich poddanych za cudzoziemców, a ludzi, francuskim duchem tchnących, za swoich współrodaków. Wyznać trzeba, że nie było nic naturalniejszego, jak dać się uwieść tem wszystkim, co tylko było świetnego i podstawowego naówczas w literaturze francuskiej; niemniej też Fryderyk dalekoby się skuteczniej do sławy swego kraju przyczynił, gdyby pojął i rozwinął zdolności właściwe narodowi, którym rządził. Ale jak się oprzeć wpływowi swego czasu, i któryż jest człowiek, którego by genjusz sam nie był z wielu miar dziełem jego wieku?

RENÉ DE CHATEAUBRIAND

(1768—1848)

ATALA

Szaktas opowiada o swem życiu René.

Jednej nocy, kiedy Muskogulgi założyli obóz swój na brzegu lasu, siedziałem przy ogniu wojennym z myśliwym, przeznaczonym do mojej straży. Nagle usłyszałem szmer odzieży, sunącej się po trawie, a wnet kobieta, nawpół zasloną zakryta, usiadła przy mnie. Widziałem łzy, toczące się z pod jej powieki, mały złoty krucyfiks błyszczał na jej łonie. Była ona cudownie piękna; rysy jej wyrażały coś tak osobliwego, tak uczucia pełnego, że się temu oprzeć było niepodobna. Łączyła do tego wdzięki jeszcze szacowniejsze: niezmierną tkliwość, z głęboką melancholją złączoną, które przemawiały w jej spojrzaniu; uśmiech jej był anielski.

Myślałem, że to była «Dziewica ostatnich miłości», ta dziewczica, którą wysyłają do niewolników, wziętych na wojnie, dla opiewania ich śmierci. W tem przekonaniu przemówiłem do niej, jaskając się i pełen pomieszanja: «Dziewico! ty godna jesteś najpierwszych miłości, bynajmniej dla ostatnich stworzona nie jesteś! Poruszenia serca, które wkrótce bić przestanie, źle odpowiadałyby wzruszeniom twojemu. Jakże łączyć śmierć i życie? Dla ciebie aż nadto żałowałbym życia. Niechaj inny szczęśliwszy ode mnie będzie».

Młoda dziewczyna rzekła natenczas do mnie: «Ja nie jestem dziewczicą ostatnich miłości. Czy jesteś chrześcijaninem?» Odpowiedziałem, że nie zdradziłem duchów mej matki. Na te słowa Indjanka uczyniła mimowolne poruszenie i rzekła: «Żałuję cię, iżes nędznym bałwochwalcą. Mnie matka chrześcijanką uczyniła; imię moje Atala. Jestem córką Simaghana ze złotemi bransoletami, wodza wojowników tej gromady. Dążymy do Apalaszukła, gdzie ty spalony będziesz».

Przy świetle księżycy, którego promień właśnie się z poza chmur wymknął, spostrzegłem postać w bieli, pochyloną ku mnie i rozwiązującą więzy moje; chciałem krzyknąć, ale ręka, którą odrazu poznałem, zamknęła mi usta. Jeden jeszcze sznur pozostał, zdawało się niepodobieństwem rozciąć go, nie poruszając śpiącego wojownika, który leżał na nim całym ciałem swoim. Atala dotyka ręką sznura, wojownik budzi się nawpół i przeciąga na swoim posłaniu. Atala patrzy nań nieporuszona, Indjanin bierze ją za ducha nieznanych rozwalin i, wzywając opieki swego Manitu, obraca się na drugi bok i oczy zamyka. Ostatnie rozerwane więzy! i dążę za moją wybawicielką. Atala daje mi do ręki nić, trzymając w swojej drugi jej koniec. Niebezpieczeństwo ołacza nas zewsząd! Tu o mało nie zawadzamy dzikich, we śnie leżących, ówdzie straż nas zapytuje. Atala odpowiada zmienionym głosem; to znów dzieci wydają lęklive krzyki, a psy szczekać poczynają.

...Kiedy jutrzeńka rumienić zaczęła szczyty Appalachów, myśmy już byli daleko!

Z jakąż niewysłowioną rozkoszą znalazłem się na pustyni, sam z Atalą, z Atalą, ową zbawczynią, która moją miała zostać na zawsze! Zabrakło mi wyrazów, padłem na kolana przed Simaghana córką, mówiąc do niej: «Ludzie są mało znaczącymi istotami, a gdy duchy do nich wstępują, stają się jeszcze mniejszemi, tyś mi się objawiła! Ty! która jesteś duchem, mówić więc do Ciebie nie mogę!» Atala, podając mi rękę, rzekła z uśmiechem: «Muszę iść z tobą, skoro nie chcesz uciekać beze mnie».

Atala przed śmiercią do Szaktasa i zakonnika:

...Przebaczenie, drodzy przyjaciele! Słaba jestem, lecz może zdołam być silniejszą, jednakże umierać tak młodą! Kiedy serce jest tak pełne życia! Księżu, miej litość nade mną, wesprzyj mnie. Czy sądzisz, że dogodziła matce mojej? A Bóg czy mi przebaczy czyn mój?...

— Cóрко moja! — odrzekł poczciwy zakonnik, ocierając łzy, płynące po zwiędłej twarzy, drżącymi, ogołoconymi z palców rękoma: — Cóрко moja! wszystkie nieszczęścia twoje pochodzą z nieświadomości; wychowanie to twoje dzikie i brak światła zgubiły cię; nie wiedziałaś, że chrześcijanka nie może rozrządzać życiem swoim. Pociesz się więc, biedne dziecko. Bóg ci przebaczy dla prostoty serca twego.

...Ten, co zgłębia tajniki myśli i serc naszych, nie z samych uczynków, ale z intencji sądzić cię będzie! A chęci miałaś zawsze dobre i czyste! *Tłum. H. Skimborowicz.*

CASIMIR DELAVIGNE

(1793—1843)

WARSZAWIANKA

Oto dziś dzień krwi i chwały,
Oby dniem wskrzeszenia był!
W tęczę Franków, Orzeł biały,
Patrząc, lot swój w niebo wzbił.
Słońcem lipca podniecany,
Wola na nas z górnych stron:
«Powstań, Polsko, skrusz kajdany,
Dziś twój triumf albo zgon!»
«Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!»
Takiem hasłem cnej podniety,
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

«Na koń!» — woła kozak mściwy —
«Karać bunty polskich rot,
Bez Bałkanów są ich niwy,
Wszystko jeden zgniecie lot!»
Stój! Za Bałkan pierś tu stanie,
Car wasz marzy płonny łup,
Z wrogów naszych nie zostanie
Na tej ziemi, chyba trup.

Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!
Takiem hasłem cnej podniety,
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Droga Polsko, dzieci twoje
Dziś szczęśliwych doszły chwil,
Od tych sławnych, gdy ich boje
Wieńczył Kremlin, Tybr i Nil.
Lat dwadzieścia nasze męże
Los po obcych grobach siał,
Dziś, o Matko, kto polęże,
Na twem łonie będzie spał.

Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!
Takiem hasłem cnej podniety,
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Wstań, Kościuszek, ugodź w serca,
Co litością mamieć śmia!
Znałże litość ów morderca,
Który Pragę zalał krwią?
Niechaj krew tę krwią dziś płaci,
Niech nią zrosi grunt zły gość,
Laur męczeński naszych braci
Bujniej będzie po niej rość.
Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!
Takiem hasłem cnej podniety,
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Tocz, Polaku, bój zacięty,
Ulec musi dumny car!
Pokaż jemu pierścień święty,
Nieulekłych Polek dar:
Niech to godło ślubów drogich
Wrogom naszym wróży grób,
Niech, krwią zlane w bojach srogich,
Nasz z wolnością świadczy ślub.

Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!
Takiem hasłem cnej podniety,
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

O Francuzi, czyż bez ceny
Rany nasze dla was są?
Z pod Marenga, Wagram, Jeny,
Drezna, Lipska, Waterloo?
Świat was zdradzał — my dotrwali:
Śmierć, czy triumf — my, gdzie wy.
Bracia, my wam krew dawali;
Dziś wy dla nas nic — prócz łyż?

Hej, kto Polak, na bagnety!
Żyj, swobodo, Polsko, żyj!
Takiem hasłem cnej podniety,
Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Wy, przynajmniej, coście legli,
 W obcych krajach za kraj swój,
 Bracia nasi, z grobów zbiegli,
 Błogosławcie bratni bójl
 Lub zwyciężym, lub gotowi
 Z trupów naszych tamę wzniesić,
 By krok spóźnić olbrzymowi,
 Co chce światu pęta nieść.
 Hej, kto Polak, na bagnety!
 Żyj, swobodo, Polsko, żyj!
 Takim hasłem cnej podniety,
 Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Grzmijcie bębny, ryczcie działa,
 Dalej, dzieci, w gęsty szyk!
 Wiedzie hufce Wolność, Chwała,
 Triumf błyska w ostrzu pik.
 Leć, nasz Orle, w górnym pędzie,
 Sławie, Polsce, światu służ!
 Kto przeżyje, wolnym będzie;
 Kto umiera, wolnym już!
 Hej, kto Polak, na bagnety!
 Żyj, swobodo, Polsko, żyj!
 Takim hasłem cnej podniety,
 Trąbo nasza, wrogom grzmij!

Tłum. Karol Sienkiewicz.

VICTOR HUGO

(1802—1885)

HERNANI

Akt II. Scena V

Donna Sola, Ernani.

Donna Sola: Teraz uchodźmy.

Ernani:

Teraz wierzę, mój aniele,
 Żeś gotowa pić ze mną moje gorzkie ziele;
 Ale nie pora przyjąć tę cierpień osłodeł!
 Przyszłość moja za czarna... sam z nią bój przewiodę.
 Ten król, przed którym każdy rad się robi pyłem,
 Nigdy mi nie przebaczy, że mu przebaczyłem...
 Uchodzi — żądza zemsty pierś mu rozplomienia,
 Za chwilę będzie w zamku; dość jego skinienia,
 By poruszyć tłum zbirów, służalców, siepaczy...
 A więc uchodźmy pędzej.

Donna Sola:

Ernani:

Nie, to szal rozpaczy!
 Był czas, że mogłem roić, jak gdzieś tam ukryci,
 Zapomnieni, wysnujem przyszłość złotej nici;
 Lecz dziś, gdy ten król pyszny tchnie gniewem rywala,
 Niepamięć — nie jest więcej deską, co ocala!
 Dzisiaj Ernani czuje, czem mu los zagraża:
 Nie chcę cię nieść na szafot po stopniach ołtarza!
 Będzie to ołtarz krwawszy, lecz nie z twojej winy.

Donna Sola:

Ernani:

Moja ty Donna Solo, mój skarbie jedyny,
 Prawda, że smutna była mego życia prędzia,
 Że los mnie od kolebki po cierniach upędza,
 Że mnie zrobił sierotą, tułaczem, nędzarzem;
 Lecz dał mi ciebie taką, jak aniołów marzem,
 I dlatego w ostatniej zawołam godzinie:
 I ja byłem szczęśliwy i losu nie winię!
 A dalej nie zajdę — nazywać cię żoną!...
 Nie wolno zrywać kwiatu ręką potępioną;
 Bądź innemu ozdoba, moja liljo biała!
 Zapomnij... tak, zapomnij, żeś mnie kiedy znała.
 Jesteś niewdzięczny.

Donna Sola:

Ernani:

Powiedz, że jestem szalony,
 Bo w mojem biednem sercu tak płaczą się tony,
 Że zamiast niemi pieścić, obrażam i ranię!

- Donna Sola: Ja cię takiego kocham!
 Ernani: Wierzę w to kochanie,
 Więc wierzę, że nad siły żadnych ofiar niema;
 Patrz, patrz jeszcze tak na mnie jasnemi oczyma;
 Powiedz, żeś godzien ciebie i żeś temu rada,
 Że Ernani ci serce na kolanach składa;
 Ufaj, że miłość twoja jest cudowną siłą,
 Co może świat ten zrobić, jakby go nie było!
 Powtarzaj mi, że nigdy nie będziesz niczyją,
 Tylko moją...
- Donna Sola: Przysięgam!
 W dzwony na gwałt biją!
 Ernani: Czy słyszysz, mój Ernani?
 Do ślubu nam dzwonią,
 Wzywają nas przed ołtarz, by dłoń spojć z dłonią,
 Jak się spoiły dusze!
- Donna Sola: Ocknij się z marzenia,
 Patrz jak się Saragossa cała rozplomienia.
 Ernani: Prawda, a więc przy światłach będziem mieć wesele.
 Donna Sola: Jeśli mnie kochasz, chodźmy!
 Ernani: Nie trwóż się, aniele...
 Góral: *(wbiega ze szpadą)*
 Wodzu mój, widać pełno na placu żołnierza.
 Oddział zbirów z alkadem w tę tu stronę zmierza;
 Co począć?
- Ernani: Czy to wroga pierwszy raz widzicie?
 Przerznąć się albo umrzeć.
 Głosy *(za sceną)*: Naprzód, śmierć bandycie!
 Ernani: Daj mi szpadę!
- (Do Donny Soli)*
 Ten uścisk, ten jeden na drogę!
 Donna Sola: Uchodźmy razem tędy.
 Ernani: Zdradzać ich?... nie mogę.
 Donna Sola: Ernani!
 Głosy: Wodzu do nas!
 Ernani: Wzywa mnie głos bratni!
 Rozłączmy się... raz jeszcze!
 Donna Sola: Może raz ostatni!

Akt III. Scena III

Don Ruy Silva i Ernani, przebrany za pielgrzyma.

- Ernani: Bóg niech będzie z tobą
 I z tem, co twoje, książę!
- Don Ruy Silva: Witam cię wzajemnie;
 Pewnie idziesz z Armillas?
- Ernani: Człek spokojny ze mnie,
 Te strony, gdzie wre walka, zdaleka obchodzę.
- Don Ruy Silva: A jakiż cel pobożnej naznaczyłeś drodze?
 Ernani: Idę do Saragossy, nawiedzić świątynię
 Matki Boskiej del Pilar, co tak z cudów słynie;
 Zobaczę, jak jej pięknie w złotolitej szacie;
 Potem wracam do siebie...

Don Ruy Silva: Twoje imię, bracie?
 Ja jestem Don Ruy Silva.
 Ernani (z pokorą): Ja, pielgrzym w podróży,
 Nazywam się zwyczajnie.
 Don Ruy Silva: Nie tłumacz się dłużej,
 Nie trzeba ci żadnego, poczciwy pielgrzymie,
 Odkąd wszedłeś w te progi, masz «mój gość» na imię.
 Pytałem, żeby pytać — zamilcz, gdy tak lepiej,
 Teraz niech cię ten napój po drodze pokrzepi.

(książę nalewa puhar i podaje Ernaniemu)

Ernani: Wybacz mi, zacny książę, że puhar odstawię,
 Gdybym pil, jak chcesz tego, to po starem prawie
 Byłoby to pozyskać za gościnnym progiem
 Obronę przeciw wszystkim, kto bądź byłby wrogiem.
 Książę, nie chcę wybiegiem krępować twej woli,
 Wszedłem z kłamstwem na ustach i kłamstwo mnie boli;
 Ja nie jestem pielgrzymem, co się boju lęka,
 Nie do różańca, książę, nawykła ta ręka:
 Nazywam się Ernani.

Don Ruy Silva: Tyś jest ten bandyta?

Ernani: Czy jestem tem, co głoszą, to się z twarzy czyta.
 Nie, książę, mord, rabunek to nie moje dzieła;
 Jeżeli krew przelewał, wśród bitew płynęła,
 Jeżeli bój rozpoczął, to za słuszną sprawę:
 Honor każe dług płacić, a ja miałem krwawel
 Ojciec mój, że go swobód bolała utrata,
 Powstał i stracił głowę pod toporem kata!...
 Od kolebki sieroctwo było mym udziałem.
 Ledwie mówić zaczynał, przeklinać umiałem;
 Dzień po dniu do krzywd dawnych przydawał mi świeże,
 Tropiono mnie od dziecka jak drapieżne zwierzę;
 Wzięto mi moje miano, hańbą mnie okryto:
 Więc zostałem tułaczem, zostałem bandytą...
 Ale nie podła żądza to serce paliła,
 Chciałem zemsty — walczyłem — zawiodła mnie siła!
 Nie pielgrzym, lecz Ernani dziś przed tobą staje,
 Jemu czy dasz przytułek?

Don Ruy Silva: Nieszczęściu go daję.

Ernani: Czekał, książę, Ernani nie zwykł brać za słowo,
 Ja nie chcę tej opieki, choć mam grom nad głową,
 Pierw ci powiedzieć muszę, że ten wróg w koronie
 Świadom mej nienawiści i że równą plonie,
 Że odda temu krocie, kto brańca przywiedzie,
 Że pogoń jest wokoło, może z nim na przedzie;
 Pomyśl, na co się twoja naraża opieka.
 Pomyśl, zanim przyrzekniesz...

Don Ruy Silva: Silva raz przyrzeka.

(słychać odgłos trąb)

To odgłos trąb królewskich!

(idzie do jednego z portretów, naciska sprężynę — ukazuje się głęboka kryjówka w ścianie)

Ukryj się w tej ścianie,
 A póki Silva Silva nic ci się nie stanie!

Scena V

Don Ruy Silva — Ernani.

Don Ruy Silva: Odjechał ja na starość zostałem sierotą!

(idzie do portretu, naciska sprężynę, Ernani wychodzi)

Ernani: Co znaczyła ta wrzawa?

Don Ruy Silva: Nie pytaj mnie o to,

Dość, że jesteś bezpieczny.

Ernani: *(kilka chwil milczy, potem się zbliża do księcia)*

Lecz nim się oddałem,

Pozwól, niech i ja, książę, coś włożę na szalę.

Tyś mi ocalił życie — miej szlachetność całą,

Nie odpychaj wdzięczności, na jaką mnie stało.

(odpinając róg od płaszcza)

Weź ten róg — jeśli kiedy znajdziesz się w potrzebie,

Uderz nim w moich górach, a stanę przed ciebie;

Choćbym miał w rękę zemstę za krzywdy doznane,

Choćby niebo przed sobą, uderz nim, a stanę.

Żądam mego życia, a będzie gotowe:

Przysięgam ci na honor i na ojca głowę!

Akt IV. Scena VI

Donna Sola: Co znaczy ten tłum zbrojny? te światła? drzę cała...

Ernani, ty to jesteś?

Don Karlos *(do siebie)*: A mnie nie widziała.

Ernani: Pani!

Donna Sola *(dobywając sztylet)*: Patrz, mam obrońcę.

Ernani: O, moja jedyna!

Don Karlos: Ciszej! Sprawiedliwości wybiła godzina:

Winiem przykład światu, i świat się przekona,

Żem niedarmo w monarsze przybrany znamiona.

Coście robili tutaj?

Ernani: Najjaśniejszy Panie!

Przypowieść Baltazara ryło tu na ścianie;

Lecz los zawistny nie dał spełnić jej osnowy:

Masz cesarską purpurę, masz z nią nasze głowy...

Don Karlos: Haro, Lara, wy razem z temi bandydami?

Hola! samych przedniejszych niechaj straż wybierze;

Motłoch do turm.

Donna Sola *(widząc, że Ernaniego nie wzięto)*: Ocalali!Ernani *(występując naprzód)*: I ja tam należę!

Tailem moje miano! lecz kiedy Ernani

Ma się rzec chluby przodków, zamiast umrzeć dla niej;

Kiedy od śmierci nicość tylko zabezpiecza:

Dowiedz się, Don Karlosie, żem wart twego miecza.

Bóg, co rozdaje berła, co trony odbiera,

Zrobił mnie hrabią Munru, Gor i Albatery,

Grandem, księciem Kardony, studzierzawnym panem,

Godność mistrzów z pradziada była mojem mianem;

A z ojca, co dał głowę za wyrokiem tronu,

Jam tułacz od kolebki i wróg twój do zgonu!

Chciałem spłacić rachunek, co się krwią zaczynał:

Ty, królu, miecz dzierżyłeś, ja wziąłem pugiinał!

Ale kiedy los nasze niweczy zamiary,

Gdy już niema na ziemi dla ciemieżców kary;
Ginąc, nakryjmy głowy!

(do króla)

Niech miecz twego kata,
Jak na grandów przystało, głowy nasze zmiata!
Don Żuan Aragoński wart ginąć w ich gronie!
Don Karlos: Coś naksztalt starych legend: świat nie dba już o nie.
Ernani: Nie dziw, że ten, kto skrzywdzon, lepiej ją pamięta.
Don Karlos: A więc niechże się kończy, jak była zaczęta.
Strażyl!

Donna Sola: Królu, straszego nie wymawiaj słowa,
On ma serce szlachetne — to mego połowa,
To jest korona moja: walczę w jej obronie,
Jak ty walczyłbyś za tę, co masz wdziac na skronie.
Rozpacz wyjść nie powinna za te święte progi,
Królu, liłości błagam, ściskam twoje nogi,
Tylem lez już wylatał! niechaj póty płyną...

Don Karlos: (łagodnie, po chwili walki wewnętrznej)
Niechaj nie płyną więcej! Podnieś się, hrabino
Na Gor, na Albaterra, księżno na Kardonie.

(do Ernaniego)

Jak dalej, Don Żuanie?

Ernani: Przebóg! gdzieś w snach gonie?

Są to królewskie słowa?

Don Karlos: Nie, słowa cesarza.

(do Donny Soli)

To okup za lzy twoje.

(do Ernaniego)

Wiedź ją do ołtarzal...

Akt V. Scena V

Ernani, Don Ruy Silva.

Don Ruy Silva: «Choćbym miał w ręku zemstę za krzywdy doznane,
Choćby niebo przed sobą, uderz nim, a stanę;
Zażądaj mego życia, a będzie gotowe:
Przysięgam ci na honor i na ojca głowę».
Przynoszę słowa twoje i chcę czynu za nie,
Czy długi Ernaniego płacisz, Don Żuanie?

Ernani: Trzeba ci mego życia?

Don Ruy Silva: W tej chwili wybieraj!

Oto stal i trucizna — wybierz i umieraj.

Ernani: Żegnaj cię, ukochana!

Don Ruy Silva (z szacunkiem): Daj mi rękę, książę.

Ernani: Och, zaczekaj do jutra, jutro się wywiąże,
Jutro umrę dla ciebie — jeśli wierzysz w duszę,
Jeśli chcesz, by Bóg kiedyś przebaczył twej skrusze;
Jeśli jedna liłości iskra ci została,

To zaczekaj do jutra — to jest prośba cała.

Don Ruy Silva: Książę, wiesz dobrze o tem, że żądasz nad siły,
Dziś dzwony twego ślubu na śmierć ci dzwoniły;
Jabym tej nocy mojej nie przeżył rozpaczyl!
Bierz sztylet lub truciznę!

(Ernani wyciąga rękę po czarę)

Scena VI

Ernani, Don Ruy Silva, Donna Sola.

- Donna Sola: Stójcie, co to znaczy?
Poco była ta zbrodnia? powiedz w imię nieba?
- Ernani: *(wskazując na Silwę)*
Przysiągłem mu, że umrę, jak powie, że trzeba,
I Aragon żyć dłużej nie może bez plamy.
- Donna Sola: Tyś żyć powinien dla mnie! przeszłości nie znamy;
Co przyrzekałeś wczoraj, to zniknęło do dnia,
Oprócz naszej miłości, wszystko szat i zbrodnia!
(do Silwy)
Niech zmartwieje ta ręka, co po mój skarb sięga!
Czy słyszysz mnie, Ruy Silvo?
- Don Ruy Silva: Święta jest przysięga!
- Donna Sola: Miłość jest nad nią świętsza — precz od nas, szatanie!
Ty nie znasz Donny Soli, pierw było udanie,
Byłam cicha, łagodna przez wzgląd na twe lata,
Ale nie wierz tym cnotom — ja jestem Hekata!
(chwytając za sztylet)
Patrzaj na moje oczy, jak się ogniem palą,
Nie bierz mi mego szczęścia — lub drżij przed tą stalą;
Choćbyś był moim ojcem, ty starcze szalony,
Przestałabym być córką dla jego obrony.
(upuszcza sztylet)
Ale nie, przebacz, Silvo, ja tobie nie grożę,
Jestem wążką kobietą we łzach i pokorze,
Ja umiem tylko kochać i paść na kolana,
I błagać cię, mój stryju, nie bierz mi Żuana:
Wszak widzisz, jak go kocham.
- Don Ruy Silva: Kochasz go za wiele.
- Ernani: Dość, księżno Aragonu.
(łagodnie)
Dosyć, mój aniele!
- Donna Sola: Jeśli cenisz mój honor, podaj mi tą czarę.
(po chwili rozpaczliwego wahania bierze czarę)
Chcesz tego, a więc idźmy i do grobu w parę!
(pije — podając czarę Ernaniemu)
Została ci połowa: znam powinność żony...

Tłum. Ignacy Barankiewicz.

NĘDZNICY

Część V. Księga VII

Siódmy krąg piekieł i ósme niebo.

Dnie następujące po weselu zwykle są samotne. Szanujemy skupienie ducha szczęśliwych, a także trochę ich sen opóźniony. Wrzawa odwiedzin i powinszowań rozpoczyna się dopiero później. Dnia 17 lutego z rana Baskijczyk z serwetą i miotką pod pachą zajmował się porządkowaniem pokoju, gdy ktoś zlekka zapukał do drzwi. Nie dzwoniło, przez wzgląd na ten dzień. Baskijczyk otworzył i zobaczył pana Fauchelevant. Wprowadził go do salonu, w którym jeszcze pozostał nieład wczorajszy, jak na pobojowisku wesela.

— Do licha, proszę pana, dziś obudziliśmy się późno.

- Czy pan wstał? — zapytał Jan Valjean.
 — Jak się ma ręka pańska? — odpowiedział Baskijczyk.
 — Lepiej. Czy pan wstał?
 — Który? Dawny, czy nowy?
 — Pan Pontmercy.
 — Pan baron? — rzekł Baskijczyk, prostując się.

Baronowie są szczególnie stworzeni dla swoich sług, którzy z tego ciągną zyski, mają bowiem to, co filozofowie nazywają ochlapaniem od tytułu, i to im pochlebia. Mówiąc mimochodem, Marjusz, jakkolwiek republikanin i to w czynie, bo dowiódł tego tytułu: p. Gillenormand przywiązywał teraz do niego pewną wagę, a Marjusz go nie lubił. Ale pułkownik Pontmercy napisał: «Mój syn nosić będzie mój tytuł». Marjusz był posłuszny. A przytem Cozetta, w której odzywała się kobieta, zachwycona była tytułem baronowej.

— Pan baron? — powtórzył Baskijczyk. — Pójdę, zobaczę. Powiem mu, że pan Fauchelevant czeka.

— Nie. Nie mówcie mu, że to ja. Powiedzcie, że ktoś chce się z nim rozmówić na osobności i nie wymieniajcie nazwiska.

— A! — rzekł Baskijczyk.

— Chcę mu zrobić niespodziankę.

— A! — powtórzył Baskijczyk, tłumacząc tem sobie pierwszy wykrzyknik.

I wyszedł.

Jan Valjean pozostał sam.

W salonie wszystko było w nieładzie. Wyteżywszy słuch, możnaby jeszcze doślysząć niknące echa wrzawy weselnej. Na posadzce leżały kwiaty z wieńców i stroików. Wypalone i stopione świece zostawiły na kryształach pająka stalaktyty woskowe. Żaden sprzęt nie stał na swoim miejscu. Kilka krzeseł, ustawionych wkoło, zdawały się ciągnąć dalej gawędkę. Ogólny obraz był powabny. Skończona uczta jeszcze pewien wdzięk pozostawia po sobie. Wszyscy tu byli szczęśliwi. Na tych krzesłach, stojących w nieładzie, wśród tych kwiatów wędnących, pod tem światłem zagaslem, myślano o radości. Słońce, zastępując światło pająka, wesoło zaglądało do salonu.

Uplęnęło kilka minut. Jan Valjean stał nieruchomy w miejscu, w którym go Baskijczyk opuścił. Był bardzo blady. Zapadłe od bezsenności oczy prawie znikły zupełnie. Czarne ubranie, pomięte, miało zmarszczki odzieży, w której się noc przepędziło. Na łokciach biały meszek, pozostały od tarcia sukna o bieliznę. Jan Valjean patrzył na okno, które słońce u stóp jego rysowało na posadzce.

Zrobił się szmer u drzwi, podniósł oczy.

Marjusz wszedł z podniesioną głową, uśmiechem na ustach, z jakimś światłem na twarzy, z pogodnem czołem i triumfującym spojrzeniem. On także nie spał.

— A, to ojciec! — zawołał, zobaczywszy Jana Valjean; — ten niedołęga Baskijczyk miał taką tajemniczą minę! A! przychodzi ojciec za wcześnie. Dopiero wpół do pierwszej. Cozetta śpi.

Ten wyraz: ojciec, powiedziany panu Fauchelevant przez Marjusza, znaczył: szczęście niewysłowione. Wiadomo, że między nimi był zawsze jakiś chłód i przymus; lód, który należało złamać lub stopić. Marjusz był tak upojony szczęściem, że przewyciężył przymus, stopił lód i, jak Cozetta, uważał pana Fauchelevant za ojca.

I mówił dalej z wylaniem, właściwem boskim paroksyzmem radości.

— Jakżem rad widzieć ojca! Tak nam cię wczoraj brakowało! Dzieńdobry, ojciec! Jakże ręka? Lepiej, nieprawdaż?

I zadowolony z własnej dobrej odpowiedzi mówił dalej:

— Mówiliśmy o ojcu oboje. Cozetta tak ojca kocha! Niech ojciec nie zapomina, że tu mamy pokój dla niego. Nie chcemy wiedzieć o ulicy Człowieka Zbrojnego. Wcale nam niepotrzebna. Jak można mieszkać na takiej ulicy, chorowitej, nędznej, brzydkiej, z barjerą po jednej stronie, zimnej, wąskiej, gdzie nawet wejść nie można? Ojciec zamieszka z nami. I to od dzisiaj. Inaczej będzie miał ojciec do czynienia z Cozettą. Uprzedzam, że Cozetta postanowiła wodzić nas za nos obydwóch. Czy wi-

dział ojciec swój pokój, jest tuż przy naszym, okna wychodzą na ogród; uporządkowano w nim wszystko, łóżko jest gotowe, tylko czeka na ojca. Cozetta przystawiła do łóżka stare krzesło z poręczami, obite aksamitem, i powiedziała do niego: pamiętaj wyciągnąć ku niemu ramiona. Na wiosnę siada słowik na akacjach nawprost okien. Usłyszy go ojciec za dwa miesiące. Jego gniazdo będzie na lewo, a nasze na prawo pokoju ojca. On będzie śpiewał w nocy, a we dnie będzie gwarzyć Cozetta. Pokój ojca jest od południa. Cozetta uporządkuje książki, podróże Cooka, Vancouvera i inne drobiazgi. Podobno ojciec przywiązuje wielką wagę do jakiegoś kufierka, wyznaczyłem już dla niego miejsce zaszczytne. Podbiłeś ojciec mojego dziadka, podobaleś mu się bardzo. Będziemy mieszkali razem. A czy umie ojciec grać w wista? Dziadek byłby zachwycony. Gdy będę na sądach, ojciec poprowadzi Cozettę na spacer, poda jej rękę i pójdziecie do Luksemburga, jak niegdyś. Postanowiliśmy być najzupełniej szczęśliwi. A i ojciec będzie szczęśliwy naszym szczęściem, nieprawdaż? Cóż, śniadanie będziemy razem jedli?

— Panie — odpowiedział Jan Valjean — mam coś panu powiedzieć. Jestem dawny galernik.

Zdarzają się dźwięki, których, jakkolwiek są ostre, donośne i zbliżone wyrzeczone, ani zrozumieć, ani dosłyszeć niepodobna. Te wyrazy p. Fauchelevent: «Jestem dawny galernik», doszły do uszu Marjusza, ale ich nie usłyszał. Zdawało mu się tylko, że coś mu powiedziano, ale nie wiedział co. Otworzył usta i słuchał.

Wówczas dopiero spostrzegł, że człowiek, który stał przed nim, był straszny. Olsniony szczęściem, nie zauważył dotychczas jego okropnej bladeści.

Jan Valjean odwiązał chustkę, na której wisiała prawa ręka, odwinął płótno i pokazał obnażoną rękę Marjuszowi.

— Nie boli mię bynajmniej — rzekł.

Marjusz spojrział na rękę.

— Nigdy mię nie bolała — powtórzył Jan Valjean.

W istocie nie było żadnego śladu rany.

Jan Valjean mówił dalej:

— Wypadło, żebym nie był obecny na waszym ślubie. Starłem się też, ile było można, być na nim jak najmniej obecnym. Zmyśliłem ranę, aby nie podpisać się na kontrakcie ślubnym, który inaczej byłby nieważny.

Marjusz wybąkał:

— Co to ma znaczyć?

— To ma znaczyć — odpowiedział Jan Valjean — że byłem na galerach.

— Przywodziś mię pan do szaleństwa — zawołał Marjusz przestraszony.

— Panie Pontmercy — rzekł Jan Valjean — byłem dziewiętnaście lat na galerach. Za kradzież. Potem skazany zostałem na całe życie. Za kradzież. Za recydywę. Teraz jestem zbiegiem z więzienia.

Napróżno Marjusz chciał cofnąć się przed rzeczywistością i oprzeć się rzeczy najoczywistszej: musiał się poddać. Zaczynał pojmować i, jak zwykle było w takich razach, rozumiał zanadto. Zadrżał, przenikniony ohydny światłem wewnętrznym. Jakaś myśl powstała mu w głowie i sprawiała dreszcze. Przewidywał straszną dla siebie przyszłość.

— Mów pan wszystko, powiedz wszystko! — zawołał. — Jesteś pan ojcem Cozetty?

I cofnął się dwa kroki z niewymownym poruszeniem zgrozy.

Jan Valjean podniósł głowę z taką godnością majestatyczną, że zdawał się urosć do sufitu.

— Potrzeba, żebyś mi pan wierzył — rzekł — chociaż przysięgi ludzi takich, jak ja, nie mają znaczenia w sądach...

Umilkł na chwilę; potem z wszechwładną i grobową powagą dodał, mówiąc powolnie i naciskając na każdą sylabę:

— Będiesz mi pan wierzył. Ja ojcem Cozetty! W obliczu Boga, nie. Panie baronie Pontmercy, jestem chłopem z Faverolles. Pracowałem na życie oczyszczaniem drzewa. Nazywam się nie Fauchelevent, lecz Jan Valjean. Nie jestem żadnym krewnym Cozetty, bądź pan spokojny.

Marjusz wybełkotał:

— Kto mi dowiedzie?

— Ja. Kiedy mówię, trzeba wierzyć.

Marjusz spojrział na tego człowieka. Miał postać grobową i spokojną. Żadne kłamstwo nie mogło wyjść z tego spokoju. Co jest lodowate, jest szczere. Czuć było prawdę w tym chłodzie grobu.

— Wierzę panu — rzekł Marjusz.

Jan Valjean skłonił głowę, jakby na znak, że go trzyma za słowo, i mówił dalej:

— Czem jestem względem Cozetty? Prostym przechodniem. Przed dziesięciu laty nie wiedziałem nawet, że ona żyje na świecie. Kocham ją, to prawda. Gdy się widzi drobne dziecię, sam będąc już starym, kocha się je mimowolnie. Staremu się zdaje, że jest dziadkiem wszystkich małych dzieci. Zdaje mi się, że pan możesz przypuścić, iż mam coś podobnego do serca. Była sierotą, bez ojca i matki. Potrzebowała mię. I dlatego ją pokochałem. Dzieciny są tak słabe, że pierwszy lepszy, nawet taki jak ja, człowiek może być ich opiekunem. Spełniłem ten obowiązek względem Cozetty. Nie myślę nawet, by taka bagatela nazywała się dobrym uczynkiem; ale jeśli to jest dobry uczynek, więc przypuść pan, że go spełniłem. Zanutuj tę okoliczność łagodzącą. Dziś Cozetta opuszcza moje życie; dwie nasze drogi się rozchodzą. Odtąd nie mogę nic dla niej uczynić. Jest panią Pontmercy. Jej opatrność się zmieniła. I Cozetta zyskuje na zmianie. Wszystko się dobrze układa. Co do sześciuset tysięcy franków, nie mówisz mi pan o tem, ale wyprzedzam myśl pańską; jest to depozyt. Jakim sposobem dostał się w moje ręce? Co to obchodzi pana? Oddaję depozyt. O nic więcej nie potrzebujecie mię pytać. Uzupełniam restytucję, wymieniając moje prawdziwe nazwisko. To także mię dotyczy. Wiele mi na tem zależy, byś pan wiedział, kto jestem.

I Jan Valjean spojrział w oczy Marjuszowi.

Marjusz doświadczał jakichś mętnych, niezgodnych z sobą wrażeń. Pewne wichry losu napędzają takie bałwany do naszej duszy.

Każdy z nas doświadczał tej zawieruchy wewnętrznej, rozprasającej w nas wszystko; mówimy słowa bez związku, od rzeczy, i co innego, niżbyśmy chcieli powiedzieć. Bywają nagle objaśnienia nieznośne, które odurzają, jak zgubne wino. Marjusz osłupiał wobec nowego położenia i niezdolny był przemówić do tego człowieka, prawie gniewając się nań za wyznanie.

— Ale nakoniec, poco mi pan to mówisz? Co do tego cię zmusza? Mógłbyś pan schować dla siebie tę tajemnicę. Nie denuncjowano pana; nie śledzą ani ścigają. Masz pan jakiś powód, że chętnie czynisz takie odkrycia. Dokończ pan. Coś jest w tem. Z jakiego powodu czynisz pan to wyznanie? Jaka pobudka?

— Jaka pobudka? — odpowiedział Jan Valjean głosem tak niskim i głuchym, jakby raczej z sobą, a nie z Marjuszem rozmawiał. — W istocie z jakiej pobudki ten galernik mówi — jestem galernikiem? Otóż powiem: pobudka jest dziwna. Jest nią uczciwość...

Z «LEGENDY WIEKÓW»: SEN BOOZA

Legł Booz na spoczynek w ciężkim znoju czoła;
Dzień cały pracowicie spędził na swym łanie,
Później na zwykłym miejscu uczynił posłanie
I spał, brogami zboża otoczony wkóło.

Starzec ten miał dostatkami żyta i pszenicy,
Ale, choć bogacz, cnotę miłował jedynie;
Nie było błota w wodzie u niego przy młynie,
Nie było piekła w ogniu u niego w kuźnicy.

Włos brody srebrną strugą na piersi mu spływał;
Sno pa swego nie skąpił zawistnie i chciwie;
Gdy ujrzał pokłośnicę ubogą na niwie:
«Rzucajcie kłos umyślniel» — sługom nakazywał.

Mąż ten prawy szedł zdala od ścieżki pochyłej,
Cnotą swoją, jak szatą śnieżystą, okryty;
A zawsze w stronę biednych lejąc zdroj obfity,
Brogi jego, jak studnie okoliczne były.

Gospodarny, oszczędny, a jednak był hojny,
Dobry dla swej czeladzi, o los krewnych dbały:
Chętniej nań, niż na młodzież, niewiasty patrzyły,
Bo młodzian tylko piękny, lecz starzec dostojny.

Starzec, który ku źródłu pierwotnemu kroczy,
Wita byt wiecznotrwały, a żegna dni zmienne;
I w oku jego światło jaśnieje promienne,
Gdy młodzież ma li ogniem gorejące oczy.

*

Uśpiły więc Booza słodkie, nocne wczasy;
Przy brogach, jak zwaliska sterczących lub skały,
Wkoło śpiących żniwiarzy gromadki szarzały.
A działo się to w dawne, bardzo dawne czasy.

Lud izraelski wówczas wiodła sędziów ręka;
Ziemia, gdzie, koczownicze tworząc gromady,
Człowiek z trwogą spoglądał na olbrzymów ślady,
Z potopu była jeszcze wilgotna i miękka.

*

Booz tedy w namiocie legł, zamknawszy oczy,
I zasnął, jak spał Jakób, jak Judyta wdowa;
Aż oto, niebios bramy otwarłszy, Jehowa
Na siwą głowę starca spuścił sen proroczy.

Sen był taki, że niby Boozowi z lona
Dąb wyrasta, aż w niebios wysokie sklepienia:
Po nim długim łańcuchem idą pokolenia,
Król śpiewa u podnóża, u szczytu Bóg kona.

I szeptał głosem duszy Booz zadziwiony:
— «Jakto? Być-że to może? Ze mnie to się zrodzi?
Ósmy dziesiątek liczba lat moich przechodzi,
A Bóg mi nie dał synów i nie mam już żony.

«Dawno już ta, co ze mną dzieliła me łoże,
Rzuciła me domostwo dla twego sklepienia,
I związaniśmy dotąd węzłem zespolenia,
Ona napoty żywa, ja półmartwy, Boże!

«Nowe plemię mam wydać? Wierzyłoby się miało?
I jakże to być może, abym spłodził dziecię?
Gdy się jest młodym, ranek triumfalnie świeci
I dzień wychodzi z nocy ze zwycięzcy chwałą;

«Lecz starzec, jako w zimie brzoza, stoi drżący;
Na me życie samotne, wdowie, zmierzch już pada,
Dusza moja do grobu już chyli się rada,
Jak chyli się ku wodzie w znoju wół pragnący».

Tak mówił Booz, zdjęty sennemi zachwyty,
 Oczy we śnie tonące zwracając ku Panu;
 U stóp swoich nie czuje róży cedr Libanu,
 On nie czuł do stóp jego przypadłej kobiety.

Bo gdy spoczywał we śnie, Rut, Moabitanka,
 Legła u nóg Booza, z piersią obnażoną,
 Czekaając, rychło jakieś nieznanne zapłoną
 Promienie w przebudzeniu się nagle poranka.

Lecz Booz o niewieście nic nie wiedział wcale.
 Nie wiedziała Rut, czego sam Bóg żądał po niej.
 Powietrze było pełne słodkich kwiatów woni,
 I rzeźwy oddech nocy owiewał Galgale.

A cienie uroczyste, weselnie godowe,
 Drżały pewnie aniołów niewidzialnych lotem,
 Bo raz wraz popod ciemnym niebiosów namiotem
 Coś migalo, jakgdyby skrzydło lazuruowe.

A z oddechem śpiącego Booza mieszały
 Szmer głuchy między mchami szeleszczące zdroje.
 Natura miała wówczas wszystkie czary swoje,
 Wzgórza stały przybrane w wieniec lilij biały.

Booz spał, Rut marzyła. W czarnych traw spokoju
 Zcicha brzmiały grzechotki pasającej się trzody;
 Z nieba spływała dobroć bezbrzeżnej osłody;
 Godzina, gdy lwy idą łagodnie do poju.

Wszystko w Ur, w Jerymadet leżało w śnie; w niebie
 Gwiazdy błyszcząły, na tle ciemnym i głębokiem;
 Nów wąski wśród tych kwiatów, hodowanych mrokiem,
 Połykał na zachodzie. Rut pytała siebie.

Nieruchoma, przez rzęsy patrząc z pod zasłony:
 Jaki Bóg, jaki żniwiarz wiecznotrwałych plonów,
 Porzucił tak niedbale, schodząc z swych zagonów,
 Na ściernisku gwiazdzistem ten swój sierp złożony.

Tłum. Adam Plug.

ALPHONSE DE LAMARTINE

(1790—1869)

JOCELYN

Jocelyn rzeka się majątku, aby zapewnić swej ukochanej siostrze większy posag. Sam zaś poświęca się stanowi kapłańskiemu. Przed ostatnimi święczeniami rewolucja zmusza go do opuszczenia seminarjum i schronienia się w górach, gdzie w grocie żyje zdala od świata. Traf zrządził, że do tej samej grotki przybywa młodzieńca Laurencjusza, którym, po zamordowaniu ojca, opiekuje się Jocelyn. Wkrótce, gdy okazało się, że młody Laurencjusz jest przebraną dziewczyną, dwoje młodych łączy gorąca miłość. Jednak konający biskup z Grenobli wzywa Jocelyna i każe mu przyjąć święcenia kapłańskie. Z bólem wyrzeka się Jocelyn Laury i pełni obowiązki księdza w małej wiosce górskiej. Laura tymczasem prowadzi dość burzliwe życie w Paryżu. Po niej jakim czasie Jocelyn zostaje wezwany do konającej podróżniczki, w której poznaje Laurę. Spowiedź odkrywa mu prawdę, iż Laura kochała tylko jego, a w uciechach światowych szukała zapomnienia. Umarła Laurę chowa Jocelyn w grocie, w której po wielu latach zostaje też pochowany.

Dziennik, pisaný wierszem, dzieli się na prolog, 9 epok, epilog, nowy epilog.

Z epoki III-ciej

Dziecię!... już tak nie mogę nazwać Laurencjusza!
 Lat szesnaście — to młodość — rozkwita w nim dusza,
 I skroń prawie narówni z mojem czołem dźwiga,
 I w biegu moja stopa ledwo go dościga;
 Tylko głos tkliwy, srebrny, anielskimi tony
 Zachował dźwięki mowy dziecinnej, pieszczonej,
 I nieraz jego drżące, harmonijne brzmienie,
 Śród marzeń, głosu siostry wyzwie mi wspomnienie.
 Wówczas na chwilę serce, tym dźwiękiem trącone,
 Wymyka się i leci w te czasy minione,
 Gdy, bywało, przed laty tkliwy głos niewieści,
 Głos siostry albo matki ucho moje pieści,
 Głos, co czarem ożywiał ognisko domowe
 I uroczą muzyką kolysał mi głowę.
 Marzę — z nieobecny mi myśl stęskniona gwarzy;
 Płaczę, Laurencjusz wbiega i z troską na twarzy
 Siada mi na kolana i w milczeniu patrzy,
 I pyła, o czem myślę, skąd łzy, czemu bladszy?
 Mówię o mem dzieciństwie, on mnie ze łzą słucha:
 «Jak oni cię kochali!» — a potem wybucha —
 «I ja cię również kocham; czylim ci nie bratem?
 «Tyś mi zastąpił ojca nawet, tyś mym światem».
 Potem na jednym głazie obaj wsparci czołem,
 Siedząc naprzeciw siebie, długo płaczą społem.

Lecz gdy mnie z rozmarzenia zbudzi głos uroczy,
 Kiedy podniosę głowę, by z łez otrzeć oczy,
 Kiedy rozpogodzony, z rozkoszą łajemną
 Widzę tę twarz przesliczną, jeszcze w łzach przede mną,
 Jak się również podnosi, rozjaśnia, rozświeca,
 Niby żywe zwierciadło mych oczu i lica,
 Jak cień żywy, co moje uczucie i myśli
 Swemi zmysły i sercem odbija najściślej;
 Gdy wspomnę, iż rodzinę i kąt, gdzie się rodził,
 Bóg mi laskawy w jednej istocie nagroził,
 Że we mnie ma sierota jedyną podpórę,
 Że on istnieje dla mnie, jak dlań pierś ma gore,
 Że dłoń ma jego dłonią, mojem — jego życie,
 Że Bóg sam przyjaźń naszą zasnuł w swym błękiecie,
 O, wówczas łzy przestają oczy moje rosić
 I w tem jednym uczuciu widzę szczęścia dosyć!

... Te myśli (zawsze o nim coś mię myśleć zmusza)
 Przyszły mi raz, gdym patrzył w lica Laurencjusza.
 Nigdy może na skroni Bóg piętnastoletniej
 Nie wyrył duszy ludzkiej powabniej i świetniej
 Tyle piękna, iż oko w zwątpieniu nie zdola
 Rozróżnić, czy ogląda dziecię czy anioła;
 Ile czystości w duszy u świtania bramy,
 Ile przezroczystości w źrenicy bez plamy,
 Ile szalu w rozkwicie życia najwspanialszym,
 Ile rzewnej tkliwości w sercu już dojrzałem!
 Czy na rysach powaga, czy uśmiech pogody,
 Wszystko zlewa się w całość doskonałej zgody,

I według tych promieni, jakie myśl rozświeca,
 Mknie po nich pomrok cienia albo błyskawica,
 Błyszczy wspaniale w oczach, jak słońca smug złoty,
 Barwi się na policzkach rumieńcem szczeroty,
 Toczy się po powiece przezroczystą łezką,
 Przeptywa w oku dumką zbląkaną niebieską,
 Wyżłabia ponad brwiami fałdy zamyślenia
 I skupia się, i kryje wśród brwi gęstych cienia,
 Nieokreślnem pragnieniem drży na wardze świeżej
 Albo w tęsknym uśmiechu na usta wybieży.
 Gdziekolwiek młodzian przeszedł — rzekłbyś przeszło słońce,
 Jakby siał z wnętrza swego światło palające.

E p o k a IV

Duszę moją rozdarła gromu błyskawica!
 To dziecię, ten Laurencjusz, ten druh — to dziewczica...
 Ta ślepa przyjaźń nasza — to miłości szalały!
 O, skryjcie wstyd przed słońcem, wy, cieniste skały!...

*

...Pomieszanem spojrzeniem powiodła dokoła;
 Aż przemówiła mową tkliwą i przycichłą:
 «To prawda — ty wiesz wszystko!... O, gdy śmierć mię wola,
 Przebacz mi, Jocelynie, i niech skonam rychło,
 Jam cię zwiodła; to ojciec tak kazał w chorobie;
 Wymógł przysięgę, jam ją musiała szanować.
 On w godzinie konania kazał tajnie chować
 I nikomu nie odkryć płci mej, nawet tobie.
 Czy przypuszczał, że pod tej odzieży opieką
 Życie jego dziecięcia pewniejsze daleko,
 Czy inną przezornością rządził się w tym względzie?
 Jam go musiała słuchać, jak ślepe narzędzie.
 Ileż mię kosztowało skrywać się od ciebie!
 Ach, raczej winnam była pomnieć o zniewadze
 Twej wiary — i że uczuć i myśli w nas władze
 Złączone, nierozdzielne na ziemi i w niebie.
 Manże ci wszystko wyznać? Często już myślała
 Przemówić — w duszy miałam to postanowienie;
 Zaczynałam, lecz w chwili, gdym się zdradzić miała,
 Jakaś dłoń wstrzymywała ust moich zwierzenie.
 Nazbyt długom czekała, więc straciłam śmiałość;
 Rumieniec wstydu zaćmił czoła mego białość;
 Znałam też dzieje twojej młodości pobożnej
 I następstw się ufności bałam nieostrożnej.
 Lękałam się spojrzenia, jakiebyś mi rzucił,
 Dźwięku głosu, słów zimnych, jakiebyś powiedział.
 To słowo — wszak to dla mnie wieczny z życiem przedział!
 Zmarłabym u nóg twoich, gdybyś mię odrzucił!
 Mogłażem mieć odwagę do przedwczesnych zwierzeń?
 Stokroć więcej niż życie składając na szali,
 Wolałam czekać mojej godziny uderzeń,
 Losów, co mię ku tobie przywiodły z oddali;
 Żyć dziś, przyszłość do dalszej odkładając mety,
 W Bogu, w czasie, w mej doli położyć nadzieję —
 Dzień ten nieszczęsny nadszedł zbyt wcześnie, niestety!

Lecz jeśli się twe serce, jeśli dłoń zachwieje,
 Ja się o tem nie dowiem w mem cichem ukryciu...
 Szukałam burzy, skonu pod twojemi stopy!
 Ochotnie na śmierć twemi rzuciłam się tropy;
 Otchłań mię tylko bierze — tyś został przy życiu.
 Wiesz wszystko; lecz zmarłej zdołasz-że przebaczyć?»

O! Aniołowie Pańscy! macież dosyć cnoty,
 By bez żadnej litości na siebie nie baczyć?
 Zabić się, rozdzierając pierś drogiej istoty?
 Jam śmiertelnik, jam nędzny zlepek krwi i kości,
 Padłbym, gdybym w jej łono utopił stał ostrą,
 I, odtrącając dary ofiarnej miłości,
 Rozdarł dwie dusze. Rzekłem: «Przebaczam ci, siostrze,
 Dziecię moje, sieroto; święcę usta memi
 Miłość twą dla mnie i tę, którą cię obdarzam.
 Wszelkiem imieniem świętem, jakie jest na ziemi,
 Nazywam cię... i kocham, nowe dla cię stwarzam;
 Żyj, by wszystkie posłyszec i powtórzyć wzajem!
 Niech nas sam Bóg oświeca, twórca naszych losów,
 I w puszczy, gdzie nas zamknął, zrobiwszy ją rajem,
 Żyjmy, jak czyste duchy w obliczu niebiosów.
 Uczucie zdajmy Bogu, on rozstrzygnie snadnie,
 Miłością czy przyjaźnią nazwać je wypadnie!»

Epoka V

Czy to ja? Gdzie ja jestem? Boże, bądź obroną!
 Niech skrzydła Twych aniołów będą jej osłoną!
 Porzuciłem Laurencję wśród skał — bez powrotu!
 Czyż rozbite me serce wolne od zarzutu?

Lecz, Boże mój! Czyż mogłem odepchnąć błagania
 Starca, wołającego w godzinę konania?
 Zgiuchnąć na głos pasterza, oprzeć się wyrokom
 Tego, co przewodniczył mym dziecięcym krokom,
 W poczet świętych lewitów przyjął mię z ochotą
 I kochał — nie dla zasług, lecz, że był sierotą,
 Ubogim, opuszczonym — i w tym świętym progu
 Był przyjacielem, mistrzem, był mi ojcem w Bogu!

Gdy za całe pałace w ciemny loch zepchnięty,
 Kiedy urząd biskupi, stan kapłański święty,
 Poczytany za zbrodnię, za wyrok posłużył,
 Kiedy gmach rusztowania śmierć bliską mu wróżył,
 Gdy, prawie wychyliwszy kielich swojej męki,
 Szukał druha w pamięci, pragnął bliskiej ręki,
 I moje imię przed nim wskrzesło onej pory,
 Zażądał mej pomocy i błagał podpory,
 Gdy zrządzeniem cudownem, więc Boskiem widocznie,
 Głos męczeński w te góry doleciał niezwłocznie,
 Czyliż mogłem nikczemnie ulęknąć się kaźni
 I pozwolić mu skonać bez głosu przyjaźni?
 Nie, nie, byłbym niewdzięczny, podły, przენiewierca!
 Jakiz szal mógł tę drogę kryć od mego serca?

Laurencjaby mię sama pchnęła ku ofierze.
 O, jaki dziwny obrót nieraz życie bierze!
 Jak prostemi środkami Pan znaczy nam dołę,
 W której my widzimy cuda lub trafu swawolę!

*

Dziś bezsilny, samotny, udałem się w góry,
 Od rana, lecz wprzód siostra biskupa, przy której
 Szedł pasterz — a ja chwiejny, niepewny i drżący
 Piąłem się, jak zwątpiały lub na śmierć idący.
 Przybywszy nad zatokę, której wrzące fale
 Obniżyły się znacznie w trzechdniowym upale,
 Odszukałem dwie sosny, ze sobą spojone
 I z brzegu na brzeg drugi, jak most, przerzucone.
 Znać je ręce pasterzy dźwignęły nad wody,
 Aby pobożną siostrę mogli wieść bez szkody.
 Tylko co przejść musieli, bo głos mię dochodził.
 Wąwozami, po których tyłem razy brodził
 Śród zabaw — jam ich ubiegł, gdy szukali przejścia
 I, nim grootę dostrzegli, stałem już u wejścia.
 O! jakem tam być pragnął! lecz serce mi drżało
 I, kiedym wejść próbował — nagle sił nie stało.
 Więc odgarnąłem ręką bukowe gałązki,
 Drugą zwiśłem na skale, kędy otwór wąski
 Stanowił okno — stamtąd bez tchu, z błędnem okiem,
 Nurtowałem głąb groty spojrzeniem głębokiem!
 Ujrzałem ją i sercem trwałem w uniesieniu!
 Lecz wargi me stłumiły ten okrzyk w milczeniu.
 Była nawpół klęcząca, skurczona, przysiadła,
 Jakgdyby od znużenia do skały przypadła,
 Skroń błądą, zadumaną, jakby przytłoczona
 Ciężarem gorzkiej myśli, schyliła na łono.
 Osłabłe rączki spłotła na kark wiernej łani,
 Która zasypia wsparta o kolana pani,
 Lecz, gdy w bezwładnym splocie drganie się przejawia,
 Zmyślne zwierzę łeb wznosi i ucha nadstawia,
 I tak tkliwem spojrzeniem pogląda zdaleka,
 Jakby wspólnie czekało, kogo ona czeka.
 Włos splełtany w nieładzie splotywał rozpleciony,
 Wzrok pod spuszczoną rzęsą był smutny, przyćmiony.
 Czasem wznosiła oczy, jakgdyby dlatego,
 By dać spłynąć łzom, które nie czuła, jak biega;
 I nierównym oddechem jej łono się wzdyma,
 Lub westchnienie uleci, lub łkań nie powstrzyma...
 I gdy jej ucha z góry doleciał skrzyp kroków,
 Porwała się zbudzona z odrętwienia oków;
 I sztywna, jak umarły z mogiły wskrzeszony,
 Leciała z otwartymi szeroko ramiony:
 «Jocelyn!» — Siostra weszła. — «Boże, więc go niema».
 I osłabła, o skałę wsparła się plecyma,
 I całą trwogę duszy odbiła żrenica,
 Gdy w siostry i pasterzy wpatrzyła się lica.
 «Córko» — rzekła jej siostra — «pójdź, nie patrz strwożona.
 Ja cię jak własne dziecię przytulę do łona.
 Bóg, który ci dał brata, dzisiaj rwie ogniwo,
 Ale na miejsce brata śle ci matkę tkliwą».

Wówczas w niewielu słowach tłumaczę rzecz całą:
 Jakim okropnym ciosem niebo mię złamało,
 Jak śmierć, wyrwawszy śluby, bez rozmysłu zgola
 Pchnęła mnie zbolątego na służby Kościoła,
 I że odtąd me imię i przeszłość miniona
 Powinny się na wieki wygładzić z jej łona...

*

Pójdę, uwiążę ducha w tych dzikich rozlogach,
 Będę krwawił me stopy po najcięższych drogach.
 Pobłogosław mi, Panie; z sercem spopieliałem
 Przez miłość, skaran za to, że nazbyt kochałem.
 Niech tu zgaszę uczucia, aż znowu rozploną
 U ołtarzy, niech święciej goreje mi łono;
 Lecz, by ukochać w Tobie, dla Cię — duszę biedną —
 Wszystkich zamiast jej jednej — we wszystkich — ją jedną!

Tłum. A. M.

ALFRED DE MUSSET

(1810—1857)

BALLADA DO KSIĘŻYCA

To księżyc z poza obłoku
 Dzwonnicę złoci o zmroku
 I lśni,
 Jako ta kropka nad i.

Księżycu, jakież złe duchy
 Kierują w cieniu twe ruchy,
 Że masz
 Tak blade profil i twarz?

Czyś okiem nieba, księżycu?
 Któryż łotr-Cherub na licu
 Twem chce
 Nas lornetować przez mgłę?

A może glob twój się błąka,
 Jak tłusty tułów pająka,
 Jak krąg,
 Nóg pozbawiony i rąk?

Powiedz, nie jesteś ty czasem
 Owym żelaznym kompasem
 Dla dusz,
 Co w piekle smażą się już?

Czy też dziś sobie rachują
 Ci, co po czole swem snują
 Dni ślad,
 Ile ich wieczność ma lat?

Może to robak cię toczy,
 Gdy się twa tarcza tak mroczy
 I gdy
 Wąziutki cofasz się w mgły?

Któż wczoraj wyklął ci oko,
 Gdyś w noc wypłynął głęboką?
 Czy krzew
 Wysadził kolec wśród drzew?

Byłeś tak blade okrutnie,
 Z za szyb widziałem, jak smutnie
 Mkniesz wdał.
 Doprawdy, aż mi cię żal!

Płyn konający, płyn dalej,
 Już cialko Feby w mórz fali,
 Już stąd
 Znikły i włoski jej blond.

Tys niezem innem, jak twarzą,
 Rychło się ślady twe zmażą,
 I w mrok
 Już cię nie ujrzy nasz wzrok.

Zwróć nam łowczynię wspaniałą,
 Z łonem dziewiczem, tę białą,
 Co w świt
 Goni jelenia. Ach, cytl!..

Tam, pod zielone jawory,
 Cwałuje Diana, wśród sfory,
 Jej chart
 Każdy olbrzyma jest wart.

A kozieł prawie bez ducha,
 Wsparł się o gałąź i słucha,
 I drży:
 Ona się zbliża, tuż psy.

Za smacznym kąskiem, jak strzały,
W pola go, w łąki pognały,
 Het, het!
Uczła rozpocznie się wnet!

Ach! Z wód spłoszyło tve lice
Febę, Apolla siostrzycę,
 I rad
Zefirek suszy jej ślad.

Tę Febę, co nocą zmierza
Do ust młodego pasterza;
 I z psot,
Jak ptaszę, muska je wlot.

Księżycu, w naszej pamięci
Iluż kochanków się kręci!
 Ach, to
Wypięknia ciebie za mgłą.

Wieczna młodość cię ślawi,
Kto przejdzie, ten błogosławi,
 Czyś sierp,
Czy świecisz w pełni, bez szczerb.

Kocha cię pastuch ten stary,
Co gdy szczekają ogary
 Wśród błoi,
W twą jasną patrzy się toń.

Kocha cię w morza odmęcie
I sternik, co na okręcie
 Mknie wdał,
Widząc czerwoną błysk fal.

Tobą dzieweczka się cieszy,
Gdy przez leszczyńę tak śpieszy,
 Jak cień,
Nucąc pioszeczkę, by w dzień.

Ocean pieni się, wzdyma
I niby niedźwiedź się zżyma,
 Gdy w mrok
Zatapia w fali swój wzrok.

A chociaż prószy śnieg może,
Czy też wieczorem na dworze
 Wiatr dmie,
Czemuż ja siedzieć tu chcę?

Chcę księżyc widzieć o zmroku,
Gdy nad dzwonnica w obłoku
 Tak lśni,
Jako ta kropka nad i.

Tłum. Bolesław Londyński.

HONORÉ DE BALZAC

(1799—1850)

OJCIEC GORIOT

...Goriot otaczał swe córki przywiązaniem bez granic, miłością jakąś smętną i tkliwą. Wiedziano o tem powszechnie; raz nawet jakiś konkurent Goriota, pragnący oddalić go z rynku, bo sam chciał zostać panem kursu, powiedział mu, że Delfina wypadła przed chwilą z powozu. Ojciec blady i drżący opuścił wnet bazar i chorował kilka dni po tym fałszywym alarmie... Rozumie się, że Goriot wychowywał swe córki nierozsądnie. Bogaty był, gdyż dochód jego wynosił przeszło sześćdziesiąt tysięcy liwrów, pomimo to na własne potrzeby nie wydawał więcej niż tysiąc dwieście franków, a resztę poświęcał z radością na dogodzenie rozmaitym zachciankom córek. Najpierwsi mistrze udzielali im talentów, które cechują świetne wychowanie. Panny jeździły konno, miały swój powóz... — nie było tak wygórowanego żądania, które-goby ojciec nie spełnił z całą gotowością, a jedna pieszczota wynagradzała go so-wicie za wszystkie ofiary. Biedny człowiek! uważał siebie za tak maluczką istotę wo-bec córek, które aniołami były w jego oczach! Wszystko przyjmował od nich z wdzięcz-nością, nawet ból, który mu zadawały. Gdy dorosły, mogły wybierać sobie mężów wedle upodobania, gdyż każda dostała w posagu połowę majątku ojcowskiego. Piękna Anastazja zwabiła sobie hrabiego de Restand... Delfina lubiła pieniądze, poślubiła więc bankiera Nuncingen.

...Goriot pozostał nadal fabrykantem włoskiego makaronu i prowadził handel, do którego przyrósł już całą istotą, lubo zajęcie jego nie podobało się bardzo córkom i zięciom. Przez pięć lat opierał się ich naleganiom, aż wreszcie zgodził się wycofać z handlu kapitał, powiększony dochodami z lat ostatnich. Pani Vanquer, do której

przeniósł się w tym czasie, rachowała mu mniej więcej dziesięć tysięcy liwów dochodu. Rozpacz popchnęła biedaka do znanej nam gospody, gdyż przekonał się, że obadwaj zięciowie wzbraniają swym żonom wziąć ojca do siebie, a nawet, co gorsza, przyjmować otwarcie jego odwiedziny.

*

...Student (Eugenjusz de Rastignac) zapukał silnie do ojca Goriot.

— Sąsiedzie — zawołał — widziałem panią Delfinę!

— Gdzie?

— W teatrze włoskim.

— Jakże się ona bawiła? Ale proszę wejść...

Mówiąc to, stary wstał w samej koszuli, otworzył drzwi, poczem prędko powrócił do łóżka.

— O! mówże mi pan o niej! — powiedział.

Eugenjusz znalazł się po raz pierwszy w mieszkaniu Goriota i osłupiał na widok nory, w której żył ojciec, bo w tej chwili przyszła mu na myśl świetna tualeta córki. W oknie nie było firanek; obicia pooblatywały ze ścian wskutek wilgoci i poskręcały się, wskazując w kilku miejscach tynk zakopcony. Nieborak Goriot leżał w ubożym łódeczku, pod koldrą cienką i wyszarzaną; na nogach miał wałowaną przykrywkę, na którą pani Vanquer ofiarowała rozmaite kawałki, wybrane ze starych sukien. Podłoga była wilgotna i zapyłona.

...Najbiedniejszy tragarz, co mieszka gdzieś na poddaszu, posiada bezwątpienia sprzęty porządniejsze od tych, któremi pani Vanquer zapełniła mieszkanie Goriota.

Stary zwrócił się do Eugenjusza:

— No, którą pan wolisz? panią de Restand, czy panią de Nuncingen?

— Wolę panią Delfinę, bo ona szczerzej kocha pana — rzekł student.

Na te słowa serdeczne stary wyciągnął rękę z pod koldry i ścisnął dłoń Eugenjusza.

— Dziękuję! dziękuję! — rzekł głosem wzruszonym. — Cóż ona mówiła o mnie?

Student powtórzył wyrazy baronowej, upiększając je po swojemu, a stary słuchał tego, jak słów Bożych.

— Drogie dzieci! o tak, tak, ona mię szczerze kocha. Lecz nie wierz pan temu, co mówiła o Anastazji. Widzisz pan, one zazdroszczą jedna drugiej; lecz to dowodzi tylko ich przywiązania. I pani de Restand kocha mnie również, wiem to dobrze. Ojciec pojmuje swe dzieci, tak jak Bóg ludzi pojmuje; ojciec widzi głąb ich serca i przenika ich zamiary. Córki moje kochają mnie jednakowo. O, jakżebym ja był szczęśliwy, gdyby los zdarzył mi był lepszych zięciów. Czemuż nie mieszkam u nich. Nie pragnąłbym nic więcej, tylko słyszeć ich głosy, wiedzieć, że są niedaleko, widzieć je, gdy przychodzą i wychodzą znowu, tak jak za owych czasów, gdy jeszcze u mnie mieszkaly. O, czuję, jak serce skakałoby mi z radości. Czy one były dziś pięknie ubrane?

— Tak — odparł Eugenjusz. — Ale, panie Goriot, powiedz mi pan, jak możesz mieszkać w takiej dziurze, kiedyś tak bogato powydawał córki zamąż?

— A coby mi z tego przyszło, gdybym miał lepsze mieszkanie? — rzekł napozór niedbale. — Jużto ja nie potrafię tego wytłumaczyć, bo nie umiem dwóch słów związłe powiedzieć. Cała moja istota tu się mieści — dodał, przyciskając rękę do serca. — Żyję tylko życiem mych córek. Jeżeli one się bawią, jeżeli są szczęśliwe i postrojone, jeżeli stają po miękkich kobiercach, to cóż mnie obchodzi, z jakiego sukna zrobione moje odzienie i jak wygląda kął, w którym mam noc przepędzić?... Ja zimna nie czuję, gdy wiem, że im ciepło, i nudów nie znam, gdy wiem, że one się śmieją. Nic mnie w świecie nie smuci, oprócz ich zmartwienia.

Tłum. Amelja Bortnowska.

MAŁE NIEDOLE POŻYCIA MAŁŻEŃSKIEGO

XIX

Mężowie w drugim miesiącu.

Dwie młodziutkie mężatki, Karolina i Stefanja, serdeczne przyjaciółki z pensji panny Mâchefer, jednego z najznakomitszych zakładów wychowawczych dzielnicy Saint-

Honoré, spotykają się na balu u pani de Fischtaminel, i następująca rozmowa zawiązuje się we framudze buduaru.

Było tak gorąco, że jednemu z obecnych mężczyzn, znacznie wcześniej jeszcze, przyszła myśl odetchnięcia świeżym powiewem nocy; przystanął przeto w samym rogu balkonu, ponieważ zaś w oknie stało dużo kwiatów, przyjaciółki mogły mniemać, iż są zupełnie same. Mężczyzna ten był jednym z najlepszych przyjaciół autora.

Jedna z dwóch młodych mężatek, oparta o kraj framugi, stała niejako na czatach, obejmując okiem buduar i sąsiednie salony. Druga wcisnęła się w głąb, jakgdyby chcąc się zasłonić przed przeciagiem, zlagodzonym zresztą przez zasłony z muslinu i jedwabne portjery.

Buduar był w tej chwili pusty, bal zaczynał się właśnie, stoliki do gry stały gotowe, roztańczając swoje zielone obicia i ukazując talje kart, jeszcze ściśnięte w wiotkiej osłonce, narzuconej im przez urząd skarbowy. Tańczono drugiego kontredansa.

Ktokolwiek uczęszcza na bale, zna ten moment wielkich wieczorów, gdy nie całe towarzystwo jeszcze się stawiło, lecz sale już są pełne — moment, który zawsze budzi chwilę niepokoju w sercu pani domu! Jest to, w odpowiednich proporcjach oczywiście, chwila podobna do tej, która na polu bitwy rozstrzyga o zwycięstwie lub przegranej.

Rozumiecie więc teraz, w jaki sposób to, co miało być głęboko ukrywaną w sercu tajemnicą, dostało dziś zaszczytu prasy drukarskiej.

— I cóż, Linko?

— I cóż, Stefo?

— Jakże?

— A ty?

Podwójne westchnienie.

— Nie pamiętasz już o naszej umowie?

— Owszem...

— Czemuż więc nie przyszłaś mnie odwiedzić?

— Nigdy nie zostaję sama, zaledwie tutaj mogłam się wyrwać na chwilę...

— Ach, gdyby Adolf postępował w ten sposób! — wykrzyknęła Karolina.

— Widziałaś nas przecież razem, Armanda i mnie, wówczas gdy, jak to nazywają, «starał się o moje względy»...

— Ależ tak, podziwiałam go, zazdrościłam ci szczęścia, znalazłaś swój ideał: piękny mężczyzna, zawsze tak dobrze ubrany, w żółtych rękawiczkach, świeżo ogolony, bućki lakierowane, bielizna bez zarzutu, wyszukana czystość, posunięta do najmniejszych drobiazgów...

— Dalej, dalej, nie żałuj sobie.

— Słowem, ideał mężczyzny; sposób mówienia wprost o kobiecej słodyczy, bez cienia szorstkości. A jakie obietnice szczęścia, wolności: każde zdanie zdawało się wykładane palisandrem. Słowa spowite w szale i koronki. W najmniejszym odezwananiu słyszało się turkot wykwinnych pojazdów. Podarek ślubny był godny milionera. Armand robił na mnie wrażenie męża z aksamitu, okrycia z ptasiego puchu, w które tobie danem było się otulić.

— Karolino, mój mąż zażywa tabakę!

— Więc cóż, mój zato pali!

— Ale on ją zażywa w tym stopniu, jak podobno zażywał Napoleon; ja zaś tabaki wprost znosić nie mogę; wiedział o tem, ten potwór, i przez siedm miesięcy umiał się ukrywać...

— Wszyscy mężczyźni mają coś w tym rodzaju; czegoś muszą koniecznie używać.

— Nie masz pojęcia o mękach, jakie przechodzę. W nocy budzę się nagle, zrywając się do kichania. Usypiając, przewracam się po łóżku i mimowoli natrafiam nosem na ziarnka tabaki, rozsypane na poduszce, wdycham je i wyskakuję w powietrze, jak nabój eksplodujący. Zdaje się, że ten niegodziwy Armand przyzwyczajony jest do podobnych wydarzeń; ani się nie obudzi. Znajduję rozsypaną tabakę wszędzie, wszędzie, a przecież, ostatecznie, nie miałam zamiaru wyjść zamąż za dystrybucję...

- Cóż znaczy ta drobna przykrość, moja droga, gdy zresztą twój mąż jest taki miły, poczciwy, serdeczny!
- Tak myślisz! To człowiek zimny jak marmur, pedantyczny jak starzec, rozmowny jak sztyldwach na warcie; w dodatku jeden z tych ludzi, którzy niby na wszystko się zgadzają, lecz robią tylko to, co sami chcą.
- Spróbuj mu się opierać.
- Próbowałam.
- No i...?
- No i zagroził mi, że obetnie z mojej pensji sumę, która mu będzie potrzebna, aby się mógł obejść beze mnie...
- Biedna Stefa! ależ to nie człowiek, to potwór!
- Potwór chłodny i wyrachowany, z fałszywą peruczką, który co wieczór...
- Jakto, co wieczór?..
- Ależ czekaj! który co wieczór stawia przy łóżku szklankę wody, aby w nią włożył siedm fałszywych zębów.
- Ależ to istna pałapka twoje małżeństwo! Ale przynajmniej Armand ma majątek...
- Kto to wie?
- Ach, mój Boże! ależ to wygląda na to, że w krótkim czasie będziesz bardzo nieszczęśliwa... albo bardzo szczęśliwa.
- A ty, moje złoto?
- Ja do dziś dnia mam tylko jedną szpilkę, która mnie kłuje! ale kłuje nie do wytrzymania.
- Biedne dziecko! nie oceniasz swego szczęścia. No, powiedz, powiedz!
- Tutaj młoda kobieta pochyliła się tak blisko do ucha przyjaciółki, iż niepodobieństwem było pochwycić choć słówko. Rozmowa zaczęła się na nowo, a raczej zakończyła rodzajem konkluzji.
- Więc Adolf jest zazdrosny?
- O kogo? Nie rozstajemy się ani na chwilę i to jest, wierz mi, prawdziwa niedola, tego nikt nie zniesie. Nie mogę sobie pozwolić na ziewnięcie; ciągle muszę być w roli kobiety kochającej. To szalenie męczące.
- Linko?
- Co?
- I cóż ty myślisz robić, biedactwo?
- Cierpieć. A ty?
- Walczyć z moją dystrybucją...
- Ta drobna niedola może posłużyć za dowód, że jeżeli chodzi o zawody osobiste, obie płcie nie mają sobie wzajem nic do wyrzucenia.

Tłum. Boy-Żeleński.

THÉOPHILE GAUTIER

(1811—1872)

SZTUKA

Tak! dzieło więcej jest wytworne,
Gdy bierzesz kształty dłoniom twym
Oporne —
Emalję, marmur-li czy rym.

Fałszywe, muzo, rzuć wymogi,
Lecz, by nie chwiejnym krok był twój,
Na nogi
Obcisły koturn lekko wzuź!

Precz rytm wygodny, jak zbyt duży
Trep, co go każdy wzięćby mógł,
Co służy
Do rozmaitej miary nóg.

Rzeźbiarzu! zniszcz, jak pleśń zakalców,
Gips, który gnie bezwiedny ruch
Twych palców,
Gdy inną stroną płonie duch.

Karary twardey gład marmurów
I rzadki Paros zwalczać masz:
Konturów
Nieskazitelnych jest to straż.

Weź z Syrakuzy bronz jej trwały,
Jego potęgi tajnie ziszcz:
W nich śmiały
Dumę i wdzięki wyrzył mistrz.

I rój swawolnych ptasząt przelata w swobodzie,
 Z gałązki na gałązkę, z murawy na kwiatki:
 To piórka szmaragdowe trzepią w zimnej wodzie,
 To suszą pierś na słońcu, gdy ją chłód przebodzie,
 A na gniazdkach pisklęta tulą się do matki.

Uroczyste brzmia chóry po jasnym lazurze,
 Miłość słodko przynęca, tęsknota się żali,
 Śmiech, radość i wesele, pustota, serc burze
 Tak cudnie się zlewają w harmonijnym chórze,
 Iż spokoju powietrznej nie zamącą fali.

Lecz dusza, upojona tą chwilą szczęśliwą,
 Czarodziejskich uroków złoty wątek plecie,
 Czuje się ptakiem, kwiatem, światłem, wodą żywą,
 Chwyta z niebem ją niegdyś łączące ogniwo
 I do Boga w milczeniu powraca, jak dziecię.

—
Tłum. Seweryna Duchńska.

JOSE-MARIA DE HÉRÉDIA

(1842—1905)

NIEWOLNIK

Nagi, straszny, wstrętnemi pokarmy żywiony. —
 Niewolnik — na mem ciele ostał ślad głęboki...
 Urodziłem się wolny wśród pięknej zatoki,
 Gdzie miodopłynna Hybla modre pławi skłony.

Rzuciłem szczęsną wyspę. O, jeśli w te strony
 Ku Syrakuzom, w ule, winnice, potoki,
 Wrócisz kiedy, łabędzi goniąc lot wysoki,
 Drogi gościu, zbierz wieści o mej ulubionej...

Ujrzeń jej oczu mroczne fiołki najlżawsze,
 Tak słodkie — z których niebo przeziera ojczyście
 Z pod zwycięskiego luku brwi, co blask ich kryje?
 Bądź miłościw! pędź! szukaj! odnajdź Klearystę,
 Powiedz jej, że chcę ujrzeć ją — więc jeszcze żyję.
 Poznasz ją łącno, gościu — że jest smutna zawsze.

—
Tłum. B. Ostrowska.

SULLY PRUDHOMME

(1839—1907)

DOKĄD IDĄ?

Nie idzie w niebo, kto z miłości ginie,
 Bo brak tam zmierzchu, co rozkosz osłania,
 A boska słodycz w wieczystej dziedzinie
 Mniej słodka ustom, niż miód całowania.

Nie płonie także w piekielnej głębinie,
 Bo już się spalił płomieniem kochania,
 A ból i wzgarda w zwątpienia godzinie
 Nad szpon szatana pierś krwawiej rozrania.

Dokąd więc idą i jakie katusze,
Jakie rozkosze czuć mogą te dusze,
Co przeszły mękę i rozkosz miłości?

Niebo i piekło poznały na ziemi,
I wieczność moc swą straciła nad niemi,
Więc z ciałem giną, rozwiane w nicości.

Tłum. Marja Konopnicka.

HIPPOLITE TAINÉ

(1828—1893)

FILOZOFJA SZTUKI

Włochy.

Rozdział III. (Wyjątek)

Trzy warunki są konieczne potrzebne, ażeby człowiek mógł zasmakować w wielkiem malarstwie i aby mógł je wytworzyć. Nasamprzód trzeba, żeby był wykształcony. Prostacy, ludzie zgnębieni, znikczemniali, zgięci przez cały dzień nad ziemią, wodzowie wypraw łowieckich, żarłocy, pijacy, zajęci przez cały rok kawalkadami i bitwami są zbyt jeszcze pogrążeni w życiu zwierzęcem, ażeby mogli pojąć wytworność kształtów i harmonję barw. Obraz jest ozdobą kościoła lub pałacu; aby patrzeć nań rozumnie i z przyjemnością, trzeba, żeby widz był nawpół wolny od grubych zajęć, żeby nie miał myśli zajętej hulanką lub bójką, żeby się wyzwolił z barbarzyństwa i pierwotnego ucisku i żeby poza ćwiczeniem mięśni i rozwojem popędów wojowniczych, zadowoleniem potrzeb cieleśnych zapragnął rozkoszy subtelnych i szlachetnych. Był gburą, staje się kontemplacyjnym. Spożywał i niszczył, później upiększa i zachwyca się. Dawniej tylko żył, później ozdabia swe życie. Taka to wielka zmiana zaszła we Włoszech w XV wieku. W owej epoce człowiek przechodzi z obyczajów feudalnych do ducha nowoczesnego, a to wielkie przejście dopełnia się wcześniej we Włoszech, niż gdzie indziej.

Wiele powodów przyczyniło się do tego. Nasamprzód dziwna subtelność i bystrość umysłu, jaką posiadają ludzie tego kraju. Cywilizacja zdaje się im być wrodzoną, dochodzą bowiem do niej bez wysiłku i prawie bez pomocy. Nawet w klasie wieśniaczej i nieokrzesej inteligencja bywa żywa i wyzwolona. Porównując ich z ludźmi tegoż stanu z północnej Francji, Niemiec i Anglii, różnicę stanowić będzie zupełna sprzeczność. We Włoszech chłopiec hotelowy, chłop «facchino», którego spotykacie na ulicy, umieją rozmawiać, pojmować, rozumować; mają sąd o rzeczach, znają ludzi, rozprawiają o polityce; władają ideami, równie jak słowem, instynktownie, czasami świetnie, lecz zawsze z łatwością i prawie zawsze trafnie, nade wszystko posiadają wrodzone i namiętne poczucie piękna. Jedynie tylko w tym kraju posłyszysz ludzi z gminu, wykrzykujących przed kościołem: «O Dio, com'è bello!», a język włoski wyraża te wybuchy serca i zmysłów z zachwycającym akcentem, dźwiękiem i zapachem, też same słowa francuskie są suche i nie zdołają oddać tych wrażeń.

Ta rasa, tak inteligentna, posiada tę wyższość nad innymi, iż nigdy nie była «zgermanizowana», to jest przygnieciona i przekształcona w tym stopniu, jak inne kraje w Europie, przez najście narodów z Północy. Barbarzyńcy sadowili się tam tylko czasowo lub powierzchownie. Wizygoci, Frankowie, Herulowie, Ostrogoci, opuścili ten kraj sami lub byli wypędzeni bardzo prędko. Jeżeli Longobardowie pozostali, to jedynie przez to, iż dali się opanować przez kulturę łacińską w XII wieku. Niemcy pod Fryderykiem Rudobrodym, spodziewając się w nich znaleźć ludzi jednej z nimi rasy, zdziwili się, ujrawszy ich tak «zlatynizowanych», «porzucili całą szorstkość dzikości barbarzyńskiej i, ulegając wpływowi powietrza i ziemi, nabyli potrochu subtelności i łagodności rzymskiej; przechowawszy wytworność języka i grzeczność obyczajów starożytnych, naśladowując zręczność starożytnych Rzymian aż do

konstytucji ich miast i zarządu sprawami publicznymi». Do XIII wieku we Włoszech pozostaje w użyciu język łaciński; św. Antoni Padewski głosi kazania po łacinie; lud, używając rodzącego się żargonu włoskiego, nie przestaje rozumieć swego języka literackiego. Skorupa germańska, pokrywająca naród, jest cienka i zostaje zawczasu skruszona przez odrodzenie się cywilizacji łacińskiej. Włochy tylko z podania wiedzą o śpiewach mimicznych, o poematach rycerskich i feudalnych, przepelniających całą Europę. Przed chwilą wspomniałem, iż architektura gotycka bardzo późno przeszła do Włoch, i to w sposób niezupełny. Od XI wieku, kiedy Włosi znów poczynają budować, przechowują kształty i smak architektury łacińskiej. W instytucjach, obyczajach, języku, sztukach widzieć się daje śród najciemniejszej i najdzikszej nocy średnich wieków wyzwalającą lub odradzającą się cywilizację starożytną na tym gruncie, po którym barbarzyńcy przeszli i stopnieli, jak śnieg zimowy.

Dlatego to, jeżeli porównacie Włochy w XV wieku z innymi narodami w Europie, znajdziecie w nich więcej światła, bogactwa, wykształcenia i umiejętności do upiększania życia, to jest do poczucia i wytwarzania dzieł sztuki.

W tym samym czasie Anglja po zakończeniu stułetniej wojny rozpoczyna krwawą walkę Dwóch Róż...

Grecja.

Rozdział III. (Wyjątek)

Rzeźba grecka odtwarzała nie tylko ludzi najpiękniejszych, lecz także bogów i, według sądu wszystkich starożytnych, ci bogowie byli jej arcydziełami. Obok głębokiego poczucia doskonałości cielesnej i atletycznej miała publiczność i mistrzowie samoistne uczucie religijne, pojęcie o świecie, dziś zatracone, własny sposób zapatrywania się na rzeczy, czczenia i wielbienia potęg naturalnych i boskich. Ten szczególny rodzaj wrażeń i wiary trzeba sobie przedstawić, chcąc wnikać nieco głębiej w duszę i genjusz Polikleta, Agorakryta lub Fidjasza.

Dosyć jest czytać Herodota, żeby się przekonać, o ile wiara była jeszcze żywa w pierwszej połowie V wieku. Nie tylko Herodot jest pobożny, nawet świętoszek taki, że nie śmie wymówić niejedno imię święte, wyjawić niejedną legendę, ale cały naród ma w swej czci religijnej powagę wspaniałą i namiętą, wyrażoną w jednej chwili w wierszach Eschilosa i Pindara. Bogowie są żywi, obecni, mówią, widziano ich, jak Najświętszą Pannę i świętych z XIII wieku. Gdy heroldowie Kserksesa zostali zabici przez Spartan, wnętrzności ofiar stały się nieprzyjazne, to morderstwo bowiem obraziło nieboszczyka, zaszczytnie znanego herolda Agamemnona, Taltybiosia, któremu Spartanie przysięgli cześć. Aby go ukoić, dwóch mieszkańców miasta, bogatych i szlachetnie urodzonych, idzie do Azji oddać się Kserksesowi. Gdy przybyli Persowie, wszystkie miasta radziły się wyroczeni; rozkazuje ona Ateńczykom przywołać do pomocy ich zięcia; przypominają sobie, że Boreusz porwał Otytję, córkę Erechteusza, ich pierwszego przodka, i budują mu kaplicę przy Ilissusie. W Delfach bóg oznajmia, że się sam bronić będzie; grom spada na barbarzyńców; skały się rozpadają i przygniatają ich, gdy tymczasem ze świątyni Pallady Pronea wychodzą głosy i krzyki wojenne i dwóch bohaterów z owego kraju, nadludzkiego wzrostu Filakos i Antonoos, zmuszają doreszty przestraszonych Persów, aby uciekli. Przed bitwą pod Salaminą Ateńczycy sprowadzają z Eginy posąg Eacydesa, aby z nimi walczyć. W czasie bitwy podróżnicy widzą przy Eleuzy wnoszący się wielki pył i słyszą głos mistycznego Jakchosa, idącego na pomoc Grekom. Po bitwie ofiarują bogom, jako pierwociny, trzy okręty, wzięte w niewolę; jeden z trzech jest dla Ajaksa, i z lupu odbierają pieniądze potrzebne na ofiarowanie w Delfach posągu, wynoszącego dwanaście stóp. Nigdybym nie skończył, gdyby mi przyszło wyliczać oznaki pobożności publicznej; była gorąca jeszcze w pięćdziesiąt lat potem między ludem. Plutarch powiada: «Diopites wydał wyrok, nakazujący wydawać tych, co nie uznają istnienia bogów lub uczą nowych doktryn o zjawiskach niebieskich». Aspazja, Anaksagoras, Eurypides byli niepokojeni lub ścigani, Alcybjades został skazany na śmierć, Sokratesowi odebrano życie za mniemaną czy sprawdzoną zbrodnię bezbożności; lud oburzał się strasznie na tych, którzy przedrzeźniali misterja lub kaleczyli Hermesy. Wprawdzie widzi się w tych szczegółach

zarazem wytrwałość starożytnej wiary i narodzenie się myśli wolnej; wkoło Peryklesa jak wkoło Wawrzyńca Medyceusza, było małe kółko rozprawiaczy i filozofów; Fidjasz, a później Michał Anioł byli tam przypuszczeni. Ale w obu epokach tradycja i legenda zajmowały wyobraźnię i postępowanie i kierowały nimi wszechwładnie. Gdy echo rozpraw filozoficznych wstrząsało duszą, przepelnioną kształtami malowniczymi, to dlatego, aby w niej oczyścić i powiększyć postacie boskie. Nowa mądrość nie wyłępiała religji, objaśniała ją i sprowadzała do podstaw, do poetycznego poczucia sił naturalnych. Wspaniale przypuszczenia pierwszych fizyków pozostawiały świat równie żyjącym, a czyniły go szlachetniejszym, może skutkiem tego, że Anaksoroos słyszał o Nouisie, Fidjasz począł swego Jowisza, swą Palladę, boską Afrodytę i dokonał, jak mówią Grecy, majestatu bogów.

Aby mieć poczucie boskości, trzeba być zdolnym wydobyć z poza ścisłej formy boga legendowego wielkie, stałe i ogólne siły, z jakich on pochodzi. Pozostaje bałwochwalcą suchym i ograniczonym, kto poza postacią osobową nie spostrzega w niej jakimś świetle potęgi fizycznej lub moralnej, której ta postać jest symbolem. Spostrzegano ją jeszcze za czasów Cymona i Peryklesa. Porównanie mitologii wykazało niedawno, że mity greckie, pokrewne z mitami sanskryckimi, wyrażały z początku tylko objawy sił naturalnych i że powoli język uczynił bogów z żywiołów i zjawisk fizycznych, z ich różnaitości, płodności i piękna. W gruncie politeizmu jest poczucie natury żyjącej, nieśmiertelnej, twórczej, i to poczucie trwało zawsze. Boskość przenikała rzeczy, mówiono do niej, w Eschilosie i Sofoklesie widziano dwadzieścia razy człowieka, przemawiającego do żywiołów, jak do istot świętych, z którymi jest zespolony, aby prowadzić wielki chór życia. Filoklet w chwili, kiedy się ma oddalić, oddaje pokłon «płynącym ninfom fontann, grzmiącym głosem morza, uderzającego o przylądki». «Zegnam cię, ziemio Lemnos, otoczona falami; odpraw mię bez obawy, pošlij mnie szczęśliwą przeprawą tam, gdzie mię potężny los prowadzi». Prometeusz, przybity gwoździami do skały, przywołuje do siebie wszystkie wielkie jestestwa, zaludniające przestrzeń: «O boski eterze, powiewy szybkie, źródła rzek, nieskończony uśmiechu fal morskich, o ziemio, matko powszechna, ciało słoneczne, które wszystko widzisz, wzywam was! Patrzcie, jakie cierpienia znosi bóg z ręki bogów!». Widzowie mogą się tylko dać prowadzić wzruszeniami lirycznymi, aby odnaleźć pierwotne metafory, które mimo ich wiedzy były zawiązkiem ich religji. Afrodyta powiada w jednej zatraconej sztuce Eschilosa: «Niebo czyste lubi przenikać ziemię, a miłość bierze ją za małżonkę; deszcz, spadający z zapładniającego nieba, czyni ziemię urodzajną, wówczas wydaje ona dla śmiertelnych pokarm z bydła i zboże Demetery».

Aby zrozumieć tę mowę, dosyć nam wyjść z naszych sztucznych miast i wyciągniętych pod linję kultur; kto idzie sam wśród kraju górzystego, na wybrzeżach morskich i daje się cały pochłonać widokami natury nienaruszonej, wprędce wchodzi z nią w rozmowę. Ożywia się dla niego, jakby fizjognomja; nieruchome i groźne góry stają się łysymi olbrzymami albo skurezonemi potworami; wody świecące i falujące — są to szalone istoty, które szczebiocą i śmieją się. Wielkie i milczące sosny podobne są do surowych dziewic, a gdy spojrzy na morze południowe, błękitne, promienne, wystrojone jak na uroczystość, z powszechnym uśmiechem, o jakim mówił przed chwilą Eschilos, jest zupełnie przygotowany do wyrażenia rozkosznej piękności, której nieskończoność otacza go i przenika, do nazwania bogini, zrodzonej z piany, która, wydobywając się z fal, porywa serca śmiertelnych i bogów.

Gdy naród czuje boskie życie naturalnych rzeczy, nietrudno mu wskazać naturalny grunt, z jakiego pochodzą osoby boskie. Za pięknych czasów rzeźby ten głęboki grunt przebijał jeszcze widocznie pod postacią ludzką i dokładną, przez którą tłumaczyła się legenda. Pewne bóstwa zawsze pozostały przezroczyste, mianowicie: wód bieżących, lasów i gór. Najada lub Oreada była młodą dziewczyną, jak ta, którą widzimy siedzącą na skale w przedśmionkach między tryglifami ryzy doryckiej Olimpii, przynajmniej tak ją przedstawiała wyobraźnia, personifikująca w rzeźbie; ale, wymieniając ją, spostrzegało się tajemniczą powagę spokojnego lasu albo świeżość tryskającego źródła. W Homerze, którego poematy są bibliją Greków, rozbitek Ulisses po dwudniowym pływaniu przybywa do «ujścia rzeki o pięknych wodach» i mówi

do tej rzeki: «Wysłuchaj mię, o królu, ktokolwiek jesteś; przychodzę do cię z gorącą prośbą, uciekając od morza i gniewu Posejdon. Zmituj się, o królu, bo szczyć się tem, że błaganie do ciebie zanoszę». W ten sposób przemówił, a rzeka uspokoiła się, powstrzymując swój bieg fal, i uciszyła się przed Ulissem, i przyjęła go do swego ujścia». Widoczne jest, że tutaj boga nie przedstawia brodata osoba, ukryta w grocie, lecz sama płynąca rzeka, wielki pęd, spokojny, gościnny... W wiekach upadku, w takich posągach jak Tybru i Nilu, starożytni rzeźbiarze pamiętali jeszcze o pierwotnem wrażeniu, a szeroki tors, spokojna postawa, niepewny wzrok posągu wskazują, że przez postać ludzką zawsze chcieli wyrażać wspaniały, jednostajny, obojętny wylew wielkiej wody.

Innemi razy nazwa boga pozwalała odgadywać jego naturę.

Hestia znaczy ognisko; bogini nie mogła być nigdy zupełnie oddzielona od płomienia, który był środkowym punktem życia domowego. Demeter znaczy ziemia-rodzicielka, a epitety rytuałów nazywają ją czarną, głęboką i podziemną karmicielką młodych jestestw, roznosicielką owoców, zieleniejącą. W Homerze słońce jest odmiennym bogiem niż Apollo, a osoba moralna zlewa się w nim ze światłem fizycznym... Prawda, że nie wszyscy byli w jednym stopniu wcieleni w rzeczy. Niektórych, a ci właśnie byli najpopularniejsi, energiczna praca legendy oderwała, czyniąc z nich postacie wyodrębnione. Można porównać Olimp grecki z drzewem oliwnem w końcu lata. Według miejsca i wysokości gałęzi owoce są mniej lub więcej dojrzałe, jedne, zaledwie ukształtowane, są tylko powiększonym słupkiem i ściśle należą do drzewa, inne, już dojrzałe, trzymają się jeszcze jednak lodygi, inne wreszcie, zupełnie ukształtowane, opadły i trzeba pewnej uwagi, żeby poznać szypułkę, która je dźwigała. Olimp grecki, według stopnia przekształcenia, które złagodziło siły naturalne, przedstawia w swych różnych warstwach bóstwa, w których cecha fizyczna góruje nad postacią osobistą, inne, obie twarze są równe, inne wreszcie, gdzie bóg, przemieniony w człowieka, łączy się już tylko nicią, zaledwie widzialną, z pierwiastkowym zjawiskiem, jakie dało mu życie. Łączy się z niem jednak. Zeus, który w «Iljadzie» jest nakazującym naczelnikiem rodziny, a w «Prometeuszu» nieprawym i tyrańskim królem, z wielu rysów jednak pozostaje, czem był, niebem dżdżystem i piorunującym. Uświęcone epitety, stare wyrażenia wskazują jego pierwotną naturę, rzeki «wypadają z niego», «Zeus rosi». W Krecie jego miano znaczy dzień; Ennusz powie później w Rzymie, że on jest tą «najwyższą płomieniejącą białością, której wszyscy wzywają pod nazwą Jowisza». Widać z Arystofanesa, że dla chłopów, dla ludzi z gminu, dla umysłów prostych i nieco staroświeckich jest zawsze tym, który «zrasza ziemię i każe rósć plonom». Gdy im solista powiada, że nie istnieje Zeus, dziwią się i pytają, kto grzmi piorunami lub wylewa się deszczem. Zdruzgotał Tytanów, potwornego Tyfoesa o stu smoczych głowach, czarne wyziewy, które, zrodzone z ziemi, splatały się jak węże i zalegały niebieskie sklepienie. Zamieszkuje na szczytach gór, dotykających nieba, gdzie się gromadzą chmury, gdzie spada piorun. Jest on Zeusem Olimpu, Zeusem Itomy, Zeusem Himettu. W gruncie, jak wszyscy bogowie, jest wieloraki, przywiązany do różnych miejsc, gdzie serce człowieka najlepiej czuło jego obecność, do różnych miast, a nawet do różnych rodzin, które, uznawszy go w swych horyzontach, przywłaszczyły go sobie i składały mu ofiarę...

GUSTAVE FLAUBERT

(1821—1880)

PANI BOVARY

Część I

IX

Nieraz Emma po wyjściu Karola dobywała z szafy z pomiędzy bielizny, gdzie ją ukrywała, ową cygarnicę, zielonym jedwabiem haftowaną.

Oglądała ją, otwierała, napawała się nawet wonią jej tytoniu, pomieszanego z wer-

weną. Czyją mogła być własnością?... Wicehrabiego. Był to może podarunek od kochanki. Haft ten robiony był może w jakich palisandrowych krosienkach, wykwintnym sprzęciku, starannie przed oczyma wszystkich ukrywanym, nad którym przez wiele godzin pochylały się miękkie sploty pięknej pracownicy. Tchnienie miłości powiało przez oczka kanwy; każdy wyszyty ścieg utrwalił tam jakąś nadzieję lub wspomnienie, a wszystkie te pokrzyżowane nitki jedwabiu były tylko jednolitym wątkiem tej samej, cichej namiętności. A potem wicehrabia, jednego pięknego poranku, zabral go z sobą. O czym też rozmawiali, gdy siedział przy marmurowym kominku, pośród wazonów z kwiatami i zegarów à la Pompadour?... Ona była w Tostes. On był teraz tam... w Paryżu!... Jakże wyglądał ten Paryż? Co za nazwa czarowna! Powtarzała ją półgłosem, dla własnej przyjemności; dźwięczała jej w uszach jak dzwon katedralny, migotała jej przed oczyma, nawet na słoikach pomady.

W nocy, kiedy handlarze ryb przejeżdżali na swoich wózkach pod jej oknami, śpiewając Marjolanę, budziła się ze snu, a słuchając turkotu okutych żelazem kół, który przytłumiał się, gdy zjeżdżano z bitego gościńca, mówiła sama do siebie: — Jutro tam będę!

I myślą wśląd za nim dążyła, przez góry i doliny, przez wsie i miasta, przy migotliwym świetle gwiazd, na niebie błyszczących, a zawsze u niepewnego celu tej urojonej wędrówki znajdowało się jakieś niewyraźne miejsce, gdzie kończyło się jej marzenie.

Kupiła sobie plan Paryża i, wodząc palcem po karcie, odbywała wycieczki po stolicy. Szła na bulwary, zatrzymując się na każdym rogu, pomiędzy ulicami, przed białymi kwadracikami, przedstawiającymi domy. Zmrużywszy wreszcie oczy, przymykała powieki i widziała płomyki gazowe, wijące się pośród ciemności, i stopnie karet, spadające z loskotem, pod kolumnadami teatrów.

Zaprenumerowała kobiecy dziennik «La Corbeille» i «Le Sylphe des Salons». Pochlaniała, bez opuszczenia najdrobniejszego szczegółu, wszystkie sprawozdania z pierwszych przedstawień, wyścigów i balów, zajmowała się występami śpiewaczek, otwarciem nowego magazynu. Wiedziała o modach paryskich, знаła adresy najlepszych krawców i modniarek, dnie opery i wyścigów. Studjowała w Eugenjuszu Suem opisy umeblowania salonów; czytała Balzaka i Jerzego Sand, szukając tam zaspokojenia osobistych pragnień. Do stołu nawet przynosiła książkę, której kartki przewracała, gdy Karol rozmawiał, jedząc. Wspomnienie wicehrabiego nie odstępowało jej przy czytaniu. Szukała zbliżenia pomiędzy nim a urojonymi bohaterami. Powoli jednakże koło, którego był środkiem, rozszerzać się zaczęło i promienna aureola jego, oddalając się od jego twarzy, oświeciła inne jeszcze postacie.

Paryż, bardziej tajemniczy od samego oceanu, migotał przed oczyma Emmy w złocistej atmosferze. Życie wszakże, które się roilo w tem mrowisku, dzieliło się na części, rozklasyfikowane było na osobne obrazy. Emma z pomiędzy nich widziała tylko dwa lub trzy, które jej zasłaniały wszystkie inne i same przez się całą dla niej ludzkość przedstawiały. Świat ambasadorów stapał po lśniących posadzkach, w salonach, wyłożonych zwierciadłami, wokół stołów owalnych, przykrytych aksamitnymi kapami. Były tam suknie z długimi trenami, wielkie tajemnice, srogie niepokoje, ukryte pod maską udanej wesołości. Dalej następowało społeczeństwo księżnych i hrabin; twarze tam były blade; wstawano o czwartej po południu; kobiety — biedne anioly! — nosiły spódniczki obszywane brabanckimi koronkami, a mężczyźni, genjusze, stłumieni blahostkami, zajeżdżali konie dla przyjemności, przepędzali lato w Badenie, a koło czterdziestki żenili się wreszcie z bogatymi dziedziczkami. W bocznym pokoikach restauracyj, gdzie się ucztuje po północy, weselił się przy świetle świec woskowych pstrokaty tłum artystów, literatów i aktorek. Ci ludzie byli hojni jak królowie, pełni żądz, idealnych i fantastycznych upożeń. Było to istnienie od wszystkich innych odmienne, zawieszane pomiędzy niebem a ziemią, burzliwe i zachwycające, coś prawdziwie szczytnego. Reszta świata nie miała oznaczonego miejsca, jakgdyby weale nie istniała. Zresztą myśl Emmy odwracała się od tego, co jej było najbliższe. Wszystko to, co ją otaczało bezpośrednio, nudna wieś, ograniczone drobne mieszczaństwo, mierność, wydawało jej się wyjątkiem na świecie, szczególnym wypadkiem, w który zaplątana zo-

stała, gdy tymczasem poza tem rozciągał się w nieskończoność kraj szczęśliwości i uczuć namiętnych. W nieokreślonej żądzy swej nie rozłączała materialnych rozkoszy zbytku od zadowolenia serca, wykwintu przyzwyczajzeń od delikatności uczuć. Czyliż miłość, podobnie jak egzotyczne rośliny, nie potrzebowała gruntu stosownie przygotowanego i odpowiedniej temperatury? Westchnienia przy świetle księżyca, długie uściski, lzy, spływające na dłonie splecione, wszystkie gorączki zmysłów i omdlewające czułości nieodłączne musiały być od balkonów wielkich zamków bogaczy, od buduaru o niebieskich jedwabnych firankach, wyslanego miękkim kobiercem, ozdobionego koszykami pełnymi kwiatów, z łozem, na estradzie wzniesionem, od połysku drogich kamieni i galonów liberyj.

Posługacz pocztowy, który każdego rana przychodził obrządzić klaczkę, szedł przez korytarz, niosąc w ręku grube saboty; miał na sobie podartą bluzę i brudne skarpetki na nogach. Na takim to groomie trzeba było poprzestać! Zrobiwszy to, co do niego należało, więcej nie przychodził, gdyż Karol, powróciwszy ze swego objazdu, sam prowadził konia do stajni, zdejmował siodło i zakładał uździennicę, gdy tymczasem służa przynosiła pęk słomy i wrzucała go, jak mogła, do żłobu.

Na miejsce Nastusi, która odjechała wreszcie z Tostes, wylewając potoki łez, Emma przyjęła do służby młodą, czternastoletnią dziewczynę, sierotę miłej powierchowności. Zabroniła jej nosić bawełniane czepeczki, nauczyła ją przemawiać w trzeciej osobie, podawać szklankę na talerzu, zastukać do drzwi przed wejściem do pokoju, krochmalić, prasować, słowem, kształciła ją na porządną pokojówkę. Dziewczyna była posłuszna z obawy, aby nie zostać odprawioną; a ponieważ pani miała zwyczaj klucz od kredensu zostawiać w zamku, Felicja co wieczór robiła sobie mały zapas cukru, który chrupała, położywszy się do łóżka, po pacierzu.

Po południu szła czasem naprzeciwko na gawędkę z pocztyljonami, gdy pani siedziała u siebie, na górze.

Emma nosiła szlafroczek z otwartym przodem, który odsłaniał faldowaną szmizetkę, na trzy złote guziki zapiętą. Przepasywała się grubym sznurem z dużymi chwastami, a u granatowych pantofelków miała wielkie kokardy z szerokich wstążek. Kupiła sobie «presse-papier», papieru listowego, piór stalowych i kopert, chociaż nie miała do kogo listów pisywać; okurzała swoje półeczki, przeglądała się w lustrze, brała książkę w rękę i, przeczytawszy kilka wierszy, kładła ją na kolanach. Byłaby chciała podróżować lub powrócić do swego klasztoru. Pragnęła zarazem umrzeć i mieszkać w Paryżu.

Karol tymczasem po deszczu i śniegu przebiegał okoliczne drogi i manowce. Jadał jajecznicę na stołach folwarcznych, krew puszczał chorym, słuchał rżenia konających, widział niemało brudnej bielizny i niemało rzeczy odrażających; lecz zato wieczorem znajdował w domu ogień płonący na kominku, stół zastawiony, miękki fotel i żonkę wyświeżoną, śliczną i pachnącą tak, że niewiadomo było, skąd woń ta pochodziła, czy nie ona sama używała jej bieliźnie.

Zachwycała go tysiącem miłych drobnostek; to profitkami do lichtarzy, z ręcznie zrobionymi z kolorowego papieru, to fałbaną przyszytą do sukni, lub szczególną nazwą, nadaną bardzo zwyczajnej potrawie, zepsutej przez służę, którą jednak Karol zjadał ze smakiem co do odrobiny. Zobaczyła w Rouen panie, mające breloki u zegarków; zaraz sobie kupiła breloki. Zachciało jej się na kominek dwóch wazonów ze szkła niebieskiego, a wkrótce potem neseserki z kości słoniowej ze złotym napałstkiem. Im mniej pojmował Karol te wykwinty, tem większy nań urok wywierały. Łechtaly przyjemnie jego zmysły i dodawały powabu jego domowemu ognisku. Był to niby złoty piasek, którym wysypana była ścieżka jego życia.

Był zdrow, dobrze wyglądał; opinja jego była ustalona. Wieśniacy kochali go za to, że nie był dumny. Pieścił dzieci, nie wchodził nigdy do karczmy, zresztą wzbudzał zaufanie swoją moralnością. Szczególnie był szczęśliwy w leczeniu katarów i chorób piersiowych. W obawie, żeby nie zabijać swoich chorych, Karol przepisywał w istocie tylko uspokajające środki, niekiedy emetyk, kąpiel na nogi lub pijawki. Nie żeby go chirurgja przestraszała; puszczał ludziom krew obficie, jak koniom, a do wrywania zębów miał żelazną rękę.

Wreszcie, żeby w tyle nie pozostać, zaprenumerował «Ul Medyczny», nowe czasopismo, którego mu prospekt przysłało. Czytywał go trochę po obiedzie; lecz ciepło w pokoju, łącznie z procesem trawienia, sprawiało, że po upływie pięciu minut zasypiał z brodą opartą na dłoniach i włosami rozrzuconymi jak grzywa po stole. Emma spoglądała na niego, wzruszając ramionami. Czemuż nie miała za męża jednego z tych zawziętych pracowników, którzy noce nad księgami spędzają i na starość, kiedy przychodzi pora reumatyzmów, przypinają sobie na czarnym, źle skrojonym fraku krzyżyk świecący! Byłaby chciała, żeby to nazwisko Bovary, które nosiła, zasłynęło, żeby ją jaśniało na wystawach księgarskich, żeby je powtarzały dzienniki, żeby je cała Francja знаła. Lecz Karol nie miał wcale ambicji. Doktor z Yvelot, z którym odbywał konsultację ostatnimi czasy, upokorzył go trochę przy łożu chorego, wobec zgromadzonej rodziny. Gdy jej Karol opowiedział wieczorem tę przygodę, Emma uniosła się gniewem przeciwko niegrzecznemu koledze. Karol się rozrzewnił. Pocałował ją w czoło, ze łzą w oku. Lecz ona była przejęta wstydem i oburzeniem; miała ochotę go wybić i poszła otworzyć okno, żeby ochłonać, odetchnąwszy świeżem powietrzem wieczoru.

— Co za niedołęga! co za niedołęga! — powtarzała półgłosem, zagryzając usta.

Więcej jeszcze dawał jej powodów do rozdrażnienia. Z wiekiem nabierał prostackich nawyknień; przy stole krajał korki od wypróżnionych butelek; po jedzeniu oblizywał sobie usta, przelykając zupełnie wydawał gardłem rodzaj gdakania, a ponieważ tyć zaczynał, oczy jego, z natury małe, zdawały się uciekać ku skroniom przed wydeptością policzków.

Niekiedy Emma chowała mu pod kamizelkę czerwony brzeg jego trykotów, poprawiała mu krawat lub odrzucała precz zniszczone rękawiczki, które chciał wciągać na ręce, lecz nie czyniła tego wszystkiego dla niego, jak sobie wyobrażał; czyniła to dla siebie samej, z nerwowego rozdrażnienia. Czasem także mówiła mu o tem, co czytała, opowiadała mu ustępy z romansów, szczegóły o nowej sztuce, skandalik wielkoświatowy, w feljtonie ogłoszony, bo wreszcie Karol był kimś, uchem zawsze otwartym, pochwałą zawsze gotową. Przecie i charcicze swojej robiła zwierzenia! Byłaby je robiła kłodom drzewa, na kominie leżącym, i zegarowi ściennemu.

W głębi serca jednak zawsze oczekiwała na jakiś wypadek. Tak jak to czynią żeglarze w niebezpieczeństwie, wodziła zrozpaczonym wzrokiem po pustyni obszaru samotnego życia swego, upatrując jakiego żagla na mglistym horyzoncie. Nie wiedziała, jaki będzie ten wypadek, jaki wiatr go do niej przyniesie, do jakiego ją portu popchnie, czy będzie szalupą, czy okrętem trzymaszlowym, czy ładunek jego składać się będzie z trosk, czy ze szczęśliwości. Każdego rana budziła się z nadzieją, że ten wypadek nastąpi, i przez cały dzień przysłuchiwała się wszystkim odgłosom, zrywała się z miejsca, dziwiła się, że nie przychodzi, a gdy słońce zaszło, z każdym dniem smutniejsza, pragnęła, żeby już było jutro.

Nadeszła wiosna. Pierwsze ciepła sprowadziły jej duszność w piersiach.

Od początku lipca liczyła na palcach, ile jeszcze tygodni pozostawało do października, myśląc, że może margrabia d'Audevillers wyda znowu bal w Vaubeysard. Lecz cały wrzesień upłynął bez żadnego listu ani wizyty.

Po tym zawodzie serce Emmy znowu pustka zaległa i rozpoczął się dla niej szereg dni jednostajnych i bezbarwnych.

Miały więc teraz tak po sobie następować, jedno do drugich podobne, niezliczone i nie z sobą nowego nieprzynoszące! Inni, jakkolwiek może nudne prowadzili życie, mogli przynajmniej spodziewać się jakiego wypadku. Nagła przyгода sprowadzała czasem nieskończone koleje i zupełną zmianę położenia. Ale dla niej nic! Bóg tak chciał. Przyszłość jej podobna była do ciemnego korytarza, z zamkniętymi na końcu drzwiami.

Zarzuciła muzykę. Dla kogo miała grać? Kto jej słuchał. Ponieważ nigdy nie zasiadzie w sali koncertowej do fortepianu Ewarda, w sukni aksamitnej z krótkimi rękawami, i nie będzie nigdy słyszała, przebiegając palcami po klawiszach z kości słoniowej, pochlebnego szmeru pochwał, nie warto było męczyć się egzercytowaniem. Nie tykała również ołówków ani igły. Na co się to zdało? Szycie ją drażniło.

— Wszystko już czytałam — mówiła sobie.

I siedziała całymi godzinami, grzejąc w ogniu szczypce lub przypatrując się, jak deszcz padał.

Jakże smutną się czuła w dniu świąteczne, kiedy dzwoniło na nieszpory! Słuchała w błędnem osłupieniu pojedynczych dźwięków pękniętego dzwonu. Czasem kot, lażąc po dachu, wyrzwał w bładych promieniach jesiennego słońca swój grzbiet zakrąglony. Wiatr pędził na drodze tumany białego pyłu. Niekiedy pies zawył zdaleka, a dzwon w równych odstępach dźwięczał jednostajnie i żałośnie...

C z ę ś ć III.

VIII

Idąc, zapytywała sama siebie: «Co ja mu powiem? Od czego zacznę?» I w miarę, jak szła coraz dalej, rozpoznawała krzaki, drzewa, wodne trzciny u stóp wzgórza, wreszcie zdaleka ujrzała zameczek. Odnajdywała w sobie uczucia pierwszej miłości, i biedne jej ściśnione serce rozkosznie się niemi lubowało. Ciepły wietrzyk muskał ją po twarzy; śnieg topniejący spadał czystymi kroplami z pączków na trawę.

Weszła, jak niegdyś, przez furtkę ogrodową i niebawem znalazła się na głównym dziedzińcu, opasanym podwójnym rzędem gęstych lip, których długie gałęzie kołysały się, wiatrem poruszane. Psy w budach zaszczeptały, lecz hałas ten nie sprowadził nikogo.

Weszła na szerokie, proste schody, z drewnianą balustradą, prowadzące na korytarz, wyłożony zakurzonemi marmurowemi płytami, na który wychodziło kilka pokoi w jednym szeregu, jak w klasztorach lub hotelach. Jego pokój był w głębi, po lewej stronie. Kiedy już miała rękę położyć na kłamce, nagle siły ją opuściły. Obawiała się, że go nie zastanie, pragnęła tego niemal, a jednak to była jedyna jej nadzieja, ostatnia deska zbawienia. Odetchnęła przez krótką chwilę i, czerpiąc odwagę w uczuciu nieubłaganej konieczności, weszła nakoniec.

Rudolf siedział przed kominkiem, z nogami opartemi o kratę, i palił fajkę.

— Patrzenie! — rzekł powstając nagle — to ty, Emmo!

— Tak jest, to ja!... przychodzę do ciebie po radę, Rudolffie.

A pomimo wszelkich usiłowań trudno jej było usta otworzyć.

— Nie zmieniłaś się, zawsze jesteś równie śliczna!

— O! smutne to wdzięki — odparła z goryczą — kiedy niemi wzgardziłeś.

On rozpoczął usprawiedliwienie swego postępowania, tłumacząc się ogólnikowo, w braku lepszych powodów.

Dała się uwieść jego słowom, bardziej jeszcze głosowi jego i całej postaci, tak dalece, że udała, iż wierzy, lub może w istocie uwierzyła w przyczynę ich zerwania: miała nią być tajemnica, od której zależał honor, a nawet życie trzeciej osoby.

— Jakkolwiek bądź — rzekła, patrząc smutnie na niego — ja wiele wycierpiałam!

Odpowiedział filozoficznie:

— Takie jest życie ludzkie!

— Byłoby ono dla ciebie przynajmniej dobre, od czasu naszego rozłączenia? — zapytała.

— Ani dobre, ani złe!...

— Może byłoby lepiej, gdybyśmy się nigdy nie byli rozłączali?...

— Może... zapewne!

— Tak sądzisz? — szepnęła, przystępując bliżej. I westchnęła.

— O Rudolfie! Gdybyś ty wiedział!... ja tak kochałam ciebie!

I ujęła rękę jego, i pozostali przez chwilę z dłońmi splecionemi — tak, jak pierwszego dnia, na Komisjach! On przez resztę dumy bronił się od wzruszenia. Lecz ona, skłaniając głowę na piersi jego, rzekła:

— Jakże chciałeś, abym ja żyła bez ciebie? Trudno się odzwyczaić od szczęścia! Byłam zrozpaczona! myślałam już, że umrę! Opowiem ci to wszystko, zobaczysz. A ty... ty uciekałeś ode mnie!...

Bo on od trzech lat unikał jej starannie, wskutek tej wrodzonej nikiemności,

jaka cechuje pleć silniejszą; a Emma mówiła dalej, przechylając główkę i wdzięcząc się, jak zakochana kotka.

— Kochasz inne, przyznaj się. O, nie zaprzeczaj mi! ja im się nie dziwię, uwiodłeś je, tak jak mnie uwiodłeś. Ty to jesteś prawdziwym mężczyzną! masz w sobie wszystko, co potrzeba, żeby być kochanym. Ale dawne czasy powrócą jeszcze, nieprawdaż? Będziemy się znowu kochali! Widzisz, ja się śmieję, jestem szczęśliwa!... Mówże do mnie!

Była zachwycająca ze swem tkliwem spojrzeniem, lzą zamglonem, jak kropla deszczu w błękitnym kielichu.

Przyciągnął ją na kolana i gładził dłonią lśniące jej włosy, na których pośród zapadającego zmierzchu połyskiwał, jak złotawa strzała, ostatni promień słońca. Pochyliła czoło, pocałował ją nakoniec lekko, końcem ust, w przymknięte powieki.

— Ależ ty płakałaś? — rzekł. — Czego?

Emma wybuchnęła głośnie łkaniem. Rudolf pomyślał, że to objaw jej miłości; ponieważ milczała, wziął to milczenie za resztę wstydlivosti i zawołał:

— Ach, przebac mi! Ty jedna tylko mi się podobasz. Byłem głupi i niegodziwy! Ja kocham ciebie i zawsze cię kochać będę!... Mówże! co ci jest?

I przykląkł przed nią.

— A więc powiem ci, Rudolfe!... jestem zrujnowana! Musisz mi pożyczyć choć trzy tysiące franków.

— Ale... ale... — rzekł, podnosząc się z wolna, gdy tymczasem twarz jego nagle spowaźniała.

— Wiadomo ci — mówiła dalej prędko — że mąż mój cały swój fundusz umieścił u notariusza, ten uciekł. Zapożyczyliśmy się, pacjenci nie płacili. Zresztą spadkowe interesa jeszcze się nie skończyły, później nam jeszcze wpłyną fundusze. Ale dzisiaj, w braku kilku tysięcy franków, zlicytują nas... teraz, natychmiast... i przysłałam do ciebie, licząc na twoją przyjaźń!

— Aha! — pomyślał Rudolf, blednąc mocno — poto więc przysłał

Po chwili rzekł najspokojniej w świecie:

— Nie mam pieniędzy, kochana pani.

Nie kłamał. Gdyby był miał pieniądze, byłby je zapewne dał, chociaż nie jest rzeczą bardzo przyjemną spełniać tak szlachetne czyny; a żądanie pieniędzy jest najzimmniejszą i najszkodliwszą ze wszystkich burz, jakie spadają na miłość.

Emma przez kilka minut wpatrywała się w niego z niemym wyrzutem.

— Nie masz pieniędzy!

Powtórzyła kilkakrotnie:

— Nie masz pieniędzy. Powinnaś była oszczędzić sobie tego ostatniego upokorzenia. Tyś mnie nigdy nie kochał! Nie jesteś wart więcej od drugich!

Zdradzała się, gubiła się.

Rudolf przerwał jej zapewnieniem, że sam był w «kłopotach».

— Ach, jakże cię żałuję! — rzekła Emma. — Bardzo cię żałuję!...

A zatrzymawszy wzrok na damasceńskiej dubeltówce, która błyszczała na ścianie:

— Ale, kto jest tak ubogi, nie zdobi srebrem kolby swej broni. Nie kupuje zegarków z perłowymi inkrustacjami! — mówiła dalej, wskazując na piękny zegar stołowy od Boullé'a, ani złoconych świstawek na psy — dotykała ich — ani breloków do zegarka! O! niczego mu nie brakuje! Ma nawet kryształowy w swoim pokoju; bo ty sobie dogadzasz, umiesz żyć dobrze; masz zamek, folwarki, lasy; polujesz z chartami; jeździsz do Paryża... Weźmy tylko to! — wykrzyknęła, biorąc z kominka spinki od mankietów — najmniejszą z tych drobnostek, i z tego mogą być pieniądze!... O! ja ich nie chcę! Weź je sobie!

I cisnęła daleko od siebie spinki, których złoty łańcuszek zerwał się przy uderzeniu o ścianę.

— A ja, ja wszystko byłabym ci oddała, byłabym wszystko sprzedała, byłabym własnymi rękami pracowała, byłabym zebrała po gościńcach za jeden twój uśmiech, za jedno spojrzenie, za jedno twoje słowo: «dziękuję!» A ty siedzisz tu spokojnie

w swoim fotelu, jakgdybym niedosyć już była przez ciebie wycierpiała! Czy ty wiesz, że gdyby nie ty, byłabym mogła żyć szczęśliwie. Pocoś się starał zbliżyć do mnie? Kto cię zmuszał? Czyś zakład zrobił?... A jednak kochałeś mnie, tak mówiłeś... I przed chwilą jeszcze... Ach! lepiej było wypędzić mnie odrazu! Dłonie moje ciepłe jeszcze od twych pocałunków, i oto miejsce na tym kobiercu, gdzieś mi na kolanach przysięgał wierność miłości! Ja w nią uwierzyłam: przez całe dwa lata wodziłeś mnie po najwspanialszych i najrozkoszniejszych światach marzeń!... A nasze zamiary podróży? Czy je pamiętasz? O! twój list, twój list! jak on mi serce zakrwawił!... A teraz, kiedy przychodzę do niego, który jest bogaty, szczęśliwy, swobodny, prosić go o pomoc, którą pierwszy lepszy gotów byłby wyświadczyć, przychodzę błagająca, powracająca mu całe moje serce, on mnie odpycha, bo to kosztowałoby go parę tysięcy franków.

— Nie mam ich! — odpowiedział Rudolf z tym niewzruszonym spokojem, którym się zastaniają, jak puklerzem, tajemne gniewy.

Emma odeszła. Ściany tego domu drżały, sufit ją przygniatał.

Przebiegła długą, topolową ulicę, potykając się o kupy zeschniętych liści, które wiatr rozrzucił. Stała na koniec przed kratą, połamała sobie paznokcie o zamek, tak pilno jej było go otworzyć. O sto kroków dalej, zadyszana, stanęła znowu, aby odechnąć. A odwróciwszy się, spojrzała raz jeszcze na niewzruszony zamek, z jego parkiem, ogrodami, trzema dziedzińcami i wszystkimi oknami frontu.

Była napół nieprzytomna, i tylko gwałtowne pulsowanie arteryj, których szum słyszała wśród ciszy pól, dawało jej świadomość siebie samej. Grunt pod jej stopami miękki był jak woda, a brzozy wydawały się jej olbrzymiami, ciemnymi bałwanami, które się w jej oczach rozwijały. Wszystkie wspomnienia i myśli, jakie głowę jej napelniały, wymykały się razem, jako tysiączne części sztucznych ogni. Widziała swego ojca, kantor Lhevreux'go, pokój w hotelu Bulońskim, inny jeszcze krajobraz. Obłąd ją ogarniał, przeleżała się sama siebie i zdołała trochę oprzytomnieć, niewyraźnie wprowadzić, bo nie przypominała sobie przyczyny swego okropnego stanu, to jest kwestji pieniężnej. Bolała tylko nad sponiewieraną miłością swoją i czuła, że ją dusza opuszczała przez to wspomnienie, jak ranni, którzy, konając, czują życie uchodzące przez swą krwawiącą ranę.

Noc zapadała; wrony, kracząc, latały.

Wtem wydało jej się, jakoby kulki ognistej barwy pękały w powietrzu jak race, i, kręcąc się wirowo, spadały na śnieg, pomiędzy drzewami. Na każdej z nich pojawiała się twarz Rudolfa. Mnożyły się coraz więcej, zbliżały się do niej, przenikały ją; wreszcie wszystko zniknęło. Poznała światła w oknach domów, które błyszcząły zdaleka we mgle.

Natenczas przedstawiło się jej własne położenie naksztalt bezdennej otchłani. Głowa jej pałała, dyszała, jakgdyby piersi jej pęknąć miały. Nagle w uniesieniu bohaterskim, które ją prawie szczęśliwą uczyniło, zbiegła pędem ze wzgórza, przebyła szybko kładkę, ścieżkę, ulicę, drzewami wysadzoną, rynek i stanęła przed apteką.

Nikogo w niej nie było. Już chciała wejść, lecz na odgłos dzwonka mógł kogoś nadejść; wstrzymując przeto oddech, macając po ścianie, wsunęła się za barierkę i postąpiła aż na próg kuchni, gdzie paliła się postawiona na kominku świeca. Justyn wynosił właśnie półmisek.

— Ach, jedzą obiad. Zaczekajmy.

Chłopak powrócił. Zastukała w szybę. Wyszedł.

— Klucz! daj mi klucz od góry, gdzie są...

— Jakto?

I patrzył na nią, zdumiony bledością jej twarzy, która odbijała swą białością na czarnem tle nocy. Wydała mu się nadzwyczajnie piękną i wspaniałą, jak duch ciemności: nie pojmując, czego chciała, przeczuwał coś straszego,

Ona jednak powtórzyła prędko, przytłumionym i miękkim głosem:

— Chcę tego klucza! daj mi go!

Ponieważ przepierzenie było cienkie, słychać było szczykanie noży po talerzach w sali jadalnej.

Powiedziała, że potrzebuje trucizny, żeby się pozbyć szcurów, które jej spać nie dawały.

— Musiałbym uprzedzić pana — rzekł Justyn.

— Nie potrzebował zostać!

I obojętnie dodała:

— Nie warto go trudzić; ja mu sama powiem. Chodź-że, poświęć mi!

I weszła w korytarz, z którego było wejście do laboratorium. Na ścianie wisiał klucz z kartką, na której było napisane: «Kafarnaum».

— Justyn! — krzyknął aptekarz zniecierpliwiony.

— Chodźmy na górę!

Chłopak poszedł za nią.

Zakręciła klucz w zamku i przystąpiła prosto do trzeciej półeczki, tak dobrze wszystko zapamiętała; pochwyciła niebieski słoik, otworzyła go, włożyła w środek rękę i, wyjąwszy ją pełną białego proszku, jeść go zaczęła jak cukier.

— Co pani robi! — wykrzyknął Justyn, rzucając się ku niej.

— Cicho bądź! może kto nadejść...

Justyn załamywał ręce w rozpacz, chciał wołać o ratunek.

— Nic nie mów — rzekła — wszystko to spadłoby na twego pana!

I oddaliła się, nagle uspokojona i niemal zadowolona, w przeświadczeniu spełnionego obowiązku.

Tłum. L. Kacz.

ALEXANDRE DUMAS (SYN)

(1824—1895)

DAMA KAMELJOWA

XXVI

Armand, zmęczony długim opowiadaniem, które często oblewał łzami, oparł swe czoło na obu rękach i zamknął oczy, czyto chcąc myśleć, czy też pragnąc przespać się, dawszy mi przedtem kartki, zapisane ręką Małgorzaty.

W kilka chwil potem szybszy oddech dał mi poznać, że zasnął, ale tym snem lekkim, który najmniejszy szelest przerywa.

Oto, co przeczytałem i przepisałem bez dodania, bez wyrzucenia choćby jednej zgłoski:

«Dzisiaj jest 15 grudnia. Jestem cierpiąca od trzech czy czterech dni. Dziś rano położyłam się do łóżka, czas jest ponury, jestem smutna, niema nikogo przy mnie, myślę o tobie, Armandzie. A ty, gdzie jesteś w tej chwili, gdy to piszę? Daleko od Paryża, bardzo daleko, jak mi powiedziano, a może zapomniałeś już o Małgorzacie. Wreszcie, bądź szczęśliwy, ty, któremu jestem winna jedyne chwile radości w mem życiu.

Nie mogłam oprzeć się chęci wytłumaczenia ci mego postępowania i napisałam do ciebie list, ale list od takiej dziewczyny, jak ja, może być uważany za kłamstwo, nadaje mi on jednak charakter prawdy i staje się nie listem, lecz spowiedzią.

Dziś jestem chora, mogę umrzeć z tej choroby, gdyż zawsze miałam to przecucie, że umrę młodo. Moja matka umarła na suchoty, a sposób mego dotychczasowego życia potwierdza tylko moje przecucia, to była jej jedyna puścizna, ale ja nie chcę umrzeć wprzód, nim ty się dowiesz, co masz sądzić o mnie, jeśli powrócisz i jeśli będziesz myślał jeszcze o biednej dziewczynie, którą kochałeś przed wyjazdem.

Oto, co zawierał ten list, który chcę ci przepisać, jako dowód mego usprawiedliwienia się.

Przypominasz sobie zapewne, Armandzie, jak przyjaciel twego ojca schwycił nas w Bougival, przypominasz sobie mimowolną bojaźń, jaką wywarło na mnie to przybycie, scenę, jaka się zdarzyła między tobą a nim, którą opowiedziałeś mi wieczorem.

Nazajutrz, gdy ty byłeś w Paryżu i oczekiwałeś na swego ojca, przybył do mnie jakiś człowiek i oddał mi list od p. Duval. W liście tym, jaki tu dołączam,

prosił mię wyrazami pełnemi wagi, bym cię nazajutrz pod jakimkolwiek bądź pozorem oddaliła i przyjęła twego ojca, ma mi bowiem coś powiedzieć, a nadewszystko zalecał, by ci nie o tem nie mówić.

Wiesz, jak nalegałam, gdyś powrócił, byś znowu nazajutrz udał się do Paryża.

Już minęła godzina po twoim odjeździe, gdy twój ojciec się zjawił. Twarz jego surowa wywarła na mnie wielkie wrażenie. Twój ojciec był pełen starych wyobrażeń, że każda zalotnica jest istotą bez serca, bez rozumu, rodzaj maszyny do brania złota, zawsze gotowa, jak prawdziwe żelazne maszyny, do zdruzgotania ręki, cokolwiek jej podającej, bez uwagi na to, że ta ręka nadaje jej ruch i życie.

Twój ojciec napisał do mnie list bardzo grzeczny, nie mogłam więc go nie przyjąć, atoli inaczej się przedstawił, niż pisał. Miał w sobie jakąś dumę, impertynencję w obejściu, a nawet groźby w swych pierwszych słowach, dałam mu więc do zrozumienia, że jestem u siebie, że nie widzę potrzeby składania mu rachunku z mego życia, jak tylko z tego względu, że szczerze kocham jego syna.

Pan Duval uspokoił się nieco, jednakże zaczął mówić, że nie może dłużej tego cierpieć, by jego syn rujnował się dla mnie; że jestem piękna, to prawda, lecz jakkolwiek jest, nie powinnam używać mej piękności nato, by zniszczyć przyszłość młodego człowieka.

Na to była tylko jedna odpowiedź, nieprawdaż? To jest dowody, że od czasu, jak jestem twoją kochanką, wszystko poświęciłam, by tobie zostać wierną, nie żądając od ciebie nic więcej nad to, co dać mogłes. Pokazałam kwity z Mont de Piété, kwity tych, którym sprzedałam me ruchomości dla zapłacenia długów, wkońcu powiedziałam ojcu o naszych zamiarach życia ze sobą, bez obciążenia zbytecznie ciebie moją osobą. Opowiedziałam mu szczęście, odmalowałam mu życie spokojne i szczęśliwe, słysząc to, zmiekl, podając mi rękę, przeproszał za swoje postępowanie.

Poczem rzekł:

— Więc pani, teraz nie przez uwagi i groźby, ale przez prośby chcę wymóc na tobie ofiarę daleko większą od tych, jakie dotąd zrobiłaś dla mego syna.

Zadrzałam na tę przemowę.

Ojciec zbliżył się do mnie, wziął mię za obie ręce i mówił łagodnie:

— Moje dziecię, nie uważaj tego za złe, co ci mam powiedzieć, chciej tylko zrozumieć, że życie ma częstokroć potrzeby straszne dla serca, ale którym trzeba zadośćuczynić. Jesteś pani dobra i twoja dusza ma w sobie szlachetność nieznaną wielu kobietom, które tobą może gardzą, a które niewarte są ciebie. Lecz pomyśl, że obok kochanki jest rodzina, że prócz miłości są obowiązki, że po latach namiętności następują lata, w których mężczyzna, chcąc zasłużyć na szacunek, potrzebuje oprzeć się na jakim poważnem stanowisku. Mój syn nie ma majątku, a przecież gotów jest przełać na ciebie puściznę po matce. Jeżeliby przyjął ofiarę, którą chcesz pani dla niego zrobić, honor i godność nakazują mu wzamian zrobić to przelanie. Lecz on nie może przyjmować twej ofiary, bo świat, który ciebie nie zna, nadałby temu faktowi inny pozór, jaki nie powinien leżeć na imieniu naszym. Nie uważanoby na to, czy Armand panią kocha, czy go ty kochasz, czy ta podwójna miłość jest dla niego szczęściem a dla ciebie rehabilitacją, wiedzianoby tylko jedną rzecz, to jest, że Armand Duval pozwolił na to, by dziewczyna utrzymywana, wybaczonej, że ci to zmuszony jestem powiedzieć, sprzedała dla niego wszystko, co miała. Później przyszłyby dni wyrzutów i żalów, bądź tego pewna, tak dla ciebie, jak i dla niego, i oboje dźwigalibyście kajdany, których nie moglibyście skruszyć. Cóżbyście wówczas robili? Twoja młodość stracona, przyszłość mego syna zniszczona, a ja, jego ojciec, otrzymałbym nagrodę tylko w jednym dziecięciu, spodziewając jej się od dwojga.

Jesteś pani młoda, piękna, życie cię pocieszy, jesteś szlachetna, a wspomnienie dobrego czynu odkupi wiele złego z przeszłości. Od sześciu miesięcy, jak cię Armand zna, zapomniał o mnie zupełnie. Cztery razy do niego pisałam, a on nie pomyślał o odpowiedzi dla mnie ani razu. Mogłem umrzeć, a onby o tem nie wiedział.

Jakiekolwiek są wasze zamiary, żyć inaczej, jakieście dotąd żyli, Armand, który panią kocha, nie zezwoli na zamknięcie się, na jakie skazani będziecie wskutek skromnej waszej pozycji, a która dla twej piękności nie jest odpowiednia. Kto wie, coby wówczas robił. Grał, o tem wiem, lecz w chwili upojenia mógłby stracić część tego,

com zebrał przez ciąg lat wielu na posag mej córki, dla niego i dla spokoju mych dni w starości. To, co mogło się było stać, może jeszcze się przytrafić.

Czy prócz tego jesteś pani pewna, że życie, które dla niego porzucasz, nie miałoby dla ciebie pociągu? Czy jesteś pewna, ty, która tyle kochałaś, że nie będziesz innego już kochała? Czy wreszcie, nie będziesz kiedyś cierpiała nad pętami, jakie wasz związek zarzuci na życie twego kochanego, a nie potrafisz go z nich uwolnić ni pocieszyć, jeśli z wiekiem myśli ambitne nastąpią po snach miłości? Pomyśl nad tem wszystkim, pani, kochasz Armanda, dowiedz mu tego jedynym sposobem, jaki ci jeszcze został: poświęcając dla jego przyszłości twą miłość. Jeszcze nie było nieszczęścia, ale będzie, a może daleko większe, niż to, które przewiduję. Armand w zazdrości może wyzwać człowieka, który cię dawniej kochał, mogą się bić, może być wreszcie zabitym i pomyśl, co byś odrzekła ojcu, któryby przyszedł pytać się ciebie o rachunek z życia swego syna.

Nakoniec, moje dziecię, wiedz jeszcze o tem, bo ci nie wszystko powiedziałem, co mię sprowadziło do Paryża. Mam córkę, młodą, piękną, czystą jak anioł. Ona kocha i ona także zrobiła z tej miłości marzenie swego życia. Pisałem o tem wszystkim do Armanda, ale całkiem zajęty panią, nie odpowiedział mi. Otóż moja córka idzie zamaż. Zaślubia człowieka, którego kocha, wchodzi na łono szanownej rodziny, chcącej, by i w mojej wszyscy byli tacy. Rodzina człowieka, mającego być moim zięciem, dowiedziała się, jak Armand żyje w Paryżu, i oznajmiła mi, że cofnie swe słowo, jeśli Armand będzie tak żył dalej. Przyszłość dziecka, które nic ci nie jest winno, a które ma prawo liczenia na przyszłość, jest w twoich rękach.

Czy masz pani prawo i czy czujesz w sobie siłę do zniszczenia jej? W imię twej miłości i żalu, Małgorzato, zwróć mi szczęśliwą dolę mej córki.

Plakałam cicho, mój drogi, słysząc te uwagi, które nieraz sobie sama robiłam, a które w ustach twego ojca nabierały strasznej rzeczywistości. Mówiłam sobie to, co mi twój ojciec nie śmiał powiedzieć, a co mu kilkakroć wieszalo się na ustach: że wkońcu jestem tylko dziewczyną utrzymywaną i, jakkolwiek powód dam naszemu związkowi, będzie on zawsze wyglądał na rachunek: że moja przeszłość nie daje mi prawa do marzenia o podobnej przyszłości i że przyjmuję odpowiedzialność, której nie gwarantują ani moje przyzwyczajenia, ani moja reputacja. Wreszcie, kochałam cię, Armandzie. Sposób, w jaki mówił do mnie pan Duval, czyste uczucia, jakie budził w mej duszy, szacunek dla tego prawego serca, jaki miałam, szacunek twój, jaki, spodziewam się, mieć będę kiedyś, wszystko to budziło w mem sercu szlachetne porywy, wznoszące mię we własnem przekonaniu, i jakąś świętą, nieznaną mi dotąd próżność. Gdym sobie pomyślała, że kiedyś ten starzec, proszący o przyszłość swego syna, powie córce, by dodawała do modlitwy za brata moje imię, jako tajemniczej przyjaciółki, całkiem zmieniłam się i dumna byłam z siebie.

Egzaltacja chwilowa zapewne przesadzała istotną prawdę tego wrażenia, ale doświadczałam tego, i to uczucie kazało zamilknąć wspomnieniom dni, szczęśliwie z tobą spędzonych.

— To dobrze, panie — rzekłam twemu ojcu, ocierając lzy. — Czy pan wierzysz temu, że kocham twego syna?

— Wierzę — rzekł p. Duval.

— Miłością bezinteresowną?

— Tak.

— Czy wierzysz pan temu, że ta miłość była nadzieją, marzeniem i przebaczeniem mego życia?

— Wierzę.

— No więc, panie, ucałuj mnie tak, jakgdybyś całował twą córkę, a przysięgam ci, że ten pocałunek jedyny, prawdziwie czysty, jaki otrzymałam, zrobi mię silną wobec mej miłości i że za tydzień twój syn wróci do ciebie, może nieszczęśliwy, ale wyleczony na zawsze.

— Jesteś pani szlachetną dziewczyną — rzekł twój ojciec, całując mię w czoło — bo spełniasz rzecz, za którą cię Bóg wynagrodzi — ale lękam się, czy co zrobisz z mym synem.

— O! bądź pan spokojny — znenawidzi mię.

Trzeba więc było wznieść między nami nieprzebytą zaporę.

Napisałam do Prudencji, że przyjmuję propozycję hrabiego de N... i by mu zarazem powiedziała, że dziś będę z nim jadła kolację.

Zapieczerowałam list i, nie mówiąc nic, co on zawiera, prosiłam twego ojca, by go odesłał według adresu, jak będzie zpowrotem w Paryżu.

Mimo to zapytał mnie, co w nim jest.

— Szczęście pańskiego syna — odrzekłam.

Ojciec ucałował mię po raz ostatni. Uczułam na mem czole dwie lzy wdzięczności, będące niejako chrztem, zmywającym niedawne błędy, i w chwili, gdy postanowiłam oddać się innemu człowiekowi, jaśniałam całą dumą, myśląc, czem odkupuję ten błąd nowy.

Było to bardzo naturalne, Armandzie — powiedziałaś mi przecież, że twój ojciec był najuczciwszym człowiekiem w świecie.

Pan Duval wsiadł do powozu i odjechał.

Byłam przecież kobietą i, gdym cię znów ujrzała, płakałam, ale nie słabłam.

Czy dobrze zrobiłam? pytam się sama siebie dzisiaj, leżąc chora w łóżku, które może opuścić, będąc już trupem.

Byłeś świadkiem, co czułam, w miarę jak się zbliżała godzina naszego rozstania; twego ojca nie było, by mnie wsparł, a była chwila, w której chciałam ci wszystko wyznać, tak byłam zdziwiona myślą, że ty mię masz nienawidzić i gardzić mną.

Może nie wierzysz temu, Armandzie, ale ja prosiłam Boga, by mi dał siłę, a że mi ją dał, to najlepszy dowód, że mię wysłuchał.

Przy kolacji jeszcze potrzebowałam pomocy, bo sama nie wiedziałam, co robiłam, tak bałam się, by mi nie zabrakło odwagi.

Kłoby był powiedział, że ja, Małgorzata Gautier, tyle będę cierpieć na samą myśl o nowym kochanku.

Piłam wiele, by zapomnieć, a gdym się nazajutrz obudziła, byłam już u hrabiego.

Oto cała prawda, przyjacielu, sądz i przebacz tak, jak ci przebaczyłam wszystko złe, coś mi zrobił od onej chwili».

ÉDMOND ROSTAND

(1868—1918)

PIEŚŃ DO SKRZYDEŁ

(Wyjętek)

Tedy, jako mówiono, był Wiek bez polotów
I bez uniesień dusza,
Gdy nagle znów do Czynu stał się człowiek gotów,
Znów Rycerz w świat wyrusza.

Bohater, co przebywał pod swoim namiotem,
Jak one greckie męże,
Nagle rozrywa płótno i wznosi się potem,
Gdzie wzrok go nie dosięże.

Było tam zwojów trochę, to płótno, przestrzeń, głusza,
I człowiek wznosił się śmiało;
Wszak o tem nie czytano w bajkach Owidjusza:
Wielu z nas to widziało.

Napróżno się przyczepia do wątych spoidel
Ikara zwid szalony.
Czas nastał, aby dzisiaj śpiewać Pieśń do Skrzydeł:
Bojaźni zmiłkły dzwony.

Wszystko jest dla człowieka możliwe na świecie,
 On w wieczność myśl zachwali,
 Bowiem na niewidzialnym rozpostrze się grzbiecie,
 Na niewidzialnej fali.

Latawce, wznies swe loty ponad traw poszumy,
 Wzbij się w podniebne skwary;
 Odwaga niech ci sławą będzie, a bez dumy
 Przyjm różnyh losów dary.

Kołysz się w wicherze plynnyh, tańcz, prując przestrzenie,
 I chwilę stań w próżnicy,
 Niechaj Ptaka ziemskiego olśnił nasze ziemie,
 Ozłoci blask pszenicy!

A ty, słońce przepiękne, co twojego dzionka
 Gasnące szuka oko,
 Przyjmij orła nowego, co naksztalt skowronka
 Wzrósł wgórę tak wysokol

«Cantique de l'Aile» (L'Illustration, 1911)

Tłum. Józef Gluziński.

CYRANO DE BERGERAC

Akt I, scena IV

Cyrano: Idź 'waść, lub się wytłumaczysz,
 Czemu ciągle na nos mój patrzysz?
 Natręt: Pan wybaczysz...
 Cyrano: Cóż jest w nim tak dziwnego?
 Natręt: Wasza łaska w błędzie...
 Cyrano: Czy się kołysz, jakby trąba?
 Natręt: Niech pan będzie
 Pewny...
 Cyrano: Lub podobny do sowego dzioba?
 Natręt: Ależ...
 Cyrano: Czyż ma brodawka, to się nie podoba?
 Natręt: Gdzież tam...
 Cyrano: A jeśli mucha w tej chwili przypadkiem
 Chodzi po nim powoli, czyż to jest tak rzadkiem
 Zjawiskiem?
 Natręt: Ależ wcale...
 Cyrano: I czemuś niebywałem?
 Natręt: By nie spojrzeć nań nawet, ściśle przestrzegalem!
 Cyrano: Dlaczego, jeśli łaska, nie chcesz go aść widzieć?
 Natręt: Bo, bo, przecie...
 Cyrano: Więc chyba on cię musi brzydzić?
 Natręt: Ależ panie, bynajmniej!
 Cyrano: Barwa jego może
 Zda się panu niemila, niezdrową?
 Natręt: Broń Boże!
 Cyrano: Jest-że on, zdaniem pana, nieprzystojny kształtem?
 Natręt: Anim myślał.
 Cyrano: Więc czemu poniżać go gwałtem?
 Przypuszczam, wielkość jego razić pana musi?
 Natręt (jąkając się): Ależ nnos ppański mały mmałeńki... malusi!

Cyrano: Do kroćset, nos mój mały! I waść taką śmie mi Obelgę rzucić!

Natręt: Boże!

Cyrano: Mój nos jest olbrzymił
O, nędzny płaskonosie, ty głowo-makówko!
Wiedz, że się czuję dumny taką przybudówką!
Bo nos duży wiadomo znakiem niewątpliwym,
Że ten, co go posiada, jest człowiekiem tkliwym,
Odważnym, miłym, dobrym, dowcipnym i hojnym,
Słowem takim, jak jestem; jakim, bądź spokojnym,
Ty nie zostaniesz nigdy, bo nędzna facjata,
Do której sięgam tutaj wzwyż twego krawata,
Jest również pozbawiona

(Daje mu poticzek; natręt wydaje krzyk)

Dumy, wspaniałości,
Polotu, czucia, blasku oryginalności,
Nosa, wreszcie, jak inna, do której się zbliża
But mój w obecnej chwili niżej twego krzyża.

(W ciągu tego chwytła go za ramiona i odwraca)

Natręt *(umykając)*: Ratunku!

Cyrano: Tak więc gawron, który się odważy
Niewczesne stroić żarty ze środka mej twarzy,
Ostrzeżony. A nadto, zanim zaczniesz czmychać,
Jeśli to był szlachcic, mam zwyczaj mu wpychać
Zprzodu i nieco wyżej kawałek niektóry
Żelaza błyszczącego miast kawałka skóry!

De Guiche *(schodząc ze sceny ze złotą młodzieżą)*: On mnie nudził!

Wicehrabia Valvert: Samochwał!

De Guiche: Nikt mu słowem żadnem
Nie odpowie?

Valvert: Jakto? Nikt? — Dowcipem paradnym
Tak mu przytnę, że chelpić nie będzie się dłużej.

(Zbliża się do Cyrana)

Mój panie, he, he, ty masz he... nos... bardzo duży.

Cyrano *(poważnie)*: Bardzo.

Valvert *(śmiejąc się)*: Chał chał!

Cyrano *(niewzruszony)*: To wszystko?

Valvert: Bo...

Cyrano: Ho, mój młodziku!

Nadto jesteś treściwy, mogłeś być bezliku
Rzeczy powiedzieć, w różne uderzając tony.
Ot na przykład, zaczepnie: «Bym był obdarzony
Nosem takim potężnym, bezzwłocznie i raźnie
Żądałbym amputacji». Albo też przyjaźnie:
«Pewno w czarce, gdy pijesz, nurza się nos pana?
Czemu nie obstalujesz sobie roztruchana?»
Małowniczo: «To skała, to góra, lub raczej...
Przylądek... nie — półwysep!» — Ciekawie: «Wybaczy
Pan, że spytałem, do czego ten długi futerał?
Czyżby nożyczki lub też kalamarz zawierał?»
Z wdziękiem: «Czy jesteś takim ptaków lubownikiem,
Że pragniesz je przynęcić tym, ot, gołębnikiem?»
Żartobliwie: «Powiedz pan, kiedy lulkę palisz
I dym nosem wypuszczasz, to twój sąsiad zaliż

Nie zawoła, że palą się w twym kominie sadze?)
 Życzliwie: «Pan pamiętaj o ciał równowadze!
 Pod wpływem przyciągania łatwo padniesz plackiem
 Na ziemię!» Z uprzejmością: «Kto się takim cackiem
 Cieszy, niech parasolem od słońca je strzeże».
 Pedancko: «Arystofan jedno tylko zwierzę
 Opisuje o takiej na czole narości,
 Złożonej z mięsa, chrząstek, na podstawie z kości;
 Hipo-camp-elefanta-melos zwał się taki
 Zwierz dziwny». Lub wesoło: «Modneż są te haki?
 By powiesić ubranie, nowość to dogodna?»
 Z powagą: «Żaden wicher, rzecz to niezawodna,
 Nie sprawi ci kataru, nosie, chyba może
 Cyklon». Albo też: «Myszę, że Czerwone morze
 Powstaje, kiedy z tego oto nosa krew płynie».
 Z podziwem: «Ten pachnidel fabrykant zasłynię,
 Co nad sklepem zawiesi szyld tak doskonały».
 Poetycznie: «Tyś tryton w konchy wspaniały».
 Z prostotą: «Kiedyż zwiedzim ten piękny budynek?»
 Z uznaniem: «To się zowie — szczytem wchodzi w rynek!»
 Z prostacka: «Oj, la Boga, to ci nochal, panie!
 Zwiesił se wielgą rzepeę, cy malušką banię!»
 Po wojskowemu: «Cell pal! wprost na kawalerję!»
 Praktycznie: «Czy nie zechcesz puścić go w loterję,
 Bo z pewnością on będzie najgrubszą wygraną?»
 Wkońcu, Pirama skargę naśladowując znaną:
 «Harmonję rysów pańskich popsul ten odmieniec,
 Stąd mu wykwiła ciągle ten wstydu rumieniec».
 Oto, łaskawy panie, co byłbyś wygłosił,
 Gdyby twój mózg dowcipu choć cokolwiek nosił
 I gdybyś się rozumiał na ozdobnej mowie,
 Lecz ani żdźbło dowcipu nie tkwi w twojej głowie,
 Nędzna istoto, która z alfabetu cztery,
 Te przez które się piszesz, znasz tylko litery.
 A zresztą gdybyś umiał z fantazją i sprytem
 Mnie tutaj cisnąć przed tem kołem znakomitem.
 Wszystkie te, coś usłyszał, rozbrykane żarty
 Nie zdołałbyś powiedzieć ani części czwartej
 Od połowy pierwszego. Tą błazeńską gwarą
 Smagam się sam ochoczo, ale żadną miarą
 Nie dam, by mnie kto inny smagał w sposób taki!

De Guiche: Wicehrabio, daj pokój!

Valvert (*dusząc się ze złości*): Jak ten ladajaki

Szlachetka, co rękawiczek, wstążek ni galonów

Nie nosi, śmie pozwalać sobie takich tonów!

Cyrano:

Jam natomiast dbający o cześć, godność swoją;

To ma wytworność! Choć jak modniś się nie stroję.

Zaiste, im mniej próżnym, tem więcej ja dbałym.

Nigdy mnie nie widziano z honorem zszarzałym,

Zmiętym, z zasklepieniami oczyma sumienia,

Jakby co tylko wstały z długiego uśpienia,

Z niespłókaną zniewagą, z sławą nieodmytą

Z wszelakich wątpliwości. Chociaż złotolita

Nie błyszczę szatą, nie mam na sobie świecideł,

Powiewam pióropuszem, utworzonym z skrzydeł

Niezależności ducha, szczerości i prawdy,

- I na duszę, nie kibić, wkładam gorset zawdy,
By się wznosiła prosto. W czyny śmiałe własne
Idę przyozdobiony, jakby w wstążki krasne,
Wreszcie jakgdyby wasy dowcip swój najeżam,
Z jednej ludzkiej gromady do następnej zmierzam,
Brzając w prawdy słowa, jakoby w ostrogil
Mój panie...
- Valvert:
Cyrano: Rękawiczek nie noszę, błąd srogil
Miałem ja wprowadzić jedną, bez pary, odwieczną,
Lecz gdy mi się sprzykrzyła i była zbyt czną,
Na niemiłe mi lice ją pono rzuciłem.
- Valvert: Gbur, głupiec, grubjanin!
Cyrano (*zdejmując kapelusz i kłaniając się*): Al wielce mi miłem.
Jam jest Cyrano de Bergerac!
- Valvert: Błaźnie!
Cyrano: Sss!...
- Valvert (*który odchodził, odwraca się*): Co on mówi jeszcze?...
Cyrano: Że należy różnie
Nią poruszać, bo staje się sztywną, zdrewniałą;
Oto, co jest używać jej ruchu za mało.
Aj!...
- Valvert: Co to znaczy?
Cyrano: W szpadzie czuję rwanie.
Valvert (*wyciągając pałasz*): Jam gotów!...
- Cyrano: Sztych wybory się panu dostanie.
Valvert (*pogardliwie*): Poeta!...
- Cyrano: Tak, masz słusność, i to takim celnym,
Że gdy będę poruszał swym pałaszem dzielnym,
Jednocześnie dla pana balladę ułożę.
- Valvert: Balladę?
Cyrano: Dla waszmości to rzecz obca może,
Z trzech stron o ośmiu wierszach składa się ballada.
- Valvert (*tupiąc nogami*): Och!...
- Cyrano: Epilog o czterech na końcu przypada...
Valvert: Waćpan...
Cyrano: Machając bronią, zrymuję balladę,
Przy końcu epilogu poczujesz mą szpadę.
- Valvert: Nic z tego!
Cyrano: Nic? (*deklamuje*) «Ballada historję nieznaną
Głosi o pojedynku pana de Cyrano
I pewnego lajdaka w Burgundzkim pałacu».
- Valvert: Cóż to ma być?
Cyrano: To tytuł.
- Sala (*w podnieceniu*): Och, zabawa!... Z placu
Ustąpić proszę... Cicho... Widowisko nowe...
- (*Wszyscy tworzą kółko: młodzież złota, oficerowie, mieszczenie i lud. Damy powstają w łóżkach. Na prawo de Guiche i szlachta*)
- Cyrano: Cierpliwości!... Szykuję me rymy... gotowe!
(*Wykonywa stopniowo to, co wygłasza*)
Wionął mi kapelusz z czoła,
Gładko płynie wiersz ballady
I płaszcz zsunął się dokoła,
Więc dobywam swojej szpady,
Grzeczny, zwinnie, pełen swady.
Dowiedz się, mój dudku-wrogu,

Któryś ze mną szukał zwady,
 Że cię zmacam w epilogu.
 Poco wtykać palce w koła?
 Teraz niema na to rady,
 Że cię moja szpada goła
 Naszpikuje do nasady.
 Wstęgi, taśmy i zakłady
 Na twem sercu, mój rarogu,
 By ukarać twe brawady,
 W brzuch cię trafię w epilogu.
 Wtem mi przepadł rym na ...oła,
 Aleś ty jak płótno blady,
 Byś mógł rzec, że tchórz dokola
 Cię obleciał, szepcząc rady.
 Brzęk! paruję twoje zdrady,
 Gdy już jesteś w kozim rogu.
 Wzywaj Marsa lub Pallady,
 Lecz cię zmacam w epilogu

(oznajmia uroczystie)

Epilog.

Idzie chwila twej zagłady,
 Mości panie, zleć się Bogu!
 Finta, sztyszek dla parady (zamierza się),
 Tusz!...

(Valbert chwieje się i pada, Cyrano kłania się publiczności)

Ot, koniec epilogu!

(Oklaski w łozach i okrzyki; kwiaty i chustki padają. Wojskowi otaczają Cyrana i win-
 szują. Przyjaciele wicehrabiego podtrzymują go i unoszą)

Tłum: Aach!...

Szwolęzer: To wspaniałe!

Dama: Ładne bardzo.

Requeneau: Gigantyczne!

Le Bret: Szaleństwo!

Pierwszy ze złotej młodzieży: Niewidziane!

(Wkóło Cyrana słyhać):

Winszujemy! Śliczne!

Brawo!... Wielce udatne...

Głos kobiety: Bohater prawdziwy!

Muszkietier (zbliżając się do Cyrana): Wykonanie mistrzowskie! Panie, udział żywy

Brałem w pańskim triumfie; tupaniem w podłogę

Objawiłem uznanie! Zem znawcą, rzec mogę. (Odchodzi)

Cyrano (do Cuigu): Któż jest ten pan?

Cuigu: D'Artagnan.

Le Bret (do Cyrana, biorąc go pod ramię): Chodź, porozmawiajmy.

Cyrano: Bardzo chętnie, lecz wprzód tłumowi ujęć dajmy.

(Do Bellerosa)

Możem zostać?

Bellerose (z uszanowaniem): Bez kwestji!

(Słyhać krzyki za sceną)

Jodelet:

Ot, muzyka właśnie

Dla Montfleorego.

Bellerose (*uroczyście*): Sic transit...

(*Innym tonem do odźwiernego, żegnając ukłonem Cyrana*)

Niech światło nie gaśnie.

Zamknąć i pozamiatać; na próbę przyjdziemy
Krotochwili jutrzejszej, gdy kolację zjemy.

(*Jodelet i Bellerose wychodzą, złożwszy głębokie ukłony*)

Odźwierny (*do Cyrana*): Pan na obiad?

Cyrano: Nie idę.

Le Bret: Bo?...

Cyrano (*po odejściu odźwiernego*): Nie mam pieniędzy.

Le Bret: Jakto? worek talarów, rzucony pomiędzy
Komedjantów?...

Cyrano: Dzień jeden twoje życie trwało,
Darze ojcowski!

Le Bret: A więc nic ci nie zostało,
By przeżyć miesiąc?

Cyrano: Nic...

Le Bret: O! jakim głupstwem setnem
Było rzucić ten worek!

Cyrano: Ale ruchem świetnym.

Roznosicielka: Hm...

(*Cyrano i Le Bret odwracają się. Ona zbliża się nieśmiało*)

Wiedzieć, że pan głodny, serce pęka przecie.

(*Wskazując bufet*)

Jest wszystko, bardzo proszę...

(*Z uczuciem*)

Weź pan.

Cyrano (*zdejmując kapelusz*): Moje dziecię,

Choć duma Gaskończyka wzbrania mi surowo
Przyjąć cokolwiek, jednak, ponieważ odmową
Sprawilbym przykreść, wezmę od ciebie, panienko,

(*Idzie do bufetu i wybiera*)

Rzecz małą, z winogrona to jedno ziarenko.

(*Ona chce mu dać grono, on zrywa tylko ziarnko*)

Jedno tylko i szklankę wody

(*Ona chce mu nalać wina, on ją wstrzymuje*)

Przezroczystej,

I pół makaronika.

(*Oddaje drugą połowę*)

Le Bret: Nierozsądek czysty!

Roznosicielka: Och! co więcej!

Cyrano: Tak, rękę do pocałowania.

(*Całuje ją w rękę, jak księżniczkę*)

Roznosicielka: Dziękuję (*ukłon*)

I dobranoc (*wychodzi*).

Tłum. Marja Chwalibóg.

PROSPER MÉRIMÉE

(1803—1870)

CARMEN

III

Urodziłem się w Elizondo, w dolinie Baztan. Nazywam się don José Lizzarra-beugoa; zna pan o tyle Hiszpanję, aby z mego imienia natychmiast poznać, że jestem Baskiem. Jeżeli piszę się don, to że mam do tego prawo; gdybym był w Elizondo, pokazałbym panu mój rodowód na pergaminie. Rodzice chcieli, abym został księdzem i dali mnie kształcić, ale nie szło mi to do głowy. Zanadto lubiłem grać w piłkę, i to mnie zgubiło. My, ludzie z Navarry, kiedy gramy w piłkę, zapominamy o wszystkim. Jednego dnia, kiedy wygrałem partję, chłopak jeden z Alava szukał ze mną burdy; chwyciliśmy nasze maquilas (okute kije Basków), i znowu ja byłem górą; ale przez to musiałem opuścić kraj. Spotkałem dragonów i zaciągnąłem się do pułku. My, górale, łatwo uczymy się żołnierskiego rzemiosła. Niebawem zostałem kapralem i obiecywano mnie zrobić sierżantem, kiedy, na moje nieszczęście, postawiono mnie na warcie przy fabryce tytoniu w Sewilli. Jeżeli pan był w Sewilli, musiał pan widzieć ten wielki budynek, poza wałami, blisko Gwadalkwiwuru. Zdaje mi się, że widzę jeszcze bramę i strażnicę tuż obok. Hiszpanie, kiedy mają służbę, grają w karty albo śpią; ja, jako szczerzy Nawarczyk, zawsze starałem się czemś zająć. Robiłem łańcuszek z mosiężnego drutu, aby nosić na nim przetyczkę do fuzji. Naraz koledzy mówią: «Oho, dzwon słychać, dziewczęta będą wracały do roboty». Wiadomo panu zapewne, że w fabryce zajętych jest kilkadziesiąt dziewcząt. To one zwijają cygara w wielkiej sali, do której mężczyźni nie wchodzi bez specjalnego pozwolenia, ponieważ one się tam rozbierają, zwłaszcza młode, kiedy jest gorąco. W porze, kiedy robotnice wracają z obiadu, wielu młodych ludzi czeka na nie w przejściu, i dopieroż umizgają się do nich, co wlezie! Mało która z tych panienek odmówi jedwabnej mantylki; to też, przy tym polowie, amatorzy potrzebują tylko się schylić, aby pochwycić rybkę. Gdy inni się gapili, ja siedziałem na swojej ławce, koło drzwi. Byłem wówczas młody i myślałem wciąż o swoich stronach; nie przypuszczałem, aby mogła być ładna dziewczyna bez niebieskiej spódnicy i warkocza, spadającego na plecy. Zresztą, balem się Andaluzijkę; nie nawykłem jeszcze do ich obejścia: wciąż drwiny, nigdy rozsądnego słowa. Siedziałem tedy nad swoim łańcuszkiem, kiedy usłyszałem jak cywile mówią: O, o, Gitanilla! Podniosłem oczy i ujrzałem ją. Było to w piątek, nie zapomnę tego dnia nigdy. Ujrzałem tę Carmen, którą pan znasz, u której spotkałem pana przed kilkoma miesiącami.

Miała czerwoną spódnicę bardzo krótką, poniżej której widać było białe jedwabne pończochy, dobrze dziurawe, oraz małe trzewiczki z czerwonego sałjanu, przymocowane wstążkami koloru płomienia. Rozchyliła mantylkę w ten sposób, aby pokazać ramiona i duży bukiet kasj, sterczący z za koszuli. Miała też kwiat kasji w kącie ust — i szła, kołyszając się w biodrach, niby klacz z kordowańskiej stadniny. W naszych stronach na widok kobiety w tym stroju każdyby się przeżegnał. W Sewilli każdy rzucał jej dwuznaczny komplement; odpowiadała każdemu, zwracając oczyma, z ręką na biodrach, bezczelna jak prawdziwa cyganka, którą też i była. W pierwszej chwili nie podobąbała mi się, wróciłem też do swojej roboty; ale ona, obyczajem kobiet i kótów, które nie przychodzą, kiedy je wołać, a przychodzą, kiedy ich nie wołać, zatrzymała się i zwróciła się do mnie:

— Kumoterku — rzekła modą andaluzyjską — czy zechcesz mi dać ten łańcuszek: nosiłabym na nim klucze od mojej kasy.

— To na przetyczkę do strzelby — odparłem.

— Do strzelby! — wykrzyknęła, śmiejąc się. — Myślałam, że pan dobrodziej będzie robił koronkę tem szydełkiem.

Wszyscy zaczęli się śmiać, ja czulem, że się czerwienię, i nie umiałem nic odpowiedzieć.

— Doskonale, moje serduszko — podjęła — zrób mi siedm łokci czarnej koronki na mantylkę, ty moja słodka koronczarko!

I, wyjmując kwiat kasji, który miała w ustach, rzuciła mi go zręcznym ruchem wielkiego palca wprost między oczy. Panie, to mnie tak ugodziło, jak kula... Nie wiedziałem, gdzie się podziąć, stałem nieruchomy jak słup. Kiedy weszła do fabryki, spostrzegłem kwiat kasji, który upadł mi pod nogi; nie wiem, co mi się stało, ale podniosłem go tak, żeby koledzy nie widzieli, i schowałem troskliwie do kieszeni. Pierwsze głupstwo!

W parę godzin później myślałem o tem jeszcze, kiedy wpada na strażnicę odzwierny bez tchu, zmieniony na twarzy. Powiada, że w wielkiej sali fabrycznej zamordowano kobietę, i że trzeba tam posłać straż. Sierżant każe mi wziąć dwóch ludzi i iść zobaczyć. Biorę dwóch ludzi i idę. Niech pan sobie wyobrazi, iż, wszedłszy do sali, widzę najpierw trzysta kobiet w koszuli lub prawie — wszystkie krzyczą, wyją, wymachują rękami, robią hałas taki, że grzmotu nie usłyszałbyś. Z jednej strony leży jedna nawznak, okryta krwią, z twarzą naznaczoną w kształt litery X dwoma cięciami noża. Nawprost rannej, którą opatrywały najpoczeiwsze dziewczęta z tej zgrai, widzę Carmen; kilka robotnic przytrzymuje ją. Zraniona kobieta woła: «Księżda! księżda! umieram!» Carmen nie mówiła nic; zaciskała zęby, toczyła oczyma jak kameleon.

— Co się stało? — spytałem. Z trudem dowiedziałem się, co zaszło, bo wszystkie robotnice mówiły naraz. Zdaje się, że zraniona kobieta chwaliła się, że ma w kieszeni dosyć pieniędzy, aby kupić osła na jarmarku w Triana. «Ej» — rzekła Carmen, która miała ostry języczek — «nie wystarczy ci już miotła?» Tamta, dotknięta przymówką (może i miała nieczyste sumienie w tej mierze), odparła, że nic jej po miotle, ile że nie ma zaszczytu być chrześniaczką szatana, ale że panna Carmen pozna się niebawem z jej osłem, kiedy p. koregidor zaprowadzi ją na przechadzkę z dwoma lokajami, idącymi za nią, aby ją odganiać od much. «A ja» — powiada Carmen — «zrobię ci na twarzy koryto do picia dla much i narysuję ci szachownicę». Na to ciach, ciach! nożem, którym uciniała końce cygar, kreśli jej krzyż św. Andrzeja na policzku.

Sprawa była jasna; ująłem Carmen za ramię: — Moja panno — rzekłem grzecznie — trzeba iść za mną. Rzuciła mi spojrzenie takie, jakby mnie poznała, ale rzekła tonem rezygnacji:

— Chodźmy. Gdzie mój płaszczyk? — Włożyła go na głowę w ten sposób, iż było widać tylko jedno wielkie oko, i poszła za memi dwoma ludźmi, potulna jak baranek.

Skoro przybyliśmy na strażnicę, sierżant orzekł, że rzecz jest poważna i że trzeba odprowadzić dziewczynę do więzienia. Znowu ja miałem ją eskortować. Umieściłem ją między dwoma dragonami i szedłem z tyłu, jak jest powinnością kaprała w takich razach. Zrazu cyganka milczała, ale na ulicy Wężej — zna ją pan, zasługuje na swoją nazwę, tak bardzo jest kręta — otóż na ulicy Wężej zaczyna od tego, że opuszcza płaszczyk na ramiona, aby mi pokazać swój szelmowski buziak, i obracając się ku mnie, rzecze:

— Panie oficerze, dokąd mnie pan prowadzi?

— Do więzienia, moje biedne dziecko — odparłem najłagodniej, jak umiałem, tak jak dobry żołnierz powinien mówić do więźnia, a zwłaszcza do kobiety.

— Och! i cóż się tam ze mną stanie? Panie oficerze, niech się pan zlituje nade mną. Pan jest taki młody, taki ładny!... — Potem nieco ciszej: — Niech mnie pan puści — rzekła — a dam panu kawałek bar lachi, który sprawi, że wszystkie kobiety będą pana kochały.

Bar lachi, proszę pana, to kamień magiczny, o którym cyganie twierdzą, że można nim czynić wiele czarów, o ile ktoś umie go używać. Dajcie się napić pożądanej kobiecie trochę tego kamienia, utartego w białem winie, a nie oprze się wam. Odpowiedziałem najpoważniej:

— Nie jesteśmy tu poto, aby się bawić głupstwami; trzeba iść do więzienia, taki rozkaz i niema rady.

My, ludzie z kraju Basków, mamy akcent, który pozwala z łatwością odróżnić nas od Hiszpanów; wzamian nie znajdzie się tu ani jednego, któryby zdołał się na-

uczyć mówić bodaj: bai, jaona (tak, panie). Carmen odgadła tedy bez trudu, skąd pochodzę. Wiadomo panu, że cyganie, jako nienależący do żadnego kraju, wędrujący ciągle, mówią wszystkimi językami; większość jest jak u siebie w domu w Portugalji, we Francji, u Basków, w Katalonji, wszędzie; dogadają się nawet z Maurami i z Anglikami. Carmen umiała dość dobrze po baskijsku.

— Laduna ene bihotsarena, miły ziomku — rzekła nagle do mnie; — czyś ty z naszych stron?

Nasz język, panie, jest tak piękny, że kiedy go usłyszymy w cudzoziemskim kraju, serce nam omdlewa... Chciałbym mieć spowiednika stamtąd, od nas, dodał ciszej bandyta.

Po chwili milczenia podjął:

— Jestem z Elizondo — odpowiedziałem po baskijsku, wzruszony mocno, że słyszę rodzinną mowę.

— Ja jestem z Etchalar (to wioska o cztery godziny od nas). Cyganie porwali mnie do Sewilli. Pracowałam w fabryce tytoniu, aby zarobić na powrót do Nawarry, do mojej biednej matki, która ma za całą podporę tylko mnie i mały bareteca (ogródek) z dwudziestoma jablonkami! Ochi, znaleźć się znów tam, u nas, wśród białych gór! Znieważono mnie, ponieważ nie jestem z tego kraju hultajów, przekupniów zgnitych pomarańcz; i te szelmy stanęły wszystkie przeciw mnie, ponieważ im powiedziałam, że ich dudki z Sewilli, ze swemi nożami, nie nastraszyłyby chwata z naszych stron, w niebieskim berecie i z maquilą (okuty kij) w garści. Bracie mój, przyjacielu, czy nie pomożesz swojej krajance?

Kłamała, panie, ona zawsze kłamała. Nie wiem, czy ta dziewczyna w życiu swoim powiedziała słowo prawdy; ale kiedy mówiła, wierzyłem jej; nie umiałem się oprzeć. Kłamała nasz język, a ja brałem ją za Nawarkę: same oczy jej i usta, i płeć świadczyły, że jest Cyganką. Oszalałem, nie zważałem już na nic. Myślałem, że gdyby Hiszpanie ośmielili się źle mówić o moim kraju, pokrajalbym im twarz, tak samo, jak ona zrobiła swojej koleżance. Krótko mówiąc, byłem jak pijany; zaczynałem mówić głupstwa, gotów byłem je robić.

— Gdybym cię popchnęła, i gdybyś upadł, mój bracie — podjęła po baskijsku — to pewna, że te dwa kastyljskie rekruty nie zdołałyby mnie zatrzymać...

Daję słowo, zapomniałem o rozkazie i o wszystkim i rzekłem:

— A więc, siostró, krajanko moja, próbuj, i niech Najświętsza Panna z Gór będzie ci pomocą.

W tej chwili przechodziliśmy koło jednej z tych wąskich uliczek, jakich tyle jest w Sewilli. Naraz Carmen odwraca się i uderza mnie pięścią w pierś. Padam z umysłu nawznak. Jednym susem skacze przeze mnie i zmyka pędem, pokazując nam parę nówek, i co za nówek!... Mówi się «nogi baskijskie»: te z pewnością nie ustępowały im... a szybko, a zgrabne! Ja zrywam się natychmiast, ale chwytam lancę wpoprzek, zamykając nią ulicę, tak iż w pierwszej chwili wstrzymałem pościg moich towarzyszków. Potem zacząłem sam pędzić, i oni za mną: ale dogonić ją! Nie było obawy, z naszymi ostrogami, szablami, lancami! W krótszym czasie niż trzeba, aby to opowiedzieć, znikła nam z oczu. Zresztą wszystkie kumoszki z dzielnicy pomagały jej w ucieczce, drwiąc sobie z nas i pokazując nam mylną drogę. Po wielu marszach i kontrmarszach trzeba nam było wrócić na strażnicę bez poświadczenia od zarządu więzień.

Moi ludzie, aby uniknąć kary, zeznali, że Carmen mówiła ze mną po baskijsku, i aby rzec prawdę, nie wydało się rzeczą naturalną, aby jedno uderzenie pięści tak drobnej dziewczyny obaliło dryblasa takiego jak ja. Wszystko to wydało się mętne lub raczej zbyt jasne. Zdegradowano mnie i posłano na miesiąc do więzienia. Była to pierwsza kara od czasu mej służby. Bywajcie zdrowe, galony sierżanta, które zdawały się już tak pewne!

Tłum. Boy-Żeleński.

ÉMILE ZOLA

(1840—1902)

PIENIĄDZ (L'ARGENT)

...W pierwszych dniach grudnia akcje Banku Powszechnego podskoczyły na dwa tysiące siedemset franków, wśród chorobliwego rozgorączkowania, które opanowało całą giełdę. Największym niebezpieczeństwem groził objaw wzmaganie się wciąż niepokojących pogłosek; zwyżka nie ustawała, chociaż nieznośny jakiś ucisk czuć się dawał. Zapowiadano już teraz głośno, że prędzej lub później katastrofa nastąpić musi, a jednak akcje szły w górę, parte siłą szalonego zacierzwienia, którego rzeczywistość nawet uśmierzyć nie była zdolna. Saccard żył już tylko przesadnymi marzeniami o triumfie, a choć potoki złota, które za jego sprawą spływały na Paryż, otaczały mu skronie aureolą chwały, przeczuwał jednak, że grunt z pod nóg mu się usuwa i że lada chwila gmach cały w gruzy runąć może. To też, jakkolwiek przy każdej likwidacji zwycięstwo przechylało się na jego stronę, nie przestawał jednak zżymać się na zniżkowców, którzy musieli już ponieść bardzo dotkliwe straty... Dlaczegoż cała klika żydowska sprzysięgła się na jego zgubę?... Czyż nie uda mu się wreszcie zmusić ich do złożenia broni?... Najwięcej gniewało go przypuszczenie, że oprócz Gundermanna znajdowali się inni sprzedawcy, odstępcy od Banku Powszechnego, zdrajcy, którzy zachwiali się w wierze i, przeszedłszy do obozu nieprzyjacielskiego, śpieszyli zrealizować swoje akcje.

Pewnego dnia pani Karolina, wysłuchawszy pełnych goryczy jego utyskiwań, czuła się w obowiązku wyjawienia mu całej prawdy.

— Czy wiesz, mój drogi, że i ja także sprzedałam?... Wczoraj właśnie sprzedałam ostatnie tysiąc akcji po kursie dwóch tysięcy siedmuset franków.

Saccard oniemiał z przerażenia wobec tak ohydnej zdrady.

— Jakto? ty sprzedałaś akcje!... o Boże!...

Pani Karolina, zmartwiona szczerze jego rozpaczą, wzięła go za ręce i, ściskając je, przypominała, że oboje z bratem uprzedzali go o tem. Jerzy, dotąd jeszcze bawiący w Rzymie, pisywał do niej wciąż listy, pełne śmiertelnej obawy o tę szaloną, niewytłumaczoną zwyżkę, którą wszelkimi siłami należało powstrzymywać dla uniknięcia zupełnego upadku.

— Otrzymałam wczoraj list, w którym Jerzy nalega usilnie, abym sprzedała wszystko. Musiałam zastosować się do jego woli.

Saccard nie unosił się gniewem, jak zwykle; milczał przygnębiony co tem większą boleść sprawiało pani Karolinie. Wolalaby ona znieść jego niezadowolenie, aby go móc przekonywać i skłonić do zaniechania tej walki, która ostatecznie krwawą rzezią zakończyć się musiała.

— Posłuchaj mnie, mój drogi — mówiła łagodnie. — Nasze trzy tysiące akcji przyniosły przeszło siedem i pół miliona franków, nie jestże to zysk olbrzymi, niespodziewany?... Przyznaję, że cała ta masa pieniędzy przeraża mnie, nie mogę uwierzyć, aby one były rzeczywiście naszą własnością... Ale mniejsza zresztą o naszą korzyść osobistą. Zastanówże się chwilę nad losem tych wszystkich, którzy całe swe mienie złożyli w twe ręce; pomyśl, ile milionów ryzykujesz w zacieklej tej walce. W jakimże celu podtrzymujesz, a nawet podniecasz wciąż szaloną tę zwyżkę? Zewsząd dochodzą mnie wieści, że ostateczna katastrofa zbliża się, że uniknąć jej nie zdołamy... Niepodobna przecież liczyć na to, aby kurs podniósł się do nieskończoności, i nie masz się czego wstydzić, jeżeli akcje spadną do rzeczywistej ich wartości, gdyż wtedy dopiero bank oparłby się na niewzruszonych podstawach.

Nie mogąc pohamować się dłużej, Saccard zerwał się z krzesła:

— Ja chcę kursu trzech tysięcy franków... Kupowałem dotąd i nadal kupować będę akcje, chociażbym miał zdechnąć... Tak! niechaj przepadną, niech wszystko ze mną przepadnie, jeżeli nie doprowadzę do tego, aby akcje stały po trzy tysiące franków!

Po likwidacji z dnia 15 grudnia akcje podniosły się na dwa tysiące osiemset, następnie na dwa tysiące dziewięćset franków, a 21 tegoż miesiąca, wśród wzbu-

rzenia rozszalałych tłumów, ogłoszono na giełdzie kurs trzech tysięcy franków. Nie było już ani prawdy, ani logiki; pojęcie o wartości spaczyło się, utraciwszy rzeczywiste swoje znaczenie. Obiegały pogłoski, że Gundermann — wbrew zwykłej ostrożności — odważył się na zdumiewające ryzyko: podczas tych kilku miesięcy, gdy podtrzymywał zniżkę, straty jego zwiększały się olbrzymio co dwa tygodnie, w miarę wzrastania zwyżki; szeptano nawet pocichu, że on może wyjść z tej walki z pogruchotaniami żebrami. Zapal ogarnął wszystkich, spodziewano się cudu jakiegos.

W stanowczej tej chwili Saccard stanął u szczytu władzy, stał się wszechwładnym panem i królem, chociaż lękał się upadku i czuł, że grunt z pod nóg mu się usuwa. Gdy powóz jego stał na ulicy de Londres przed wspaniałym gmachem Banku Powszechnego, natychmiast wybiegał kamerdyner i rozkładał dywan, ciągnący się od schodów przedsionka przez chodnik aż do rynsztoka. Saccard raczył wysiadać wtędy i triumfalnie wstępował na schody, jak władca, nie dotykający stopą bruku ulicznego.

* * *

...Dookoła Saccarda skupiła się fala klientów, drżących z niepewności i łaknących słowa pociechy. Później dopiero zauważono, że Daigremont weale się tu nie pokazał, zarówno jak Huret, który, uprzedzony zapewne, stał się znowu wiernym słuzalcem Rougona. Kolb, stojąc na uboczu z kilkoma bankierami, udawał, że jest bardzo zajęty jakimś wielkim arbitrazem. Margrabia de Bohain, wyższy ponad obawę zmiennych kolei losów, przechadzał się spokojnie, zwracając na wszystkie strony blade, arystokratyczne oblicze. Nie lękał się on straty w żadnym razie, polecił bowiem Jacoby'emu kupić tyle akcji Banku Powszechnego, ile ich — także z jego polecenia — Mazaud miał sprzedać. Saccard, obłożony przez gromadkę łatwowiernych i naiwnych, okazywał szczególniejszą uprzejmość Sédille'owi i Maugendre'owi, którzy z drżącymi wargami, z oczyma pełnemi łez, błagali go, jak o jałmużnę, o słowo nadziei i zachęty. Serdecznie uściśnął im ręce, pragnąc uściskiem tym wyrazić niezachwianą pewność zwycięstwa, poczem uzalać się zaczął na drobne, nader blahe zmartwienie, iak człowiek przywykły do stałej pomyślności i nielekąjący się żadnego niebezpieczeństwa.

— Wyobraźcie sobie, panowie, jaka mię przykrość dziś spotkała!... Na taki ostry mróz pozostawiono u mnie na dziedzińcu krzak kamelji i zimny wiatr zwarzył delikatną roślinkę...

W mgnieniu oka skarga ta obiegła całą salę, wszyscy ubolewać zaczęli nad losem kamelji... Jakiż to dziwny człowiek ten Saccard!... Co za niepożyta energja!... Uśmiech na chwilę nie znika z jego twarzy, i niepodobna odgadnąć, czy jest to objaw istotnego zadowolenia, czy też maska, osłaniająca straszny niepokój, który dla każdego innego stałby się nieznośną męczarnią...

...Nareszcie ponad ruchliwą falą głów ludzi, miotanych niepokojem, rozległ się dźwięk dzwonu, który zdawał się jęczeć rozpaczliwie, jak dzwon, na trwogę bijący. Moraud, który w tej chwili właśnie dawał jakieś polecenia Flory'emu, podążył w stronę kosza, gdy tymczasem młody kantorowicz, zaniepokojony o samego siebie, pobiegł śpiesznie do telegrafu. Flory, trzymając się uparcie Banku Powszechnego, przegrywał już od pewnego czasu i tego dnia właśnie puścił się na wielkie ryzyko, do czego go skłoniła podsluchana pode drzwiami wiadomość o posiłkach, jakich się spodziewano od Daigremonta. W koszu panował taki sam niepokój, jak w sali, od czasu ostatniej likwidacji agencji dostrzegli wyraźnie groźne symptomy i czuli, że grunt z pod nóg im się usuwa. Długoletnie doświadczenie ostrzegało ich o niebezpieczeństwie. Częściowe niepowodzenia objawiać się już zaczynały; przeciążony i wyczerpany rynek rozpadał się ze wszystkich stron. Miały to być jeden z tych wielkich kataklizmów, które wydarzały się zazwyczaj co dziesięć lub co piętnaście lat?... Należało obawiać się śmiertelnego przesilenia owej gorączki, jaka ogarnęła wszystkich spekulantów... przesilenia, które od czasu do czasu dziesiątkuje giełdę i straszne szerzy zniszczenie? W przedziale gotówkowym i renty rozlegały się rozpaczliwe, stłumione krzyki; coraz liczniejsze gromady skupiały się wokoło trzech taksatorów, którzy siedzieli na wznie-

sieniach, trzymając pióra w rękach. W tejże chwili Mazaud, który z całej siły ścisnął oburącz aksamitną poręcz, spostrzegł po przeciwnej stronie Jacoby'ego, krzyczącego basowym głosem:

— Mam powszechnie! Po 2800, daję powszechnie!

Był to ostatni kurs małej giełdy z poprzedniego wieczoru. Mazaud uznał za stosowne przystać na tę cenę w nadziei, że tym sposobem uda mu się natychmiast ograniczyć zniżkę. Pomimo panującej wrzawy rozległ się donośnie piskliwy jego głos.

— Biorę po 2800!... Proszę dawać przysta powszechnych!

Dzięki temu ustanowiono zatem pierwszy kurs, którego Mazaud nie mógł jednak utrzymać. Ze wszystkich stron napływały nowe zaoferowania. Półgodzinna rozpaczliwa walka doprowadziła do tego jedynie, że kurs spadał wolniej i mniej gwałtownie. Mazaud dziwił się, dlaczego kulisa go nie podtrzymuje i co robi Nathansohn, od którego spodziewał się on zleceń kupna. Znacznie później dopiero dowiedziano się o zręcznej taktyce Nathansohna, który, dzięki żydowskiemu sprytowi, odgadłszy istotny stan rzeczy, kupował ciągle dla Saccarda, a sprzedawał na własny rachunek.

...Druga już wybiła, a Mazaud, na barkach którego ciążyło całe brzemie ataku, zaczął znowu tracić siły. Zdziwienie jego rosło z każdą chwilą, nie mógł on pojąć, dlaczego spodziewana pomoc dotąd nie przybywa... Czas upływa... na cóż więc czekano, aby go wyswobodzić z niepodobnej do utrzymania pozycji, w której nadaremnie wyczerpywały się jego siły?...

Nagle Delarocque rzucił się w wir walki i gardłowym, nieco ochrypłym głosem zawolał:

— Daję powszechnie! Daję powszechnie!

I w przeciągu kilku minut zaoferował za parę milionów akcji Banku Powszechnego. Ze wszystkich stron odzywały się odpowiedzi. Kurs spadał gwałtownie.

— Daję po 2400!... Daję po 2300!... Ile? — Pięćset! Sześćset... proszę dawać!

Co on mówi?... Co się to dzieje?... Czyż zamiast spodziewanych posiłków nowa armja nieprzyjacielska wypada z lasów sąsiednich? Jak pod Waterloo, Gruchy nie przybywał i zdrada dopełniała klęski. Paniczny strach ogarnął szeregi nowych sprzedawców, którzy w szyku bojowym pędzili naprzód.

...W ciągu ostatniej półgodziny coraz bardziej szerząca się panika unosiła tłumy w bezładnym galopie ucieczki. Po bezwzględnej ufności i gorączkowym zaślepieniu następowała reakcja trwogi: każdy śpieszył się sprzedać jak najprędzej, przed innymi, dopóki nie będzie za późno. Zlecenia sprzedaży gradem padały na kosz; na wszystkie strony widać było tylko padające kartki, a olbrzymie te paczki akcji, rzucane bez namysłu, przyspieszyły tylko zniżkę, czyniąc ją klęską istotną. Kurs spadł gwałtownie do 1500, do 1200, do 900 wreszcie. Nie było już kupujących, na opustoszałym poboju pozostaly tylko trupy. Ponad rojącem się mrowiskiem czarnych tużurków, trzech taksatorzy sprawiali wrażenie pisarzy wojskowych, którzy po walnej bitwie sporządzają listę poległych. Wobec poczucia klęski, jakie przenikało całą salę, wszelki ruch ustał, wrzawa zamarła skutkiem osłupienia, jakby po wielkiej katastrofie. Gdy po uderzeniu dzwonka, zwiastującego zamknięcie czynności, ogłoszono ostatni kurs 830, przerażająca cisza zapanowała wokół. Ulewny deszcz bił nieustannie o szyby, przez które przedzierało się zamglone światło; skutkiem wody, ściekającej z parasoli i rozdeptywanej przez tłum, sala zamieniła się w grząski grunt nieporządnie utrzymanej stajni, w brudne gnojowisko, po którym wałaly się wszelkiego rodzaju papiery. W koszu tymczasem jaśniała pstrokaczna zielonych, czerwonych i niebieskich kartek, które rzucano pełnemi garściami w takiej masie, że olbrzymia czara była niemi przepelniona.

...Po wyjściu Mazauda i Flory'ego wrzawa nie ucichła w sali; wszyscy skupiali się zwłaszcza koło Saccarda, który najwięcej ucierpiał w tej walce. Nie rozumiejąc w pierwszej chwili, co się dzieje, i urągając porażce, stawiał on czoło niebezpieczeństwu. Widząc wzmagający się ruch, przypuszczał w pierwszej chwili, że to szeregi Daigremonta nadciągają; potem jednak, gdy klęska stała się nieuknioną, gdy kurs gwałtownie spadać zaczął, wyczerzył wszystkie siły, by mężnie śmierć ponieść na sla-

nowisku. Lodowaty dreszcz wstrząsał nim od stóp do głowy; czuł, że stało się coś niepowetowanego, że bezwzględnie pokonany został, ale w boleści jego żadnej nie odgrywał roli niski żal straconych pieniędzy i rozkoszy; bolało go tylko upokorzenie, że poniósł klęskę, że Gundermann odniósł świetne, stanowcze zwycięstwo, które utwierdziło ponownie wszechwładzę tego króla złota. W tej chwili był on istotnie wspaniały: szczupła jego postać wyprostowała się, dumnie wyzywając los do walki; w twarzy i oczach, spoglądających śmiało, przebijał się wyraz zaciętego uporu, gdy sam jeden stawiał czoło rozpacz i wściekłości, wzbierającej falą i miotającej na niego przekleństwa. Cała sala kipiała, wylewała się w stronę jego filaru; pięści zaciskały się groźnie, usta bełkotały złorzeczenia; on zaś bezwiednie niemal miał wciąż na ustach uśmiech, który mógł się wydawać wyzwaniem do walki.

Najprzód Saccard dostrzegł, jakby przez mgłę, śmiertelnie bladego Mangendre'a, którego prowadził pod rękę kapitan Chave, z okrucieństwem drobnego gracza, uszczęśliwionego z upadku wielkich spekulantów, powtarzając mu, że oddawna należało spodziewać się klęski. Następnie Sédille z wykrzywioną twarzą, z błędnym wyrazem oczu bankrutującego kupca, podszedł do niego i podał mu drżącą rękę, jakby chcąc powiedzieć, że żadnej do niego nie rości pretensji. Margrabia de Bohain usunął się natychmiast po pierwszym wstrząśnieniu i, przeszedłszy do zwycięskiego obozu zniżkowców, opowiadał Kolbowi, który ostrożnie trzymał się na uboczu, że już od czasu ostatniego zebrania ogólnego stracił był ufność w działalność Saccarda. Przerażony Jantrou powtórnie zniknął z sali i pobiegł co tchu uwiadomić o ostatnim kursie baronową, która niewątpliwie dostać musiała ataku nerwowego, jak się to już kilka razy zdarzyło w dnie wielkiej przegranej.

A dalej znowu, naprzeciwno milczącego zawsze i tajemniczo Salomona stali zniżkowiec Moser i zwykowiec Pillerault: ten wyzywający i dumny, pomimo poniesionej porażki, tamten, nie pomnąc na odniesione zwycięstwo, dobrowolnie zatruwający sobie chwile szczęścia przewidywaniem smutnej przyszłości.

— Zobaczycie, że na wiosnę wybuchnie wojna z Niemcami... Wszystko to nie-dobrze się składa, a Bismarck wciąż na nas czyha.

— E! idźże pan do djabła z takimi prognostykami! I tym razem znowu zbladziłem, bom niepotrzebnie zastanawiał się tak długo... Tem gorzej dla mnie!... Ale to się naprawi i znowu wszystko pójdzie dobrze!

Do tej pory Saccard ani na chwilę nie okazał słabości. Wymówione poza jego plecami nazwisko poborcy rent z Vendôme, onego Fayeux, z którym pozostawał w stosunkach dla całej klienteli drobnych akcjonariuszów, sprawiło mu niewymowną przykrość: przywiodło mu bowiem na myśl olbrzymią masę biedaków, drobnych kapitalistów, którzy zostaną zmiażdżeni pod gruzami Banku Powszechnego. Widok śmiertelnie bladego i zmienionego do niepoznania Dejoie wzmógł jeszcze serdeczny ów niepokój: zdawało mu się, że człowiek ten staje przed nim jako uosobienie wszystkich drobnych, politowania godnych ruin. W tej chwili, jakby przez pewien rodzaj halucynacji, stanęły przed nim blade, wyrazem rozpacz i przerażenia napiętnowane twarze hrabiny de Beauvilliers i jej córki; obie zdawały się spoglądać na niego smutnymi, pełnymi łez oczyma. I ów Saccard, którego serce w kamień się zmieniło w ciągu dwudziestoletnich rozbojów, ów Saccard, który się pysznił, że nigdy nogi pod nim nie zadrdzały i że nigdy nie usiadł na ławce, stojącej za filarem — poczuł teraz, że słabnie i bezsilnie usunął się na ławkę. Tłum napływał wciąż, skupiając się wokół niego, aż dusić się zaczął. Podniósł głowę, aby zaczerpnąć powietrza, i natychmiast zerwał się na nogi, ujrawszy na galerji telegrafu wychylającą się twarz Mechainowej, której olbrzymia, tłusta postać unosiła się triumfująco ponad polem bitwy. Obok niej na kamiennej poręczy leżał czarny worek skórzany. Czekał chwili, w której napychać go zacznie zdeprecjowanemi akcjami, ściagała ona wzrokiem poległych, jak żarłoczny kruk, który ciągnie za wojskiem, spuszczać się na ziemię wtedy dopiero, gdy trupy zalegną pobojowisko.

Wtedy dopiero Saccard pewnym krokiem wyszedł z sali. Pokonany, czuł w sobie bezdenną jakąś próżnię, pomimo tego jednak nadludzkiem wysiłkiem woli kroczył prosto i śmiało. Doznawał on tylko takiego wrażenia, jakgdyby zmysły mu stepiały, zda-

wało mu się, że nie czuje twardego gruntu pod nogami, lecz że stąpa po jakimś miękkim, puszystym kobiercu. Oczy jego zachodziły mgłą, tysiączne krzyki i szmery dźwięczały mu w uszach. Wyszedłszy z giełdy i zstępując ze schodów przedsiönka, nie poznawał nikogo: wszystkie postacie wydawały mu się fantastycznymi widmami o nieokreślonych kształtach, głosy ludzkie brzmiały jak nieznanne jakieś dźwięki. Czyż w istocie to, co widzi przed sobą, jest skrzywioną, płaską twarzą Buscha?... A zatrzymawszy się na chwilę, z kimże rozmawiał?... Czyliż w istocie z uszczęśliwionym Nathansohnem, którego przyciszony głos dochodził go jakby z oddali?... Któż mu towarzyszy wpośród przerażenia panującego wokoło?... Czy byli to Massias i Sabatini?... Zdawało mu się, że stoi jeszcze otoczony liczną grupą ludzi... może to byli Sédille i Mangendre, może też inne jakieś postacie niewyraźne i przeistoczone... Oddaliwszy się od giełdy, szedł ulicą, zalaną kałużami błota, i wtedy, chcąc dowieść całemu temu tłumowi fantastycznych widziadel, że do ostatniej chwili nie stracił przytomności umysłu, dumnym i przenikliwym głosem powtórzył:

— Ach! jakże mi żal tej kamelji, którą pozostawiono na dziedzińcu! Mróz zważył pewno delikatną roślinkę...

Tłum. M. Dz.

ALPHONSE DAUDET

(1840 – 1897)

TARTARIN Z TARASCONU

Epizod pierwszy z Tarascon

II. Ogólny rzut oka na pocziwe miasto Tarascon. Myśliwi, polujący na kaszkiety.

W epoce, którą opisuję, Tartarin z Tarasconu nie był jeszcze tym Tartarinem, którym jest dzisiaj, tym wielkim Tartarinem z Tarasconu, tak popularnym w całej południowej Francji. A jednak nawet w owych czasach był już królem Tarasconu.

Należy opowiedzieć, jakim sposobem zdobył on ten monarszy majestat.

Przedewszystkiem trzeba wiedzieć, że tam, na południu, każdy bez wyjątku jest myśliwym, począwszy od największych aż do najbardziej maluczkich. Łowiectwo jest namiętnością mieszkańców Tarasconu, a jest nią jeszcze od owych niepamiętnych, przedhistorycznych, mitologicznych czasów począwszy, gdy potwór straszliwy, la Tarasque, zamieszkiwał bagna podmiejskie i czynił spustoszenia straszliwe; wówczas już mieszkańcy Tarasconu urządzali łowy z naganką, by ubić potwora. Dawne to czasy, jak widzicie.

Otóż co niedziela rankiem każdy mieszkaniec Tarasconu zbroi się i wyrusza za miasto z torbą myśliwską na plecach, ze strzelbą na ramieniu. I rozlega się po ulicach hałas piekielny, szekanie psów gończych i jamników, ryk trąb i rogów myśliwskich. Wspaniała to widok!..

Niestety, zwierzyny niema! Brak jej zupełnie!

Aczkolwiek zwierzęta łowne są głupie i naiwne, jednak wreszcie po tylu latach obudziła się w nich nieufność i podejrziwość.

Na pięć mil wokoło Tarasconu wszystkie nory, gniazda i legowiska opustoszały. Niema ani jednej sroki, ani jednej przepiórki, ani jednego zajączka, ani najmniejszego bekasa.

A przecież te małe dolinki wokoło Tarasconu są bardzo ponętne i urocze, pełne zapachów mirtu, lawendy, macierzanki! A przecież te piękne, wonne, słodkie, pełne grona winne, porastające tarasy nad brzegami Rodanu, są szatańsko apetyczne... Tak, ale w pobliżu, tuż opodal, znajduje się Tarascon, a miejscowość ta ma bardzo złą opinię wśród małego światka porośniętych sierścią i pierzem stworzeń. Nawet wędrownie ptactwo na mapach swych i marszrutach znaczyło dużym krzyżem nazwę tego miasteczka, a dzikie kaczki, ulatujące ku południowi, w śladach, tworzących wydłużone trójkąty, zauważywszy zdala wieżyce kościelne ojczyzny Tartarina, zaczynają krzyczeć wielkim głosem:

— O! Tarascon! Tarascon! Tarascon!

I całe towarzystwo skręca w inną stronę, omijając starannie niebezpieczną miejscowość.

Krótko mówiąc, w całej okolicy niema wcale zwierząt łownych. Istnieje tylko jeden — jedyny, ogromny zając. Ten stary filut cudem jakimś ocalał przed pożądliwością myśliwską mieszkańców Tarasconu i uparł się, że nie opuści tych stron nigdy! Cały Tarascon zna tego zająca. Dano mu nawet imię — nazwano go «bystronogim» — le Rapide. Wiadomo jest, że zamieszkał na gruntach pana Bompard, wskutek czego wartość tych gruntów podniosła się w dwój- i w trójnasób; ale nikt nie mógł jeszcze dotychczas położyć śmiałka trupem.

Dzisiaj zaledwie dwóch czy trzech upartych nemrodów czyha na niego z niezłomną zaciętością. Inni dali już spokój, poddali się zrezygnowani, a «bystronogi» stał się nawet mistyczną postacią, aczkolwiek mieszkańcy Tarasconu wcale nie są przesądni i nie mają skłonności do mistycyzmu — nawet z gustem zajadają potrawkę z jaskółek, jeśli im ją kto poda.

Zapytajcie mnie, co robią myśliwi taraskońscy w każdą niedzielę, jeśli zwierzyna stała się w tamtych stronach taką rzadkością?

Co robią?

Mój Boże! Wędrują za miasto, o dwa albo o trzy kilometry, w czyste pole. Tam łączą się w gromadki, złożone z pięciu albo sześciu myśliwych, i wygodnie rozkładają się obozem w cieniu wielkiej studni, starego muru albo oliwnego drzewa. Następnie dobywają z toreb olbrzymie kawały pieczeni wołowej, mnóstwo główek cebuli i czosnku, sporo kielbasy... Rozpoczyna się śniadanie, trwające w nieskończoność, podlewane obficie owem smacznym winem z nad brzegów Rodanu, budzącem wesołość i głośne śpiewy.

Potem, gdy żołądki ich są już nieco obciążone, myśliwi powstają, gwiżdżą na swe psy, nabijają broń; zaczyna się polowanie. A odbywa się to w ten sposób, iż każdy z tych panów zdejmuje z głowy swój kaszkiet, ze wszystkich sił rzuca go wysoko w powietrze i strzela doń wlot, śrutem 5, albo 6, albo 2 — stosownie do umowy.

Królem polowania ogłasza się tego, który najwięcej kul czy śrutów wpakuje w swój kaszkiet. Wieczorem powraca on do Tarasconu jako triumfator, niosąc na łufie strzelby podziurawiony kaszkiet, a wokoło triumfatora rozlega się szczekanie psów i głośne fanfary trąb i rogów myśliwskich.

Wobec tego rozumie się, że handel kaszkietami myśliwskimi jest w Tarasconie szeroko rozwinięty. Są nawet kupcy, sprzedający kaszkiety podziurawione i podarte, dla użytku niezręcznych i pudlujących strzelców. Ale wiadomo jest, że oprócz aptekarza Bézuquet, nikt tych zgóry przygotowanych kaszkietów nie kupuje. Byłoby to hańbiące.

Wśród polujących na kaszkiety myśliwych Tartarin nie miał równego sobie strzelca. Trzymał on prym. Co niedziela rano szedł za miasto w zupełnie nowym kaszkiecie; wieczorem powracał, wioząc w triumfie podartą, bezkształtną szmatę. Strych małego domku w ogrodzie z baobabem był zapelniony temi trofeami, pełnemi chwały. To też wszyscy mieszkańcy Tarasconu uznawali w Tartarinie mistrza nieporównanego. A ponieważ Tartarin umiał napamięć kodeks praw i zwyczajów myśliwskich, przeczytał i przestudjował wszystkie możliwe podręczniki, traktaty, rozprawy, dzieła o myślistwie, począwszy od polowania na kaszkiety, aż po łowy na tygrysa birmańskiego — panowie ci uczynili go najwyższym prawodawcą we wszystkich kwestjach cynegetycznych i wzywali go na sędziego i rozjemcę we wszystkich sporach i dyskusjach w tej dziedzinie.

Codziennie od godziny trzeciej do czwartej u rusznikarza Costecalde'a widzieć było można otylego, poważnego jegomościa z fajką w zębach, siedzącego w środku sklepu na fotelu, obitym zieloną skórą. Około niego tłoczył się tłum polujących na kaszkiety myśliwych, kłócących się zawzięcie i hałaśliwie. Ale żaden z tych panów nie śmiał usiąść wobec otylego, pełnego powagi jegomościa. A jegomościem tym był Tartarin, ferujący wyroki, decydujący w kwestjach spornych — Nemrod i Salomon w jednej osobie.

III. *Nau! Nau! Nau!* — *Dalszy ciąg ogólnego rzutu oka na poczciwe miasto Tarascon.*

Obok namiętności łowieckiej istnieje w duszach dzielnej rasy taraskońskiej jeszcze druga namiętność — zamilowanie w romansach. Zapotrzebowanie i konsumpcja romansów w tej małej krainie przechodzi wszelkie pojęcie. Wszystkie sentymentalne, ekliwne, stare piosenki, żółknijące na półkach sklepów z nutami, odnaleźć można w Tarasconie. Tu są one w pełni swej młodości i blasku. Wszystkie się tam spotyka, wszystkie bez wyjątku. Każda rodzina ma swą ulubioną, własną pieśń, i o tem wie całe miasto. Wiadomo jest, że pieśń aptekarza Bèzuquet zaczyna się od słów:

Toi, blanche étoile que j'adore...
(Ty, biała gwiazdo, którą uwielbiam...)

rusznikarza Costecalde:

Veux-tu venir au pays des cabanes?
(Czy pójdziesz ze mną w krainę szalasów?)

a poborecy podatkowego:

Si j'étais invisible, personne n'me verrait.
(Gdybym był niewidzialny, niktby mnie nie widział.)
(Piosenka humorystyczna)

I tak dalej. Każdy mieszkaniec Tarasconu posiada swą pieśń. Dwa albo trzy razy na tydzień schodzą się wszyscy to w tym, to w innym domu, i wtedy śpiewa się owe pieśni. Najciekawsze jest, że są to zawsze jedne i te same pieśni, a chociaż śpiewa się je od niepamiętnych czasów, jednak żadnemu z dzielnych mieszkańców Tarasconu nie przychodzi na myśl, że możnaby te stare romanse zastąpić innymi, nowszymi. Nie mają do tego najmniejszej ochoty. Przechodzą one puścizną z pokolenia na pokolenie, w jednej i tej samej rodzinie, z ojca na syna. I nikt nie odważy się tknąć ich, nikt nie odważy się nawet pożyczyc. Nigdy rusznikarzowi Costecalde nie przyjdzie na myśl zaśpiewać romans Bèzuqueta, ani też Bèzuquet nie odważy się zaśpiewać pieśni Costecalde'a, a przecież w przeciągu czterdziestu lat musieli chyba nauczyć się jeden od drugiego. Ale nie. Każdy ma swoją pieśń, i wszyscy są z tego zadowoleni.

Tak samo jak w polowaniu na kaszkiety, tak też i w śpiewaniu romansów Tartarin był mistrzem, niemającym rywala w całym mieście. A wyższość jego nad współobywatelami polegała na tem, iż Tartarin z Tarasconu nie posiadał swej własnej pieśni. Wszystkie były jego własnością.

Wszystkiel

Tylko, że bardzo trudno było go skłonić do śpiewania.

Zbyt wczesnie przesycony salonowymi triumfami, bohater taraskoński wolał zagłębiać się w księgach, opisujących łowy, albo spędzać wieczory w klubie, niż udawać przyjemnego, stojąc przy fortepianie. Był on wyższy ponad te wszystkie muzyczne parady... Czasem jednak u aptekarza Bèzuqueta odbywał się wieczór pieśni. Tartarin wchodził tam, jakby przypadkiem i, dawszy się długo prosić, decydował się wypowiedzieć razem z panią Bèzuquet-matką wielki duet z «Roberta-Djabła»...

Kto tego nie słyszał, ten nic nie słyszał...

Co do mnie, to, choćbym żył sto lat, nie zapomnę nigdy tego widoku. Wielki Tartarin majestatycznym krokiem podchodził do fortepianu, opierał się łokciem, czynił minę i w zielonem świetle osłoniętej abażurem lampy poczciwemu obliczu swemu starał się nadać wyraz szatański i dziki Roberta-Djabła. Skoro tylko Tartarin stanął w pozycji, wszystkich w salonie przenikał dreszcz. Czuć było, że stanie się coś wielkiego... wtedy, po chwili milczenia, pani Bèzuquet-matka zaczynała, akompanijując sobie sama.

Robert, toi que j'aime
Et qui reçus ma foi,
Tu vois mon effroi
Grace pour toi même
Et grace pour moi!

I szeptem dorzucała:

— Teraz na pana kolej.

A Tartarin z Tarasconu wyciągał prawicę, zacisnąwszy pięść, nozdrza jego drżały... trzy razy powtarzał straszliwym głosem, bijącym w wnętrzości fortepianu, jakby łoskot gromu:

— Niel Niel Niel

A ponieważ był szczerym i uczciwym południowcem, więc Non! Non! Non! brzmiało w wymowie jego jako:

Nau! Nau! Nau!

A wtedy pani Bézuquet-matka zaczynała jeszcze:

Miej litość nad sobą!

Miej litość nade mną!

Nau! Nau! Nau! — ryczał Tartarin jak najenergiczniej i na tem wszystko się kończyło.

Jak widać, nie trwało to wcale długo, ale wykonane było tak wspaniale, z tak świetną mimiką, tak szatańsko, iż dreszcz lęku przenikał wszystkich w aptece, a na ogólne żądanie Tartarin powtarzać musiał cztery albo pięć razy zrzędu swe:

— Nau! Nau! Nau!

Potem Tartarin ocierał spocone czoło, uśmiechał się do dam, mrugał żartobliwie powiekami w stronę mężczyzn i triumfujący wychodził do klubu. A tam z obojętnością i lekceważeniem mawiał:

— Śpiewałem właśnie u Bézuquetów duet z «Roberta-Djabla».

A co najważniejsza, że sam w to wierzył.

Epizod drugi: «Między Turkami»

V. Bęc! Bęc!

Była to olbrzymia, dzika pustynia, porośnięta dziwaczными roślinami, temi roślinami Wschodu, które mają wygląd drapieżnych zwierząt.

W dyskretnem świetle gwiazd cienie tych roślin na wszystkie strony snuły się po ziemi.

Po prawej ciężka, niekształtna masa gór. To Atlas zapewne!

Po lewej niewidzialne morze huczało głucho...

Istna kryjówka krwiożerczych drapieżników.

Tartarin ukląkł na jedno kolano i czekał... Jedną strzelbę położył obok siebie na ziemi, drugą trzymał w ręce...

Czekał godzinę, dwie... Nic!

Wtedy przypomniał sobie, iż wedle opowiadań, wyczytanych w książkach — wielcy łowcy lwów, idąc na polowanie, zawsze brali z sobą małe jagnię, przywiązywali je do drzewa o kilka kroków przed sobą i pociągali od czasu do czasu sznurkiem za tylną nogę, by krzychało. Nie mając jagnięcia, Taraskończyk wpadł na myśl, by je zastąpić naśladowaniem i zaczął beczeć baranym głosem:

— Mee! Mee!

Z początku czynił to bardzo łagodnie i cicho, bo w gruncie rzeczy, mimo wszystko, bał się trochę, aby go lew nie usłyszał... Ale potem, widząc, że nic się nie zjawia, zaczął beczeć głośniej:

— Mee! Mee!

Jeszcze nic! Zniecierpliwiony, ze wszystkich sił przeraźliwie zabeczał:

— Mee! Mee!

Było w tem tyle siły, iż jagnię zmieniło się w ryczącego okrutnie wołu...

Nagle o kilka kroków przed bohaterskim Taraskończykiem pojawiło się coś czarnego i olbrzymiego i przypadło do ziemi.

Tartarin zamilkł.

To «coś» pochylało się ku ziemi, węszyło, podskakiwało, tarzało się, odbiegało galopem, potem powracało, zatrzymując się nagle...

Bezwątpienia był to lew!

Teraz widać było doskonale jego cztery krótkie łapy, potężne barki i dwoje oczu, dwoje ogromnych oczu, świecących wśród nocy...

Cell! Pall!

— Bęc! Bęc!

Stało się!

Potem natychmiast skok wstecz; nóż myśliwski z pochwy!

Na strzał Tartarina odpowiedział ryk straszny.

Taraskończyk krzyknął:

— Trafiony!

Przysiadłszy na silnych nogach, oczekiwał zwierzęcia. Przygotowany był, iż lew skoczy na niego. Lecz drapieżnik miał już więcej, niż mu było potrzeba i, rycząc, uciekł galopem...

Tartarin nie ruszył się z miejsca.

Oczekiwał samicy...

Tak przecież nakazują książki...

Niestety. Samica nie jawiła się. Taraskończyk czekał dwie, trzy godziny. Cekał. Aż wreszcie go znudziło czekanie.

Ziemia była wilgotna, noc stawała się chłodniejsza. Wiatr lodowato zimny dął od morza.

Przyszło mu na myśl, że możnaby się przespać i tak doczekać się dnia. Postanowił rozpiąć namiot... Ale — do stu djabłów — namiot ten miał system rozpinania tak genialny, że w żaden sposób nie można go było otworzyć... Bywają parasole, które podczas nawalnych deszczów bawią się w takie same figliki. Zmęczony walką Taraskończyk rzucił cały ten przyrząd na ziemię i położył się na nim, klnąc jak istny Prowansalczyk.

— Ta ra, ta — tarata!

Taraskończyk wrzasnął, zrywając się:

— Co to jest?

Były to trąby strzelców afrykańskich, trąbiące pobudkę w kasarniach Mustafy.

Morderca lwów, osłupiały, przecierał sobie oczy...

Wyobrażał sobie, że jest w pośrodku pustyni...

A wiecie, gdzie był?

Był wśród grzędy karczochów, między grzędą włoskiej kapusty, a grzędą buraków!

Na jego Saharze rosły jarzyny...

Tuż obok, wśród zieleniejącej się dzielnicy górnej Mustafy, wille algerskie, białe zupełnie, błyszczące w różowym świetle wschodzącego słońca.

Zdawałoby się, że to okolice Marsylji...

Poczciwy, gospodarski wygląd uśpionego jeszcze krajobrazu zdziwił mocno biedaka i zepsuł mu zupełnie humor.

Rzekł sam do siebie:

— Ci ludzie są szaleni! Sadzić karczochy w sąsiedztwie lwów... Bo ostatecznie to nie był sen... Lwy przechodzą tu... A oto dowód...

Dowodem były ślady krwi, pozostawione przez uciekające zwierzę. Pochylny nad tym krwawym tropem, śledząc go bacznie okiem, z rewolwerem w ręku, idąc za tropem od karczocha do karczocha, waleczny Tartarin doszedł do małego łąnu owsa... a tam wygniecione zboże, jezioro krwi, a w pośrodku tego jeziora przewrócony nabok, z olbrzymią raną w głowie...

— Wiecie co?

— No, przecież lew!

— Niel! Osioł! Jeden z tych małych osiołków, tak pospolitych w Algerze...

Tłum. Adolf Strzelecki.

ANATOLE FRANCE

(1844—1924)

GOSPODA POD KRÓLOWĄ GĘSIĄ NÓŻKĄ

Przez pięć czy sześć tygodni ksiądz Hieronim Coignard, wierny przyrzeczeniu, dzień i noc śleczął nad dziełem Zozimosa Panopolitańczyka. Przy obiadach, które spożywaliśmy w towarzystwie pana d'Astarac, rozmowa toczyła się wyłącznie o gnostykach i o wiedzy starożytnych Egipcjan. Niewiele jeszcze umiając, niebardzo byłem pomocny memu drogiemu mistrzowi, ale starałem się, o ile mogłem, najlepiej wypełniać jego zlecenia; praca ta robiła mi nawet przyjemność. I doprawdy żyliśmy szczęśliwie i spokojnie. Siódmego tygodnia pan d'Astarac pozwolił mi odwiedzić rodziców w ich sklepie. Po kilku tygodniach nieobecności garkuchnia wydała mi się szczególnie mała, zastałem tylko matkę samą i smutną.

— Jakżem rada, Kubusiu! — krzyknęła, widząc mnie wystrojonego po pańsku. I z płaczem jęła mnie ścisnąć i całować. Uspokoiwszy się i otarłszy łzy rozczulenia rąbkiem fartucha, rzekła: — Ojciec twój jest pod «Małym Bachusem». Od czasu twego wyjazdu chodzi tam coraz częściej pod pozorem, że dom stał mu się pusty i smutny przez twą nieobecność. Rad będzie bardzo cię zobaczyć. Ale powiedz mi, mój Kubusiu, czy kontent jesteś z twego nowego stanowiska. Żałowałam, że dała ci pójść do tego szlachcica i na spowiedzi wyznałam przed księdzem trzecim wikarym, że w tem postanowieniu miałam więcej na względzie twoje dobro doczesne, niż zbawienie twej duszy. Ksiądz wikary zgromił mnie dobrotliwie i kazał mi iść za przykładem zacnych niewiast Pisma Świętego. Wymienił mi imiona kilku takich niewiast, ale nie mogłam ich zapamiętać. Zresztą niedługo się mną zajmował, gdyż był to sobotni wieczór, i kościół pełny był penitentek.

Uspokoilem, jak mogłem matkę, i tłumaczyłem jej, że u pana d'Astarac pracuję nad greką, która jest językiem Ewangelji — ucieszyło ją to, ale pozostała jeszcze zakłopotana.

— Nie zgadniesz nigdy, mój Kubusiu — rzekła — kto mi mówił o panu d'Astarac: Cadette Saint Avit, gospodyni proboszcza od świętego Benedykta. Pochodzi ona z Gaskonji, z miejscowości, sąsiadującej z włościami, których pan d'Astarac jest dziedzicem. Wiesz, że Cadette Saint Avit jest to osoba wiekowa, jak przystoi dla gospodyni proboszcza. W młodości swej tam na wsi знаła ona trzech panów d'Astarac, z których jeden, kapitan okrętu, utonął na morzu; był to najmłodszy z nich. Drugi, pułkownik, zginął w jakiejś wojnie, najstarszy Herkules d'Astarac jedyny został przy życiu. Jest to ten właśnie, w którego służbie jesteś, jak ufam, dla dobra twego, mój Kubusiu. W młodości swojej był podobno wytworny w ubraniu, szczodry i szlachetny w obyczajach, lecz ponurego usposobienia; trzymał się zdala od służby publicznej i nie chciał wejść w służbę królewską, tak jak uczynili bracia jego i znaleźli w niej śmierć zaszczytną. Zwykł był mawiać, że niemasz dlań nic nędzniejszego nad szlachetne rzemiosło wojenne i że wyżej ceni prostego wieśniaka, niż brygadiera lub marszałka Francji. Takie były jego zapatrywania; wydały mi się nie tyle złe lub przewrotne, ile śmiałe i dziwaczne. Muszą jednak być potępienia warte, bo Cadette Saint Avit mówiła, że proboszcz ganił je, iż są niezgodne z porządkiem przez Boga na świecie ustanowionym, i sprzeczne z pewnemi ustępami biblji, gdzie Bogu nadana jest nazwa kwartmistrza, skoro tak, to byłby to grzech wielki. Ten pan Herkules miał jakąś niechęć do dworu, że nie pojechał nawet do Wersalu przedstawić się Jego Królewskiej Mości, jak to jest przywilejem jego pochodzenia. Zwykł był mawiać: «Mnie król nie odwiedza, i ja też się doń nie wybieram». Rozumiesz, mój Kubusiu, że jest to zdanie wcale nie-naturalne.

Matka spojrzała na mnie z niepokojem i ciągnęła dalej.

— Muszę ci jeszcze coś powiedzieć, mój Kubusiu, co jeszcze trudniejsze do uwierzenia, a jednak Cadette Saint Avit mówiła mi o tem, jako o rzeczy zupełnie pewnej. Otóż pan Herkules d'Astarac, pozostawszy w swych dobrach, zajmował się tylko ściąganiem światła słonecznego do butelek. Cadette Saint Avit nic nie wie, w jaki sposób

pan d'Astarac to robił, ale jest pewna, że po jakimś czasie w tych karafkach, szczelnie zakorkowanych i ogrzewanych w kociołkach z ciepłą wodą, tworzyły się małe, lecz śliczne kobietki, ubrane jak księżniczki na scenie. Śmiejesz się, mój Kubusiu, a jednak nie należy żartować z takimi rzeczami, gdy widzi się ich skutki. Jest to wielki grzech wyrabiać w ten sposób istoty, które nie mogą być ochrzczone i nie będą więc mogły dostąpić szczęśliwości wiekuistej. Bo nie sądzisz chyba, że pan d'Astarac zanosił do kościoła do chrztu swoje twory w butelkach; nie znalazłaby się chrzestna matka dla nich.

— Ale kochana mamó — odrzekłem — lalki pana d'Astarac chrztu nie potrzebowały, bo nie były splamione grzechem pierworodnym.

— Nie pomyślałam o tem — rzekła — i Cadette Saint Avit, choć gospodyni proboszcza, też mi tego nie powiedziała. W młodości jeszcze opuściła Gaskonję i nie już nie słyszała o panu d'Astarac, o jego karafkach i lalkach. Spodziewam się, mój Kubusiu, że zaniechał tych praktyk przeklętych, których bez pomocy czarta dokonać nie można.

— Powiedz mi, mamó — zapytałam — czy Cadette Saint Avit na własne oczy widziała te damy w karafkach?

— Nie, moje dziecko, pan d'Astarac jest zbyt skryty, by pokazywać miał swe lalki. Ale mówił jej to kościelny Fulgenty, który bywał w zamku, i zaręczał, że widział te małe osóbkę, jak wychodziły ze swego szklanego więzienia i tańczyły menueta. Tem więcej zatem Cadette Saint Avit miała rację wierzyć temu wszystkiemu, bo można nie wierzyć własnym oczom, ale nie słowu porządnego człowieka, a zwłaszcza, gdy jest ze stanu duchownego. Drugą złą stroną tych praktyk jest, że są niezmiernie kosztowne. Cadette Saint Avit mówiła mi, że niepodobna wyobrazić sobie, jakie szalone sumy wydał pan Herkules na swoje butelki, piece i przyrządy, którymi pozapelniał cały zamek. Ale po śmierci swych braci stał się najbogatszym dziedzicem w okolicy, i gdy on wyrzucał pieniądze jak szalony, jego folwarki pracowały dla niego. Cadette Saint Avit sądzi, że mimo tych nadmiernych wydatków i dziś musi być jeszcze bardzo bogaty.

Na to wszedł do sklepu mój ojciec. Uściskał mnie serdecznie i zapewnił, że od czasu mego wyjazdu, jako też tego pocziwego i wesołego księdza Coignarda, dom stracił całe ożywienie swoje. Pochwalił moje ubranie i, twierdząc, że świadom jest dobrych manier, jako że w swoim zawodzie nisko grzecznym być musi, z hulastrą tak samo, jak z panami, zaczął i mnie manier nauczać, nakazując mi zaokrąglać ruchy ręki, a nogi mocno nazewnątrz stawiać; wkońcu dla dokładniejszej oglądy radził mi udać się na jarmark do Saint Germain, by zobaczyć Leandra i we wszystkim go ściśle naśladować!

Zjedliśmy razem obiad i rozstaliśmy się, wylewając strumienie łez. Kochałem ich oboje bardzo i płakałem głównie dlatego, że odczuwałem, iż przez te sześć tygodni rozłąki stali mi się prawie zupełnie obcy. Zdaje mi się, że ich smutek z tego samego pochodził źródła.

...Dzień następny przeszedł tak dobrze dla pana Coignarda, iż powzięliśmy już nadzieję, że będzie uratowany. Wypił rosół i, siedząc w łóżku, rozmawiał z nami ze zwykłym wdziękiem i słodyczą. Pan d'Anquetil, który mieszkał u Gaularda, przyszedł go odwiedzić i brutalnie zażądał, by zagrał z nim w pikietę, co mój dobry mistrz, uśmiechając się, obiecał uczynić za tydzień. Wieczorem gorączka znowu się wzmożła. Ksiądz Coignard blady, z wyrazem niewymownego przerażenia w oczach, drżąc i szcękając zębami, krzyknąć zaczął.

— Oto, oto jest ten stary łotr! To syn Judasza Iskarjoty, spłodzony z djablicą pod postacią kozy. Ale, jak ojciec, powieszony będzie na drzewie figowem, a wnętrzności jego rozsypią się po ziemi. Łapcie go... Zabijaj mnie! Zimno mi!

Chwilę potem, odrzucając kołdry, skarżył się znów, że mu za gorąco.

— Pić mi się chce — mówił. — Dajcie mi wina, tylko świeżego. Niech pani Coquebert dla ochłodzenia włoży je do studni, bo dzień będzie skwarny.

Już noc była wtedy, ale godziny, dnie i noce pomieszały mu się w głowie.

— Prędko idź do studni — rzekł jeszcze do pani Coquebert — tylko nie bądź

tak naiwna, jak dzwonnik katedry Séez: poszedł on do studni wyciągnąć butelki, które tam był spuścił, a ujrawszy swe odbicie w wodzie, począł wołać o pomoc: «HOLA, hola, pomóżcie mi, bo są tam antypody, które wypiją nasze wino, jeżeli ich nie rozpędzimy!»

— Jowjalny człowiek z księdza — rzekła pani Coquebert — ale niedawno mówił o mnie rzeczy bardzo nieprzystojne. Gdybym miała zdradzać Coqueberta, nie robiłabym tego z proboszczem, bo ani stan, ani wiek jego nie potemu.

W tej samej chwili wszedł proboszcz.

— No, księże dobrodzieju — zapytał — w jakim usposobieniu ducha znajdujesz się teraz? Cóż nowego?

— Dzięki Bogu — odrzekł pan Coignard — niema nic nowego w mej duszy. Bo mówi święty Chryzostom: unikajcie nowinek, nie zapuszczajcie się na drogi niewypróbowane; gdy raz zbłądzicie, błędzić będziecie ciągle. Smutnie doświadczyłem tego na sobie; zgubiłem się, bom kroczył po drogach nieurtartych. Słuchałem rad własnych, i te przywiodły mię do przepaści. Księże proboszczu, jestem biednym grzesznikiem. Przytłacza mnie mnogość mych nieprawości.

— Oto piękne słowa — rzekł proboszcz. — Sam Bóg ci je dyktuje; poznaję Jego styl niezrównany. Czy nie chcesz, byśmy się trochę zajęli zbawieniem twojej duszy?

— Chętnie — rzekł ksiądz Coignard — bo grzechy mego życia podnoszą się przeciwko mnie. Stają mi przed oczyma grzechy małe i wielkie, czerwone i czarne, jedne drobne, cwałujące na psach i świniach, a inne tłuste, z brzuchami w grube fałdy zwisłemi i z ogromnemi zadami.

— Czy podobna — rzekł proboszcz — byś widział je aż tak dokładnie? Ale jeżeli grzechy twoje, mój synu, są takie, jak mówisz, lepiej nie opisuj ich i poprzestań na tem, by wewnątrznie je nienawidzić.

— Chciałbyś więc, księże proboszczu — rzekł ksiądz Coignard — aby wszystkie grzechy moje zbudowane były jak Adonisy? Ale zostawmy to! A ty, golarzu, daj mi pić. Znać pana de la Musardiére.

— O ile wiem, nie znam tego szlacheica — odrzekł Coquebert.

— Wiedz zatem — rzekł mój drogi mistrz — iż miał on wielki pociąg do kobiet...

— To nie posuwa nas do wrót raj (rzekł proboszcz); należałoby zawrócić na dobrą drogę. Przed chwilą jeszcze mówiłeś nam sam rzeczy tak budujące.

Zamiast odpowiedzi mój drogi mistrz zaczął śpiewać dość silnym głosem:

Nie miał zgoła apetytu
Nasz król Ludwiczek
Tra la la la.
Przyprowadźcież Jegomości
Ciepłych podwiczek!
Tra la la la.

— Jeżeli chcesz śpiewać, mój synu — rzekł proboszcz — śpiewaj raczej jaką ładną kolendę burgundzką. Rozweseli cię to, a uświęci zarazem twą duszę.

— Chętnie — odpowiedział mój drogi mistrz.

— Pewne kolendy, ułożone przez Guy Barozai, w ich pozornem prostactwie czystsze są, mojem zdaniem, niż diamenty i cenniejsze niż złoto. Ta oto naprzykład:

Onego czasu w Betleemie,
Gdy Jezus Chrystus się narodził,
Osieł i wół swem tchnieniem ciepłem
Dzieciątka Boże ogrzewali!
Ileż jest osłów i wołów
W tem naszym Królestwie Galskiem,
Ileż jest osłów i wołów,
Co tegoby nie zdołali!

Cyrulik z żoną i proboszcz wtórowali:

Ileż jest osłów i wołów
W tem naszym Królestwie Galskiem,
Ileż jest osłów i wołów,
Co tegoby nie zdołali!

A mój mistrz drogi ciągnął dalej głosem już cichszym:

Najpiękniejsze w tem zdarzeniu,
Że wół i osieł obaj razem
Przepędzili tę noc całą
Bez napoju i bez jadła.

Iluż znam osłów i wołów,
Odzianych w atlas i morę,
Iluż znam osłów i wołów,
Co tegoby nie zdołali!

Poczem opuścił głowę na poduszkę i śpiewać przestał.

— Nie brak dobrego w tym chrześcijańskim — rzekł proboszcz do nas — nawet dużo dobrego, i przed chwilą sam byłem zbudowany jego pięknymi sentencjami. Ale mimo to nie jestem spokojny, bo wszystko zależy od końca, a nie można wiedzieć, co pozostanie na dnie kosza. Bóg w dobroci swej pozwala, by jedna chwila nas zbawiła, ale trzeba, by to była chwila ostatnia; wszystko więc zależy od jednej minuty, wobec której reszta życia jest jakby niczem. Dlatego to drzę o tego chorego, bo go zaciekle wydzierają sobie aniołowie i czarci. Ale nie trzeba wątpić o miłosierdziu boskiem.

Dwa dni przeszły w bolesnej niepewności, na trzeci dzień mój drogi mistrz, niestety, zupełnie opadł na siłach.

— Niema już nadziei — rzekł mi cicho pan Coquebert — patrz pan, jak głowa jego ciężko zapada w poduszki, i uważ, jak nos stał się cienki.

Rzeczywiście, nos mego drogiego mistrza, dawniej gruby i czerwony, był teraz ostry, cienki, jak ostrze, i przybrał barwę szaro-olowianą.

— Rożenku, mój synu — rzekł nagle do mnie głosem jeszcze pełnym i mocnym, ale zupełnie zmienionym — czuję, że już niewiele życia mi pozostaje. Idź po naszego księdza, bo chcę się wypowiedzieć.

Proboszcz był właśnie w swej winnicy, tam więc pobiegłem.

— Winobranie skończone — rzekł mi — i obsfitsze jest, niż myślałem. Chodźmy wypowiedzieć tego biedaka.

Przyprowadziłem go do łóżka mego drogiego mistrza i zostawiliśmy go samego z konającym. Po godzinie wyszedł i rzekł do nas.

— Mogę was zapewnić, że pan Hieronim Coignard umiera z cudowną pobożnością i pokorą w duszy. Na jego życzenie i ze względu na jego gorliwość dam mu Ostatnie Namaszczenie. Nim przywdzieję komżę i stulę, bądź tak dobra, moja pani Coquebert, i poslij do zakrystji po chłopca, który mi co rano do mszy służy. Przygotuj też pokój na przyjęcie Pana Boga.

Pani Coquebert zmiotła pokój, położyła białą kołdrę na łóżku, do wezgiłowia przysunęła stół, nakryła go obrusem i postawiła na nim dwa lichtarze z zapalonymi świecami oraz porcelanową miseczkę ze święconą wodą, w której tkwiła poświęcana palma.

Wkrótce usłyszeliśmy brzęk dzwonka na drodze i ujrzeliśmy we drzwiach chłopca z krzyżem w ręku i księdza biało ubranego, niosącego Święte Sakramenta. Jahela, pan d'Anquetil, państwo Coquebert i ja uklękliśmy wszyscy.

— Pax huic domui — rzekł ksiądz.

— Et omnibus habitantibus in ea — odpowiedział ministrant.

Poczem proboszcz pokropił święconą wodą łóżko i chorego, pomodlił się chwilę w milczeniu i rzekł uroczyście:

— Synu mój, czy nie masz nam do powiedzenia?

— Mam — rzekł ksiądz Coignard pewnym głosem. — Przebaczam memu mordercy.

Wtedy proboszcz wyjął Hostję z cyborjum.

— Ecce agnus Dei, qui tollit peccata mundi.

Mój drogi mistrz odrzekł, wzdychając:

— Jakże przemówię do Pana mego, ja marny proch i popiół? Jakże stanę przed obliczem Twojem, gdy m zewszeczmiar niegodny tego, jakże ośmielę się przyjąć Cię, gdy tak często ranilem Twoje oczy dobrotliwe?

I ksiądz Coignard przyjął święty Wiatyk wśród głębokiego milczenia, przerywanego płaczem naszym i głośnem ocieraniem nosa pani Coquebertowej.

Przyjawszy Ostatnie Namaszczenie, mój drogi mistrz dał mi znak, bym zbliżył się do jego łóżka i rzekł głosem cichym, lecz wyraźnym:

— Jakóbie Rozenku, synu mój, nie idź za mym przykładem i odrzuć maksymy, które ci wszczepiałem w szaleństwie swem, trwającym, niestety, tak długo, jak życie moje. Strzeż się kobiet i książek, bo od nich płynie płochość obyczajów i pycha. Bądź pokornego umysłu i serca. Bóg daje maluczkiom jaśniejsze zrozumienie rzeczy, niż to, którego uczeni nauczyć mogą. On jest źródłem wszelkiej wiedzy. Nie słuchaj, synu, tych, którzy jak ja subtelnie roztrząsać będą, co złe i co dobre; nie daj się olśnić pięknnością i wytwornością ich słów, bo Królestwo Boże opiera się nie na słowach, lecz na cnocie.

Zamilkł wyczerpany. Pochwyciłem rękę jego, spoczywającą na prześcieradle, i pokrywałem ją pocałunkami i łzami. Mówiłem doń, że jest naszym mistrzem, przyjacielem, ojcem, i że nie będę mógł żyć bez niego.

Długie godziny pozostałem tak u łóża jego, pogrążony w boleści.

Noc przebył tak spokojnie, że znów powziąłem szaloną nadzieję; ta pozorna poprawa trwała jeszcze dzień następny, ale nad wieczorem zaczął rzucać się niespokojnie i wymawiać jakieś zdania niewyraźne — zostały one na zawsze tajemnicą między Bogiem a nim. O północy zapadł w stan głębokiej prostracji. Słychać było tylko lekki szmer jego palców, które kurczowo drapały prześcieradło; nie poznawał nas już więcej...

Nade dniem dał ręką jakiś znak, którego nie zrozumieliśmy, i westchnął głęboko. Było to już ostatnie tchnienie. Twarz jego przybrała w śmierci powagę, godną tego genjuszu, który go ożywiał, a którego strata na zawsze będzie niepowetowana.

Tłum. Jan Sten.

FERDINAND BRUNETIÈRE

(1849—1906)

GENJUSZ BOSSUETA

Jakkolwiek Bossuet zaczął pisać i wydawać swoje dzieła po skończeniu czterdziestego roku życia, Wolter, jedyny z naszych wielkich pisarzy — i w naszych czasach Wiktor Hugo, — pisali więcej. I nawet to jego dzieło, choćby nie wiem jak znaczne było, nie doszło nas w całości; nie mówiąc już o «Korespondencji», której tylko połowę prawdopodobnie posiadamy, należy tu wymienić zagubione «Panerygiki św. Augustyna», jako też «Mowę pogrzebową dla Anny Austriackiej». Główną właściwością jego, to być mówcą, lub nawet mówionym, jeśli tak wyrazić się można. O tem zapomina się niekiedy, nawet gdy poddaje się krytyce język Bossueta i Moljera. Dostownie, oni piszą dla sluchu, najmniej zaś w celu czytania ich dzieł. Zarówno lub więcej dla ucha, niż dla oczu; a jeśli niektórzy przeczuleni znaleźli w nich niekiedy niepoprawności, zaniedbania, niejasności i dwuznaczności, należy tylko je wygłosić, aby krytycy natychmiast umilkli. Można i należy dodać, że nikt w naszej mowie, a być może w żadnej obcej, nawet Cycero lub Demostenes, nie był tak wyposażony w dar oratorski, jak Bossuet. A to, dla czystości, poprawności i jasności wyrażania się; dla bogactwa i obfitości pomysłu wypowiedzenia się, w czem porównać można go tylko

z Wiktorem Hugo; dla lirycznej odwagi wstępów: — «Miłościwy Panie, czego nie ujrzało oko, czego ucho nigdy nie słyszało, co nigdy nie miało przystępu do serca ludzkiego, to wszystko będzie przedmiotem tej rozmowy...» — dla swobody zwrotów i nieoczekiwanych obrazów; dla ilości i harmonji okresów, tej właściwości, której często brakuje autorowi «Prowincjałów»; dla piękności zewnętrznej i nagiej zdania; nakońcu dla szerokiego tchu. Bossuet nie tylko jest rzadkością, jest on wprost nieporównany. Gdy weźmiemy pod uwagę jego «Dzieje, pisma i dysputy», jego «Pouczenie o wymowie» lub nareszcie «Traktat o pożądlivości», to — nie mówiąc już oczywiście o jego «Kazaniach» i «Mowach pogrzebowych» — zauważymy, iż krasomówstwo rozlewa się w nich stale ponad pisarza do szczytu niemożności utrzymania się w granicach, przez niego naznaczonych; następstwem tego jest podniesienie rozprawy teologicznej do entuzjazmu świętego peanu. Gdy nic niema łatwiejszego, jak zanalizować kazanie Bourdalou'e'a, niemniej łatwo to uczynić w stosunku do «Kazań» Bossueta. Takim jest bowiem, gdy tworzy on pewnego rodzaju plan dzieła, gdy je w miarę rozwija i uzupełnia; przeciwnie zaś, to, co wydawałoby się wieczną śmiałością błędzenia, używa jego wymowie charakteru osobowości, swobody i czegoś nieoczekiwanego, co upodabnia ją do sił natury. Zauważymy nareszcie, że w mowie apostoła św. Pawła — w «Panegiryku», co niejednokrotnie zaznaczono, że zdaje się on być portretem jego własnej wymowy — znajduje się wśród całej słów powagi zarówno ów akcent mowy potocznej, jak nawet chropowatości, która karci i rozkazuje i która «nie tyle przekonywa, ile trzyma na uwięzi rozwagę». I aby już nic tutaj nie zabrakło w powiedzeniu, ci, którzy niekiedy pomawiają Bossueta o brak słodyczy i czułości, z pewnością nie czytali jego «Panegiryku o Apostole św. Janie» lub o św. Teresie, lub też «Kazań o miłosierdziu Dziewicy». Zaiste, jakżeby brakowało mu tych przymiotów, jeśli wszyscy współcześni mu świadkowie, począwszy od opata Le Dieu, jego ostatniego sekretarza, aż do Saint-Simona, zgodnie wychwalają jego uprzejmość, słodycz i dobroć?..

Jak widzimy, same warunki, tak osobliwe, w których zostało ułożone to przedziwne dzieło, dopowiadają sobą w dokładnem określeniu ostatniego charakteru Bossueta i zarazem charakteru jego geniuszu: to naturalna doskonałość. Jak powiedzieliśmy i jak mieliśmy sposobność wykazać, Bossuet nigdy nie pisał dla chęci pisania. Nigdy nie marzył o wydaniu «Żalobnego kazania na zgon Anny Austriaczki». Naleganiom i prośbom księżnej pani Orleanu mamy do zawdzięczenia druk «Żalobnego kazania na zgon Henrjety Francuskiej». Bez księżnej i bez szacunku Bossueta dla jej życzeń, dla niej, «która знаła tak dobrze dzieła twórcze, że człowiekowi zdawało się, jakoby stał u szczytu doskonałości, gdy jego dzieło znalazło przyzwolenie księżnej», «Kazanie żalobne na cześć królowej», jej matki, byłoby dzieliło los zapomnienia wspólnie z kazaniem na cześć matki Ludwika XIV. W tem leży tajemnica prostoty, która u niego bez wysiłku łączy się z natchnieniem najszczytniejszej wymowy. Zaprawdę, nikt nie wypowiedział większych rzeczy po francusku i jednakoz nikt, mówiąc je, nie zdawał się przeczuwać, że je mówi, nie czuł być może on sam, który je mówił. Jednogłośnie zatroszczeni o przekład jego myśli, mniemalibyście, że w miarę ich wypowiedzania on je tworzy i że wyrazy jego stylu wydają się współmierne z ideą i uczuciem. Nic rzadszego na świecie. U wielkich rasowych pisarzy można przy poświęceniu małej uwagi uchwycić skrytą i ustawiczną pracę stylu; przyłapuje się ich, do pewnego stopnia, na opracowaniu dzieła, przy jego szkicowaniu, dobieraniu, wyskrobywaniu, poprawianiu, dopisywaniu; nareszcie spostrzega się i poznaje pracę pilowania a niekiedy nawet miejsce lutowania; takimi są w wierszu Racine i Boileau; takimi w prozie La Bruyère i La Rochefoucauld; takimi w następnym wieku Montesquieu, Buffon, Rousseau. Nic podobnego u Bossueta; być może, więcej mówca w tem i we wszystkim innem, aż do owych jego dzieł, w których każde słowo posiada swoją wartość, i gdzie w wyniku mógłby odważać każde wyrażenie, to jeszcze i w nich wydaje się nam, jakoby improwizował. Pod tym względem możnaby porównać z nim samego Woltera, w owej przedziwnej improwizacji wieku lat sześćdziesięciu, jaką jest jego «Korespondencja», gdyby nie wmieszało się tam nazbyt widoczne pragnienie przypodobania się, zapewne nie dla celów korupcyjnych, lecz przynajmniej dla sfalszowania prostoty. Gdy Bossuet pisze, nigdy nie myśli o sobie, tem mniej jeszcze o publice

«znawców» i «ludzi smaku»; myśli on o swoim przedmiocie, aby go umieścić jedynie w «swojem najpiękniejszym świetle», w najprawdziwszym jego świetle; aby wyjaśnić w dwóch słowach ten kontrast, powiemy, że największy z naszych pisarzy najmniej jest literatem.

(*Études critiques sur «l'Histoire de la Littérature française»*)

Tłum. Józef Gluziński.

CHARLES BAUDELAIRE

(1821—1867)

ŚMIERĆ NĘDZARZY

Śmierć jest jedynym blaskiem w mrokach życia kiru:
To jedyny cel życia, nadzieja, podpora,
Pociecha i wzmocnienie — czara eliksiru,
Która nam daje siłę iść aż do wieczora.

To słońce, co przez burze i śniegi, i nędze
Na czarnym widnokręgu promieniście świta;
Jest to sławna gospoda, zapisana w Księdze,
Gdzie wszyscy będą jedli i pili dosyta.

To anioł, który trzyma w dłoniach magnetycznych
Potęgę snu i dary widzeń ekstatycznych,
I który sściele łoża obdartym żebrakom —

Chwała bogów, spiżarnia mistyczna, słoneczna,
Sakwa nędzarza, jego ojczyzna odwieczna,
I wrota ku nieznanym cichych niebios szlakom.

Tłum. Antoni Lange.

CZŁOWIEK I MORZE

Miłość dla morza wieczna w twojem wolnem łonie!
Morze jest twem zwierciadłem; ty swojego ducha
Badasz w wzburzonej fali, gdy się toczy głucha,
I nie mniej gorzkie ducha twojego są tonie.

Ty chętnie się zatapiasz w głąb swego obrazu,
Ogarniasz go ramieniem i wzrokiem, a serce
Twe niekiedy się kocha w swej własnej rozterce,
Na głos tej skargi pełnej dzikiego wyrazu.

Wy jesteście milczący, posępni oboje:
Człowiecze! Nikt nie zbadał twych przepaści stoków;
Morze! Nikt nie zna skarbów twych, skrytych wśród mroków;
Tak skrywacie zazdrośnie tajemnice swoje!

I oto wieki giną wśród czasów otchłani,
A wy bój wciąż toczycie bez żalu, litości,
Tak dzika żądza mordy i śmierci w was gości,
O, bojownicy wieczni, bracia niezblagani!

Tłum. Stanisław Korab-Brzozowski.

PAUL VERLAINE

(1844—1896)

PIOSNKA JESIENNA

Łkanie bezsennej
Skrzyпки jesiennej,
Sierocęj
Serce mi rani,
Graży w otchłani
Niemocy.

Drżący i siny
— Gdy brzmiały godziny
Tułaczę —
Wspomnieniem tonę
W czasy minione
I płaczę.

I idę smutnie
W wicher, co okrutnie
Mnie miecie
Swemi podmuchy,
Niby liść suchy,
Po świetle.

Tłum. Leopold Staff.

ARTHUR RIMBAUD

(1854—1891)

ZE ZBIORU p. t. «NATCNIENIA»

1. Ślady kół

Na prawo letni świt rozbudza liście i rosę, i wrzawę w zagajnikach parku, a po stokach na lewo w fioletowym półcieniu znaczą się ślady tysiąca kół po drodze wilgotnej. Defilada feeryj. W istocie: wozy, naładowane zwierzętami o złocistych rogach, maszty i pstre namioty, w wielkim galopie dwadzieścia nakrapianych koni cyrkowych i dzieci, i ludzie na swoich potworach, wzbudzających podziw nieskończony; — dwadzieścia pękatek wozów, ozdobionych flagami i kwiatami, jak starożytne karoce lub barki, przepelnione dziećmi, wystrojonemi na pastorałkę podmiejską; — również karawany pod baldachimami o wzniesionych pióropuszcach z hebanu, ciągnięte truchtem przez wielkie klacze błękitne i czarne.

2. Kwiaty

Z terasy złotej — wśród sznurów jedwabiu, wśród szarych gaz, zielonych aksamitów i dysków kryształu, czerniejących, jak bronz od słońca — widzę naparstnicę, rozwierającą oczy i sploty swych włosów na dywanie z aźuru srebra.

Płatki żółtego złota, siane na agacie, pilastry akacji, podtrzymujące kopułę szmaragdów, bukiety białej satyny i wiotkie pręty rubinów otaczają krzew róży nad wodą.

Podobne do boga o bezbrzeżnych oczach błękitu i o śnieżystej postaci morze i niebo wabi do marmurowej terasy orszak młodych i mocnych róż.

3. Mistyczność

Na zboczu wzgórza wirują aniołowie w szatach wełnistych, wśród roślin ze stali i szmaragdu.

Opodal wyskakują płomienie aż do szczytu pagórka. Na lewo czarnoziem grzbieta, wydeptany przez wszystkie zbrodnie i wszystkie bitwy, a jego wzniesienie opasuje przezrażliwość wszelakiego gwaru. Za tym grzbieta na prawo linja wschodów, postępów.

I w chwili, gdy wstęga w górze obrazu tworzy wirujący i chybotliwy pogwar konch morskich i nocy człowieka,

Bujna słodycz gwiazd i nieba, i reszty roztoczy wprost wzgórza zniża się, nakrywając koszem widnokrąg naszego oblicza i tworząc u góry kwitnącą czeluść błękitną.

Tłum. Józef Gluziński.

JEAN MOREAS

(1856—1910)

PIEŚŃ MIŁOSNA

Me serce jest jak trumna w grobowcu zbutwiała;
 Ma dusza jest domostwem, gdzie kruk gniazdo wije!
 — Twe serce, to ogrodu przeczyste lilije,
 Twa dusza tak jest białą, jak gołąbka biała.

Mój sen, to ciemne niebo, kędy wichry lkają;
 Ma przyszłość — ugór ziemi, która nic nie stwarza.
 — Twój sen, to najczystsze hymny u ołtarza,
 Twa przyszłość, to słońce uśmiech, które w blasku wstają.

Me usta mają gorycz trucizn belladonny;
 Mój chmurny wzrok nienawiść śle i złorzeczenie.
 — Twe usta — kwiat wiosenny, wykluty w Edenie.
 Twych oczu jasna dobroć, to dobroć madonny.

*(Les Syrtes)**Tłum. Józef Gluziński.*

MÓWI MŁODA DZIEWCZYNA

Rzekły mi kopry: tak cię lubi
 Szalenie, że go miłość ta do ciebie zgubi.
 Śpiesz się na jego przybycie.
 — Kopry zawsze zawodzą; kłamią wyśmienicie!
 Bądź miłościw, o Boże, mej duszy!

Rzekły rumianki: lecz dlaczego
 Masz polegać z ufnością na uczuciach jego?
 Wiarusa wytarte serce.
 — Rumianki, ostry sąd wasz, rumianki oszczercze!
 Bądź miłościw, o Boże, mej duszy!

Rzekła szalwja: nie czekaj wcale,
 Usnął w innych ramionach, w ukochania szale.
 — Szalwjo, przesmutne twe głosy.
 Splotę ciebie we wieniec, ozdobię nim włosy...
 Bądź miłościw, o Boże, mej duszy.

*(Le Pèlerin passioné)**Tłum. Józef Gluziński.*

STANCE

Okwitają z dniem każdym ukochane róże,
 Błędnych pęków już więcej me krzewy nie rodzą!
 Nazbyt długo wiał zefir: zaś Akwilon w górze
 Srogim wirem wzniosł rzeki, iż z brzegów wychodzą.

Radości, niechże w tobie wzbierze fala rwąca!
 Bo czy nie wiesz, jak wielce jest rzeczą szaloną,
 Gdy przez ciebie ma ręka bez przyczyny trąca
 O strunę melancholji, smutkom poświęconą?

* * *

O nie mów nigdy: życie przyjemna biesiada;
 Tak mówi duch szalony lub z sercem spodlonem.
 O nie mów nadewszystko: szczęścia nie posiada;
 Tak szemrze lichy człowiek, co się nuży onem.

Śmieć się, jako gałęzie z wiosną poszmer pieści,
 Płacz, jako wichry w nocy, jak źródeł kaskada;
 Rozkoszy wszystkich zażyj, znieś wszystkie boleści
 I powiedz: dosyć już, mrok spoczynku na duszę opada.

* * *

Za słuchaczy mam zmarłych, za dom — grób porosły.
 Własnym wrogiem wciąż będąc, sam z sobą się gniewam.
 Ma sława u niewdzięcznych, kruki skarb uniosły;
 Przenigdy nic nie zbieram, choć orzę, zasiewam.

Lecz zlorzeczyć nie będę; cóż ryk Akwilona,
 Hańba i pokrzywdzenie, oblicze potwarzy!
 Kiedy skoro cię dotknę, liro Apollona,
 Coraz czystszy podźwiękiem twa struna mię darzy?

* * *

Przerywając tak nagle dni słotnych zastoje,
 Na kasztan, co mu szczyty suchy liść czerwieni,
 Na wodę, ugór twardy i na oczy moje
 Zlewasz słodycz, o słońce wybladłe jesieni.

I czegoż pragniesz, słońce? kwiat niech padnie w dole,
 Iżby liście mu zgniły, wiatr je rozwiał wszędy!
 Niech się woda zamroczy; mnie pozostaw bole,
 Z których czerpie duch moce, myśl — rozrodcze pędy.

* * *

Myszę o morskiem niebie, jego słodkich skłonach,
 O wodach, co je przypyływ rykiem pian porusza,
 O rybaku w swej barce, krabach w konch ramionach,
 Sinych oczach Nereid, Glauka, Proteusza.

Myszę, jak drogę krokiem odmierza włóczęga,
 Jak wieśniak gdzieś u progu starej strzechy czuwa,
 O drwalu, co po topór swoją ręką sięga,
 O mieście, zgiełku, duszy, którą ból przykuwa.

* * *

Tam wdali pieje kogut; spokojny, cichy, wzrasta
 Blask świtu — wkoło dnieje.
 Ostatnie mży światelko przy rogatce miasta
 Nad murem, gdzie wierzeje.
 Paryż, ta druga moja kolebka, śpi jeszcze,
 Gdym powstał już o świcie
 I gdym w sercu swem wielkiem usłyszał złowieszcze,
 Posępne, chwiejne bicie.
 Czego chce, czego serce? Mimo, że ból dźwiga,
 Że w smutku dogorywa,
 Pragnie się zazielenić, jak czuła lodyga,
 Co liściem się pokrywa?

FRANCIS JAMMES

(ur. 1868)

JADALNIA

Mam tutaj szafę ze śladem błyskotek,
która słyszała głos mych starych ciotek,
która słyszała głos mego praojca,
która słyszała głos mojego ojca.

Ich wspomnień pełne jej skrytki i schowy.
Niech nikt nie sądzi, że szafa ta milczy,
gdy wiodę z nią rozmowy.

Mam tutaj także kukulkę z drzewa.
Nie wiem, dlaczego ona już nie śpiewa.
Jednak jej słuchać nie pragnę.
Być może, iż w niej sprężyna
złamała się, nie tyka,
jak głos u nieboszczyka.

Mam tutaj także kredens stary,
co chowa soki, konfitury,
mięso, chleb, gruszek żrałych góry.
To wierny sługa, który wie,
że kraść stąd nic nie wolno.

Odwiedza mię niekiedy lik mężczyzn i dam,
bez wiary w te duszyczki, których czucie znam.
Myślą: — Odludek, żyje na pustyni. —
Więc śmieję się, gdy gość mi zapytanie czyni:
— Jak się panu powodzi, zacny panie Żam?

*(De l'Angelus de l'Aube à l'Angelus du Soir)**Tłum. Józef Gluziński.*

ELEGJA DO ALBERTA SAMAINA

Jeszcze, drogi Samenie, do ciebie list piszę.
Po raz pierwszy ślę tobie w śmierci głuchą ciszę
to pismo, które jutro jakiś sługa boski
w starczej dłoni przyniesie do wieczystej wioski.
Zaśmiej się, bym nie płakał. Radośnie mi powiedz:
«Żem nie chory tak bardzo, ty o tem się dowiedz».
Otwórz jeszcze mą furtkę, druhu, weźmij obie
me dłonie, wszedłszy, rzeknij: «Tyś po kim w żalobie?»
Przyjdź jeszcze. Jesteś w Orthez. Bóg szczęście ci ześle.
Połóż oto kapelusz swój na tamtem krześle.
Chcesz pić? Ot, woda ze studni i wino na sen.
Przychodzi moja matka, przemawia: «Samen»,
a psisko me kładzie swój leb na twej dłoni.

Ja mówię, Ty się śmiechem serdecznym rozpalasz.
Czas nie istnieje. Ty zaś mówić mi pozwalasz.
Mrok się zbliża. Idziemy poświęciłą olśnieni,
która dzień tak podobny czyni do jesieni.
Wychodzimy na uliczkę. Gołębicą sina
grucha słodko na drzewie, skrzydła wlot rozpina.

Zabawiam cię. Ty się śmiejesz. Szczęście nas oplata.
 Oto droga wśród zmroku nękającego lata,
 oto na chodnik nędzny kierujemy kroki,
 oto cień mgłą wilgotną stopy astrów rosi,
 co zdobią progi domostw, skąd dym się unosi.

Śmierć twoja nie zmieniła nic. Zmierzch, któryś kochał,
 gdzieś życie swoje spędził, gdzieś śmiał się i szlochał,
 on, przez nas opuszczony, na twojej jest pieczy.
 Światło twoje się rodzi z tej ciemności świata,
 która z stóp nam wyrasta w cudnym zmierzchu lata,
 gdy, wietrząc Boga rękę, pełną życia mocy,
 psisko w czarnej gęstwinie lka wśród cichej nocy.

Nie żałuję twej śmierci. Inni w wawrzynowe
 wieńce, tobie należne, ozdobią twą głowę.
 Znając cię, trwożę noszę, by nie zranić ciebie.
 Szesnastu lat chłopiętom na twoim pogrzebie,
 które pójdą za trumną łąć lzy na twe liry,
 twego czoła wolnego nie zasłonię w kiry.

Nie płaczę po twej śmierci. Życie twoje — żyje.
 Jak wichru cichy powiew, gdy pieści lilije,
 nie ginie, lecz po latach, co się w wiek rozprzędły,
 powraca, choć myślano, że lilje powiędły,
 pieśni, drogi Samenie, wrócą i znów tęczą
 olśnią dzieci, jak dzisiaj, gdy nam w sercach dźwięczą.

W grobie twym, pasterzowi przeszłości podobnym,
 co go trzoda lżą rosi na nędznej polanie,
 napróżno jabym szukał tego, co wziąć chciałbym.
 Gdy sól owiec gromada na strawę dostanie,
 gdy wino ci wypiją, co ciebie okradli.

Jestem myślą przy tobie. Dzień kona, jak w chwili,
 gdyśmy w starym salonie na wsi się bawili.
 Jestem myślą przy tobie. Myślę o tych górach
 rodzinnych, o Wersalu, gdzie noga za nogą
 szliśmy, wiersze swe mówiąc, nad łąk kwietną drogą.
 O druhu twoim myślę, o twojej macierzy.

Myślę o tych owieczkach, co nad wody brzegiem
 w oczekiwaniu śmierci dzwoniły we dzwonki.
 Jestem myślą przy tobie. Myśl ma w niebo mierzy.
 O wodzie myślę, ogniu, o kwiatów rozłogu.
 Myślę o rosie drżącej, co spływa na łąki.
 Myślę o tobie, o mnie i myślę o Bogu.

(*Le Deuil des Primevères*)

Tłum. Józef Gluziński.

MODLITWA VIII

Kiedy będę do Ciebie musiał iść, mój Boże,
 daj, by się wtedy stało, gdy złociste zboże
 umai pola. Chciałbym również tam na dole
 wybrać drogę pielgrzymki taką, jak ja wolę,
 do Raju, kędy gwiazdy świecą roziskrzone.
 Wziąłbym kijek i, drogą szeroką poszedłszy,

przyjaciołom mym, osłom, rzekłbym: «Towarzysze,
ja jestem Żam Franciszek; w Raj idę i w ciszę,
gdyż w kraju, gdzie Bóg dobry, tam niema otchłani».
Rzekłbym do nich: «Przez błękit nieba ukochani
pójdźcie, drodzy biedacy, miłe kłapouchy,
co uszami strząsacie pszczoł cięcia i muchy».

Obym z niemi mógł stanąć przed Tobą w tę chwilę!
Gdyż je kocham, że głową kiwają tak mile,
tak słodko; że gdy śpieszą lub staną wpół drogi,
to litość we mnie budzą pocieszne ich nogi.
Idąc, przywiódłbym z sobą tych osłał tysiące:
i one, na swych grzbietach koszyki niosące,
i one, co za sobą ciągną wóz kuglarzy
lub wózki z drzewem, blachą, lub z czem się nadarzy,
i one, co na grzbiecie gną się pod łagwiami,
i osłice, jak buklak, z pełnemi bokami,
i te w krótkich spodeńkach, co nie od parady,
lecz by im dały spokój much tnące gromady.

Mój Boże, daj, niech zjawię się z temi osłami.
Uczyni, byśmy z anioły szli w ciszy równie
do źródłanych belkotek, gdzie wiszą czereśnie
drżące, jakby śmiejące ciało dziewcząt młodych,
i spraw, abym nachylon tak wśród dusz tych schronu
ponad wody boskiami, bym był osłów gronu
podobny, które złożą swą korność i słodycz,
i biedę w te przezrocza wieczystej miłości.

(*Quatorze Prières*)

Tłum. Józef Gluziński.

CHARLES GUÉRIN

(1873—1907)

DO FRANCISZKA JAMMESA

Żamie, twój dom przypomina mi ciebie z wejrzenia.
Brodaty powój na nim, sosna go ocienia,
Jak serce twoje wiecznie jara w sobie, młoda,
Mimo wichrów jednaka zawsze jej uroda.
Niski twego podwórza murek mech porasta,
Skromne piąterko domu, a wkoło krzaczasta
Polanka, na niej wawrzyn, studnia smakowita.
Gdym usłyszał, by płaka krzyk śmierci, jak zgrzyta
Twa furtka, czułem, w serce wzruszenie przecieka.
Żamie, tożem długo szedł tutaj zdaleka,
I zastałem cię takim, jak w marzeń mych tęczy.
Ujrzałem psa twojego, jak łasi się, wdzięczy,
A pod krezą srokatą twego kapelusza
Oczu uśmiech, co szczerą tęsknotą swą wzrusza.
Od okien twoich widać w górze przestrzeń nieba;
Oto fajki twe, okno, wiem od sztachetów
Wnoszące łąk balsamy, nad księgi poetów.
Przyjacielu, jak przyszły tak i znikną księgi,
Gdzie płacz nasz, tam śmiech innych wzleci nad pól łęgi;
Lecz niech żaden z nas obu, mimo lat, nie złamie
Przyjaźni, co w dzień wiosny złączyła nam ramię.
Dzień był słodki jak jesień, pełna plonów, chleba;

Słyszeliśmy, sikora coś skrzeczy wśród łozy,
 Dźwięczą dzwony, a drogą ciągną rzędem wozy...
 Toż była smutna, długa, niedziela Palmowa:
 Ty, złamany miłością, jak trzcina, co chowa
 Pękniętą swą lodygę w wodzie, która gwarzy,
 Ja, drżący przed odjazdem, raczej umrzeć gotów
 Na morzu, gdzie wirują barki bez żeglarzy.
 Słyszeliśmy, jak trzeszczą wozy wśród wykrotów,
 Choć myślą swą rozbieżni, uczuciem złączeni,
 A chmura nam na dusze kładła mgłę swych cieni.
 Czy wrócę na spoczynek w twe progi dziecięce,
 Czy wrócę, aby czekać, gdy w srebrnej sukience
 Jutrznia wejdzie, by do niej wyciągnąć swe ręce,
 By z twej skrzyni różanej, co woń rozprzestrzenia,
 Z jej ksiąg starych, pożółkłych, wchłaniać bez skończenia
 Miłość, życie jedyne w popiele zniszczenia?
 Żam, gdy okien twych ramy naścieżaj otworzę,
 Widzę miasta i pola, śnieg, jesienne deszcze;
 W maju czytasz poezje półgłosem, na dworze,
 Dom i ogród otula niebieskie przestworze...
 O, domu, przyjacielu, zobaczę was jeszcze?

Jutro, niestety! Raczej wspomnieć każde wczora.
 W ciele mem dusza cierpi bez ojczyzny, chora.
 Wieczorem, gdy się we mnie wzmogła męka większa,
 W czas, kiedy swym promieniem słońce brzeg upiększa,
 Rzucając błysk ostatni na morskie bałwany,
 Szedłem z włosiem splókanym od morza fal słonych,
 Tocząc się marzeń rzutem, jak blok oderwany,
 Bo mię wołał przemożny szum fal rozjęczonych
 I potężny wulkanu głos, co ziemię wzrusza.
 Tak z myślą o twem sercu, kamyk wzięwszy w rękę
 W żyłki, jak mleko biały, znaczę nim w podziękę
 Dzień wstąpienia w twe progi, synu Wergiljusza.

(*Le Coeur Solitaire*)

Tłum. Józef Gluziński.

JESTEM ZNUŻONY...

Tyś wędrowką znużony? Więc szukasz ze smutną
 Duszą schronu pod strzechą słomianą zagrody,
 Świeżej zieleni w cieniu, wśród chłodzącej wody,
 Gdzie na trawie pod wiatem schnie bielone płótno?

Przeto nie trudź się dalej: oto masz zagrodę.
 Wrota z świeżej wikliny, puszczające liście,
 Pchnij naoscież, poeto, jeśli rzeczywiście
 Po zlej drodze spoczynku pragnie serce młode.

Wstrzymaj się przed oborą w mroku. Spójrz w ona.
 Owce beczą, wół ryczy, smutny osioł drzemie.
 Gdzie kropel dziwny odgłos, wejdź wreszcie w przyziemie,
 Sernicę ujrzyś tutaj, serem obciążoną.

Czas wieczoru. Spoglądnij; chata wnet już zaśnie.
 Patrz, ogień rozpalają, jak zwykle w tej chwili;
 Nikły dymek ku górze rychło się wychyli.
 Dla duszy schronu chciałeś? Wejdz. On tutaj właśnie.

(*Le Semeur de Cendres*)

Tłum. Józef Gluziński.

HENRI DE RÉGNIER

(ur. 1864)

ODA

Witalem was, o gaje, przez młodości lata
 Serdecznem łkaniem,
 Niosłem wam, siostry, smutek, co się w duszy brata
 Z umiłowaniem!

Kiedy drzew waszych liści wiosenna ponowa
 Lśniła w błękity,
 Gdy pod jesień wam złotem wichru pieśń wrześniowa
 Zdobila szczyty,

Kiedy świeża nadzieją i jeszcze brzemienna
 Od plonów krasy
 Wieściła piękność wasza, gorąca, płomienna,
 Letnie wywczaszy,

Miał złączyć moje serce z waszej duszy głębią,
 W niem przestrzenioną,
 Niosłem bezpłodne bóle, co się od trosk zębią
 I smutkiem wioną.

Nie wdychiwały waszych silnych, zdrowych woni
 Piersi wezbrane,
 Zdało się, liście włokłem za sobą po błoni,
 Zmarłe, zdeptane.

Znosiliście cierpliwie chód mój ołowiany,
 Co z cierpień staje;
 Żem był w was jeno smutkiem, płaczem rozkochany,
 Wybaczcie, gaje!

Nie taką to miłością do was, jak przed laty,
 Serce kołaczę;
 I kiedy widzę piękno waszej strojnej szaty,
 Jak dziś, gdy patrzę,

To czuję, że mnie wzrusza wasz głos objawienia,
 Życia potęga,
 Że Bóg władca was, kiedy kielkują nasienia,
 Dłonią dosięga.

Mojego życia widzę niezgłębione pędy,
 Ziemią żywione,
 Tajne, jak twe korzenie dębic, wrosłe wszędy.
 Nad kielki one,

Nad ciało, co się w życie pniem dostałym wraża,
 Mojego ducha
 Gałąż już wichr jesieni szczytami obnaża...
 Cóż zawierucha

Drzewu mojemu, co czas, co mrozy lub spieka,
 Albo siekiera
 Uczynić zdoła, gdy już z za kory człowieka
 Bóstwo wyziera!

TAJEMNICA

Uważaj; jeśli mówić chcesz do smutku mego,
To nie szukaj przyczyny jego łez, o nie!
Że po ziemi wzrok wodzi, nie pytaj, dlaczego,
Lub że utkwił go w ugór, gdzie roślinność schnie.

Nie rzucaj na przeszłości ciszę wygładzoną,
Pragnąc rozwiać i zniszczyć jego ból i zło,
Żadnych zwidzeń miłości ni pychę wskrzeszoną,
Ni nadzieję; niech mrok ich ściemni wspomnień tło.

Opowiedz mu o słońcu, o drzewach i wodzie,
Jak świeci jasne morze, jaki w lasach mrok,
Jak wędruje w noc księżyc po nieba obwodzie,
I o wszystkim, co widzi oczu jasny wzrok.

O tem powiedz, że wiosna różą zawsze zdobna
Z dłoni stodycz śle jemu, jaśmin, wonny bez;
Bowiem rzeczy kształt, zapach i piękno zosobna,
One jedne wśród wspomnień nie przynoszą łez.

(*La Sandale ailée*)

Tłum. Józef Gluziński.

PAUL FORT

(ur. 1872)

TO DZIEWCZĘ UMARŁO...

To dziewczę umarło, umarło w miłości.
Zanieśli ją na grób w dnia pierwszej jasności.
Złożyli ją samą, niewinną w czystości,
Złożyli ją samą w grób, samą, jedyną.
Wrócili wesolo wśród dziennej światłości.
Śpiewali wesolo: «Tam każdy zagości.
«To dziewczę umarło, umarło w miłości».
Wrócili na pola, wśród dziennej jasności.

(*Ballades au Hameau*)

Tłum. Józef Gluziński.

POŻEGNANIE

— Pójdę, z nad brzegu rzucę pocałunek.
— Miła! od morza wicher go odrzuci.
— Dawać ci będę znaki mym fartuszkim.
— Miła! od morza wicher na cię zrzuci.
— Wylewać będę łzy, że już odjeżdżasz.
— Miła! od morza wicher je osuszy.
— Hej! będę myśleć jedynie o tobie.
— Otoś rozsądna jest, oto rozsądna.

Tłum. Józef Gluziński.

BALLADA XIII

— Na ścieżynie wilgotnej, gdzie umiera szczęsna łania, wkoło niej, wkoło niej,
milknie cały świat. Słońce, jak rój pszczelny, który spadł, kładzie na mchów miękkich
cienie, wkoło niej, swe całowania.

Rosa ledwie że się błyskiem toczy, ociąga się, słodko waha i, swą piękną szyję kładąc
na listowie, patrzy, słucha, co jej obłok nad szczytami gór opowie.

O, jak ciska promienieje wkoło łani, kiedy ona, ten jej słodki, piękny kształt, pelza w cieniu. Gdzie przezroczy słońca mrowie, niemy podziw się rozchodzi, gdzie te mroki i listowie. Nagle gaj się rozkołysał, słońce mgli się, pszczoły z kwiatów ulatują z skrzydeł graniem. Mur się tworzy z cieni, lotów i poszmerów między łanią ukochaną, a myśliwca w las wołaniem.

(*Ballades de la Forêt, des Bois et des Ruisseaux*)

Tłum. Józef Gluziński.

HARMONIJNA WIZJA ZIEMI

Edmundowi Gossemu

Weźcie ślub, me zmysły, usta, słuch, spojrzenie. Na gór szczyty wyszedłem, stoję w pełni nieba. Ziemia wkrąg pod oczyma. Radości, natchnienie! W oparach, pod mą stopą, cudna błyszcząca ziemia, czysta jest i przejasna z poza tych oparów! Drży moje serce, patrząc nadół w groźny parów. Zda mi się, że to dzisiaj jest jak nigdy piękne, cudne nieskończenie. Weźcie ślub, me zmysły, usta, słuch, spojrzenie.

Widzę, tam równina we falach jak dźwięk, za nią znowu cała ściana drga jak złoty dzwon. A tam słodko sianokosy w lśnieniu słońca grają. A łan maków to jak jeden najsilniejszy ton. Kędy ziemia niebem raduje się, hen, głos wzruszenia gra w przelicznych kłosach, które drgają. Jakże lubię żyła w pełni słodki przecięć dźwięk! Koniec równin kona wdali, gdyby dźwięk.

Ziemia, którą widzę, ziemia, którą słyszę, ziemia pod oczyma wzrok mój miesza. Rytmiczna, muzykalna, jeszcze jest piękniejsza! Błękitna na niej woda opada i spada, przez pewien czas się trzyma. Powolna, ostatnia lesista wyżyna stacza się do równin, a potem już równin falujący skłon. Ziemia pod oczyma, w rytmie muzykalna, a we mnie ma ona najcudniejszy ton.

Chciałbym pieścić rękoma całą jej przyrodę, jako cudny instrument, co zna serca sen. — Wydobyć z gajów dźwięki, jak wichur to czyni, poroznosić hen! — Wtedyby zaśpiewało, by tchnień morskich śpiewy, siano, zboża bróg, gdybym się mógł rozścielić jak wichur powiewy; — ach, gdybym mógł!... w poszmerzebym próbował ziemi wkrąg przyrodę. Chciałbym pieścić rękoma całą jej urodę.

Lecz ta cała przyroda w moje puka serce. |Przecie ziemia i słońce takiej samej miary w dźwięku tonów rytmicznym, jak to moje życie! Przechodzi przez cię jasność dziwna, moje życie! Toż dla mnie to nagroda, zapłata i dary, kiedy zmysły me błędzą z gwiazd na łąk kobierce. Ziemia i słońce ze mną takiej samej miary; dzisiaj cała przyroda w moje wkracza serce.

Z radości zrodzon żar. — Wzruszenie ziemię porywa, wichur szalu, radości ponad nią ulata. Ściskają się lodygi, a na polach czar, łono topól się obraca, piersią pływa i nadstawia swoje czoło na podmuchy wonne lata. Moje serce ma przyrodę za królestwo. Ona siłę ma w niem, a w niej ono. O, tak zawsze żyć bez końca, kołysany drzew koroną...

Nie widzicie, że mogliby jak bogowie ludzie być, gdyby chcieli mię posłuchać i, zmysłami żyjąc swemi, między wichury, ponad ziemię, w pełnem niebie, zdala lśnić. Ach, by chcieli! Cały wszechświat byłby wtedy duszą ich, sercem ich. Co ja mówię? Nie widzicie? Tożby dla nich było życie cudne, drogie. «Pozwól, człeczko, niechaj tobą zmysł zawiada, będziesz wtedy sobie Bogiem».

O ziemio — w moim sercu — w rytmie, muzykalna, zstąp ze śniegami, z gór winnicami; niechaj źródła się toczą; rzeka huczy skalna; niechaj słyszę w mem sercu pieśń dróg potoczystą. Wyciągam dłoń. Me ręce pieszczą czystą nieboskłon toń, gdzie w równinę się stacza pole zbóż, poszmerem po błękitach wodzące, kiedy dźwięczy w mej duszy ziemia muzykalna.

Z nieba toczę wzrok — z góry, tam, gdzie stał. A ziemia i słońce, to jedna oczywista, lecz ziemia to wieczny moich zmysłów szal. Z woli wszystkich mych zmysłów, och! piękna jest ziemia! A w czystym powietrzu mającą wsie jasne, wsie w głębi! Ich dzwonnice szarawe mają odblask dzikich z łąk gołębi.

(*Les Hymnes de Fen*)

Tłum. Józef Gluziński.

MAURICE MAETERLINCK

(ur. 1862)

PELLEAS I MELISANDA

Akt IV. Scena IV

Krynica w parku.

(*Wchodzi Pelleas*)

Pelleas: To ostatni wieczór... ostatni wieczór... Wszystko musi się skończyć... Igrałem jak dziecko wokół rzeczy, której nie podejrzewałem... Igrałem we śnie wokół zasadzek przeznaczenia... Któż to zbudził mnie nagle? Ucieknę, krzycząc z radości i bólu, jak ślepiec, uciekający z własnego domu w płomieniach... Powiem jej, że uciekam!... Ojcu nic już nie grozi; i nie mam już czem okłamywać siebie samego... Późno jest; ona nie przychodzi... Zrobiłbym lepiej, odjeżdżając bez widzenia się z nią. Muszę dobrze przyrzeć się jej tym razem. Niektórych rzeczy już sobie nie przypominam. Rzeczy można niekiedy, że od lat stu przynajmniej jużem jej nie widział... I nie przypatrzyłem się jeszcze jej spojrzeniu... Nie zostanie mi nic, jeżeli tak odejdę. I wszystkie te wspomnienia... to jakgdybym uwoził z sobą trochę wody w woreczku muślinowym... Muszę ją zobaczyć raz ostatni, zobaczyć aż po dno serca... Muszę jej powiedzieć wszystko, czego nie powiedziałem...

(*Wchodzi Melisanda*)

Melisanda: Pelleas!

Pelleas: Melisanda! — Czyś to ty, Melisanda?

Melisanda: Tak.

Pelleas: Pójdź tutaj; nie stój tak nad brzegiem w świetle miesiąca. — Pójdź tutaj. Mamy do powiedzenia sobie tyle rzeczy... Pójdź tutaj, w cień lipy.

Melisanda: Zostaw mnie w świetle, panie...

Pelleas: Mógłby kto dojrzeć nas z okien wieży. Pójdź tutaj; tutaj nie mamy czego się obawiać. Strzeż się; ktoś może nas zobaczyć...

Melisanda: Ja chcę, aby mnie widziano...

Pelleas: Co ci jest? — Czy mogłaś wyjść niepostrzeżenie?

Melisanda: Tak; brat twój, panie, spał...

Pelleas: Późno jest. — Za godzinę pozamykają bramy. Trzeba uważać. Dlaczego przyszłaś tak późno?

Melisanda: Brat twój, panie, miał przykry sen. A potem suknia ma zaczęła się o gwoździe bramy. Patrzaj, panie, rozdarła. Straciłam cały ten czas i biegłam potem...

Pelleas: Moja biedna Melisando!... Bałbym się prawie dotknąć cię... Cała jesteś jeszcze zdyszana, jak ptaszę ścigane... I to dla mnie, dla mnie robisz to wszystko? Słyszę bicie twego serca, jakgdyby ono było mojem... Pójdź tutaj... bliżej, bliżej do mnie...

Melisanda: Czemu śmiejesz się, panie?

Pelleas: Ja nie śmieję się; albo może śmieję się z radości, nie wiedząc o tem... Byłoby raczej czego płakać...

Melisanda: Byliśmy tu już kiedyś... Przypominam sobie...

Pelleas: Tak... tak... Kilka długich miesięcy temu. — Wówczas nie wiedziałem... Czy wiesz, dlaczego prosiłem, abys przyszła dziś wieczór?

Melisanda: Nie.

Pelleas: Widzę cię po raz ostatni, być może... Muszę odjechać na zawsze...

Melisanda: Dlaczego mówisz zawsze, że odjeżdżasz?...

Pelleas: Mam ci powiedzieć to, co już wiesz? — Ty nie wiesz, co ci chcę powiedzieć?

Melisanda: Ależ nie, nie; nie wiem nic...

Pelleas: Nie wiesz, dlaczego muszę się oddalić... Nie wiesz, że to dlatego... (*chwyci ją w ramiona*). Ja cię kocham...

Melisanda: (*cichym głosem*) Ja kocham cię także...

Pelleas: Och! och!... Coś ty powiedziała, Melisando?... Nie usłyszałem tego prawie!... Złamano lody rozpalonem żelazem!... Mówisz to jakimś głosem, jakgdyby przychodzącym z końca świata!... Nie usłyszałem cię prawie!... Kochasz mię? — Kochasz mię także?... Odkąd mnie kochasz?

Melisanda: Od zawsze... Odkąd cię ujrzałam...

Pelleas: Och! jak ty to mówisz... Zdawałoby się, że głos twój płynął nad morzem o wiośnie! nie słyszałem go nigdy dotąd... zdawałoby się, że deszcz świeży spadł na me serce!... Mówisz to tak otwarcie!... Jak anioł spytany!... Nie mogę temu wierzyć, Melisando!... Dlaczegożbyś mnie miała kochać? — Ależ dlaczego ty mię kochasz? — Prawdaż to, co mówisz? — Nie ludzisz mię? — Nie kłamiesz trochę, aby na twarz moją uśmiech wywołać?...

Melisanda: Nie; nie kłamię nigdy; kłamię tylko twojemu bratu...

Pelleas: Och! jak ty to mówisz!... Twój głos! twój głos!... Świeższy jest i przejrzystszy od wody!... Rzekłby kto: woda czysta na moich rękach... Daj mi, daj mi twe ręce... Och! jakież małe twe rączki!... Nie wiedziałem, żeś taka piękna!... Nie widziałem nigdy nic równie pięknego, przed tobą... Byłem niespokojny, szukałem wszędzie w domu... Szukałem wszędzie po okolicy... I nie znajdowałem piękności... Aż teraz cię znalazłem! Znalazłem cię! Nie wierzę, aby była na ziemi kobieta piękniejsza!... Gdzie jesteś? — Nie słyszę już, byś oddychała...

Melisanda: Bo patrzę na ciebie...

Pelleas: Dlaczego patrzysz na mnie tak poważnie? Jesteśmy już w cieniu. — Zbyt czarno tu pod tem drzewem. Pójdź do światła. Nie możemy tu widzieć, jak bardzo jesteśmy szczęśliwi. Pójdź, pójdź; tak mało zostaje nam czasu...

Melisanda: Nie, nie; zostańmy tutaj... Jestem bliżej ciebie w ciemności...

Pelleas: Gdzież twoje oczy? — Nie chcesz przecie uciekać ode mnie? Ty nie myślisz o mnie w tej chwili.

Melisanda: Ależ owszem, owszem; myślę tylko o tobie...

Pelleas: Patrzałaś gdzie indziej...

Melisanda: Widziałam cię gdzie indziej...

Pelleas: Jesteś roztargniona... Co ci jest? Nie wydajesz mi się szczęśliwą...

Melisanda: Ależ owszem, owszem; jestem szczęśliwa, ale jestem smutna...

Pelleas: Ludzie częstokroć bywają smutni, gdy się kochają...

Melisanda: Płacę zawsze, gdy myślę o tobie...

Pelleas: Ja także... ja także, Melisando... Jestem tuż koło ciebie; płacę z radości, a jednak... (*całuje ją znowu*) Jesteś dziwna, gdy cię tak ściskam... Jesteś tak piękna, że zdawałoby się, iż masz umrzeć...

Melisanda: Ty także...

Pelleas: Otóż, otóż... Nie robimy tego, co chcemy... Nie kochałem cię za pierwszym razem, gdy cię zobaczyłem...

Melisanda: Ani ja!... ani ja... Bałam się...

Pelleas: Nie mogłem się pogodzić z twymi oczami... Chciałem odjechać zaraz... a potem...

Melisanda: Ja znowu nie chciałam tu jechać... Nie wiem jeszcze dlaczego, ale bałam się tu jechać...

Pelleas: Tyle jest rzeczy, których nigdy nie będzie się wiedziało... Oczekujemy zawsze, a potem... co to za hałas? zamykają bramy!...

Melisanda: Tak, zamknięto bramy...

Pelleas: Nie możemy już wrócić! Słyszysz zgrzyt rygli? Słuchaj! słuchaj!... wielkie łańcuchy!... wielkie łańcuchy!... Za późno, za późno!...

Melisanda: Tem lepiej! tem lepiej! tem lepiej!

Pelleas: Ty?... Otóż właśnie, otóż właśnie!... To nie my już tego chcemy!... Wszystko stracone, wszystko uratowane! wszystko uratowane dziś wieczór! Pójdź! pójdź!... Serce mi bije jak szaleniec do głębi mych piersi. (*chwytą ją*) Słuchaj! słuchaj! serce me o mało mnie nie zdławi!... Pójdź!... pójdź!... Ach! jak pięknie w ciemnościach!...

Melisanda: Ktoś jest za nami!...

Pelleas: Nie widzę nikogo...

Melisanda: Słyszałam szmer...

Pelleas: Ja słyszę tylko twoje serce w ciemności...

Melisanda: Słyszałam chrzęst suchych liści.

Pelleas: To wiatr, który ucichł nagle... Ustał, gdyśmy się całowali...

Melisanda: Jakie wielkie są nasze cienie dziś wieczór!...

Pelleas: Ciągną się w uścisku aż w głąb ogrodu... Ach! jak one się całują daleko od nas!... Patrzaj!... Patrzaj!...

Melisanda (*zdtawionym głosem*): A-a-ach! On jest za drzewem!

Pelleas: Kto?

Melisanda: Golo!

Pelleas: Golo? — gdzie? Nic nie widzę...

Melisanda: Tam... na kraju naszych cieniów...

Pelleas: Tak, tak; widziałem go... Nie odwracajmy się nagle...

Melisanda: Ma miecz...

Pelleas: Ja nie mam swego...

Melisanda: Widział, że całowaliśmy się...

Pelleas: Nie wie, żeśmy go spostrzegli... Nie ruszaj się; nie odwracaj głowy... Rzuciłby się natychmiast... Zostanie tam, póki będzie sądził, że nie wiemy... Obserwuje nas... Nie rusza się jeszcze... Odejdź, odejdź zaraz tędy... Ja będę na niego czekał... Ja go zatrzymam...

Melisanda: Nie, nie, nie!

Pelleas: Odejdź! odejdź! On widział wszystkol!... On nas zabije!...

Melisanda: Tem lepiej! tem lepiej! tem lepiej!

Pelleas: Idziel idziel!... Twe usta! twe usta!...

Melisanda: Tak!... tak! tak!...

(*Całują się*)

Pelleas: Och! och! wszystkie gwiazdy spadają!...

Melisanda: Na mnie także! na mnie także!...

Pelleas: Jeszcze! Jeszcze!... daj! daj!...

Melisanda: Całuj! całuj! całuj!

(*Golo rzuca się na nich z mieczem w ręku i zadaje cios Pelleasowi, który pada na brzegu krynicy. Melisanda ucieka przerażona.*)

Melisanda (*uciekając*): Och! och! Nie mam odwagi!... Nie mam odwagi!...

(*Golo ściga ją przez gaj w milczeniu*)

Tłum. Zenon Przesmycki.

KWIATY MARZEŃ

O szczęściu

Brak szczęścia jest obecnie jedną z chorób ludzkości, zarówno jak choroby są jednym z jej nieszczęść. Podobnie więc, jak istnieją lekarze, leczący choroby, należałoby mieć lekarzy, leczących na brak szczęścia. Czyż jednak z tego, że stan choroby jest zjawiskiem niestety częstszym daleko, aniżeli by należało, wynikać ma, że zbytecznym jest zajmować się zdrowiem i że profesor anatomji — nauki przyrodniczej, najściślej odpowiadającej nauce o moralności — brać powinien pod uwagę jedynie zwyrodnienie, któremu podlega ciało nasze z powodu mniej lub więcej powszechnego upadku? Rzeczą niezbędną jest, aby mówił on również i o ciele zdrowem i normalnie rozwi-

niętem, tak samo, jak moralista, starający się sięgać wzrokiem poza dzień dzisiejszy, powinien brać za punkt wyjścia duszę szczęśliwą, albo taką przynajmniej, która posiada wszystko, czego potrzeba do szczęścia, że już nie wspomnę o wyraźnej świadomości swojego szczęścia.

Ludzkość przypominała dotychczas chorego, zmieniającego wciąż pozycję na łóżku, aby zapomnieć o bólu. Mimo to jedyne słowa pociechy wypowiedziane były przez ludzi, którzy mówili w ten sposób, jakgdyby nie była ona nigdy chora. Ludzkość stworzona jest bowiem nato, aby była szczęśliwa, podobnie jak każda poszczególna jednostka stworzona została nato, aby być zdrową.

Dlatego też, mówiąc z ludźmi o ich nieszczęściach, nawet w warunkach ogólnych klęsk i cierpień nieustannych, mówi się w ten sposób, jakgdyby te ich nieszczęścia były czemś przypadkowym i przejściowym. Zawsze należy mówić do ludzi tak, jakgdyby znajdowali się oni w przededniu wielkiego szczęścia lub objawienia wielkiej prawdy. Żyją oni istotnie wiedzeni własnym instynktem, jakkolwiek nie miałyby im w gruncie rzeczy być sądzonem dożyć do szczęśliwego jutra.

Mądrze też czynią ci, którzy wiedzą, że wystarczy pewien wysilek myśli, odwagi, miłości, zainteresowania i energii życia, aby otwały się wreszcie przed nami wrota radości i prawdy.

I kto wie, może wszystko to nie jest w istocie niedościgłe. Należy się spodziewać, że przyjdzie dzień, kiedy wszyscy będą szczęśliwi i mądrzy. A gdyby nawet nie miał on nastąpić, nie było błędem żyć w oczekiwaniu jego nadejścia.

Należy bądź co bądź mówić nieszczęśliwym o szczęściu, ażeby nauczyli się rozumieć je. Tak bardzo skłonni oni są uważać szczęście za coś niezwykłego i prawie niedostępnego. Gdyby wszakże wszyscy ci, którzy mają rację czuć się szczęśliwymi, szczerze wyjawili powody swojego zadowolenia, jasnym stałoby się, że cała różnica pomiędzy smutkiem a radością polega w gruncie rzeczy na różnicy pomiędzy nieco bardziej dobrotliwą i jaśniejszą świadomością własnej małości a ponurem, pełnym gorczy poczuciem niewoli, pomiędzy bardziej harmonijnem i szczerzem a ciasnem i upartem pojmowaniem życia.

Wówczas nieszczęśliwi zawołaliby: «Tylko tyle? Wszakże i my wszyscy posiadamy w głębi serc naszych warunki podobnego szczęścia».

Posiadacie je istotnie. Poza wielkimi fizycznymi klęskami, posiadają je wszyscy. Nie lekceważcie wszakże tego szczęścia. Najszczęśliwszy ze wszystkich jest ten, kto bardziej od innych jest świadom swojego szczęścia. Najlepiej zaś uświadomi sobie szczęście swoje ten, kto głębiej od innych poznał, że szczęście od rozpaczy dzieli jedynie wzniosła, niemożna, ludzka i nieustraszona idea.

O idei tej mówić należy jak najczęściej — nie w tym celu, aby narzucić innym własne pojęcie o szczęściu, ale dlatego, aby w sercu każdego, słuchającego nas, zbudzić pragnienie zyskania własnego pojęcia szczęścia, bowiem jest ono różne dla każdego.

Wasz sposób pojmowania szczęścia nie odpowiada mi i, chociażbyście najwymowniej opisywali mi je, nie sięgnie ono do tajemnych głębin mojego życia. Muszę koniecznie wytworzyć w sobie samym, własnymi moimi siłami, własne pojęcie szczęścia. A jednak, mówiąc o waszem pojęciu szczęścia, pomożecie mi, sami o tem nie wiedząc, zdobyć moje własne. Może to, co was smuci, będzie mnie radowało, a to, co was krzepi pociechą, będzie dla mnie przyczyną smutku, ale nie o to idzie.

Wszystko, co jest piękne w waszym radosnym obrazie, przesiąknie w mój smutek, a wszystko, co jest wzniosłe w waszym smutku, przesączy się w moją radość, o ile radość moja godna jest waszego smutku. Wzniesić należy przedewszystkiem na powierzchni duszy wyżynę, aby móc przejść tę ideę, podobnie jak kapłani wierzeń starożytnych obnażali, oczyszczali z cierni i kolców szczyt góry, na której czekali zejścia ku nim z obłoków ognia wiekuistego.

Może jutro z przepastnych głębin Marsa — wraz z ostateczną prawdą o powstaniu i celu świata — wyjawiona nam zostanie bezwzględna, niezaprzeczona formuła szczęścia.

Niema nic sprawiedliwszego nad szczęście, nic, co tak wiernie odbijałoby zarysy naszej duszy, co mogłoby tak ściśle wypełnić wszelkie obszary, jakie mu otwiera mądrość. Nic natomiast nie jest tak milczące, jak szczęście. Anioł smutku przemawia wszystkimi językami i zna wszystkie słowa; zaś anioł szczęścia otwiera usta wówczas jedynie, kiedy może mówić o szczęściu, które zrozumie człowiek dziki nawet. Nieszczęście wyszło z lat dzieciństwa przed setkami wieków już, natomiast przypuścić możnaby, że szczęście do tej chwili śpi w powijakach.

Niewielu jest ludzi, którzy nauczyli się być szczęśliwymi. Gdzie jednak są ci, którzy w szczęściu tchnęli głos swój w niemego archanioła, który rozświetlał ich duszę? Czemu przypisać niesłuszne takie milczenie? Czyż mówienie o szczęściu nie równa się poniekąd uczuciu sztuki, jak być nieszczęśliwym? Czy wymawianie codziennie imienia szczęścia nie jest zarazem wywoływaniem go? Czyż jeden z najpiękniejszych obowiązków człowieka szczęśliwego nie polega na nauczaniu innych, jak być szczęśliwymi? Nie ulega wątpliwości, że można nauczyć się tej sztuki, a nawet niczego nie można łatwiej nauczyć się niż tego. Przebywając wśród ludzi, błogosławiących swoje życie, zaczniecie i wy wkrótce błogosławić wasze własne. Uśmiech jest tak samo zarźliwy, jak łzy, a epokami, które noszą nazwę szczęśliwych, są przeważnie te, w których niewielka grupa ludzi miała wolę nazwać się szczęśliwymi.

Zazwyczaj nietyle szczęścia nam potrzeba, ile sztuki być szczęśliwymi. Największe szczęście do niczego nie prowadzi, o ile nie wiemy, że jesteśmy szczęśliwi. Najdrobniejsze natomiast świadome szczęście większą ma wartość dla naszego błogostanu, aniżeli wielkie szczęście, którego dusza nasza nie ogarnęła czujnym wejrzeniem. Większość ludzi wyobraża sobie, że szczęściem nie jest to, co posiadli; i dlatego właśnie obowiązkiem ludzi szczęśliwych jest wskazywać nam, że w gruncie rzeczy posiadli oni w sercu swoim to samo jedynie, co posiadają i inni.

Być szczęśliwym znaczy opanować niespokojne oczekiwanie szczęścia. Konieczne byłoby, aby co pewien czas ktoś, komu szczególnie sprzyja los, ktoś, zaznający szczęścia nadludzkiego, olśniewającego, wzbudzającego powszechną zazdrość, przyszedł i powiedział wprost: zdobyłem to wszystko, o co wy modlicie się codziennie. Posiadam majątek, zdrowie, młodość, sławę, władzę i miłość. Mogę się już teraz nazwać szczęśliwym, jednakże nie z powodu dobrodziejstw, jakimi obdarzał mnie los, lecz dlatego, że dobrodziejstwa te nauczyły mnie oglądać szczęście. Jeśli w moich cudownych, zdumiewających podróżach, w moich zwycięstwach, w mojej sile i w mojej miłości zyskałem spokój i błogość, których szukałem, stało się tak jedynie dzięki temu, że wyjawily mi one, iż prawdziwa błogość i spokój nie w nich się mieści. Przed moimi zwycięstwami spokój i błogostan byly jedynie we mnie samym. I po nich są one również tylko we mnie, wiem zatem, że gdybym posiadał więcej trochę mądrości, mógłbym mieć wszystko, co mi zostało dane, nie mając potrzeby zdobycia wszystkiego tego. Wiem, że dzisiaj jestem szczęśliwszy, aniżeli byłem wczoraj, gdyż wiem nareszcie, że nie potrzeba mi już szczęścia do wyzwolenia własnej duszy mojej, do uspokojenia myśli i wypełnienia światłem mojego serca...

...«Czy istotnie kryje się w szczęściu tyle szczęścia, jak ogólnie utrzymują?» — zapytał dwóch szczęśliwych ludzi filozof, którego długotrwałe prześladowanie losu uczyniło nadmiernie smutnym.

Nie, szczęście jest zawsze więcej i mniej godne zazdrości, aniżeli sądzą o tem ludzie, bowiem stanowi je coś zupełnie innego, niż myślą o tem ci, którzy nie byli nigdy zupełnie szczęśliwi. Być wesolym nie znaczy być szczęśliwym, a być szczęśliwym niezawsze znaczy być wesolym. Jedynie drobne, przelotne radości promieniają zawsze uśmiechem i zamykają oczy, uśmiechając się; stałe szczęście, stanawszy już na pewnej wyżynie, staje się również zadumane, jak szlachetny smutek...

...Mędracy uczyli nas, że nie potrzeba być szczęśliwym, aby zachować pragnienie szczęścia. Gdyby jednakże mędrzec nie był nigdy szczęśliwy, w jaki sposób zrozumiałby on, że jedynie tylko mądrość nie zachmurza się i nie mroczy wpośród szczęścia?

Mędrcy, którzy zaznali szczęścia, nauczyli się kochać mądrość miłością głębszą, aniżeli ci, którzy byli nieszczęśliwi. Wielka zachodzi różnica pomiędzy mądrością, wykwitłą na podłożu cierpienia a mądrością, którą wyhodowało szczęście. Pierwsza pociesza, mówiąc o szczęściu, druga mówi o sobie. U kresu mądrości nieszczęśliwych góruje nadzieja szczęścia. Jeśli celem mądrości jest uzyskanie szczęścia, to tylko zaznawszy tego szczęścia, możemy poznać, że cel ten tkwi jedynie w mądrości...

Nie każda dusza może być nosicielką szczęścia. Szczęście wymaga tyleż męstwa, ile nieszczęście. Może nawet trzeba mieć więcej siły, aby trwać w szczęściu, aniżeli, żeby trwać w nieszczęściu. Bowiem oczekiwanie na to, czego jeszcze nie ma, daje więcej radości sercu, któremu obca jest mądrość, aniżeli zdobycie wszystkiego, czego się pragnęło. Jedynie z wyżyn stałego szczęścia dostrzegamy najlepiej pragnienia serca, które, zdaje się, żywić się może jedynie lękiem i nadzieją, i któremu tak trudno jest żywić się tem, co samo posiada, nawet jeśli posiada ono wszystko...

...Widzimy częstokroć, że szczęście pokonywa ludzi silnych i moralnie przezornych. Nie znalazłszy w niem wszystkiego tego, czego szukali, nie bronią go oni i nie utrzymują z dostateczną energją, jaką należy zawsze okazywać w życiu.

O, jak wiele rozumu trzeba, aby nie dziwić się, że szczęście sprowadza ze sobą często i smutek, i oby smutek ten nie budził w nas myśli, że nie posiadamy jeszcze pełnego szczęścia. Najlepszą rzeczą, jaką darzy nas szczęście, jest pewność, że nie jest ono czemś oszalamiającem i upajającem, ale czemś pobudzającym do rozmyślań...

...Szczęście staje się dostępniejsze i mniej rzadkie z chwilą, gdy rozumiemy, że jedynym dobrem, jakim trwale darzy ono duszę, umiejącą korzystać zeń, jest pogłębienie świadomości, jakiego nie znalazłaby dusza w niczem innym...

...Ważniejszą jest dla duszy ludzkiej rzeczą poznać cenność szczęścia, aniżeli rozkoszować się niem...

Ażeby kochać długo szczęście, należy wiele poznać. Więcej wszakże jeszcze poznać należy poto, aby zrozumieć, że wpośród niezamąconego niczem szczęścia niezmienna i trwała część wszelkiego błogostanu polega jedynie na owej sile, która w głębi naszej świadomości mogłaby uczynić nas szczęśliwymi nawet w obliczu cierpienia...

...Możecie uważać się za szczęśliwych wówczas jedynie, kiedy szczęście pomogło wam wznieść się na wyżyny, z których możecie tracić je z oczu, nie tracąc jednakże chęci do życia...

Tłum. R. Centnerszwerowa.

ÉMILE VERHAEREN

(1855—1916)

DRZEWO

Samotne,
czy je lato kolysze, czy mrozi je zima,
czy gdy gałąź szron zetnie, liście gdy otrzyma,
zawsze, w dniu każdym w złą czy szczęsną dolę,
roztacza swą niezmierną, władcą życia wolę
nad pole.

Widzi te same lany od setek, setek lat,
i te same roboty w zasiewów godzinie;
oczy dawno umarłych, oczy
dziadów, co czerw je już toczy,
spoglądały, jak jemu lupina przy lupinie
rozrastała się w korę i tęgie gałęzie;
przewodziło spokojne, silne w ich pracy obrzędzie,
pień jego mchem porosły służył im za łożę;
po znoju w czas południa pod nim spoczywali,
a cień w liści rozhowerze
niegdyś rozkosz niósł młodym, tym, co się kochali.

Po wsiach od samego rana
według jego płaczu, śmiechu czas się wróży;
tajń gwałtownych chmur mu znana
i po niebie jasny słońca płas w podróży;
jest przeszłością, co spoziera w smutne łany,
lecz choć różnych wspomnień w drzewie
znak tajemny ma wpisany,
przy wiosennym wnet powiewie,
gdy w pniu starym złączą żywiej krążyć soki
każdym kielkiem i gałęzią, pod obłoki
— ust radością, ramion dzwony —
rzuca okrzyk niezmierny
ku przyszłości.
I czy deszcz, czy słońce świeci,
ono z liści tka swe sieci,
wiąże niemi swe lodygi coraz hyżej,
w zwyciężone niebo strzela czołem wyżej, ciągle wyżej;
tak daleko śle korzenie swoje plemne,
że zużywa wkoło glebę, źródła ziemne;
że się czasem aż zatrzyma, by zdziwione,
w głębię prac swych gorączkowych zapatrzone.

By do pracy tej starczyło mu sił morze,
ileż walk staczać musiało z tobą, zimo!
Miecze wichru, siepiące po korze,
wstrząs orkanu i szrony, co imą
się kory, jak piły zęb ostry,
wszystka moc nienawistna i wszystkie jej siostry,
i grady od wschodu, i śniegi w pomroce,
mróz przejmujący, co pod nim dygoce
rdzeń cały i nerwów w nim zwoje,
wszystko było mu męką, nosło niepokoje:
lecz nigdy, choć na chwilę,
w rozkwitu swej sile
rozpędu nie zwalniało:
tak chciwie piękność swą całą
z wiosną każdą powiększyć pragnęło jedynie.

We wrześniu, gdy w triumfie na listkach łśni złoto,
ja, zwawo jeszcze idąc, choć ciężki, znużony,
często swe kroki zwracałem z ochotą
pod to drzewo jesieni, gdzie polne zagony.
Jak olbrzym obrośnięty liśćmi i ogniami,
obrócone spokojnie wzrokiem w niebne szczyty,
zdawało się, że gwarzy z duchów tysiącami,
które mu na gałęziach pieśń piaty w błękity.
Tak szedłem doń z oczyma w blaski utkwionemi
i pnia się dotykałem palcami i dłonią,
i czułem w jego życiu aż z głębi, od ziemi,
jak nadludzkiem wysiłkiem tętna żył mu dzwonią;
przyłożyłem do niego swoją pierś brutalną
z taką miłością wśród uczuć promieni,
iż rytm jego głęboki potęgą nawalną
przeszedł we mnie i w serca gdzieś utkwil bezdeni.
Tak się z jego życiem zmieszałem szerokiem;
przyłgnąłem doń, jak jeden z konarów,

co jaśniał rozłożystym swych liści potokiem;
zapłonąłem miłością do ziemi, do wody, do jarów,
do bezmiernej przestrzeni nagiej, gdzie mgły wioną;
przeciw losom chwyciłem swej potęgi broń,
przestrzeń chciałem uchwycić w rękę zolbrzymioną;
i lekkim było ciało i lekką ma dłoń.

Krzyknąłem: «Moc jest święta.

«Przez nią niech będzie w człowieku poczęta

«śmiały zamiarów chwila.

«Kluczem do raju jest; ona odchyła

«dłonią do raju wnijście».

Przesłałem liściom drzewa uściski serdeczne
i, gdy się ukazały w mroku gwiazdy mleczne,
poszedłem w pól bezmiary, deptając zwiędłe liście,
krocząc naprzód, choć nie wiem, gdzie tak śpieszyć chciał.
Z serca głos mój rozdrwany krzyk radości ślał.

(*La multiple splendeur*)

Tłum. Józef Gluziński.

ULEWA

Długa bez końca, jako nić, ulewa,
Nieokreślenie, w chwilę szarą dnia,
Znaczą zielone okna nicią szarą
Wciąż nieskończenie, ulewa,
Długa ulewa,
Ulewa.

Tak się rozprzędła z wieczora
Z lachmanów dżdżystych, co wiszą
Na niebie chmurnem od wczora.
Pełza powoli a z ciszą
Nad drogi, ponad ruczaje,
I nie przestaje.

Wśród staj daleko,
Co do miast od pól się wleka
Zawrotnie drogą kręconą,
Wśród trudu ciągną i męczą się, i poca,
Jak pogrzeb o zmroku nocą,
Pojazdy z budą zmoczona;
Prosto bitemi traktami,
Co w oddal idą przed siebie,
Że w nocy koniec ich, zda się, tkwi w niebie,
Płyną strugi, godzinami.
Zwilgły dachy nad chatami,
Placzem strug swych chłoscze drzewa
Uporczywa z chmur ulewa.

A wezbrane, ponad zgnilych tam zasięki,
Na łąk obszar pędzą rzeki,
W nich stopione siano płynie;
Huczy wichru jęk w olszynie;
W złem przeczuciu, wpół we wodzie
zanurzone
Ryczą woły, lby podniósłszy w nieba stronę.

(*Villages illusoires*)

Mrok się zbliża i zanurza
W cień doliny, pola, wzgórze,
Jako sadza, wciąż ulewa
Mży, ulewa,
Wkrąg strugami wód rozbrzmiewa.

Mży ulewa,
Ulewa — a jej nici takie składne,
A jej palce tak poradne
Tkają przedzę,
Nić za nicią w ból i nędzę
Ponad domy i wsie całe,
Szare miasta postarzale;
Szmutki, z gałganków różańce,
Co się płaczą opętańce,
Gdzie słupy drewniane;
Gołębniki, na dachu gdzieś przymocowane;
Okna, których szybę zbitą
Papierem zlepiono, zszyto;
Gospody, gdzie ciągle strugi,
W kamień bijąc, żrą framugi;
Młyny smutne i samotne, nad rozłogi
Wystające, jako rogi;
Kapliczki wśród uroczysszy,
Ulewa,
Długa ulewa,
Zabija w zimie i niszczy.

Ulewa,
Długa ulewa i jej długa szara sieć,
I jej włosów wodnych splot,
Twarz w zmarszczkach, stara, jako śniedź,
Długa ulewa,
Idzie nad pola, łąki i drzewa,
Wieczna jak śmierć.

Tłum. Józef Gluziński.

LITERATURA FRANCUSKA OD R. 1914

ÉMILE VERHAEREN

(1855—1916)

MÓJ DUCH JEST TAM..

Mój duch jest tam,
 Mój duch w radości, w odgłosie on trwóg,
 On tam,
 Gdzie się zmagają, gdzie śmierci jest tan,
 Mój duch jest tam,
 On wpośród jęków oręża, krwi strug.

W nim płacz jest i zapal, śmiech w nocy i w świt,
 Dlań walki zwiastunem blask, płomień i ruch;
 Mój duch
 Przez wszystkie godziny, przez wszystkie on dni,
 Jedyną on myślą, miłością on lśni.

Mój duch? — płomienny on, gorący,
 Gna pamięć w oblawę,
 By wskrzesić dumę w życie
 Nad baśń i dziejów sprawę.
 Płomienny on i drżący,
 On chowa się w twym świetle,
 W twe wielkie rozpowicie,
 Sztandarze, niosący w świat sławę.

On czyha na wasz gwar,
 Dobosze, gdy, wchodząc w uliczny kurz, skwar,
 Bębnie pod słońca przypieką.
 Mój duch? — wtóruje on dźwiękom
 W rytm waszych nóg pracy,
 Wojacy,
 Śpieszący na ustach z piosenką.

Mój duch? — on już
 Jest tam,
 W jasności zwyciężania,
 Wszystko mu znakiem jest i gestem wywołania.

Z sobą go niesie w świat
 Żyjący wiatr,
 Który ochłodzi skroni
 Powracających z błoni,
 Z dłonią urwaną, o zboczonych stopach,
 Wśród walki wręcz, w okopach.
 On płomień jest, on głosem jest wierzenia.

On krzyczy, drży, oblędem poi słuch,
 Gdyż przyszłość mówi doń i wznosi mu swe pienia,
 Placzący ze wzruszenia,
 On słucha, on — mój duch!

*(Les Ailes rouges de la Guerre)**Tłum. Józef Gluziński.*

GEORGES DUHAMEL

(ur. 1884)

ZWIASTOWANIE

Ze szczytu góry
 skała oderwana
 toczy się wdół, rysą, po szczelinach,
 jak ciężka łaza, kamienna.
 Jeśli się waha, wstrzymuje swój pęd,
 to jeno poto, by podwoić skok;
 szybciej nie zmyka zwierz zwolniony — w schron.
 Tak pędząc, rzutem
 odwala ona pnie i rwie z korzeni
 jodły i krzew jałowca...

Również i drwale, ci u stoku góry,
 czują na grzbiecie lęk nieokreślony;
 mrozi im trzewia strach,
 zbliża się oto biec,
 co go nie dojrzyć jeszcze.

Ja zaś, spokojny, stoję wśród paproci,
 serce mam chłodne, jak sokół w kapturze,
 jasnego czoła krew strachu nie skazi;
 gdyż znam i górę, i lawiny bieg
 i wiem, że kamień tutaj się nie stoczy.

Lecz mogę — w dole — tam,
 wskazać i drzewa, które on rozniesie,
 i czleka, co rozmiążdży.

Tłum. Józef Gluziński.

ŻYCIE MĘCZENNIKÓW (1914—1917)

(Wyjątek)

Badaliśmy z naczelnym lekarzem ranionego. Niedostrzegalnie, przez zęby, lekarz szepnął do mnie:

— Jeszcze jedna ofiara jest konieczna¹.

Zaprawdę, całkowita ofiara jeszcze nie została spełniona.

Jednak Léglise zrozumiał. Odniedawna dopiero nie płacze on już więcej. Ma wyraz człowieka znużonego i zbłąkanego w huraganie, przeciw któremu z trudem usiłuje się ostać. Ukradkiem spoglądam na niego, on podchwytuje ten mój wzrok i odpowiada głosem wyraźnym, spokojnym, zdecydowanym:

— Wolę raczej umrzeć.

Wychodzę do ogrodu. Dzień budzi się w rozżarach słońca, lecz ja nie mogę na nic patrzeć, nie chcę nic widzieć. Krocząc, powtarzam:

— On woli raczej umrzeć...

W zwątpieniu sam siebie pytam, czy ma on słuszność.

Rozszemrały się wszystkie topole mojem listowiem. Wspólnym głosem, który jest głosem samego lata, mówią: «Nie! Nie! On nie ma słuszności».

Mały żuk pelza wpoprzek mojej drogi; nieuważnie miażdżę stopą kończynę jego odwłoku, lecz on gwałtownie umyka. On także na swój sposób powiedział: «Nie, zaprawdę, twój przyjaciel nie ma słuszności».

¹ Chodzi o dalszą amputację.

«Powiedz mu, że on się myli!» — śpiewa rój owadów, brzęczący wokół lipy. A nawet długi pocisk działa, przelatujący z pomrukiem ponad polami, on także krzyczy: «On się myli! On się myli!»

Wieczorem powrócił lekarz naczelny do łóżka chorego. Léglise rzekł do niego głosem ponurym, ociężałym:

— Ja nie chcę, panie doktorze, ja wolę raczej umrzeć.

Schodźmy do ogrodu. Lekarz rzuca mi niesamowite słowa:

— Staraj się pan przekonać go. Mnie już wstyd żądać od niego takiej ofiary. A mnie, mnie już nie wstyd?

Zwierzam się ciepłej nocy, usianej w górze gwiazdami; teraz jestem przekonany, że on nie ma słuszności; jednak nie wiem, w jaki sposób o tem mu powiedzieć. Cóż mu ofiarować za to, czego żądam od niego? Gdzież znaleźć słowa, któreby nakłaniały do życia?

O wy, wszystkie rzeczy, powiedzcie mi, powtórzcie mi jeszcze raz, że słodkiem jest życie, nawet w ciele tak boleściwie zniekształconem.

CYWILIZACJA (1914—1917)

...Często przyglądałem się obliczu Rabota, starając się uzmysłwić sobie, jakby ono wyglądało w uśmiechu. Próżna była moja wyobraźnia: było aż nazbyt widoczne, że Rabot nie umiał się śmiać i że do takiej akcji nie miał wyrobionej twarzy.

I oto weszła pani w zielonej sukni.

W czasie pięknego poranku przekroczyła próg, jak wszyscy inni. A jednak nie była podobna do wszystkich innych: miała wyraz anioła, królowej, lalki. Nie była ubrana jak pielęgniarki, pracujące w izbach dla chorych, ani jak matki lub kobiety, odwiedzające swoich synów i mężów, gdy są ranieni. Nie była też podobna do dam, jakie się spotyka na ulicy. Miała w sobie o wiele więcej powagi. Przypominała raczej owe boginki, owe przepyszne obrazki, które się widzi w różnobarwnych reprodukcjach na wielkich kalendarzach, gdzie pod spodem widnieje objaśnienie malarza: «Marzenie» albo «Melancholja», lub wreszcie «Poczja».

Weszła w otoczeniu pięknych oficerów, wykwintnie ubranych, którzy z namaszczeniem słuchali każdego jej słówka i okazywali jej najżywsze wyrazy podziwu.

— Proszę, niech pani wejdzie — rzekł jeden z nich — wszak pani pragnęła zobaczyć, jak ranni wyglądają... Postąpiła dwa kroki naprzód, zatrzymała się i szepnęła głosem stłumionym:

— Biedni ludzie!

Cała izba nadstawiła ucha i otworzyła oczy. Mery odłożył fajkę; Tarissant zmienił szczydła pod pachą, co u niego jest wyrazem wzruszenia; Domenge i Burnier przestali grać w karty, które skrzętnie zakryli ręką na brzuchu dla niepoznaki. Sparaliżowany Poupot nie ruszał się, lecz można było zauważyć, że z całym wyteżeniem woli nadśluchiwał.

Dama w zieleni podeszła najpierw do Sorriego, murzyna.

— Nazywasz się Sorri? — spytała, spojierając na kartę szpitalną.

Czarny potaknął głową, a dama w zieleni mówiła dalej z akcentem słodkim i melodyjnym, jak owe panie, które grają w teatrze:

— Sorri, przyszedłeś walczyć we Francji, opuściłeś twój piękny kraj, świeżą oazę, wonną i cudną w oceanie gorącego piasku. Ach, Sorri! jakie piękne są wieczory w Afryce, w czas, kiedy dziewczyna powraca długą aleją palmową, niosąc na głowie, jak wzniosły posąg, aromatyczną amforę, pełną miodu i mleka z kokosów.

Oficerowie wyrazili szmerem głosów swój zachwyt, a Sorri, który rozumiał po francusku, bełkotał, kiwając głową:

— Koko... koko...

Tymczasem pani sunęła już dalej po kamiennej posadzce.

Podeszła aż do Rabota i z wdziękiem usiadła na skraju jego łóżka, jak jaskółka na drucie telegraficznym.

— Rabocie — rzekła — jesteś dzielny!

Rabot nic nie odpowiedział, lecz, jak zwykle z przyzwyczajenia, błędził oczyma, podobny do dziecka, które boi się otrzymać klapsa.

— Ach, Rabot — rzekła pani w zieleni — jakąż wdzięczność winniśmy wam za to, że chronicie przed naruszeniem Francję. Ale ty, Rabot, ty już posiadasz najlepsze zadośćuczynienie: Sławę! Entuzjastyczny zapal walki! Chęć rzucenia się naprzód z bagnetem, błyszczącym od słońca; rozkosz utopienia mściwego żelaza w broczącym boku nieprzyjaciela, potem boskie cierpienie znoszenia głodu za wszystkich; święta rana, która z bohatera czyni Boga! Ach, piękne wspomnienia, Rabocie!

Pani w zieleni umilkła, a pobożna cisza zapanowała w izbie.

I oto powstało nieprzewidziane zjawisko: Rabot coraz mniej stawał się podobny do samego siebie. Całe jego oblicze wykrzywiło się, wstrząsnęło się w sposób wprost tragiczny. Z jego suchej, wątlej piersi zaczął się wydobywać stopniowo zachrypły szmer. Wszyscy mogli już poznać, że Rabot śmiał się!

Śmiał się przeszło trzy kwadransy. Dama w zieleni dawno już wyszła, a Rabot jeszcze się śmiał, całą kwintą, co wyglądało jak kaszel, jak charczenie.

I od tego czasu przecież coś się zmieniło w życiu Rabota.

Gdy bliski był płaczu i bólu, można go było wydobyć z tej sytuacji przez wywołanie w nim śmiechu, bo wystarczyło tylko wporę powiedzieć:

— Rabot! zaraz tu przyjdzie zielona pani.

Thum. Józef Gluźniński.

ROMAIN ROLLAND

(ur. 1866)

JAN KRZYSZTOF

I. Świt

W dniu, kiedy Melchjor, wchodząc na palcach do pokoju, zaskoczył Krzysia przed fortepianem i obrzucił uważnym spojrzeniem jego dziecinną postać, ledwo sięgającą klawiatury, nagły pomysł przeleciał mu przez głowę: Cudowne dziecko. Dla czegoż wcześniej nie przyszło mu to na myśl? Wielki los dla rodziny... Dotychczas myślał, że chłopak będzie prostakiem, jak jego matka. Ale warto spróbować. Coby to było za szczęście! Obwoziliby go po całych Niemczech, może nawet po zagranicy. Świetne byłoby życie, niepozbawione przytem wzniosłości. Melchjor szukał we wszystkich swoich czynach ukrytej szlachetnej intencji i po namyśle zawsze ją odkrywał.

Umocniony tem przekonaniem, po skończonej kolacji zasadził znowu Krzysia do fortepianu i kazał mu powtórzyć od początku poprzednią lekcję, aż oczy dziecka kleiły się ze zmęczenia. Nazajutrz trzy razy i odład codziennie powtarzało się to samo. Krzysztof znużył się prędko, poczem, znudzony śmiertelnie, nie wytrzymał i próbował się zbuntować. Nie miało sensu to, do czego zmuszano go, bo na cóż się mogło przydać prędkie przebieganie palcami po klawiszach albo męczenie czwartego palca dla nadania mu giętkości? Krzysioowi targano to nerwy, a nie widział w tem zgola nic pięknego. Rozwiał się bez śladu czarodziejski świat dźwięków, porywających marzeń, których przecucie dotąd w sobie nosił. Gamy i wprawki następowały po sobie kolejno, suche, jednostajne, nedorzeczne, jak te rozmowy przy stole, powracające wiecz- nie do jednego przedmiotu, na temat jednych i tych samych potraw. Dziecko zaczynało z roztargnieniem słuchać nauk ojca. Surowo gromione, zrazu poddawało się niechętnie, potem zaczęło przeciwstawiać połajaniom Melchjora najgorszy humor. Złość jego dosięgła zenitu, gdy pewnego dnia posłyszało, jak w przyległym pokoju Melchjor wyjawiał swoje zamysły. A więc do tego prowadziła ta nudna nauka, to tłuczenie kościanych klawiszy, żeby je potem pokazywano za pieniądze, jak tresowane zwierzątko? Nie zostawiono mu nawet czasu na przechadzkę nad ulubioną rzekę. Uwzięli się na nie, i za co? Krzysć czuł się wzburzony, dotknięty we własnym poczuciu dumy i swobody. Postanowił nie grać już zupełnie albo grać jak najgorzej, żeby ojca zniechęcić.

Wiedział, że czeka go ciężkie przejście, ale trzeba było bądź co bądź ocalić swoją niezależność.

Począwszy od następnej lekcji, zaczął przeprowadzać swój zamiar. Ze skupioną uwagą opuszczał wszystkie znaki muzyczne i przemieniał klawisze. Melchjor łajał, krzyczał, posypały się uderzenia. Uzbrojony w twardą linię, za każdą fałszywą nutą tłukł palce dziecka, wrzeszcząc mu w samo ucho swoim ogłuszającym głosem. Krzysztof krzywił się z bólu, zagryzał wargi, żeby się nie rozplakać, i z godnym podziwu stoicyzmem uderzał w dalszym ciągu fałszywe klawisze, chowając za każdym razem głowę w ramiona w przeczuciu nowych cięgow. Ale wkrótce spostrzegł, że ten system do niczego nie prowadzi. Melchjor był równie uparty, jak on sam, i zaklął się, że choćby mu przyszło dwa dni i dwie noce przesiedzieć nad fortepianem, nie daruje dziecku ani jednej nuty, dopóki rzecz nie będzie wykonana bez zarzutu. Przytem Krzysztof zbyt sumiennie myślił się w tem samym miejscu, i Melchjor zaczął podejrzewać podstęp, widząc, jak ręka dziecka za każdym razem opada ciężko na przyległy klawisz z widoczną złą wolą. Podwoił się uderzenia, Krzysztof nie czuł już palców. Chlipał żałośnie, tłumił łkanie i potykał lzy.

Zrozumiał wreszcie, że tym sposobem nic nie uzyska, i że trzeba się zdobyć na rozpaczliwy krok. Przestał grać i, drżąc na myśl o burzy, którą rozpęta, powiedział odważnie:

— Tatusiu, nie będę już grał.

Melchjorowi zapało oddech.

— Co! co! — krzyknął.

Potrząsał Krzysiem z całych sił. Krzys, drżąc coraz bardziej i nadstawiając łokcia w obronie przed razami, mówił dalej:

— Nie będę już grał. Najprzód dlatego, że nie chcę być bitym. Powtóre...

Nie dano mu dokończyć. Tęgi policzek zatrzymał mu oddech w piersi. Melchjor ryczał:

— Co? nie chcesz być bitym? Nie chcesz?...

Posypał się istny grad uderzeń. Krzysztof wołał przez lzy:

— Powtóre... niecierpię muzyki!... niecierpię muzyki!...

Zsunął się z siedzenia. Melchjor wciągnął go siłą zpowrotem i, uderzając piąstkami dziecka o klawiaturę, krzyczał:

— Będziesz grał!

A Krzysztof ryczał:

— Nie będę! nie będę!

Melchjor musiał ustąpić. Po wybiciu chłopca wyrzucił go za drzwi, mówiąc, że nie dostanie jeść przez cały dzień, przez cały miesiąc, póki nie powtórzy wszystkich ćwiczeń bez jednego błędu. Kopnął go nogą i drzwi zatrzaskały. Krzysztof znalazł się na brudnych i ciemnych schodach, wiodących na strych. Przeciąg tam wpadał przez stłuczone w dachu okienko. Wilgoć splywała ze ścian. Krzys usiadł na jednym ze spróchniałych stopni, serce waliło mu w piersiach z gniewu i wzruszenia. Pociachu lżył ojca:

— Zwierzę! dzikie zwierzę jesteś! Nic więcej! Gbur, brutal! Nienawidzę cię, nienawidzę, chciałbym, żebyś umarł! żebyś umarł!

Żal wzbierał mu w piersi. Zrozpaczonym wzrokiem ogarnął umorusane schody, pajęczynę, kołysaną wiatrem nad stłuczoną szybą. Czuł się samotny, strącony na samo dno rozpacz. Poprzez poręcz spojrzął w otwierającą się pod schodami próżnię. Gdyby tak rzucić się nadół albo przez okno? Ukarac ich samobójstwem? Jakżeby ich dręczyły wyrzuty sumienia!... W wyobraźni słyszał już loskot osuwającego się ciała, trzaskanie drzwi na górze i przerażone głosy: «Upadł! zabity!» Potem gwałtowne kroki po schodach. Ojciec, matka rzucają się na jego zwłoki. Matka szłocha przez lzy: «To twoje dzieło! ty go zabiłeś!» Ojciec pada na kolana, zalamuje ręce i, tłukąc głową o poręcz, woła: «Nędzny jestem i zabójca!» — Te rozmyślenia sprawiły Krzysowi ulgę. Był bliski współczucia dla oplakujących go rodziców, ale myślał jednocześnie, że słuszną spotyka ich kara, i rozkoszował się zemstą...

Wreszcie spostrzegł, że siedzi w półmroku, na tym samym stopniu, i spojrzął raz jeszcze w ciemną klatkę schodową, ale już bez zamiaru zeskoczenia. Przebiegł

go nawet dreszcz na myśl, jak łatwo było spaść, i odsunął się nieco ku ścianie. Teraz poczuł się naprawdę więźniem, jak biedny ptak w klatce, więźniem na zawsze, któremu nie pozostaje nic innego, jak rozbić sobie głowę. Rozplakał się i szlochał długo, trąc sobie oczy brudnymi rączkami, tak że po chwili miał całą twarz umorusaną. Nie przeszkadzało mu to rozglądać się dokoła. Znalazł w tem rozrywkę. Przesztawał na chwilę płakać, zaciekawiony pajakiem, który się w kącie poruszył, i znowu dawał folgę łzom, ale już z mniejszym zapalem. Łkanie stawało się machinalne. Niebardzo już wiedział, dlaczego płacze. Po pewnym czasie wstał z miejsca — pociągało go okno. Usadował się ostrożnie na wewnętrznej framudze i oddał się kontemplacji pająka, który budził w nim wstręt i zaciekawienie.

U stóp dziecka, w dole, płynął Ren. Wspięty na oknie Krzyś czuł się, jakby zawieszony w ruchomem gnieździe nad wodami rzeki. Miał on często sposobność przypatrywania się jej, schodząc ze schodów i przystając na stopniach, ale nigdy nie widział jej takiej, jak dziś. Cierpienie zaostrza zmysły; wszystko utrwała się lepiej w oczach, z których lzy spłókały ślady uwiedłych wspomnień. Rzeka wydała się dziecku żywą istotą, istotą niezrozumiałą, ale wielokroć potężniejszą od wszystkich widzianych ludzi! Krzyś pochylił się naprzód, żeby lepiej widzieć, rozplaszczył usta i nos o szybę. Dokąd «ona» płynęła? Czego chciała? Wydawała się tak swobodna, pewna swej drogi... Nic nie mogło jej zatrzymać. We dnie i w nocy, w pogodę i słotę, cokolwiek działo się z ludźmi radosnego czy smutnego ona płynęła spokojna, obojętna, wyższa ponad ludzkie cierpienia, ufna w swoją siłę. O, co za rozkosz być swobodną, jak ona, i płynąć tak pod cieniem wierzb, poprzez łąki, kamienie i chrzęszczące piaski, nie troszcząc się o żadne przeszkody...

II. Poranek

I

Uplłynęło kilka lat. Krzysztof liczy już jedenasty rok życia i kształci się poważnie w muzyce. Uczy się harmonji od przyjaciela swego dziadka, Florjana Holzera, organisty przy kościele św. Marcina. Ten uczony człowiek oświeca Krzysztofa, że pewne ulubione przez niego akordy i następstwa akordów, pewne harmonje, które głaszczą najprzyjemniej jego ucho i serce, są złe i niedozwolone. Na pytanie, dlaczego, Krzysztof otrzymuje krótką odpowiedź, że tak jest, bo jest: prawidło takie akordy wyłącza. Ponieważ karność nie należy do wrodzonych przymiotów Krzysztofa, więc uparciuch zachwyca się niemi tem bardziej. Z radością wynajduje przykłady podobnych harmonij w dziełach uznanych kompozytorów i przedstawia je dziadkowi albo swemu mistrzowi. Dziadek odpowiada mu na to, że wielcy muzycy, jak Bach i Beethoven, mogą sobie na wszystko pozwolić. Nauczyciel, mniej skory do ustępstw, unosi się tylko i oświadcza cierpko, że nie są to wcale najlepsze ich utwory.

Krzysztof ma teraz wolny wstęp do teatru i na koncerty. Gra już biegle na wszystkich prawie instrumentach, a w grze na skrzypcach doszedł do zupełnej doskonałości. Dzięki staraniom ojca otrzymał pulpit w orkiestrze i wywiązywał się z zadania tak dobrze, że po kilku miesiącach próby przyznano mu oficjalny tytuł drugiego skrzypka w Hof-Musik-Verein. Zaczyna więc zarabiać na życie, co stało się już koniecznością wobec coraz cięższych warunków domowych. Pijaństwo Melchjora wzmagalo się z latami, a dziadek posuwał się w starość i niedoleźniał coraz bardziej.

Krzysztof zdawał sobie już sprawę ze smutnego położenia rodziny. Twarz małego dziewczeczka przybrała wyraz zatroskania i powagi. Ze swego zadania wywiązywał się dzielnie, chociaż nowa praca nie zajmowała go wcale, i wieczorem w orkiestrze upadał nieraz ze znużenia. Teatr nie dawał mu teraz tych wzruszeń, co za dawnych, dziecinnych czasów. Dawniej, kiedy Krzyś był mały (to znaczy przed czterema laty), największą jego ambicją byłoby posiadanie tego stanowiska, które dziś zajmował. Teraz nudzi go większość utworów, które każą mu wykonywać, i uważa je w duszy za niedorzeczne, choć nie śmie jeszcze wygłaszać swego sądu. Niecierpliwi go jeszcze bardziej bezduszna bezmyślność, z jaką orkiestra wykonywa rzeczy naprawdę piękne. Ulubione utwory jego upodabniają się wówczas do tych sąsiadów i kolegów z or-

kiestry, którzy skrobą na przeróżnych instrumentach, a po zapadnięciu kurtyny ocierają sobie z uśmiechem spocone czoła i gawędzą spokojnie, jak po odbyciu ćwiczeń gimnastycznych. Krzysztof widuje teraz czasem przedmiot swoich dawnych uwielbień, ową bosonogą, płową śpiewaczkę; spotyka ją często w czasie antraktywów albo w restauracji. Świadoma jego młodzieńczych zachwytywów, aktorka chętnie zbliża się do chłopca i darzy go pieśczoćami, co nie sprawia teraz Krzysioowi żadnej przyjemności. Wstrętem napelniają go jej olbrzymie ramiona, niepomiarkowany apetyt i zapach jej szminki. Nie znosi jej teraz.

Wielki Książę nie zapominał o swoim nadwornym pianicie. Skromna pensja, przywiązana do tego tytułu, nie bywała Krzysiofowi wyplacana regularnie i trzeba się było zawsze o nią upominać, ale zato kiedy Jego Wysokość miał u siebie znakomitszych gości albo kiedy Jej przychodziła fantazja posłuchać muzyki, chłopiec otrzymywał rozkaz stawienia się w zamku. Wezwanie przychodziło zwykle późnym wieczorem, kiedy Krzysztof najbardziej pragnął samotności. Zaskoczony znieacka, musiał wszystkiego poniechać i śpieszyć na zamek. Nieraz kazano mu w przedpokoju wyczekiwać końca obiadu. Służba przemawiała do niego poufale, przyzwyczajona do widoku chłopca. Wreszcie wprowadzano go do salonu, pełnego światła i zwierciadeł, gdzie całe towarzystwo przyglądało mu się z natarczywą ciekawością. Krzysztof musiał przejść przez cały pokój po śliskiej, woskowanej posadzce, aby ucałować ręce Ich Książęcych Mości, a z wiekiem stawał się coraz niezgrabniejszy, czuł bowiem swoją śmieszność i cierpiał nad tem okrutnie.

Zasiadał wreszcie do fortepianu i grał dla tego zgromadzenia głupców, jak ich w myśli nazywał. Były chwile, w których obojętność otoczenia przygniatała Krzysiofowi do tego stopnia, że gotów był wszystko porzucić i uciec od fortepianu. Dusił się, jak zaczadzony, zdawało mu się, że wszyscy przypatrują mu się, jak osobliwemu zwierzątku z książęcej menażerji, i że te pochwały skierowane są nie do niego, ale do księcia-właściciela. Czuł się tem poniżony. Drażliwość jego stawała się chorobliwą i męczyła go tem więcej, że nie śmiał jej okazać. W najzwyczajem czyjemś postępowaniu dopatrywał się chęci ubliżenia sobie. Jeśli posłyszał śmiech w kącie salonu, był przekonany, że śmieją się z niego, nie wiedział tylko, co było przedmiotem żartów, czy jego ubranie, maniery, ręce, czy nogi. Wiecznie był upokorzony, zarówno kiedy nie zwracano nań uwagi, jak kiedy przemawiano do niego lub częstowano cukierkami, jak dziecko, przedewszystkiem zaś wówczas, gdy Wielki Książę, z istic pańską niedbałością, wsuwał mu na pożegnanie złotą monetę do ręki. Bolało go, że jest ubogi i że go jak ubogiego traktują. Pewnego wieczora otrzymane pieniądze tak mu ciążyły, że wracając do domu, rzucił je mimochodem w otwarte okienko piwnicy. W chwilę później byłby popelnił nikiemność, żeby je odzyskać, okazało się bowiem, że w domu nie płacono rzeźnika od kilku miesięcy.

Rodzice Krzysiofowi nie domyślali się tych jego cierpień obrażonej dumy. Cieszyli się ze względów, jakimi go książę zaszczycał. Pocziwa Luiza w najśmielszych marzeniach nie mogła sobie wyobrazić nic piękniejszego dla swego chłopca nad te wieczory, spędzane w zamku, w świetnym towarzystwie. Dla Melchjora był to przedmiot ustawicznych przechwałek w rozmowie z przyjaciółmi. Ale najszcześliwszy był dziadek. Chociaż lubił uchodzić za człowieka niezależnego, gardzącego zaszczytami, w gruncie rzeczy miał naiwną cześć dla pieniędzy, dla władzy, tytułów i hierarchij społecznych. Niewypowiedzianą dumą napelniała go myśl, że wnuk jego obcuje z tak dostojnymi ludźmi. Sam czuł się poniekąd opromienionym sławą tego wnuka i, mimo że u danej obojętności, twarz jego jaśniała szczęściem. Ilekroć Krzysztof wezwany był na zamek, stary Jan-Michał wynajdywał jakikolwiek pozór odwiedzenia Luizy i z dziecinną niecierpliwością czekał powrotu wnuka. Gdy ten zjawiał się wreszcie, stary zapytywał, niby odniechcenia:

— No, jak ci się tam wiodło dzisiaj?

Albo zagadywał:

— Idzie nasz Krzysztof, który nam pewno coś ciekawego opowie.

To znowu starał się przejednać go pochlebstwem:

— Czołem młodemu dworzaninowi!

Krzysztof, zły i nachmurzony, odburkiwał niechętnie: «Dobry wieczór» i szedł dąsać się do kąta. Stary nastawał, inni wtrącali się do rozmowy, domagając się szczegółów, wydzierając mu słowa odpowiedzi. Chłopiec odpowiadał zaledwie «tak» albo «nie», posępniał przytem coraz bardziej. Wreszcie Jan-Michał tracił cierpliwość i wybuchnął, rzucając dotkliwie obelgi pod adresem Krzysia. Ten stawiał się hardo, dochodziło do kłótni, i wkońcu stary odchodził zagniewany, silnie trzaskając drzwiami. Tak więc Krzysztof zatruwał tym biednym ludziom chwilę najlepszej radości. Trudno ich było nawet winić o to, że przynieśli na świat służalcze dusze i tem samem niezdolni byli pojąć udręczeń dziecka.

Krzysztof zamykał się w sobie coraz bardziej. Nie miał zamiaru sądzić swoich krewnych, ale czuł, że przepaść, która go od nich oddziela, pogłębia się z każdym dniem. Było w tem zapewne wiele przesady i, pomimo różnic w sposobie myślenia, ci sami ludzie byłiby go może zrozumieli, gdyby się z nimi zasadniczo rozmówił. Wiadomo jednakże, jak niesłychanie trudne jest ściśle porozumienie między dzieckiem a rodzicami, choćby skądinąd istniały między nimi najserdeczniejsze stosunki. Bo naprzód szacunek utrudnia szczerłość zwierzeń, a następnie pojęcie nieraz mylnie o wyższości wieku i doświadczenia nie pozwala rodzicom przywiązywać należytej wagi do uczuć dziecka, które są również głębokie a często prawdziwsze, niż u dorosłych ludzi.

Towarzystwo, z jakim Krzysztof w domu przestawał, i rozmowy, jakich słuchał, oddalały go od rodziny jeszcze bardziej.

Bywali tam przyjaciele Melchjora, członkowie orkiestry, przeważnie kawalerowie-pijaczyny, ludzie niezłi, ale prostacy, cały dom trząsł się od ich wrzasku i stąpania. Po swojemu kochali oni muzykę, ale mówili o niej z oburzającą nieznamością rzeczy. Ich gburowate zachwyty boleśnie raziły wstydlivość uczuć dziecka. Krzysio wi się zdawało, że spotyka go osobista obelga, ilekroć pochwalili jaki ukochany przez niego utwór. Wzburzony do głębi, przybierał wówczas lodowaty wyraz twarzy i udawał, że muzyka nie obchodzi go wcale. Gotów był wmawiać w siebie, gdyby tylko mógł, że jej nienawidzi. Melchjor mawiał o nim:

— Ten chłopak nie ma serca. Nic nie czuje. Nie rozumiem, po kim on to wziął.

Niekiedy zgromadzeni u Melchjora goście śpiewali chórem niemieckie pieśni czteromiarowe na cztery głosy. Te pieśni uroczyste i ciężkie, a przytem bezsensowne i płytkie w harmonji, raziły nieznośnie Krzysztofa. Chronił się do najdalszego pokoju i złorzeczył ścianom.

Thum. Jadwiga Sienkiewiczówna.

ROLAND DORGELÈS

(ur. 1886)

DREWNIANE KRZYŻE

Rozdział 9. Śmierć za ojczyznę

Nie, to okropne, tego nie powinna była grać muzyka...

Człowiek runął jak kłoda, przytrzymany do słupka związanymi rękami. Chustka, zastępująca opaskę, tworzy jakby siną koronę. Duchowny odmawia modlitwę z zamkniętymi oczyma, by więcej nie patrzeć.

Nigdy, nawet w straszliwych godzinach, nie odczuto bardziej obecności Śmierci, niż dzisiaj. Przeczuwa się ją, węższy się, jak pies wyjący. Czy to żołnierz — ta sina kłoda? Powinien być jeszcze ciepły.

Och! być zmuszonym widzieć to i zachować na zawsze w pamięci jego krzyk zwierzęcy, ten przeraźliwy krzyk, w którym odczuwało się przestרח, grozę, modlitwę i to wszystko, co może z siebie wyjęczeć wstrząsającym wyciem człowiek, który nagle widzi tam, przed sobą śmierć. Śmierć: mały pał z drzewa i ośmiu białych ludzi z bronią u nogi.

Przeciągły ten krzyk wbił się nam wszystkim w serce, jak gwóźdź. I nagle, w tem okropnem rżeniu, które słyszał cały pułk zdrętwiały, zrozumiano błagalne słowa kornajęgo: «Proście o przebaczenie dla mnie... Proście pułkownika...»

Rzucił się na ziemię, aby odwlec śmierć swoją, przywiązano go tedy do słupa ramionami, bezwładnego, jęczącego. Aż do końca krzyczał. Słyszano: «Moje małeństwa... Pułkowniku...» Jego szloch rozdzierał grozę ciszy, a drżący żołnierze o jednym tylko myśleli: «Och! prędzej... prędzej... niech to się już skończy... Niech strzelają, aby go więcej już nie słyszeć...»

Tragiczny chrzęst salwy. I jeszcze jeden strzał, samotny: cios łaski. Skończyło się...

Potem należało przedefilować przed jego trupem. Muzyka zaczęła grać «Śmierć za ojczyznę», a oddziały pokuszyły jeden za drugim uginającym się krokiem. Berthier zacisnął zęby, aby nie widziano jego drgającej szczęki. Gdy rzucił rozkaz: «Naprzód», Vieublé, który płakał z całej piersi, jak dzieciak, wystąpił z szeregu, rzucił karabin i upadł, bo dostał nerwowego wstrząsu.

Odwracano głowę, mijając słupek. Jakbyśmy mieli popełnić coś złego, nie mogliśmy patrzeć wzajem na siebie, na wybladłe nasze oblicza, na podkrążone oczy.

Oto chlew, w którym on spędził ostatnią swoją noc, chlew tak niski, że musiał w nim stać — na klęczkach. Z pewnością musiał w nim słyszeć miarowy tupot kroków oddziału, wezwanego do broni. Czy zrozumiał?

Sądzono go wczoraj wieczór w balowej sali «Pocztowej kawiarni». Były tam jeszcze gałęzie jedliny z naszego ostatniego koncertu, trójbarwne papierowe girlandy, a na estradzie wielki plakat, namalowany przez naszych muzykantów: «Nic sobie z tego nie robić. Pozwolić mówić».

Bronił go mały kapral, z urzędu mianowany, wstydlivy, politowania godny. Gdy uczestniczył w tej scenie, kiwając długimi ramionami, to wyglądał, jakby przyszedł na jedną «zakrapianą», że aż komisarz rządu zaśmiał się do dłoni w rękawiczce.

— Czy wiesz, co on popełnił?

— Poprzedniej nocy, po ataku, przeznaczono go na patrol. Ponieważ zaś przedtem był po marszu, więc odmówił. Oto, co jest...

— Znalesz go?

— Tak, to był chłopak z Cotteville. Miał dwie kochanki.

Dwie kochanki, wielkie, jak jego słup...

Z rozdziału 11. Zwycięstwo

O, jakże smutna jest panorama zwycięstwa! Pod swoim całunem zakrywa jeszcze mgła zakątki, a ja nic więcej rozpoznać już nie mogę na tej spuszczonej karcie roztrzęsionej ziemi. Wszystko się miesza: Trois-Chemins, Ferma, biały Bovau. Ta sama płaszczyzna, zużyta aż do wątki białego marglu, wrzosowisko piaszczyste, ogolone, bez drzewa, bez dachu, bez żyjącego stworzenia, i wszędzie zaśmiecone małymi plamami: to umarli, umarli...

— Pułkownik, dumny z nas, wykrzykuje: Jest ich tu dwadzieścia tysięcy trupów, tych «boszów».

Ilu Francuzów?

Musiąco się wytrzymać przez dziesięć dni na tem posepnem rąbanisku, pozwolić się wycinać bataljonami, aby dodać kawałek pola do naszego zwycięstwa, kawałek wyprutej kiszki, mieście w ruinie. Lecz mogę szukać, nic więcej nie rozpoznaję. Miejsce, gdzie tyle się wycierpiało, podobne jest jedno do drugiego, przyprószone, jak włosy siwiejące, i wygląda jak obraz wielkiej męki. Tam coś jest...

Zaciera się ekliwy zapach trupów, wszędzie czuć chlor, rozsypany wokół beczek z wodą. Lecz w mojej głowie, w mojej skórze czuję straszliwy oddech trupów. We mnie, na zawsze: rozumiem teraz miłosierdzie.

Najwięcej znużeni usnęli. Inni rozmawiali, skupieni w małych grupach: mówili wszyscy razem, głosem nerwowym, rzucając mierzwę jeszcze drgających i żywych wrażeń, jakby chcieli pozbyć się nazbyt wielkiego ciężaru swych wspomnień.

Automobiliści, więcej wzruszeni od nas, słuchali, a ponieważ tylko oni mieli sposobność czytać dzienniki, wyjaśniali bitwę, o której nic nie wiedzieliśmy.

Towarzysze broni obwieszali się wszelką zdobyczą wroga, przypinali hełmy do swoich pasów, jak skalpele.

— Sprzedam ci go — powiedział jeden z szoferów do kolegi.

Inny, skuszony ceną, zaofiarował swój łup i natychmiast zaczął się handel na skraju drogi. Sprzedawano różnego rodzaju pamiątki, wszystkie szczątki pozostałe z ataku: łapki naramienników, szare furażerki, zapalniki pocisków — «to dobre na śliczne kałamarze, chłopcy...» — szwabskie ładownice, które sprzedawano za dwadzieścia groszy, ciepłe opaski na brzuchy z rudej skóry, małe kubki z aluminium, lekkie i mało miejsca zajmujące, które jednak parzą w palce, blaszanki, pokryte suk-nem khaki, pocztowe karty z nieznanymi czułościami. Nad niektórymi hełmami, pozbawionymi skrzydlatych orłów, pochylano się z ciekawością, śledząc zabójczy otwór, przez jaki uleciało życie. Sulphart zachwalał rzadki okaz, parę żółtych bucików:

— Wspaniałe buty Szwaba — krzyczał... — Śliczne trzewiki oficerskie, kto kupi? Piękny podarek dla kotki... Kto chce dla propagandy w Panamie przechadzać się w pięknych łapciach bosza!

Nagle umilknął i zebrał całą wystawę, jak zaskoczony tandeciarz.

— Psia kula, toć to Morache...

Nie widzieliśmy go od dziesięciu dni, od poranka, w którym zaczął się atak. Nie opuścił ani przez minutę cuchnącego schronu — pierwszego obserwatorium — które zajął jako posterunek, i wyszedł z niego z obliczem spleśniałym, z bezkrwistymi wargami a oczami ciągle mrugającymi. Skrzeczając, zbierał kompanję — jego kompanję, teraz, gdy padł Cruchat, i brutalnie budził śpiochów, trącając ich końcem swej trzciny.

— Chodźmy, dałem rozkaz, plecaki na barki — krzyczał pod nosem małego Brucke'a, który się budził, cały chwiejący się, z oczami jeszcze błędnymi od spania.

Klnąc, sposobiono się do drogi.

Nakoniec wozy zwolniły bieg, potem zatrzymały się.

Nogi bolały, głowy były ciężkie, ciało obolałe. Z pomrukiem zapinano plecaki, które wydawały się ciężkie jak nigdy.

— Dlaczego nie wysadzono nas właśnie w miasteczku?... Nam się widzi, że nie są zmęczeni ci inni.

Ledwieśmy zsiadli, a już niektórzy zwalili się na trawę. Wielu postępowało, utykając na stopach, spuchniętych od zrogowaciałej skóry obuwia, którego nie zdemowaliśmy od dwóch tygodni. Ta zabłocona zgraja kulawych, pozbawiona woli, podpierała się karabinami, opierała o drzewa.

Bourland nadszedł na swoim niskim rowerze i zawołał mię:

— Jakóbie!... W miasteczku defilada, muzyka na czele. Generał na miejscu.

A od wzgórzka głowy spoczywających chłopców zwróciły się z oburzeniem; zbliżyły się kulasy.

— Co? Teraz parada? Kpią sobie z nas? Jeszcześmy się niedosyć napracowali?

— Nie, generał chce policzyć tych, których nie uczynił jeszcze trupami...

— He, dobrze, ja nie idę, Morache niech sobie pyskuje...

Najsilniej krzyczał Sulphart, wstrząsając niesprzedanymi bucikami.

— Oni tylko dobrzy do urządzania procesyj... Ale w okopach to ich nie widać. Oni nie odbywali półpościa w Trois-Chemins.

— Robić rewję, gdy dopiero zaczynamy się usadowiać, to zbrodnia — potwierdził statecznie Lemoine. — Nie możnaby maszerować.

Gdy tak rozprawiali, zajechało auto, z którego wysiadł Berthier. Jego plugawy płaszcz zwisał sztywno, jak cylinder zeskorpiałego błota; krokiem ociągającym się postępował naprzód, z oczami świdrującymi z poza okularów. Widocznie już nie mógł więcej znieść tego wszystkiego.

— Ugrał się na to wszystko, panie poruczniku — oświadczył mu Sulphart z godnością wolnego człowieka. — Co za przyjemność defilować przed lazikami.

— Być może, lecz tam jest generał — odpowiedział słodko Berthier. — Chodźmy, moi towarzysze; tornistry na plecy... Tam obozuje bataljon młodych rekrutów, należy im pokazać, że nie jesteśmy pulkiem dziewczątek.

Zrządząc, zaczęli się zbierać. Ustawiono się w szereg.

— Na prawo czwórkami!

Na drodze ujrzano orkiestrę i sztandar wyjęty z pokrowca.

— Naprzód... marsz!

Pułk zachwiał się. Na czele grała muzyka marsza pułkowego, i zdawało mi się, że na zwycięskie przyjęcie trąbek plecy wyprostowały się. Wymarsz był ciężki, lecz szybko kroki stały się lżejsze, a stopy przemierzały drogę regularnym rytmem. Defilowały tedy manekiny z błota, błotne piechury, zabłocone owijacze, zabłocone płaszcze i blaszanki, podobne do wielkich bloków gliny.

Ani jeden z lżej rannych nie opuścił szeregu, lecz nie o wiele byli oni bledsi i wyczerpani od reszty. Wszyscy mieli pod hełmami te same rysy przestachu: defilada tych, co powrócili.

Wiśniacy frontu mają serce stwardniałe i wcale nie wzruszają się po tylu okropnościach; jednak, gdy ujrzeli wyłaniającą się pierwszą kompanję tego pułku zagrobowego, zmienili swe oblicze.

— Och! Biedni chłopcy...

Jakaś kobieta zapłakała, potem inne, potem wszystkie... To był hołd łez, wzdłuż wszystkich domów, i na widok tych łez dopiero uświadomiliśmy sobie nasze minione cierpienia. Na szorstkie oblicza wystąpiła smutna дума. Wszystkie głowy zwróciły się ku nam, a nasze oczy rozjaśniły się blaskiem zadowolenia. Gnała nas muzyka brzękiem wszystkich mosiądzów i mocno bębnił bęben; nawet najwięcej zmordowani ożyli i słyhać ich było tuż blisko, jak krzyčeli: «To my zrobiliśmy atak!... To my powracamy tam z góry...»

Na placu zaś stał uformowany bataljon młodych. Płaszcze nowe, bagnety na lufach. Kilka kroków na przodzie generał na koniu, w otoczeniu wystrojonej świty. Żaden głos nie padł z naszych szeregów, żadne oblicze nie okazało niezadowolenia. Słyszało się tylko mechaniczny tupot maszerującego pułku, w takt oszalamiającej muzyki. Ochoczy wzrok tych, którzy maszerowali, zdawał się panować swoją wolą ponad milczącymi nowicjuszami. Młodzi prezentowali przed nami broń.

Gestem teatralnym podniósł się generał na strzemionach siodła i pięknym ruchem obnażonej szabli pozdrowił nasz sztandar, podziurawiony od kul, pozdrowił nas... I nagle pułk stał się czemś jednym, nierozzerwalnym. Jedyne дума być tymi, których się pozdrowiał! Dumni z naszego błota, dumni z naszych mozołów, dumni z naszych poległych!...

Znów zagrzmiały trąby, a my wkroczyliśmy w główną ulicę, otoczeni sławą, promieniejący szczęściem, wśród żywej zazdrości rekrutów, którzy maszerowali za nami. Młoda panienka z poczty pozdrowiła nas, powiewając wilgotną od łez chusteczką i, mając oczy zaczerwienione, krzyčła coś do nas, lecz wnet jej krzyk skończył się płaczem.

Wtedy Sulphart, błądzący ze wzruszenia, nie mógł się dłużej powstrzymać...

— To właśnie my dokonaliśmy ataku — krzyčał silnym głosem. — To my!

I wszystkie głowy zwróciły się ku niemu, wszystkie oczy zajaśniały i ze wszystkich warg zdawał się płynąć okrzyk dumy: «To my, to my!»

Pozdrowił nas dźwięk muzyki, który nam się wydał zwiastunem niedzielnego święta i spoczynku; szliśmy tedy naprzód z dumą na czołach, z dumą zwycięskich męczyzn, przeciwstawiającą się łzom otoczenia.

Naprzód! Wojny będą zawsze, zawsze...

Tłum. Józef Gluziński.

MAURICE BARRÈS

(1862—1923)

NIEŚMIERTELNE ZNAMIĘ FRANCJI

Mowa, wygłoszona w Londynie, w sali Towarzystwa Królewskiego, pod protektoratem Akademii Brytyjskiej, dnia 12 lipca 1916 r.

(Wyjątki)

Każdego roku w Saint-Cyr odbywa się z wielką okazałością uroczystość Triumfu. Tak nazywa się tradycyjna ceremonia, w czasie której młodzieńcy, przed ukończeniem dwóch lat nauki w szkole, uświetniają promocję, jaka ich czeka, i chrzczą imieniem swoich następców.

W lipcu 1914 r. zdarzenia, które, gwałtownie następując po sobie, zakończyły się wojną, zeszyły się z tą uroczystością, przez co nabrała ona tem poważniejszego wyrazu.

Dnia 31 owego miesiąca generał, dowódca szkoły, powiadomił Montmirail (takie było imię absolwentów), iż wieczorem mają oni ochrzcić swoich kadetów po wojskowemu i bez tradycyjnej zabawy.

Wszyscy zrozumieli, że może jeszcze tej nocy przyjdzie im wyruszyć do pułków ich przydziału...

W takiej atmosferze uniesienia młodzi oficerowie otrzymali tytuł promocyjny: «Krzyż Sztandaru», i w onej to chwili jeden z Montmirajczyków, Gaston Voizard, wykrzyknął:

— Przysięgajmy, że, idąc w ogień, przywdziejemy nasz mundur galowy, białe rękawice i kazuar na czapce.

— Przysięgamy! — odpowiedziało pięciuset Montmirajczyków.

— Przysięgamy! — krzyknęło z kolei pięciuset z «Krzyża Sztandaru».

Okropna scena, zbyt francuska, pełna naiwności i dobrej woli, godnej podziwu dla tych młodzieńców, i także pełna przeraźliwych następstw.

Dotrzymali nieopatrzniego ślubowania...

Och! jakże drogo — we wszystkich stuleciach — kosztowała Francję buńczuczność!

* * *

Dzisiaj cały świat zna ten epizod, rozpowszechniony przez liczne artykuły, rysunki, poezje. Przypominacie sobie? Niemcy wtargnęli w okopy i złamali cały opór; nasi żołnierze przypadają do ziemi, lecz nagle z tego stosu rannych i trupów ktoś powstaje i, podniósłszy na odległość ręki worek z granatami, woła: «Powstańcie, umarli!» Uniesienie zmiata najeżdżęc. Wzniosłe słowo dokonało zmartwychwstania...

* * *

Oto fakty. Oto przynajmniej próbka, jedna próbka wina, które od dwóch lat fermentuje na wzgórkach naszej pszenicy z naszych pól i z krwi naszych bitew.

Jednak, czy wszystko to pochodzi z rzeczy nieznanych i nieoczekiwanych? Wszak to są owoce z drzewa Francji, podobne do tych, jakie dawny naród wytwarzał tyle razy w przebiegu wieków; to jest wino, to pszenica, to krew wszystkich naszych epopej. Rozpoznajmy w naszej przeszłości każdy rys, jaki mamy na uwadze. Pieśni rycerskie, wyprawy krzyżowe, całe zaranie Francji, obfitują mnogością czynów, dokonanych przez nasze rycerstwo i przez «sancta plebs Dei» — i one to wyprzedzają i zwiastują bohaterskie czyny naszej armji w roku 1916.

Śmiertelne ślubowanie młodzieńców z Saint-Cyr... toż to jest typowy epizod naszych średniowiecznych rycerskich epopej. One to ze świeżością wrażeń i genjuszem rozwijają temat radości z wojny, nieskazitelności, dobrej wiary młodych bohaterów, Aymerillotów, Rolandów, Gwidonów z Burgundji — w ich pierwszej młodości. Gdy Montmirajczycy i ci z Krzyża Sztandaru czynią ślubowanie, iż przyjmą chrzest bitwy w białych rękawicach i z kazuarem u czapki, to jakby ożył rozdział z poematu «En-

fances Vivien». W dniu, w którym młody Vivien zostaje pasowany na rycerza, składa on ślub przed zgromadzeniem panów wysokiego rodu, iż nigdy nie cofnie się w bitwie dalej, jak na odległość swojej kopji — i to ślubowanie stało się przyczyną jego śmierci...

Wstańcie, umarli!... Słyszeliśmy już ten tajemniczy okrzyk z lasku Ailly. W czasie oblężenia Askalonu templariusze widzą kilkunastu braci, powieszonych przez Saraceniów na bramie miasta. Ogarnęło ich zniechęcenie, mają zamiar odstąpić od oblężenia. Lecz mistrz świątyni powiada: «Patrzcie, wzywają nas umarli, albowiem oni zajęli już miasto».

* * *

Oto więcej jak tysiąc lat, gdy owa rzeka bitew płynie pełnemi brzegami. Czerpiemy z niej, nie mogliśmy uchwycić z jej mijającej fali, jak tylko to, co ujęły przedmioty na odległość rąk naszych. To zaś wszystko czego jest dowodem? Czego dowodzą te heroiczne i zachwycające czyny, to życie głębokie, ta wywnętrzona dusza francuska?

Francuzi walczą w nastroju religijnym. Oni pierwsi wynaleźli ideę świętej wojny. Żołnierz roku II, wierzący w to, iż przynosi światu wolność i równość, powoduje się tem samym zachwyceniem i w tem samym pozostaje on napięciu ducha, co krzyżowiec z Jerozolimy. Gdy rycerz krzyżowy krzyczy: «Bóg żąda», gdy ochotnik z pod Valmy woła: «Wzywa was Rzeczpospolita», to oba krzyki są tem samym hasłem wojennem. Tu chodzi o zrealizowanie większej sprawiedliwości i większego piękna na ziemi. Im obu głos nieba lub ich sumienie powiada: «Zasię, gdy pomrzecie, będziecie świętymi męczennikami» (Pieśń o Rolandzie. — Arcybiskup Turpin, przed rozpoczęciem bitwy, do klęczących wojowników). To nie naszym zwyczajem rozpoczynać wojnę zaborczą. Niechby nawet i były niekiedy wojny dla sławy i honoru! Lecz, aby wzruszyć cały naród jednomyślnie, trzeba, by uznał się on zapaśnikiem Boga, rycerzem sprawiedliwości. Powinniśmy być przeświadczeni o tem, że walczymy przeciw barbarzyńcom, niegdyś przeciw islamowi, dzisiaj przeciw pangermanizmowi, despotyzmowi, militarystyce pruskiej i przeciw niemieckiemu imperjalizmowi.

Francuzi, broniąc Francji, wierzyli prawie zawsze, iż wytrwają i przecierpią dla ludzkości, aby się stała piękniejszą. Walczą za całość swej ziemi, pełnej mogił, i za niebo, gdzie króluje Chrystus, gdzie wznoszą się ich ideje. Umierają za Francję, tak wielce, iż granice francuskie mogą być utożsamione z granicami Boga lub raczej z granicami ludzkości. I dlatego to prowadzą wojnę w nastroju męczenników...

Tłum. Józef Gluziński.

MARCEL PROUST

(1871—1922)

SALON HRABINY POTOCKIEJ

Często zdarza się, że powieściopisarze odtwarzają z przedwczesną i proroczą aż do szczegółów dokładnością społeczeństwa, a nawet osobistości, które mają istnieć dopiero w pewien czas po nich. Co do mnie, nie mogłem nigdy odgadnąć sekretów hrabiny de Cadignan, gdzie widzimy, że hrabina, «prowadząc obecnie życie bardzo skromne, mieszka o dwa kroki od pałacu swego męża, w którym za żadne pieniądze nie można było nabyć najniższego piętra, gdzie posiadała ładny ogródek, pełny krzewów i którego murawa, zawsze zielona, rozweselała jej osamotnienie» — nie mogłem nigdy w «Chartreuse de Parme» dotrzeć do rozdziału, w którym widzimy, że od dnia, kiedy hrabina de Piétranera opuściła swego męża, «wszystkie pojazdy eleganckiego towarzystwa oczekiwały całe popołudnie przed domem, w którym zamieszkała», nie myśląc o tem, że Balzac i Stendhal przewidzieli i przepowiedzieli egzystencję hrabiny Potockiej aż do najdrobniejszych szczegółów.

Hrabina Piétranera, hrabina de Cadignan! postacie zachwycające! ani bardziej «literackie», ani bardziej «żywe», niż postać, zresztą tak różna, hrabiny Potockiej.

Ileż to razy myślałem o was (chcę powiedzieć o stronie zewnętrznej waszego życia, nie o waszym życiu, rozumie się), ujrawszy gościa, niechętnie widzianego, gdy dzwonił do pałacyku przy ulicy Chateaubriand i otrzymywał od portjera nielitościwą odpowiedź: «Pani hrabina wyszła», gdy tymczasem powóz księżnej de Luynes lub samochód hrabiny de Guerne, oczekujący przed bramą, mówił aż za wyraźnie, że «pani hrabina» już powróciła. Ażebym nie upokarzać wyproszonego gościa, czekałem, aż się oddali. Wtedy dopiero zbliżyłem się do portjera, który mi wyznał: «Hrabina jest w domu». Gdy tylko drzwi od ulicy Chateaubriand zostały zatrzaśnięte, zdało mi się, jakbym za pomocą czarów znalazł się nagle o dziesięć mil od Paryża, «tak ogródek pełny krzewów i murawy», opisany przez Balzaca, działał na wyobraźnię, zwracając się do niej żywo w języku swej ciszy i w szmerze swej woni. Nigdy pas włajemniczenia nie był tak trudny do przebycia, aby zbliżyć się do bogini.

W chwili, gdy dotarłem do przedsiönka hrabiny, pozbyłem się wszelkich wspomnień i wszelkich zajęć miejskich i dziennych. Przybyłem również w innym stanie, niż gdybym był zmuszony odbyć długą pielgrzymkę, aby znaleźć jakiś dom odosobniony. Lecz również dla przyczyn zupełnie balzakowskich, które zaraz wyjaśnimy, to wygnanie w samym sercu Paryża nie wystarczyło hrabinie. Trzeba jej było wygnania rzeczywistego, i to teraz zupełnie w głębi Auteuil, prawie u wejścia do Boulogne, pomiędzy jaworami z ulicy Théophile Gautier, kasztanami z ulicy La Fontaine i topolami z ulicy Pierre-Guérin, gdzie codziennie «stadko» hrabiny, wyrażając się stylem Saint-Simona w Fénelonie, zmuszone jest odwiedzać dumną przyjaciółkę, która, nie potrzebując nikogo, nie troszczy się o to, że zamieszkuje prowincję, niewygodną dla wszystkich, i która, chcąc dać jeszcze jedną próbę swej pogardy dla ludzkości i swej miłości dla zwierząt, zainstalowała się w miejscowości, gdzie, jak sądziła, żadne stworzenie ludzkie nie dotrze; tam właśnie mogłaby pielęgnować swe psy; w ten sposób ta kobieta, oddana, gdy jest przyjaciółką, doznając przez całe życie kompletnego odosobnienia od wszelkich uczuć ludzkich, okazując ludzkości wżgardę filozofa-cynika, powątpiewając o przyjaźni, skłaniając się do zasad surowych, szydząc z filozofji, wyrzeka się swej obojętności i upokarza swą dumę przed biednymi, kulawymi psami, którym daje schronienie. Aby je pielęgnować, nie kładła się do łóżka przez rok. Chociaż można było o niej powiedzieć, jak Balzac o hrabinie de Cadignan, «że dzisiaj jest jedną z kobiet najlepiej ubranych», nie ubiera się już, zaniedbuje się, tyje, zajmując się już tylko swemi psami. Wstaje kilka razy przez noc, aby pielęgnować jakąś biedną, epileptyczną sukę, którą właśnie udało się jej wyleczyć. Wychodzi tylko dla nich, w godzinach, kiedy im się to podoba, tak jak wielka artystka, jej przyjaciółka, pani Magdalena Lemaire, która wybrała się na wystawę tylko raz, aby jej Loute zobaczyła wieżę Eifel. I od czasu do czasu w sercu lasku Bulońskiego w alei, osnutej mgłą poranną, «przytrzymując ręką swą obrożę, która się wymyka», okrążona wyjącą sforą ukazuje się hrabina i jej biała piękność, podobna do obojętnej Artemis, którą poeta ukazał nam w takim samym zaprzęgu:

Oto godzina, w której poprzez ciernie i trawę
Okrążona psami... wspaniałemi
Niezwyjęzona Artemis olśniewa las.

Przeniosła się do Auteuil, ponieważ psy jej czyniły za wiele hałasu w Paryżu i przeszkadzały sąsiadom. Ale jej «stadko» poszło za nią. Wszyscy wierni, księżna de Luynes, wdowa, pani de Brantès, markiza de Lubersac, markiza de Castellane, hrabina de Guerne, wielka śpiewaczka, którą dziś już wymieniłem, markiza de Ganay, hrabina de Bearn, hrabina de Kersaint, p. Dubois de L'Estang, markiz du Lau, jeden z tych niezwykłych ludzi, którym tylko zmienność życia politycznego przeszkodziła, aby służyli w pierwszym szeregu i błyszczeli na pierwszych miejscach; czarujący książe de Luynes, hrabia Mateusz de Noailles, którego wspaniały portret wystawił właśnie w salonie książe de Guiche; hrabia Castellane (wspominaliśmy o nim, mówiąc o salonie pani Magdaleny Lemerre, o którym znowu wkrótce będziemy mówili), markiz Vittelleschi, p. Widor i wreszcie p. Jan Béraud, o którym mówiliśmy już

w tym samym salonie pani Magdaleny Lemaire; sława, talent, urok, czar, serce, rozum poszłyby na koniec świata, aby ją odnaleźć, bo bez niej nie mogłyby się obejść. W dodatku, na początku, gdy nie zdawała się zauważać, dali jej odczuć, że aby ją zobaczyć, odbyli podróż dość trudną. «To bardzo ładne» — powiedział jej hrabia de la Rochefoucauld, kiedy pierwszy raz odbył pielgrzymkę. — «Czy jest coś ciekawego do obejrzenia w okolicy?» Pomiędzy gośćmi codziennymi hrabiny znajduje się jeden, którego nazwisko jest szczególnie lubiane przez czytelników tego dziennika, przyzwyczajonych odnajdywać w jego kronice pewien rodzaj myśli filozoficznych, zastosowanych w sposób zajmujący, jak w artykule o manji pisania, który osiągnął, jeżeli nie wskazał, tylu młodych ludzi ze świata, nie posiadających powołania literackiego. To hrabia Gabriel de Rochefoucauld. Wszyscy widzieliście tego młodego człowieka, który posiada jasne oczy swej matki, podobne do dwóch odziedziczonych kamieni drogocennych. Lecz raczej zamiast wam o nim opowiadać, gdyż nie jest w zwyczaju, aby współpracownicy się tu nawzajem wychwalali, wolę przytoczyć opinię o nim sędziego upoważnionego: «Będzie on nadzwyczajnym talentem» — powiedział ostatnio p. Eugénusz Defeuille — «będzie sławą swego świata i również jego zgorzeniem».

Urodzona Pignatelli, hrabina Potocka pochodzi od Inocentego XII, o którym Saint-Simon tak pięknie powiedział: «Był to papież wielki i święty, prawdziwy pasterz i prawdziwy ojciec ludu, taki, jakiego się obecnie bardzo rzadko widuje na ambonie Saint-Pierre, taki, który dozwalał na ogólną skruchę, dopełniając ją błogosławieństwem i zasługą. Nazywał się Antoni Pignatelli, ze starego domu w Neapolu, gdzie był arcybiskupem, gdy został wybrany 12 lipca 1691. Był urodzony w Polsce, etc... papież, którego pamięć winna być cenna dla wszystkich Francuzów, a szczególnie dla domu panującego» (Saint-Simon, str. 364 i 365 tomu II, wydania Chéruef). Ta część genealogii hrabiny Potockiej nie wydaje się nam obojętną. Zdaje się, że odnajduję w niej gorliwego patriotę, przyjaciela Francji, wiernego rojalistę i, ośmielę się powiedzieć, trochę również wielkiego inkwizytora, jakim był jej przodek. Z pośród jej przyjaciółek herezyczek (wyłączam, naturalnie, tak jak jedną lub dwie inne, wytworną panią Cahen, dla której ma głębokie uczucie, i kobietę tak godną uwagi, jaką jest pani Kann, którą zabiera chętnie do Opery), gdyby działo się to w innym czasie, stawiam sobie często pytanie, czy nie zaprowadziłaby ich z większą jeszcze przyjemnością na stos. Ma ona umysł wolny od wszelkich przesądów, lecz wierny wierzeniom socjalnym. Jest pełna kontrastów, bogactw i piękności.

Znała ona wszystkich najciekawszych artystów z końca stulecia. Maupassant bywał u niej codziennie. Barrès, Bourget, Robert de Montesquieu, Forain, Fauré, Reynaldo Hahn, Widors jeszcze tam bywają. Była również przyjaciółką jednego filozofa. Tu jeszcze odnajduję małą siostrzenicę papieżów, pragnącą upokorzyć dumę swego rozumu. Opowiadanie żartów, jak mówią, sławnemu Caro, stale przywodzi mi na myśl historję Campaspe, każącemu Arystotelesowi chodzić na czterech łapach, jedno z niezliczonych opowiadań starożytnych, które średniowiecze przedstawia w swych katedrach, aby wykazać niemoc filozofji pogańskiej w celu ochrony człowieka od namiętności. W farsach więc, przypisywanych przez legendę hrabinie Potockiej, a których filozof-spirytualista stałby się ofiarą uśmiechniętą i zrezygnowaną, zdaje mi się, że widzę obok radości neapolitańskiej jakby wyłączną myśl atawistyczną, niesumienną troskę broniącej chrześcijanki.

Ci, którym raz udało się przezwyciężyć wyszukane dziwactwa tego stworzenia, dumnego i rzadkiego, przyjęli przyjaźń jej z taką emocją, że nie mogą wyrzec się jej zniewalających radości, ponieważ hrabina jest zawsze sobą, to jest tem, czem nie potrafiłaby być żadna inna, przyciągająca dlatego też, że tkwi w niej to nieznanne, które ma nadejść, gdyż nie jest niestała, lecz zmienna.

Zrozumiałe jest, że mogła być pociągająca z jej pięknnością antyczną, jej majestatem rzymskim, wdziękiem florenckim, a przebiegłością neapolitańską, jej uprzejmością francuską i rozumem paryskim. Co jej pozostaje z Polski, która była również jej ojczyzną (ponieważ poślubiła człowieka zachwycającego i dobrego, jakim jest hrabia Potocki), sama powiedziała w jednym z tych żartów, które tak nie zgadzały się z jej majestatem statui, z jej głosem święgotliwym, najdelikatniejszym

z instrumentów, na którym grać umiała jak wirtuozka. Pozwolimy sobie przytoczyć to na zakończenie.

Pewnego dnia, gdy było jej zimno i gdy starała się ogrzać, nie odpowiadając wiernym, którzy ją witali i którzy, trochę onieśmieleni brakiem odpowiedzi, odzywali się głosem cichym i nieśmiałym i całowali z szacunkiem rękę, którą im podawała, nie zwracając uwagi (jestem piękna, o śmiertelni, jak marzenie z kamienia), wskazała jednej z osób, obdarzanej większą łaską, piec, przy którym się grzała, i wykrzyknęła z melancholią lub też z radością: «Mój Cherboursky! to wszystko, co mi pozostaje z Polski».

Tłum. K. L.

CLAUDE FARRÈRE

(ur. 1873)

BITWA POD CUSZIMĄ (LA BATAILLE)

XXXII

Ostre i przenikliwe trąbki japońskie rozbrzmiewały od końca do końca okrętu, od szpardeku do dolnych kajut, wzywając do przygotowań bitewnych. Yorisaka Sadao, podnosząc klapę, przedostał się do wieży obronnej.

— Baczość!

Wyprostowany jak kij podoficer salutował, zderzywszy obcasy, z ręką u daszka. Załoga: kwatermistrze i majtkowie zwrócili w stronę komendanta dwanaście twarzy, uśmiechających się z uszanowaniem, i dwanaście ust, świszczących lekko przy oddychaniu, jak to zwyczaj każe w Japonji, gdy się chce okazać duży szacunek.

— Spocznij! — rzekł Yorisaka.

I rozpoczął krótkotrwałe, lecz ściśle badanie.

Wieża była niskim pokojem bez drzwi i okien, pokojem sześciokątnym, długim na dziesięć metrów, szerokim na ośm, opancerzonym wszędzie grubą stalą. Trzy czwarte przestrzeni wypełniały oba ogromne działa; niewielką resztę zajmowały łożyska, osady, lawety, windy, tłoki, wyciory, celowniki, lunety, podstawy, przewodniki i wszelkie rury wodne i do zgęszczonego powietrza, przewody elektryczne oraz cała zawila gmatwanina żelaza, miedzi i brązu — wszystko to niezbędne dla operowania dwoma okrętowymi działami największego kalibru. Sześć lamp lukowych obejmowało i przenikało każdy mechanizm silnem, jaskrawem światłem bez cienia. Światło dzienne wnikało tu błękitnąwą tęczą, sącząc się przez krągłą szparę podwójnej strzelnicy między opancerzeniem a działem.

Yorisaka Sadao zbadal oba działa, sprawdzając wszystko pokolei i zazierając każdemu człowiekowi załogi w twarz. Poczem, doszedłszy do znajdującej się pośrodku drabinki, przebył jej trzy stopnie i usiadł na siedzeniu komendanta. W tej pozycji głowa jego sięgała poza opancerzony sufit wieży i znajdowała się w otworze centralnej kopuły. Kopuła ta, również opancerzona, tworzyła kask. A Yorisaka Sadao, chroniony w ten sposób od nieprzyjacielskich strzałów, widział jednakże doskonale całe pole bitwy przez trzy dość duże otwory, rozmieszczone w opancerzeniu. Poza tem mógł się również łatwo skomunikować przez nie z kanonierami i obserwować sprawność dział.

Usiadłszy, pochylił się najpierw i spoglądał wdół, na nieruchomą i czujną wieżę. Niezwykle wrażenie potęgi sprawiała ta straszna maszyna i tych trzynastu ludzi, jej żywa krew i nerwy. Człowiek, który tem wszystkiem kierował, trzymał doprawdy w ręce grom straszliwszy nad gromy niebios. Yorisaka Sadao w napływie dumy zacisnął pięści. Potem, natychmiast spokojny, podniósł głowę i popatrzył przez otwory kasku, poprzez trzy otwory, metodycznie od lewej do prawej strony.

Morze, wciąż zielone i głębokie, burzyło się pod nieprzebitym całunem ciężkich chmur. Tylny pokład, widziany z góry, zdawał się być tratwą trójkątną, zalewaną i ociekającą falami. Flota zmieniła kierunek. Płynęła teraz na wschód, ku Cuszimie; każdy statek starał się zachować swe miejsce w linii, zachowując odstęp od drugiego

o przepisane czterysta metrów. Ciągnęła się linja blisko trzydziestu okrętów z «Mikazą» na czele i «Iwate» u końca. Za «Mikazą» posuwał się «Nikko», za nim «Szikiszima», a za tą pierwszą dywizją, kierowaną osobiście przez starego Togo, posuwały się wreszcie w pięknym porządku wszystkie inne, dywizja Kamimura, dywizja Simamura, wszystkie pancerniki, wszystkie pancerne krążowniki, cała żywa potęga cesarstwa. Na spienionych i szerokich śladach okrętów widział Yorisaka Sadao zbliżające się wysokie szare sylwety, najeżone armatami. A umocowane do każdego masztu flagi Wschodzącego Słońca zdawały się zlewać na statki i morze pierwsze blaski sławy tej krwi, co się za chwilę poleje...

— Przechylić! Wieża na lewo!... Stop!... Wieża na prawo!

Kanonier, siedzący między dwoma działami, z lunetą przy oczach, opierał się na kolbie działa. Łagodnie zabrzęczał motor elektryczny i lekko, jak zabawka, obracała się ogromna wieża od prawej ku lewej stronie, od lewej do prawej, unosząc jak słomkę, bez hałasu i wstrząsu, ludzi, maszyny, działa i opancerzenie. Przed oczyma Yorisaki Sadao przesuwał się horyzont, jak nieskończone płótno ruchomej dekoracji. Od tryborku pojawiła się daleka eskadra w pióropuszcach dymu, eskadra krążowników, śpiesząca widocznie na swój posterunek — zapewne Dewa, a za nim Uriu... Od strony bąkportu mgła tworzyła zasłonę i nie widać było jeszcze wroga, bliskiego już jednak.

Dzwon wybił dwa razy, potem jeden raz — wpół do drugiej. Zabrzmiała trąbka trzy razy przeciągle, dwa krótko: — Gotujcie się do walki od bąkportu. — Jednym znakiem oddał Yorisaka rozkaz kanonierowi. Wieża obróciła się frontem do przypuszczalnego przeciwnika.

— Nabijać działa!

Jedynie krótkotrwały dźwięk łańcuchów zdradził manewrowanie windami działowymi. Milcząca obsługa związała się żywo i z cudowną wprost dokładnością. Otworzyły się zamki dział, oba naboje zapadły się w czarne naoliwione komory prochowe, oba tłoki potoczyły się na swych kołach. Czas nabijania oddały wyraźne odgłosy: metaliczny dźwięk pocisków, uderzających o ściany wnętrza, szelest jedwabnych ładownic, wpychanych rękoma pokolei, żywy trzask zamykanych zamków... Yorisaka Sadao, z zegarkiem w ręku, uśmiechnął się: dwadzieścia cztery sekundy, niemal że rekord! Niechże Rosjanie dokażą tego lepiej, jeśli mogą...

Zapanowała znowu cisza. Przez otwory opancerzonego kasku wciąż jeszcze widać było tylko mgłę i morze. Cierpliwy Yorisaka Sadao przerwał obserwację. Wziął swój telemetr i sprawdził go skrupulatnie. Lustra nie były zupełnie równoległe do siebie, poprawił błąd. Telemetr wieży, mój Boże, to nic nadzwyczajnego. Lecz gdyby zabrakło telemetrów w blokhauzie, jak to było 10 sierpnia... W braku miecza dobył bohater Yoszits'ne wachlarza...

Yorisaka Sadao odłożył telemetr i raz jeszcze podniósł głowę. Kiedyż ta mgła się wreszcie rozejdzie?... Ach! znowu: pojawił się sygnał na linkach, i «Mikaza» przepłynęła nagle na lewo...

Zadźwięczał dzwonek elektryczny. Na sygnałowej tablicy zapłonęły dwie lampy; wskazówki obróciły się na tarczach. Raz jeszcze trąbki całej floty zabrzmiały przenikliwie. Yorisaka Sadao wyprostował się nagle na siedzeniu i zakomenderował:

— Gotujcie się do walki od tryborku!... Wieża na lewo! Czwarta szybkość!

Wieża już się posłusznie obracała.

— Odległość: siedemset trzysta metrów! Poprawka: pięć tysięcznych na prawo! Stój! — Yorisaka Sadao pochylił się, zatapiając wzrok w mętną linję widnokregu, gdzie się niebo z ziemią zlewało... Tak... Tam na południe... pośród nagromadzonych na horyzoncie nieprzebitych chmur... wznosiły się czarniawe kłęby dymu — trzy, cztery, pięć, w równych odstępach... siedm, osiem... i dalsze jeszcze... dwanaście, piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści...

— Nabijać działa!

Spokojny głos nie zadrzał ani trochę.

Zadźwięczał telefon. Yorisaka Sadao zdjął słuchawkę:

— Hallo!... Tak... telegrafuje admirał?

Pochylił się twarzą do kanonierów i powtórzył bez słowa objaśnienia.

— Admiral telegrafuje: «Zbawienie cesarstwa zależne jest od wyniku tej bitwy. Niechaj więc każdy spełni swój obowiązek!»

Tym razem mniej już spokojny głos zadrżał nieco.

Ale natychmiast powrócił do oschłego chłodu:

— Ośmdziesiąt stopni! Celujcie w czoło linii!... tak, na lewo, w statek z dwoma kominami!... Baczność!...

Yorisaka Sadao ujął znów za telemetr i sprawdzał odstęp, kreślone stopniowo na tablicy sygnałowej:

— Siedem tysięcy sto!... Sześć tysięcy ośmset!... sześć tysięcy czterysta!...

Przerwał na chwilę. Tam na wyraźnych już teraz okrętach nieprzyjacielskich zapłonęły nagle błyski, i Rosjanie rozpoczęli ogień... z za daleka być może...

— Sześć tysięcy metrów!...

Znów przerwał. O niespełna sto metrów od «Nikko» wzniósł się ogromny zwal wody i rozsypał się drobnym deszczem — pierwszy pocisk uderzył w morze, pierwszy pocisk w tej decydującej walce, rzucony przez Zachód ku Wschodowi... Yorisaka Sadao zmierzył pogardliwym wzrokiem wysokie białe zjawisko, już się wśród fal rozplywające. Tyle tego wszystkiego: trochę rozwianej mgły. Kiepsko strzelali...

— Pięć tysięcy dziewięćset!...

Tu i ówdzie pośród fal wybuchały nowe pociski, wszystkie jednak chybiały celu. Tak, Rosjanie źle strzelali. Przeminięła nieskończona minuta. Wreszcie brutalny pomruk, podobny do brzęku skrzydeł olbrzymiej pszczoły, oznajmił za daleki rzut... I jakgdyby ten za daleki rzut był wyczekiwany sygnałem do odpowiedzi, rozbrzmiała bliska detonacja: pierwsza japońska salwa...

— Pięć tysięcy dziewięćset!

Wciąż nieskazitelnie wyraźny głos rzucał urywanymi zgłoskami:

— Rozpocząć ogień!...

Błękitnawe światło dzienne, sączące się poprzez podwójną strzelnicę między opancerzeniem a działem, zmieniło się nagle w purpurowy, olśniewający blask.

Straszliwy wstrząs zachwiał wieżą, jak trzcina w czasie burzy. Straszliwy grzmot, grzmot, o jakim żaden ziemski trzask nie mógłby dać wyobrażenia, rozdarł i ogłuszył uszy wszystkim dokoła, czyniąc wszystkich przez szereg sekund głuchymi i pijanymi niemal. A ogromne działa, ciężkie każde, jak gromada ludzi, potoczyły się o trzy stopy wstecz, szybciej, niżli wprawny strzelec obróci kurek rewolweru. Lecz już chłodny, spokojny głos Yorisaki Sadao przywrócił obsłudze przytomność umysłu i zimną krew.

— Pięć tysięcy sześćset metrów!...

XXVIII

Herbert Fergan pod osłoną rąk zapalił papierosa. Przebywał poza obrębem blokhauzu, by nie przyczynić się do natłoku i tak już w ciasnej komorze pancерnej, gdzie zwijali się komendant, oficer manewru, oficer artylerji i pomocnicy ich. Stał w odsłoniętym miejscu na mostku i z flegną patrzył na pękające wkoło pociski rosyjskie. Był odważny. Po należytem zapaleniu papierosa przyłożył znów lunetę do oczu i począł studjować walkę obu flot. Patrzył zwolna, z drobiazgową uwagą, z zawodową ciekawością śledził objawy zmęczenia lub klęski u jednych i drugich zażartych przeciwników. Tu rozdarł się mur, złamał maszt, zewnętrzne zabudowania statku poszły w drzazgi. Tam zwałił się komin, wieża została zgnieciona, zniesiony blokhauz. Profil statków, wyraźny i geometryczny zrazu, zniekształcał się, chylił, strzępił złomami i gruzami. Od czasu do czasu odkładał Herbert Fergan lunetę, otwierał notes, spoglądał na zegarek i zapisywał jakiś epizod bitwy. Bezustannie wyły działa, tak silnie, że ogłuszone uszy nie odczuwały już tego. I widząc wciąż jednaki i płomienny blask, którym «Nikko» owiany był jak aureolą sławy, stwierdzał Fergan nietkniętą jeszcze moc japońskiego ognia. Natomiast naprzeciw już mniej gęsto waliły statki rosyjskie, już nawpół spalone kłocę, co już więcej iskier siać nie mogą. Herbert Fergan obrócił się na obcasach i jednym rzutem oka obiegł cały krąg horyzontu. Obie ścierające się

linje biegly równolegle ku wschodowi, jedna regularna i należycie manewrująca, druga w nieporządku i poczynająca się rozluźniać. Sprawdzały się zatem przepowiednie: Rożdżestwieńskij nie utrzyma się przeciwko Togo. Ołówek stenografował na notesie: «godz. 2:35 bitwa wygrana. «Ostabja» opuszczony, oderwany, «Suworow» niezdolny do walki, «Nikko» żadnych większych szkód». Przewidujący Herbert Fergan uśmiechnął się. Nie dlatego, żeby mu zwycięstwo japońskie na sercu leżało! Co najwyżej sympatja jego mniej się skłaniała ku brutalnym Moskalom, niż ku tym Japończykom, u których zaznał tak milej, subtelnej, rozkosznej gościnności... Ale cokolwiekby o niej myślano, flota Toga była właściwie angielska, zbudowana w Anglii, uzbrojona w Anglii, wyćwiczona, przygotowana do wojny wedle metody i zasad angielskich. A brytyńska próżność widziała korzyść dla siebie w tem ważnem narodowem zwycięstwie.

— All right! Do godziny skończy się to wszystko. Ale trzeba dożyć tego czasu!...

Szósty czy siódmy pocisk rozpękł się na szpardeku, miażdżąc tu i tam kilka trupów. Fergan z obojętnością pochylił się: pomost przed chwilą jeszcze czysty i gładki, jak posadzka salonu, był już tylko chaosem różnych rzeczy, zniekształconych, pomieszanych, splecionych, rozdartych, złamanych. Spływała krew. Oderwane członki ciała mieszały się z otwartemi wnętrzościami. Rozdarty, spustoszony, postrzępiony pancernik z niemniejszą jednak furją pluł śmiercią w twarz wroga. I Fergan, zgłębiwszy jednym spojrzeniem te rozwarte, lecz niegłębokie rany, powtórzył zdanie, nakreślone przed chwilą na kartce notesu:

— «Nikko», żadnych większych szkód!...

W chwili, gdy wymawiał ostatnie słowo, potrafił go oficer, wybiegający z blokhausu, lecz uprzejmie, mimo gorączki chwili, skłonił się, by przeprosić, poczem znów pognął.

— Ejże! O-Takomori san, gdzie pan tak biegnie?

Wicehrabia Hirata zstąpił już ze schodków łączącego mostu. Zatrzymał się jednak grzecznie, by jednym słowem zadowolić ciekawość angielskiego gościa:

— Naprawić komunikację blokhausu z wieżą tył!...

Ostatniej zgłoski nie dosłyszał już Herbert Fergan. Znowu uderzył granat, tym razem w sam blokhaus... granat wielkiego kalibru z lontem.

Fergan usłyszał straszny huk, ujrzał mgłę koloru ochry, jaskrawą, stokroć jaskrawszą od słońca... i podniósł się ciężko, z trudem, z okropnym wysiłkiem rąk i nóg, z daremnem sileniem się w odrętwiałym mózgu, który nie pojmował już, nie mógł pojąć!...

Zniknął most i blokhaus. Na miejscu ich był... był metal... żelazo, miedź, bronz, zmieszane, stopione, pogmatwane... metal w strzępach, w szarpie, w koronki delikatne... Wszystko to czerwone jeszcze od ognia, czarne od popiołu. Z wysiłkiem zdawał sobie Fergan sprawę: granat zniósł wszystko, stopił, rozwiął... I wszyscy zginęli... wszyscy, komendant, oficer artylerji, oficer manewru, obsługa... wszyscy, z wyjątkiem niego, Fergana, który się tylko instynktownie rzucił na ziemię tu, na szpardeku, o dwadzieścia metrów od miejsca wybuchu... Podniósł się, spojrzał wkoło. Tuż obok niego leżała w brunatnej kałuży równo odcięta głowa, jakgdyby sztuczna. Tak szybko została zerwana, że znieczulone nagle mięśnie nie zdołały z niej spędzić uśmiechu!...

Zdziwiony dźwiękiem własnego głosu Fergan mówi:

— Wszyscy... tak... wszyscy padli... Czekać, nie! Nie wszyscy!...

U szczytu płonących jeszcze gruzów, pośród płomieni i żaru pojawił się człowiek, jak widmo. Uczepiony, niewiedomo czego i jak, chylił się ponad tubą akustyczną, sięgającą w głąb okrętu, do centralnego miejsca, gdzie schodzą się głośniki steru i maszyn, i w ziejącą tę tubę rzucał rozkazy, kierował manewrem, który schronieni tam w dole ludzie wykonywali, nie wiedząc nic o strasliwym posterunku tego, co służył mu za oczy, uszy, inteligencję, i który, mimo grożącego mu w każdej chwili zapadnięcia w to żarowisko nie do nazwania, niewzruszenie wiódł ku zwycięstwu wciąż walczący pancernik!...

— Hirata Takamoril!...

Chwiejąc się jeszcze, rozszerzał Herbert Fergan oczy i ze zdumieniem patrzył na stojącego na swym strasznym piedestale japońskiego oficera. Wybuch granatu zrzucił

go zapewne również ze zburzonego mostku... I nie tylko odbłask ognia, ale i krew oblała purpurą jego czarny mundur... Ale za ledwie powalony, odnalazł już w swej cudownej energii, w dumie swej rasy dajmów, większy stoik od Zenona i jego szkoły, nadludzką siłę, by jednym zamachem otrząsnąć się ze swego odrętwienia, i instynktownie skoczył ku najbliższemu, najgroźniejszemu posterunkowi bitwy...

Zawstydzony Fergan uczył napływający rumieniec: Japończyk dokonał tego, gdy tymczasem on, jakkolwiek nieraniony, został na ziemi, odrętwiały, nieprzytomny...

Herbert Fergan zrobił nagle półobrotu i oddalił się w tył, stąpając wolnymi krokami i wypinając pierś, by dorównać, dla honoru Anglii, wytrwałości Hiraty Takamori...

Tłum. Leon Sternklar.

PIERRE DRIEU LA ROCHELLE

(ur. 1893)

POCISK

Niektórzy wloką w swej głowie potężny pocisk umysłu, który w spokojnej ulicy przechodnie trą w niezłożoności ich prostej mechaniki.

Sila idei, wieczna pogroźka niszczenia.

Ona jest potęgą przeciw ścianom mojego bytu, jak proch przeciw lusce stalowej pocisku.

Owo zaprzeczenie we mnie tego wszystkiego, co jest poza mną, kielkuje niespóźycie z dziejów w rytmach przemożnych.

Idea pragnie zniszczyć świat, aby go złożyć na nowo, według nowego porządku.

Panowanie idei. Ludzie, których ona posiada, są aroganckimi i nieubłaganymi namiestnikami swego mistrza.

Duma idei, która wymierza dziesięć tysięcy dział przeciw mięsu tłumów.

Pragnienie, które pęka tysiąc i tysiąc razy z dzikim łoskotem i miażdży w pył, i rozszarpuje w kawałki.

Idea, pragnienie lub także wola.

Słowa są ciemne i niełamliwe, lecz są obrazy a niemi jest ta linja, parabola, która rozplomienia się.

O, mój przyjacielu, dostajesz konwulsyj z przerażenia, bo wydelikaczone twe zmysły są bystre i wybujale troską zwalczanego tłumy.

Lecz jako iż nienawidzisz innych, należy ci odpowiedzialność wziąć za tę boleść, ponieważ nosisz w sobie Ideę.

A idea jest dumą istnienia, dumą świata.

Idea jest wybuchająca, idea jest pękająca.

A jest szaleństwo w idei. Należy się jej triumf siły. Należy się jej czas i przestrzeń.

A wśród zelatorów pokoju są wojownicy.

Są ludzie, którzy w pokoju nie szukają słodyczy ciała, lecz wielkości jednomyślnej.

Są cierpliwi wojownicy, którzy walczą w służbie pokoju. Wierzą, że ich energia zużywa się w służbie zniewieściałych mas. Lecz są to zwierchnicy, a przemoc jest w mózgu zwierchników. A ich idea wydyma sztandar, który jest czerwony. Świat został stworzony dla marzeń zwierchników. Oni go układają w wilgotnej materji krwi.

Zasadą zaś rzeczy jest, aby powstało marzenie przeciw innemu marzeniu, a zatem tryska muzyka i zawsze warczy bęben wojny.

(«Interrogation»)

Tłum. Józef Gluziński.

SĄD AUTORA O SAMYM SOBIE

Pisać to nie znaczy stwarzać obrazy, jak myślą ci, których wytworność opóźnia się w każdym zdaniu, pomiętem, jak kwiat papierowy. Lecz nie rozumieją oni życia, które mogłoby połączyć te zdania i wciągnąć je w ruch dość szeroki, aby wyrazić całą ich istotę. Jednakże nie mają prawa powiedzieć, że piszą, jak ci, których mowa od początku do końca naszpikowana jest pośpiechem, nagłym wszystkim częściami. Tylko tamci mają styl: to konieczność, która co chwila daje się odczuć przez ruch.

Ludwik Aragon, Andrzej Breton należą do tych, w rękach których zdanie staje się lekkie. Dla mnie, w każdej z tych książek jest kilka stron, gdzie przeszedł ten pęd serca, który pozostawia za sobą rozprawę żywą i aktualną. Na nieszczęście, nigdy nie mogłem wydać całej książki; fragmenty te, wytrysłe z mej duszy, próbuję z móżdżkową bladością przetrwać w ciężki cement, aby wybudować fasadę o wyglądzie zwodniczym, który zwodzi tylko moje oko, oko leniucha. Lecz nieszczęście temu, kto nie może skończyć nawet jednej książki: całe jego dzieło rozpadnie się i najgorsze popłacze się z najlepszym.

Tłum. K. L.

HENRI DE MONTHERLANT

(ur. 1896)

TYBR I ORONT

Dwie filozofje sprzeczą się o świat, gdziekolwiek naprzemian zdobywały swoje panowanie. Pierwsza, kobieca w swoim genjuszu, oparła się na niesprawdzalnym; dla celów, które są przedmiotem tej książki, wystarczy powiedzieć, iż ona usiłuje zlekceważyć ciało. Na wschodzie urodzona, jak jego miraż, i połączona z jednym z nich, wydała na świat utopję, ta zaś urodziła nieład. Aleksandryzizm, mesjanizm, chrystjanizm, bizantyzizm, reformacja, pomysły wolności i postępu, francuska rewolucja, romantyzm, humanitaryzm i jego podprodukty (liberalizm, kosmopolityzm, pacyfizm), na koniec bolszewizm, oto jej potomstwo. Na jej pieczęci wyźłobione jest serce. Druga, męska, ugruntowała swój byt w naturze i rozumie: duch i ciało. Dąży do skończoności i usiłuje zaprowadzić w niej porządek, to jest wartość jakości. Doszła ona do swojego wyrazu w starożytnym Rzymie, po zdobyciu Grecji. Wzniciła rzymski katolicyzm, renesans, pojęcie tradycji i autorytetu, klasycyzm, nacjonalizm, protekcyjizm materialny i moralny.

«Cała choroba współczesna sprowadza się do następnego: stopniowe obniżanie od pięciuset lat rzymskości w dziedzinie religji, polityki, prawa, moralności i społeczeństwa, hellenizmu zaś w dziedzinie literatury, wiedzy i sztuki. Dotknęliśmy najniższego punktu krzywizny wówczas, gdy hellenizm i rzymskość nie tylko że prawie już nie istniały, lecz nawet były urzędowo zaprzeczane, w latach 1900 do 1910. Od tego czasu zaznaczyła się reakcja, której pierwsze zwycięstwa polityczne, socjalne, literackie zostały odniesione przed naszymi oczyma. Nie pomyślę się, jeśli podkreślę tę ideę, jako głęboką ideę pana de Montherlant». Nie, p. Piotr Dominique, który napisał to zdanie po przeczytaniu «Snu», nie mylił się.

Iam pridem syrus in Tiberim defluxit Orontes
Et linguam et mores et cum tibicine chordas...

«Oddawna Oront syryjski wpada do Tybru, przynosząc i mowę, i obyczaje, i flecistów, i cymbalistów do kraju, który użyźnia». Skarga Juwenala jest naszą skargą. Domagamy się łamy przeciw Orontowi.

Mój przodek, członek Zgromadzenia Narodowego, został zgilotynowany przez rewolucję, skierowaną przeciw dalszemu życiu duchowemu Rzymu. Mój pradziadek, członek Zgromadzenia Ustawodawczego, «szef opozycji legitymistów w czasie drugiego Cesarstwa» (przytaczam Larousse'a), był szefem sztabu ultramontanistów. Mój dziadek, papieski żuaw, bronił orężnie tej samej sprawy dziedzictwa Cezarów. Więc baczność! Przytaczam ich tutaj nie dlatego, że byli obrońcami katolicyzmu, lecz jako obrońców ładu

tybryjskiego, którego partją jest katolicyzm. Zatem, w godzinie zamętu, gdy powróciłem z wojny i skoro po raz pierwszy wszedłem w świat towarzyski — gdyż studja i wojna były u mnie jakby z jednej sztuki materji — instynkt, który mię skierował na miejsce igrzysk i który mię na niem utrzymuje, uznany za dobry przez moją inteligencję, przez moją rozkosz i moją krew, ten instynkt zaprowadził mię, bez współdziałania jasnego mojej świadomości, do wnętrza ładu, dokąd mię przeznaczyła moja tradycja i mój wybór. Sport kontynuował w mojem życiu tę rzeczywistość wojenną, którą wiecznie oznacza symbol Tybru, w środowisku świata, zbudowanego na ugruntowanej zasadzie widzenia rzeczy takimi, jakimi nie są. I w tem znaczeniu, jako iż dla mnie był on pobudką, mogę powiedzieć bez nadużycia wyrazu, iż on mię ocalił.

Zaprawdę, wszystko, co tworzy morał sportu:

ideał władzy w funkcji ideału jakości;

to, co jest, zdążające ponad tem, co następuje;

to, co się mierzy, ponad niezmiernem;

to, co jest silne, ponad słabem;

rozum ponad sentymentem;

ciało przywrócone osobowości i godności i oczywiście odróżnione od cielska;

hierarchiczny i arystokratyczny charakter organizacji i dyscypliny;

pojęcie braku wartości, podstawione pod pojęcie grzechu;

wylina ciała (zaprawianie się), ubrania (obnażanie się);

egzamin (styl) obyczaju (lacedemonizm);

ograniczenie i jego skutek, najmniejsza rola misterjum;

μυστήριον;

serce—odwaga, serce — ognisko cnoty;

dzieło ciała, osądzonego za szkodliwe nie z powodu krnąbrności wobec prawa, napisanego w niebie, lecz z obawy o wartość;

reguła przebywania «w środku akcji», zastosowanie bezmiernego prawa, sformułowanego przez Hezjoda, prawa, które rządziło starożytnym światem: połowa jest o wiele większa niż całość;

za sedno rzeczy uważana zdolność, nie oczekująca zapłaty (życie jako talent);

słuszna miara małej wartości realnej, jaką mają wyniki, jednakże postępowanie we wszystkim w ten sposób, jakgdyby one były najważniejsze (życie jako partja piłki nożnej: rzecz ułożona, że należy brać życie poważnie): wszystko to wypływa z pewnego rodzaju filozofji, która była w swoim całokształcie filozofją antyczną, a którą oznaczaliśmy mianem Tybru.

Przerwałem pisanie tych kartek, aby iść na nieszpory — jest to dzień Wniebowstąpienia — i, gdy uczestniczyłem w nabożeństwie, napłynęło na mnie falą wspomnienie jednej chwili, gdy — ponad partją piłki nożnej, którą grałem, rozlegał się idący z oddali dźwięk dzwonu na Anioł Pański. W dole kłótniwa zarozumiałość, nieczuła, pełna drygów, cała ograniczona i spiętrzona ku rzeczywistości, a potem, zstępując z góry, jak Oront, który naniósł swoje miękkie wody do Tybru, słaba harmonja, która w ostatnich swoich skurczach wprawiała w omdlenie i niepoznawalność świata. «Oto wszystko» — zawolałem, nie wypuszczając piłki nożnej z pod uwagi wzroku (grałem na tyłach i nie byłem niepokojony). «Siła, piękno, mistyczny — Rzym, Ateny, Betlejem: — oto kompletna chwila. Ach! oby się wydłużyła, celem opanowania mego życia!».

(«Le Paradis à l'Ombre des Epées»)

Tłum. Józef Gluziński.

CHLEB PIĘKNOŚCI

Dominika pozostawała tak ściśle na śladzie Zuzanny Kestner, że utrzymywała bez trudu swe spojrzenie na niebieskiej żyłce, przecinającej wypukłą tydkę młodej dziewczyny. Uregulowała swój krok z krokiem Zuzanny; ich ruchy uzgodniły się ze sobą, jak zęby jakiegoś mechanizmu; ich kroki stały się regularne, jak pięć kroków przepisowych, które trzeba zrobić pomiędzy dwoma płotami. A głowa następnej zajmowała tak dokładnie otwór zrobiony w powietrzu przez głowę prowadzącej, że wiatr nie docierał do jej twarzy.

Był to jej bieg ulubiony, jej «kochane tysiąc metrów», jak mówiła; kończono przedostatni obrót tego poranku. Z początku pozwoliła się wziąć o głowę nierozsądnym dziewczynom, prędko zadyszczanym i prześcigniętym, których uderzeń nóg o murawę nie słyszy już nawet poza sobą. Pierwsze koło przebiegła na samym końcu gromady, odczuwając szczególną radość w skromności pełnej dumy. Później, przez odpadnięcie innych, znalazła się, nie posunawszy się, za Zuzanną, starą i trudną rywalką, i między dziewczynami o równej prawie wartości. Wszystko się teraz sprowadziło do kwestji zręczności.

Jakże lubiła tę zręczność sportów, tę radość zręczności, która łączy się z radością ciała w całość nie mającą równej! Instynktem zwróciła się do sposobu, wprowadzonego w atletykę, bo to ją bardziej pobudza, gdy wyścigi szybkości, konkursy skoku i rzutu nie dawały jej tego samego podniecenia, wprowadzały bowiem w grę tylko wartość ciała i techniki. W tej chwili rozróżniała jednocześnie swą przeczność, swą umiejętność biegu, swą postawę, swą przytomność umysłu, swój rozległy układ oporu naturze i wreszcie swobodę i moc swych nóg, swe zaciśnięte policzki, które nie drżą, gdy ona się trzęsie, swą zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce, wszystkie właściwości ciała mięśniowych, głębokie zapasy sił i oddechu, jeszcze nienaruszonego w oddychającej piersi. Chociaż miała świadomość własnej piękności, czuła, że w biegu przeobraża się; uczucie tej doskonałości fizycznej przepoiła smutkiem na myśl, że nie jest wieczne na świecie. Naprawdę około pięćdziesięciu razy kazała się fotografować na stadjonie: co to było? «Chociaż opadam tak zwinnie na palce, chociaż wyglądam, jakbym się unosiła nie w powietrzu, lecz w oliwie, chociaż poruszam się tak uważnie, że ruchy moje są godne podziwu (wiem to z fotografii, zresztą czuję to dobrze), co pozostanie? Zaledwie kilkaset osób mnie widziało, a większość ich pozostała nieczulą nawet na to, co wykonałam nadwyrząd doskonale». I, upojona swym wyglądem, miała uczucie, jakby wśród pustyni zagrała na jakimś cudownym instrumencie zagubioną melodię.

Teraz rozpoczynały trzecie okrążenie. Dominika zaczęła żalować, że podążyła śladem Zuzanny. Trzeba było wrócić na swoją linię, bo zbliżał się koniec wyścigu. Czy Zuzanna w obawie, by nie być schwytaną, nie ucieknie, czując, że Dominika się «odrywa»? Zawahała się kilka sekund; później zdecydowała się i wróciła na swoją linię, zwalniając, aby nie zaniepokoić swej rywalki. Manewr zuchwały, który bezwątpienia osiągnął swój cel, bo Zuzanna nie przyspieszyła biegu, ale Dominika straciła dwa metry. W ten właśnie sposób zbliżyły się do ostatniej prostej linii przed metą.

Nie swoich sił była niepewna, lecz swej taktyki. Odwieczne pytanie: w którym momencie uczynić wysilek? Stałe tkwiło w niej przewrotne pragnienie, aby go uczynić, a przy samym końcu okazać wytworną lekkomyślność zajęcia w wyścigu z żółwiem. Lecz tym razem była trochę zaniepokojona tą dużą pustką pomiędzy nią a Zuzanną. «Na zakręcie dogonię ją. Wtedy zobaczę, co zrobi».

Otóż, gdy zbliżyły się do zakrętu, z grona przyjaciółek, zebranych przy końcu elipsy, wzniosły się głosy: «Prędszej, Zuzanno!» «Zuzanna wygrała!» Nagle więc Dominika zmieniła postanowienie. «A, Zuzanna wygrała. No, zobaczymy!» I, rozgniewana, nie doganiała jej, chcąc aż do końca utrzymać nadzieję przyjaciółek, aby ją później tem brutalniej rozwiać.

Przed niemi była meta, na prawo pusta trybuna. Powiedziała do siebie: «Posunę się obok niarysków». W chwili, gdy przebiegały obok małego budynku, Dominika ze spokojem, panując nad sobą całkowicie, przyspieszyła biegu. Upajające, upajające i jeszcze raz upajające jest wrażenie odzywania się do siebie samej i otrzymywania odpowiedzi od siebie, widzenia, że się dogania, uczucia, że można jeszcze o wiele więcej i że wola jest dość silna, by oprzeć się pokusie! Ślad was oczarowuje, wciąga was w siebie, jak otchłań porywa, jakbyście się znajdowali na pochyłości, łączy się z wami, jak wiatr łączy się z cyklistą, przyklepionym do motocyklu. Odbija waszą nogę, jak z gumy. Stanowi to tajemnicę, że biegnie się tak szybko bez wysiłku...

Raptem na osiemdziesiątym metrze podskoczyła. Przez mgnienie oka dojrzała Zuzannę obok siebie. Znalazła się sama przed wielką przestrzenią, stanowiąc początek całej gromady. Żadnego znaku łączącego. Co robią inne? Ta straszna groźba za sobą.

Jedyne pragnienie, aby zmniejszyć odległość pomiędzy sobą, a tym głupim słupem. Kres sił. Utkwiwszy oczy w miejsce, skąd ma wyskoczyć zielony sznurek, utkwiwszy je tak, jakby je miała na skroniach, widzi tę, która powróciła. Tę, która znów jest u jej boku. Tuż obok siebie, ramię przy ramieniu, będą równooddalone, jak przedmioty złączone ze sobą, równooddalone, jak dwa konie u jednego wozu, jak dwa koła u jednego wozu. Zuzanna ją prześcignęła. O jedną pierś. O pięćdziesiąt centymetrów. Robią straszny hałas. Kres sił? Niema kresu sił. Czerpie aż do dna. Nie może dognać Zuzanny, jakby pomiędzy niemi znajdowała się jakaś masa powietrza zgęszczonego. Jest nieprzytomna. Ciemności ostatecznego wysiłku, gdy już nie czuje się dobrze, że się biegnie, gdy już nie jest się zupełnie pewną, że się biegnie, gdy nie czuje się w sobie ruchu niżej pasa... Powróciła do przytomności dopiero w momencie, gdy pojęła, że jej rozum nie panuje już nad jej ciałem, że niema już sztuki, tylko sama szorstka natura; jej figura się kołysze, jej ramiona opadają, pochyla się naprzód, jak w lejcach. Jeszcze sześć metrów. Zuzanna jest przed nią. Cofa pierś i wyrzeka się wszystkiego.

Lecz zaledwie to uczyniła, Dominika wyzwoliła z siebie wszystkie swe moce. Piersi cofnięte, gwałtownie powróciły naprzód; przecięła ślad trzema ciężkimi krokami, jakby biegnąc, aby dogonić swój biust, trzema krokami, uderzając piętą, co dało trzy głuche odgłosy; i osunęła się na murawę, leżąc na plecach, cała wyciągnięta, ręce skrzyżowane, nogi rozrzucone, płaska, jak coś nieludzkiego. Wielkie niebo naprzeciwko przesłiznęło się w jej przymykających się oczach. Jej pierś unosiła się nad wygładzoną ziemią.

Poczuła tuż przy sobie to dziwne ciepło świeżej skóry z posmakiem wanilji. Po woni poznała Zuzannę. Otworzyła oczy. Zuzanna była przy niej, czerwona, jakby jej ścisłano policzki, jakby krew miała wytrysnąć z jej nosa, ust, uszu; a zielony sznurek zwycięstwa chwiał się jeszcze na jej ramionach. Śmiejąc się, uściśnęły sobie ręce, uściśnęły «pięści», wznosząc je aż do przegubu ramienia. Zadyszana nie mogła mówić, gdy tymczasem wzbierała w niej fala miłości dla tej, która ją zwyciężyła. Śmiały się jeszcze: «Dominiko, nos twój, który był taki opalony, zbladł ze wzruszenia... Zupełnie masz biały nos, zupełnie biały»...

Siedziały na pachnącej murawie obok siebie, przyjemnie bezwładne, upajając się pięknym poankiem, naprawdę specjalnie dla nich stworzonym, miękką trawą, czystą atmosferą, przyjaciółkami, wśród których niema ni jednej, którejby się źle życzyło, powietrzem, które ma w sobie coś kobiecego, całym sposobem życia, w którym nic nie zawadza i w którym Dominika — o cudziel! — najwytworniejszego młodego człowieka z pośród najwytworniejszych młodych ludzi z Paryża osądziłaby bałwanem. W klubie tym zamkniętym i bardzo poważnym trzydziestu młodych dziewcząt, z których wszystkie tam się znajdowały, większość była czarująca; przynajmniej pięć z nich, mistrzyni wielkiego stylu, było uosobieniem piękności. Nawet w tej chwili jedna z nich, wprowadzając się w skok w górę, napełniała wielką radością Dominikę. Patrząc na tę młodą dziewczynę o nogach tak silnych i delikatnych, myślało się o wyrażeniu Homera: «zachwycająca męskość». Rozpędzała się, jakby niedbała, jednym raptownym, nerwowym uderzeniem nogi, które wprawiało jej mięśnie palców u nóg w drżenie. I za każdym razem, gdy znajdowała się nad barjerą, u szczytu swego wysiłku, Dominika spostrzegła uśmiech na jej twarzy poważnej i pogodnej, która wyrażała w tej chwili tylko zupełne zadowolenie z doskonałego czynu. I ona również, podziwiając swą przyjaciółkę, była przepelniona radością.

Tłum. K. L.

VALÉRY LARBAUD

(ur. 1881)

BIEDNY FABRYKANT KOSZUL

I

Był sobie pewnego razu fabrykant koszul, którego koszule szły dobrze, ale interesy — źle.

Był on pogrążony w rozpacz; doszedł nawet do tego, że zaprzeczał istnieniu Opatrzności i doktryny Pistis Sophia.

Jednakże zawsze tak nie było. Kilka lat przed Wystawą Paryską, w 1900 r., posiadał wspaniały magazyn w galerji Palais-Royal. Klientela jego składała się przeważnie z ludzi utytułowanych, dostojnych literatów i sławnych ptaków niebieskich. Ludzie utytułowani traktowali go uprzejmie i płacili mu regularnie; literaci byli poufalsi i płacili mu nieregularnie, nie dając mu jednak czekać na pokrycie ich czeków, a niebieskie ptaki wypędzały go i nie płaciły mu nigdy.

A jednakże szczęśliwy koszularz opływał w dostatki. Zamieszkiwał antresolę eleganckiego domu przy ulicy Bons-Enfants, stołował się w restauracji Duval przy ulicy Montesquieu i kupował sobie trzy cylindry rocznie.

Lecz potrochu klientela jego przerzedziła się, jak również jego włosy. Panowie markizowie i hrabiowie, za starzy, pomarli, literaci, zrujnowani przez ich wydawców, kupowali koszule gotowe w magazynach konfekcji, a niebieskie ptaki, widząc, że powodzenie go opuściło, kazali sobie robić koszule w Londynie.

Galerja Palais-Royal, opustoszała pod koniec panowania Ludwika-Filipa, opróżniła się zupełnie. Zapanowało wielkie i tragiczne milczenie, przerywane tylko w południe wystrzałem małej armatki z brązu.

Jedynie po śniadaniu służące z okolicy prowadziły dzieci lub psy swych państwa, aby załatwiły się w ogrodzie, a często nawet na jego drzwi. Regularnie o szóstej wieczorem jakiś młody człowiek, wysoki, przyzwoicie, lecz ubogo odziany, przechodził koło magazynu, zatrzymywał się przez kwadrans, zajęty napozór podziwianiem wystawionych modeli, a później oddalał się; jakby z żalem podążał swą drogą przez miasto, pełne już zmroku, zapachów kuchennych i zimna. (Wkrótce zobaczymy, dlaczego ten wysoki młody człowiek — który nie był nikim innym, jak sławnym Biednym Młodzieńcem z Octave Feuilleta — zatrzymywał się w ten sposób przed magazynem, przekroczenia którego zakazywały mu na zawsze jego trzydzieści pięć franków miesięcznie).

Zamiast rozkoszować się w spokoju swą samotnością, biedny koszularz biegał gorączkowo po swym sklepie, gnębiony wielką rozpaczą:

— Niestety! — mówił półgłosem — poco płacę trzysta franków rocznie za każdy metr sześcienny powietrza w tym magazynie? Poco każę codziennie rano czyścić szybę mej wystawy? Poco mi drzwi automatyczne, które się same zamykają, jeżeli otwierają się tylko dla mnie? Dlaczego kupiłem modny dywan za tysiąc pięćset franków, kiedy sam tylko muszę po nim chodzić? I wreszcie poco mi talent, poco jestem pierwszym koszularzem w Paryżu, jeżeli koszule, które noszę, zmuszony jestem kupować w Belle Jardinière (och, konkurencja!). Musiałem już odprawić mego ucznia. Nigdy nikogo! Nawet kupującego przypadkowego, człowieka śpieszącego się, który o trzeciej po południu chce mieć koszulę białą, aby wyjść wieczorem. Pozostał mi tylko jeden wierny klient, książę de Vitenvall!

Innym razem, chwytając się za głowę, wykrzykiwał:

— O! jak mój kontrakt się skończy, nie będę tutaj siedział! Ale do tej pory, co zrobię?

Tymczasem, za poradą jednego ze swych przyjaciół (coraz rzadszych) biedny koszularz postanowił się trochę zareklamować. W tym celu zwrócił się do jakiejś agencji publicystycznej, która przedewszystkiem kazała mu wpłacić tysiąc franków jako zadatek.

Biedny koszularz zaczął natychmiast kupować wszystkie gazety francuskie i zagraniczne, ażeby ujrzyć w nich swe nazwisko, ale w żadnej z nich nie odnalazł go.

— Jestem gotowy — pomyślał i poszedł poskarżyć się do agencji publicystycznej. Dyrektor, ubrany w piżamę z różowego jedwabiu, uspokoił go, pokazał mu prędko numery usprawiedliwiające i zamówił piżamę z żółtego jedwabiu, jako zadatek przyszłej reklamy.

Powróciwszy do domu, biedny koszularz zabrał się do roboty z sercem pełnym nadziei; lecz piżama została wykończona i dostarczona, a żaden klient nie zjawił się.

— To nic — powiedział dyrektor — proszę mi dać jeszcze tysiąc franków, a Paryż będzie twój.

Wreszcie pewnego wieczora, gdy miał już zgasić gaz i zaciągnąć, wzdychając, stalowe powieki, osłaniające martwe oczy jego magazynu, biedny koszularz usłyszał, że jego drzwi automatyczne otwierają się z wesołym zgrzytaniem i, unosząc głowę, zauważył człowieka, elegancko ubranego o świeżej cerze z kwiatem w bułonce; bez kłopotu poznał w nim Anglika, chociaż, będąc tylko biednym koszularzem, posiadał bardzo mało wiadomości etnograficznych.

Natychmiast wstał (ponieważ znajdował się w pozycji siedzącej) i jednocześnie uklonił się głęboko (ponieważ był uprzejmy), żalując, że nie uczęszczał do szkół Berlitz, bo chociaż tytułował się *Shirt-Maker*, nie umiał ani słowa po angielsku (oprócz: yes). Zapytał więc uprzejmie:

— Milord życzy sobie? Milord pozwoli mi wziąć miarę?...

Ale lord (którego nazwisko nie figurowało, zresztą, w *Peerage*) zdawał się nie słyszeć. Jego wzrok pytający był niewzruszenie skierowany w głąb magazynu, jakby tam szukał wyjścia... Wkońcu zwrócił się do biednego koszularza i powiedział:

— Well, man, where are the girls?

— A! Milord nie mówi po francusku? Jaka szkoda! Akurat właśnie odprawilem na dzisiejszy wieczór mego pierwszego krojczego, który studjował w Londynie. Ale jeżeli milord zechciałby zadać sobie trud, aby zdjąć surdut, ja...

— Tut! tut! I say, where are the girls? Show me the way, that's all I what of you, d'ye know, man?

— Dobrze, dobrze, zechce milord usiąść. Oto nasze tkaniny, oto nasze modele; to jest tkanina z Oxefaure; to jest przędza jedwabna fantazyjna na kalessony; zechce milord...

W tej chwili biedny koszularz zauważył, że twarz Anglika jest karmazynowa i nabrzmiała złością.

— Mój Boże, milordzie...

Lecz Anglik, zgromadzwszy to wszystko, czego mógł się nauczyć po francusku z «Nocnego przewodnika paryskiego», który trzymał w ręku, krzyknął:

— Więc nie masz tu kobiet? Więc jesteś kłamcą, dlaczego ogłosiłeś to w tej książce?

I, rzuciwszy broszurę biednemu koszularzowi, lord wyszedł z magazynu, łamiąc automatyczne drzwi.

Biedny koszularz zajął się czytaniem «Nocnego przewodnika paryskiego» i przez lży wyczytał swe nazwisko w «Spisie domów schadzek».

Wtedy zrozumiał, zgasił gaz, położył się na swym modnym dywanie i, złamany niemocą i wstydem, płakał jak zbite dziecko.

II

O brzasku biedny koszularz odzyskał trochę odwagi. Noc przyniosła mu ukojenie. Tego samego dnia zerwał kontrakt, pożegnał się z ulicą *Bons-Enfants*, wynajął nowy magazyn i mieszkanie nad magazynem w pasażu niedaleko *Bulwarów* i wreszcie sprowadził z klasztoru swą osiemnastoletnią córkę *Hildegardę* (miała najpiękniejsze nożki na świecie).

W ten sposób zaprowadził poważną oszczędność, nie płacąc już nic za edukację swej jedynaczki i zyskując w niej współniczkę bardzo zręczną w ręcznym obrębianiu koszul i w grze na pianinie. (Na szczęście pianina nie posiadał).

Instalacja została prędko uskuteczniiona. Biedny koszularz użył wszystkie pozostałe pieniądze na wytapetowanie ścian magazynu, wstawienie tam nowych mebli, wyczyszczenie modnego dywana (splamionego jego łzami) i wreszcie na odnowienie zapasu swych materiałów.

Hildegarda, która była dobrą, skromną i odważną dziewczynką, pomagała mu i wspierała go swym wyśmienitym gustem.

Oczekiwali klientów, którzy nie przychodzili.

— A jednakże zrobiłem wszystko, co należało — powiedział biedny koszularz. — Widocznie modele moje były staromodne, ale teraz staję się modnym, zaczynam nawet

mówić po angielsku! Ach, konkur... — Nie! to pech, który mnie jeszcze ciągle ściga; Guignon śpiewany przez Mallarmé. Może lepiej zrobiłbym, zostając w Palais-Royal: powodzenie może powrócić; czy to kiedy wiadomo? Ten przeklęty pasaż, pomimo sąsiedztwa Bulwarów, nie jest lepszy. Ale

Człowiek, upojony cieniem przejściowym,
Ponosi zawsze karę
Chęci zmiany miejsca.

Gdybym nie miał na pocieszenie mych dwóch nieodstępnych książek: «Martianus» Capella i «Pieśni» Maldorora, oszalałbym z rozpaczyl!

— Nie martw się tak, ojczec — mówiła Hildegarda. — Wiosna już, teraz pójda kamizelki flanelowe. Czy nie jesteśmy zadowoleni z nas samych, że jesteśmy ludźmi uczciwymi? Gdy pod koniec dnia stwierdzamy, że nic nie sprzedaliśmy, możemy sobie przynajmniej z dumą spełnionego zadania powiedzieć, że nikogo nie okradliśmy. Bądźmy więc weseli, ojczec, i uśmiechnij się do twej małej Hildy.

Ale ta jasnowłosa młoda dziewczyna udawała tylko wesołość przez czułość dziecięcą. W nocy, gdy pozostawała sama w swym pokoiku, wzdychała ze smutkiem i szeptała:

— Jeżeli zabrał mnie z klasztoru tylko dlatego, abym obrębiała koszule i umierała z głodu, to lepiej zrobiłby, gdyby mnie tam zostawił. Czy zawsze będę niezrozumiana?

Tymczasem rzadcy spacerowicze, którzy przechodzili przez pasaż (tylko w dni deszczowe było tam trochę ludzi), mogli zauważyć smutnego fabrykanta koszul, który urządzał niesłychanie starannie swą skromną, ale solidną wystawę, a w głębi magazynu, w półcieniu, miły profil Hildegardy, pochylonej nad trudną robotą. Nie można było nie pomyśleć narazie o słodyczy i uroku życia skromnego i cichego, a zaraz potem: «Jaka szkoda, że jest jakiś człowiek w tym sklepie, bo ładna jest ta szwaczka».

Pewnego wieczora, koło godziny szóstej, wysoki młodzieniec, ubogo, lecz przyzwoicie odziany, zatrzymał się nagle przed magazynem i zdawał się przypatrywać wystawionym kalesonom, trykotom i skarpetkom. W rzeczywistości wzrok jego spoczywał na miłym profilu Hildegardy. Młoda dziewczyna podniosła głowę, spojrzenie jej spotkało się z jego spojrzeniem, i jednocześnie poczuła, że Miłość wdarła się do jej serca.

Ten wysoki młody człowiek, zgadliście pewnie, był właśnie sławnym Biednym Młodzieńcem Octave Feuilleta. Ale nie wiecie, że ten młody człowiek od dwóch lat był zakochany do szaleństwa w jasnowłosej Hildegardzie. Tak; dlatego, że raz już ją dostrzegł, siedzącą grzecznie w mundurku pensjonarskim na trzecim szczeblu przenośnej drabinki w Palais-Royal. Od tego czasu, ścigany pragnieniem ujżenia tej zachwycającej twarzy, młody człowiek co wieczór, wychodząc z biura (był urzędnikiem w wielkim towarzystwie omnibusowem), zbaczał z drogi, «aby przypomnieć sobie miejsce, gdzie widział ją, niestety, tylko jeden raz». Gdyż nie śmiał przyznać się do tajemnego pragnienia ujżenia jej samej.

To też, gdy pewnego wieczora koło szóstej przeczytał «Magazyn do wynajęcia» na szybie, która wczoraj jeszcze należała do biednego koszularza, nieszczęśliwy młodzieniec myślał, że oszaleje. Trzy dni później nie chodził do biura, przebiegając gorączkowo ulice stolicy francuskiej i pożerając chciwie najświeższe wydawnictwa Botin. Złamany zdradliwą trucizną demoralizującej literatury, nieszczęśliwy porównywał się w tajemnicy do Orfeusza, Ulissa i Rycerzy Okrągłego Stołu.

Wreszcie wyrzekł się wszelkiej nadziei i obrał po raz pierwszy najkrótszą drogę powrotną do swego mieszkania na siódmym piętrze nad antresolą, gdy przypadkiem w pasażu ujrzął nazwisko bogatego — ach! nawet za bogatego, z jego punktu widzenia — koszularza!

Profil Hildegardy w półcieniu...

Nieśmiały pocałunek przesłany — i zwrócony?

Zdaje się, że dobrze widziałem?

O ciemności! etc...

O małe rączki Hildegardy, które zrywały płatki róż w ciemności! etc...

Dwoje tych dzieci kochało się z całą niewinną czystością ich serc.

Poco nadszedłem?

III

Pewnego dnia p. Barnabooth (wolę mówić o sobie w trzeciej osobie), p. Barnabooth, powtarzam więc, lubiąc w miejscach odludnych marzyć o zmroku, błąkał się w pasażu.

Wpatrywał się długo w wystawę optyka i sprzedawcy lalek, nie racząc nawet rzucić okiem na wystawę biednego koszularza.

P. Barnabooth, według swego ówczesnego zwyczaju, był źle ubrany i bardzo nieśmiały, pomimo swych bogactw niezliczonych; nie zatrzymał się narazie przed sklepem naszego biednego koszularza, ponieważ tenże stał na progu, a obecność jego niesłychanie onieśmielała miliardera.

Lecz nagle, on również dostrzegł delikatny profil Hildegardy i również zakochał się szalenie. (Nie wiedział, że serce tej dziewczycy już było zajęte).

Następnego dnia powrócił do pasażu i, przewyciężywszy swą nieśmiałość, zamówił dwanaście tuzinów koszul, za które natychmiast zapłacił, nie śmiać podnieść oczu na twarz Hildegardy, która podawała mu pokwitowany rachunek i której powiedział śmiało!

— Dziękuję pani!

Trzeciego dnia multimiljoner powrócił; zamówił dwanaście tuzinów letnich kalesonów, zapłacił natychmiast i odważył się nawet odezwać do uradowanego koszularza:

— Jaka piękna dziś pogoda, prawda, panienko?

(Padają szkaradnie).

Następnego dnia p. Barnabooth powrócił. Zamówił dwanaście tuzinów jedwabnych czepków nocnych (choć nie miał zwyczaju nosić ich). Posunął swą śmiałość do tego, że zapytał się biednego koszularza:

— No, jak idą interesy?

— Dość dobrze — odpowiedział tenże — od kilku dni mamy większe zamówienia.

— Niemożliwe! Więc naprawdę dobrze idzie?

— Pragnę tylko, aby w dalszym ciągu tak dobrze szło.

— Naprawdę? Wobec tego — wykrzyknął p. Barnabooth — przystępuję do spółki! Zgoda? Tak postępuje się w Ameryce. Oto dziesięć tysięcy franków, które na początek wkładam do interesu. Będziesz płacił mi procenty, kiedy ci będzie wygodnie. Proszę dać mi pokwitowanie mego czeku; to mi wystarczy.

Gdy Hildegarda wyszła, aby przynieść potrzebny papier stemplowy i przy tej okazji odebrać list, pisany poste-restante przez Biednego Młodzieńca, p. Barnabooth ośmielił się do ostatecznych granic i zaprosił biednego koszularza na obiad do Paillarda za kilka dni.

Koszularz, olśniony swem nagłym szczęściem, zgłupiał zupełnie.

Hildegarda zaś nie dostrzegała ani p. Barnabooth, ani banknotów nagromadzonych w kasie, ani szalonej radości swego ojca. Nieubłagany Eros oświadczył ją całą.

IV

Obiad odbył się.

P. Barnabooth wszystko dobrze urządził.

Wynajął całą restaurację Paillarda, kilku śpiewaków operowych, dwunastu poetów z Montmartre, orkiestrę gwardji republikańskiej i fonograf.

Podano niezliczoną ilość wyszukanych potraw, tak, że przy gniazdach jaskółczych biednemu koszularzowi o mało co nie zrobiło się niedobrze. Zachował też o tem na całe życie niezatarte wspomnienie, jak również rozszerzenie żołądka, na które wkońcu umarł.

Panna Hildegarda pod pretekstem migreny pozostała w domu i spędziła całą noc przy oknie na czulej rozmowie z Biednym Młodzieńcem, który, jako ofiara lektury źle i za prędko przyswojonej, porównywał się do Romea, Tytusa i rycerza z Grioux.

Przy piątym daniu p. Barnabooth, widząc, że gość jego jest już w stanie odpowiednim do zwierzeń, wyznał mu, że kocha namiętnie Hildegardę.

— Gdyż, właściwie, drwię sobie z twoich koszul i kamizelek flanelowych.

— Domyslałem się tego — odpowiedział biedny koszularz, który zdawał się znajdować to zupełnie naturalnem. — A więc, ożeń się z nią!

— To niemożliwe; jestem już zaręczony z kilkoma młodemi dziewczętami i mam kochankę, która jest księżną.

— O, to bardzo przykre. Co zrobić?

— To bardzo proste...

— Co? Pan mnie obraża; ale będę umiał ukarać cię, nędzniku, i...

— Powoli, mój drogi przyjacielu. Jeżeli opuścisz na mój policzek tę rękę tak dumnie wyciągniętą, jutro zjawi się u ciebie woźny i przedstawi pokwitowanie na dziesięć tysięcy franków. Ha, ha, masz krótką pamięć!... Więc — ciągnął p. Barnabooth — rozmawiajmy poważnie i jak uczciwi ludzie, którymi jesteśmy. Kocham twoją córkę; to fakt dowiedziony, prawda? Ja przecież również mam prawo do mojej części miłości na tej ziemi! Uwielbiam ją, mówię ci! Jestem najpokorniejszym z jej niewolników. Jeżeli mną będzie pogardzała i biła mnie, powiem jej dziękuję! Co wieczór będę się kładł u jej drzwi! A w niedzielę, gdy, wychodząc z kościoła, ukaże się w kruchcie, płaszcz najpiękniejszego z kawalerzystów rozesłany będzie na stopniach! Chcesz pięćdziesiąt tysięcy?

— Ależ pan jest pijany!!! Gdyby nie to... Niech pan pomyśli o rumieńcach, którymi pokryłaby się twarz moja, gdybym, przechodząc obok lustra, ujrzał w niem obraz człowieka, który sprzedał swą córkę!

— A rumieńce człowieka, do którego woźny mówi: «Płaci pan albo zabieram wszystko, co pan posiada; proszę płacić, gdyż pieniądze te jest pan winien komuś», a pieniądze te już pan roztrwonil. Ale, ale, jak się ma twój automobil? Bądź więc rozumny! Czy nie znajdujesz, że byłoby cudownie być moim teściem na żarty? Sto tysięcy i ani grosza więcej...

— Niech się pan sam zapyta Hildegardy...

I biedny koszularz ukrył lzy w swych drżących rękach.

Był pijany.

V

P. Barnabooth napisał do panny Hildegardy namiętny list, prosząc o spotkanie. Panna Hildegarda, zaniepokojona w swej prawości, posłała ten list Biednemu Młodzieńcowi.

Biedny Młodzieniec narazie oburzył się, a później zaczął płakać, przeklinając swój los.

— Jednakże ja również — powiedział — mam prawo do mojej części miłości na tej ziemi!

Czuł, że staje się anarchistą.

Poprosił pannę Hildegardę o dwa dni do namysłu. Panna Hildegarda napisała więc do p. Barnabooth, prosząc również o dwa dni «do namysłu».

P. Barnabooth jej odpowiedział: «Proszę się pośpieszyć, aby skorzystać z chwili, kiedy mnie to interesuje; w przeciwnym razie przysłę wam woźnego».

Po straszliwej walce wewnętrznej, Biedny Młodzieniec, zdemoralizowany lekturą pisarzy niebezpiecznych, porównyując się do Cyda Campeador, wyzwiał na pojedynek p. Barnabooth i, ufryzowawszy sobie po raz pierwszy od czasu pierwszej Komunii włosy, udał się do biednego koszularza, prosząc o rękę jego córki.

— Zdaje się, że ona kocha innego; a zresztą, kto pan jest?

— Jestem Biednym Młodzieńcem Octave Feuilleta.

— Cieszę się bardzo, że pana spotykam (aczkolwiek niebardzo lubię ten rodzaj literatury, sam będąc symbolistą). A więc, chcesz się ożenić bogato? (Biedny koszularz był jeszcze pijany).

Te dwa ostatnie słowa oraz trzydzieści uderzeń kijem, które mu zostały wymierzone przez jednego ze sług p. Barnabooth, podziałały specjalnie na ducha młodego człowieka.

«O, moja ukochana, moja droga małżonko, niewinna przyszła matko moich przyszłych dzieci!

«Z sercem rozdartem i z obolałym grzbietem, mówię ci: zgódź się na plugawe warunki, jakie ci postawił ten niegodny p. Barnabooth; zgódź się na nie dla naszej miłości, dla naszego przyszłego szczęścia; zgódź się na nie z rezygnacją, tak jak ja się na nie zgadzam...

«Pomyśl o tem, że niema innego wyjścia z tej strasznej sytuacji, w której jesteśmy. Twój ojciec nie wytrzeźwiał jeszcze od tego niefortunnego obiadu, podczas którego nieszczęsny milijarder odkrył całe błoto swej duszy. Nie może więc działać; a zresztą, co mógłby uczynić? Niestety! Wybierając pomiędzy wstydem bankructwa i tym innym wstydem, oczyszczonym jednakże przez ofiarę, którą na nas nakłada, nie możemy się dłużej wahać. Wreszcie, udając się na to straszne spotkanie, dowiedziesz mi, że mnie kochasz naprawdę. Jeżeli nie pójdziesz, będę wiedział, co mam myśleć o twych prawdziwych uczuciach, i nie zobaczymy się już nigdy w życiu. Zresztą, prawdziwie można się tylko kochać we wstydzie i poniżeniu. W dodatku, nikt o tem nie będzie wiedział.

«Idź więc, moje kochanie! Przeznaczenie nas ściga i panuje nad nami, jak ruchome niebo, i musimy schylić głowę, gdy jakaś chmura z burzą przesuwa się tam w górze.

«Ale przed tym dniem fatalnym pozwól mi posiąść ciebie całą! Prześcignijmy potwora. Ukradnijmy mu to szczęście, które kupuje, ponieważ «nie jest godny» — jak powiedział Frantisek Przwaka — «kupić to szczęście!»

«O, moja ukochana! długa jest noc do płaczu wspólnego! etc.».

W tym tonie Biedny Młodzieniec pisał do panny Hildegardy. Popsuty niezdrowa literaturą, porównywał się do René, do Werthera i do ostatniego z Abencérages. Myślał też: «E, dalibóg, mam pomysły zupełnie nowoczesne, a nawet trochę niszczycielskie».

Tego samego wieczora dostał się do pokoju panny Hildegardy.

VI

P. Barnabooth dowiedział się o tem wszystkim o wiele później. O wiele później również dowiedział się, że Biedny Młodzieniec pozwał sobie nazywać go «ten Amerykanin».

Następnego dnia rano ujrzał więc multimiljoner przybywającą w spódniczce spacerowej pannę Hildegardę, zupełnie oszołomioną krzyczącym przepychem jego świetnej antresoli z ulicy Goutte-d'Or oraz okazałością jego domowego szlafroka, całego z genuńskiego aksamitu. Nie wiedziała, co ma zrobić z rękami. Odezwała się drżącym głosem do p. Barnabooth:

— Czy ma pan ciepłą wodę?

— O! — zdziwił się milijarder.

— Tak, bo chciałabym umyć ręce, gdyż nie wiem, co mam z nimi zrobić...

Lecz p. Barnabooth schwycił ją brutalnie za lewą rękę, patrząc jej w oczy z uwielbieniem:

— O, moja Francuzeczko, moja paryżanko, o której cały świat marzy! Prawnuczko (co najmniej) Druidów! O, narodzie z 89 i 93 roku! O, kobiety Greuze'a i Lancreta! Celimeno, Manon Lescaut!

— Ależ, panie Barnabus, pan zapomina o mnie — odezwała się Hildegarda.

— Nie! — odpowiedział namiętnie milijarder. — To prawda, że nie mamy tego samego «Weltansicht», na pewno; nie! nie zapominam o tobie. Lecz mam serce zranione, bo wiem, że kochasz innego! tak! Biednego Młodzieńca, to indywiduum, które sobie nigdy nóg nie myje. Ty, przynajmniej, masz ochotę umyć ręce, to już coś jest; ale on, a fe, nienawidzę go, tego złodzieja mego szczęścia. Bo, widzisz, odtąd mógłbym... Czy wiesz, moja mała Hildo uwielbiana, czego chcę od ciebie? Pragnę tylko, abyś mi

powiedziała szczerze, tonem naturalnym: «kocham cię». Aby ci pomóc, radzę ci nawet, abys pomyślała o innym. Tak, mówiąc mi to, zamknij oczy i wyobraź sobie, że krzyczysz mu z głębi twej duszy te słowa pałace. Jednocześnie pomyśl o mem cierpieniu, gdy będę słyszał te słowa i będę wiedział, do kogo właściwie są zwrócone?

— Kocham cię! — wyrecytowała prędko panna Hildegarda.

— To nie jest bardzo dobrze, bo, widzisz, każde słowo tego małego zdania trzeba wymawiać z przejęciem. Wreszcie, już dosyć na dzisiaj! Każę profesorowi konserwatorjum dawać ci lekcje «Kocham cię». Sam będę kontrolował postępy, jakie będziesz robiła.

— Ale, zdaje się, że jesteś zmęczona, chodź na kolana, no, chodź! Musisz spełnić swą ofiarę do końca, skoro przyszłaś tu do mnie. Tu, dobrze. Ach, gdybyś wiedziała, jakie znam piękne i tajemnicze sposoby kochania! (Jak serce moje przepełnione jest czułością, wbrew memu przykremu podobieństwu, zupełnie zewnętrznemu, do starożytnego Katona...).

— Teraz zdejm kapelusz. Jakie będziesz miała odtąd piękne kapelusze i suknie!... Ach! płaczysz, myślisz o nim, o tym człowieku, dotkniętym szalenstwem krążenia, powtarzającym się stale! O, nigdy nie kochałem więcej, niż w tej chwili! Jaką wielką litość czuję dla siebie samego i jak będę musiał uspokajać się za chwilę w mym samochodzie. Dlaczego więc chciałem tego? Powiedz, powiedz mi, dlaczego jestem tym szkaradnym panem Barnabus, który chce kupić miłość? Powiedz mi, że się mną brzydzisz, bardzo; pluń mi w twarz, powiedz mi, że jestem wstrętne bydlę...

— Pogniecie pan mi stanik, panie Barnabus.

— Cóż mnie obchodzi twój stanik? Czy wiesz, że jesteś na mojej łasce?

I nagle p. Barnabooth wstał, popchnąwszy pannę Hildegardę, która o mało co nie straciła równowagi.

— Idź — powiedział majestatycznie — idź, młoda dziewczyno, do mieszkania twego ojca, biednego koszularza. Idź, odsyłam cię czystą.

(Panna Hildegarda uśmiechnęła się chytrze).

— Tak, pozostawiłem cię nienaruszoną, moja droga! A jednakże byłaś w mojej garsonierze, siedziałaś na mych kolanach, powiedziałaś mi «kocham cię», chociaż kochasz innego, pogniotłem twój stanik, zdjęłaś nawet kapelusz, kładąc go na stoliku. Ha, ha, to zupełnie tak, jak to robią prostytutki, a w rzeczywistości jesteś młodą dziewczyną. Tych kroków, które zrobiłaś, aby tu przyjść, nie będziesz mogła nigdy wymazać z twej przeszłości. A ja nigdy nie będę mógł wymazać z mej przeszłości dnia, w którym chciałem dać pieniądze, aby otrzymać miłość. Ach, na mych kolanach, bez kapelusza! Pomyślisz o tem później, całując twe dzieci, dzieci innego! A ja będę myślał zawsze, że nikt na tej ziemi nie kocha biednego człowieka bogatego. No, idź lepiej!

Panna Hildegarda wzięła dorożkę, aby wrócić do ojca, ponieważ autobus nie kursował jeszcze tamtędy. Nie myślała o niczem.

VII

P. Barnabooth zapłacił uczciwie sumy, które obiecał, i przez swe wpływy i stosunki wyrobił Biednemu Młodzieńcowi bardzo wysokie stanowisko w Omnibusach.

Później, żegnając się ze wszystkimi, oznajmił, że chce odbyć podróż morską do Serbji.

Wesele Biednego Młodzieńca i córki biednego koszularza było wspaniałe i dobrze urządzone. Biedny koszularz był pijany. Biedny koszularz był bohaterem dnia, skromnym i pełnym godności: wyrzekł się swych idei wywrotowych, na jego męskiej twarzy czytało się odtąd miłość Ojczyzny, poszanowanie Obowiązku i potępienie całej Literatury. P. Hildegarda była cała różowa w swej białej sukni, ostatnim podarunku p. Barnabooth.

Uczta była obfita; wszystko tam było przyzwoite i jak należy. Przekupiwszy za cenę złota kluczników, p. Barnabooth asystował, niewidzialny, na tym festynie. Bawił się nadzwyczajnie, ponieważ nie kochał już córki biednego koszularza.

Pod koniec obiadu rozpoczęto mowy. Pierwszy wstał z wielkim wysiłkiem biedny koszularz. Wzniósł swój puhar pełny szampana i oblał wszystkich. Później, otworzywszy usta, aby przemówić, dostał czkawki. Otrzymał oklaski. Wtedy runął pod stół.

Ale już proszono pannę młodą, aby wzniosła czyjeś zdrowie. Wstała, czerwieniąc się i, podnosząc wysoko kieliszek swą białą ręką, powiedziała wyraźnie:

— Za zdrowie tego niedołągi Barnabusa!

VIII

Sens moralny:

Są rzeczy, które trzeba umieć pochwycić wlot.

* * *

Na pokładzie mego jachtu «Parwenjusz» w przystani w Smyrnie.

Luty 1902.

(A. O. Barnabooth).

Tłum. K. L.

PIERRE MAC ORLAN

(ur. 1883)

WENUS MIĘDZYNARODOWA

Szymon został obudzony wśród nocy przez hałas, który ustawał. Ciężki jeszcze z pierwszego snu, Szymon pomyślał narazie, że to nagły wylew Mulotte. Wskoczył z łóżka i wyjrzał przez okno, które wychodziło na ogród. Księżyc, w swej pierwszej kwadrze, świecił słabo. Lecz gdy oczy Szymona przyzwyczaiły się do ciemności, skostatował, że ogród spoczywał w spokoju i że nic nienormalnego nie zamącało zupełnego jego bezruchu. Skłonił ucho w kierunku drogi z Est i rozróżnił lepiej pewien hałas ostrożny, tupot groźny i lekki tysiąca małych przezornych łap, który nie przypominał suchego stąpania stada baranów. Szymon wyszedł do sieni, która była oświetlona zapomocą okna, przebitego na ulicę, i dojrzał jasno-szarą wstęgę drogi, którą na horyzoncie przecinało wzgórze Hauts-de-Groue.

Droga wydawała się pusta, tak jak ogród. Dziwny szmer zagubił się wdali. Kilka czarnych plam ukazało się w ciemności i znikło, zanim można było rozróżnić jakiś kształt ludzki lub zwierzęcy.

Gohelle, mając się za ofiarę halucynacji słuchowej, chciał powrócić do łóżka, gdy wzrok jego został przyciągnięty przez jakiś kształt czarny, który rozciągnął się na drodze, jak kawałek kauczuku. Myśliwy wzruszył się. Krzyknął głośno: «Widzisz, Miku, przynajmniej jeden się pokazał...» Potem umilkł, bo inne zwierzęta ukazały się na drodze, nadchodząc z Est. Zbliżały się małemi elastycznymi podskokami, prawie milczące.

— «Ależ, to nie ma nic wspólnego z lisem!»

Otworzywszy szeroko oczy, wysilał się, aby lepiej widzieć. Zwierzęta przeszły pod oknem, ciągnąc wzdłuż rowów drogi, jak szereg Indjan. Szymon odszedł od okna i pobiegł do pokoju Mika.

— «Wstawaj, Miku, wstawaj... jesteście opłowiani przez wilki! Wstawaj!»

Mik, przerażony, narzucił na siebie piżamę i pobiegł do okna obok Szymona.

Wilki w dalszym ciągu defilowały z opuszczonemi ogonami, stąpając zręcznie. Zajmowały teraz boki drogi i środek szosy. Te, które szły po bokach, pilnując stada, wyglądały jak chińskie cienie. Od czasu do czasu podnosiły pyski, nadsluchiwały i szły dalej z ogonem pomiędzy nogami, pochylając grzbiety. Czasami gromada wilków, kładąc się na ziemi, jedne obok drugich, znikła za wzniesieniem drogi. Cisza wkradła się znów we wszystkie zakątki wsi. Jakiś nowy cień tańczył na ziemi, jakies zwierzę odosobnione ukazywało się wśród drogi, poprzedzając inne wilki, wilczyce i wilczątką, biegnące zdecydowanie w tym samym kierunku. Ich oczy błyszczały dziwnie w ciemnościach i wszystkie, przechodząc, wpatrywały się w dom Gohelle'ów. Czasami jakies

zwierzę zatrzymywało się na trzech łapach, aby podrapać się wygodnie lub z nosem, przytkniętym do ziemi, określić kierunek tropu. Te, które nadchodziły za nimi, porwały je ze sobą, i wilki defilowały bezustannie, jak na filmie bez końca. Gob, zamknięty w pokoju Mika, poczuł zwierza oraz tajemniczą woń morderstwa i zaczął mruzczeć głucho. W wiosce Santenay słychać było z oddali psy, wyjące na śmierć, i Gob, oszalały ze strachu, odpowiedział im.

W pochodzie wilków nastąpił pewnego rodzaju odruch. Niektóre zdawały się naradzać, inne, które cofały się, gryzły wściekle te, które pchały je naprzód. Mik, którego nerwowość dochodziła do przesady, schwycił Goba za skórę szyi i uspokoił go, zamykając mu mordę. Mały foks drżał wszystkimi swymi muskularnymi członkami w silnych ramionach Mika. Dyszał teraz, chowając głowę za szyję swego pana.

Wilki szły znowu w tym samym kierunku. Mik i Szymon, zahipnotyzowani do pewnego stopnia tem tragicznem widowiskiem, stali, jak wryci, nie rozmawiając ze sobą. To niezwykle najście oszalało ich. Nie przychodziło im nawet na myśl, aby określić ilość czworonożnych wędrowców, których marsz ustał dopiero przy pierwszym sinym błysku burzliwego dnia. Ostatni wilk z ostatniego bataljonu, który szedł po pochylności, zatrzymał się, odwrócił się w kierunku domów i, podniósłszy mordę i wyciągnąwszy szyję, zawył przeciągle. Ten głos, czysty jak para w świstku lokomotywy, przebudził złośliwie wszystkie psy z Santenay. Wszystkie psy, znajdujące się w wiosce, zaczęły skakać wściekle na łańcuchach, sapać pod zamkniętymi drzwiami i podniecać się szalonym szczekaniem. Gob, nareszcie uwolniony, wmieszał swój głos do tego koncertu. Słychać było okiennice, uderzające o ściany. Jakiś bity pies zapanował nad wrzawą jęków. Domy, jeden po drugim, ukazywały się przygarbione i posępne w świetle dnia. A noc topniała już we wszystkich zakątkach. Mik i Szymon, o oczach szeroko rozwartych i brudnej brodzie, nie mieli ochoty spać.

— Nie śniliśmy? — odezwał się Mik. — Widziałeś wszystko, tak jak ja?

Ubrali się, kazali zagrać kawę i, włożywszy automatyczne pistolety do kieszeni, wyszli przez bramę ogrodu, udając się do wsi, wzdłuż Mulotte.

Deszcz zaczął padać. Dwaj Gohelle'owie śpieszyli przez pola do drogi.

— Zobacz ślady — powiedział Mik.

Pochylili się, oglądając ziemię z uwagą.

Tu i tam rozpoznawało się stopy starych wilków, w kształcie geranji o pięciu gałązkach, i ślady wilczyc, które rysowały jakiś kwiat bardziej wydłużony. Huragan wody spadł na nich. Podnieśli kolnierze skórzanego okrycia i udali się odważnie w stronę lasu. Po drodze spotkali Hersanta de la Bélaude, kłusownika eksperta, który również robił wrażenie, jakby źle spał.

— Chciałem zastawić jedną lub dwie pułapki na mojem polu — powiedział, nie krępując się. — Był to rzadki widok. Zostałem więc w domu. Nigdy nie widziałem nic podobnego. To było obrzydliwe.

Przebiegłszy w towarzystwie Hersanta las Hauts-de-Groue i nie znalazłszy śladów, trzech mężczyzn rozstali się podczas ulewy.

— Jutro weźmiemy nasze strzelby ze śrutem. Uprzedzisz Hersanta. Kolo drugiej nad ranem napijemy się razem czarnej kawy i będziemy oczekiwali wypadków przy wejściu na równinę Groue przed lasem. Tymczasem zobaczę, czy wszystko tu się dobrze zamyka.

* * *

O drugiej nad ranem Mik, Szymon i Hersant skierowali się w stronę lasu Hauts-de-Groue, który przebyli, nie zauważwszy nic niezwykłego. Włożyli swe buty myśliwskie w padlinę, aby oprzeć się ich wyziewom. Przybywszy przed równinę Groue, zauważyli, gdyż noc nie była za ciemna, czarną linię wielkich lasów, które rozpościerały się w kierunku Est.

— Powinny nadejść stamtąd — powiedział Hersant. — To jest miejsce ich przejścia.

Każdy z trzech mężczyzn wdrapał się na drzewo, które sobie wybrał, aby nie przeszkadzać w strzale. Później, złożywszy strzelbę na kolanach, czatowali z nogami

zamarzniętymi. Czatuwali aż do brzasku, a gdy przymykali na chwilę powieki, oczy ich otwierały się natychmiast.

Gdy nastał dzień, usłyszeli śpiew ptaków, które się budziły. Z początku skomplikowany język kruków, skrzek srok i sójek. Dzieciół zaśmiał się rozbawiony wystrzałem. Trzej myśliwi spojrzeli na niebo, które było koloru ołowiu. Małe stado kruków ukazało się na skraju lasu. Krążyło nad równiną, wydając okrzyki jakby trąbki automobilowej. Jakaś inna gromada przybyła na ich spotkanie i mieszała się z pierwszą, aby obracać się wkoło. Ze wszystkich punktów widnokregu czarne gromady skupiały się w środku i ciągle się obracały, rosły. Kruki odzywały się wymownie, zmieniając z fantazją ochryple dźwięki swych głosów. I nagle tuż obok czatujących inne kruki, siedzące jeszcze na gałęzi, odpowiedziały na wołanie tamtych z armji już bardzo licznej. Rzuciły się, aby zaciągnąć się do orszaku przerażającego plemienia i przeleciały nad Gohelle'ami i Hersantem. Ich skrzydła uderzały miarowo i z wielkim hałasem.

Inne kruki, przybyłe z borów, leciały chyżo, aby połączyć się z siłami zmobilizowanymi. Wkrótce niebo zostało zasłonięte czarną zgęszczoną chmurą, która wznosiła się bezustannie.

— Strzelajmy do nich — krzyknął Mik ze wszystkich sił, aby opanować straszny szum skrzydeł, które były teraz w powietrzu do tego stopnia, że pochylały delikatne łodygi traw.

Hersant, robiąc rękami około ust trąbkę, odpowiedział: — Wyłupiłyby nam oczy.

Wreszcie potworna armja porwała się w kierunku południa, jednym rzutem dobrze uregulowanym. Później wyciągnęła się, przedłużyła do nieba, jak obłok dymu, i znikła.

— Już nic więcej nie zobaczymy — powiedział Hersant — zejźdźmy lepiej. Nie uwierzono by nam, gdybyśmy opowiedzieli, co widzieliśmy.

Dwaj Gohelle'owie, prawie zamarznięci, wyprowadzali z odrętwienia nogi i ręce, tupiąc nogami na drodze.

— W tym tygodniu nie pojedę do Paryża — rzekł Mikołaj.

— Dlaczego? — spytał młodszy.

— Bo nie chcę cię zostawić samego.

— Och! — odrzekł Szymon... lecz nie nalegał.

Pewnego wieczora podziwiali przez szybę wędrowkę dzikich zwierząt. W ten sposób widzieli, jak emigrowały zaferowane lisy, kuny, łasice, tchórze. Pewnej nocy przeszedł jakiś samotnik w towarzystwie swego pazia. Poprzedzali we dwóch armję dzików, odyńców, zwierząt rudowłosych, samiec i młodych, ustawionych w porządku rodzinnym, wagi i miary.

A później wielki powiew burzy, który zginał drzewa w łuk, rozrywał dachówki, unosił kominy, wymiółł wszystkie zwierzęta.

Mikołaj i Szymon czekali w domu, śpiąc dniem, czuwając nocą. Lampa paliła się ustawicznie, jak świadek. Dwaj mężczyźni czekali, odrętwiali, objawienia tej siły, która wypędza zwierzęta z ich nor, jak wielkie podwodne trzęsienia ziemi wyprowadzają nieznanne ryby z ich dna morskiego.

Jakieś odrętwienie nie do opisania rozpostarło się nad Santenay. Dziesięciu mężczyzn, niedowiarków od urodzenia, ofiarowało się, że będą bili w dzwony, bez księdza. Nocą zdawało się, że słycać smutne nawoływania trąb lub skargi kociąt opuszczonych. Kobiety nadużywały znaku krzyża. Kury gromadziły się koło kogutów nieruchomych i niespokojnych. Czasami słycało się biegnących po drodze z Est oszalałych Malgrasezyków, wysiedlonych z lasów, gdzie wybrali sobie miejsce zamieszkania, wtedy gdy wszystkie zwierzęta świata wyszły na drogi.

Mik i Szymon przy lampie, palącej się noc całą, słuchali krążenia krwi w swych żyłach. Byli przesyleni kawą.

Wiatr jęczał po ludzku za topolami, wzdłuż murów, przed drzwiami. Plakał w sposób tak kobiecy, że pewnego dnia Mik nie mógł się powstrzymać, aby nie powiedzieć, chociaż żałował banalności tego porównania: «To Klaudja, która oplakuje swój los».

Szymon roześmiał się i chwycił się rękami za głowę, aby spojrzeć na stół oczami czerwonymi i rozpalonemi.

Pewnej nocy gałąź, uniesiona przez burzę, zbiła szybę w pracowni, gdzie dwaj Gohelle'owie słuchali i rozróżniali wszystkie odgłosy. Wiatr wpadł do otworu, lampa wybuchła i zgasła.

Obadwaj mężczyźni niezgrabni, bo brał ich strach, szukali długo i gorączkowo zapalek.

— To jest niezrozumiałe!... Nie masz zapalek?...

— Nie... a jednak... Zdaje mi się, że zostawiłem pudełko na stole.

Mikołaj przesunął ręką po stole, przewrócił jakiś przedmiot, popchnął papiery i nic nie znalazł. Skierował się poomacku do swego pokoju w stanie niemocy nie do opisanego, przeszukał swe ubranie, wiszące na ścianie. Przy każdym zetknięciu z ubraniami drgał.

— Niema sposobu, aby zapalić lampę. A nie możemy zostać całą noc bez światła. Bez światła — powtórzył.

Nagle, przestraszony, ścisnął Szymona za rękę, tak że o mało co nie złamał mu jej, gdyż na dole w drzwiach kuchni, które wychodziły na ulicę, usłyszał wyraźnie małego foksa, mruczącego glucho na alarm, z palającymi oczami, z wyprężonemi członkami i sierścią najeżoną na grzbiecie.

Tłum. K. L.

BLAISE CENDRARS

(ur. 1887)

PRZYJAZD DO MOSKWY

Moskwa jest piękna, jak święta neapolitańska. Błękitne niebo odbija, przegląda, znaczący tysiączne wieże, dzwonnice, które się prostują, wyciągają, wspinają lub, opadając ciężko, rozszerzają się, pęcznieją, jak stalaktyty różnokolorowe w jasności dnia. Ulice, brukowane kociemi łbami, pełne są hałasu 100.000 dorożek, krążących dzień i noc; wąskie, proste, koliste, wciskają się pomiędzy fasady domów czerwonych, niebieskich, żółtych, aby nagle rozpostrzeć się przed jakąś kopułą, którą gromady krzykliwych wron smagają, jak nierządnicę. Wszystko ryczy, wszystko krzyczy, i roznosiciel wody, i wielki Tatar, handlarz starą odzieżą. Sklepy i kaplice wychodzą na chodnik. Małe staruszki sprzedają jabłka krymskie, gładkie, jak orzeszki galasowe. Jakiś zandarm brodaty opiera się na swej wielkiej szabli. Wszędzie chodzi się po skorupkach kasztanów i po trzeszczących miseczkach małych czarnych owoców jesionu. Kurz z odpadków krąży w powietrzu, jak bronzowe cząsteczki w wodce. Na placach z wielkimi zgrzytaniem kół krąży tramwaje koło piramid błyszczących «arbuzów», które nie są owocami arbuzów, lecz kawonami lub melonami. Wydziela się przykry odór zgnitej ryby, zaostrzony mdlą wonią podkładu płowej skóry. W dwa dni później śnieg pada. Wszystko się zaciera, wszystko gaśnie. Wszystko jest przyćmione. Sanki jeżdżą bez hałasu. Pada śnieg. Domy pozatykały otwory. Wieże i kościoły skryły się. Dzwony biją pod ziemią, zdają się być z drzewa. Skulony tłum porusza się inaczej, śpiesznie, prędko. Każdy przechodzień jest zabawką losu. Mróz jest jak powłoka smolna. Jest oślizgły. Napełnia usta terpentyną. Płuca są tłuste i odczuwa się ogromny głód. W każdym domu stoły uginają się pod ciężarem zapasów żywności: paszlety z kapustą, pachnące i złociste, buljony z cytryny ze śmietaną, zakąski wszystkich form i smaków, ryby wędzone, mięsa pieczone, pulardy z kwaskowatymi konfiturami, zwierzyzna, owoce, butelki alkoholu, chleb czarny, chleb żołnierski i kołacz z czystej pszenicy.

Wojna rosyjsko-japońska miała się ku końcowi; daly się słyszeć pierwsze zgrzyty rewolucji.

Siedząc u Filipowa, ujrzeliśmy, Moravagine i ja, pierwsze plamy krwi, pokrywające śnieg. Wyglądało to, jak wielkie kałuże koloru wina, w centrum miasta, wokół pałacu gubernatora i tam, gdzie śnieg topniał. Asystowaliśmy również przy pierwszych zamieszkach, bardzo daleko, w dzielnicy robotniczej, której nazwy zapo-

mniałem, za drogą żelazną do Smoleńska, i widzieliśmy sprowadzanych przez kozaków rannych studentów.

Wkrótce wybuchła rewolucja.

Wzięliśmy w niej bardzo czynny udział. Weszliśmy natychmiast w stosunki z komitetami z Genewy, Zurychu, Londynu i Paryża. Moravagine postawił ogromne kapitały do dyspozycji centralnej kasy partji S. R. Utrzymywaliśmy również anarchistów rosyjskich i międzynarodowych. Potajemne drukarnie zostały uruchomione w Polsce, na Litwie i w Besarabji. Paki dzienników, broszur, traktatów wysyłano we wszystkich kierunkach i rozdawano masowo w fabrykach, portach, koszarach przez żydków z Bundu, którzy byli na naszym żołdzie. Domagano się w nich powszechnego głosowania, wolności, braterstwa i wychwalano rewolucję socjalną i ostrą walkę klas. Dowodzone w nich naukowo legalności wywłaszczeń indywidualnych w każdej formie, kradzieży, morderstwa, wymuszenia oraz teroru socjalnego i ekonomicznego przez sabotaż fabryk, rabunek dóbr publicznych, zniszczenie dróg żelaznych i statków w portach. Było również kilka formulek fabrykacji bomb i dokładne przepisy obchodzenia się z maszynami piekielnymi. Składy broni zostały urządzone w Finlandji. Szalona propaganda była czyniona w wojsku w Mukdenie, Charbinie i wzdłuż całej Transsyberji. Bunt wybuchyły potrochu wszędzie, zamachy popełniano we wszystkich miastach ogromnego kraju, wyobraźnia tłumów została poruszona, we wszystkich ośrodkach przemysłowych zorganizowano strajki, pogromy pustoszyły miasta południowo-zachodnie. Reakcja zapowiadała się wszędzie strasznie i nielitościwie.

I taniec rozpoczął się.

My należeliśmy do jak najgoręcej zainteresowanych.

Nie będę tu odtwarzał historii tego ruchu rewolucyjnego, który trwał od r. 1904 (zamach przeciwko Plewemu) do r. 1908 (rozwiązanie 3-ej Dumy), ani wymieniał niezliczonej ilości popełnionych morderstw politycznych, rozruchów, buntów, zamętów, nieporządków, ani wspominał krwawych roczników reakcji, strzelaniny z mitraljez, masowego wieszania, wygnań, aresztowań, sekwestrów, ani przytaczał wszystkich wypadków teroru, zbiorowego szaleństwa na carskim dworze, w narodzie, w mieszczaństwie, ani opowiadał, dlaczego najgorliwsi zwolennicy Marji Spiridonowej lub bohaterskiego porucznika Schmitta stracili z oczu swe ideały rewolucyjne i odrodzenie socjalne, aby popełniać gromadą przestępstwa praw ogólnych, ani jak żywa młodzież intelektualna wzmocniła ciężką armję zbrodni. Wypadki te są jeszcze w pamięci wszystkich i odtąd stanowią część historii. Jeżeli mówię o kilku tragicznych epizodach i rysuję je na wzór wielkich obrazów, to aby dobrze podkreślić ewolucję Moravagine'a i lepiej przedstawić, jak odczuwał on otoczenie rosyjskie.

Epoka ta, która widziała chwiejącą się świętą Rosję i uginający się tron wszystkich carów, napiętnowała niezatartym śladem sto dwadzieścia milionów mieszkańców tego ogromnego państwa. Wypadki szalu i samobójstwa zdarzały się codziennie. Wszystko było w rozprzężeniu, instytucje, tradycje rodzinne, poczucie honoru. Ferment rozłamu, który brano za mistycyzm, zakradł się do wszystkich stanów społeczeństwa. Uczniowie i uczennice poniżej lat piętnastu oddawali się saninizmowi; prostytutki zrzeszały się, i na czele ich roszczeń figurowało prawo szacunku ludzkiego; żołnierze niepiśmienni zaczęli filozofować, a ich oficerowie dyskutowali nad rozkazami służbowymi. Na wsiach zaznaczała się rozwiążność obyczajów, i stary pień wiary rozgałęział się niespodziewanie i złośliwie. Popi i mnisi historyczni wychodzili z ludu, aby wznieść się aż na dwór; wioski całe chodziły w połowie nago, biczując się; nad Wolgą żydzi popełniali mordy rytualne, zarzynali na święta Wielkanocne nowonarodzonych ortodoksów. Dziwne zabobony azjatyckie rozprzestrzeniły się wśród ludności tak różnorodnej i przyjęły postać w formie praktyk potwornych i odrażających. Jakiś mężczyzna wypił menstruację, aby zjednać sobie serce płochy pokojówki; cesarzowa umazała sobie ręce kałem psa, aby natrzeć obszerne czoło księcia dziedzica, dotkniętego puchliną wodną głowy. Mężczyźni byli pederastami, kobiety lesbijkami, wszystkie pary praktykowały miłość platoniczną. Pragnienie użycia było nie do zaspokojenia. W miastach fasady domów wyglądały jak popękane od mnogości oświetlonych wejść do barów, lokali tanecznych i nocnych. Odwiedzając oddzielne gabinety i małe salony dużych restauracyj u Oursa,

Palkina, na Wyspach lub u Mojki, ministrowie pokryci orderami lub rewolucjoniści ostrzyżeni i studenci o długich włosach wymiotowali szampanem pomiędzy naczynia stołowe i zgwałcone kobiety.

Strzelanina grzmiała dokoła.

I znowu zasiadano do biesiady.

Jakie pole do obserwacji i doświadczeń dla uczonego. Z obu stron barykady, niezwykle czyny heroizmu i sadyzmu. W głębi więzień, w kazamatach cytafel, na drogach publicznych, w izbach spisku, w norze robotniczej, na przyjęciach w Carskiem Siole i na posiedzeniach Rady Wojennej, wszędzie spotykało się tylko potwory, istoty ludzkie zboczone, wyłączone z pośród żywych, o wyczerpanym systemie nerwowym: zawodowych terrorystów, duchownych agentów prowokatorów, młodą szlachtę krwiożerczą, katów niedoświadczonych i niezręcznych, oficerów policji, chorych ze strachu, gubernatorów, wycieńczonych przez gorączkę i bezsenność, którą wywołuje odpowiedzialność, książąt bez głosu z powodu wyrzutów sumienia, wielkich książąt poranionych. Warjatów, warjatów, warjatów, nizezemników, zdrajców, ogłupiałych, okrutnych, skrytych, oszustów, denuncjatorów, morderców. Warjatów szalonych, nieodpowiedzialnych. Jakiż obraz kliniczny i jakież pole do doświadczeń! I jeżeli nie mogłem z tego skorzystać, przepełniony zdarzeniami, pod wpływem Moravagine'a, długim szeregiem przygód, w które mnie wciągnął, życiem wśród tysiąca perypetyj, które mi kazał prowadzić, życiem aktywnem, działaniem bezpośrednim, które nic nie jest warte dla intelektualisty, nie pozbyłem się jednakże nigdy zimnej krwi uczonego ani mej ciekawości uważnej. Zresztą, ponieważ poświęciłem się całkowicie Moravagine'owi, jego widok jedynie wystarczał mi.

(Moravagine).

Tłum. K. L.

PAUL CLAUDEL

(ur. 1868)

ZAKŁADNIK (L'OTAGE)

Akt I (wyjątek ze sceny II)

(Sługa otworzył okiennice i widać teraz cały pokój. Wczesny ranek. Na dworze wicher i ulewa. Deszcz z siłą uderza w szyby. Wielkie gałęzie starych drzew, sięgających aż do okien, przyciemniają pokój. Chwilami słychać ostry zgrzyt zardzewiałej chorągiewki. Pies z najeżoną szerszycą leży przed drzwiami. Nagle część szaf bibliotecznych usuwa się, na chwilę ukazując otwór tajemnych drzwi. W głębi widać płomień świecy i róg ołtarza z mszałem. Wchodzi starzec w czarnej sutannie z białą piuszką na głowie).

Papież Pius: Synu mój, niech pokój będzie z tobą. To ja.

(Coüfontaine, który stał zamysłony przy oknie, żywo się odwraca i klęka przed starcem, który mu daje rękę do ucałowania)

Cftn.: *(Powstawszy)* Ojczy święty, jedzcie i pijcie. Droga była trudna i długa, a spoczynek Wasz przed mszą ranną krótki.

Papież: Jakiż chleb każesz mi pożywać?

Cftn.: Chleb z czystej mąki. Jesteś w chrześcijańskim domu.

Papież: Poznaję dawną wiość kościelną.

Cftn.: To jest opactwo cystersów w Coüfontaine, które ufundowali i żywili ojcowie moi.

Moja siostra stryjeczna Sygna kupiła je za dyspensą, gdy pałac w Dormant spłonął.

Kupiła je, aby uchronić od upadku i zachować dla prawowitych właścicieli.

Papież: To jest zapewne ta nabożna osoba, która dziś w nocy przystępowała do sakramentów świętych.

Cftn.: Ja zaś jestem wicehrabia Ulisses Agenor Jerzy de Coüfontaine i Dormant, namiestnik króla Ludwika na Szampanję i Lotaryngję.

Papież: Co oznacza ten gwałt? Dlaczego porwałeś mnie z więzienia?

Cftn.: (*Wyjmuje papier*) Rozkaz cesarski. Ja podjąłem się wykonania, bowiem gońcowi przeszkodziły pewne okoliczności.

Wykonałem to znakomicie. Moskwa daleko.

A taki podpis każdy uszanuje!

Przepustka na całe cesarstwo.

Śluchali mnie wszyscy, jakgdybym był wysłańcem niebios —

(*Oddaje papier papieżowi, który go czyta w milczeniu i oddaje zpowrotem*)

O własnych siłach wywiodłem Piotra z więzienia.

Papież: Dzięki ci składam, mój synu.

Cftn.: Jesteś tu, Ojczy, zupełnie bezpieczny. Nikt cię tu szukać nie będzie.

Ten dom stary dobrze jest ukryty w gąszczach lasów,

Istnieją tu przejścia tajemne przez zarośla,

Na trzy drogi i na dwie doliny, pełne kryjówek i przesmyków.

Przydały mi się one nieraz w tej wojnie, którą prowadzę.

Papież: Więc teraz jesteśmy twoim więźniem?

Cftn.: Tak jest, Ojczy święty. Jesteś w niewoli u swojego syna.

I powiem ci, jak Jakób, gdy dzierzył anioła:

Nie puszcze cię, aż mi pobłogosławisz.

Papież: Biedne dziecko. Wszak dobrze wiesz, że jesteśmy niebezpieczną zdo-
byczą.

Cftn.: Bóg sam cię zwraca królowi Francji.

Papież: (*Poważnie zwracając się ku krucyfikowi*)

Ave, domine Jesu!

Cftn.: Jest to krucyfik z pod Rheims. Sam król zdejmował przed nim kape-
łusz, gdy jechał na koronację.

Papież: Jakież wiadomości ze świata?

Żaden głos nie przenikał do nas, gdyśmy byli w więzieniu.

Cftn.: Uzurpator jest w Moskwie.

Na całej ziemi słychać jeno kroki armji na wszystkich drogach i turkot kół,
które się toczą ku wschodowi.

Mówią, że tam coś zaszło.

Miasta drewniane płoną, podobno odniesiono jakieś zwycięstwo. Europa stoi
pustką, i nikt nic nie mówi.

Świat cały pogrążony w oczekiwaniu, stoi jak człowiek przytłoczony brzemieniem.

Papież: Więc nawet w Moskwie cesarz znalazł czas, aby pomyśleć o mnie,
stareu bezsilnym.

Cftn.: Ludy wszystkie milczą, a Bóg mu przez ciebie zaprzeczy wszelkiej władzy.

Papież: O jakim forcie Joux mowa jest w tym liście?

Cftn.: Są to kazamaty, skąd się niełatwo wychodzi.

Papież: Spodobało się Bogu ocalić nas z ręki nieprzyjacielskiej.

Cftn.: A potem jakieś conclave pod grozą bagnetów.

Jakiś kardynał Fesch czy Mauvy, obrany na papieża,

Stałby się jałmużnikiem Wielkiego Cesarza.

Papież: (*podnosząc palec*) Na wszystkich drogach Judei byli opętani, którzy,
ujrzawszy Pana naszego, padali przed nim, płacząc i wołając.

I idąc za nim z obelgami, ciskali weń kamienie i nie przestawali powtarzać: Je-
zusie Nazareński, przeczeż nas prześladowiesz.

To samo od wieków już czynią ludzie bezbożni przeciw Namiestnikowi Chrystusa.

Niemasz pokoju między ludźmi. Odkąd On stanął między ludźmi jako zrabowany
właściciel,

Zawierają pomiędzy sobą jednodniowe umowy, które nazywają prawami, stowa-
rzyszeniami, konstytucjami, państwami, królestwami,

Według władzy swej jednodniowej, a której Bóg łaski nie używa,

I myślą, że powstrzymali pochod świata, kierując wszystko według swej samowoli.

A ponieważ nie wiedzą, jaka część należy mu się po sprawiedliwości, staje się, iż wpadają w gniew przeciwko Bogu,

Któremu należy się wszystko, a nie żadna część.

(Poważnie, zwracając się do Chrystusa)

Nagim jest, a nic nie posiada.

A chcieli go pojmać i uwięzić w wolnościach swych i prawach, ograniczeniach i konkordatach.

Muszę się poddać ich kaprysom, jak rybak na morzu, który nie może wybierać pogody.

Dla dobra owiec muszę trwać aż do ostateczności;

Cesarz dzisiejszy jest niby dziecko zepsute, któremu się sprzeciwiają.

Udaje pana, a nie wie, że jest tylko mojem biednem dzieckiem, jak tylu innych,

Ten Zwycięzca ludów, jak sam siebie nazywa, chce dziś okiełznać i zniewolić Boga, na swoją go przeciągnąć stronę, i bierze zastępcę Jego, jako Zakładnika.

Nie pojmuję, dlaczego spodobało się Wszechmocnemu wybrać sobie za zastępcę najslabszą w świecie istotę.

Jestem starcem, żywiącym się jedynie odrobiną miodu i ryby; jak jaki głupiutki księżyk, znam tylko swój katechizm.

I oto zabrano mi znów wszystko, co posiadam:

Mienie, należące mi z urzędu, winnicę Nabaota, dziedzictwo Piotrowe.

Nawet pierścień rybaka z naszego palca.

I znowu Zbawiciel stał się bezdomnym, jak w czasach Galilei. I w domu własnym jest jak więzien lub zgoła ktoś niepotrzebny.

A żywot mój tli się ledwie, jakobym był wraz z Chrystusem na trzy dni po-grzebion.

(Gwałtowny pęd wiatru uderza w dom. Wycie i gwizd. Płachta wody zalewa wszystkie cztery okna. Papież drży i mocniej otula się w płaszc, oglądając się z przerażeniem).

Cftn.: Tak, to nie słońce Tivoli, nie wietrzyk z gór Ibińskich.

Papież: Jak straszno jest mieszkać w tym domu samotnej kobiecie.

Cftn.: Ma dach nad głową i ziemię ojczyzną pod stopami. Czegóż potrzebuje jeszcze?

Niech mi nieba pozwolą, abym miał zawsze dach podczas sloty i dobre błoto mej ojczyzny na butach.

Ta wielka wrześnieowa ulewa wymiata pola po żniwach i zmiękcza ziemię pod orkę.

(Nowe uderzenie wichru)

Papież: «Proście, aby ucieczka wasza nie była w zimie albo w czas Sabatu».

Cftn.: *(Wspominając)* Przypomina mi to musony w Pondicherry, które nas uwolniły od angielskich fregat.

Papież: Gdzie są dawni właściciele tego domu?

Cftn.: Nie opuścili go, nie przełamali kraty zakonnej. Leżą spokojnie jeden przy drugim w ogrodzie klasztornym. Sześciu kapłanów, ośmiu nowicjuszków i dwunastu braci służących.

Opat pośrodku, przeor po prawicy jego, a inni kolejno, tak jak przyjęli męczeństwo.

Stało się to dzięki memu bratu mlecznemu, który był ich dawnym nowicjuszem.

W roku pańskim tysięcznym siedemsetnym dziewięćdziesiątym trzecim.

Przewodził ich kaźni Toussaint Turelure, syn drwala i znachora Turelure'a, dzisiejszy baron cesarstwa i prefekt departamentu Marny: do jego prefektury właśnie wprowadziłem Waszą Świątobliwość.

Papież: Pomodlimy się nad relikwjami tych świętych męczenników.

(Pies podnosi głowę i staje w oknie)

Cftn.: Pójdiesz, pójdiesz, Sylla!

Co się tam stało, ekspsie? Czy to na dźwięk imienia mego brata Toussainta pokazujesz w milczeniu wszystkie zęby?

Czyż może kto przyjechać podczas takiej ulewy?

(*Nasłuchuje, pies opada na cztery łapy*)

(*Pokazuje nakryty stół*) Pożywajcie, Ojczyce święte.

(*Papież siada przy stole, Coûfontaine, pełen uszanowania, stoi obok i usługuje mu. Pies położył się znowu w kącie.*)

Cftn.: Tak, to ponury pies. Nie należy z nim igrzać. Nauczył się ode mnie milczeć. Spędziliśmy razem wiele dni i wiele nocy. Czasem nawet zegarek zatrzymywałem, gdyż nadto hałasował. Czailiśmy się gdzieś w jakimś niepewnym zakątku, w jakimś czarnym alkierzyku. I czułem przy sobie to tylko ciało zwierzęcia, tę biedną ślepą wierność. Stawałem się potrosze psem, jak on stawał się arystokratą.

(*Pauza*)

Znamy dobrze nieustanne niebezpieczeństwo.

(*Marzy*)

Wówczas dopiero pojąłem duszę mych przodków, panów możnych na opolach i grodach merowińskich. Żyli na nędznej roli, niszczonej przez dziki i króliki, zasiewając skrawek czarnej ziemi, niedawno wykarczowanej, świeżej jak chleb, z pieca dopiero wyjęty. Żyli jak drapieżna ryba w swej wodnej norze, jak pajak w lepkiej pajęczynie.

Nasłuchiwali i we dnie, i w nocy, czekając na ludzi i na zwierzęta, kryjąc się w listowiu, pomieszanem z mgłą,

Która im przynosiła zapachy i dźwięki, subtelna i czuła jak woda.

Papież: (*skończywszy jeść, podnosi się i żegna się*)

— Deo gratias. Dzięki ci składam, synu, za posiłek.

Cftn.: Skromne to przyjęcie dla największego króla ziemi.

Tyle tylko, że daleko stąd do pana hrabiego de Chabrol i do szlachetnego Borghesa i do chrześcijańskiego Portalisa.

Wasza Świątobliwość ma zapewniony spokój na kilka dni.

Papież: Gdzie mnie chcesz stąd zaprowadzić?

Cftn.: Do Anglii, gdzie się znajduje król Francji.

Papież: Dziecię moje, skrzywdzisz papieża, wydając go w ręce heretyków.

Cftn.: Wszak dla heretyków tu przybyłeś.

Papież: Istotnie. Nie mogę stronić od mych dzieci.

Cftn.: Ale więzienie cię od nich na nowo ocali.

Papież: Gdzie jest krzyż, tam jest i kościół.

Cftn.: Gdy pojedziesz ze mną, będziesz wolny.

Papież: Nie chcę być wolnym między umarłymi.

Cftn.: Gdziekolwiek cię powiodę, spotkasz się z Cezarem.

Papież: Tam go nie spotkam, gdzie przebywa Piotr, na którego kościach ja jestem opoką.

Cftn.: Czy rozumiesz przez to Rzym?

Ależ tam miejsce twoje zajął prefekt.

Papież: Na ziemi, ale nie pod ziemią. Tam będę czekał. Na nowo katakumby podejmą zbawienie wszystkich ludzi.

Trzy wieki czekał w nich Kościół. Ja mogę poczekać trzy dni wraz z Chrystusem.

Cftn.: Rzym minął, odnajdź świat.

Papież: Gdzie jest opoka, tam jest Piotr.

Cftn.: I Piotr w swej starości miał ręce związane, i prowadzono go tam, dokąd iść nie chciał.

Papież: Synu mój, oto są ręce nasze. Błogosławiony niech będzie, który idzie w imię Pańskie.

Cftn.: Nie potrzeba ulegać gwałtom, gdy miłość cię wzywa gdzie indziej.

Papież: Świat mnie chce oddzielić od Kościoła, którego jestem nierozłącznym małżonkiem.

Cftn.: Czyż opoka ma być fundamentem Cezara?

Papież: Wszak o nią rozbili się stopy dwulicowego bożyszczka.

Cftn.: Ojcie, z nami jesteś czy przeciwko nam?

Papież: Pytanie, które często słyszałem w Sawonie.

Cftn.: Lecz my ufamy, a gdzież jest nasza nagroda?

Papież: Synu pierworodny, cóż ci mamy dać?

Zabrał nam wszystko Syn Marnotrawny.

Cftn.: Zaprawdę, musiał ci wzrok z wiekiem stępieć, skoroś pobłogosławił kozła zamiast owieczki.

Papież: Mogłem pomazać to czoło, skoro nawet Judasz całował stopy Chrystusa.

Cftn.: Ojcie święty, pozwól mi mówić, wysłuchaj mnie, skoro już jesteś u mnie i w mojej władzy, Namiestniku Chrystusowy.

Mówię ci jak młodzieniec, raz w rok na spowiedzi mówiący,

A zresztą wszak do nas wszystkich należysz.

Jedna zbląkana owieczka znaczy dla ciebie tyle, co wszystkie inne.

Nie powiem, że się codziennie spowiadam: życie moje w niczem nie jest podobne do życia siostrzyczki zakonnej. Gdy król powróci, wtedy nadejdzie czas szat godowych.

— Dlaczego gorszysz nas, jak Bóg gorszy?

On poniża dobrych, a wywyższa złych. Takie już są drogi Jego Opatrzności. Ludzkie słowa tu nic nie pomogą.

Ale ty jesteś człowiekiem. Możesz mówić, a milczysz.

Kogóż więc mamy pytać?

Czyż to, co dla nas jest złem i dobrem, innem jest dla papieża?

Powodzenie nie może uświęcić uzurpatorstwa tego człowieka.

A wszak On zabrał Rzym tobie, jak Francję jej królowi.

Papież: Świat może istnieć bez króla, ale nie może istnieć bez papieża.

Cftn.: Ale czyż może istnieć bez prawa? I czyż istnieje tylko prawo własności?

Papież: Cokolwiek człowiek posiada, posiada od Boga.

Cftn.: Jednakże święte jest jego prawo posiadania. Być i mieć są pierwszymi słowami, z których wszystkie inne powstały.

To, co stanowi przedmiot posiadania, nazywa się nawet dobrami.

Cokolwiek człowiek posiada, posiada to od Boga, lecz władza tem całkowicie.

Bóg podarował wszystkie rzeczy człowiekowi,

Stworzywszy je dla człowieka, który jest ich treścią i sensem.

Istnienie bez człowieka równa się dla nich nieistnieniu.

Lecz kto nie umie zachować swego mienia, niech mu je inni odbiorą.

Papież: Jak ten przybysz obcy, który zasiadł na tronie opuszczonym.

Cftn.: Nie zasiadł, nie! Stoi i czuwa niespokojnie. Ojcie Święty, nie przeciw człowiekowi żądam od ciebie piorunów,

Lecz przeciw całej naturze tych nowych praw,

Które stanowią to tylko, co człowiek ma posiadać, a czego nie ma posiadać.

Znasz wszak tę okropną naukę,

Iż każdy z natury ma prawo równe,

Tak, iż przywilej jednych jest krzywdą innych.

Wtedy nie pozostanie wszak nic do oddania, nic z dobrej woli płynącego w stóskach ludzkich.

Czyż i to również podoba się Bogu?

Papież: Czyż poto rzuciłeś się na biednego starca, jak orzeł, aby mu zadać pytania?

Cftn.: Odpowiedz mi, odpowiedz! ty, który masz władzę rozwiązywania. Trudno jest w ciemności pełnić swe obowiązki.

Tłum. Jarosław Iwaszkiewicz.

ADOLPHE LACUZON

(ur. 1870)

Z POEMATU «WIECZNOŚĆ»

Czarne niebo pograża się w morzu. Zeń bezдно
 Wzrastających ciemności, strachu, w krąg wyziera,
 Bolesnym krzykiem świata jęcząc w noc bezgwiezdną;
 A morze ciągle wzbiera, opada — i wzbiera...

Bowiem burza nadchodzi, wzdyma się, rwie trzewia,
 W nagromadzonych nocy wściekłościach wezbrane,
 Chloszcząc, wyjąc, rozrzuca opętań zarzewia,
 Wznosi fale, co szumią, orkanem smagane.

* * *

Zaś ty oto u moich ramion, zdjęta trwogą,
 Na ten jęk wód bezmiernych, huczących w wszechświecie
 Krzykiem, co zmysły pojąć go nie mogą,
 Daj mi dłoń swą złęknioną — daj dłoń, słodkie dziecię.

Wytrwaj tak, choć twe czoło smaga wichr szalony,
 W silnym ramion uścisku do mnie przytulona,
 Mimo trwogi, posłuchaj, jak od morza strony
 Rozwija się dramatu boleść niezmiernona.

Posłuchaj, jako biją wśród ryku balwany,
 Huragan wyje w szlochań jęku, przy poświęście
 Ponurych brzegów skalnych, szalem opętany,
 Ponad fale, pędzące z szumem, potoczą się.

Błyskawica; nieboskłon rozwiera się, zwierza,
 Potem nagle wśród trzasku, odgłosem tysiąca,
 Piorun mroki zgęszczone rozwala, rozpiera,
 Targając przestwór w strzępy zamętu bez końca.

Niebo, hukiem wstrząśnięte, roztwiera się z grzmotem
 Wśród błyskawic, tworzących w ciemności szczeliny;
 Przy świetle szpar ognistych, pędzące z loskotem
 Pokazują się białych fal spienione śliny.

Grunt zadrzał pod stopami; złom skały przed nami,
 Podmulony przez wodę, runął z usypiska;
 Tyś, w obłędzie, do rąk mych przyłgnęła ustami;
 Słów brak mi już, napróżno dłoń ma twoją ścisła.

Przestrach nieokreślony roztacza się wszędzie,
 Wznosi się jęk zwątpienia z umęczonej ziemi,
 A my nie wiemy więcej, bezsilni w obłędzie,
 Czy morze tak belkoce, czy bezmiar przestrzeni.

* * *

Wiaro ma, co królujesz nad mojem marzeniem,
 Iż o tobie swą duszę rozpalam rozmową,
 Idąc w drodze za tobą przejasnym promieniem,
 Jam ujrzał, jakeś zbladła w tę noc piorunową.

Fale w potężnym bólu pojęków drżą tonem,
A myśmy tak w obliczu morza szlochań stali
Przerażeni, bez słowa, ze sercem stłumionem,
Pełnem burzy odgłosów, bezsilni i mali.

Wtem nagły promień twoje przemienił oblicze,
I stałaś mi, jak jakaś nadziemski istota,
W swym blasku ocz, co przez te ciemności zwodnicze
Jaśniały jako z innych światów gwiazda złota.

Piers naszą bez oddechu wstrząsał dreszcz nieznany
W mocniejszym ramion splocie, w łęku, co mózg wierci;
Tak z przestachu, że przyjść ma ktoś oczekiwany,
Wspólna ufność się wzmogła znów w obliczu śmierci.

Śmierci, przez którą miłość włada w sercu świata,
Odkupicielki grzechu, jakim jutro dzwoni,
Gdyż w godzinę przestachu, gdy bicz jej polata,
Ludzie łączą się wspólnie, lepsi, dłoń we dłoni.

Śmierci, groźnej władczyni niezłomnych wyroków,
Co ciemną rządzi nocą, gdy świtu konanie,
Rozkazem unicestwień, potopem obłoków,
Co sprawia, że się budzi świt ponad otchłanie.

— Zdała głos szedł ponury; fala rozgniewana
Ziała na nas z przepaści swe wody wzburzone;
Przeto zginąć gotowi, zgięliśmy kolana,
Gdy przed wzrokiem, błędzącym w tajemniczą stronę,

Czarny orkan, jak podmuch, siewca ukojenia,
Bo na ustach modlitwę rozżarzył nam błogą,
Odstonił nam bezkresność nadziei, zbawienia,
W gwiazdę jedną złączone z przestachem i trwożą!...

* * *

Morze ciągle szumiło, a myśmy wznosili
Doń modły, kiedy w duszach, jako świt różowy,
W słodyczy i pokoju, o którymśmy śnili,
Miłość z życiem wiecznym wiodła swe rozmowy.

Tłum. Józef Gluziński.

ANNA DE NOAILLES

(ur. 1876)

GŁOS Z MROKÓW

Ja dla was swe książki piszę, moi młodzi,
I pozostawiam w nich,
Jak dziecię, co ust swych siłą w owoc godzi,
Ślad trwały zębów mych.

Opuszczam dłonie, nad książką splecione,
I głowę chyląc swą,
Łzy leję; tak czynię, jak burze szalone,
Co drzewa deszczem tną.

Zostawiam w jej cieniu zgorzkniałym swe żale,
 Twarz swoją, oczu toń,
 Z niej duszę mą w wiecznym płomieniu i szale
 Rozwlecze wasza dłoń.

Zostawiam wam promień słoneczny mej twarzy
 I miljon jego strzał,
 Serce, co choć słabe, słodyczą swą darzy,
 By tylko kto je chciał...

Zostawiam wam ono serce, jego dzieje,
 Tę słodycz, miękkość lnu,
 Lic zorzę, noc ciemną, co z włosów mych wieje,
 Jak niebo, chmurą snu.

Patrzcie, jako idzie w swej szacie przelichy
 Ten Los mój pod wasz próg.
 Toż nędzarz, co błądzi tam, gdzie piasek cichy
 Nie ma tak bosych nóg.

Zostawiam wam róże, ogródek kochany,
 W zieleni zdobny strój,
 W pamięci mej wieczny — i smutek nieznanym,
 Bez końca smutek mój.

Tłum. Józef Gluziński.

MŁODOŚĆ

Wszak kiedyś precz odejdiesz, Młodości, ode mnie,
 Odejdiesz, w swoich dłoniach niosąc Miłowanie,
 Pójdiesz; cierpieć i płakać będę nadaremnie,
 Póki z ciebie już więcej nic nie pozostanie.

Głosem, pełnym ciemności, w oczach, pełnych jęku,
 Byś wróciła, swym krzykiem dawać będę znaki,
 Aż, by więcej nie słuchać prośby w sposób taki,
 Śmierć uciszy zmęczone serce w swoim ręku.

Ach, Miłości ty smutna, piękna, czyż możliwe,
 Kiedy ciebie serdecznie tak umiłowano,
 Aby znowu wdał drogą iść, mrokiem uslaną,
 Gdzie stopy twe zamilkną i oczy twe żywe?

I bez ciebie znów witać tchnień wiosenne rano,
 Te marcowe niedziele, dźwięczne harmoniki,
 Tłum szczęśliwy, pogodę dnia, gwary i krzyki,
 Pieśni o tem, co Solda mówi do Tristana.

Bez ciebie jeszcze słuchać wozów obciążonych,
 Pociągów, przed odjazdem żegnań wśród podniety,
 Jak w tych czasach młodzieńczych, obfitych w sekrety,
 Gdzie życie drgało śmiechem w twych oczach zmrużonych.

I bez ciebie, Miłości, znów z tęsknotą szczerą
 Słuchać morza, jak falę na stromy brzeg kładzie,

Tak podobny onemu, co w jasnej Helladzie
Przebiegali Leander z nadobną swą Hero.

Wpśród cedrów, bez ciebie, w mleczną noc wysnioną
Siedzieć, znów się upajać, chłonąc rozkosz wschodu,
I cierpieć, wywoławszy z przeszłości pochodną
Czuły uścisk miłosny Fedrusa z Hermioną.

Bez ciebie czytać, życiu własnemu na wzgardę,
W czasie, gdy upał ziemię z ziół i trawy łuska,
Tę książkę, gdzie szlachetna Kasandra francuska,
Na sławy puchach leżąc, śmieje się z Ronsardem.

A gdy jesień czerwona obnaża grabiny,
Kędy Russo z kochanką z wieczora siedzieli,
To postarzyć się, mruczając, z przędzą przy kądzieli
Gniewać się i uroki ciskać na dziewczyny.

— Ach! Młodości, czas przyjdzie, że dzień twój przemienie,
A gdy pójdziesz i płacz twój, śmiechy, słodkie lata,
Twe kwiaty, Miłość, twe uciechy — co za strata
Dla tych, co tego pragnęli jedynieli...

Thum. Józef Gluziński.

CHARLES VILDRAC

(ur. 1882)

GDYBY CHOWANO...

Gdyby chowano, od lat, od lat,
gdyby chowano, wiotkie, woniejące,
włosy tych wszystkich kobiet, co umarły,
włosy tych wszystkich, jasne, włosy lśniące,
grzywy jak noc, sploty jako słońce,
i one, żółtkie, jako liść, co padł,
gdyby chowano tak od długich lat,
by koniec z końcem, przędzon w żagle tkane,
nad falą płynął mórz,
byłoby tyle nad powierzchnią mórz
włosów przejasnych, złotych złotem zbóż,
i tych, jak noce, bez gwiazd, nieprzejrzane,
że z onych włosów, co w żagle utkane,
mnogością w słońcu lśnią wśród wodnych stref,
czułyby ptaki szare z ponad mórz,
wielkie gromady niezliczonych mew,
jako się kładą w ich piór uskrzydlenia
z tych wszystkich włosów pocałowań technienia,
i takie kto kiedy ust w nie złożył technienia,
zwolnione teraz, przez burz morskich wiew...

Gdyby chowano, od lat, od lat,
gdyby chowano, wiotkie, woniejące,
włosy tych wszystkich kobiet, co umarły,
grzywy jak noc, sploty jako słońce,
i one żółtkie, jako liść, co padł,

gdyby chowano tak od długich lat,
 by koniec z końcem, ukręcony w sznury,
 mógł być przyczepion
 w łańcuch do ramion tych, co uwięzieni,
 iżby tak długo mogli iść, zwolnieni,
 jak długie sznury,
 byłby tak długi zwój z włosiennych lnów,
 że, rozwijając od więziennych krat,
 wszyscy zamknięci, wszyscy uwięzieni
 mogliby znów
 zajść do swoich chat.

A gdyby Kloto przy swojej kądzieli,
 miał przętać krótką mego życia nić,
 jąła te wszystkie długie włosy wić,
 kąpane w słońcu lub w rdzawej kąpieli,
 jak kruki lśniące,
 lub srebrne srebrem, by brzozy płaczące,
 gdyby tak Kloto przędła przy kądzieli
 włosy tych wszystkich kobiet, co umarły,
 tak byłbym stary, opuszczon i sam,
 że mi nie dojrzeć z szczytu ziemskich bram;
 o, ciężki, ciężki od zgryzot, co żarły
 każdy ten włos,
 Śmiercibym wtedy wołał! — tężąc głos!...

Tłum. Józef Gluziński.

PRZY BUTELCE

Pod pozorem, że pić chcą, zasiedli za stołem;
 Obaj wsparci na łokciach, przechyleni w bok;
 Krzyżują swoje słowa, krzyżują swój wzrok,
 Śmieją się im lica, śmieje się ich wzrok
 W górze ponad stołem,
 Gdy ciekawe powieści prawią sobie społem.

Szczęśliwi są, zaprawdę, obaj w chwilę taką;
 Szczęśliwi są, zaprawdę, że obaj są razem.
 Wszelakol!...

Wszelako,
 Gdyby jutro tak mieli przejść przez wrota bram,
 Gdzieby obaj nie mogli przecisnąć się wraz,
 Gdzieby jeden, a za nim drugi musiał iść,
 Wstrzymaliby się jeszcze przed wrotami wczas,
 By zmarszczyć swoje czoło, niechby chociaż raz,
 By rzucić na się wzajem drapieżny swój wzrok,
 By zezem spojrzeć w stronę, gdzie są wrota bram.

Jako psy, które mają między sobą kość,
 Co ją z wyciem chrapliwie wzajem wydzieraj
 Tacy byłiby jutro lub dziś, kiedy społem,
 Pod pozorem, że pić chcą, zasiedli za stołem.

* * *

To jest prawda i smutny to jest dla nich znak,
Ale o tem mówić nie należał
Trzeba raczej tak:

Ci dwaj ludzie, co się śmieją,
Mogliby się bić zawzięcie,
I w potrzebie
Tysiąc przyczyn wyluszczyć ze siebie,
Och, toż one wszak istnieją, wszak czekają!
Toż je wybrać tylko trzeba, tylko trzeba wziąć!

Ale nie:
Tam w ich sercach u każdego
Drzemie troska wynurzań, czułości,
I w chwili własnych zmagai, jako ludzie prości,
Gdy nędza życia puka do serca biednego,
Oto, jak wtedy razem śmieją się oczyma,
Oto, jak po ramionach klepią się nawzajem,
Oto, jak bez podejrzeń, tak jeden, jak drugi,
Częstują się i piją, usiadłszy za stołem,
ciekawe powieści prawią sobie społem.

Tłum. Józef Gluziński.

RICCIOTTO CANUDO

(1879—1923)

WARDAR

Pieśń XXVI. Droga

DROGA. Myśl wyteżona wdał.
— Kto kroczy opieszale? —
DROGA, to wyraz woli
na krajobrazie stężały.
Dla źródeł energii otwarty wielki kanał.
DROGA. Myśl wyteżona wdał.

I jak krajobraz, DROGA z sobą łączy
rzeczy dalekie; tu, kraj i zakątek.
Jest rozmach w DRODZE, jak rozmach w krajobrazie.
Bo każdy widok, to jest poemat
słaby lub silny. Fuzja
form i kolorów
w jedną wizję.
Ze swoim łóżem z kamyków i błot,
DROGA jest tam, biała, różowa lub szara,
myśl władcza wszelkiej wymiany.

Od tyłu już dni na wojnie naszej przemierzamy DROGI.
Człek sili się, aż z trudem znów je odrobi.
Lecz nieprzyjazna jest nam ziemia tu. Ziemia
druzgoce się, gdy nasze dudnią kolumny,
i zdradza nas bez przerwy.
I znów rozpoczynamy, dobre albo złe
DROGI, bo one nad wojną ludzi panują.
Czołgamy się przez dęby karłowate. Potem
rozciągamy ścieżki, a potem już DROGI.

I po nich można gnać ludzkie ciało wpierw
i wózki z amunicją
dla głodnych potworów ze stali, co suną,
i konwój bryczek dla naszego głodu.

Odkąd rozciągnięto DROGĘ,
cały przejazd wglębia się myślą w jej treść.
Z niej wzrasta zarys świątyni
i obręb czei dla panowania
Rzeczy Świętej:
powodzi
RZEKI LUDZKIEJ, KTÓRA PRZECHODZI.
Wzwyż!

Tłum. Józef Gluziński.

GUILLAUME APOLLINAIRE

(1880—1918)

POCISK

Pierścień włosów twego karku to skarb mój najdroższy
Myśl moja z twą się spawa i twa się z nią splata
Piersi twe to jedyne pociski dla mnie ukochane
Twa pamięć to sygnał rozpoznawczy w oznaczaniu nocy

Widząc szerokie krzyże konia myślałem o twych biodrach

Oto piechota która się cofa czytając gazetę

Pies patrolu sanitarnego powraca z fajką w pysku

Puszczyk skrzydła płowe oczy zamglone pysk kociaka łapki kota

Mysz zielona pędzi pomiędzy mchami

Spalił się ryż w rynience kwaterunku
To znaczy na baczności trzeba mieć się zewsząd

Megafon ryczy
Przedłużcie ogień obstrzału

Przedłużcie ogień miłość waszych baterij

Chybotanie ciężkich baterij cymbały
Wstrząsane szalonym cherubinem miłości
Na cześć Boga uzbrojonych

Oblupione drzewo na wzgórzu

Hałas traktorów pelzających w dolinie

O stary świecie XIX wieku pełny wysokich kominów tak pięknych i czystych
Wszystkie męskości wieku w którym żyjemy
O działa

Wybuchające łuski pocisków 75
Bijcie w dzwony pobożnie

(Lueurs de Tirs.)

Tłum. Józef Gluziński.

STREFA

Nakońcu już ci obrzydły wszystkie stare światy

Pasterko wieżo Eiffla trzoda mostów beczy z rana

Dosyć już żyłaś w dawności Rzymu i Hellady

Tu starożytny wiek udają nawet auta

Religja tylko została religja całkiem świeża

Została prosta jak na lotnisku hangarowa wieża

Tylko w Europie nie jesteś stary o chrystjaniźmie

Całkiem nowoczesny jesteś ty Piusie X papieżu

Z Ciebie którego śledzą okna wstydlivość gada

Byś nie wszedł do kościoła rano się spowiadać

Czytasz prospekty katalogi afisze które śpiewają wysoko

Oto poezja z rana dla prozy zaś nad dziennikiem oko

Są książeczki po 25 centimów pełne policyjnych zdarzeń

Portrety wielkich ludzi tysiąc tytułów i wyrażań

Widziałem dziś rano ulicę której nazwy zapomniałem wątką

Nowa i czysta w słońcu lśniła jako trąbka

Dyrektorzy robotnicy i piękne steno-maszynistki

Od poniedziałku rano do soboty wieczór czterykroć tędy śpieszą wszyscy

Z rana trzy razy w niej syreny wycie się rozlega

W niej wścickły dzwonek na południe szczeka

Napisy mury pouczenia obrazki

Afisze ostrzeżenia jako papug wrzaski

Lubię łaskę tej ulicy ten fabryczny teren

Położony w Paryżu między ulicą Aumont-Thiéville i aleją Ternes

Oto młoda ulica ty zaś jesteś małe dziecko

Matka cię nie ubiera inaczej jak na biało i niebiesko

Ty jesteś bardzo pobożny i z Twoim dawnym przyjacielem René Dalize

Lubicie tylko uroczystości msze kościoły krzyże

Jest dziewiąta gaz opadł błękitny pokrywomiu idziecie z sypialni

Modlicie się noc całą w kaplicy kolegjalnej

Podczas gdy wieczna uwielbiona głębia ametystu

Toczy płomienną chwałę nad głową gdzie Chrystus

To piękna lilja którą wszyscy czcimy

To pochodnia rudych włosów której wicher nie stłum

To syn błądy i różowy matki bolejącej

To drzewo modlitwami w krąg obradzające

To podwójna moc potęga cnoty i wieczności

To gwiazda która w ramion sześć się dzieli

To Bóg co w piątek umiera i wskrzesza się każdej niedzieli

To Chrystus który wznosi się w niebo lepiej niż awiatorzy

On rekordem wysokości wszystkie światy mierzy

Chrystus źrenicę oka

Dwudziestą źrenicę wieków wie jak stworzyć

Zmieniony w ptaka ten wiek jak Jezus wzlata do przestworzy

Djabł z czeluści by go dojrzeć łeb wzmaga

Mówi że on naśladowuje Szymona judejczyka Maga

Pyta czy umie latać by go nazwano awiatorem

Anioły woltyżują wokół pięknego woltyżera kołem

Ikar Enoch Apollonijusz z Tiany
 Wokół pierwszego trzepocą aeroplany
 Niekiedy wymijają się by przepuścić tych którzy wiozą Świętą-Eucharystję
 Tych kapłanów co wznoszą się wiecznie wywyższając hostję
 Samolot wkońcu osiada nie zwijając skrzydeł kabłąka
 Niebo napęlnia się miljonem pośpiewów skowronka
 Na ciąg skrzydeł zlatują kruki sokoly i sowy
 Z Afryki lecą ibisy flamingi marabuty wielkogłowy
 Ptak — rok sławiony przez poetów i bajkarzy
 Ślizgiem spada trzymając czaszkę z Adamowej twarzy
 Głębi się z niebios orzeł wydający krzyki
 Małeńki koliberek zdąża z Ameryki
 Z Chin przybyły długie i wiotkie pihisy
 Co po jednym skrzydle mając parkami w locie zawisły
 Oto wreszcie gołabek duch niepokałany
 Co go wiodą ptak-lira i paw cętkowany
 Feniks ów korzeń co sam sobie jest płodności siemię
 Przez chwilę skrywa wszystko w popielne swe płomienie
 Syreny opuszczając głębokie zatoki
 Wszystkie trzy przybywają z pieśnią pod obłoki
 I wszystkie orły feniksy i pihisy z Chin
 Bratają się ze stukiem latających maszyn

A teraz ty krocysz po Paryżu sam jeden wśród tłumu
 Trzody autobusów beczących obok ciebie suną
 Głód miłości uciska tve gardło
 Jakby już imię miłości na wieki się zatarło
 Gdybyś żył w dawnych czasach wstąpiłbyś do zakonu
 Wstydzicie się gdy zamierzacie pomodlić się w domu
 Jak ogień piekła śmiech cię pali urągasz sam z siebie
 Gwiazdy twojego śmiechu błyszcą na życia twej glebie
 To obraz zawieszony w muzealnym mroku
 Niekiedy zbliżasz się doń oglądasz go wokół

Dzisiaj krocysz w Paryżu kobiety są krwią zbroczone
 To było chciałbym o tem zapomnieć to gdy piękność odeszła w minione

Owita żarliwym płomieniem Notre-Dame patrzała na mnie z Chartres
 Krew waszej Sacré Coeur zatopila mię w Montmartre
 Jestem chory ze słyszenia słów szczęśliwych
 Miłość na którą cierpię jest męką haniebliwą
 A obraz który cię posiada on czyni że cierpisz bezsenność i konanie
 Wszędy ten obraz z tobą gdzie będziesz zostanie

Teraz ty jesteś na brzegu Śródziemnego morza
 Pod cytrynami gdzie kwiat przez cały rok się załaza
 Z przyjaciółmi bierzecie na przejażdżkę barcę
 Jeden to Nissard jest i Mentończyk i dwa Turbiaski
 Z przerażeniem widzimy polipa co macki swe rozściela
 Wśród alg pływają ryby obrazy Zbawiciela

Jesteś w gospodzie w okolicy Pragi
 Jesteś szczęśliw róża na stole rozwija swe płatki
 A ty miast pisać śledzisz twego rachunku prozę
 Kwaciarkę która uśpiona jest w sercu róży
 Przerażony ujrzałeś się w rysunku świętego Wita

Byłeś smutny że miałeś umrzeć w dniu gdyś sam z sobą się witał
Podobny jesteś do Łazarza którego boleść siecze
Wskazówki wieży dzielnicy żydowskiej idą nawstecz
I ty również powoli cofasz się w twym bycie
Wstępując na Hradczyn a wieczór podsluchujesz skrycie
W tawernie czeskich pieśni wyspiewanych tonów

A oto jesteś w Marsylji w pośrodku kawonów

A otoś w Koblencji w hotelu Gigantów

A otoś w Rzymie pod kwiatem nespliku Japonji

A otoś w Amsterdamie z dziewczyną dla ciebie piękną choć ma oblicze pomięte
Ona ma połączyć się małżeństwem z ledejskim studentem
Tu się wynajmuje pokoje po łacinie Cubicula locanda
Przypominam sobie tu byłem trzy dni a także w Gandawie

Jesteś w Paryżu u sędziego w śledztwie
Jako zbrodniarza zatrzymują cię w areszcie
Bolesne i radosne podróże czyniłeś ty człeku
Zanimieś się spostrzegł o kłamstwie i wieku
Cierpiałeś z miłości w dwudziestym i trzydziestym roku
Żyłem jak głupi i straciłem życia mego spokój
Nie umiem więcej patrzeć na twe ręce i ciągle płacz mię rozmarza
Nad tobą nad tą którą kocham i nad tem wszystkim co ciebie przeraża

Widzisz jak do ócz biednych emigrantów lży się garną
Wierzą oni w Boga modlą się kobiety swe dzieci mlekiem karmią
Napelniają swoją wonią halę dworca Saint-Lazare
Wierzą w swą gwiazdę jak trzej króle przychodzący z darem
Mają nadzieję że zdobędą majątki w Argentynie
I że powrócą do swych krajów zdobywszy fortunę
Rodzina niesie pierzynę różową jak wy niesiecie wasze serca rozciągalne
Ta pierzyna i wasze sny są także nierealne
Niektórzy z emigrantów zostają tu na stale
Zamieszkując w ulicy des Rosiers lub des Écouffes alkierzyki małe
Widziałem ich często wieczorem jak się wietrzyli w ulicy
I rzadka się ustawiają jak pionki szachownicy
A zwłaszcza są tu Żydzi ich żony noszą peruki
Siedzą one bezkrwiste u sprzedażnej budki

Stoisz przed ladą hultajskiego baru
Za dwa grosze kawę pijesz wśród biednych wśród gwaru

Ty jesteś w nocy w wielkiej restauracji

Te panie są grzeczne mają troski wszelako
Każda nawet najbrzydza zadręczyła kochanka
Ona jest córką sierżanta z miasta Jersey

Skóra na jej rękach których nigdy nie widziałem jest twarda spękana
Wielce współczuję ze skórą jego brzucha co była zaszywana

Skłaniam teraz me usta do biednej dziewczyny o śmiechu okropnym

Jesteś sam poranek się wdzięczy
Mleczarz blaszankami po ulicach brzęczy

Noc się oddała i jak ta Micia piękna
To jest fałszywa Fredzia lub Lea ponętna

A ty pijesz ten alkohol jak tve życie całe
Ty pijesz twoje życie jak jaką gorzałę

Ty idziesz do Auteuil piechotą chcesz zajść do mieszkania
By spać z fetyszami których krajem Gwinea i Oceanja
Są one Chrystusem w innej formie na inne pacierze
Są Chrystusem wewnętrznym w zaciemnionej wierze

Żegnaj Żegnaj

Słońce szyja ścięta

Tłum. Józef Gluziński.

JEAN COCTEAU

(ur. 1892)

ZE «ZŁORZECZEŃ WAWRZYNOWI»

Moja matka, to była ona (z pewnością ona),
fartuszek jej czarne ma obramowanie,
na piersi jej jaszczurka błyszczy z diamentów.

Rzekła mi: Tunelem snów przybywam.
Chciałam z tobą usłyszeć dział granie.
Tej nocy sposobi się atak.
Odpowiedziałem: Ach nie, ach nie.
Więc usiadła cicho przy mnie,
położyła ręce na mnie
i była pełna żaloby i smętu.

Rzekła mi: Ty wiesz, twój brat ma już dyplom pilota.
Nagle — oto,
Miałem dwanaście lat na wsi.
Mój towarzysz Karol, po obiedzie,
Mówi na dworze: Zda się,
Amerykanie lecą.
Moja matka, szyjąc, uśmiecha się.
Mój brat, on zawsze niewierzący.
A Karol mówi: Pobratam się z śmiercią.
Nadejdzie wojna olbrzymia.
Paweł, co pali pod tym dębem,
będzie miotał i ciskał
bomby na miasta po nocy.
Na miasta pani, Fräulein Józefino.

Budzę się. Me ramię,
trafione, napelnia się wodą sodową.
Która godzina? Czy wieczerzano?
Porucznik ciska mi jasek na głowę.
Uciszyć się, ty śpisz stojąco.

Ja nie śpię. Podsuwam się
do barki. Słyszę, jak się uśmiechają.

Lecz nagle pocisk unosi mię
zręcznie
w śmierć, zapomnienie.

Tak z moim bratem byłem w samolocie.
Fruwaliśmy do wielkiej wysokości.
Lecieliśmy do wielkiej wysokości
nad portem, gdzie zawijały i odpływały okręty.

Rzekł do mnie: Widzisz, na tej łódeczce,
prawie że tak pod nami,
mama jest na niej. Będzie nas szukać!
Po całej ziemi szukać nas będzie zapewne.

Tłum. Józef Gluziński.

Wybór i układ Józefa Gluzińskiego.